

**LUDZIE
BEZDOMNI**

Stefan Żeromski

**LUDZIE
BEZDOMNI**

lektura z opracowaniem

Opracowanie:
Kinga Szafruga

Korekta:
Justyna Kubacka

Opracowanie graficzne okładki:
Magdalena Altunin

ISBN 978-83-7738-462-6

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowywana bez pisemnej zgody Wydawnictwa **IBIS**.

Wydawnictwo **IBIS**
www.wydawnictwoibis.pl

Poznań 2013

Drukowano w UE

LUDZIE BEZDOMNI

TOM I

WENUS Z MIŁO

Tomasz Judym wracał przez Champs Elysées¹ z Laszku Bulońskiego², dokąd jeździł ze swej dzielnicy koleją obwodową. Szedł wolno, noga za nogą, wyczuwając coraz większy skutek upału ciężar własnej marynarki i kapelusza. Istny potop blasku słonecznego zalewał przestwór. Nad odległym widokiem gmachów rzucających się w oczy od Łuku Tryumfalnego wisiał różowy pyłek, który już zaczął wżerać się niby rdza nawet w śliczne, jasnozielone liście wiosenne, nawet w kwiatuszki paulowni³. Z wszystkich, zdawało się, stron płynął zapach akacji. Na żwirze, dokoła pniów, pod budynkami, w rynsztokach leżały jej białe kwiatki z ośrodkiem czerwonym, jakby skrwawionym od ukłucia śmierci. Pył bezlitosny zasypywał je niepostrzeżenie.



Miejsce akcji.

Zbliżała się godzina spaceru wielkiego świata i Pola drgać zaczynały od ruchu karet. Na drewnianym bruku dudnił jednostajny łoskot, jakby oddalona mowa wielkiej fabryki. Przebiegały piękne, lśniące rumaki, migotała ich uprząż, pudła, sprychy lekkich pojazdów – i mknęły, mknęły, mknęły bez ustanku wiosenne stroje kobiece o barwach czystych, rozmaitych i sprawiających rozkoszne wrażenie, jakby natury dziewiczej. Kiedy niekiedy wynurzała się z powodzi osób jadących twarz subtelna, wydelikacona, tak nie do uwierzenia piękna, że widok jej był pieszczotą dla wzroku i nerwów. Wrywał z piersi tęskne westchnienie jak za szczęściem – i ginął, unosząc je w mgnieniu oka ze sobą.

Judym znalazł pod osłoną kasztanów brzeg wolnej ławy i z wielką satysfakcją usiadł tam w sąsiedztwie starej i wąsatej niańki dwojga dzieci. Zdjął kapelusz i wlepiwszy wzrok w rzekę pojazdów, wałącą środkiem ulicy, z wolna wystygął. Na chodnikach przybywało coraz więcej osób ubranych wykwintnie – lśniących cylindrów, jasnych paltotów i staników. W pewnej chwili stare babsko z chytymi oczami wprowadziło między strojny tłum młode koźlątko z sierścią jak śnieg bielutką. Stado dzieci postępowało za koziołkiem, uwielbiając go gestami, oczyma i tysiącem okrzyków. Kiedy indziej wielki obdartus czerwony na gębie

¹ Champs Elysées – Pola Elizejskie

² Laszek Buloński – laszek podmiejski, miejsce wypoczynku mieszkańców Paryża

³ paulownia – ozdobne drzewo posiadające fioletowe kwiaty

przeleciał jak fiksat, wyrzaskując głosem ochrypłym rezultat ostatniego biegu koni. I znowu spokojnie, równo, uroczco płynęła rzeka ludzka na chodnikach, a środkiem rwał jej nurt bystry, uwieńczony pianą tkanin precudnych, lekkich, w oddali niebieskawozielonych...

Każdy rozpuszczony liść rzucał na białą żwir z okragłych kamyków wyraźne odbicie swego kształtu. Cienie te posuwały się z wolna, jak mała wskazówka po białej tarczy zegara. Na ławkach było już pełno, a tymczasem cień opuścił miejsce zajęte przez Judyma i ustąpił je roztopiającej kaskadzie słońca. Naokół innego *asilum*⁴ nie było, więc doktor rad nierzad wstał i powlókł się dalej ku placowi Zgody. Z niecierpliwością wyczekiwał, kiedy można będzie przemknąć się wskroś istnego odmetu karet, powozów, dorożek, bicyklów⁵ i pieszych na zakręcie głównej fali pędzącej od bulwarów w stronę Pól Elizejskich. Wreszcie stanął pod obeliskiem⁶ i poszedł w głąb ogrodu de Tuileries. Tam było prawie pusto. Tylko nad nudnymi sadzawkami bawiły się blade dzieci i w głównym szpalerze kilku mężczyzn rozebranych do koszuli grało w tenisa. Minąwszy ogród, Judym zwrócił się ku rzece z zamiarem wędrowania w cieniu murów na placyk przed kościołem Saint-Germain Auxerrois i ogarnięcia bez troski miejsca na imperialu⁷. W owej chwili stało w jego myśli puste kawalerskie mieszkanie aż na Boulevard Voltaire, gdzie od roku nocował, i mierziło go pustką swych ścian, banalnością sprzętów i nieprzewycięzoną, cudzoziemską nudą wiejącą z każdego kąta. Pracować mu się nie chciało, iść do kliniki – za nic na świecie.

Znalazł się na Quai du Louvre i z uczuciem błogości w karku i plecach zatrzymał pod cieniem pierwszego kasztana bulwaru. Ospałym wzrokiem mierzył brudną, prawie czarną wodę Sekwany. Gdy tak sterczał na podobieństwo latarni, zapaliła się w nim myśl, jakby z zewnątrz wniesiona do wnętrza głowy: „Dlaczegoż, u licha, nie miałbym pójść do tego Luwru?...”

Skręcił na miejscu i wszedł na wielki dziedziniec. W cieniach przytulonych do grubego muru, w które zanurzył się niby w głębie wody, dotarł do głównego wejścia i znalazł się w chłodnych salach pierwszego piętra. Dokoła stały odwieczne posągi bogów, jedne wielkości niezwyklej, inne naturalnej, a wszystkie prawie z nosami i rękoma uszkodzonymi w sposób bezbożny. Judym nie zwracał uwagi na tych zdegradowanych władców świata. Czasami zatrzymywał się przed którymś, ale przeważnie wówczas, gdy go uderzył jakiś zabawny despekt boskich kształtów. Nade wszystko interesowała go sprawa odpoczynku w doskonałym chłodzie

⁴ *asilum* (łac.) – schronienie, azyl

⁵ bicykl – jeden z pierwszych rowerów

⁶ obelisk – egipski obelisk znajdujący się na placu Zgody w Paryżu

⁷ imperial – górna, otwarta część omnibusu konnego

i z dała od wrzawy ulicy paryskiej. Szukał też nie tyle arcydzieł, ile ławki, na której by mógł usiąść. Zdybał ją po długiej wędrówce z sali do sali w narożnym zetknięciu się dwu długich galerii, przeznaczonym na schronienie dla Wenus z wyspy Milos.

W zakątku tworzącym jakby niewielką izbę, oświetloną jednym oknem, stoi na niewysokim piedestale tors białej Afrodyty⁸. Sznur owinięty czerwonym plu- szem nikomu do niej przystępu nie daje. Judym, widział już był ten cenny posąg, ale nie zwracał nań uwagi, jak na wszelkie w ogóle dzieła sztuki. Teraz zdobywszy w cieniu pod ścianą wygodną ławeczkę, jął dla zabicia czasu patrzeć w oblicze marmurowej piękności. Głowa jej zwrócona była w jego stronę i martwe oczy zdawały się patrzeć. Schylone czoło wynurzało się z mroku i, jakby dla obaczenia czegoś, brwi się zsunęły. Judym przyglądał się jej nawzajem i wtedy dopiero ujrzał małą, niewidoczną fałdę między brwiami, która sprawia, że ta głowa, że ta bryła kamienna w istocie – myśli. Z przenikliwą siłą spogląda w mrok dokoła leżący i rozdziera go jasnymi oczyma. Zatopila je w skrytości życia i do czegoś w nim uśmiech swój obraca.

Wyteżywszy rozum nieograniczony i czysty, posiadała wiadomość o wszystkim, zobaczyła wieczne dnie i prace na ziemi, noce i łyzy, które w ich mroku płyną. Jeszcze z białego czoła bogini nie zdążyła odejść mądra o tym zaduma, a już wielka radość dziewicza pachnie z jej ust rozmarzonych. W uśmiechu ich zamyka się wyraz uwielbienia. Dla miłości szczęśliwej. Dla uczestnictwa wolnego ducha i wolnego ciała w życiu bezgrzesznej przyrody. Dla ostrej potęgi zachwyty zmysłów, którego nie stępiły jeszcze ani praca, ani zgryzota, siostry rodzone, siostry nieszczęsne. Uśmiech bogini pozdrawia nadchodzącego z daleka. Oto zakochała się w pięknym śmiertelniku Adonisie⁹... Cudne marzenia pierwszej miłości rozkwitły w łonie jej jako kwiat siedmioramienny amarylisa. Barki jej wąskie, wysmukłe, okrągłe dźwignęły się do góry. Dziewicze łono drży od westchnienia... Długi szereg wieków, który odtrącił jej ręce, który zrabował jej ciało od piersi i zorał prześliczne ramiona szczerbami, nie zdołał go zniweczyć. Stała tak w półmroku „wynurzająca się”, Anadiomene¹⁰, niebiańska, która roznieca miłość. Obnażone jej włosy związane były w piękny węzeł, *krobylos*. Podłużna, smagła twarz tchnęła nieopisanym urokiem.

Gdy Judym wpatrywał się coraz uważniej w to czoło zamyślane, dopiero zrozumiał, że ma przed sobą wizerunek bogini. Była to Afrodite, ona sama, która się była poczęła z piany morskiej. I mimo woli przychodziła na myśl nieskromna

⁸ tors białej Afrodyty – rzeźba z końca II w. p.n.e. ukazująca grecką boginię miłości; Wenus z Milo

⁹ Adonis – ukochany Afrodyty, który pół roku spędzał w Hadesie, a pół z Afrodytą

¹⁰ Anadiomene – przydomek Afrodyty

legenda o przyczynie onej piany wód za sprawą Uranosa¹¹. A przecież nie była to Pandemos¹², nie była nawet żona Hefajstowa ani kochanka Anchizesa, tylko jasny i dobry symbol życia, córka nieba i dnia...

Judym zatonął w myślach i nie zwracał uwagi na osoby, które się obok niego przesuwaly. Było ich zresztą mało. Ocknął się dopiero wówczas, gdy usłyszał w sąsiedniej sali kilka zdań wyrzeczonych po polsku. Zwrócił głowę z żywą niechęcią w stronę tego dźwięku, pewny, że zbliża się ktoś „z kolonii”, ktoś, co siądzie przy nim i zabierze na własność minuty rozmyślenia o pięknej Wenus. Zdziwił się mile, zobaczywszy osoby „pozaparyskie”. Było ich cztery. Na przedzie szły dwie panienki – podlotki, z których starsza mogła mieć lat siedemnaście, a druga była o jakie dwa lata młodsza. Za nimi ciężko toczyła się dama niemałej wagi, wiekowa, z siwymi włosami i dużą a jeszcze piękną twarzą. Obok tej matrony szła panna dwudziestokilkuletnia, ciemna brunetka z niebieskimi oczami, prześliczna i zgrabna. Wszystkie stanęły przed posągiem i w milczeniu go rozpatrywały. Słysząc było tylko ciężkie, przytłumione sapanie starej damy, szelest jedwabiu odzywający się za każdym ruchem podlotków i chrzęst kart *Bädeckera*¹³, które przewracała starsza panna.

– Wszystko to pięknie, moje serce – rzekła matrona do ostatniej – ale ja muszę usiąść. Ani kroku! Zresztą warto popatrzeć na tę imość. Tak... jest tu nawet ławeczka.

Judym wstał ze swego miejsca i wolno odszedł kilka kroków na bok, jak gdyby dla obejrzenia biustu z innej strony. Te panie spojrzały sobie w oczy z wyrazem pytania i przyciszyły rozmowę. Tylko najstarsza z panien, zajęta *Bädeckerem*, nie widziała Judyma. Otyła babcia energicznie usiadła na ławce, wyciągnęła nogi ile się dało, i na jakieś szeptu młodych towarzyszek odpowiadała również szeptem właściwym starym paniom, który ma tę własność, że w razie potrzeby może zastąpić telefonowanie na pewną odległość:

– A, Polak nie Polak, Francuz nie Francuz, Hiszpan czy Turek, to mi jest wszystko jedno. Niech mu Bóg da zdrowie za to, że stąd wyłazł. Nogi mi odjęło z kretelem... A teraz patrz jedna z drugą na tę, bo to przecie nie byle co. Już ją człowiek raz widział dawnymi czasy. Jakoś mi się wtedy inna wydała...

– A bo to pewno inna... – rzekła młodsza z turystek.

– Nie myśl no o tym, czy inna, czy nie inna, tylko się przypatrz. Spytają później w salonie o taką rzecz, a ty ni be, ni me...

¹¹ Uranos – wraz z Gają stanowili pierwszą parę bogów

¹² Pandemos – przydomek Afrodyty

¹³ *Bädecker* (niem.) – przewodnik dla turystów (od nazwiska wydawcy Karla *Bädeckera*)

Druga panienka bez zachęty obserwowała Wenus w sposób zadziwiający. Była to śniada blondynka z twarzą o cerze mętnej, smagławej. Czoło miała dość wąskie, noszek prosty, wargi cienkie i zawarte. Nie można było określić, czy jest ładna, czy brzydka. Wywierała wrażenie śniącej czy rozmarzonej, bo powieki miała prawie przymknięte.

Judyma zaciekawiła ta twarz, więc stanął i nieznacznie ją śledził. Patrzała na marmurowe bóstwo od niechcienia, a jednak z takim wyrazem, jakby go się uczyła na pamięć, jakby je spod oka wzrokiem chłonęła. Kiedy niekiedy wąskie i płaskie jej nozdrza rozszerzały się lekko od szybkiego westchnienia. W pewnej chwili Judym zauważył, że powieki spuszczone z nabożeństwem i dziewiczą skromnością dźwignęły się ociężale i źrenice dotąd zakryte widzą nie tylko Wenus, ale i jego samego. Zanim wszakże zdążył zobaczyć barwę tych oczu, już się skryły pod rzęsami.

Tymczasem najstarsza z panien odczytała cały rozdział o historii posagu i zbliżyła się do pluszowego sznura. Oparłszy na nim ręce, zaczęła przyglądać się rzeźbie z ciekawością, entuzjazmem i oddaniem się, właściwym tylko niewiastom. Można by powiedzieć, że w owej chwili przystępowała do zobaczenia Wenus z Milo. Oczy jej nie były w stanie nic prócz posagu zauważyć, pragnęły i usiłowały zliczyć wszystkie piękności, wszystkie cechy dłuta Skopasa... o których mówił Bäckedeker, spałmętać je i ułożyć w głowie systematycznie jak czystą bieliznę w kufrze podróżnym. Były to oczy szczere aż do naiwności. Zarówno jak cała twarz odzwierciedlały subtelne cienie myśli przechodzących, oddawały niby wierne echo każdy dźwięk duszy i wszystko mówiły bez względu na to, czy kto widzi lub nie ich wyraz.

Judym po kilkuminutowej obserwacji tej twarzy nabrał przekonania, że gdyby piękna panna pragnęła szczerze zataić otrzymane wrażenie, mowa oczu natychmiast je wyda. Stał w cieniu i przyglądał się grze uczuć przesuwających się po jasnej twarzy. Oto mało wiedząca ciekawość... Oto pierwszy promyczek wrażenia sunie się po brwiach, przyciska rzęsy i zmierza ku wargom, ażeby je zgiąć do miłego uśmiechu. Te same uczucia, które Judym przed chwilą miał w sobie, widział teraz na licach nieznanym. Sprawiało mu to szczerą przyjemność. Rad by był zapytał, czy się nie myli, i usłyszał z pięknych ust wynurzenie wrażeń. Nigdy jeszcze w życiu nie doświadczał takiej chęci rozmawiania o sztuce i słuchania z pilnością, co sądzi o ulatujących wrażeniach drugi człowiek...

Tymczasem ów drugi człowiek, zajęty statua, na śledztwo ani na badacza żadnej uwagi nie zwracał.

– Pamiętam – rzekła dama w wieku – inną grupę z marmuru. Była to jakaś scena mitologiczna. Geniusz czy amorek ze skrzydłami całuje śliczne dziewcząt-

ko. Jest to może cokolwiek niewłaściwe dla was, moje sroki, ale tak piękne, tak urocze, tak *agréable*¹⁴, tak *sensible*¹⁵...

Najstarsza z panien podniosła głowę i, wysłuchawszy całego zdania z uwagą, rzekła, przerzucając kartki:

– Coś tu zauważyłam... *L'Amour et Psyché... Antoine Canova*¹⁶. Czy to nie to?

– A może i Psyche. Tylko że waham się, czy wam to pokazać – dodała ciszej.

– W Paryżu! Jesteśmy teraz w Paryżu! Musimy umoczyć wargi w pucharze rozpusty... – szepnęła brunetka do starej damy w sekrecie przed młodszymi towarzyszkami.

– A co mię tam ty obchodzisz! Ty sobie oczy wypatruj na wszelkie Amory malowane i rzeźbione, ale te oto...

– Babcia myśli, że my rozumiemy cokolwiek... – rzekła z przepyszną miną najmłodsza. – Nie wiem tylko, po co tyle czasu tracić na oglądanie tych rozmaitych korytarzy z obrazami, kiedy na ulicach jest tak bosko, taki Paryż!

– Ależ, Wando... – jęknęła brunetka.

– No, pani to rozumie, a ja zupełnie nie! Co w tym jest ciekawego? Wszelkie te muzea i zbiory zawsze mają w sobie coś z trupiarni, tylko że są jeszcze nudniejsze. Na przykład... Cluny¹⁷. Jakies doły, pieczary, kawałki odrapanych murów, cegły, nogi, ręce, gnaty...

– Cóż ty mówisz?

– No więc nie? Weźmy Carnavalet¹⁸... Piszczele, paskudne, zakurzone truposze, stare rupiecie spod kościołów. W dodatku trzeba koło tego chodzić z miną uroczystą, nadętą, obok każdej rzeczy stać kwadrans, udając, że się patrzy. Albo i tutaj: obrazy, obrazy i obrazy bez końca. No i te figury...

– Moje dziecko – wtrąciła babka – są to arcydzieła, że tak powiem...

– Wiem, wiem... arcydzieła. Ale przecież wszystkie obrazy do siebie podobne jak dwie krople wody: wylakierowane drzewa i gołe panny z takimi tutaj...

– Wando! – krzyknęły wszystkie trzy towarzyszkisy z przestrachem, oglądając się dokoła.

Judym nie wiedział, co czynić ze swoją osobą. Rozumiał, że należałoby wyjść, aby nie słuchać mowy osób, które nie wiedzą, że jest Polakiem, ale żal mu było.

¹⁴ *agréable* (fr.) – przyjemne

¹⁵ *sensible* (fr.) – wrażliwe, delikatne

¹⁶ *L'Amour et Psyché... Antoine Canova* – rzeźba o tematyce mitologicznej; *Amor i Psyche* autorstwa włoskiego rzeźbiarza A. Canovy

¹⁷ Cluny – pałac w Paryżu, siedziba muzeum

¹⁸ Carnavalet – muzeum w Paryżu

Czuł w sobie nie tylko chęć, ale nawet odwagę wmieszania się do tej rozmowy. Stał bezradnie, wytrzeszczonymi oczyma patrząc przed siebie.

– No to chodźmy do tego „Amora i Psyche”... – rzekła stara dama, dźwigając się z ławeczki. – Tylko gdzie to jest – wbij zęby w ścianę...

– Niech babcia nie zapomina, że dziś jeszcze raz miałyśmy być w tamtym prawdziwym Luwrze¹⁹.

– Cicho mi bądź! Czekać no... Gdzież jest ów Canova? Pamiętam, byliśmy tam z Januarem... Szło się jakoś... Zaraz...

– Jeżeli panie pozwolą, to wskażę im najbliższą drogę do Amora... to jest... Antoniego Canovy... – rzekł dr Tomasz, zdejmując kapelusz i zbliżając się wśród ukłonów.

Na dźwięk mowy polskiej w jego ustach wszystkie trzy dziewice odruchowo zbliżyły się do starej damy, jakby się przed zbójcą chroniły pod jej skrzydła.

– Aa... – odezwała się babka wznosząc głowę i mierząc młodego człowieka okiem dość niechętnym. – Dziękuję, bardzo dziękuję...

– Panie darują, że gdy się słyszy... W Paryżu tak rzeczywiście... bardzo, bardzo rzadko... – plótł Judym, tracąc pewność nóg i języka.

– Pan stale w Paryżu? – spytała ostro.

– Tak. Mieszkam tu od roku. Więcej niż od roku, bo jakieś piętnaście miesięcy... Nazywam się... Judym. Jako lekarz studiuję tutaj pewne... To jest właściwie...

– Więc mówi pan, że jako lekarz?...

– Tak jest – mówił dr Tomasz, oburącz chwytając się wątków rozmowy, pomimo że wyciągała na wierzch kwestie dotyczące się jego osoby, których nie znoślił. – Skończyłem medycynę w Warszawie, a obecnie pracuję tutaj w klinikach, w dziedzinie chirurgii.

– Miło mi poznać pana doktora... – cedziła dama dość oziębłe. – My wozujemy, jak pan widzi, we czwórkę, z kąta w kąt. Niewadzka... To moje dwie wnuczki, sieroty, Orszeńskie, a to ich i moja najmilsza przyjaciółka, panna Joanna Podborska.

Judym kłaniał się jeszcze z wrodzonym płatanieniem się nóg, gdy pani Niewadzka rzekła z akcentem żywego interesu w tonie mowy:

– Znałam, tak nie myślę się, kogoś tego nazwiska, pana Judyma czy pannę Judymównę, na Wołyniu bodaj... zdaje się, że to tak, na Wołyniu... A pan z jakich okolic?

Dr Tomasz rad by był udawać, że nie słyszy tego pytania. Gdy jednak pani Niewadzka zwróciła ku niemu wejrzenie, mówił:

¹⁹ ...w tamtym prawdziwym Luwrze – chodzi tu o magazyn Luwr znajdujący się przy ulicy Rivoli

– Ja pochodzę z Warszawy, z samej Warszawy. I z bardzo byle jakich Judymów...
– Dlaczegoż to?



Tomasz Judym:
O swoim
pochodzeniu
podczas rozmowy
z Niewadzką
w Paryżu.

– Ojciec mój był szewcem, a w dodatku lichym szewcem na Ciepłej ulicy. Na Ciepłej ulicy... – powtórzył z klującą satysfakcją. Uniknął wreszcie chwiejnego gruntu i grzecznych delikatności, w czym nie był mocny i czego się w przesadny sposób obawiał. Panie umilkły i posuwały się z wolna, równolegle, szeleszcząc sukniemi.

– Bardzo się cieszę, bardzo... – mówiła spokojnie pani Niewadzka – że miałam sposobność zawarcia tak miłej znajomości. Więc pan zbadał tutaj wszelkie dzieła sztuki? Zapewne, mieszkając stale, w Paryżu... Jesteśmy bardzo obowiązane...

– „Amor i Psyche” będzie chyba w innym gmachu – rzekła panna Podborska.

– Tak, w innym... Wyjdziemy na dziedziniec.

Gdy tam stanęli, pani Niewadzka zwróciła się do Judyma i z imitacją uprzejmości rzekła:

– Tak ostro pan wymienił zatrudnienie swego ojca, że czuję się prawdziwie upokorzona. Zechce mi pan wierzyć, że nie miałam intencji pytaniem o jakieś tam koligacje sprawić mu przykrości. Po prostu nałóg starej baby, która długo żyła i dużo ludzi na świecie widziała. Miło jest, to prawda, zetknąć się z człowiekiem, którego osoba mówi o dawnych rzeczach, ludziach, stosunkach, ale o ileż przyjemniej, o ileż... przyjemniej...

– Ojciec pana, ten szewc, robił damskie obuwie czy męskie kamasze? – zapytała, przymrużając oczy młodsza z panien Orszeńskich.

– Trzewiki, głównie trzewiki, w dość odległych jedna od drugiej chwilach przytomności, najczęściej bowiem robił po pijanemu awantury, gdzie się dało.

– No, to już zupełnie w głowie mi się nie mieści, jakim cudem pan został lekarzem, i do tego – w Paryżu!

Panna Podborska cisnęła na mówiącą spojrzenie pełne rozpaczliwego wstydu.



Niewadzka
o powszechnym
zachowaniu
ludzi, którzy
wypierają się
swojego niskiego
pochodzenia.

– W tym, co nam pan o sobie wyznał – rzekła stara jejmość – widzę dużo, dużo odwagi. Doprawdy, że po raz pierwszy zdarzyło mi się słyszeć taką mowę. Proszę pana doktora, jestem stara i różnych ludzi widziałam. Ile razy zdarzyło mi się obcować z... indywiduami nie należącymi do towarzystwa, z osobami... jednym słowem, z ludźmi pochodzącymi ze stanów zwanych – słusznie czy niesłusznie, w to nie wchodzę – gminem, to zawsze ci panowie usiłovali starannie ominąć kwestię swego rodowodu. Znałam co prawda i takich – mówiła jakby z pewnym zadumaniem – którzy w jakimś okresie życia,

zwykle w młodości, przyznawali się z emfazą do swego stanu kmiecego czy tam do czegoś, a później nie tylko że ta ich demokratycznie-chępliwa prawdomówność szła sobie na bory, na lasy, ale prócz tego miejsce jej zajmowały jakieś herby przylepione do drzwiczek karety, jeśli ją fortuna postawiła przede drzwiami mieszkania. Judym uśmiechnął się szyderczo, kilka kroków szedł w milczeniu, a później zwrócił się do panny Podborskiej z pytaniem:

– Jakież wrażenie zrobiła na pani Wenus z Milo?

– Wenus... – rzekła brunetka, jakby ją to pytanie zbudziło ze snu przykrego. Twarz jej oblał rumieniec, wnet znikł i skupił się w prześlicznych ustach, które nieznacznie drgały.

– Ma caluténkie plecy poszarpane, jakby ją kto przez cztery dni z rzędu prał ekonomicznym batem... – rzekła kategorycznie panna Wanda.

– Prześliczna... – półgłosem wymówiła panna Natalia, zwracając w stronę Judyma swe matowe oczy. Drugi raz doktor miał możliwość spojrzeć w te oczy i znowu krótko gościło we wszystkich władzach jego duszy nieuchwytne zatrwożenie. We wzroku tej dziewczyny było coś, jakby zimny, niepołyskujący blask księżycy, kiedy nad senną ziemią tarcza jego we mgłach się kryje.

Panna Podborska ożywiła się i zaraz twarz jej ukazała wewnętrzne wzruszenie.

– Jakaż ona piękna! jakaż prawdziwa! Gdybym w Paryżu mieszkała, przychodziłabym do niej... no, milion nie milion, ale co tydzień, żeby się napatrzyć. Grecy w ogóle stworzyli świat bogów tak cudowny... Goethe...

Usłyszawszy wyraz „Goethe” Judym doznał niesmaku, czytał bowiem z tego poety coś, a nadto niegdyś.

Los zdarzył, że stara dama zatrzymała się w przedsionku prowadzącym do sali „Amora i Psyche” – i niemym znakiem w dużych bladych oczach pytała Judyma o drogę. Kiedy się znaleziono w obliczu wygłaskanej grupy, owego malowidła w białym marmurze, wszyscy umilkli. Judym ze smutkiem myślał, że właściwie rola jego już się skończyła. Czuł, że wyrwawszy się z wiadomością o papie z Ciepłej, nie może towarzyszyć tym paniom i szukać ich znajomości. Znowu w umyśle jego przesunął się pokój „na Wolterze”²⁰ i stara, wstrętna żona *conciérge*²¹ ze swymi wiekuistymi pytaniami bez sensu. W chwili kiedy najbardziej nie wiedział, co czynić, i nie był pewny, w jaki sposób wypada się rozstać, pani Niewadzka jakby zgadując, o czym myśli, rzekła:



Symboliczne znaczenie posagu Wenus z Milo – utożsamia młodość, urodę, piękno, radość życia, miłość.

²⁰ „na Wolterze” – chodzi tu o bulwar Woltera

²¹ *conciérge* (fr.) – stróż, odźwierny, dozorca

– Wybieramy się do Wersalu²². Chciałybyśmy zobaczyć okolice, być po drodze w Sèvres²³, w Saint-Cloud²⁴... Te wartogłowy pędziłyby z miejsca na miejsce dzień i noc, a ja formalnie upadam. Czy jeździłeś pan do Wersalu? Jak wygodniej? Koleją? Piszą tu o jakimś tramwaju pneumatycznym. Czy to co lepszego niż pociąg?

– W Wersalu byłem dwa razy tym właśnie tramwajem, który wydał mi się bardzo dogodny. Idzie wprawdzie wolno, pewnie dwa razy wolniej niż wagon kolejowy, ale za to daje możliwość obserwowania okolicy i Sekwany.

– A więc jedziemy tramwajem! – zawyrokowała panna Wanda.

– O którejże godzinie wychodzi stąd ten czupirak?

– Nie pamiętam, proszę pani, ale to tak łatwo się dowiedzieć. Stacja główna mieści się tuż obok Luwru. Jeżeli panie pozwolą...

– O! czyliż śmiałybyśmy pana trudzić...

– Ale dowie się pan, co to szkodzi, moja babciu. Pan tutejszy, paryżanin... – deklamowała panna Wanda odrobinę parodiując ton mowy Judyma.

Tomasz, kłaniając się, odszedł i zadowolony, jakby mu się przytrafiło coś niesłychanie pomyslnego, biegł pędem ku stacji tramwajowej na Quai du Louvre. W mgnieniu oka wyszukał konduktora, wbił sobie w głowę wszystkie godziny oraz minuty i wracał, prostując się co chwila i poprawiając krawat... Kiedy zawiadamiał te panie o terminie odjazdu i udzielał im wskazówek, jak się kierować w Wersalu, panna Wanda wypaliła:

– A więc jedziemy do Wersalu. Bagatela! Do samego Wersalu... Jedziemy tramwajem jakimś tam – a pan z nami.

Zanim Judym zdołał zebrać myśli, dodała:

– Już babcia orzekła, że *malgré tout*²⁵ może pan jechać...

– Wanda! – z rozpaczą prawie zgrzytnęła pani Niewadzka, rumieniąc się jak dziewczątka. Po chwili zwróciła się do Judyma i usiłowała wywołać przyjazny uśmiech na drżące jeszcze wargi:

– Widzi pan, co to za diabeł czubaty, choć już dopomina się o długą suknię...

– Czy istotnie pozwoliłyby panie towarzyszyć sobie do Wersalu?

– Nie śmiałabym prosić pana, bo to może przerwie zajęcia, ale byłoby nam bardzo przyjemnie.

– Bynajmniej... Byłbym wielce szczęśliwy... Tak dawno... – bąkał Judym.

– Panie, o dziesiątej! – rzekła do niego panna Wanda z palcem wzniesionym do góry i wykonywując oczami cały szereg plastycznych znaków porozumienia.

²² Wersal – park i pałac pod Paryżem, obecnie znajduje się tam muzeum

²³ Sèvres – słynące z wyrobu porcelany miasto pod Paryżem

²⁴ Saint-Cloud – dawna siedziba cesarza Napoleona III

²⁵ *malgré tout* (fr.) – mimo wszystko

Doktor już lubił tę dziewczynę zupełnie jak dobrego koleżkę, z którym można paplać bez miary o wszystkich rzeczach i niektórych innych. Trzy osoby starsze od panny Wandy zachowywały niezgrabne milczenie. Judym czuł, że wtargnął do towarzystwa tych pań. Rozumiał swą niższość społeczną i to, że jest w tej samej chwili szewskim synem tudzież aspirantem do „towarzystwa”. Odróżniał w sobie te obydwie substancje i do krwi gryzł dolną wargę.



Tomasz Judym
Rozdarcie z powodu pochodzenia i aspiracji towarzyskich.

Po obejrzeniu medalionów Davida d'Angers²⁶, z których kilka wniosło do serc obecnych coś jak gdyby modlitwę, wycofano się z muzeum na dziedziniec, a stamtąd na ulicę.

Stara pani przywołała fiakra i oświadczyła swoim pannom, że jadą do sklepów. Judym pożegnał je z elegancją, której w tym właśnie momencie pierwszy raz w życiu zażywał – i oddalił się. Na piętrze omnibusu dążącego w stronę Vincennes wpadł w głębokie i misterne rozmyślenia. Było to w jego życiu zdarzenie kapitalne, coś w rodzaju otrzymania patentu albo fabrykacji pierwszej samoistnej recepty. Nigdy jeszcze nie zbliżał się do takich kobiet. Mijał je tylko nieraz na ulicy, widywał czasem w pociągach i marzył o nich z nieugaszoną tęsknotą, w skrytości ducha, do której nie ma przystępu myśl kontrolująca. Jakże często, będąc uczniem i studentem, zazdrościł lokajom ich prawa przypatrywania się tym istotom cielesnym, a przecież tak podobnym do cudnych kwiatów zamkniętych w czarownym ogrodzie. Zarazem przyszły mu na myśl jego kobiety: krewne, znajome, kochanki... Każda mniej lub więcej podobna do mężczyzny z ruchów, z ordynarności, z instynktów. Myśl o tym była tak wstrętą, że przymknął oczy i z najgłębszą radością słuchał szelestu sukien, którego jeszcze uszy jego były pełne. Każdy bystry ruch nogi wysmukłych panien był jak drgnienie muzyczne. Połyski ślicznych mantylek, rękawiczek, lekkich krez otaczających szyje, rozniecały w nim jakieś szczególne, nie tyle namiętne, ile estetyczne wzruszenie.



Zauroczenie Tomasza Judyma kobietami z wyższych sfer – Niewadzką i jej wnuczkami.



Judym porównuje kobiety z wyższych sfer z tymi ze swojej sfery.

Nazajutrz wstał wcześniej niż zwykle i z wielkim krytycyzmem zbadał swą garderobę we wszystkich jej postaciach. Około dziewiątej wyszedł z domu, a że czasu było jeszcze aż nadto, postanowił iść piechotą.

Przeciskając się wśród tłumu, rozmyślał o dyskursie, jakim bawić będzie te panie, układał w myśli całe dialogi nad wyraz wdzięczne, a nawet flirtował w imaginacji, co aż do owej chwili poczytywał był za plugastwo. Przy stacji tramwajów było pusto. Judym zatrzymał się pod jednym z drzew i pełen niepokoju oczekiwał przybycia wczorajszych znajomych. Co chwila rozlegał się ryk statków nurzających

²⁶ Jean Pierre Davis d'Angers – francuski rzeźbiarz

się w falach Sekwany, wrzał turkot omnibusów na mostach i przyległych ulicach. Po tamtej stronie rzeki wybiła gdzieś czystym dźwiękiem godzina dziesiąta. Judym słuchał tego głosu jakby uroczystego słowa zapewnienia, że piękne istoty nie przyjdą, że nie przyjdą, że nie przyjdą dlatego mianowicie, że on ich oczekuje. On, Tomasz Judym, Tomek Judym z Ciepłej ulicy.

Stał tak, patrząc na szarą, ciężką wodę i szeptał do siebie:

– Ulica Ciepła, ulica Ciepła...

Było mu nad wszelki wyraz głupio, jakoś niesmacznie i gorzko. W dalekim krańcu przelotnego wspomnienia snuł się obraz brudnej kamienicy...

Podniósł głowę i otrząsnął się. Obok niego przesuwali się ludzie wszelkiego typu, a między innymi wędrowny herold „Intransigeanta”²⁷ dźwigający na wysokim drągu treść ostatniego numeru tej gazety przyklejoną do poprzecznej deski. W owej chwili roznosiciel spuścił ogłoszenie na dół, wsparł się na jego kij i gawędził ze znajomym. Tytuł gazety skojarzył się w umyśle Judyma z przeróżnymi myślami w których szeregu błąkało się uprzykrzone, niemiłe, bolesne prawie pojęcie: ulica Ciepła, ulica Ciepła...

O rodzinie swej, o warunkach, w jakich żywot jej upływa, myślał w owej chwili niby o czymś niezmiernie obcym, niby o typie pewnej familii małomieszczańskiej, która nędzną egzystencję swoją pędziła za panowania króla Jana Kazimierza. Te damy, które zobaczył dnia poprzedniego, stały się dlań tak szybko istotami bliskimi, siostrzanymi, przez wykwinność swych ciał, sukien, ruchów i mowy. Żał mu było, że nie przychodzą, i prawie nieznośnie na samą myśl, że mogą nie przyjść wcale. Jeżeli tak będzie, to dlatego, że z tych szewców wieździe swój „rodowód”.

Postanowił jechać do Wersalu, ukłonić się im z daleka i wyminąć... Cóż go mogą obchodzić jakieś panny z arystokracji „czy tam z czego”? Chciałby tylko zobaczyć raz jeszcze, przyjrzeć się, jak toto chodzi, jak patrzy na byle obraz ciekawymi oczami...



Tomasz Judym:
O sobie.

„Juścić – myślał gapiąc się na wodę – juścić jestem cham, to nie ma co... Czyliż umiem się bawić, czym kiedy pomyślał o tym, jak należy się bawić? Grek połowę życia przepędzał na umiejętnej zabawie. Włoch średniowieczny udoskonalił sztukę próżnowania, to samo takie kobiety... Ja bym się zabawił na wycieczce, ale z kim? Z kobietami mego stanu, z jakimiś, przypuszczam, pannami »miastowymi«, ze studentkami, z białogłowami jednym słowem, co się nazywa. Ale z tymi! To jest tak jakby wiek dziewiętnasty, podczas kiedy ja żyję jeszcze z prapradziadkami na początku osiemnastego. Nie posiadam sztuki rozmawiania, zupełnie jakby pisarz prowentowy

²⁷ „Intransigeant” (fr.) – „Nieprzejednany”; nazwa paryskiego dziennika

chciał układać dialogi *à la* Lukian²⁸ dlatego, że umie pisać piórem... Nie bawiłbym się, tylko bym dbał, żeby nie zrobić czegoś z szewska. Może to i lepiej... Ach, jak to dziwnie... Każda z tych bab tak jakoś żywo interesuje człowieka, każda, nawet ta stara; to istota nowoczesna, wyobrazicielka tego, co tytułujemy kulturą. A ja, cóż ja... szewczyna...”

– Nie powiedziałam, że doktorzek będzie już na nas czekał! – zawołała tuż za nim panna Wanda.

Judym odwrócił się prędko i ujrzał przed sobą wszystkie cztery znajome. Twarze ich były wesole. Wśród miłej rozmowy panie wdrapały się na imperial, Judym z precyzją windował tam babcię. Gdy się znalazły tak wysoko, przed oczyma ich ukazała się ruchliwa toń Sekwany. Pędziła między granitowymi brzegi zdyszana, udręczona, jakby w ostatnim wysiłku robiła bokami. Nieczysta, zgęstniała, bura, prawie ciemna woda, w której chlupały parostatki, rycząc co chwila, sprawiała smutne wrażenie, jak niewolnica, której szczupłe ręce obracają ciężkie żarna.

– Jaka mała, jaka wąska... – mówiła panna Joanna.

– Phi!... wygląda jak wnuczka Wisły!

– Zupełna karykatura Izary... – rzekła panna Natalia.

– To prawda! Panno Netko, pamięta pani Izarkę, Izunię, naszą jasnozieloną, czystą jak łza... – unosiła się panna Wanda.

– Ech, jak łza... – wtrącił Judym.

– Co, nie wierzy pan! Babciu, ten pan formalnie wyznał, że nie wierzy w czystość Izary.

– Rzeczywiście, jakaż to okropna woda! – mówiła wiekowa dama, usiłując zamazać co prędzej ostatnie słowa panny Wandy, które nie wiedzieć czemu wywołały rumieniec jak przelotny obłoczek na twarzy panny „Netki”.

W chwili kiedy Judym zamierzał spełnić coś statystycznie uczzonego o wodzie Sekwany, tramwaj beknął przeciągle i wyginając swe wagony na zwrotnicach, niby członki długiego cielska, posunął się wzdłuż brzegu czarnej rzeki. Gałęzie kasztanów z długimi liśćmi kołysały się tuż obok twarzy jadących. Sadza i ostre pyły miejskie wżarły się już w jasną zieloność miękkich powierzchni i oblóczyły je z wolna jak gdyby w śnieżną rudawą. Dzień był chmurny. Co chwila przemykały się nad okolicą już to głębokie cienie obłoków, już popielate światło zasępionego przedpołudnia. Ale nikt na to uwagi nie zwracał, gdyż przyciągały wszystkich domki z różowego kamienia na przedmiejskich ulicach.

– Cóż to za kamienie? Co za kamienie, panie, panie? – nastawała panna Wanda. Zanim jednak zdążył zebrać myśli, już mu dała pokój, z uśmiechem

²⁸ dialogi *à la* Lukian – chodzi tu o *Dialogi umarłych* oraz *Dialogi Bogów*, których autorem był grecki pisarz i filozof – Lukian z Samosat

zwracając głowę w przeciwną stronę. Nad ogrodami, które ze wzgórz zbiegały tam ku rzece, unosił się i wypełniał całe powietrze zapach róż upajający, rozkoszny... Gdzieś między drzewami widać było ogromne rabaty przebijające się na zewnątrz zielonej zasłony płomieniem paśowej i żółtej barwy. Judym obserwował twarze swych pań. Wszystkie, nie wyłączając staruszki, były jakby natchnione. Zwracały się mimo chęci w kierunku źródła prześlicznej woni i z przymkniętymi powiekami, z uśmiechem na wargach wciągały ją nozdrzami. Szczególniej twarz panny Natalii przykuwała w owej chwili jego uwagę. Ta istota, pochłonięta przez zapach różany, zdawała się być niby jasny motyl, dla którego ten kwiat został stworzony i który sam jeden ma do niego tajemnicze prawo.

Spomiędzy ogrodów wydierały się tu i ówdzie szerniałe mury i kominy fabryk, podobne do wstrętnego kadłuba i obmierzłych członków jakiegoś pasożyta, który z brudu się rodzi i nim żyje. Nad wodą i daleko wzdłuż brzegu wlokły się domy przedmieścia biedne, ordynarne i małe. W pewnym miejscu otworzył się przed wzrokiem, jak czeluść, skład węgla roztrzaskający na sąsiednie ściany, drzwi i okna swój czarny oddech. Daleko w przestrzeni widać było przymglony las Meudon.

– Cóż pani się najbardziej podobało w Paryżu? – rzekł Judym do panny Natalii, która obok niego siedziała.

Było to jedno z zapytań przygotowanych jeszcze wczoraj, jak lekcja.

– W Paryżu? – mówiła, rozciągając ten wyraz z uśmiechem na ślicznych wargach. – Podoba mi się, to jest sprawia mi przyjemność, wszystko... Ruch, życie... Jest to jak burza! Na przykład w okolicy Gare Saint-Lazare – nie wiem, jak się ta ulica nazywa – gdy się jedzie w powozie i gdy się widzi tych ludzi pędzących trotuarami, te fale, fale... Hucząca powódź... Raz widziałam powódź okropną u stryja, w górach. Woda nagle wezbrała... Wtedy chciało się wołać na nią: wyżej, prędzej, leć! Tu to samo...

– A pani? – zapytał Judym pannę Wandę.

– Mnie... to samo... – mówiła prędko – a oprócz tego Louvre. Tylko nie ten malowany. Fe!.. Wie pan, tamten. Teraz, rozumie się, skieruje pan swoje pytanie do „ciotki” Joasi, chociaż od niej trzeba było zacząć, bo ona jest nauczycielką i kochaneczką. Widzi jegomość – mała rzecz, a wstyd. Otóż ja panu powiem. Pannie Joasi podoba się primo „Rybak”²⁹ secundo³⁰ „Myśl”, trzecio „Wenus”, czwarto... Zresztą nam się wszystkim ogromnie podoba i „Rybak” i „Myśl”... Babci...

– Cóż to za myśl?

²⁹ „Rybak” – właściw. *Ubogi rybak* – obraz malarza P. Puvis de Chavannese’a

³⁰ primo... secundo (łac.) – po pierwsze... po drugie...

– To pan tego nawet nie wie! A wiecie co... „Myśl” wymalowana, w nowym ratuszu. Z zamkniętymi oczami, chuda, młoda dla mnie osobiście wcale nieładna.

– Ach, w ratuszu...

– W ratuszu, ach... Teraz „Rybak” w galerii jakiej to?...

– Właśnie ciekawi jesteśmy, w jakiej? O to nam tylko chodzi... w jakiej... – wtrąciła babka.

– Zaraz... Myśli babunia, że takiego głupstwa nie wiem. O, przeprasza się delikatnie szanowną publiczność: za Sekwaną, w tym ogrodzie, gdzie to woda i te kaczki z czubami...

– Luksemburskim... – szepnęła panna Natalia.

– W Ogrodzie Luksemburskim!

– Zna pan „Rybaka” Puvis de Chavannes’a? – rzekła panna Podborska.

– „Rybaka”? nie przypominam sobie...

– Taki z pana znawca i paryżanin – drwiła panna Wanda, wydymając wargi ze wzgardą.

– Alboż to ja jestem znawca i paryżanin? Ja jestem pospolity chirurg...

Kiedy to mówił, ukazał mu się obraz, o którym była mowa. Widział go przed rokiem i uderzony niewypowiedzianą siłą tego arcydzieła zachował je w pamięci. Z czasem wszystko, co stanowi samo malowidło, szczególną rozwiewność barw, rysunek figur i pejzażu, prostotę środków i całą jakby fabułę utworu, przywałyły inne rzeczy i zostało tylko czujące wiedzenie o czymś nad wszelki wyraz bolesnym. Wspomnienie owo było jak mętne echo czyjejs krzywdy, jakiejs hańby bezprzykładnej, której nie byliśmy winni, a która przecie zdaje się wołać na nas z ziemi dlatego tylko, że byliśmy jej świadkami. Panna Joanna, która rzuciła pytanie o „Rybaka”, siedziała na końcu ławki za obydwiema panienkami i babcią. Czekając odpowiedzi, wychyliła się trochę i uważnie przyglądała Judymowi.

Ten, z konieczności, patrząc w te oczy jasne, prawdziwie jasne, podniecony ich wynurzeniem zachwytu, które zastępowało w zupełności tysiąc słów opisu płótna Puvis de Chavannes’a, zaczął przypominać sobie nawet barwy, nawet pejzaż. Uniesienie tych oczu zdawało się przytaczać mu obraz, podpowiadać dawno zatarte wrażenie. Tak, pamiętał... Chudy człowiek, a właściwie nie człowiek, lecz antropoid³¹ z przedmieścia wielkiej stolicy, obrosły kłakami, w koszuli, która się na nim ze starości rozlazła, w portkach wiszących na spiczastych kościach bioder, stał znowu przed nim ze swą podrywką zanurzoną w wodę. Oczy jego spoczywają niby to na pałkach trzymających siatkę, a jednak widzą każdego człowieka, który przechodzi. Nie szukają współczucia, którego nie ma.



Symboliczne
znaczenie
obrazu „Rybak”
– wrażliwość
na nędzę ludzi,
współczucie dla
nieodolnych bliźnich.

³¹ antropoid – małpa z rodziny człekokształtnych

Ani się żałą, ani płaczą. „Oto jest pożytek wasz ze wszystkich sił moich, z ducha mego...” – mówią doły jego oczu zapadłych. Stoi tam ten wyobraziciel kultury świata, przerażający produkt ludzkości. Judym przypominał sobie nawet uczucie zdumienia, jakie go zajęło, gdy słyszał i widział wrażenie innych osób przed tym obrazem. Skupiały się tam tłumy wielkich dam, strojnych i pachnących dziewczyn, mężczyzn w „miękkie szaty odzianych”. I tłum ten wzdychał. Łzy ciche płynęły z oczu tych, którzy tam przyszli obarczeni łupami. Posłuszni rozkazowi nieśmiertelnej sztuki przez chwilę czuli, jak żyją i co stwarzają na ziemi.

– Tak – rzekł Judym – prawda, widziałem ten obraz Puvis de Chavannes’a w Galerii Luksemburskiej.

Panna Joanna cofnęła się za ramię pani Niewadzkiej. Doktor ujrzał tylko jej białe czoło otoczone ciemnymi włosami.

– Jak tam panna Netka beczała... Jak beczała!... – szepnęła Judymowi panna Wanda prawie do ucha. – Zresztą my wszystkie... Mnie samej leciały z oczu łzy takie ogromne jak groch z kapustą.

– Ja nie mam zwyczaju... – uśmiechnęła się panna Natalia.

– Nie? – spytał doktor, leniwie mierząc ją wzrokiem.

– Bardzo mi żal było tego człowieka, szczególnie tych jego dzieci, żony... Wszystko to takie chude, jakby wystrugane z patyków, podobne do suchych witek chrustu na pastwisku... – mówiła, rumieniąc się, a jednocześnie z uśmiechem przymykając oczy.

– Ten „Rybak” zupełnie podobny jest do Pana Jezusa, ale to jak dwie krople wody. Niech babcia powie...

– „Rybak”? A tak, podobny, istotnie... – mówiła stara pani, zajęta rozpatrywaniem krajobrazu.

Tramwaj wjechał w ulicę miasteczka Sèvres i zatrzymał się przed piętrowym domem. Podróżni z imperialu mogli zajrzeć wprost do numerów austerii³². Nie był to widok dla panien. Pijany żołnierz, w kepi³³ na bakier, obejmował wpół wstrętą dziewczynę i para ta, wychyliwszy się, z okna robiła do jadących małpie miny. Na szczęście tramwaj puścił się w dalszą drogę. Ledwie wydostał się za ostatnie domy miasteczka, na pustą i smutną przestrzeń w szczerym polu, ściemniło się raptem. Zerwał się ostry wiatr. Las najbliższy oblókł się w jakąś szarą ciemność i wkrótce gęsty, gruby deszcz sypnął jak ziarno. W wagonach powstała panika. Smugi deszczu, wdzierały się pod daszek tnąc z boku i zalewały ławki. Wszystkie panie zbiły się w gromadkę i w miejscu najbardziej zasłoniętym otuliły się sukniemi, ile mogły. Judym po rycersku osłaniał je od deszczu swoją figurą. Gdy tak stał, plecami

³² austeria – karczma

³³ kepi – czapka wojskowa ze sztywnym daszkiem i płaskim denkiem

wsparty o poręcz, zauważył wysuniętą z głębi mnóstwa skupionych sukien czyjąś nóżkę. Stopa w płytkim lakierowanym pantofelku na wysokim obcasie wspierała się o żelazny pręt balustrady, a wysmukła noga w czarnej, jedwabnej pończosze odsłonięta była daleko. Judym przemyślał, komu należy przypisać ten uroczy widok. Poczytywał go za wynik trafu i nieuwagi, toteż lękał się wznieść oczy i tylko z cienia rzęs spełniał złodziejstwo z włamaniem się i premedytacją. Pociąg wszedł w olbrzymią aleję wersalską. Rozrosłe, odwieczne drzewa zasłoniły nieco podróźnych od deszczu. Panie starały się jako tako otrząsnąć i wygładzić swe szaty. Śliczna nóżka nie znikwała. Krople deszczu przyskały na błyszczącą skórę, strącając niby uderzeniami palców lekki pył z krótkiej przyszwycy, i ginęły w miękkim jedwabiu. Judym wiedział już teraz, czyja to własność. Podniósł oczy na twarz panny Natalii i uczył, jak zatapiają się w nim zimne kły rozkoszy. Panienka miała, jak zwykle, oczy spuszczone. Czasami tylko jej brwi, dwie linijki nieznacznie zgięte, unosiły się nieco wyżej, niby dwie dźwignie ciągnące do góry uparte powieki. Na wargach, z których dolna była leciutko odchylona, stał uśmiech nieopisany, uśmiech pełen jadu i swawoli.

– „Ach, tak...” – myślał Judym, przypatrując się tej twarzy szczególnej.

Panna Natalia wyczuła wzrok jego. Barwa jej policzków przesła w błądź, która, zdawało się, roztopiła w sobie uśmiech otaczający usta. Wówczas jeszcze bardziej modrymi stały się cienie dokoła zamkniętych oczu i ostrzejszą linią chrząstkowatego nosa.

Tramwaj zajeżdżał dość szybko na plac przed pałacem wersalskim i podróźni spieszenie opuścili jego obmokłą górną platformę. Doktor zdobył i utorował dla swych towarzyszek miejsce w małej budce stacyjnej, gdzie wbiło się tyle osób, że literalnie trudno było poruszyć ręką. Zdarzyło się, że doktor Tomasz stał za plecami panien Joanny i Natalii. Reszta pasażerów tramwaju, tłocząc się do budynku w rejteradzie przed deszczem, wprost złożyła ciało ostatniej z tych panien na piersiach Judyma. Twarz jej znajdowała się tuż obok jego wąsów. Rozstrzępione przez modę i deszcz płowe włosy panny Natalii snuły się po jego twarzy, ustach, oczach, wywołując wstrząsające dreszcze. W całym zgromadzeniu panowało milczenie. Przerywał je tylko ciężki oddech jakiegoś astmatycznego grubasa. Deszcz nieprzerwanymi strugami, z chlupaniem ściekał z daszka i zasłaniał otwarte drzwi jakby ciemną kotarą.

W pewnej chwili panna Natalia usiłowała poruszyć się, ale tylko lewym ramieniem oparła się na barku Judyma. Wówczas jeszcze wyraźniej zarysował się przed jego rozmarzonymi oczyma profil jej twarzy. Chciała o czymś mówić, ale tylko uśmiechnęła się prędko... W pewnej chwili uniosła wiecznie spuszczone powieki i przez moment czasu śmiało, badawczo, upajająco patrzyła mu w oczy.

Tuż obok drzwi stała pani Niewadzka. Miała najwięcej ze wszystkich powietrza, a mimo to dech jej był ciężki, a twarz mocno czerwona.

– Wiecie wy, moje pannice – rzekła swym szeptem donośnym – że wołałabym moknąć na deszczu, niż łykać oddechy tych marszandewenów³⁴.

– Skądże babcia wie, że to są *marchands de vin*?

– Bagatela! – rzekła staruszka, błyskając wypukłymi oczyma. – Dmą mi wprost na twarz dwie skwaśniałe piwnice i jeszcze się będzie pytała, skąd wiem...

Mówiła to do panny Wandy, ale Judym słyszał ich rozmowę. Co do niego, to nie miał wcale zamiaru przekładać deszczu nad ścisk w lokalu tramwajowym. Rzekł jednak do pani Niewadzkiej po polsku:

– Moglibyśmy rzeczywiście prędko przebyć plac. To blisko... Ale panie zmokną... Nie mamy nawet parasola...

Mówiąc te słowa, podał się nieco naprzód, jak gdyby miał zamiar wyprowadzić starszą panią z tłumu. Wtedy całe jego ciało zetknęło się z ciałem panny Natalii, odzianym w delikatne, wiotkie suknie. Rozpłomienionymi oczyma wpatrywał się w blade, zimne, kamienne rysy twarzy o spuszczonej powiekach.

Deszcz z wolna ustawał i tylko z rynny sąsiedniego domu zlewała się z nieustającym głośnym szelestem struga wody. Kilku mężczyzn uzbrojonych w parasole wysunęło się z domku. Wolnego miejsca przybyło, a mimo to panna Natalia przez zachwycającą chwilę nie zmieniała swej sytuacji. Wreszcie i ona posunęła się ku drzwiom w ślad za młodszą siostrą, która już przez wyciąganie rąk na zewnątrz drzwi badała, czy deszcz jeszcze pada. Nim ustał zupełnie, zaświecił na chwilę wesoły blask słońca. Kamienie pochyłego placu migotały jakby obsypane szkłem tłuczonym, a widok ten wywabiał wszystkich z ciasnej nory. Judym podał ramię babci i całe towarzystwo szybko podążyło ku pałacowi. W długich i wielkich salach, wobec ścian zawieszonych historycznymi malowidłami, jednolita gromadka jak gdyby się rozdzieliła. Każda z osób przypatrywała się na swoją modłę lichym płótnom niższego piętra. Wkrótce te malunki poczęły nużyć. Judym szedł jak gdyby przez długie, długie strzyżone aleje i martwił się bezwiednie, że końca ich ani śladu. Był już zresztą w Wersalu, więc ani komnaty królewskie, ani sala lustrzana nie zaciekawiały go bardzo. Stąpał wolno po prawicy starej damy, która stawiała co kilka kroków i przykładając do oczu lornetkę na długiej rączce szylkretowej, niby to obserwowała malowidła. Szereg bitw Napoleońskich, tłumy wojska, teatralne twarze i gesty wodzów, dzikie spienione rumaki – przesunęły się w oczach doktora jakby szeregi odległych, młodzieńczych rojeń. Gdzieś daleko zatrzymano się przed białym, marmurowym posągami umierającego Korsykanina.

³⁴ marszandewenów (z fr. *marchands de vin*) – handlarzy wina

Kiedy całe towarzystwo wracało z tamtej okolicy pałacu i kiedy znowu mijano sale pełne batalii, stara pani ujęła wpół pannę Joannę i rzekła:

– Jesteśmy daleko stąd, w świecie bohaterów... Marzymy, marzymy...

Panna Joanna zarumieniała się, a raczej szczerwieniała się, i zmieszana bąkała:

– Nie... ale gdzież tam!... co znowu!... Ja tylko tak sobie...

Od tej chwili, pomimo że Judym bardzo niewidocznie ją śledził, trzymała się na wodzy i usiłowała spędzić z twarzy historię doznanych wrażeń. Szczegółowo zwiedzono apartamenty królewskie. Gdy już pani Niewadzka z miną bardzo uroczystą wysłuchiwała wszystkiego, co jej rozповідаł z nadzwyczaj plastycznymi ruchami oprowadzający szwajcar, i gdy obszedłszy małe saloniki, skierowała swe towarzystwo ku wyjściu, panna Wanda obejrzała się poza siebie i syknęła:

– Panno Netko, idziemy!

Judym poszedł za wzrokiem najmłodszej z dziewcz i przypatrzył się pannie Joannie. Stała oparta o jedno z niewielkich krzeseł, kryte nikielny błękitnawym adamaszkiem, i patrzyła w okno. Wyraz twarzy jej był tak dziwny, że Judym wstrzymał się mimo woli. Później zbliżył się do niej i rzekł, nawiązując myśl do tego, co portier mówił przed chwilą:

– Myśli pani o Marii Antoninie³⁵?

Spojrzała na niego z zakłopotaniem, jak osoba ujęta na gorącym uczynku, i wahającym się głosem mówiła:

– Widać stąd, przez to okno, wielki dziedziniec i bramę. Tamtędy... Tamtędy wdarł się motłoch. Pijane kobiety, mężczyźni uzbrojeni w noże. Maria Antonina widziała z tego okna! Doznałam tak dziwnego wrażenia... Cały ten straszny tłum krzyczał: „Śmierć Austriaczce!” I tędy, tymi drzwiami uciekła tędy, uciekła...

– Panno Joasiu... – nawoływano.

– Ale wspomniała pani o wrażeniu.

– Wspomniałam o wrażeniu... – mówiła, spuszczać oczy i blednąć jeszcze bardziej. – My, proszę pana, jesteśmy bardzo tchórzliwe. Boimy się nie tylko na jawie, ale i w tak zwanych marzeniach. Ja złąkłam się bardzo tego motłochu, o którym właśnie myślałam.

– Motłochu? – mówił Judym.

– Tak... To jest krzyku ich. Złąkłam się, sama nie wiem, czegoś takiego... Podniosła oczy niewinne, o przedziwnym jakimś wyrazie strachu czy bóleści.

³⁵ Maria Antonina (1755-1793) – królowa Francji, żona Ludwika XVI; znienawidzona przez lud ze względu na jej rozrzutność, w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej skazana na śmierć przez powieszenie; królowa z okien swojej sypialni obserwowała lud, który przybył po nią, aby zaprowadzić ją na szafot

Jeszcze raz rzuciła na małe izdebki wejrzenie pełne serdecznego żalu i poszła prędko za towarzyszami.

W powrocie z Wersalu do Paryża koleją zatrzymano się w Saint-Cloud. Stawawszy na wzgórzu, tuż za dworcem kolejowym, panny wydały okrzyk. U nóg ich leżała, ciągnąc się w głąb kraju i gubiąc w rudych mgłach, pustynia kamienna: Paryż. Barwa jej była czerwonawa, ryż, tu i ówdzie rozdarta przez dziwaczny znak ciemny, przez Łuk Tryumfalny, wieże kościoła Notre-Dame albo wieżę Eiffla. Z krańców niedościgłych dla oka mgły zabarwiały się błękitnawymi smugami. Stamtąd płynęły dymy fabryczne, snując się z kominów podobnych w dali do grubych biczysk. Te baty pędzą rozrost pustyni. Odgłos jej życia tam nie dochodził. Wydawało się, że skończyła i zastygła w swej kamiennej, chropawej formie. Jakies dziwne wzruszenie ogarnęło przybyłych, wzruszenie takie, jakiego doświadcza się tylko na widok wielkich zjawisk przyrody: w górach, pośród lodowców albo nad morzem.

Judym siedział obok panny Tali, ale nawet o tym sąsiedztwie zapomniał. Tonął oczyma w Paryżu. W głowie jego przegryzały się myśli bez związku, własne, niepodzielne, niżej świadomości stojące postrzeżenia, z których się zwierzyć człowiek nie jest w możności. Wtem zadał sobie wyraźne pytanie:

„Dlaczegoż tamta powiedziała, że się złąkla, wyjrzawszy oknem z sypialni Marii Antoniny?”

Oderwał oczy od widoku miasta i chciał znowu przypatrzeć się pannie Joasi. Teraz dopiero lepiej zauważył, jaki jest jej profil. Broda miała kształt czysto sarmacki czy kaukaski³⁶. Wysuwała się nieco, a w taki sposób, że między nią i dolną linią nosa tworzyła się jakby prześliczna parabola, w głębi której kwitły różowe usta. Gdy tylko rysy twarzy rozwidniał blask wrażenia, w mgnieniu oka wargi stawały się żywym ogniskiem. Wyraz ich zmieniał się, potężniał albo przygasał, ale zawsze miał w sobie jakąś szczególną siłę prawdziwej ekspresji. Patrzącemu przychodziła do głowy myśl uparta, że nawet impuls zbrodniczy odzwierciedliłby się w tej twarzy z taką samą szczerością jak radość na widok rozkwitłych irysów, wesołych barw krajobrazu, dziwnych fantazji malarskich, a również na widok pospolitych przedmiotów. Widać było, że każda rzecz staje wobec tych oczu jako zjawisko naturalne i dobre. Czasami jednak przebijiała się w nich zmęczona niechęć i uśmiech zabity. Ale i w tym było coś dziecięcego: szczerość, szybkość i potęgą.

Jak wyraz twarzy, tak samo ruchy panny Joanny miały w sobie coś... niepodobnego... Jeżeli chciała oddać słowami to, co czuła, bardzo żywo, prędko, na mgnienie oka wznosiła ręce, a przynajmniej brwi, jakby uciszała wszystko zdolne zagłuszyć ową melodię jej myśli, wyrazów, uśmiechów i poruszeń ciała.

³⁶ kształt kaukaski – białą rasę nazywano niegdyś kaukaską

„Kogo ona przypomina? – myślał doktor, od niechcienia patrząc na jej czoło i oczy. – Czym jej nie widział gdzie w Warszawie?”

I oto przyszło mu do głowy miłe a nielogiczne *notabene*³⁷, że ją przecie widział wczorajszego dnia przed tym białym uśmiechniętym posągiem...

Na dworcu Saint-Lazare rozstał się z turystkami.

Stara pani zawiadomiła go, że nazajutrz wyjeżdża ze swą „bandą” do Trouville³⁸, a stamtąd do Anglii.

Judym pożegnał je ostentacyjnie i wrócił trochę znużony do swojej klety.

³⁷ *notabene* (łac.) – w dodatku, nawiasem mówiąc

³⁸ Trouville – port nad kanałem La Manche

W POCIE CZOŁA



Czas akcji.

Po upływie roku, jednego z ostatnich dni czerwca Judym zbudził się w Warszawie. Była godzina dziesiąta rano. Przez uchylone okna włamywał się do pokoju łoskot ulicy Widok, starodawny, znajomy łoskot drynd tłukących się o kamienie wielkości bułki chleba. Z dołu, z wąskiego dziedzińca, na który wychodziła większość okien *chambres garnies*¹ gdzie się w przeddzień zatrzymał, wlokły się już w górę na skrzydłach ciepła rozprażone wapory². Judym zerwał się, zbliżył do okna i przez szpary między jego połowami oglądał figurę stróża z mosiężną blachą na czapie, który z rodzimym grubiaństwem tłumaczył coś starej damie w czarnej mantylce. Młodość kipiała w żyłach doktora. Czuł w sobie uśpioną siłę jak człowiek, który jest u podnóża wielkiej góry, stawia krok pierwszy, żeby wstąpić na jej szczyt daleki – i wie, że wejdzie. Nie strząsnął ze siebie dotąd znużenia po drodze „Paryż-Warszawa”, jednym tchem odbytej, ale w przeddzień doznał tylu miłych uczuć, że kazały mu w zupełności zapomnieć o sadzy węgla, którą był przesiąkł. Gdy z okien wagonu widział krajobraz, wioski z ich białymi chatami, bezbrzeżne pola, zboża dojrzałe – nie wyczuwał wielkiej różnicy między tym krajem a ziemią francuską. Tu i ówdzie sterczały dziwne kształty fabryk i wskroś jasnego nieba szły dymy. Do wagonu wsiadali wieśniacy bynajmniej nie głupszy od francuskich,



Zapał Judyma do pracy po powrocie z Paryża do Warszawy.

czasami tak mądrzy, że aż miło, rzemieślnicy i robotnicy – tacy sami jak francuscy. Słuchając ich rozmów, mówił do siebie co chwila: „A bo to prawda, że jesteśmy barbarzyńcami, półlazjatami? – Nieprawda! – Tacyśmy sami jak każdy inny... Walimy naprzód i kwita! Żeby tu wsadzić jednego z drugim, to widziałoby się, czyby i tak potrafili, wycackani przez ich parszywe konstytucje...”

To miłe, optymistyczne wrażenie Judym przywiózł w sobie do miasta jakby żywy i słodki zapach pól rodzinnych. Wyspał się setnie, a teraz pierwszym rzutem oka witał „starą budę”, Warszawę.

Wraz z tym spojrzeniem – przyszli mu na myśl krewni. Czuł konieczność odwiedzenia ich nie tylko z obowiązku, ale także dla samego widoku swoich twarzy. Wyszedł z hotelu i posuwając się noga za nogą, zginął w tłumie, który przepływał chodnikiem ulicy Marszałkowskiej. Cieszyły go bruki drewniane,

¹ *chambres garnies* (fr.) – pokoje do wynajęcia

² wapory – wyziewy

rozrost drzewek, które już pewien cień rzucały, nowe domy powstałe na miejscu dawnych ruder.

Minąwszy ogród i plac za Żelazną Bramą, był u siebie i przywitał najcisłejszą ojczyznę swoją. Wąskimi przejściami, pośród kramów, straganów i sklepików wszedł na Krochmalną. Żar słoneczny zalewał ten rynsztok w kształcie ulicy. Z wąskiej szyi między Ciepłą i placem wydzielał się fetor jak z cmentarza. Po dawnemu roilo się tam mrowisko żydowskie. Jak dawniej siedziała na trotuarze stara, schorzała Żydówka sprzedająca gotowany bób, fasolę, groch i ziarna dyni. Tu i ówdzie włączyli się roznosiciele wody sodowej z naczyniami u boku i szklankami w rękach. Sam widok takiej szklanki oblepionej zaschłym syropem, którą brudny nędzarz trzyma w ręce, mógł wywołać torsje. Jedna z roznosicieli wody stała pod murem. Była prawie do naga obdarta. Twarz miała żółtą i martwą. Czekwała w słońcu, bo ludzie tamtędy idący najbardziej mogli być spragnieni. W ręce trzymała dwie butelki z czerwoną cieczą, prawdopodobnie z jakimś sokiem. Siwe jej wargi coś szeptały. Może słowa zachęty do picia, może imię Jego, Adonai³, który nie może być przez śmiertelnych nazywany, może w nędzy i brudzie jak robak wylęgle – przekleństwo na słońce i na życie...



Miejsce akcji
– Judym wraca do swoich korzeni, do miejsc, w których wzrastał i wychowywał się, wędruje po warszawskich dzielnicach zamieszkiwanych przez biedotę i nędzarzy.

Z prawej i lewej strony stały otworem sklepiki, instytucje kończące się niedaleko od proga – jak szuflady wyklejone papierem. Na drewnianych półkach leżało w takim magazynie za jakie trzy ruble papierosów, a bliżej drzwi nęciły przechodnia gotowane jaja, wędzone śledzie, czekolada w tabliczkach i w pojętnej formie cukierków, krajanki sera, biała marchew, czosnek, cebula, ciastka, rzodkiew, groch w strączkach, kubły z koszerowymi serdelkami i słoje z sokiem malinowym do wody.

W każdym z takich sklepów czerniała na podłodze kupa błota, która nawet w upale zachowuje właściwą jej przyjemną wilgotność. Po tym gnoju pełzały dzieci okryte brudnymi łachmany i same brudne nad wyraz. Każda taka jama była siedliskiem kilku osób, które pędziły tam żywot na szwargotaniu i próżniactwie. W głębi siedział zazwyczaj jakiś ojciec rodziny; zielonkowaty melancholik, który od świtu do nocy nie rusza się z miejsca i patrzac w ulicę, trawi czas na marzeniu o szwindlach.

O krok dalej rozwarłe okna dawały widzieć wnętrza pracowni, gdzie pod niskimi sufitami skracają swój żywot schyleni mężczyźni albo zgięte kobiety. Tu widać było warsztat szewski, ciemną pieczarę, z której wywalał się smród namacalny, a zaraz obok fabrykę peruk, jakich używają pobożne Żydówki. Było takich

³ Adonai (hebr.) – Wszechmocny

zakładów fryzjerskich kilkanaście z rzędu. Blade, żółte, obumarłe dziewczyny, same nie czesane ani myte, pracowicie rozdzielały kłaki... Z dziedzińców, drzwi, nawet ze starych dachów krytych blachą lub cegłą, gdzie szeregiem tkwiły okna facjatek, wychylały się twarze chore, chude, długonose, zielone, moręgowate i patrzyły oczy krwawe, ciekące albo zubożnięte na wszystko w niedoli, oczy, które w smutku wiecznym śnią o śmierci. Przy pewnej bramie Judym zetknął się z kupcową dźwigającą na obu rękach ciężkie kosze z jarzyną. Była całkiem rozmamłana. Perukę zsunęła w tył niby kaszkiet i ogolone jej ciemię bielilo się jak łysina starca. Wypukłe oczy patrzyły przed siebie z wyrazem męczarni, która przeistoczyła się w spokój – bez żadnego życia, jakby były skorupami jaj, w nabrzmiałych wenach⁴ czoła i szyi krew zdawała się głośno stukać. Na progu jednego ze sklepów siedział stary, zgarbiony Żyd-tragarz. Zostawił wśród ulicy dwie szafy związane sznurem, które aż do tego miejsca przydźwigał na plecach, i jadł surowy ogórek, zagryzając ten obiad kawałkiem chleba.

Judym szedł prędko, mrucząc coś do siebie. Mury o kolorze zakurzonego grynszpanu albo jakiejś zrudziałej czerwoności, niby pstre, ubłocone gałgany, nasunęły mu się przed oczy. Ciepła... Chodniki były jak niegdyś zdruzgotane, bruk pełen wadołów. Nie było tu już ani jednego przechodnia w cylindrze, rzadko trafiała się dama w kapeluszu. Ogół idących podobny był do murów tej ulicy. Szli ludzie w ubraniach do pracy fizycznej, najczęściej bez kołnierzyków: Przejeżdżająca dorożka zwracała uwagę wszystkich. Z dala już dostrzegł Judym bramę rodzinnej kamienicy i zbliżył się do niej z niemiłym uczuciem tak zwanego „fałszywego wstydu”. Trza było witać osoby niskiej kondycji. Teraz, gdy wrócił z zagranicy, było mu to przykro, bardziej niż kiedykolwiek. Wszedł co tchu w bramę z nieuświadomionym planem: unikać obcych...

Dziedziniec rozchodził się w trzy strony świata. Nad jedną jego szczyt wznosiła się jakaś hałaśliwa fabryczka, która była dla Judyma nowością, drugą po dawnemu zajmował skład węgla, a trzecia prowadziła do kilkopiętrowej oficyny. Tam właśnie Judym skierował swe kroki. Gdy stanął w sieni brudnej jak apartament Lucypere, usłyszał w suterenie szcęk znajomy: to „sąsiad” Dąbrowski, ślusarz, ciął swoją sztukę. Judym zeszedł po schodach i zajrzał w sionkę, która prowadziła na lewo od drzwi ślusarza. Widać tam było czeluść otwartą, prowadzącą do rodzinnej sutereny. Kwaśny chłód przystąpił do Judyma i odepchnął go stamtąd. Z warsztatu ślusarza wyszedł mały umorusany chłopak i zaczął się przyglądać gościowi. Judym szybko pobiegł na górę. Minął pierwsze piętro, drugie i dopiero na wysokości strychu zwolnił kroku. Miał przed sobą okienko bez szyb, pewien rodzaj strzelnicy w murze. Cegła, zamykająca ten otwór z dołu, była tak wyszlizgana przez dzieci,

⁴ wena (łac. *vena*) – żyła

które się tam bawiły, że przybrała kształt owalny. Ileż to razy on sam, Judym, wyłaził przez ten otwór na zewnątrz muru i wisiał w powietrzu! W kącie czerniał wodociąg ogólny, rozprowadzający wilgoć na całą ścianę. Nad nim aż do sufitu sięgała plama kopciu z lampy naftowej. Ściany były pełne cienia i smutku, jak deski składające trumnę.

Ostatnia kondygnacja schodków prowadziła do mrocznej sieni, która przecinała wzdłuż poddasze. Judym stanął przede drzwiami w głębi i zastukał raz, drugi, trzeci. Nikt mu nie odpowiedział. Gdy jeszcze raz kołatał klamkę, z drzwi sąsiednich wysunęła się dziewczyna lat trzynastu i zmierzyła go wzrokiem dojrzałej kokietki. Nie pytana rzekła:

- A kogo to pan szuka?
- Tu jest mieszkanie Wiktora Judyma?
- Tutaj.
- Nie wie panienka, czy jest kto w domu?
- Dopiero była ciotka, musi być... A może i zeszła na podwórze z dziećmi.

Mówiąc to, wychyliła się jeszcze bardziej i zaglądała Judymowi w oczy ze śmiałością wielkomiejską. W tej chwili w głębi mieszkania rozległ się straszny wrzask, jakiś potok wyrazów złorzeczających, klątw ordynarnych bez związku, zlewających się jakby w ryk bydlęcia. Judym zdziwiony nastawił ucha, a potem cicho spytał się dziewczyny, co to znaczy. Uśmiechnęła się filuternie i rzekła:

- To tam moja babka, wariatka.
- Wariatka? Trzymacie ją w domu?
- A w domu. Gdzież mamy trzymać?

Odsunął dziewczynę na bok i zajrzał do wnętrza. W kącie, pod piecem, siedziało widmo człowieka, za ręce i nogi przywiązane do haka wystającego z ziemi. Siwe kudły nakrywały głowę i ramiona tej istoty, a jakieś stargane łachmany resztę ciała. Czasem spod włosów ukazywały się straszliwe oczy jak dwa błyskające płomienne miecze, kiedy niekiedy usta ciskały ładunek okropnych wyrazów. Judym instynktownym ruchem cofnął się do sionki i zaczął wypyttywać dziewczynę:

- Czemuż jej nie oddacie do szpitala?
- A ja wiem czemu! To dobre! Nie można oddać.
- Dlaczego nie można?
- Bo nie ma miejsca. A po drugie, skądże my weźmiemy pieniędzy na to, żeby za nią płacić.
- Czemuż ją tak przykuwacie?



Naturalistyczny opis chorej psychicznie kobiety, którą rodzina więzi w domu i nie-ludzko traktuje. Brak pomocy ze strony społeczeństwa, należytej opieki medycznej.

– A ba! Czemu? Bo złapie siekiere, nóż, tasak i pozabija dzieci, ojca, mamunię. To taka szelma zła, że proszę siadać!

– Dawno już chora?

– Albo ona chora? Wariatka, nie chora. Żebym ja takie zdrowie miała jak ta. Przyjdzie ją ojcu wiązać, to się tak utargają oboje, że no! Ojciec to samo nie ułomek, a ledwo tę psiakrew ujeździ...

Judym machnął ręką i uciekł po schodach. Gdy stanął na dziedzińcu, dostrzegł w jego szyi pod murem fabryki mnóstwo dzieci skaczących, biegających, rozbawionych. Na kupie opalonych belek siedziała ciotka Pelagia, kobieta stara, łaskawy chleb od lat wielu jedząca u siostrzeńca, a brata Judymowego, Wiktora. Była to jejmość chuda, chorowita i zrzędna. Rzadko kto słyszał od niej dobre słowo, a dzieci nabrały się tyle szturchańców ile wlezie. Judym szedł ku niej wolno,



Judym wstydzi się przywitać z ciotką Pelagią na placu, przy gapiach i lokatorach.

krzywiąc się pod wąsem i mocując ze sobą. Przykro mu było witać się na placu, wobec lokatorów i gapiów. Doświadczał nieprzyjemnego uczucia półodrazy, zbudzonej i wydobytej na jaw przez szczególnie politowanie, stanowiące rdzeń uczuć rodzinnych. Ciotka Pelagia odwróciła głowę i spostrzegła go, ale nie ruszała się z miejsca.

Gdy przyszedł i dotknął nosem jej zabrudzonego rękawa w okolicach dłoni, schyliła się prędko i cmoknęła go z dala we włosy.

– Kiedyż Tomciu przyjechał? Nic my nie wiedzieli... – rzekła z właściwą jej oschłością.

– Wczoraj wieczorem dopiero. Jakże zdrowie ciotki?

– Ej... jakież to moje zdrowie... Tak kipię. Teraz ciepło, to siedzę tutaj we dnie, a przyńdzie zima, to się może nareszcie skończy.

– Ech, nie lubię też tych wszelkich...

– A wiem...

– Ciotka nieźle wygląda. Cóż słyszać u Wiktorów? Jakże on?

– A cóż... Jak to Wiktor.

– No?

– Jest ta w tej fabryce.

– U Milera?

– Gdzie zaś! W żelaznej, ale przy stalowni.

– Przy stalowni! – zdziwił się Judym.

– A w stalowni.

– Dlaczegoż to?

– Przerzucił się. Mówi, że woli. No i łatwiej mu będzie... te... Ale to Tomciu winien, nie kto inny... – rzekła obojętnie, prostując fałdy spódnicy.

– Ja winien jestem, że się Wiktor przerzucił?

– Że się przerzuca, to temu Tomciu winien. Jak był głupim dragalem, to robił, co wlażło. Wziąłże Tomciu kłaść mu w głowę mądrości i teraz mu się odechciało roboty. Zabrał się do nie swoich rzeczy. Książki czyta. A jakże... To uczony człowiek! – uśmiechnęła się szyderczo, pokazując białe zęby.

Judym słuchał obojętnie. Później zapytał:

– Dużo zarabia?

– Nie, niedużo. Ona musiała stanąć do roboty, bo przyszła bieda.

– Gdzież ona?

– W fabryce cygar. Rozchodzą się rano, a ja muszę dzieci pilnować, strawę gotować, dom cały obrządzić. Gdzież Tomciu będzie mieszkał, niby na stałe? Tutaj czy gdzie we świecie? – zapytała z udaną obojętnością.

– Jeszcze nie wiem, dopiero wrócił.

Rozmowa się urwała. Judym patrzył spod oka na skrawek asfaltu zabłąkany w tym miejscu i leżący tam wśród brył kamiennych jak gdyby wskutek czyjegóż roztargnienia, na drzewko wyrastające wprost z asfaltowej skorupy. W sąsiedztwie pniaka leżała krata ścieku podtrzymująca przeróżne odpadki. Słońce dogrzewało. W cieniu wysokiego muru fabryki bawiło się stado dzieci. Jedne z nich były mizerne tak bardzo, że dawała się widzieć w tych przeźroczystych twarzach sieć żył błękitnych; inne opaliły na słońcu nie tylko swe buziaki, ręce i szyje, ale także skórę kolan wyłazających obszernymi dziurami. Pośród wierzgającej gromady pełzało jakieś małe, rachityczne⁵, ze sromotnie krzywymi nogami i ze śladami ospy na gołych, mizernych gnatach. Cała ta banda sprawiała wrażenie śmieci z podwórza czy zeschłych liści, które wiatr miota z miejsca na miejsce. Rej wodził między całą hałasującą czeredą chłopak ośmioletni, wysmukły, bez czapki, ubrany w ojcowskie ineksprymable⁶ i matczyne trzewiki. Kawaler ten dał się wniebogłosy, do czego uprawomocniała go komenda nad resztą w prowadzeniu jakiejś batalii. Kiedy przebiegał jak jeleń, dążąc ku środkowi dziedzińca, Judym go poznał:

– Przecie to Franek!

– A Franek... – rzekła ciotka.

Dr Tomasz zatrzymał siostrzeńca i wywołał tym na jego fizys⁷ oznakę szczerzego niezadowolenia. Z tłumu posunęła się naprzód dziewczyna młodsza od Franka i zbliżyła się do ciotki. Była to Karolina, siostrzenica Judymowa. Oczy miała duże, w szarej, znędniałej twarzy palące się jak węgle spod grzywy, która zakrywała jej brwi i kończyła się na nosie. To dziecko miało fizjonomię starą i chytrą, spojrzenie uparte i badawcze, jak człowiek, który już przeżył gorycz setki zawodów i którego

⁵ rachityczny (gr. *rhachitis*) – słabo rozwinięty, wątły, lichy

⁶ ineksprymable (z fr.: *inexprimable*) – spodnie

⁷ fizys – twarz, oblicze

już nie okłamują złudzenia. Judym przyciągnął Karolę do siebie i ucałował. Nie broniła mu tego. Wpatrywała się tylko w jego oczy swym ciężkim wzrokiem, jakby z zapytaniem, co jej z tego przyjsć może. Franek palnął „wujka” w mankiet i bąknąwszy coś mdłego na kilka pytań, wydalili się w kierunku kupy kolegów. Dyskurs z ciotką nie kleił się, a natomiast, jak to często w takich razach bywa, przychodziły Judymowi do głowy myśli własne, nowe, nie nadające się wcale do zużytkowania ich w tej rozmowie. Te dzieci biegające w ciasnym zaułku, ogrodzonym przez nagie i niezmierne mury, przypominały, nie wiadomo czemu, stado wiewiórek zamkniętych w klatce. Gwałtowne ich ruchy, nieustanne skoki domagały się szerokiego placu, drzew, trawy, wody...

– Tomciu by się chciał pewnie zobaczyć jak najprędzej z Wiktorem? – rzekła ciotka nie lubiąca nigdy udawać szczerości uczuć, których nie żywiła.

– Ano, rozumie się.

– Z nim trudno się tera zetknąć. Czasem to i trzy dni, trzy noce w domu go nie ma.

– A gdzież on bywa?

– Ba, wie to kto? Może zresztą dziś akurat przyjdzie...

– To ja tu wpadnę wieczorkiem, a teraz chciałbym się z bratową przywitać. Można do niej zejść do fabryki, wpuszczą mnie tam?

– Czasem to i wpuszczą. Niech Tomciu spróbuje. Przecie wam, panom doktorom, łatwiej niż nam, hołocie...

– Gdzież się ta fabryka znajduje? – zapytał Judym, któremu ta rozmowa zaczęła już ciążyć.

Ciotka wskazała mu kierunek drogi i adres.

Wysunąwszy się z tego domu, doktor szedł ulicami w stronę przedmieścia ze zwieszoną głową, machinalnie szukając oczyma fabryki cygar. Nie było tam już jednolitego szeregu kamienic i rzadziej trafiały się domy piętrowe. Natomiast szły w dal drewniane, niskie, odrapane budynki, niepodobne ani do dworów, ani do chałup wiejskich, a przypominające jedne i drugie.

Domostwa te były obwieszane jaskrawymi szyldami i zbryzgane błotem. Brud nie puszczał wzroku przechodnia do wnętrza mieszkań i mógł wcale skutecznie zastępować żaluzje. Od frontu mieściły się tam zresztą głównie sklepiki. W jednym sprzedawano nędzne kielbasy, w drugim, bardziej może mizerniejszym, liche trumny.

Gdzieniedzie ze środka tych zagród miejskich, okrytych starą ceglana dachówką albo papą, na której rozkłada się już tu i ówdzie pleśń zielona, strzelała w górę nowa kamieniczka, szybko postawiona, jakby wydmuchnięta z piasku. Taka figura, z niewidocznym dachem, z trzema ślepyimi ścianami i jedną uzbrojoną

w szereg okien, sterczała wśród siedzib starego, niemal średniowiecznego kształtu, jak drogowskaz nowego porządku rzeczy, zwiastujący aneksję tych okolic na rzecz rozwoju wielkiego miasta z jego bezlitosną, surową linią, z jego brukiem i więziennym, nagim, chropawym murem. Jeszcze częściej połąć domów niskich przerywał ogromny tors fabryki z tęgimi murami, szeroką bramą i baterią kominiów. W dali na horyzoncie dachów ukazywały się wszędzie te kominy i kominy.

Środkiem ulicy, po zrujnowanym bruku, wlokły się noga za nogą wozy z cegłą, wytrząsające na wsze strony pył różowy. Odstawiali ją woźnice przysypani tym kurzem od czubka głowy do obcasa, z twarzami bezmyślnymi jak cegły. Kiedy indziej dudnił wielki wóz frachtowy z pakami poobwijanymi w rogoże. Na szczycie takiego statku siedział zazwyczaj monstrualny Żyd w czerwonym barchanowym kaftanie, wywijając batem i wrzeszczał na parę koni, stawiających każdy krok nowy z niezmiernym wysiłkiem. Jeden z wozów zagrodził Judymowi drogę, wjeżdżając w bramę dużego budynku. Numer domu wskazywał właśnie instytucję, której doktor Tomasz poszukiwał. Stwierdzał to również cikliwy i niemiły zapach tytoniu, który otaczał zabudowania i panował na znacznej przestrzeni ulicy. Judym wszedł

w bramę i zwrócił się do szwajcara z zapytaniem, czyby nie można zobaczyć się z robotnicą nazwiskiem Judymowa. Stróż nie chciał słuchać o niczym, dopóki nie uczył w garści czterdziestówki. Pod wpływem tego wrażenia zaczął forsownie myśleć, a wreszcie znikł na chwilę i przyprowadził jakiegoś kapcana okrytego pyłem. Ten po długich debatach kiwnął na Judyma palcem i wprowadził go do wnętrza bocznej oficyny. Proszek tabaki wdzierał się tam do nosa, gardła, płuc przychodnia i podwajał szybkość oddechu. Na pierwszym piętrze ukazała się duża sala, formalnie wypełniona przez tłum kobiet złożony z jakichś stu osób, pochylonych nad długimi a wąskimi stołami. Kobiety te, rozebrane w sposób jak najbardziej niepretensjonalny, zwijały cygara prędkimi ruchami, które na pierwszy rzut oka czyniły wrażenie jakichś kurczów bolesnych. Jedne z nich schylały głowy i trzęsły ramionami jak kucharki wałkujące ciasto. Te zajęte były zwijaniem grubo siekanego tytoniu w liście, które poprzednio zostały szybko a misternie przykrojone. Inne kładły zwinięte cygara w prasy drewniane. Duszące powietrze, pełne smrodu ciał pracujących w upale, w miejscu niskim i ciasnym, przeładowane pyłem starego tytoniu, zdawało się rozdzierać tkanki, żarło gardziel i oczy. Za pierwszą salą widać było drugą, daleko obszerniejszą, gdzie w ten sam sposób pracowało co najmniej trzysta kobiet. Przewodnik nie pozwolił Judymowi zatrzymać się w tym miejscu i poprowadził go dalej przez wąskie schody i sionki, obok maszyn suszących liście, obok młyna mielącego tabakę i sieczkarni krajającej różne rodzaje tytoniu – do izb, gdzie pakowano towar gotowy. Wrzała



Miejsce akcji
– fabryka, wy-
twórnia cygar,
w której pracuje
Judymowa,
bratowa doktora
Judyma.

tam szalona praca. Przechodząc, Judym zauważył dziewczynę, która paczki cygar oklejała banderolą. Szybkość ruchów jej rąk wprawiła go w zdumienie. Zdawało mu się, że robotnica wyciąga ze stołu nieprzerwaną tasiemkę białą i motają sobie na palce. Z rąk leciały do kosza pod stołem gotowe paczki tak szybko, jakby je wyrzucała maszyna. Ażeby zrozumieć sens jej czynności, trzeba było wpatrywać się usilnie i badać, gdzie jest początek oklejenia każdej torebki.

Za tą salą otwierała się izba przyćmiona, gdzie, według słów przewodnika, pracowała bratowa Judyma. Okna tej izby zastawione były siatkami z drutu, których gęste oka, przysypane rudym prochem miejscowym, puszczały mało światła, ale natomiast powstrzymywały od emigracji miazmaty wewnętrzne. Leżały tam w kątach siasieki grubo krajanego tytoniu. W środku sali było kilka warsztatów, na których towar pakowano. Z każdego stołu wybiegała zakrzywiona rurka, a z niej strzelał poziomo z sykiem długi język płonącego gazu. Dokoła każdego stołu zajęte były cztery osoby. Przy pierwszym Judym zobaczył swoją bratową. Miejsce jej było w rogu, tuż obok płomyka gazowego. Z drugiej strony stał, a raczej kołysał się na nogach, wysoki człowiek o twarzy i cerze trupa. Dalej, w drugim końcu, siedział stary Żyd w czapce zsuniętej na oczy tak nisko, że widać było tylko jego długą brodę i zakłęsłe usta. W sąsiedztwie Judymowej po lewej stronie stała dziewczyna, która nieustannie brała z kupy garść grubego tytoniu, rzucała ją w szalę, a odważywszy ćwierć funta, podawała człowiekowi kołyszacemu się na nogach. Doktor wstrzymał się przy drzwiach i stał tam długo, usiłując znowu zrozumieć manipulację tej czwórki. Był to widok ludzi miotających się jak gdyby w drgawkach, w konwulsyjnych rzutach, a jednak pełen nieprzerwanej symetrii, metody i rytmu. Po stolnicy, przy której te osoby były zatrudnione, między Judymową a jej sąsiadem przebiegały ciągle dwa blaszane naczynia, z jednej strony rozszerzone w kształcie czworokątnych kielichów, z drugiej równoległoscienne. Formy te były wewnątrz puste. Judymowa w każdej chwili chwyciła jedną z nich w lewą rękę, zwracała szerokim otworem ku dołowi i opierała na kolanie. Prawą ręką ujmowała ze stosu kartkę z wydrukowaną etykietą fabryki, otaczała tą ćwiartką koniec blaszanej formy, zawijała rogi papieru i kleiła je lakiem, który błyskawicznym ruchem topiła w płomyku gazowym. Ledwie zawinięty róg przytknęła palcem, całą formę brał z jej rąk sąsiad, mężczyzna, podczas gdy ona odbierała stojącą przed nim, dla wykonania tej samej pracy. Mężczyzna zwracał blachę otworem do góry. Koniec jej wyższy, oblepiony etykietą, zanurzał w stosowne wyżłobienie stolnicy. Przyjmował z rąk dziewczyny ważącą tytoń szalkę. Wsypywał ćwierć funta w otwór naczynia i tłokiem odpowiadającym kształtowi blaszanki ubijał zawartość. Dokonawszy tego przez dwa rytmiczne schylenia ciała, wyjmował formę z pełnej już tytoniu papierowej torebki i sięgał po nową, którą

w tym czasie Judymowa oblepiła. Trzeci pracownik paczkę zostawioną wydobywał z otworu i zaklejał z drugiej strony, maczając lak w ogniu, na wzór towarzyszki z przeciwnego końca warsztatu.

Pracownicy jednego stołu ładowali w ciągu doby roboczej tysiąc funtów tytoniu w ćwierćfuntowe paczki. To znaczy, że dostarczali ich cztery tysiące. Na zapakowanie jednej tracili nie więcej czasu jak dziesięć sekund. Były to zgodne ruchy, nagle a niestrudzone rzuty rąk, jak błysk światła lecące zawsze do pewnego punktu, skąd odskakiwały niby sprężyste ciała. Judym widział tam jak na dłoni to, co chłopci zowią „sposobem”: *usus*⁸, wypróbowany w krwawym trudzie szereg środków cudaczných, które stanowią najkrótszą, najłatwiejszą a niezbędną do przebycia linię między dwoma końcowymi punktami pracy. Przypomniały mu się własne „sposoby” w klinice, na sali operacyjnej, i tym głębiej zanurzyły jego uwagę w trud istot, które miał przed sobą. W głębi izby stał stół zupełnie podobny do pierwszego z brzegu, a obok płomyka, robiła kobieta w czerwonej chustce na głowie. Szmata zupełnie okrywała jej włosy. Widać było spod niej duże, wypukłe czoło. Żyłki skroni i szyi były nabrzmiałe. Zamknięte oczy po każdym małym ruchu głowy otwierały się, gdy trzeba było przylepić lakiem rożek papieru. Wtedy te oczy spoglądając na płomyk gazowy błyskały jednostajnie. Twarz kobiety była wyciągnięta i ziemista jak wszystkie w tej fabryce. Na spalonych, brzydkich, żydowskich wargach co pewien czas lśniał milczący uśmiech, w którym zapewne skupiło się i w który z musu zwyrodniało westchnienie zakłęsłej, wiecznie łaknącej powietrza, suchotniczej piersi. Błysk pracowitych oczu i ten uśmiech wraz z całą czynnością przypominały szalony ruch koła maszyny, na którego obwodzie coś w pewnym miejscu migota jak płomyczek świecący.

Gdy Judymowa ujrzała szwagra, ręce jej drgnęły i nie trafiły z lakiem do płomienia, a z oczu stoczyły się dwie łzy grube prędeż, nim z ust wybiegło słowo radosnego powitania. Stała w pracy i oczyma pełnymi łez patrzyła na gościa.

Człowiek wypychający tytoń w torebki nie widział Judyma. Nie otrzymawszy formy we właściwym momencie, spojrzał na Judymową takim wzrokiem, jakim patrzeć by mogło chyba koło trybowe na drugie koło, gdyby tamto w biegu stanęło.

Judym podszedł do bratowej, przywitał ją skinieniem głowy i rzekł, że czekać jej będzie na dziedzińcu fabrycznym o godzinie dwunastej. Do południa zostawało nie więcej nad kwadrans czasu, więc wyszedł z sal cygarowych i czekał w sieni przy wejściu. W czarnych norach na dole siedziały tam stare baby, w milczeniu segregujące liście tytoniowe. Zasypane tabaką, wychudłe, nędzne, siwe, potworne,

⁸ *usus* (łac.) – zwyczaj, coś powszechnie przyjętego

z czerwonymi oczami, były jak Parki⁹ odprawiające tajemnicze misterium¹⁰ swoje. Z głębi oczodołów tych istot spoglądały na Judyma, gdy czekając na bratową, stał we drzwiach, żrenice o wyrazie tak srogim i pełnym zemsty, że zmuszony był ich unikać i odwrócić się plecami.

Skoro tylko uderzyła godzina obiadu, Judymowa pierwsza zbiegła ze schodów. Za nią wysypał się cały tłum kobiet. Bratowej doktora sprawiało to widać niemałą przyjemność, że mogła pochwalić się przed wszystkimi swym szwagrem. Mówiła ciągle i głośno:

– Kiedyż brat przyjechał? Cóż u brata słyszać? Był brat u nas na Ciepłej?

Jej brudna, sterana twarz promieniała zadowoleniem i pychą. Wargi rozchylające się od szczerzego śmiechu ukazywały rzadkie, zielone zęby. Oczy świeciły się jak węgle. Wyszła w towarzystwie Judyma z bramy fabrycznej i dążąc na obiad, z przyzwyczajenia co tchu pędziła ulicą. Doktor jej nie wstrzymywał i sam biegł po bruku. Dopiero gdy byli przy bramie kamienicy na Ciepłej, Wiktorowa stanęła i uderzyła się ręką po fizjonomii:

– Jezus! czegoż ja lecę jak oślica? Bratam przegnała tyli kawał.

– Nic, nic, będziemy mieli więcej czasu do rozmowy. Czy Wiktor będzie?

– Twarz jej sposepniała.

– Gdzież ta! On je obiady u Wajsów, tam u jednych z fabryki. Mieszkają na Czerniakowskiej.

– No i słusznie. Trudno wymagać, żeby chodził tyli kawał drogi.

– A tak i on mówi... – rzekła prędko.

Gdy się wdrapywali na schody, doszedł Judyma zapach mięsiwa smażonego na tłuszczach, który znał dobrze z lat dziecięcych. Przez drzwi kuchenki, otwarte na korytarz, buchało gorąco i zaduch, jak się zdawało, nie do wytrzymania. Wiktora Judyma nie było w domu. Obiad gotowała ciotka. Teraz już prawie nie spostrzegła obecności doktora Tomasza. On także nie nasuwał się jej przed oczy i chętnie z pierwszej stancji, która pełniła zarazem obowiązki kuchni i mieszkania ciotki, wsunął się do drugiej, sypialni Judymów. Było to niskie poddasze. Sufitu dosięgało się głową. Stały tam dwa łóżka zawalone pościelą, a między nimi komoda okryta szydełkową serwetą. Nad łózkami wisały fotografie krewnych w tużurkach (w środku fotografia doktora w mundurze studenckim), wszystkie w ramach wyciętych laubzegą¹¹. Gdzieś w kącie szczykał zegar z długimi wagami. Doktor objął wzrokiem te sprzęty i niektóre z nich przypominał sobie: były w suterenie rodziców.

⁹ Parki (Mojry) – w mitologii greckiej uosabiające przeznaczenie córki Nocy

¹⁰ misterium – obrzędy religijne dostępne jedynie dla wtajemniczonych

¹¹ laubzega (z niem.) – piła metalowa

Brat Wiktor nie nadszedł, w mieszkaniu było piekielnie gorąco, więc Judym wyszedł, obiecując wrócić wieczorem. Z myślą ukrycia się przed skwarem, wszedł do Saskiego Ogrodu, usiadł w bocznej alei i niepostrzeżenie zapadł w marzenia. Od dawien dawna, od czasu kiedy w szkołach zaczął się uczyć dla samej nauki, snuły mu się po głowie pewne nieokreślone idee z dziedziny chemii, fizjologii... Dosięgał zawsze myślami jakiegoś potężnego światła, tysiąc razy silniejszego od elektryczności, które oczom lekarza odsłoni wnętrze płuc suchotnika. Tworzył kolosalne odkrycia w terapii gruźlicy, budował szpitale, jakich świat nie widział. Drugą chimera, która go ścigała, było zużytkowanie nieczystości wielkich miast.



Marzenia
Judyma o po-
prawie sytuacji
ubogich.

Trzecią, wynalezienie jakiegoś nowego środka lokomocji, który by zniweczył siłę wzrostu miast fabrycznych i rozproszył te zbiorowiska cegieł i ludzi po całym kraju. Rojenia uczniowskie przeistaczały się później w silne, skryte namiętności. Ileż to godzin strawił nad swoim nowym motorem! W mieszkaniu studenckim miał ką zastawiony butlami i retortami, które zdawało się, mieściły w sobie cudowne tajemnice. Z czasem owo wielkie światło, jak aureola rozwidniające młodość biednego studenta, przygasło pod tchnieniem krytycyzmu, ale mistyczna jego zorza strzelała przy każdej okoliczności. Miejscem, które te wielkie wynalazki miały uszczęśliwić, była zawsze „stara buda”. Od chwili zaprowadzenia nowych, Judymowych kolei datował się jej rozwój nieznany. Warszawa-ogrom, rozsiała na przestrzeni mil, z sosnowymi parkami, tonąca w drzewach, gdzie skasowaną została suterena i poddasze, gdzie wytępiono gruźlicę, ospę i tyfus...

Obecnie przyszły znowu dawne widziadła. Koncepte nieuchwytnych pomysłów, szlaki samej istoty wynalazku wdzierały się w mrok niby długie linie światła i ukazywały figury tajemnych rzeczy, które tam leżą.

W ogrodzie było mnóstwo ludzi. Judym ani się obejrzał, kiedy minęło popołudnie. Ku wieczorowi nadciągać zaczęły istne hordy Żydów, aleję główną, boczne i wszystkie dróżki zalała powódź ludzka. Nie było już gdzie spacerować, więc całe towarzystwa sterczały na ulicach albo poruszały się kilka kroków w prawo i w lewo. Tłum ten był jaskrawo ubrany. Kobiety miały na sobie modne barwy. Cały ich ogrom mienił się od pąsowych i jaskrawoniebieskich staników, od fioletowych i czerwonych kapeluszków z ptasimi skrzydłami albo z kwiatami, które za każdym ruchem osoby kiwały się nad jej głową. Mężczyźni fason modnych ubrań doprowadzili do stanu wulgarności, przesady i absurdu. W pięknym parku było duszno. Zdawało się, że zwieszane liście więdną, że trawy obumierają i dobrotliwy zapach lewkonii kona, nie mogąc zwyciężyć ludzkiego zaduchu.



Wrażenia
Judyma doty-
czące tłumów
poruszających
się po biednych
ulicach Warsza-
wy – w efekcie
zawraca i kieruje
się do drogiej
restauracji.

O zmierzchu Judym wyszedł z ogrodu w stronę placu Teatralnego. Gdy zapalono latarnie, był na Bankowym. Jaskrawy blask rewerberu¹² padł właśnie na chodnik prowadzący w kierunku ulicy Elektoralnej. W świetle tym widać było fale ludzi spływające bezustannie za ciemną sylwetkę banku jakby w szyję naczynia. Judym stanął. Te czarne masy głów i tułowiów, sunące prędko niby mrówki, zbudziły w nim uczucie fizycznej odrazy. Zdawało mu się, że spogląda na sunące ławy robactwa. Wmieszać się w motłoch mieszkający tam, za tym placem – przenigdy! Przenigdy!

Zawrócił na miejscu z mocnym postanowieniem zobaczenia się z bratem kiedy indziej – i wszedł do wykwintnej restauracji.

Nazajutrz wstał o godzinie piątej rano i poszedł do brata. Gdy wchodził w bramę, słońce oświeślało górne części oficyn i udzieliło nawet tym biednym, różowo-brudnym ścianom uroku swojego przyjscia. Zdawało się, że nędzne okna, za którymi kryje się ubóstwo, te jakby znużone oczy chorego domu stoczonego wewnątrz przez biedę, wieczyście pozbawione blasku wesela, teraz, w tej jedynej chwili, otwierają się, patrzą w niebiosa i modlą się do słońca. Gdy doktor Tomasz



Wiktor Judym:

Wygląd
– postawny
mężczyzna
o bladej, zniszczonej cerze.
Nosił długą
brodę.

zastukał we drzwi mieszkania, stanął w nich brat Wiktor, już ubrany. Był to słuszny mężczyzna. Nosił dużą jak łopata, zapuszczoną brodę, która otaczała jego rysy niby rama. Twarz miał bladą, nieopaloną, o skórze jak gdyby przesiąkniętej czymś czarnym. Gdy spojrzał na brata, oczy mu się zaśmiały jak u dziecka, mimo że słowa, które wymówił na przywitanie, miały prawie zimny ton urzędowy:

– Jak się masz, Tomek...

– Cóż u ciebie słysząc... – rzekł doktor, również bez czułości

witając brata.

– Ano tak... idzie...

– Wiesz, odprowadzę cię.

– Dobra... – rzekł Wiktor, biorąc blaszankę.

– Gdy się znaleźli w ulicy, szli przez czas pewien obok siebie w milczeniu, po prostu nie wiedząc od czego zacząć. Wreszcie Wiktor rzekł:

– W Paryżuś był?

– Byłem.

– Teraz tu zostaniesz?

– Pewno. Trzeba będzie tu osiąść. Zobaczę, jeszcze nic nie wiem. Chciałbym tu być, ale czy wyżyję...

¹² rewerber – uliczna latarnia

– No, i po tylu latach nauki jeszcze byś nie wyżył! – uśmiechnął się z niedowierzaniem i odrobiną ironii.

– Tak ci się to zdaje.

– Pewnie, że mi się zdaje. Co ja mogię wiedzieć?

Judym zauważył to „mogię” i wnet go poczęło drażnić. Znowu szli, milcząc. Ulice były prawie puste. Kiedy niekiedy jechał wóz z jarzynami albo pieczywem. Nadzwyczajnie hałasując, przemknęła się dorożka wioząca niewyspaną osobę z jakiegoś wczesnego pociągu. O ściany kamienic rozbijał się łoskot kroków ludzi idących do pracy z blaszankami w rękę.

W pewnej chwili wyminął braci stary Żyd dźwigający na plecach w ogromnym koszu dwa wielkie poście mięsa. Stróże na całej długości ulic rozbijali miotłami suchy kurz i brud wczorajszy.

– Mówiła mi ciotka, że przerzuciłeś się znowu... – zaczął doktor.

– A tak. Pożarłem się z Raczkim, tam z jednym majstrem. Niech go tam zresztą jasności!...

– O co?

– A o co? Scierpieć my się nie mogli i dość. Mówi, że ja nie na robociarza, że w kamaszkach, w zakiecie chodzę, w krawacie... To, mówi, nie tego... A jemu psiakrwi co do moich kamaszków! Idę do roboty jak każdy inny facet, w takiej, o, koszuli i w takich portkach...

– Pewnie, ale po co się drzeć o byle co?

– E, o byle co! My ta wiedzieli, o co się drzemmy... – rzekł Wiktor, spluwając. – On mi się tylko czepiał, drań, ja wiem. Bo co mu do mnie! Mogię na mieście w święto papierowy kołpak włożyć na łeb i chodzić w tym po alejach, to i tak mu nic do tego, chałujowi. Wzienem, zrugałem raz i drugi – no i trza się było wylać z tamtej budy.

– Jakże ci teraz?

– Z początku była bryndza, ale jak raz zaprowadzili tę gruszkę Bessemiera czy ta jakiego, i nadałem się. Robota jest ciężka, oczy żre, ale tu wolę.

– Widzisz, to ci chcę powiedzieć, że ty może wolisz, ale Teosia musiała stanąć do roboty. Ja wczoraj byłem w tej jamie, gdzie ona chodzi.

– Ja jej nie zmuszał.

– Tyś jej nie zmuszał, ale brak zmuszał. Powiem ci, że ona w tym tytoniu długo robić nie powinna. To jest za ciężka praca.

– Teraz letkiej pracy mało na świecie – rzekł Wiktor obojętnie. – Cóż ja miałem robić? Przecie nie próżnuję.

– Ja też ci nie robię wyrzutów, tylko mi żal twojej kobiety.

– I mnie jej żal, ale cóż na to poradzić... – rzekł Wiktor w tonie ironicznym, z boku rzucając okiem na brata. – Tyś wyszedł na ludzi, a my zostali w swoim stanie. Żałujesz... „mojej kobiety...” Ja to samo... Ale choćbyś żałował i przeżałował, to się psu na budę nie zda. Już nie trzeba, jak ja się staram, żeby się, wybić na ludzi...

– Myślisz, że ci ubliża to, co mówi taki Raczek!

– Nie ubliża mi! Kazałbym ja ci chodzić w grubych buciorach, w zgrzebnych gałganach, w drelichu, jak bele chłopu od kanalizacji, co ze wsi przylaźł... To byśmy zobaczyli...

– Ubranie o wartości człowieka nie stanowi... – rzekł doktor, myśląc jednocześnie, że ta maksyma stanowi wyświechtane słowo, pasujące do treści skarg Wiktora jak kwiatek do kożucha.

Tamten szedł kilkanaście kroków, nic nie mówiąc. Raptem zwrócił się do Tomasza i rzekł szorstko:

– Widzisz, tak: tyś tera pan, a ja taki se człowiek, mało co lepiej ubrany od naszego nieboszczyka ojca. Wzięła cię ciotka z domu, wychowała, dała cię do szkół – no i dobrze, bardzo dobrze. To mię, sumiennie ci mówię, szczerze cieszy. Twoje życie było jak różyczka w ogrodzie, a moje, uważasz... Jak się ty będziesz ubierał, mnie to nic a nic nie obchodzi, chociaż to ubranie, twoje, nosisz z tej racji, że cię, widzisz, ciotka wzięła. Bez tego to cóż byś ty był? A jak sobie ja kupię żakiet, tom do tego żakietu doszedł własnymi pazurami, jakbym go z muru wygrzebał. Uważasz mię?

Doktora zakłuły te słowa.

– Zdaje ci się – rzekł – że moje życie było jak różyczka w ogrodzie. Żebyś ty wiedział...

– Skąd ja mam co wiedzieć! – krzyknął prawie Wiktor. – Byłeś to brat dla mnie! Pamiętam, że ciotka raz przyjechała dryndą, jak my oba na bosaka łachali po rynsztokach. Ciebie wzięła, boś był przystojniejszy – i koniec. Przychodziłeś do nas czasami na jakie godzinkie, aleś był wystrojony, potem w mundurze, i boczyłeś się na mnie, obdartusa z terminu.

– Co ty...

– No, no, ja ta na wiatr nie gadam! Dopiero jakieś poszedł do uniwersytetu, zetknęliśmy się, ale to co innego, i zresztą...



Tomasz Judym:
O swoim
dzieciństwie
spędzonym
u ciotki.

– Ciotce zawdzięczam wiele – mówił doktor, patrząc w ziemię.

– Gdyby nie ona, zostałbym był na naszym podwórzu. To prawda.

Ona mię w świat wepchnęła, ale też com ja z jej powodu przeżył!

– Tyś przeżył?

– Wiesz przecie, kim była nasza ciotka.

– Przecie, że wiem.

– Była to podobno niegdyś cudna dziewczyna. Toteż prędko z sutereny ruszyła w świat...

– Cóż ty będziesz we flanelę obwijał? „Ruszyła w świat” – tere fere... To była, podobno, najpierwsza granda w Warszawie! Jeden facet, co mu ojciec nieboszczyk buty robił, rozpowiadał staremu, że to, mówię ci, hrabiowie, nie hrabiowie...

– No dobrze, dobrze! – mruknął Tomasz z niecierpliwością.

– Gniewa cię to? – śmiał się tamten ordynarnie.

– Chcę ci powiedzieć, jak było, boś o tym zaczął, a nie wiesz: zebrała sobie kupę pieniędzy, mieszkanie najęła na drugim piętrze, cztery pokoje... miała śliczne meble. Czego tam nie było!

– Podobno szyk najpierwszy!

– Tak jeszcze stała, gdy mnie wzięła do siebie. Była już wtedy przekwitła, życia dawniejszego nie prowadziła, ale bywało u niej mnóstwo znajomych. Grało to w karty, piło. Przychodzili najrozmaitsi ludzie, młode i stare baby. Tam ja to rosłem, „jak różyczka w ogródku”... – mówił z bolesnym uśmiechem. – Pierwszych lat byłem na posyłkach, froterowałem, czyściłem posadzki, myłem w kuchni garnki, rondle, nastawiałem samowary i latałem, latałem bez końca za sprawunkami. Jeszcze dziś pamiętam ten dom, te schody kuchenne! Ile ja tam cierpień... Może we dwa lata wzięła ciotka i wynajęła pokój w korytarzu z osobnym wejściem jednemu studentowi. Płacił niedużo, ale za to miał obowiązek mnie uczyć i przygotowywać do gimnazjum. Ten facet mię uczył sumiennie i przygotował. Radek się nazywał... Poszedłem do sztuby¹³. Ciotka płaciła wpis, nie mogę powiedzieć, ale też za to używała na mnie co się zmieści. Dowiedziałem się później, gdy byłem starszy, że dużo przegrała w karty. Wówczas nie rozumiałem wcale tego, co się tam działo. Doświadczałem tylko na sobie bez ustanku, że ciotka jest coraz bardziej skąpa i wściekła. Formalnie wściekła. Opanowywała ją czasami jakaś furia i gnała po pokojach, z jednego w drugi. Nie daj Boże wpaść jej wtedy w ręce! Sypiałem zawsze w przedpokoju, na sienniku, który wolno mi było przywlec z ciemnego pasażyka za pokojem ciotki wówczas dopiero, gdy się już wszyscy goście od niej wynieśli. Kładłem się spać późno w nocy, a wstawać musiałem najwcześniej ze wszystkich. Z czasem gości przychodziło coraz mniej, ale za to wynajęła trzy pokoje, do których wchodziło się ze wspólnego korytarza, sublokatorom. I wtedy nie wolno mi było kłaść się spać przed powrotem ostatniego z tych nędznych nocnych włóczykijów. Wstawać musiałem, gdy jeszcze wszyscy spali. Prał mię,



Judym odkrywa prawdę dotyczącą jego pobytu u ciotki: czuł się niekochany, był chłopcem na posyłki, musiał być świadkiem scen, których nie powinno obserwować dziecko.

¹³ sztuba (z niem.) – szkoła

kto chciał: ciotka, służąca, lokatorowie, nawet stróż w bramie wlepił mi, jeśli nie kulaka, w plecy, to przynajmniej słowo, często twardsze od pięści. I nie było apelacji. Moje lekcje, gdy Radek się wyprowadził po skończeniu budy, odrabiałem w kuchni, na stole zawalonym rondlami, wśród ziemniaków i masła. Ileż to razy ciotka mię wyganiała precz, za byle winę! Ile razy musiałem błagać na klęczkach, żeby mię znowu przyjęła do swego „domu”! Czasami w przystępie świetnego humoru dawała mi swoje rozkładane trzewiki, w których ku szczerej radości całego gimnazjum chodzić musiałem. Trafiła się zima, kiedy sypało się w prunełowych pantoflach z wysokimi obcasami, albo inna, w której całym ciągu mogłeś być widzieć na śniegu ślad moich bosych nóg, choć niby to były okryte przyszwami. Jakem się tylko przywłókł do piątej klasy, bryknąłem stamtąd. Ale całe moje



Tomasz Judym:
O sobie, w rozmowie z bratem Wiktoorem.

dzieciństwo, cała pierwsza młodość upłynęły w nieopisanym, wiecznym przestachu, w głuchej nędzy, którą teraz dopiero pojmuję. A zresztą, a zresztą... co to gadać...

– To ci ciocia dopiero... – śmiał się Wiktor. – Nieboszczyk ojciec nie lubił o niej gadać, o tej ciotce, a jak się tylko urznął zdrowo, to zaraz na nią kłął co się zmieści.

Tomasz machnął ręką i siedł w milczeniu.

Ulice pełne już były światła słonecznego. Przy domach otulonych drzewami ślały się fiołkowe, pachnące cienie.

Tomasz i Wiktor zawrócili właśnie w kierunku dzielnicy fabrycznej i stanęli na wzgórzu, skąd ją całą można było widzieć. Z głębi odległych murów ciągnęła w szczere pole Wisła, wygięta jak ogromny łuk z jasnego srebra. Zdawało się, że płonie białym blaskiem, zapalona przez słońce poranne. Spragnione oko chwyciło daleki widok tej swobodnej wody, zielonej równiny łąk, sinych lasów, nikłymi liniami ginących w przestworzu. Bliżej nad Wisłą ciemniały kępy jakichś drzew rozłożystych.

Bracia usiedli pod murem ogrodowym na trawniku i milcząc, patrzyli w krajobraz, który mieli przed sobą. Z niziny fabrycznej, z owej masy ślepych murów bez okien, z wąskich i podłużnych budowli, które cienkimi rurami wydychały kłęby pary, przecudne w promieniach słońca, jak ruchome bryły srebrne, dochodził nie milknący łoskot żelaza. Doktor Tomasz ulegał złudzeniu, że te dźwięczne uderzenia młotów, owe jęki jak gdyby targanych łańcuchów wydaje para buchająca na wsze strony z dachów okrytych zadymioną papą. Zdawało mu się, że drżący z jakiegoś nienasyconego pośpiechu, dziki, zdławiony i twardy ryk motorów daje się umiejscowić, że go widać w ogromnych kłębach burego dymu, magających ciągle i prędkie półkole. Ten dym mnóstwa wysokich kominów z cegły, i wąskich, okrągłych, z blachy spojonej, gangrenował już przestwór czystego nieba, zniżał się,

wałesał nad gmachami i zalewał ulice niby szara mgła, w której traciły wyrazistość kształtów domy, latarnie, wozy i ludzie. Kiedy niekiedy dawały się uczuć w równych odstępach czasu dwa idące po sobie ciosy młota parowego, dzięki którym ziemia drżała w odległości kilkudziesięciu kroków od fabryki. Po rozbitym bruku ulicy toczyły się wozy ciągnięte przez ogromne koniska. Wehikuł taki składający się z dwóch słupów złączonych, które, leżąc na grubych osiach, dźwigały ciężar żelaza, przewłóczył z miejsca na miejsce bryły „gęsi” surowcowych¹⁴, podobne do zastygłych skib grudy, płaskie sztaby żelaza, proste albo zwinięte jak wstążki relsy, drągi, ogromne części mostów, krat, maszyn. Niektóre z nich słychać było w sąsiedniej ulicy. Jakieś dwa ogony długich kutych sztab, wysunięte poza tylne koła wozu, przy każdym jego wstrząśnieniu trzepały się o siebie, wydając wrzask nieznośny. Zdawało się, że to wściekłość obłąkana, skuta łańcuchami, w diabelskiej furii wali ogonem i wyszczekuje w męczarni ostatnie swoje tchnienie.

Kiedy Judymowie siedzieli, przeczekując nerwami wędrówkę jednego z najaśliańszych transportów, nagle z drugiego trotuaru dał się słyszeć głos:

– Judym! Czegóż ty tam siedzisz... Judym!

Bracia nierychło ten głos usłyszeli. Wreszcie Wiktor rzucił okiem i wnet wstał z miejsca. Z drugiej strony ulicy szedł młody człowiek wysokiego wzrostu, blondyn, z jasną, krótką brodą i niebieskimi oczami. Twarz jego była po fabrycznemu przybladła, ale usta zachowały jeszcze uśmiech i barwę zdrowia. Miał na sobie zniszczone ubranie i perkalową koszulę. Głowę jego okrywał duży kapelusz z rondem w postaci skrzydeł.

– To nasz nowy pomocnik tego inżyniera, co pierwszy ustawiał „gruszkę”¹⁵ – rzekł Wiktor.

Młody człowiek zbliżył się do nich i zaczął rozmawiać. Co parę chwil rzucał bystre, jasne, prawdziwie badawcze spojrzenia na Tomasza.

– To mój brat – rzekł Wiktor – doktor. Wrócił w tych dniach z Paryża.

Technik wyciągnął rękę i powiedział niewyraźnie, jak zwykle przy prezentacji, jakieś nazwisko.

Rozmawiając o rzeczach obojętnych, wszyscy trzej schodzili wolno w dół ulicy. Wiktor, pełen zadowolenia, że może się pochwalić takim bratem, choć usiłował tego nie zdradzać, mówił dużo, a wreszcie, nie pytając Tomasza, prosił młodego inżynierka, czyby doktor nie mógł zwiedzić fabryki, a osobiście stalowni. Ten wahał się przez chwilę, a wreszcie przyrzekł protegować gościa. Zesłi w wąską uliczkę utworzoną przez nagie mury fabryki i stanęli



Miejsce akcji
– huta.

¹⁴ „gęsi” surowcowe – odlew żelaza w formie nazywanej „gęsią”

¹⁵ gruszka Bessemera – piec w kształcie gruszki, służący do wytopu stali, wynaleziony przez inżyniera Henryka Bessemera

u ciasnych drzwi. Była już zapewne godzina siódma. Na podwórzu fabrycznym otoczył ich szereg młotów i głuche warczenie motorów dynamoelektrycznych o sile blisko tysiąca koni. Wiktor gdzieś znikł i doktor został sam na sam z młodym zawodowcem. Ten prowadził go przez sale, gdzie heblowano sztaby żelaza długie kilkadziesiąt łokci, gdzie borowano w nich dziury za pomocą świrdrów i gdzie skromne maszynki w mgnieniu żrenicy wybijały w płytach grubych na dwa palce duże otwory z taką łatwością, jakby rzecz szła o przedziurawienie palcem plastra miodu. W jednym miejscu nitowano kraty mostów za pomocą śrub rozpalonych do białości, gdzie indziej cięto nożycami sztaby jak płótno. Z ogromnych izb warsztatowych Judym przeszedł do pustej hali, gdzie pracowało zaledwie kilkunastu ludzi. Tu spajano relsy.

Doktor Tomasz ciekawie przyglądał się tej robocie. Mało tam miały do czynienia maszyny. Działały za to wyłącznie muskuły i młoty na długich toporzyskach. W rogu sali dłuhał nad czymś mężczyzna o takim kadłubie, o takich bryłach mięśni, że Judym przypatrywał mu się jakby nieznanemu gatunkowi człowieka. Widział podobne kłęby bicepsów, ale tylko w marmurze i na rysunkach. Zdawało się, że gdyby to ramię podniosło się, ta pięść w mur trzasnęła, toby go w mgnieniu oka zgruchotała na szczątki. I był to wspaniały widok, gdy siłacz ujął swój młot i zaczął do spółki z towarzyszem łączyć uderzeniami dwa rozpalone końce szyn. Doktorowi nie chciało się stamtąd wychodzić. Z żywą ciekawością przyglądał się siłaczowi, rozpatrywał i przepowiadał sobie na nim muskuły. Z daleka posuwając się za swym inżynierem, cieszył się widokiem kowalskiego kadłuba.

– To także silny chłop! – rzekł towarzysz.

– Który?

– A ten...

Obok potężnego kowala stał bokiem odwrócony człowiek młody, lat może dwudziestu ośmiu, z twarzą tak piękną, że Judym ujrawszy ją stanął, jak wryty. Były to ostre rysy chudej twarzy, regularne i jakby wyrzeźbione z kości. Górną wargę ocieniał mały, czarny wąsik. Człowiek ten był prawie szczupły, tylko jakoś przedziwnie kształtny. Ruchy miał nie szybkie, lecz pewne swego celu, nieodzowne i harmonijne.



Symboliczne przedstawienie losu człowieka – kowal to metafora mocy, którą posiada człowiek, jego zwycięstwa nad własnymi słabościami i ułomnościami.

– Czyż to także kowal? – szepnął Judym. – W porównaniu z Herkulesem wygląda jak chrabąszcz.

– Ej, tak źle nie jest... – uśmiechnął się przewodnik.

Wkrótce potem chudy robotnik, gdy kolej na niego przyszła, dźwignął swój młot i zaczął uderzać. Wtedy dopiero Judym zobaczył. Młot obiegał krąg rozsunięty i trząsał w żelazo z ogłuszającą potęgą. Nagie ręce wyrzucały go w prawo i w tył i zadawały sztabie cios

z boku, a od samej ziemi poczęty. Korpus ciała stał prosto, jakby w tej czynności nie brał udziału. Tylko biodra wzdrygały się pewnym, minimalnym ruchem, który ukazywał stopień samej siły, i mięśnie łopatek naciągały koszulę. Snopy iskier wyfruwały spod młota w kształcie gwiazd błękitnych i złotych. Otaczały wspa- niałą figurę rycerza jakby aureolą, należną wielkiej mocy i cudownej piękności. Po ostatnim uderzeniu młody kowal usunął się w kąt hali melodyjnym ruchem, wsparł ręce na toporzyску i świstał przez zęby. Krople potu stały na jego czole i płynęły strugami z usmolonej twarzy.

Z szopy kowalskiej wchodziło się do odlewni żelaza i stali. Dym słomy wol- no węglejącej, zapach przeróżnych kwasów i duszne, do ostatka wynaturzone powietrze wypełniały te hale grobowe, czarne, ziejące ogniem. Grunt ich zryty i przewracany dymił się i parzył nogi. Czarne, ranami okryte ściany dygotały jak gdyby z wiecznego bólu. W jednym końcu olbrzymiej szopy stało naczynie w kształcie gruszki. Podstawa jego była szeroka, szczyt zwężał się i zakończony był niedużym otworem. Ta wielka retorta obracała się na poziomej, wewnątrz próżnej osi, która wprowadzała do środka ogrzane powietrze z maszyny wiatrowej. Całe to naczynie mogło przechylać się w taki sposób, że przez otwór górny wylewała się we właściwej chwili zawartość. Gdy Judym wszedł do sali, „gruszka” stała pionowo, naładowana warstwami surowca i koksu. Puszczono prąd powietrza o temperatu- rze ośmiuset stopni, które z dołu wdziera się do wnętrza i dmie z olbrzymią siłą. Wówczas przez otwór w górze zaczął wybuchać czarny kopeć, w którym błyskał kiedy niekiedy rozdymający się płomień. Mroczne kłęby napełniły budynek i wy- pływały przez ogromne wrota. Dym strzelał w górę ze wzrastającą szybkością, był coraz bielszy i cieńszy. W pewnych odstępach czasu miliardy gwiazd leciały z jego głębi. Gdy koks spalił się całkiem, zaczął spomiędzy nich buchać z przeraźliwym hukiem wielki płomień, długi, drgający. Zrazu był czerwony, później bladł, błę- kitniał, wreszcie przybrał jakiś kolor, który oślepiał. W samym prawie ogniu, tuż przy gruszcze, było kilku ludzi. Na czele ich stał młody technik. Iskry przepaliły mu rondo kapelusza, zniszczyły ubranie. Twarz jego wznosiła się ku płomieniowi. Zakrwawione oczy badały kolor ognia, ażeby po jego barwie osądzić, czy stał się już wytwarza.

W pewnej chwili dał rozkaz, ażeby wrzucić w paszczę naczynia krzemionkę (*silicium*), która się w tej temperaturze 1400 stopni asymiluje mechanicznie z żelazem.

Płomień szalał. Słup jego, zwężony jak miecz obosieczny, wydawał zduszony ryk – i leciał. Zdawało się, że ten ogień wydrze się ze swego miejsca, zerwie i buch- nie w górę. Wzrok nie był w stanie znieść blasku, który rozświetlił ponurą halę.

Wówczas na galerii z żelazną balustradą, za płomieniem, a w połowie jego wysokości, zdawało się, że w samym ogniu, jak salamandra, ukazała się czarna figura.

Doktor ciekawie wlepił wzrok i śledził ruchy tej postaci. Robotnik długie narzędzie, pewien rodzaj miotły kominarskiej, zanurzył w ciecz parskającą.

Wtedy doktor poznał w tej czarnej osobie swego brata – i serce zapaliło się w nim, jakby w nie zleciała iskra z płomienistego ogniska.

MRZONKI

Powrót z wywczaśów letnich doktora Antoniego Czernisza stanowił dla świata lekarskiego jak gdyby otwarcie roku. Doktor Czernisz był prawdziwie niezwykłym człowiekiem. Jako lekarz zajął jedno z pierwszych miejsc nie tylko w Warszawie. Imię jego było na ustach publiczności, powtarzało się w pismach specjalnych i nieobce było naukowemu światu zagranicy. Owszem, wyznać trzeba, że tam cieszyło się większym uznaniem niż w domu.



**Doktor
Czernisz:**
Pochodzenie.

Dr Czernisz pochodził ze sfery ludzi biednych. O własnej sile ukończył nauki, zdobył sobie imię w świecie i byt. Stosunkowo dość późno, bo dopiero po czterdziestym roku życia, gdy już był człowiekiem zamożnym, ożenił się z kobietą wielkiej piękności. Pani Czerniszowa była „jedyną nadzieją” rujnowanej rodziny półarystokratycznej. Wyszła za mąż nie z miłości prawdopodobnie, lecz z przekonania. Była to swego czasu żywa bojowniczką emancypacji. Z biegiem czasu dzieci przychodzące na świat, obowiązki i stosunki usunęły ją od życia szerszego, ale nie zburzyły jej aspiracji i wierzeń. Do sprawy uczciwej zawsze przyłożyła rękę. Już to nie były dawne prace tchnące entuzjazmem, ale jeszcze tkwił w nich pewien umiarkowany zapał. W salonach doktorostwa Czerniszów gromadziła się sfera myśląca. Wszystko, co Warszawa miała wybitnego, znajdowało tam gościnę. Przyjęcia rozłożone były w ten sposób, że jednego tygodnia w umówione środy zbierała się inteligencja wszelkich zawodów, drugiego – tylko lekarze. Jeżeli w dniu niewłaściwym przybłąkał się ktoś spoza koła medycznego, był gościem pani. Grono lekarskie nie trwoniło swych zebrań środowych na gawędkę. Zgromadzenia te, początkowo obejmujące grupę najbliższych przyjaciół gospodarza, literalnie wciągały ludzi. Jeżeli kto miał ukończoną pracę, to ją tam czytał; jeżeli nastręczył się komu w praktyce niezwykle wypadek, to tam był podawany do wiadomości kolegów. Przybył ktoś ze świata, z wycieczki naukowej, tam zdawał sprawę z tego, co widział i do stosowania w kraju, w granicach sztuki lekarskiej, za słuszne uważał. Posiedzenia nie miały charakteru napuszonego, ale też nie trąciły szlafrokiem. Liczono się z nimi, a co ważniejsze, lubiono je. Gospodarz, człowiek skromny a mądry, pełen dystynkcji i słodczy, pani domu czarująca każdym słowem i gestem, salony, w których znajdowało się urządzenie wytworne, niejedno dzieło sztuki, a nade wszystko owa atmosfera myśli, wyższości prawdziwej i kultury – przyciągały wszystkich.

Judym, który doktora Czernisza znał, będąc jeszcze studentem, złożył mu w pierwszych dniach września swe uszanowanie i został zaproszony do koła.

W połowie następnego miesiąca odbyła się pierwsza środa lekarska. Dr Tomasz wybrał się na to zgromadzenie... z odczytem. Wahał się bardzo długo, lękał i zapalał, aż wreszcie postanowił przedstawić rzecz swoją. Napisał ją dawno, jeszcze w Paryżu. Teraz przypiął do niej wstęp i trochę cyfr statystycznych miejscowych. Dr Czernisz zachęcał go do czytania tej pracy (której zresztą wcale nie znał) usilnie i wymownie, prosił, a nawet zobowiązywał.

– Jak to? – mówił – kolega pytasz się, czy masz nam pan wyrazić myśl, którą przywozłeś z Paryża po dwuletnich blisko studiach... Więc cóż mamy czytać, gdy się zejdziemy? To, co wiemy wszyscy, co tu między sobą obgadaliśmy tysiąc razy?...

Judyma przekonywały te argumenty tym skuteczniej, że za granicą zdarzało mu się czytać w towarzystwach różne wypracowania. Było w tym nawet nieco ambicji z lichszego kruszcu... Powstrzymywała go tylko jakaś trwoga czysto lokalna. W dniu oznaczonym jeszcze raz zbadał swój rękopis, ubrał się w czarne szaty i o zmroku wyruszył. Gdy miał już przekroczyć bramę domu, uczuł mocne ścisnienie w gardle, które wnet zwyrodniało w zupełną chęć odwrotu. Była nawet chwila zupełnego tchórzostwa... Mimo to przycisnął wreszcie guzik dzwonka, nad którym widniało nazwisko „Dr Czernisz”. Wnet usłyszał z bólem w głowie kołatanie we drzwiach zasuwki, szereg tępych dźwięków, wydających coś jak bełkot czy jak śmiech szyderczy...

Wszedł na marmurowe schody zaślane szerokim, barwnym chodnikiem, do rzęście oświetlonego przedpokoju i poczuł na ramieniu dłoń gospodarza. Otoczył go gwar mężczyzn żywo rozmawiających.

Niezgrabnie, potykając się na dywanach, zawadzając o meble, przyszedł wreszcie, prowadzony przez Czernisza, do kozetki, z której podnosiła się śliczna kobieta. Miała może lat trzydzieści. Była ubrana bez elegancji, ale z takim wdziękiem obłoczyły ją te proste suknie, że Judym uczuł zaraz swoją wrodzoną szewską strachliwość i wprowadził w czyn niemniej szewskie ukłony oraz maniery. Pani Czerniszowa spostrzegła to jego stropienie się i wnet nie tylko zrozumiała je z całą żywością natur szlacheckich, ale sama czuła się równie zmieszaną i nieszczęśliwą. W tej chwili dr Tomasz przypomniał sobie, że bez względu na ten brak jasności umysłu, który w danej chwili przechodził, ma jeszcze czytać, zabrać głos wśród tych ludzi obcych, pewnych siebie, przygotowanych do sądu, do rozmowy i do wyładowania konceptu.



Tomasz Judym:
Przed odczytem
u Czernisza.

Doktorowa mówiła z nim o Paryżu i usiłowała to sprawić, ażeby się poczuł swobodnym. W części jej się to udało.

Judym powziął dla niej rozpaczliwą sympatię. Zaczął mówić... Tymczasem ktoś inny przysiadł się z lewej strony, ktoś trzeci odwołał ją w drugi koniec salonu.

Rozglądając się, gdy sam został, Judym spostrzegł wielu lekarzy. Znał ich z widzenia, ze szpitala i z ulicy. Uściśnieniem ręki mógł przywitać ledwie paru. Siedział w swym fotelu sztywnie, ze zdrętwiałymi nogami, które jak kłody tkwiły na miękkim dywanie i przechodził męczarnie oczekiwania. Co chwila u drzwi brzęczał dzwonek i nowa osoba ukazywała się w jasnym świetle. Gdy już salon i przyległe gabinety napelniły się zupełnie, dr Czernisz swym cichym, miękkim głosem zawiadomił zebranych, iż kolega dr Judym, świeżo przybyły z Paryża, odczyta pracę swą pod tytułem... *Kilka uwag czy Słowo w sprawie higieny*... Judym słuchał tego zawiadomienia z formalnym przerażeniem. Jednakże, gdy oczy zgromadzonych zwróciły się do niego, ochłódł, wstał pewien siebie, zbliżył się do małego stoliczka, wydobyl swój rękopis z bocznej kieszeni surduta. Gwar wolno, jakby niechętnie, zamieniał się na szept, w którym brzmiał dźwięk mętny... Judym... Judym... niby akord gasnący w przestrzeni.

Dr Tomasz zaczął czytać. We wstępie, ukutym robotą kowalską ze zdań i wyrazów pełnych erudycji, była mowa o współczesnym stanie higieny. Nie tylko sentencje, w których ten sam rzeczownik powtarzał się kilkanaście razy, ale i myśli były twarde tudzież znane jak *Powrót taty*. Prelegent czuł na sobie i widział niby we mgle spojrzenia zimne, ostre i już ubarwione drwiną. Ale to mu dobrze zrobiło. Czytał o nowych usiłowaniach w sprawie dezynfekcji, stosowanych w szpitalach, które zwiedził, o nowych środkach i zabiegach, na przykład o chinozolu¹, o różnych stosowaniach sublimatu, o wszystkim, słowem, co z książek i czasopism obcych wygrabił. Zaczęło to poniekąd interesować słuchaczy. Ciekawość ich wzrosła, gdy opisywał nowe środki dezynfekcjonowania mieszkań prywatnych, jak niepolimeryzowany formaldehyd – i inne. – Ta kwestia wypełniła pierwszą część rozprawki.

Na początku drugiej Judym zadał sobie pytanie, co nauka, tak bardzo w ogóle interesująca się sprawą zdrowotności, przedsięwzięła dla higieny życia motłochu. Ażeby zbadać tę kwestię ze stron rozmaitych, zaczął opowieść o zjawiskach, które miał możliwość widzieć w Paryżu i gdzie indziej. Mówił tedy o trybie życia tak zwanej armii rezerwowej przemysłu, o bandach koczujących, przepojonych absyntem, balujących w sali du Vieux-Chêne, przy ulicy Mouffetard, albo w sali de la Guillotine itd. Była to długa historia.

¹ chinazol – środek antybakteryjny, grzybobójczy, antywirusowy

Słuchano jej z pewnym zajęciem. Prelegent, opuściwszy ten przedmiot, zwrócił się do opisu instytucji noclegowej, Château-Rouge.



Charakterystyka
noclegowni
dla ubogich
w Paryżu – tłok,
brud, zimno:
przedstawienie
naturalistyczne.

– Chodziłem tam często – mówił – a nawet, wyznać muszę, spędziłem w tej norze jedną całą dobę. Nigdy nie wyjdzie mi z pamięci ten sen nocy zimowej. Wchodzi się tam z małej uliczki Galande, leżącej w sąsiedztwie Notre-Dame, w najstarszej dzielnicy paryskiej. W pobliżu kwitnie sławny szynk Père-Lunettes. Klientela dawnego pałacu „pięknej Gabrieli”² (D’Estrées) jest dwojakiego gatunku. Pierwszą stanowią „goście” zwiedzający, drugą – biedacy, którzy tu znajdują tani absynt i kilkugodzinny przytułek. Tak zwana *consommation*³ kosztuje w Château-Rouge 15 centymów, za co gość ma prawo siedzenia przy stole tudzież oparcia dwu rąk i głowy na jego krawędzi aż do godziny drugiej w nocy. W czasie mroźnych i dżdżystych wieczorów goście, z których, rzecz prosta, ani jeden nie posiada własnego mieszkania, leżą po prostu jedni na drugich. Wyrzuceni po pierwszej w nocy, rozłazą się w cztery strony świata. Jedni idą spać pod mosty, na fortyfikacje, do Lasku Bulońskiego, na Vincennes... Inni, którzy mają w kieszeni kilkanaście groszaków, szukają jakiegoś *marchand de sommeil*⁴. Największa ilość nocuje w Château, po czym jedni idą do Hal Centralnych, ażeby za dwa sous spożyć *soupe au riz*⁵, a w ciągu dnia za kilkanaście, czasami za kilkadziesiąt centymów pomagać urzędowym tragarzom. Inni, zbieracze ogryzków papierosowych, niedopałków cygar, czekają przy pomniku E. Doleta⁶, na placu Maubert, już o godzinie szóstej rano, i robotnikom dążącym do fabryk sprzedają torebki z wytrząśniętym tytoniem po 10 centymów sztuka. Château-Rouge może w sobie pomieścić kilkaset osób. W zimowe noce bywa ich tam pięćset. W pierwszej izbie z bufetem zbierają się przeważnie kobiety i dzieci, ponieważ kopci się tam w blaszanym piecu. W drugiej, dawnej sypialni pięknej kochanki Henryka IV, leżą na gołej podłodze sami mężczyźni. Za prawo snu do drugiej w nocy właściciel pobiera od każdego 10 centymów. W izbie trzeciej, ozdobionej freskami, którą zowią „senatem”, ludzie śpią na stołach i na ziemi. Tam zbieracze niedopałków wydmuchują z gilz swój towar i układają go w to-

² „piękna Gabriela” – kochanka Henryka IV – francuskiego króla

³ *consommation* (fr.) – konsumpcja

⁴ *marchand de sommeil* (fr.) – dosłownie: handlarz snu; właściciel taniego domu noclegowego

⁵ *soupe au riz* (fr.) – zupa ryżowa

⁶ E. Dolet – francuski pisarz i drukarz okresu odrodzenia stracony na placu Maubert, obecnie znajduje się tam jego pomnik

rebki, tam *les dos*⁷ czekają cierpliwe na swe *marmittes*⁸, nocne pracownice, które ich utrzymują. Tam śpią znużeni akrobaci podwórzowi, częstokroć tatuowani, drobni rzemieślnicy, ludzie, których zajęcie stanowi pławienie psów w rzece, otwieranie dorożek przy dworcach kolejowych, wyławianie zdechłych kotów i inne fachy, nie nadające się do ogłoszenia. Z lewej strony od „senatu” jest izba, zwana *salon des morts*⁹, gdzie pokodem leżą pijani, chorzy albo osoby cieszące się względami gospodarza. Istnieje wreszcie tzw. „salon”, z freskami wyobrażającymi dzieje zbrodniarza Gamahu, zabójcy M-me Bannerich. Zwykle jakiś nędznik objaśnia te tajemnicze bohomyzy gościom zwiedzającym albo im śpiewa w *argot parisien*¹⁰ piosenki, które ukazują bezdenną nędzę rodu ludzkiego, jak ta, na przykład, zaczynająca się od słów:

*C'est de la prison que j't'écris;
Mon pauv' Polyte,
Hier je n'sais pas c'qui m'a pris,
A la visite;
C'est des maladi's qui s'voient pas,
Quand ça s'déclare,
N'empêch' qu'aujourd'hui j'suis dans l'tas,
A Saint-Lazare!..*¹¹

– Kiedy do Château-Rouge wszedłem po raz pierwszy, miałem na głowie cylinder, więc uprzejmy właściciel pałacu wziął mię za Anglika zwiedzającego osobiowości miasta, i z lampą w ręce oprowadzał po swej instytucji. Była to noc późna. Rozmowa nasza i światło budziły niektórych gości. Spod muru podniosła się uliczna dziewczyna w łachmanach, z twarzą obrzękłą, spieczoną przez jakiś ogień wewnętrzny, i przez kilka minut patrzyła na mnie dużymi oczami. Ten wzrok był tak straszliwy, tak nieopisany, że, jeśli wolno użyć słów poety¹²: „aż dotąd pali moją duszę”...

⁷ *les dos* (fr.) – stręczyciele, sutenerzy, alfonsi

⁸ *marmittes* (z fr.) – w żargonie: dziewczyny uliczne

⁹ *salon des morts* (fr.) – salon umarłych, salon śmierci

¹⁰ *argot parisien* (fr.) – żargon paryski

¹¹ *C'est de la prison que j't'écris...* (fr.) – Piszę do ciebie z więzienia, mój biedny Hipolicie, sama nie wiem, co mi się wczoraj stało, w czasie wizyty; to jedna z chorób, których się nie dostrzega, gdy się zaczyna, co nie przeszkadza, że dziś razem z całą bandą jestem u św. Łazarza

¹² słowa poety... – cytat z wiersza Adama Asnyka *Ta łza co z oczu twoich spływa*

Tego rodzaju wyskok liryczny zdziwił słuchających. Poczytywano go za zwrot krasomówczy i puszczoło płazem niefortunną przygrywkę na sentymentalnej fujarce. Judym tymczasem uczył w sobie istotny „ogień”, który pali duszę. Opo-
wiał o dzielnicy Cité Jeanne d’Arc, w sąsiedztwie szpitala Salpêtrière, mieszczącej
kilkadziesiąt mieszkań wyrobniczych. Każda familia ma tam swój kąt, lecz wszyscy
przez cienkie ściany słyszą nawzajem swe klótnie; dzieci całymi gromadami snują
się po schodach, rynsztokach i ulicy, zarażając się wzajemnie chorobami i zepsu-
ciem. Kobiety żyją w nierządzie, mężczyźni hulają. Nawet ten cień ogniska do-
mowego znika u mieszkańców Cité Dore, Cité des Khroumirs oraz Cité de Femme
en Culotte za północno-zachodnimi fortyfikacjami. Jedno z takich obozowisk
składa się z alei chałup otoczonych śmietnikami, po których łąziła dawniej wła-
ścicielka gruntu, eks-śmiecarka, nie wiadomo czemu w męskie szaty ubrana,
i zbierała komorne. Drugie zbiorowisko składa się z istnych chlewów wzniesionych
na wolnych terenach, gdzie dzieci śpią na kupach gałganów i brudu, gdzie Haus-
sonville widział wiekową niewiastę skrobiącą żyły mięsne ze starej kości śmietni-
kowej na skórkę szerniałego chleba – tudzież parę starców, „mającą za mieszkanie
budę na kołach”, w której ci „ludzie” przenosili się z jednej *cité* do drugiej.



Porównanie losu
biedoty warszaw-
skiej z egzystencją
biedoty paryskiej:
tak samo oplaka-
ne warunki życia
(np. w okolicach
dawnego placu
Parysowskiego),
brak odpowied-
niej higieny, opie-
ki medycznej.

Niech nas to przecież nie przyprawia o smętek. I my mamy swój
własny „Paryż” za murem powązkowskim¹³ oraz dzielnicę żydowską
wcale nie gorszą od Cité des Khroumirs. Warto choć raz w życiu
przejść się zaludnionymi ulicami w stronę żydowskiego cmenta-
rza. Można tam zobaczyć wnętrza pracowni, fabryczki, warszta-
ty i mieszkania, o jakich się filozofom nie śniło. Można zobaczyć
całe rodziny spijające pod pułapami sklepików, gdzie już nie ma
ani światła, ani powietrza. W tym samym gnieździe kilku rodzin
leżą stosy wiktuałów, załatwiają się rzeczy handlowe, przemysłowe,
familijne, miłosne i łotrowskie, praży się jadło na śmierdzących
tłuszczach, kaszlą i pluą suchotnicy, rodzą się dzieci i jęczą przeróżni

nieuleczalni wlokący kajdany żywota. Te miejsca odrażające wzdychają, gdy się
przechodzi. A jedynym na to wszystko lekarstwem jest antysemityzm.

A na wsi? Czyliż nie jest zjawiskiem pospolitym lokowanie dwu rodzin
z mnóstwem dzieci w jednej izbie, a raczej w jednym chlewie folwarcznym,
gdzie znajduje się spiżarnia, odgrodzona deskami, z kupą gnijących ziemniaków
i zbiorem żywności, jak kapusta, buraki itd.? Robotnicy nieżonaci (fornale), tak
zwani stołownicy, mięso dostają tylko na Wielkanoc i Boże Narodzenie, a tłuszcz

¹³ „Paryż” za murem powązkowskim – chodzi tu o plac Parysowski, który zamieszkiwała
uboga ludność Warszawy

w stawie okraszonej stęchłą słoniną, czyli tzw. sadłem, w homeopatycznej¹⁴ dozie, gdyż przy większej ilości, z racji silnego odoru i smaku sadła, strawa nie byłaby jadalną. Specjalnego pomieszczenia dla siebie ci ludzie nie mają. Śpią w stajniach i oborach pod żłobami, dziewczęta zaś w jednej jakiejś izbie, nierzadko razem z kupą mężczyzn. U żonatych parobków w jednej izbie, wśród błota zalegającego od ścian na wiosnę, hodują się razem dzieci i prosięta.

Zgromadzeni przyjmowali te wszystkie szczegóły w milczeniu, które nie wiedzieć co oznaczało. Tymczasem mówca wchodził w fazę, o jakiej marzył. Uczuł w sobie jakby zarzucenie się żelaznego haka na czekające ogniwo i szarpnięcie całej duszy na wysokość zimnego męstwa. Wówczas dowodził, że jakkolwiek tego rodzaju objawy dzikości są rezultatem bardzo wielu przyczyn, to przecież mają także jedną – w obojętności lekarzy.

– Umiemy – mówił – pilnie tępić mikroby¹⁵ w sypialni bogacza, ale ze spokojem wyłączamy z zakresu naszego widzenia fakt przemieszkowania dzieci pospołu z prosiętami. Któryż z medyków tego wieku zajął się higieną hotelu Château-Rouge? Kto z nas tu w Warszawie wdał się w to, jak mieszka rodzina żydowska na Parysowie?

– Co to ma być? – spytał prawie szeptem jakiś głos z głębi sali.

– *Ce sont des*¹⁶ flaki z olejem... – rzekł blondyn o twarzy Apollina, trąc swe binokle w rogowej oprawie.

– Judym słyszał szyderczy ton i widział złe uśmiechy, ale brnął dalej w swoim podnieceniu:

– Czy nie jest naszym obowiązkiem szerzyć higienę tam, gdzie nie tylko jej nie ma, ale gdzie panują stosunki tak okropne? Któż to ma czynić, jeśli nie my? Życie nasze całe składa się z pasma poświęceń. Wczesną młodość spędzamy w trupiarni, a całość wieku w szpitalu. Praca nasza jest to walka ze śmiercią. Co może się porównać z pracą lekarza? Czy praca na roli, czy w fabryce, czy „zajęcie” urzędnika, kupca, rzemieślnika nawet żołnierza? Każda myśl tutaj, każdy krok, każdy czyn, musi być zwyciężaniem ślepych i strasznych sił natury. Ze wszech stron, z oczu każdego chorego patrzy w nas zaraza i śmierć. Gdy zbliża się cholera, gdy wszyscy ludzie tracą rozsądek, zamykają w pośpiechu szachrajskie kramy swoje i uciekają, lekarz sam jeden idzie naprzeciwko tej niedoli kraju. Wówczas dopiero widać jak w lustrze, czym my jesteśmy. Wówczas słuchają naszych rad, naszych zleceń, postanowień i rozkazów. Ale gdy mór przemija, plemię chlebożerne wraca do swego zgielku i urządza się tak, jak z tym silniejszym w gromadzie

¹⁴ homeopatyczny – nikły, drobny, w niewielkich ilościach

¹⁵ mikrob – drobnoustrój chorobotwórczy

¹⁶ *Ce sont des* (fr.) – To są...

dogodniej. Rola nasza się kończy. Idziemy między tłum i zgadzamy się z rozsądkiem stada. Zamiast ująć w ręce ster życia, zamiast według praw nieomyślnej nauki wznosić mur odgradzający życie od śmierci, wolimy doskonalić wygodę i ułatwiać życie bogacza, ażeby pospołu z nim dzielić okruchy zbytku. Lekarz dzisiejszy – to lekarz ludzi bogatych.



Zarzuty Judyma
wobec lekarzy
– przedstawione
podczas odczytu
u Czernisza.

– Proszę o głos! – rzekł wysoki, chudy staruszek z faworytami białymi jak mleko.

– Proszę o głos! – ostro, z niedbałością rzekł ów blondyn w binoklach, z lekka unosząc się na krzeselku w stronę gospodarza domu.

Przez salę płynął szmer znamionujący głęboką niechęć.

– Medycyna dzisiejsza – ciągnął Judym – jako fakt bierze powód choroby i leczy ją samą, bynajmniej nie usiłując zwalczać przyczyn. Ciągłe mówię o leczeniu nędzarzy...

W sali ktoś półgłosem się roześmiał. Szmer był coraz wyraźniejszy i niegrzeczny.

– Ja tu nie mówię o nadużyciach ordynarnych, o praktykach przeróżnych lekarzy kolejowych, fabrycznych itd., lecz zawsze o położeniu higieny. Mówię o tym, że gdy człowiek pracujący w fabryce, gdzie po całych dniach płukał sztaby żelaza w kwasie siarczanym, w wodzie i wapnie gaszonym, dostaje zgorzeli płuc i uda się do szpitala, zostanie wykurowany jako tako, to ów człowiek wraca do tegoż zajęcia. Jeżeli pracownik zajęty w cukrowni przy wyrobie superfosfatu¹⁷ przez oblewanie węgla kostnego kwasem siarczanym, gdzie całe wnętrze szopy napelnia się parą kwasu siarkowego i gdzie gazy po spaleniu pikrynianu potasu wdychane wywołują zgorzel płuc – ulegnie tej chorobie, to po wypisaniu go ze szpitala wraca do swojej szopy. W lodowniach browarów... *pleuritis purulenta*...¹⁸

– To rzecz jakiejś opieki nad wychodzącym ze szpitala, a bynajmniej nie lekarza... – rzekł gospodarz.

– Lekarza obowiązek – właśnie wykurować. Gdyby zaczął szukać miejsc odpowiedzialnych dla swoich pacjentów, byłby może dzielny filantropem, ale z wszelką pewnością złym lekarzem... – wołał ktoś inny.

– Zawsze „opieka“, zawsze „filantrop“ – bronił się Judym. – Nie jest moim zamiarem żądać, ażeby lekarz szukał miejsca dla swych uzdrowionych pacjentów. Stan lekarski ma obowiązek, ma nawet prawo zakazać w imieniu umiejętności, ażeby chory wracał do źródła zguby swego zdrowia.

– Dobrze sobie! Znakomita idylla! Co też kolega!... – słysząc było ze stron wszystkich.

¹⁷ superfosfat – nawóz fosforowy uzyskiwany z fosforatów i apatytów przez działanie na nie kwasem siarkowym

¹⁸ *pleuritis purulenta* (łac.) – zapalenie opłucnej

– To właśnie, coście tu szanowni koledzy swoimi protestami stwierdzili, nazywam lekceważeniem i zgoła pomijaniem przyczyn choroby, kiedy idzie o ludzi biednych. My lekarze mamy wszelką władzę niszczenia suterren, uzdrowotnienia fabryk, mieszkań plugawych, przetrząśnięcia wszelkich krakowskich Kazimierzów¹⁹, lubelskich dzielnic żydowskich. W naszej to jest mocy. Gdybyśmy tylko chcieli korzystać z przyrodzonych praw stanu, musiałaby nam być posłuszna zarówno ciemnota, jak siła pieniędzy...



Wizja Tomasza Judyma na temat lekarzy.

To rzekłszy, Judym złożył zeszyt i usiadł. Nie był to wcale koniec odczytu. Istniała tam jeszcze część trzecia, zawierająca przeróżne liryczne projekty. Do wygłoszenia tego ustępu, oddzielonego w rękopisie trzema gwiazdkami, dr Tomasz nie czuł się na siłach, formalnie tchu nie miał. Miny zgromadzonych, zakłopotanie gospodarza, sama wreszcie atmosfera zebrania wyraźnie znamionowała zbazgranie się prelegenta zupełne. Lekcja ani była dość silna, żeby rozjątrzyć i wstrząsnąć, ani dość nowa, ażeby czymkolwiek olśnić. Patrzone na Judyma ze spokojem i bez gniewu, a te wejrzzenia mówiły: „Widziało się, żeś lew srogi, a tyś tylko dudy czyjeś, i to kto wie, czy nie osłe...”.

Gdy się zupełnie uciszyło, wstał z krzesła staruszek z faworytami, dr Kalecki, i zaczął wyłuszczać swe zdania sformułowane i pełne życia:

– Kolega Judym – mówił – dał nam rzecz piękną, pochlebnie i wymownie świadczącą o jego uczuciach altruistycznych, żywości imaginacji – i studiach w Paryżu. Miło jest w dzisiejszych czasach, niestety bardzo przesiąkniętych utylitaryzmem, spotkać lekarza z czuciem tak żywym, z sercem tak gorącym i pełnym tkliwości. Toteż ośmielę się złożyć w imieniu zgromadzonych koledze Judymowi szczerzy wyraz wdzięczności za jego pracę...

Po tym zwrocie, który Tomaszowi zdał się być natrząśaniem z jego nędzy, dr Kalecki przystąpił do odczytu ze strony krytycznej i mówił:

– Rzecz poruszona przez kolegę Judyma właściwie składa się z kilku kwestii, a zahacza o niebo i piekło. Z tego wszakże, cośmy słyszeli, dadzą się, jak myślę, wydzielić trzy sprawy główne: *primo* – sprawa czysto naukowa: sprawa higieny żywota klas ubogich, *secundo* – sprawa społeczna, *tertio* – środki zaradcze. Każdy z tych punktów – to góra obrosła dzikim lasem, zavalona odłamami skał, przecięta jarami, gdzie jeszcze więdzmy nocują. A więc – co się tyczy punktu pierwszego. Nie będą wspominał o tym, co tu kolega prelegent nam przedstawił. Są to fakty sumiennie spostrzeżone i barwnie opowiedziane. Fakty, dodam od siebie, bardzo smutne. Co się tyczy stosunków francuskich, to rzecz prosta, kwestię muszę zostawić na uboczu, gdyż jej nie badałem specjalnie. Wiem jednakże z pewnością,

¹⁹ krakowski Kazimierz – zamieszkiwana dawniej przez ludność żydowską dzielnica Krakowa

iz cele miłosierdzia pochłaniają w Paryżu dziesięć milionów, wyraźnie, dziesięć milionów franków rocznie. Nie jest to sumka mała. Wiadomo również, że istnieją tam całe stowarzyszenia łotrów zebrzących, całe syndykaty utrzymujące baby, które na ulicach symulują porody, rozsyłające mniemanych epileptyków, obłąkanych, wszelkiego rodzaju kaleki itd. W ogóle nie należy zapominać, kiedy się te sprawy roztrząsa, o wiecznie mądrym zdaniu Herberta Spencera²⁰: „Wymawiając słowa – biedny człowiek, nie myślimy wcale – zły człowiek”. Nie chcę przez to powiedzieć, że lekceważę takie zjawisko jak *Cité de Femme en Culotte*...

Przejdźmy do stosunków naszych. Kolega prelegent ubolewał tutaj nad dolą parobków, żydostwa itd. W istocie rzecz się ma i tu, i tam nieświeźnie, ale z naciskiem to muszę sformułować, choćby się kolega Judym miał na mnie gniewać, że to nie są rzeczy lekarza. *Amicus Plato, sed magis amica veritas*²¹ – to darmo. Tak to wygląda, jakby lekarz pogotowia ratunkowego wezwany do dwu szewców, którzy się skuli nożami, zamiast ich opatrzyć, rozpoczął prelekcję o szkodliwości bólek. Co tu mogą zaradzić lekarze? Oświecać, oświecać ciemny motłoch folwarczny i wpływać na jego chlebobawców – to i wszystko. Ale to się robi, robi się na pewno, jak stwierdzają koledzy praktycy z prowincji. Robi się więcej, niżby sądzić można z daleka, z wysokości takich czy innych paradoksów. Jak wszędzie, tak i tutaj najlepszą częstkę obiera sobie, a przynajmniej powinna obierać filantropia, owa siostra miłosierdzia ludzkości. Patrzymy na stan rzeczy. Mamy przed oczyma wzrost ducha miłosierdzia, ofiarności, istnego zapału klas wyższych do spieszenia z pomocą tam, ku tej nizinie, którą dr Judym z taką swadą maluje. Ileż to ofiar spłynęło do sakwy jałmużniczej w ciągu tego roku, ile łez otartych zostało bez żadnego frazesu, w sekrecie nawet przed obrońcami „ludu”. Nie będę nazywał, nie będę wytykał palcem tych spomiędzy kolegów tutaj zebranych, którzy spieszą na każde wezwanie cierpiącej niedoli, którzy czas swój, zdrowie i życie niosą w ofierze, bez myśli o tym, że spełniają jakąś tam misję. Po prostu czynią, co trzeba, co wskazuje obowiązek serca, sumienia... źle mówię, przyzwyczajenia albo wprost – nałogu.

– Brawo! brawo!... – słysząc było żywe okrzyki ze wszystkich kątów lokalu.

– A teraz rzućmy jeszcze okiem... Czy w istocie tak źle jest z nami? Oto powstają wystawy higieniczne, towarzystwa przeciwebracze, urządzi się przytulki noclegowe, funduje kąpiele dla ludu, zabawy – a wreszcie towarzystwo higieniczne, nic nie mówiąc o dziełach miłosierdzia dokonywanych w ciszy. Panowie, nie mamy

²⁰ Herbert Spencer – filozof angielski

²¹ *Amicus Plato, sed magis amica veritas* (łac.) – „Plato jest przyjacielem, lecz większą przyjaciółką jest prawda” – powiedzenie Arystotelesa krytykujące teorię idei stworzoną przez jego nauczyciela Platona

potrzeby rumienić się wobec zarzutu kolegi dra Judyma, jakoby lekarz dzisiejszy był lekarzem ludzi bogatych. We wszystkich tych sprawach, na które patrzymy, stan lekarski nie tylko dawał inicjatywę, ale może z dumą o sobie mówić: *magna pars fui*²². Kolega Judym jest młodym człowiekiem. Serce podyktowało mu słowa goryczy, bo samo, widać, wiele cierpień zniosło. Dziś on się może jeszcze do zawziętości, do stronniczego uprzedzenia względem medyków warszawskich nie przyzna, ale gdy mu szron włosy ubieli, na pewno potwierdzi moje słowa, że wydał dziś sąd zły i krzywdzący. My mu to wszystko już dziś szczerze i zupełnie z serca odpuszczamy...



Doktor Kalecki
o Tomaszu
Judymie po jego
odczytzie.

Judym uczuł w sobie ni z tego, ni z owego coś w rodzaju skruchy. Nawet w myśli nie powstało mu nigdy przypuszczenie, że to, co mówił o rzeczach higieny, można mu będzie z serca odpuścić. Zanim jednak zdołał zorientować się w gąszczu nowych a tak niezwykłych uczuć, wstał doktor Płowicz, który był jednocześnie z drem Kaleckim o głos prosił, i ostrym, donośnym tonem rzekł, co następuje:

– Szanowny kolega Kalecki sformułował wszystko, co o materiach przez prelegenta poruszonych rzec by można. Według mnie kolega Kalecki w jednym tylko miejscu użył barwy zbyt nikłej na odparcie zarzutów doktora Judyma. Mówię o tym punkcie, gdzie autor odczytu narzuca lekarzowi dzisiejszemu obowiązek ulepszania stosunków społecznych. Jest to pretensja dzika, a przemienia się w napaść formalną, gdzie surowy krytyk twierdzi, że praca lekarza polega na udoskonalaniu życia bogaczy, ażeby pospołu z nimi dzielić się okruchami zbytku. Ja tu wiele rzeczy pominę zupełnym milczeniem. Nie będę się rozwodził nad tym, że rdzeniem życiowym, istotą spraw ludzkich niezwalczoną jest dążność każdego człowieka do kultury, wyższości, życia w pięknym mieszkaniu, nawet *horribile dictu*²³ dążność do bogactwa. Nie wiem, dlaczego lekarz miałby być wykluczony od uczestnictwa w podziale tych zresztą marnych bogactw tutejszego padołu. Chyba dlatego, że, jak sam przyznaje nasz srogi zoil²⁴, harujemy ze wszystkich zawodowców najciężej i w najpodlejszych warunkach. Ale, jak zaznaczyłem, nie będę się nad tym rozwodził, bo, co tu w bawełnę obwijać, nie ma nad czym. Gdy doktor Judym zawiesi na swych drzwiach tabliczkę z godzinami przyjęć, gdy będzie miał do okrycia i wykarmienia nie tylko swe studenckie ciało, ale także osoby drogiej kobiety i dziecka, wówczas da Bóg doczekać, może usłyszymy od niego mniej surowe słowo na temat przywar stanu lekarskiego.

²² *magna pars fui* (łac.) – brałem wielki udział, odgrywałem dużą rolę

²³ *horribile dictu* (łac.) – strach się przyznać

²⁴ Zoil – złośliwy krytyk; od Zoilosa – greckiego mówcy, autora krytyki dzieł Homera

Chcę tu podnieść rzecz inną, mianowicie zwrócić uwagę kolegi Judyma na tę okoliczność, że jego myśli i wzloty altruistyczne nie mają silnego gruntu. Lekarze nie trzymają wcale w ręku władzy, jaką im kolega przypisuje. Gdyby najszczerzej i najusilniej chcieli zmusić szynkarza z Château-Rouge do zastosowania tak zwanych wymagań higieny, to im się to w żadnym razie nie uda. Świat jest to chytry przemysłowiec, który nie myśli wcale pieniędzy zebranych wydawać w tym celu, ażeby biedny pracowniczek mógł sobie lepiej a wygodniej przepędzać życie. Dla sprawdzenia, że tak jest, trzeba zstąpić z wyżyny na padół. Kazania, choćby i bardzo piękne, nic tu nie poradzą.

To powiedziawszy, doktor Płowicz usiadł. Nastąpiło milczenie trwające czas pewien, milczenie kłopotliwe i przykre.

– Chciałem dorzucić parę wyrazów... – rzekł Tomasz głosem wątłym, chwiejnie dźwigając się ze swego krzeselka.

– Prosimy... – szepnął ktoś z głębi.

– Otóż, otóż... nie myślałem, że mój wywód, to jest... moje przedstawienie rzeczy sprowadzi tak niespodziewane opinie. Nie miałem myśli obrażania stanu lekarskiego, owszem, pragnąłem go uczcić za pomocą tego, com mniemał o jego roli w społeczeństwie ludzkim. Zdaje mi się to być dziwnym, że szanowni koledzy znaleźli w tym właśnie kamień obrazy. Przecie ja nie wymagałem od lekarzy ani filantropii, broń Boże! ani tego, żeby nie byli ludźmi bogatymi. Czyż ja nie mówiłem? Mówiłem i powtarzam, że lekarz dzisiejszy jest sługą, lekarzem-sługą ludzi bogatych. Czy sam jest bogaczem, to rzecz drugorzędna. Ponieważ zaś moja myśl zrozumianą nie została, więc ją rozwijam w inny sposób. Lekarz dzisiejszy nie chce nawet zrozumieć, a raczej usiłuje nie zrozumieć tej prawdy, że sprowadzając do zera posłannictwo swoje, współdziała z chytrym, jak mówi dr Płowicz, światem-przemysłowcem. Nie należy służyć „mamonie”. Mieć ją można – mnie to ani grzeje, ani ziębi. A teraz co do mieszkań, przytułków i tych pocziwych kąpiel... Sądzę, że szanowny kolega Kalecki źle zapatruje się na znaczenie tych instytucji. Fundowanie kąpeli dla ludu przez osoby postronne, przez filantropów, uważam za dążność chybioną...

– Paradne! – zawołał ktoś na sali.

– ...gdyż odwraca naszą uwagę od tego, czym obowiązkiem jest kąpiel dla swoich pracowników urządzić. Jeśli dyrektor kopalni węgla wychodzi z podziemia, to ma do dyspozycji wannę urządzoną przez właściciela kopalni. Cóż byśmy sądzili, gdyby dla takiego dyrektora fundował wannę kolega doktor Płowicz z własnych, krwawo zapracowanych, a jednak marnych funduszy? Tymczasem, gdy chodzi o jakiegoś czelczykę poniżej sztygara stojącego na drabinie socjalnej, nic nie mamy przeciwko temu, ażeby doktor Płowicz z własnego majątku fundował mu sposób

ablucji²⁵ zabrudzonego siedliska duszy. Oto gdzie leży kwestia. Utyskujemy, łamiemy ręce nad brudami miast, nad niechlujstwem ludu, my, lekarze, a gdy nastrocza się możność od jednego zamachu skasować niechlujstwo...

– Ciekawa rzecz, gdzie się ta możność nastrocza?

– ...żądając otwarcia łaźni przez tego, w czym interesie potem i brudem okryli się ludzie – my na miasto, do filantropa. To samo...

– Ale kto ma nastawać, kto? Jaki organ, jakim sposobem?

– My, lekarze! My, sól ziemi, my, rozum, my, ręka kojąca wszelką boleść...

– Jakim sposobem, jakim cudem?

– Zmówmy się między sobą, naradźmy, wydajmy uchwałę i walczmy z głupotą społeczeństwa, które nie widzi, co to jest ulica Krochmalna albo Kazimierz krakowski...

– Kpisz pan czy o drogę pytasz!

– Bynajmniej! Jeżeli przychodzą do mnie po radę, to niech jej słuchają! W przeciwnym razie nie lecę, nie lecę wcale! Jeśli nie niszczyć źródeł śmierci...

Mówiąc to wszystko, Judym tracił stopniowo a szybko poczucie pewności siebie. Formalne, kategoriyczne a śmiałe zaprzeczenia wydarły mu z głowy najsilniejsze argumenty. Chciał mówić jeszcze o mnóstwie kwestii, ale podobnie jak przedtem – stracił odwagę. W tej samej chwili, gdy on nie wiedział, co właśnie dalej mówić, nastąpiło w sali zupełne milczenie. W przeciwnym kącie grono zebrane przy stoliku zaczęło głośno rozmawiać o czymś innym. Gospodarz uniósł się ze swego miejsca i oczyma dał znać żonie, że czas prosić do kolacji. Większość zebranych wstawała...

Judym usiadł na swym miejscu spocony, z uczuciem, jakby miał głowę pełną suchego piasku. Widział, że goście przechodzą grupami do sali jadalnej... Nie był pewny, czy ma wyjść, czy zostać. Gdy się wahał, usłyszał obok siebie głos dra Czernisza:

– Kolega będzie łaskaw... Proszę...

Wtedy wstał ze swego miejsca i wraz z innymi przeszedł do pokoju stołowego. Przy kolacji, która dla niego była prawdziwą męczarnią, miał w sąsiedztwie doktorową Czerniszową, która zadawała mu jakieś uprzejme pytania, zmuszała do wypowiadania bezmyślnych zdań o literaturze, malarstwie, nawet o jakimś bilu angielskim...²⁶ Chwilami czuł dziką wściekłość; miał formalny impuls, żeby powstać i zdzielić tę piękną kobietę pięścią między oczy. Jak na urągawisko nie tylko trzymał, ale ze wszystkich stron widział w umyśle racje swoje, głębokie fikcje obmyślane w samotności. Nikt nań uwagi nie zwracał, więc mógł w przerwach

²⁵ ablucja – rytualne obmycie ciała lub przedmiotu

²⁶ bil angielski – uchwała przyjęta przez parlament angielski

między pytaniami gospodyni ćwiczyć do woli swój *esprit d'escalier*²⁷. Kiedy niekiedy tylko zatrzymywało się na nim w przelocie czyjeś spojrzenie i wówczas widział w nim drwinę, której bezlitosne oblicze zakryte było kapturem towarzyskiej przyzwoitości.

Późno w nocy skończyła się kolacja. Część zgromadzenia wróciła do salonu. Inni z cygarami wędrowali do gabinetu, niektórzy zaś po angielsku wymknęli się za drzwi. Do szeregu ostatnich należał Judym. W bramie kamienicy, która była od dawna zamknięta, kilku z uczestników zebrania „wypukiwało” stróża stękającego przed opuszczeniem izdebki. Grono to milczało i gdy się drzwi otwarły, pożegnano Judyma szybkim „dobranoc” i uchyleniem kapeluszków. Został i szedł w tę samą stronę tylko jakiś otyły, niski, wiekowy eskulap, którego Judym zauważył na zebraniu. Była to figura rozlana, o żydowskich rysach i ruchach.



Charakterystyka doktora Chmielnickiego: zapiera się swojego żydowskiego pochodzenia, jest lekarzem, który nie kieruje się powołaniem, przykład dorobkiewicza, który traktuje medycynę tak, jak każdy inny fach.

– Kolega w którą stronę? – spytał Judym.

– Ja? W stronę Krochmalnej... A kolega?

– Na Długą.

– No to idziemy w jednym kierunku.

– Niekoniecznie.

– Owszem. Dlaczego? Ja mogę zboczyć. Przyznam się zresztą koledze, że milej mi będzie iść razem. O tej godzinie... po prostu strach jest iść piechotą. W naszej okolicy niech Bóg zachowa!

– A, jeżeli tak.

Judym szedł wielkimi krokami. Grubas biegł przy nim, sapiąc i wydychając dym z cygara, którego niedopałek żarzył się w samych niemal jego wąsach.

Gdy już oddalili się znacznie od mieszkania doktorostwa Czerniszów, dr Chmielnicki rzekł:

– Szczerze dziś współczułem koledze...

Judym miał inne wyobrażenie o tym współczuciu, zauważył był bowiem przypadkowo tłuściocha, jak prześcigał innych we wzgardliwym nadymaniu ust i w obfitości min ironicznych.

– Dlaczegoż to kolega miał mi współczuć?...

– Jak to dlaczego? Czy kolega może dziś czuć przesyt z nadmiaru krytyki życiowej? U nas, niestety, tak zawsze. Jeżeli ktoś wyrasta nad głowy tłumu, zaraz go...

– Szanowny kolego, ja nie marzyłem o wyrastaniu nad jakiegokolwiek głowy.

– Ja wiem, ja rozumiem! Mówię nie o zamiarze, lecz o fakcie...

– Żałuję teraz, że czytałem moją elukubrację...²⁸

²⁷ *esprit d'escalier* (fr.) – riposta, cięta odpowiedź, spóźniony dowcip

²⁸ elukubracja – kiepski utwór wypracowany mozolnie, ale bez talentu

- Ależ dlaczego?
- Dlatego, że ten wyskok sprowadził między innymi takie oto drwiny szanownego kolegi.
- Kolega się mylisz! Na honor... Mnie imponują ludzie odważni. A co znaczy być wyśmiewanym, być zadreńczonym tym wiecznym śmiechem, jak chory indyk przez stado, to ja wiem najlepiej.
- Jak to?
- Proszę kolegi, od pierwszej klasy przez całe gimnazjum, przez cały uniwersytet, przez całe życie jestem śmieszny. Dlaczego? Ja nie wiem. Oczywiście przede wszystkim dlatego, że mam przyjemność być z Żydów, a po wtóre dlatego, że się nazywam Chmielnicki. Przodkowie moi, nawiasem mówiąc wcale nie lichwiarze ani nie oszuści, pochodzili z miasteczka Chmielnika, więc ich zwano Chmielnickimi. Gdyby byli wiedzieli, ile z racji tego nazwiska wycierpi ich potomek, wcale niegłupi doktor, byliby wybrali dla siebie i dla mnie nie tyle kozackie nazwisko. Mogliby się byli przecie nazwać Staszowskimi, Stopnickimi, Oleśnickimi, Kurozwęckimi, Pińczowskimi, Buskimi. Byłoby to im, a i mnie najzupełniej obojętne. Ze mnie drwili nawet profesorowie. Pamiętam, w Dorpacie nasz nieboszczyk prosektor²⁹ pyta mię pewnego razu przy całym audytorium:
- Panie Chmielnicki, czy aby wierzysz w nieśmiertelność duszy? Pytanie było żartobliwe, a kategoryczne. Odpowiedziałem:
- Panie profesorze, tak jest, ja wierzę.
- A gdzie ona jest ta pańska dusza?
- Jak to gdzie? Jest w ciele człowieka.
- W całym ciele, czy w jakiej części siedzi pańska dusza, panie Chmielnicki?
- W całym ciele siedzi, profesorze.
- A jeżeli człowiekowi urzynają nogę, cóż się dzieje z duszą? Czy urzynają również kawałek duszy?
- Pomyślałem chwilę i mówię:
- Nie. Wtedy zapewne dusza podnosi się cokolwiek wyżej.
- Ten dialog szeroko i daleko uczynił mnie sławnym. Gdybym dziś dał światu nieomylny sposób leczenia gruźlicy, zawsze pamiętano by, że to ten „Czerkies” Chmielnicki, co ma nieśmiertelną duszę, która w miarę okoliczności podnosi się wyżej.
- Proszę kolegi, czyliż jest choć jeden człowiek, który by nie dźwigał na plecach takiego kosza śmieszności? My sami każdemu z przechodzących wrzucamy jakąś bryłkę ciężaru. To samo czynią z nami bliźni nasi. Nic darmo...

²⁹ prosektor – anatom wykonujący sekcję zwłok

– Nie nie! Co innego jest to, o czym kolega mówisz, a co innego specjalne brzemie moje. To nie koszt, który można zrzucić, lecz garb. Niosę zawsze taki, jakiego ciężar poznałeś pan dzisiaj wieczora.

– Ależ to co innego.

– Tak, co innego, bo to było, daruje kolega, zasłużone, cokolwiek zasłużone, moje zaś jest to śmieszność, którą się niesie bez własnej winy.

– Więc ja dziś zasłużyłem...

– No, nie! Ja się mało znam. Ale, proszę kolegi, jak można... Takie ostre wystąpienie przeciwko uznanym prawdom, a nawet, powiem sumiennie, przeciwko... oczywistości. Medycyna to jest medycyna, to jest fach. Ja się nauczyłem, wydałem pieniądze, włożyłem ogrom pracy, ja umiem, mam patent – więc leczę. Dlaczego medycyna ma być związana z filantropią, a inżynieria nie, prawo nie, filologia nie!

– Nic nie chcę słyszeć o filantropii!

– No, to z tymi obowiązkami społecznymi. Dlaczego nie ma obowiązków społecznych rzeźnik, stolarz, poeta, tylko lekarz?

– Wie pan co, nie mówmy o tym.

– Możemy nie mówić, jeżeli kolega nie życzy sobie mówić o tym ze mną. Ale mnie kolegi żal.

– Ech, jeszcze stoję na nogach.

– Kolega wspominałeś o tych biednych szajgacach z Parysowa... Ach, Boże! To była krótka wzmianka, ale w niej malowało się coś takiego... Dzisiaj już mało kto mówi u nas o Żydach jak o ludziach. Jeżeli się o nich mówi, to po to tylko, żeby ich przyrównać do „robactwa”, które oblaźło i żre „ludzi”. Kiedy czytam dzisiejsze pisma, pisma, które jawnie wzywają do nienawiści, do wygładzania, wyrzucania, tępienia Żydów, dzisiaj, i to w imię zasad Jezusa Chrystusa...

– Proszę kolegi...

– Proszę kolegi, ja każde niedzielne wydanie pism... tych pism antysemickich odchlorowuję...

– Po cóż się wzruszać byle czym!

– Byle czym!

– No tak. Pisma takie wydają szuje, nędzne łajdaki, które na szerzeniu nienawiści między ludźmi, na niszczeniu solidarności robią majątki. Z tego zatrutego posiewu budują sobie kamienice. Ale czy wy sami dużo zrobiliście dla podniesienia żydowskiej masy?

– Czy wiele zrobiliśmy! Życie w to kładziemy. Pracujemy dzień i noc.

Więc dlaczegoż, kolego, mówisz, że nie mam racji, wzywając medyków do roli, jaka im się należy?

– Bo tamto robimy dla Żydów, my, Żydzi. Tu gra rolę miłość.

– Właśnie, właśnie. Miłość! Mało też zrobiliście nadymani przez waszą „miłość”. Ja chciałem udowodnić lekarzom, co powinni czynić pod naciskiem nie miłości bynajmniej, lecz wskazań zimnego rozumu.

Byli na Długiej, przed bramą domu, w którym mieszkał dr Tomasz. Na odgłos dzwonka dr Chmielnicki zorientował się dopiero, że gawędząc, przycwałował aż tak daleko. Właśnie przejeżdżała dorożka, więc ją zatrzymał i gramoląc się na stopień, perorował³⁰:

– Kolega się mylisz! Medycyna – to fach.

Zlął raptem znowu, potknął się w rynsztoku, chwycił Judyma za klapę paltota i mówił mu w sekrecie:

– Medycyna to interes jak każdy inny. Nie zapomnij kolega o tym...

– Dobrze, dobrze. Nie mam możliwości o tym zapomnieć, nie mam nawet środka. Ale gdyby mi danym było przeżyć na tym świecie pięćdziesiąt lat jeszcze, ujrzalbym wszystko to, o czym dziś mówiłem, jako fakty zrealizowane. Medycyna będzie wykreślała drogi życia masom ludzkim, podniesie je i świat odrodzi.

– Mrzonki...

– Tak samo z pewnością mówili w zeszłym wieku ci „medycy”, co to z narzędziami swego „fachu” objeżdżali dwory pańskie, pokornie wypytując się, czy kto nie jest słaby, gdy im kto twierdził, że stan lekarski będzie zajmował to ogromne stanowisko, jakie już ma dzisiaj. Kolega się żalisz na szyderstwa, które cię spotykają. Pomyśl, co by cię czekało, ciebie, Żyda-lekarza, sto lat temu?...

Doktor Chmielnicki wwałił się w dorożkę i krzyknął na woźnicę, pragnąc zagłuszyć wzmiankę o żydostwie:

– Krochmalna!...

³⁰ perorować – rozprawiać o czymś, rozwodzić się nad czymś

SMUTEK



Czas akcji – piąty październik.



Miejsce akcji – Warszawa, Aleje Ujazdowskie.



Opis przyrody – złota polska jesień, z drzew spadają rude liście, niebo ma kolor błękitu: przedstawienie impresjonistyczne.

Piątego października doktor Judym wyszedł na spacer w Aleje Ujazdowskie. Był to dzień piękny. Słońce rozlewało ciepło łagodne i blask jeszcze jasny, ale już odchodzący za dziewiątą górę, za dziesiątą rzekę. Szereg drzew Alei, których widok tak dużo wspomnień nasuwał, okryło się już rdzą czerniejącą. W dali, spomiędzy koron kulistych jeszcze, wysuwały się gałęzie bez liści jak smutny jakiś drogowskaz. Ze szczytów sączyły się barwy trupie, zgniłe, czerwonorude i coraz niżej wsiąkało w ciemną zieloność jasnożółte zniszczenie. Tu liść jeszcze żywy otoczył płomień śmierci jakby obwódką dziwnej żałoby, gdzie indziej strawił go do rdzenia, pozostawiając tylko prążki zielone. Błękit niebieski rozciągnięty nad tą wąską smugą przestrzeni był już nikły, zasnuty przedziwem chmurek zwianych i płynących wiotkimi pasmami w dal niedościgłą dla oka.

Doktor minął bramę i wolno schodził w głąb parku. Ogromne liście klonów płynęły z drzew i migały przed oczyma nad ziemią to tu, to tam, jak złote ptaki. Liście orzechów włoskich i drzew ocotowych plamiły zieloność trawników niby krew rozlana i skrzepła. Na dnie pustego parku, w cieniu sokor królewskich niedostępnym dla słońca, spoczywał i wyciągał się mrok chłodny. Daleko, w przecięciach szpalerowych, oświetlone czuby żółtych kasztanów buchały płomieniami jak jęzory żywego ognia. Wszędzie stał rozlany w chłodnym powietrzu miły, ostry zapach liści zwiedłych.

Unikając miejsc ludnych, Judym siedł dawną aleją na koniec parku. Rosły tam najściślejsze, prawdziwie niebotyczne topole, szeleszczące jeszcze twardymi liśćmi; cicho szumiwały srebrne, długowłose wierzyby, co patrzą w obumarłe wody kanałów – i świerki jak posępne mnichy w czarnych habitach, zamykające odległe widoki, marzyły w samotności. Powiew śmiertelny obszedł już wokoło te drzewa i na straży ich postawił wylekłą ciszę.

Dalekie głębie wydawały kiedy niekiedy szmer prędko gasnący, który i człowieka zmuszał do cichego westchnienia.

Gdy w pewnej chwili rozległ się gwar i śmiech dziecięcy, wydał się czymś dziwnym i rzącym wśród surowego szeptu, który mówi o śmierci.

Na gładkie łączki, niby jeziora śniące między kępami zarośli, zstępowały smugi światła prawie białego i ostrymi rysami przerzynały chłodne murawy. Tuż obok

drogi zasłanej liśćmi tańczyły się baseny wody nieruchomej, ślepej i głuchej, która przyjmując w siebie poszarpane plamy firmamentu, dawała jakieś kłamliwe ich odbicie, brzask srebrzący się a niepochwytny. Rysowały się tam czarne pnie i gałęzie olch nachylonych. Każdy ptak siadający dla wypoczynku strącał z nich mnóstwo liści. Chłodne oddechy jesienne niosły te zwłoki skurczone i osadzały na zawsze w cichej powierzchni. Zielona woda płaszczyzn bardziej otwartych pieściła w łonie swym gałęzie kasztanów z liśćmi tak żółtymi, że się wydawało, jakoby płynna jasna farba sączyła się z nich i w głębi odmiennej tonęła. Liście te były zwieszane, przejrzyste, delikatne, a rzucały na środek wody ruchome odbłaski, które z jej barwą zlewały się w podobiznę przepysznego lśniącego brązu. W jednym miejscu słońce, znalazłszy wśród przeredzonych liści obszerną drogę, rzuciło się w głąb wody jak wytrysk roztopionego złota o barwie zbyt trudnej dla żrenicy. Między drzewami co chwila migwały błyszczące pudła powozów pędzących na gumowych kołach. Głuchy turkot ich przerywający milczenie był głosem, który z zinnem przyrody harmonizował. To był wyraz bogactwa, czegoś tak obojętnego jak ona sama. W umyśle budziły się skojarzenia, które milczą, chociaż istnieją, podobnie jak dźwięk w natężonych strunach.

Doktor Tomasz w powszedniej trosce życiowej nie roztrząsał ich ani kształtował, ale one z dnia na dzień jak miriady niewidzialnych mikrobów asymilowały się z umysłowością. Teraz spajały się w silne sylogizmy¹ i od zjawiska przechodziły do zjawiska, sięgając do głębin treści. Były to myśli parweniusza², który trafem stanął u drzwi pałacu kultury. Tkwiła w nich przede wszystkim skryta pod maską miłości ubogich drapieżna zazdrość indywidualna względem cudzego bogactwa. Od wieków płonęła jak piekielny ogień w sercu przodków, była najsilniejszym, choć najskrytszym ich uczuciem. W duszy ostatniego potomka nie zionęła już z niej śmiertelna, ślepa zemsta, tylko wysnuwał się głęboki, rozległy żal. Niegdyś, za czasów dzieciństwa i młodości, wytryskiwała z tego samego źródła potężna energia człowieka z ludu, który cwałem biec musi tam, gdzie wszyscy inni „dobrze urodzeni” równo, systematycznie i bez trudu idą. Później wyłamywały się z tej zazdrości złudy oryginalne, hipotezy, plany i gwałtowne marzenia, które nieraz przeradzają się w namiętność i łamią siłę nawet pieniędzy. Teraz, w dniu spaceru, wszystko pierwszy raz owiał jak gdyby chłód jesienny. Judym uczuł w sobie nie dającą się określić jasnymi słowy agonię tych właśnie dawnych marzeń. Uczucie jego znosiło proces podobny do lotu strzały rzuconej z tęgiej cięciwy i pędzącej jeszcze w przestrzeń, kiedy na wielkiej wysokości zwalnia biegu, uczuwa nagle

¹ sylogizm – wyciąganie wniosku na podstawie dwu przesłanek

² parweniusz – dorobkiewicz; osoba, która niedawno awansowała do klasy ludzi zamożnych i stara się naśladować jej sposób życia

swój ciężar, który ją wkrótce, choć nie wiadomo kiedy, odwróci grotem na dół i porwie ku ziemi. W którąkolwiek stronę rzuciła się dusza młodego lekarza,



Tomasz Judym:
Odczucia
po odczycie
u Czernisza.

wszędzie uderzała w jakąś siłę zdradziecką podobnie jak pływak, z męską mocą wyrzucający ramiona wśród wodnej przestrzeni, zajęty zwalczaniem tylko jej słabego oporu, gdy się z nagłą uderzy piersiami o pal nieznany. Judym uczył pierwszy raz w życiu, że pal mocniejszy jest niż piersi ludzkie. I pierwszy raz zastanowił się nad tym, że można pływać tylko po wiadomej, przez wszystkich sprawdzonej toni. Z cichego szelestu liści płynęło do jego serca rozumienie, że się na świecie nie jest niczym osobliwym, że się będzie jednym z wielkiego szeregu. Był to jakby bezwiedny rachunek z samym sobą, zbieranie do kupy rzeczy już zdobytych dla sporządzenia skrzętnego ich rejestru. Wypadało z tych obliczeń, że to, co już zostało zdobyte, to jest los bardzo wielki. Ale zarazem nie ginął jeszcze z oczu przestwór dawny, owszem, roztwierał się daleki, nieobeszły... To, co chce uczynić, co mógłby, za co życie swe gotów jest położyć człowiek nowoczesny, doktor Judym wdział w głębi swego serca. I czuł, że od tych prac musi cofnąć ręce.

Wszystko, czym dusza jego żywiła się, tak samo jak ciało chlebem, w czyn się zamienić nie mogło, musiało pozostać sobą, tym samym, marzeniem. Ze wszystkich tych zazdrości i pragnień ofiarnego działania na dużym polu, z żarłocznych egoizmów, które się przeistoczyły w czucia nadindywidualne, wolno teraz idących drzemać w przymusową bezsilność, sączył się smutek jak pałace krople trucizny. Napojone nim serce obejmowało świat, ludzi i rzeczy jakby w minucie pożegnania.

Smutek, smutek...

Rozkuwał marzenia z kajdan myśli i przenikał duszę na wskroś, jak noc przenika wodę. Zostawał z człowiekiem sam na sam niby ulotny a niewątpliwy cień jego postaci. W którąkolwiek stronę, od jakiej rzeczy wzrok było obrócić, wił się po ziemi niedocieczony a wszędzie obecny.

Doktor Judym szedł pustym szpalerem, z głową zwieszoną, z rękami w kieszeniach paltota. Czasami potraçał nogą kasztan świeżo wylusknęty, błyszczący wśród suchych liści, albo świstał przez zęby aryjkę gdzieś niegdyś słyszaną i lichowię dla czego trzymającą się pamięci. Staął u końca alei nad wodą i chciał przejść na drugą stronę szosy, ażeby skierować się ku pałacowi, a potem ku wyjściu. Karety jedna za drugą pędzące wstrzymały go na miejscu. Leciąca jedna, tuż za nią druga, trzecia... Judym ścisnął zęby i zmrużonym okiem przeprowadzał te pojazdy. Do melodii jego aryjki przyczepiło się słowo:

– Powozy, powozy, powozy...

Trzeba było jeszcze stać na miejscu, gdyż z oddali pędził ostrym kłusem czwarty, lśniący wolancik.

Doktor wsparł się na niskiej barierze i ociężałym wzrokiem spotykał jadące osoby. Nagle doznał takiego wrażenia, jakby go ze wszystkich stron otoczyło promienne światło wiosny i zapach róż. W powozie siedziały trzy panienki, z którymi swego czasu zetknął się w Paryżu i jeździł do Wersalu. Starsza z nich, panna Natalia, odwróciła głowę i poznała doktora. Gdy nieśmiałym ruchem niósł rękę do kapelusza, skinęła mu głową i rzekła coś do towarzyszek. Wówczas odwróciła się panna Joanna i Wanda zajmująca przednią ławeczkę. Doktor zobaczył tylko twarz i uśmiech pierwszej, gdyż konie porwały wolant i uniosły go między drzewa. Uśmiech ten snuł się przez mgnienie oka w jego źrenicach jak błysk światła. Potem z wolna rozwiął się w nicość.

Promienie słoneczne gasły na wodzie i zamierały w głębinie liści, jakby ustępując przed ostrym chłodem, który się z wody i z ziemi dźwigał. Sennie i z posłuszeństwem, niby na rozkaz tych martwych fal niewidocznych, płynęły żółte liście i kołysały się na powietrzu. Zdawało się, że wybierają dla siebie mogiłę, zstępując z ciemnych schodów. Judym szedł w swoją drogę ze spuszczoneymi powiekami, zatopiony w marzeniach.

PRAKTYKA

Proroctwo doktora Płowicza co do dalszych losów Judymowych spełniło się o tyle, że istotnie tablice z wyszczególnieniem godzin przyjęcia umocowane zostały nie tylko na drzwiach mieszkania doktora Tomasza, ale także u wejścia do sieni kamienicy, w której zamieszkał. Szyldy te opiewały, że doktor przyjmuje w godzinach popołudniowych, między piątą a siódmą. Całe ranki spędzał w szpitalu na oddziale chirurgicznym, gdzie pełnił obowiązki asystenta. Stołował się, jak za czasów studenckich, na mieście, a od godziny piątej, stosownie do wskazań spizowymi literami wyrytych na tablicach, siedział w „gabiniecie” aż do siódmej. Nie pozwalał sobie ani najdrobniejszego przekroczenia godziny piątej, tym mniej wydalanania się przed siódmą. Już w chwili wynajęcia lokalu zdecydował, że trzymać się będzie tego przepisu jak najściślej, toteż wykonywał go ze skrupulatnością nieubłaganą, odtrącając wszelkie impulsy i mamidła przez wzgląd na kształcenie w sobie charakteru, a osobliwie wytrwałości. Prawda, że w ciągu miesiąca września, października, listopada, grudnia, stycznia i lutego nie zjawił się w tym mieszkaniu ani jeden pacjent, ani jeden „kulawy pies niosący w zębach rubła”, jednak nie upoważniało to wcale do zrywania tablic, a tym mniej do jakichkolwiek przerw i uchybień w kształceniu woli. Było i jest rzeczą wiadomą, że początki praktyki... itd. Toteż doktor Tomasz czekał niezachwianie.

Lokal składał się jak gdyby z trzech pokojów. Największy z nich (właśnie „gabinet”) oddzielony był sienią od znacznie szczuplejszego, który stanowił „poczekalnię”. Zarówno sień, jak i poczekalnia przepołowione były forsztownianami, pierwsza na sień i pseudokuchnię, druga na poczekalnię właściwą i, jeżeli godzi się tak go nazywać, pokój sypialny. Cały apartament mieścił się na dole, od frontu, co zaopatrywało go wprawdzie w turkot ulicy Długiej oraz w wilgoć, ale za to pozbawiało światła dziennego. Co się tyczy umeblowania, to doktor Judym żywił i wprowadzał w czyn mniemanie radykalne: „Po co – myślał – mam meblować mieszkanie, *cui bono*¹? Czy mój pacjent zyska co na tym? Czy może ja za pomocą kanap i obrazów zyskam pacjentów? Bynajmniej!”

Co postanowił, to wykonał, a raczej nie wykonał w tym mieszkaniu nic prawie. W „gabiniecie” stał stolik przykryty bibułą, na nim kałamarz, pióro i papier do pisania recept. Obok stolika czekały cztery drewniane stołki. Przy ścianie nudziła się stara sofa obita czymś wzorzystym.

¹ *cui bono* (łac.) – dla czyjego dobra

W „poczekalni” mogło się rozsiąść wygodnie co najmniej pięciu pacjentów. Była tam kanapa, dwa fotele, parę stołków, „Tygodnik Ilustrowany”², pojedyncze numery różowego czasopisma „Głos” i jakiś impresjonistyczny rysunek w ramkach na ścianie. Wszystkie te meble, z wyjątkiem naturalnie „Tygodnika”, „Głosu” i rysunku, kupione zostały za gotówkę na ulicy Bagno w pewnym bardzo renomowanym składzie bardzo „hrabskich” mebli. Podłogi zostały świeżo pomalowane olejną farbą, w przedpokoju umieszczono lustro (wszystko ku wygodzie i niezbędnej potrzebie pacjentów). Co prawda lustro miało właściwości szczególne. Pacjent najbardziej trzeźwo usposobiony mógł dostać pomieszczenia zmysłów, ujrawszy w tej tafli szklanej swe oblicze... Nos ukazywał się tam zawsze rozdęty jak kolba dubeltówki, jedno oko w czole, a drugie tuż przy prawej dziurce nosa, usta literalnie od ucha do ucha i nad podziw imitujące buzię nosorożca. Obowiązki gospodyni mieszkania, służącej a zarazem portierki, która by na pierwszy odgłos dzwonka otwierała drzwi pacjentom, przyjęła niejaka pani Walentowa, małżonka wędrownego bednarza. Mieszkała w suterenie tego samego domu, a tuż pod „gabinetem” doktora Judyma, co w znacznej mierze ułatwiało komunikowanie się za pośrednictwem walenia obcasem w ziemię. Pani Walentowa było to babsko stare, grube, skręcone przez rozmaite suterenowe łamanie, niewątpliwie złopiące monopol w dużej ilości, aczkolwiek w sekrecie jednym słowem grzmot warszawski.

Jako wyręczycielka mamy spełniała czynności mniej więcej piętnastoletnia córka, dosyć ładne dziewczątko, czekające tylko odpowiedniego wieku, ażeby wyjść na ulicę z ciemnicy suterenowej.

Te białogłowy zagospodarowały się w mieszkaniu doktora Tomasza z taką wszechwładzą, że mowy być nie mogło ani o ukróceniu ich praw, ani tym mniej o jakiejś zmianie trybu postępowania. Wyrzec się ich usług nie było możliwości, gdyż zaczynały obydwie ryczeć jednym strasznym bekiem, wzywając na świat dectwo głód, chłód, nędzę, bóle, łamanie... Procesować się o wszelkie rzeczy ginące nie wypadało, gdyż zaklinały się z miejsca na tyle i takich sakramentów, że chyba człowiek wyzuty ze wszelkiej delikatności mógłby je podejrzewać o krywoprzysięstwo. Co się działo ze świecami, z naftą, węglem kamiennym, cukrem, chlebem, herbatą, masłem, ze składowymi częściami garderoby męskiej itd. – to jest wieczną tajemnicą. Każdy prawie przedmiot kupiony za pieniądze tyle istniał w świecie zjawisk rzeczywistych, o ile figurował w rachunku. Poza tym bytował tylko w imaginacji Judyma podsycanej przez niektóre ze zmysłów. Świec nabytych nigdy, literalnie nigdy nie było. Wstępując nocną porą w progi domowe,

² „Tygodnik Ilustrowany” – czasopismo poświęcone literaturze, sztuce, problemom społecznym, wydawane w Warszawie w latach 1859-1939; współpracowali z nim między innymi E. Orzeszkowa, H. Sienkiewicz, B. Prus

doktor Tomasz zawsze lał omackiem i nadaremnie szukał zapalek, lichtarza, lampy... Że jednak świece rzeczywiście w mieszkaniu egzystowały i płonęły, o tym świadczyła wielka obfitość kropel zastygłej stearyny nie tylko na lichtarzu, na podłodze, na obiciu kanapy, stołków, na prześcieradłach łóżka, ale także dziwnym zbiegiem okoliczności na ineksprymablach i żakietach wiszących w szafie na klucz zamkniętej. Lampa była wiekiusie wewnątrz pusta, z upalonym knotem, ale za to niewątpliwie naftą pooblewana ze strony zewnętrznej i cuchnąca tym szlachetnym paliwem z odległości pięciu kroków, co w każdym razie wskazywało, że co kupiono, to wlewano ze szczodrobliwością. Cukru i bułek dr Tomasz nigdy w szafie nie znalazł, choćby się z głodu wił pod jej drzwiami, natomiast nie zamiecione okruszyny stały się wszędzie, a szczególnie w łóżku... Jedna poręcz wyściełanej otomany, kupionej za gruby pieniądź, wkrótce okryta została jakimś szczególnym tłuszczem, a druga uczerniona szuwaksem³ i zwalana błotem, jak to mówią, do cna. Wyobraźnia doktora widziała niby w biały dzień na jednym z wałków cennego mebla wypomadowaną głowę panny Zośki, a na drugim oparte tejsze Zośki kopyta (wyobraźnia widziała mianowicie kopyta – nie nogi). Stolik świeżo „na moje sumienie” politurowany, kiedy go kupowano w sklepie, był wkrótce zbiorowiskiem okrągłych śladów (wymownie świadczących o tym, że jednakże samowar doktorski produkuje znakomity wrzątek). Z początku dr Tomasz usiłował wytworzyć stosunek pełen życzliwości, braterski. Nim upłynął miesiąc, już walczył, a w listopadzie był zwyciężony i wzięty do niewoli. Odtąd, jeżeli nawet zastał Zoşkę wylegującą się na kanapie z kopytami obarczonymi błotem, jeżeli nawet spostrzegał Walentową żłopiającą herbatę z arakiem przy stole obficie zastawionym jego wiktuałami, stosował jedynie możliwą, aczkolwiek mało skuteczną metodę włoską: *guarda e passa*⁴. Nie było innej rady... Zamykał się w swoim „gabiniecie”, a resztę mieszkania oddawał *in direptionem*⁵.

W godzinach przyjęcia doktor Tomasz nie ośmiewał się czytać książek. Siedział za swym stolikiem wyprostowany i czekał. Tak było we wrześniu, w październiku... Z czasem pozwolił sobie na czytanie gazet w pozie już to siedzącej, już leżącej. Przy końcu grudnia tegoż roku czytanie gazet odkładał w ciągu doby na godziny przyjęć, a po Nowym Roku zaczął znosić do gabinetu na te właśnie godziny rozległe utwory Zoli, Jokaja, Dumasa, Lama. W sieni zawsze o tej porze siedziała Walentową na wyściełanym krzeselku, z nogami okręconymi jakimś grubym wołokiem. Z początku tak zwanej wizyty baba kaszłała, stękała, wdychała na

³ szuwaks – pasta do butów lub czernidło do wąsów

⁴ *guarda e passa* (wł.) – cytat z „Boskiej komedii” Dantego: *non ragionam di lor, ma guarda, e passa* – nie mówmy o nich, tylko spójrzmy i idźmy dalej

⁵ *in direptionem* (łac.) – na rozgrabienie

świadectwo czuwania – w środku stopniowo zacichała, a wkrótce potem dawało się słyszeć tegie chrapanie. Bywały dnie takie, że w ciągu drugiej części programu rozlegał się rumor i łoskot. Walentową w trakcie drzemki zlatywała z chwiejnego krzesła. Po każdym takim wypadku doktor musiał jej dawać kopiejkę na arak, gdyż przysięgała na wszelkie świętości, że to słabość z głodu i czczości tak nią rzuca o ziemię. Kilkakrotnie wzywano młodego eskulapa do mieszkańców domu w raptownych wypadkach zasłabnięć, przeważnie poniedziałkowej natury. Raz w jesieni przyszedł stary introligator z sąsiedniej kamienicy, zadzwonił, zbudził Walentową i narobił istnego piekła. Judym badał go, stukał, pukał, wyginał, kładł na sofie, gniótł, oglądał ze wszystkich stron i wypuścił, rozumie się, bez pobrania honorarium. Po tym zdarzeniu nastąpiła cisza trwająca dobre dwa miesiące.

Pewnego dnia w marcu, znowu w godzinie przyjęć, dał się słyszeć cichy głos dzwonka. Walentową otworzyła drzwi i wpuściła małą, chudą damę w czerni, o twarzy wywędłej, suchej i mizernej.

Przybyła spytała o doktora Judyma i powziawszy wiadomość, że jest u siebie, weszła do gabinetu.

„Pacjentka, jak mi Bóg miły!...” – jął myśleć doktor Tomasz i doznał ciepłego uczucia na samą myśl o pierwszym rublu zapracowanym we własnym apartamencie.

Dama wśród ukłonów obustronnych zajęła miejsce i rozejrzała się po umeblowaniu.

- Pani dobrodziejka jest cierpiąca? – zapytał doktor.
- O, tak, panie konsyliarzu... Od lat, od całego szeregu lat...
- I jakież to cierpienie?
- Gdybyż to jedno! Cały szereg chorób, które inną osobę, mniej wytrzymałą, dawno by wpędziły do grobu.
- Ale główna, zasadnicza?
- Czyja wiem, panie Konsyliarzu. Zapewne wątroba...
- Wątroba... Otóż...
- Bo to jakaś duszność, bezsenność, kaszel, bóle...
- Więc są bóle? I to w tej okolicy?
- Ach, jakie bóle! Język ludzki wyrazić tego nie jest w stanie!
- Bóle... rozdzierające, uczucie rozdzierania, nieprawdaż?
- Tak, bywa i to. Nieraz budzę się rano, to jest, podnoszę się rano przepędziwszy noc bezsennością i jestem tak upadająca...
- Proszę pani, apetyt?
- Ale któż by na to wszystko zwracał uwagę, panie konsyliarzu, któż by przykładał swoje cierpienia do tego, co znosi nieszczęśliwa ludzkość.

„Patrzajcież... – myślał Judym – a to co znowu?”

– Zapewne pan konsyliarz słyszał... – zaczęła dama poprawiając się na krześle i przyciskając do piersi swoją torebkę – o naszym stowarzyszeniu, którego celem jest nawracanie dziewcząt, pojmuje pan konsyliarz, złego prowadzenia się.

Tu dama spuściła oczy i zaczęła patrzeć w kąt gabinetu.

– Nic a nic nie słyszałem... – rzekł Judym.

– Otóż... celem naszego stowarzyszenia jest – po pierwsze...

I jazda! Minęło pół godziny, trzy kwadranse, godzina... Dama bez przerwy mówiła o celach stowarzyszenia. Na początku drugiej godziny zaczęła mówić o środkach, a właściwie o braku środków.

Gdy upłynęło mniej więcej sześć kwadransów od chwili zaczęcia tej dyskusji, nastąpiła wreszcie prośba o wsparcie zasiłkiem stowarzyszenia, które itd.

Doktor bez wahania wyjął rubla papierowego, położył go na stole i rozprostował palcami. Dama niezwłocznie wzięła datek, zapisała coś w karneciku i znowu wśród słów biblijnych, ukłonów, uśmiechów i dziękczynień wionęła za drzwi.

Walentową po wyjściu kwestarki dostała wściekłego kaszlu. Doktorowi, gdy stał na środku gabinetu i świstał przez zęby, wydało się, że grzmot, który, rozumie się, podpatrywał przez dziurkę od klucza, pęka ze śmiechu, że się dusi i parska...

Takie były w krótkim zarysie dzieje początkowe kariery doktora Judyma. Resztki funduszu zostawionego przez ciotkę wyczerpały się, kredyt u sklepikarzy był poderwany, a przyszłość nadchodziła mglista. Od chwili wypowiedzenia niefortunnej lekcji o pauperyzmie⁶ w salonach doktora Czernisza, Judymowi było w świecie lekarskim nijako. Nie mógł się skarżyć na to (nie miał prawa), żeby ktokolwiek odsunął się od niego czy świadomie stronił, ale czuł dokoła siebie próżnię i wyziębłe miejsce. Starsi i młodszy koledzy witali go, jak dawniej, uprzejmie; byli tacy, co może nawet niżej kłaniali mu się kapeluszymi, ale w powietrzu drgała rada: bierz manatki, filozofie, i ruszaj w świat, bo tu nic nie wysiedzisz...

Doktor Tomasz rozumiał to sam znakomicie, że w organizmie żywym uczeplił się jak obce ciało, które tamuje krążenie krwi pulsującej. Gdyby się był zbliżył do ludzi wybitnych, zasięgnął ich wskazówek, odwiedzał ich jako gość i domownik, stałby się wkrótce jednym z trybów tej maszyny i zyskał klientelę. Rozumiał to wszystko bardzo pięknie, wiedział, jakby być mogło, co by należało zrobić, ale dzikie myśli i uparte trzymanie się tego, co one już spłodziły, powstrzymywały go od zmiany trybu postępowania.

Zdecydował się iść drogą, którą sobie był obrał, no i siedł, rzecz prosta, w niezupełnie całych butach.

⁶ pauperyzm – stan ubożstwa ludności

W tym czasie (przy końcu marca) wczesnym rankiem przybiegła Wiktorowa z wiadomością o mężu. Rozповідаła, jak co było, głosem z płaczu oślizgłym blisko godzinę, a później, wymieniwszy wszelkie szczegóły skrupulatnie, zabrała się i odeszła do swej fabryki.



Los Judyma
po odczycie
u Czernisza.

Doktor długo siedział w mieszkaniu, pełen myśli iście marcowych. Wszystko szło dziwnie źle, opacznie, piętrzyło się, jak zator kry na rzece, tamując bieg życia. Rozmyślał o tym, że musi obecnie pomagać bratowej, utrzymywać i ją, i całą rodzinę w zastępstwie Wiktora, gdyż zostawić ten obowiązek wyjątkowo na barkach biednej kobiety – nie było możliwości. Tymczasem finanse były w stanie opłakanym. Pełen gorzkich myśli udał się Judym do swego szpitala. Wyszedł stamtąd wcześniej niż zwykle, czuł bowiem w sobie jakąś niemoc wewnętrzną przeszkadzającą mu w pracy. Ze wstrętem powłókł się do mieszkania Wiktora. Zastał tam tylko ciotkę, która coś pod oknem ścibała, i dzieci dokazujące w sąsiedniej izbie. Ciotka miała oczy przekrwione od płaczu, usta zacięte, nos jeszcze bardziej ostry. Przywitała go wzrokiem pełnym niechęci, prawie odrazy. Zawsze na niego krzywo patrzyła jako na pupila i spadkobiercę siostry swej, którą przed laty okropnymi słowami wyklęła... Teraz, widać, zawziętość wzmogła się i dosięgła ostatniej granicy.

Judym nie zwracał na starą uwagi. Usiadł w kącie i sennym okiem przypatrywał się izbom dotąd nie uporządkowanym. Widok zdziczałych dzieci nasunął mu myśl, żeby teraz, kiedy nic lepszego nie ma do roboty, zająć się edukacją tych siostrzeńców. Wziął na spytki chłopca i przekonał się, że urwis czyta jako tako, choć z ciężkim stękanieniem, ale poza tym ani be, ani me. Owa sztuka czytania było to dzieło ciotki, która teraz spod oka patrzyła na praktyki Judymowe. Karola zaledwie umiała rozróżnić litery.

Był prawie zmrok, kiedy doktor stamtąd wyszedł. Brnął z nastawionym kołnierzem, ze wzrokiem upadłym, pełen wewnętrznej nudy i lenistwa. Odruchowo, nie widząc ani ludzi, ani ulic, żeglował w stronę cukierni, gdzie czasami czytywał dzienniki. Na rogu, szybko skręcając w dzielnicę ludniejszą, zetknął się z doktorem Chmielnickim.

– O, cóż to kolega tak siarczyście maszeruje? – zawołał grubas – o małościę mię nie uszkodzili...

– Ja? Ale gdzież tam – idę...

– Widzę, widzę – do chorego.

– Akurat! – parsknął Judym na całe gardło.

– Nie do chorego? – spytała chluba miasta Chmielnika z odrobiną ironii w głosie.

– Nie mam wcale chorych! – rzekł Judym i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Zaraz, czekajcie chwileczkę! Jeżeli wam do zdechłaków nie pilno, to dlaczego nie uciąć gawędki?

– Kiedy zimno. Chodź kolega na kawę, to będziesz gadał, a ja posłucham.

– Dobra! Idę na świeżego „Kuriera”, akurat mam odrobinę czasu.

Poszli ulicą i wkrótce zasiedli przy marmurowym stoliku w pięknej cukierni. Dr Chmielnicki wyładowywał ze siebie półgłosem rozmaite świeże kawały, z wielkim obiektywizmem wciągając do tej serii kawały, gdzie jego rodacy prezentowali się nieszczerze. Judym śmiał się z anegdot, ale tym śmiechem warg, w którym oczy nie biorą żadnego udziału i który zbyt przeczulona subtelność narratora mogłaby poczytywać za impertynencję. W trakcie jednej ze szczególnie jakoby paradnych historyjek „Czerkies” zniechęca zapytał:

– Ale, ale, może byście wyjechali na prowincję?

– Czego? – krzyknął dr Tomasz.

– Nic, nic! Ja tu mam misję wyszukania asystenta dla mojego kolegi Węglichowskiego, który jest dyrektorem zakładu w Cisach. Jeśli wy nie chcecie, to trzeba będzie szukać kogoś innego. Na śmierć zapomniałem...

– No, to ja nie pojedę na prowincję.

– To nie jest jakaś ordynarna prowincja, jakieś Kurozwęki (choć to stamtąd niedaleko) ani tym podobny Łagów. Uchowaj Boże!

– Nie jadę do Kurozwęk ani nawet do Łagowa.

– Ach! Czy ja was biorę za kołnierza i ciągnę do Łagowa? Mówię tylko, *relata refero*⁷. Niezwłocznie obraża! Rozumie się, że wy nie możecie tam jechać. Jak to? Być w Paryżu u Lucas Championiera⁸ i potem jechać do Cisów. To przecie nonsens.

– Spodziewam się, że to nie tylko „nonsens”, ale nadto nonsens.

– Bez wątplenia. No, ale nie idzie za tym, żebyśmy nie mieli deliberować⁹ nad kwestią obsadzenia asystentury u tego kochanego „Węglicha”.

– Co to znaczy słowo „Węglich”?



Chmielnicki
o Węglichow-
skim.

– Węglichowski jest moim kolegą z Dorpatu. Mieszkaliśmy razem. Tęgi lekarz... mógłby z niego być, gdyby nie to, że ten człowiek zawsze wszystko brał lekko. Nie lubi czytać – ot, co jest. A od chwili znanego przewrotu w medycynie warszawskiej, kto nie czyta, kto nie pozuje na uczonego, ten musi szukać jakichś Cisów.

Znasz kolega Cisy?

– Nie znam. Słyszałem o tym coś... To w Kieleckiem, zdaje się...

⁷ *relata refero* (łac.) – relacjonuję to, co sam usłyszałem

⁸ Lucas Championier – chirurg francuski

⁹ deliberować – długo rozważać lub zastanawiać się nad czymś

– Aj, „zdaje się”... Jak można takich rzeczy... „Cudze rzeczy znać dobrze, a swoje potrzeba!”

– Kolega mi aplikuje niniejszą sentencję w sensie admonicji¹⁰ czy tylko jako wzór krajowego przysłowia?

– Doskonale, paradnie! Ale wracając do „Węglicha”...

– Ach, z tym „Węglichem”...

– Ależ posłuchajcie! Wy tam młodszy znacie się między sobą, łatwiej możecie wskazać odpowiedniego człowieka. Miejsce wcale niezłe. Dają tam sześćset rubli...

– Fiu – fiu...

– Pyszny lokal i całkowite utrzymanie.

– A cóż trzeba robić.

– Zwyczajne rzeczy. Głupstwa. Latem zjeżdża się dosyć chorych, więc pospołu z innymi lekarzami trzeba się nimi zająć. Kąpiele, uważacie, wanny, natryski – o, takie rzeczy. Figle w gruncie rzeczy, a w okolicy praktyka jak sto tysięcy diabłów. To nie jest byle co. Może kto z waszych znajomych skusi się na te Cisy.

Judym zamyślił się, kazał sobie podać jeszcze jedną filiżankę kawy, wypił ją duszkiem, odstawił i rzekł do Chmielnickiego:

– No, dobrze, ja mogę jechać na to miejsce.

– A co? Nie powiedziałem? Pyszna myśl!

– Gdzież jest ten doktor Węglichowski?

– Jest właśnie w Warszawie i jutro zgłosi się do was.

– No, to już może ja do niego?

– A dlaczego? Przyjdzie do was. O której godzinie?

– Między piątą a siódmą.

– Tam u was, na Długiej?

– Na Długiej.

– Dobra.

Dr Chmielnicki zapisał sobie coś w notesiku, patrząc do jego wnętrza lewym okiem jak przez lupę, złożył gazetę na sąsiednim stoliku, gdzie właśnie jakaś „piękna Iza” szczyrzyła zęby do wymokłego lowelasa, i podał Judymowi prawicę.

– A więc do jutra! Świetna myśl...

– Zobaczmy... – mruknął doktor Tomasz, zwieszając głowę.

Gdy dr Chmielnicki zniknął, pogrążył się w rozmyślaniach: „Tak, tak... Trzeba dokąś iść, to darmo. Wiktorowa się nie wyżywi, a i ja czyż długo bym potrwał z taką sumą pacjentów jak obecnie. Pojadę. Może nie na zawsze, może na rok, na dwa. Może gdy wrócę, będzie, do stu tysięcy diabłów, co innego.”

¹⁰ admonicja – upomnienie, pouczenie

Za powrotem do domu, w nocy i następnego dnia bez przerwy myślał o wyjeździe. Żałował Warszawy całym sercem. Porzucenie jej było dla niego tym przykrejsze, że sam był z urodzenia łykiem, mieszcuchem, znającym wieś z wycieczek letnich, z romansów, opowiadań ustnych, z rysunków. O tym, jak to się zimą mieszka wśród tych pól olbrzymich, po których zamieć tańczy, nie myślał nigdy. Teraz to wszystko snuło mu się przed oczyma i przynębiało.

Nazajutrz o godzinie piątej zasiadł w swym fotelu i spokojnie oczekiwał kaktizmów mających nastąpić. Minęły zaledwie dwa kwadranse, gdy dzwonek



Węglichowski:
Wygląd.

mocno szarpnięty zadrżał jakby ze strachu i począł krzyczeć na starą o roztwieranie drzwi co rychlej. Wszedł do mieszkania i zapytał o Judyma pan niskiego wzrostu w zniszczonych bobrach. Gdy doktor Tomasz wybiegł na jego spotkanie, usłyszał oczekiwane nazwisko:

– Węglichowski.

Był to człowiek lat pięćdziesięciu kilku, niski, bodaj za mały, chudy, kościsty. Należał do rasy jędrnych, zdrowych, zwinnych staruszków, którzy prawie nie zmieniają się w ciągu piętnastu, dwudziestu lat od czasu, gdy posiwieli. Twarz miał przyjemną, o rysach regularnych, ze skórą rumianą, koloru wypieczonego chleba. Z natury krótka, kędzierzawa broda, bieluteńka jak mleko i także wąsy zdobiły ją harmonijnie i dopełniały mile barwę twarzy, nadając obliczu wyraz szczególnego wdzięku. Mimo woli witało się tę głowę myślą: „Jaki to przystojny, jaki ładny staruszek!” Włosy na jego skroniach, zupełnie tak samo białe jak broda, srebrzyły się dokoła łysiny. Nade wszystko uderzały oczy. Właśnie uderzały. Czarne jak tarki, błyskotliwe, mieniły się od postrzeżeń, znamionując rozum, a raczej spryt pierwszorzędny. Dr Węglichowski ubrany był w skromne, czarne suknie, które na nim dziwnie dobrze leżały. Jego zwykły stojący kołnierzyk, czarny, niemodny krawat były w harmonijnej zgodzie z całą postacią, a jednocześnie wskazywały na dbałość o siebie daleką od elegancji, na czystość, które stało się przywarą, nałogiem, prawem.

Wszedłszy do gabinetu, doktor Węglichowski zmierzył badawczym spojrzeniem (wcale nie ukradkiem ani przelotnie) wszystkie sprzęty, usiadł na podanym krześle z dala od stolika, strzepnął jakąś prószynkę z kłapy surduta, zmrużył powieki i wlepił w Judyma swe mądre oczy. Ten doznał bardzo nie miłego uczucia przymusu, a raczej podwładności wobec tego człowieka, którego pierwszy raz w życiu widział i z którym był mocen rozejść się bez zwłoki. Poznanie wewnętrzne mówiło mu, że nie mógłby władać tym staruszkciem za pomocą żadnej siły: ani za pomocą pieniędzy, ani za pomocą siły nauki. Jakby dla skasowania tej obserwacji twarz dra Węglichowskiego rozwidnił grzeczny uśmiech:

– Przyjaciół mój z czasów dorpaczkich, doktor Chmielnicki, mówił mi, że kolega zgodziłbyś się wyjechać z Warszawy w charakterze asystenta...

Słowa te brzmiały miękko i cicho.

– Tak, wspomniałem koledze Chmielnickiemu... – odrzekł Judym bez własnej woli i wiedzy tym samym tonem – chociaż zależałoby to od wielu okoliczności.

– Zależałoby od wielu okoliczności... Kochany panie... Czy znasz kolegę Cisy?

– Nie, ani trochę, tak dalece, że wczoraj nie umiałem powiedzieć, gdzie, w jakiej guberni, w jakiej okolicy kraju leżą te Cisy.

Dyrektor Węgliczowski milczał przez taką akurat chwilę, jaka mogła w sobie zawrzeć zdanie: Dziwi mię, że się tym chwalisz...

– Czemu chcesz wyjechać z Warszawy, kochany panie? – rzekł głośno.

– Dla bardzo prostej przyczyny: nie mam tu z czego żyć.

– Z czego żyć... – powtórzył doktor Węgliczowski jak echo, takim głosem, jakby nie tylko racja wydała mu się zupełnie wystarczającą, ale nadto jakby położenie młodego lekarza bez praktyki uważał za całkiem wzorowe i z prawem zgodne.

– Zresztą – ciągnął doktor Tomasz niechętnie – są jeszcze inne powody. Nie chcę ich ukrywać przed panem. Miałem tu w jesieni roku zeszłego odczyt, który jest wyrazem moich stałych i niezmiennych przekonań, a który nie podobał się ogółowi lekarzy. Nie mam nadziei, żebym kiedykolwiek mógł tutaj stworzyć sobie możliwość jakiejś szerszej działalności.

Dyrektor nie spuszczał z Tomasza oka, gdy ten mówił frazesy powyższe. Oczywiście nie tylko przypatrywały się twarzy mówiącego, ale wywłóczyły zeń prawdę, jak magnes rusza i ciągnie z ich miejsc martwo leżące opiłki żelaza. Po długiej chwili takiego indagowania wzrokiem dr Węgliczowski rzekł:

– Wiem o tym. Opowiadano mi tę historijkę ze wszelkimi szczegółami. Wiedziałem o niej, gdy się tu wybierał. Kochany pan byłeś w Paryżu?

– Byłem.

– Rok z górą?

– Tak jest.

– No i mówisz po francusku?

– Mówię.

– Płynnie, wykwintnie, po parysku?

– Czy tak znowu po parysku, tego twierdzić nie mogę. Mówię z zupełną swobodą.

– Z zupełną swobodą... Czy nigdy nie zdarzyło ci się widzieć za granicą urzędzeń kąpielowych? Na przykład hydropatycznych¹¹ wanien?...

¹¹ hydropatyczny – wodoleczniczy

– Owszem, widziałem to w Paryżu, a szczególnie w Szwajcarii, w Albis, w Baden, na Righi i w innych miejscach. Jeździłem tam ze znajomym, pewnym inżynierem z górnictwa, który tułał się po takich zakładach. Wyciągnąłem go z ogródka systemu Kneippa¹² w Zurychu i woziłem z miejsca na miejsce. Znudziło mnie to prędko, więc zostawiłem go na pastwę kąpielowym w doskonałym Righi Kaltbad.

– Kaltbad... Doskonałym... Proszę kochanego pana, czy możesz mi określić, jakie jest twoje usposobienie: Czy lubisz towarzystwo, tańczysz, bawisz się?

Judym musiał powtórzyć sobie w myśli to pytanie, ażeby przede wszystkim samemu sobie zdać sprawę, jakie właściwie jest jego usposobienie.

– Zdaje mi się... – rzekł ze śmiechem – że dosyć lubię towarzystwo, tylko nie bardzo umiem być człowiekiem miłej zabawy, gdyż pochodzę...

– Kochany panie, wiem, skąd pochodzisz, i dlatego tu przyszedłem... – przerwał dyrektor głosem szorstkim i patrząc mu w oczy tak prosto, jakby w tym wzroku i brzmieniu mowy istotna prawda zamknięta była. – Lekarz, kochany panie, ma w herbie lancet. Zresztą, o czymże to mówimy! Czy znasz warunki utrzymania w Cisach?

– Nie znam.

– Otóż są takie: lokal, światło, opał, całkowite utrzymanie, usługa, konie itd. Pensji sześćset rubli rocznie. Prócz tego możesz czynić użytek z gabinetu i narzędzi do praktyki osobistej zimą, latem zaś urządzisz sobie ambulatorium w specjalnym budynku poza parkiem. Istnieje tam nadto mały szpitalik, także poza parkiem, w dominium pani Niewadzkiej. Bo nie wiem, czy wiesz, że egzystuje zakład Cisy i majątek tegoż nazwiska, własność pani Niewadzkiej.

– Pani Niewadzkiej? – zapytał Judym, oszołomiony mnóstwem tych wiadomości.

– Tak jest. Stara babina, bardzo uczynna, kochany panie, bardzo... Matrona...

– Czy ta pani nie podróżowała w roku zaprzeszłym, czy nie była we Francji?

– Była, a także, z wnuczkami.

– Z dwiema wnuczkami i nauczycielką?

– Tak, z panną Podborską. Skądże wiesz o tym, kochany panie?

– Ależ bo je spotkałem... Jeździłem z nimi do Wersalu. Staremu dyrektorowi oczy się zaświeciły.

– Widzisz, kochany panie, to ładnie się składa. Nasza dziedziczka będzie zadowolona, gdy w nowym asystencie pozna towarzysza wycieczki. Co się tyczy lekarskiej strony Cisów, to ta przedstawia się, jak następuje.

¹² ogródek systemu Kneippa – uzdrowisko, w którym wykorzystuje się metodę wodolecznictwa wprowadzoną przez S. Kneippa

Tu dr Węglichowski rozwinął przed Judymem historię tej instytucji: pierwsze lata istnienia, rozkwit, później prawie zupełny upadek, bliskość ruiny całego przedsięwzięcia, zmiany różnych zarządów, a wreszcie swój w całej sprawie współudział. Na odchodnym wydobył z bocznej kieszeni surduta sprawozdanie roczne na ozdobnym welinie, z widokami, mapą, tablicą i wręczył je Judymowi.

– To wszystko, co mogę powiedzieć na razie. Rozważ to, panie kochany, rozpatrz się. Kiedyż mógłbyś mi dać decyzję ostateczną?

– Dam ją, dam ją... jutro.

– Jutro o tej samej porze?

– Tak, ale to już ja zgłoszę się do szanownego kolegi.

– Proszę, proszę... W mieszkaniu Chmielnickiego. Więc o tej porze?

– O tej porze...

– Żegnam cię, kochany panie, i życzę: przynieś mi jutro zgodę.

Doktor Węglichowski wyciągnął rękę z życzliwym uśmiechem i przez chwilę zatrzymał w niej dłoń Judyma. Później prędko się oddalił.

Było ciemno. Judym nie kazał babie przynosić światła i po wyjściu dyrektora błędził zamyślony z kąta w kąt gabinetu. Już się zdecydował na wyjazd. Rozpoczął jak gdyby nową stronicę życia. Czasami błąkał się w jego myślach zgryźliwy frazes: „Filister¹³ zabiera się do robienia kariery, filister, filister – lecz szybko ta gorzka nuta ginęła w cichej rozkoszy, jak tęsknota ściskająca piersi. W mroku napływającym do pokoju zdawały się być z nim uśmiechy dziewicze i śliczne twarze, już prawie zapomniane, uparcie wymykające się od schwycenia ich wyobraźnią, jakby między ciemnymi drzewami szły w przestworze. Ukazywały się i cofały w ciemny obłok. Tam jedna z nich w ramie bujnych czarnych włosów, twarz biała, tak biała, że zdaje się światło naokół rozlewać.

Oto druga – szczupła, delikatna. Chowa w sobie milczącą a szaloną namiętność, która porywa, która wypełnia duszę zapachem, rozkoszą i westchnieniami...



Decyzja Judyma
o wyjeździe do
Cisów.

¹³ filister – człowiek małostkowy, bez wyższych aspiracji, dążący jedynie do osiągnięcia stabilizacji materialnej

SWAWOLNY DYZIO

Jednego z ostatnich dni kwietnia dr Judym ukończył wszelkie rachunki z miastem Warszawą, spakował manatki do walizy, którą bez żadnego zgoła wysiłku mógł nosić z miejsca na miejsce, wręczył honoraria i napiwki starej, Zośce, stróżowi – wsiadł do powozu i kazał się zawieźć na dworzec. Uregulowanie rachunków odbyło się na konto przyszłej pensji w Cisach. Dr Węgliczowski nadesłał był Judymowi listownie rodzaj zaliczki w kwocie stu rubli i uprzejmie żądał przyjęcia jej celem spłaty długów i opędzenia kosztów podróży. Dr Tomasz burzył się w duchu na wydawanie pieniędzy, których jeszcze nie zarobił, ale koniec końców nie tylko zużytkował tę sumę, ale zużytkował tak gruntownie, że po opłaceniu biletu klasy drugiej w wagonie dążącym z Warszawy do ostatniej stacji kolejowej przed Cisami zostało mu w kieszeni trochę łupaków¹ miedzianych i dwie marki po siedem kopiejek każda. Gdy pociąg ruszył, Judym wsunął się do przedziału, gdzie służący ulokował jego walizę, i znalazł miejsce w rogu sofy. W *coupe*² siedziały już trzy osoby: jakiś wiekowy oficer i dwie panie. Osoby te miały dużą ilość kufrów, a zabierały się do drogi systematycznie: pan umieścił swą szablę i czapkę w rogu, panie rozstawiły obfity zbiór koszyków, skrzynek, pudeł, nesesorów itd. Gdy przebyto most, Pragę, resztki zabudowań, gdy nasunął się pierwszy las, brzozy jak senne marzenia wynurzające się z ciemnej głęбини sosen, pola z ich nikłą runią zbóż jasnych, dr Tomasz nie mógł od okna wzroku oderwać. W niebiosach, gdzie przecudny, dobrotliwy błękit zdawał się rozkwierać ostatnie swoje zasłony, płynęły wiotkie chmurki. Na ziemi wszystko tchnęło życiem, rozrostem i pięknem. Czasami odmykał się przestwór równiny dalekiej, to znowu zasłaniały go wsie, dwory i piękne, prawdziwie czcigodne sylwety kościołów.

Judym nasycił oczy tym krajobrazem, gdy wtem drzwi otworzyły się i nie tyle weszła, ile wdarła się do przedziału dama wysoka i chuda, prowadząc za rękę chłopczyka mniej więcej dziesięcioletniego. Dama była niepiękna i, jak się rzekło, chuda w sposób taki, że widzowi mimo woli przychodził do głowy akt dziękczynienia za to, że istnieją, chwała Bogu, szaty damskie i że uwalniają śmiertelnych od widoku dam tego rodzaju – w negliżu. Nowo przybywająca miała spory nos, usta ściągnięte i oczy zmrużone. Konduktor i jeszcze jakiś funkcjonariusz wagonowy wrzucili za nią do przedziału kupy węzełków, skrzynek, wózków, drewnianych koni wielkości zrzebiecia, parę walizek i pudełek kartonowych. Dama zostawiła

¹ łupaki – drobne monety

² *coupé* (fr.) – przedział w wagonie

to wszystko razem i każdą rzecz z osobna losowi naturalnemu. Zepchnęła tylko niektóre meble krępujące swobodę jej ruchów na nogi sąsiadom... Ukończywszy to zajęcie, padła na sofę i wzięła się do oglądania towarzyszków drogi. Mały Dyzio stał pośród sprawunków nawalonych w przejściu między siedzeniami i, gwiżdżąc, również przyglądał się obecnym. W ręce trzymał brudny patyk ze sznurem uwiązanym do niego w kształcie bata. Włosy tego chłopięcia były szare, a rosły jakoś naprzód, w kierunku widza. Cała postać, a szczególnie oczy, włosy i ręce przypominały rysia czy żbika. Ubranie było wytarte niepospolicie i świadczyło o jakichś piekielnych walkach z ziemią, wodą i smarowidłami. Pończochy wypchnięte na kolanach i przedziurawione odsłaniały nogi okryte krwią i mnóstwem siniaków.

– Dyziu, usiądź... – rzekła matka głosem omdlewającym.

Mówiąc to, patrzyła nie na swego potomka, lecz na Judyma, jakby do niego mianowicie zwracała się z tą serdeczną i troskliwą radą.

Dyzio zachował się tak, jakby słowo matki rzeczywiście skierowane było do kogo innego. Z żywą ciekawością pochylił się ku oficerowi siedzącemu w kącie przedziału i zaczął szczegółowo oglądać guziki munduru, biorąc każdy z nich w palce zawalane rozmaitymi substancjami. Wojskowy zgodził się bez protestu na tę badawczość młodocianej imaginacji i z niejakim uśmiechem czekał końca oględzin. Tymczasem Dyzio dostrzegł pałasz wiszący w kącie na haku i sięgnął śmiałą ręką po tę broń między głowy dwu pań. Wówczas oficer usunął go od siebie i towarzyszek delikatnie, z uprzejmością i w milczeniu.

– Dyziu, zachowaj się jak należy... – rzekła matka – bo pan oficer wyjmie pałasz i utnie ci głowę.

Żywy chłopczyk znowu nie wysłuchał słów matki z należytą uwagą. Zamierzył był właśnie dostać się do okna i ruszył w tym kierunku po nogach osób siedzących. Rozległ się krzyk dam i pana w mundurze, oskarżający Dyzia, że wchodzi na odciski. Dyzio z miną tryumfatora obojętnego na wszystko przedarł się, dokąd zamierzył. Rozkraczywszy nogi, stanął na dwu siedzeniach i wychylił się za szybę ruchem tak lekceważącym wszelkie niebezpieczeństwo, że obecni w przedziale zobaczyli raptem odwrotną część jego ubrania zdartą, kto wie czy nie bardziej niż pończochy. Jedna z pań zwróciła się do stroskanej matki i rzekła:

– Proszę pani, synek może wylecieć za okno...

– Dyziu, na miłość boską, nie przechylaj się tak bardzo, bo ta pani mówi, że możesz wylecieć za okno!

Znowu żadnego skutku! Przez pewien czas wszyscy byli zaambarasowani tak wypiętą pozą chłopczyny, ale krzyk trwogi buchnął z piersi wszystkich, kiedy malec nachylił się jeszcze bardziej, widocznie chcąc dostać rękoma tabliczki przymocowanej pod oknem. Dla zachowania równowagi stanął wtedy na jednej

nodze, a druga w miarę ruchów tułowia wierzgała po przestworze około głów pań siedzących. Oficer zerwał się z miejsca, ujął kawalera za pasek i wciągnął do wagonu. Wtedy Dyzio sprezentował, co umie. Przede wszystkim wydarł się z rąk i rzucił znowu do okna. Gdy mu to po raz drugi zostało wzbronione, zaczął szarpać się, kopać nogami na wszystkie strony bez względu na to, czy razy jego obcasów trafiały w kuferki, czy w stopy z odciskami.

– Proszę pani – krzyknął oficer – co to jest! A to ślicznie wychowany chłopak! Może pani będzie łaskawa!...

– Dyziu, zaklinam cię na wszystkie świętości! – wołała zmęczona matka.

Ten nie uznawał się za zwyciężonego: oficera łokciami odepchnął, a w kierunku matki wywiesił język tak długi, że można go było za pieniądze pokazywać. Nie było rady. Zostawiono Dyzia w spokoju, ale i on się jakoś umitygował. Patrzał tylko ze szczególną niechęcią na oficera i spluwał przed siebie. Po pewnym czasie usiadł między matką i Judymem. Nogi wyciągnął aż na przeciwległą ławkę, ręce wpakował w kieszenie kurtki i wlepił w każdą osobę z kolei swe sowe oczy. Była to cisza pozorna, wkrótce bowiem zaczął atakować Judyma. Zaglądał mu w oczy, wpierał się w niego ramieniem, łokciem, kolanem, wreszcie wywłócił spod ławy swój bat, koniec biczyska wtłoczył w nogę doktora Tomasza i zaczął nim oburącz świdrować. Doktor odjął patyk i usunął rękę chłopca. Nie na wiele się to przydało, gdyż wkrótce zaczęła się ta sama historia. Matka Dyzia przyglądała się tej procedurze z kwaśną miną – a wreszcie wyseplenila:

– Proszę cię, nie rób tego... Po co to? Czy grzeczny chłopczyk bawi się w ten sposób, czy to ładnie? Już tyle razy mama cię prosiła, żebyś nie zaczepiał panów w wagonie. Robisz tym mamie ogromną przykrość... Chyba chcesz, żeby nas i z tego *coupe* pan konduktor wyrzucił jak z tamtego. Co? powiedz otwarcie...

Dyzio skierował na rodzicielkę przelotne spojrzenie i wziął się do nowej czynności. Na ławce leżał kapelusz Judyma. Chłopczyk chwycił go w ręce sposobem cyrkowym, zaczął kręcić, wyrzucać w górę i łapać na patyk.

– Ach, Dyziu, Dyziu... – jęczała dama. – Nie rób tego, bo ręczę ci, że ten pan rozniewa się i znowu zwymyśla mamę tak samo jak pan pułkownik. Chyba chcesz, żeby ten pan zwymyślał mamę. Powiedz otwarcie... Chyba chcesz...

– No, chcę, żeby mamę zwymyślał... – mruknął syn nielitościwy.

Nic tedy nie skutkowało. Dopiero znużenie wzięło górę nad żywością usposobienia. Usiadł na wolnym miejscu, ku powszechnemu zadowoleniu ziewnął raz i drugi... Wreszcie usnął. Judym z całą pieczołowitością umieścił jego kończyny na sofie, a sam wyniósł się z przedziału. Nie wrócił tam aż w Iwangrodzie, kiedy trzeba było zabrać walizkę dla przeniesienia jej do innego wagonu. Ze szczerą satysfakcją myślał o tym, że się z Dyziem rozstaje.

Jakaż była jego złość, gdy ujrzał matkę ze swawolnym synem wstępujących do wagonu, gdzie siedział. Była tam salka drugiej klasy wspólna dla znacznej części pasażerów, toteż Dyzio używał co się zmieści.

Okolo godziny trzeciej po południu zbliżano się do stacji, na której Judym miał wysiąść, i dalszą drogę, to jest pięć mil, odbyć końmi. Wydobywszy się z wagonu i minawszy dworzec drugorzędnej stacyjki, zastał duży, parokonny powóz i furmana w błyszczącej liberii. Walizę przyniósł w ręku bardzo stary Żydek i umieścił ją na koźle. Doktor skoczył jeszcze do bufetu, żeby kupić papierosów. Gdy prędko biegł z powrotem, ujrzał Dyzia i jego matkę sadowiących się właśnie do jego powozu. Ręce mu opadły i dawno nie używane szewskie przekleństwo splamiło mu usta. Znużona matka Dyzia już wiedziała od woźnicy, że ma jechać z jakimś panem, już poznała walizkę i z bardzo ujmującym wyrazem twarzy czyniła zbliżającemu się miejsce obok siebie.

W pierwszej chwili Judym zasadniczo zdecydował się nie jechać za żadne skarby świata. Ale szereg prędkich zestawień i obliczeń funduszu wywołał w jego umyśle inną decyzję, a na oblicze wyraz szczęścia i słodyczy. Z tym piętnem na twarzy zbliżył się do damy i zawiązał rozmowę pełną wykwintnych ogólników. Wkrótce tobołki umieszczone zostały, gdzie się dało, Dyzio, z obawy, ażeby broń Boże nie spadł pod koła, wskutek usilnych prośb matki zasiadł na ławeczce w nogach i landara wwalila się w bagnistą uliczkę żydowskiej mieściny.

Dama ciągnęła dyskurs nieustannie, wtedy nawet, gdy powóz przechodził istne konwulsje w dołach, wybojach, bajorach i suchych grobelkach miejskich. Judyma mdłości ogarniały na samą myśl, że ta zabawka towarzyska trwać będzie na przestrzeni pięciu mil, ze wzmianek bowiem matki Dyzia okazywało się, że jadą do Cisów. Ale wkrótce za miastem doznał pociechy, gdy mu prosto w twarz wionął oddech wilgotny, lecący z niedocieczonego przestworza, z pól, z lasów. Role po długich deszczach rozmiękle, porznięte brunatnymi smugami bruzd mokrych, już tu i ówdzie jaśniały szarożółtą barwą, wysychając w miejscach wzniesionych. Nad nimi kurzył się lekki, siwy opar. Niwki ozimin snuły się wzdłuż i w poprzek cudną barwą swoją, która w oddali mieniła się rozmaicie, to zielono, to niebieskawo, jak kolor piórek na szyi pawia. Wysoko stały białe obłoki jakby zaspy śniegów spiętrzonych, pomalowane ślicznymi cieniami. W głębi ich skrzydeł rozlegał się istny chór skowronków. Nad jasną runią pastwisk magwały się czajki, co chwila wydając okrzyk swój wesoły.

Konie rwały ostrego klusa i spod kół zaczęły się rozlatywać bryzgi tężejącego błota. Wiatr przeszkadzał mówieniu, toteż „konwersacja” stawiała się cokolwiek mniej dokuczliwą. Judym tonął oczyma w nowym pejzażu. Był on dla niego nowym prawdziwie. Wsi, a raczej ziemi, gleby, przestworu w tej porze roku doktor

nigdy jeszcze nie widział. Budził się w nim święty instynkt pracźlowieczy, mglista namiętność do roli, do siewu i pielęgnowania zboża. Uczucia jego rozproszyły się i błakały w tych szerokich widokach. Tam pod lasem, który dopiero zaczęły barwić liście, wśród wzgórza otoczonego drzewami leży miejsce na dom. Olchy i sokory jeszcze są czarne. Tylko wysmukła, strzelista brzoza okryła się już cienką mgłą liści tak szczelnie, że nagie pręty już się ukryły. Dokoła pniów uśmiechają się bladoniebieskie przylaszczki. Obok lasu ciągnie się wąska dolina, a środkiem niej przepływa strumień. Jakiś człowiek idzie po zboczu góry, schyla się, coś tam robi, nad czymś pracuje, coś sadzi czy sieje...

– „Szczęść ci Boże, człowieku... Niech się stokrotnie urodzi twe ziarno...” – myśli Judym i zatapia oczy w tym miejscu, jakby było domem jego rodzinnym. Ale oto staje mu w oczach inny dom: suterena, wilgotny grób, pełen śmierdzącej pary. Ojciec wiecznie pijany, matka wiecznie chora. Zepsucie, nędza i śmierć... Co oni tam robili, czemuż mieszkali w jamie podziemnej, umyślnie zbudowanej na to, żeby hodować w ciele choroby, a w sercu nienawiść do świata?...

I znowu pieści się z oczyma to wzgórze uśmiechnięte do słońca...

Powóz mijają wioski, karczmy, lasy, rozdroża, i mknął gościńcem błotnistym. Słupy wiorstowe dość często nasuwały się przed oczy i upalono już ze dwie mile drogi, kiedy Dyzio dał znak życia. Do tej chwili pogrążony był w pewien rodzaj somnambulizmu³. Siedział zmartwiał jak bryła soli, wylupionymi oczyma wodząc po rowach. Właśnie Judym tłumaczył matce coś interesującego, gdy uczył, że go malec zaczyna łechtać po łydkach. W pierwszej chwili sądził, że mu się zdaje, ale wkrótce, rzuciwszy okiem, zobaczył na obliczu łobuza znamię chytrłości i wywieszony język, którym ten pomagał sobie niejako w procedurze łechtania. Dyzio wsuwał rękę między nogawicę spodni Judyma i cholewkę jego kamaszka, odchyłał skarpetkę i wodził po gołej skórze długą, ostrą słomą. Judym nie zwracał na to uwagi w nadziei, że mania psotnicza ominie małego towarzysza drogi. Stało się przeciwnie. Dyzio wynalazł pod siedzeniem jakiś zabłąkany długi, ostry badyl i tym sięgał aż do kolana. I to mu nie wystarczyło: wyskubywał nitki ze skarpetek, usiłował zdjąć kamasz, zawijał ineksprymable, dopóki się dało itd. Poczęło to wreszcie doktora drażnić. Odsunął szorstkim ruchem rękę łobuza raz, drugi, trzeci. Wszystko na nic. Język, wywieszony na bok, coraz bardziej wskazywał, że gotują się nowe eksperymenty. I rzeczywiście: Dyzio zaczął zbierać dłonią duże i lepkie bryzgi błota, które osiadały na wachlarzu powozowym, lepił z nich wielką pigułę i pakował na gołe ciało za cholewkę doktorskiego kamaszka. Judym wyrzucił pierwszą taką bryłę. Gdy malec ulepił drugą i wpakował ją znowu,

³ somnambulizm – poruszanie się i wykonywanie czynności we śnie, lunatyzm

odepchnął go mocniej, a gdy wreszcie po raz trzeci przygotowywał się do tejsze czynności, rzekł do niego:

– Słuchaj, jeżeli się zaraz nie ustatkujesz, to ci zerznę skórę.

Chłopak uśmiechnął się zjadliwie, zebrał ręką nową garść błota i rozpostarł je na obnażonej nodze. Wtedy Judym kazał furmanowi stanąć. Skoro tylko powóz się wstrzymał, otworzył drzwiczki, jednym zamachem skoczył na ziemię i wyciągnął ze sobą Dyzia. Tam ujął go za kark lewą ręką, przechylił w sposób właściwy na kolanie i wysypał mu prawą około trzydziestu klapsów spod ciemnej gwiazdy. W trakcie tej operacji słyszał rozdzierający krzyk damy, czuł szarpanie za rękawy, nawet drapanie paznokciami, ale nie zwracał uwagi. Matka nieszczęsnego skazańca zerwała Judymowi kapelusz z głowy, rzuciła go w pole i wrzeszczała jak obłąkana. Gdy doktora dłoń zaboląła od razów, wrzucił chłopaka na siedzenie powozu, wyciągnął swoją walizkę, wziął ją w rękę i kazał jechać.

– Proszę pana doktora, jakże to jechać? – rzekł furman – jakże jechać? Niechże pan doktor wsiada.

– Nie wsiądę! Jedź do Cisów z tą panią. Ja idę piechotą...

Furman zafrasował się i zmartwił. Patrzył to na Judyma, to na damę.

– Jedź, kpie, kiedy ci mówię! – krzyknął doktor w pasji.

Woźnica wahał się jeszcze i mrucał:

– Pan administrator kazał mi jechać po nowego doktora. Jakże tu?... Ładnie to tak, żeby... Ij... u Boga Ojca...

Ruszył ramionami i stanął.

– Jedź, do licha!

– To choć niech pan doktor wsiądzie na kozieł!

– Nie wsiądę! Słyszałeś?

– Słyszałem. Ale żeby na mnie nie było.

Splunął na bok, podciął z lekka konie i ruszył noga za nogą. Jeszcze obejrzał się i zobaczył Judyma idącego z walizą w rękę brzegiem drogi. Wtedy ruszył prędzej i powóz oddalać się zaczął.

Doktor maszerował z ciężarem swoim, sapiąc potężnie i klnąc na czym świat stoi. Otwierała mu się przed oczyma najgłupsza pod słońcem sytuacja, ale nie chciał się już cofnąć. Nie był w stanie przywołać furmana i zmienić tonu oświadczenia. Jak na złość nigdzie nie było widać ani wsi, ani ludzi. Gdzieś daleko zza pochyłego garbu wzgórze, z jakiegoś widocznie rozdołu wznosiły się nikle, śniade słupy dymów. Doktor szedł w tamtą stronę suchą miedzą wśród pól rozoranych. Rzeczywiście ujrzał z wyniosłości dużą wieś w nizinie. Było do niej jeszcze daleko, ale marzenie o wynajęciu furmanki skracало drogę. Stanął wreszcie u progu pierwszej chaty zmęczony, literalnie w pocie czoła.

Mokra i przepadająca rola, w której brnął, ostre powietrze i znużenie wprawiały go we wściekłość. Szedł od chaty do chaty, pytając się o konie. Tu nie było ich wcale, tam nie chciano wynająć, gdzie indziej przypatrywano mu się ze śmiechem.

Wreszcie trafił się pewien młody gospodarz, który od razu zgodził się jechać. Zaprzągnął do wasaga parę małych bułanków i bocznymi drogami, przez dziury i wertepy pomknął jak strzała. Dobry humor wrócił, a nawet wstąpiła w eskulapa swada burszowska. Trafił się na rozstajnych, błotnistych szlakach sklep z trun-kiem. Woźnica tam utknął, zaczął koniom podwiązywać ogony, majstrować koło wozu, wchodzić do izby, wychodzić stamtąd ociężale... Judym zrozumiał, że jego towarzysz ma chęć wypić kieliszek „Leopolda”.

Zawołał tedy:

– Gospodarzu, weźcie sobie flaszkę gorzałki.

– Jakąże, proszę wielmożnego pana, wziąć, małą czy dużą? – spytał tamten bez namysłu.

Judym zawahał się. Jakże było powiedzieć, że małą.

– Juści z tych większych.

W chwili gdy to mówił, przypomniał sobie stan kasy i przeraził się, czy aby ma dosyć pieniędzy...

Na szczęście wystarczyło jeszcze kopiejek, ale zostało ich kilka zaledwie w kieszeni. Chłop wyjął korek piorunem i zmusił Judyma do zaprobowania. Kiedy ten obrzęd został spełniony, sam wziął się do flaszki. Wypił z połowę, resztę schował do kieszeni i włożył na siedzenie. Teraz zaczęła się prawdziwa jazda! Małe, zwinne konięta rwały jak sarny, wóz wpadał w wyrwy pełne „bajecznego” błota, rozwałął kałuże stojące między opłotkami i leciał w siarczystych bryzgach. Ziemia w tej okolicy była mocno gliniasta, toteż drogi były śliskie. Wóz na pochyłościach zataczał się jak na lodzie i tylko szybkość jazdy wstrzymywała go od wywrotu. Z każdej góry chłop popędzał konie i leciał na łeb na szyję wprost do jamy głębokiej a kisańcej zwykle w takim „dołku”. Orczyki były szkapiny po nogach i zmuszały do wściekłego galopu. Z jednej drogi woźnica zawracał w inną, leciał drózkami wąskimi jak miedze, nieraz do szerszych szlaków jechał w poprzek pola. Judym nabrał przekonania, że nie dąży w kierunku Cisów. Ale było mu najzupełniej wszystko jedno. Ta wariacka wyprawa była dlań źródłem prawdziwej satysfakcji. Wiatr świszczwał koło uszu, błoto pierzchało w nos, w oczy, trafiało do ust i kupami leżało na ubraniu.

Gdy tak przejechali z półtóry mili drogi, chłop zaczął śpiewać. Po każdej śpiewce, zwykle nie nadającej się do druku, wysączał z butelki potężny łyk i zaciął konie. Mijali jakieś wsie, objeżdżali lasy, pędzili przez pastwiska.

– Daleko do Cisów? – spytał doktor.

Furman zwrócił na niego białe oczy i coś wybełkotał. Zarazem wrzasnął ochry-
płym głosem i z szerszego nieco gościńca skręcił co pary w szkapach na boczną
drogę. Miejsce było pochyłe i wóz szedł na ukos. W pędzie szturchnął się o przy-
kopę. Judym nagle uczył, że leci w przestrzeń, i padł głową w miękki zagon. Leżał
tam bez ruchu, nie mając siły poruszyć ani rączką, ani nóżką. Widział obłoki,
głębię firmamentu i gdzieś daleko smugę lasu. Dźwignął się wreszcie, usiadł
i zaczął się trząść ze śmiechu. Był cały okryty gliną, gdyż rozwalił po drodze ze
trzy zagony. W sąsiedztwie leżał chłop wśród błota, przysypyany słomą siedzeń,
i martwym wzrokiem patrzył na wóz wywrócony do góry nogami. Konie zeszły
w rów i z apetytem szczypały młodą trawkę. Od czasu do czasu spoglądały obo-
jętnymi oczyma na gospodarza, jakby mu miały zamiar wyrazić zdanie:

„Widzisz, ośle, coś tu narobił!”

Po długiej bezwładności woźnica ruszył się wreszcie i wziął do dźwigania
wasagu. Okazało się wtedy, że wóz ma złamaną rozworę. Gdy go postawiono
na koła, wyglądał jak człowiek z przetrąconym kręgosłupem. Chłop, krzątając
się koło odrobienia złego, miał ruchy coraz bardziej mdlejące, a koniec końców
wgramolił się na wóz i runął do jego wnętrza z jakimś śpiwnym bełkotem.
Judym był w położeniu rozpaczliwym. Nogi jego aż do kolan tonęły w rzadkiej
glinie, palto, kapelusz, twarz, ręce okryte były urodzajną, wymierzwną glebą.
Zgnieciona walizka dzieliła losy jej właściciela. Nie było rady...

Zostawił lekkomyślnego woźnicę wraz z końmi i wasagiem na drodze, a sam
wziął walizkę i ruszył przed siebie. Zbliżał się wieczór. W odległości kilku wiorst
widać było wieże kościelne i jaskrawe dachy miasteczka. W tę stronę ciągnął
eskulap, pogwizdując i co chwila parszcząc śmiechem. Upalił już tym trybem
ze dwie wiorsty drogi, gdy nagle usłyszał za sobą tętent kilku koni. Z szerokiej
alei przecinającej gościńiec wypadły dwie amazonki, a obok nich dwaj jeźdźcy,
i ostrym kłusem pędząc, zrównały się z Judymem. Konie ich były zmydlone, zbryz-
gane błotem i buchały parą. Pierwsza z amazonek jechała w szeregu z młodym
człowiekiem, który siedział na ślicznym, gniadym koniu. Był pochylony na siodle
w stronę swej damy i coś żywo mówił. Zaledwie obydwójce zwrócili swe twarze
w stronę wędrowca... Ale dość było dla Judyma tego momentu, żeby poznać
pannę Natalię. Ona raz jeszcze odwróciła głowę, ale tylko na sekundę, na jedną
sekundę... Widziała go niewątpliwie, uśmiechnęła się, ale wnet skierowała oczy
gdzie indziej, jakby nie miała chwili czasu do stracenia, jakby nie miała prawa
zajmować się nawet rzeczą tak śmieszną, jak Judym w tej chwili.

On stał zmaltretowany. Słyszał szatański, parszczący śmiech panny Wandy,
która w drugim rzędzie z jakimś starszym towarzyszem jechała galopem, ale nie

zwrócił na to uwagi. Wszystkę pochłonęła tamta, przechylona w siodle ku lewej stronie, z mocą i wdziękiem jak w krześle osadzona, podająca się wraz ze skokiem rumaka, cudowna w każdym ruchu...

Stał tak długo w miejscu zgłupiały, śmieszny dla samego siebie i nieszczęśliwy nad wszelki wyraz. W rowie bełkotała woda zbrudzona ilem, jakby i ona śmiała się do rozpuku.

Jeszcze za dnia doktor był w miasteczku i wnet otoczony został przez chmary Żydków, dziadów, włóczęgów, którzy go witali chichotem.

– Co to za miasto? – spytał pierwszego z brzegu.

– Miasto? Dlaczego miasto?

– No?

– To miasto nazywa się Cisy.

– Dobrze! – krzyknął Judym z radością. – Szajgec⁴, weź ten kuferek i nieś go za mną do zakładu. Wiesz, gdzie zakład?

– Jak ja nie mam wiedzieć, gdzie zakład? Pan dobrodźzy⁵ z daleka? Pan dobrodźzy sze cokolwiek zabłoczuł...

– To nie twoja rzecz, krajowy cudzoziemcze! Nieś to do zakładu.



Miejsce akcji
– uzdrowisko
w Cisach; nowy
etap w życiu
doktora Toma-
sza Judyma.

Długie, starodrzewne aleje, zniżające się ku wielkiemu parkowi, otwarły się przed oczyma doktora. Tragarz objaśniał go, gdzie jest zakład, gdzie kursal⁶, gdzie zamek, gdzie pałac „hrabiny”, gdzie czyja willa. W alejach i w parku było pusto, toteż nikt nie spostrzegł przybycia doktora odzianego w gliniany kostium.

W dużym przedsionku zakładowym Żydziaś wynalazł człowieka mianującego się portierem, który z rozdziawioną gębą i niedowierzaniem odprowadził przybysza do pokojów „młodego doktora”. Judym jął co tchu zrzucić z siebie mokre obuwie i ubranie, myć się i przebierać w suchy, czarny kostium. Wkrótce był gotów. Za chwilę miał wyjść, chciał bowiem przedstawić się swoim nowym zwierzchnikom. Czekał tylko na paltot, który portier zabrał do czyszczenia. Skorzystał z tej chwili, żeby przypatrzeć się mieszkaniu. Składało się z dwu pokojów, a raczej z dwu salonów. Za oknami, przy których stał, o jakie pół łokcia wyniesionymi nad poziom, ciągnęła się na wprost nich wąska aleja młodych drzew, przeważnie grabowych. Jedne z nich były już tęgimi pniami, kiedy inne trwały jeszcze w okresie pacholęstwa. Gałęzie ostatnich były poobcinate i wyglądały jak urwisy w szkole, ze łbami ostrzyżonymi przy samej skórze. Równolegle z tą aleją ciągnął się duży, kilkunastokciowy, stary i gruby mur, nakryty

⁴ szajgec – nieżydowski chłopak do pomocy

⁵ dobrodźzy – dobrodziej

⁶ kursal (z niem.) – zakład leczniczy, uzdrowisko

mocnym daszkiem z cegieł. Oblekła go już pleśń, zielona wilgoć powyżerała od ziemi. Teraz z wiosną i na nim puszczał się młody, aksamitny porost. Między szeregami drzew szła w odległą dal parku wąska, wygracowana dróżka. Środkiem była już sucha, ale w zagłębieniach jej grzbiet ograniczających nęciły oko ciemno-siwe pasy wilgoci. Młode listki grabowe, które dopiero co na świat się urodziły, zmarszczone i tak delikatne, jakby się kurczyły nawet od pocałunków promieni słonecznych i od westchnień pachnącego wiatru, zdawały się badać za pomocą delikatnych cieniów swoich żółty piasek, ciemną, pulchną ziemię i mdłe trawki wybijające się z gruntu. Były tak cudne i tak wesołe jak oczy dziecięce. Gruby mur, za którym już się kryło słońce, rzucał na alejkę i jej śliczne tajemnice cień czarny niby drzwi więzienia. Tylko w samym końcu parku, gdzie się mur zwracał pod kątem prostym i przecinał odległy wylot alei, jeszcze chropawa powierzchnia miała na sobie świetlistą suknię. Zdawało się, że ciężka ściana ma w tamtym miejscu jakby swoje oblicze pełne zadumy, że w głąb rozkwitającego parku spogląda niewidzialnymi oczami i że powszechny, radosny uśmiech stamtąd wypływa. Bliżej okien, za murem, rosły dwie kolosalne topole. Pnie ich sękatę wydzierały się z głębi wiotkiej tkaniny młodocianego zadrzewienia jak torsy okute w kolczugę kryjącą mięśnie tak silne i nie dające się przebić, jak ona. Skądś z wysoka, nie wiadomo z którego drzewa, leciały na ścieżkę złotoróżowe łuski pęków...

Judym stał przy otwartym oknie. Czuł w sobie zjednoczenie z tym, na co spoglądał. Przez jego ciało zdawała się płynąć siła natury stwarzająca rozrost drzew i wykwitanie liści. Judym uczuł w sobie tę siłę i uczuł władzę spożytkowania jej w wielkiej pracy. Nadzieja trudów, które przewidywał w tym miejscu, poila go rozkoszą. Patrzył w przestrzeń i uderzał ją silnymi oczyma.

Nareszcie, nareszcie! Oto miejsce, gdzie mu będzie wolno włożyć jarzmo i drzeć starą glebę głęboko sięgającym pługiem. Będzie tu siał, będzie pracował za tłum ludzi, będzie oddawał światu wszystko, co wziął od niego. Nie pożałuje ramion, nie będzie skąpił potu! Niechże wiedzą, jak się wywdzięcza ten z motłochu, kogo przyjmą do swej kultury, komu udzielią cząsteczki swych praw do czynu.

W owej chwili siły jego duszy spoczęły na czymś nieuchwytnym, jakby na dźwięku płynącym w przestrzeni, jakby na szeleście grabowych liści, który pośród drzew zamierał.

Było to krótkie, radosne błogosławienie tajemnych potęg świata za owo święte prawo człowieka do pracy i za siły, za mocne barki, które do niej służą.



Zapał Judyma
do pracy
w chwili otwar-
cia gabinetu.

CISY



Miejsce akcji
– charakterystyka zakładu
kuracyjnego
w Cisach;
otoczenie,
w którym się
znajduje: lasy,
stawy, strumień,
park.

Zakład kuracyjny Cisy leży w dolinie między dwoma łańcuchami wzgórz porośniętym pięknym lasem. Środkiem doliny przepływa strumień tworzący w samym parku dwa stawy, z których drugi jest motorem maszyn zakładowych. Dokoła stawów ściśle się olbrzymi park łączący się z lasami na wzgórzach sąsiednich. Zakłady kąpielowe (tj. łaźienki, hydropatia, natryski etc.) mieszczą się w gmachu zwanym, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, „Wincentym”, a stoją nad drugim stawem. Z tej samej strony na wzgórzu świeci się wspaniały kursal, otoczony gajem roślin, klombów kwiatowych, gazonów, trawników, alejek zacisznych i szpalerów. W obrębie parku tudzież poza nim, przy drogach dążących w różne strony, a nawet wprost wśród lasu stoją wille. Jedne z nich skupiły się w szereg jak chaty we wsi, inne szukają samotności i odgradzają się od świata gąszczami ogrodów.

Z drugiej strony stawu, w połowie wyniosłości królującej nad okolicą, wznosi się pałac i liczne murowane zabudowania dominium Cisy. Jeszcze wyżej za pałacem, na szczycie góry widać kościół z dwiema strzelistymi wieżami, które ukazują się oczom wszędzie, gdziekolwiek by się w okolicy było.

Nazajutrz po przyjeździe dr Judym składał wizyty, zwiedzał miejscowość, uczył się tajemnic zakładu, był oszołomiony. Miał tutaj nie tylko poznać wszystko z dokładnością przed zacięciem zbliżającego się sezonu, ale nadto brać udział w rządzie...

Dziś tedy obznajmił się ze składem chemicznym źródeł, jutro studiował maszyny wprowadzające wodę do wanien, badał system ksiąg kancelaryjnych, orientował się w procedurze gospodarczej, w prowadzeniu hotelu itd. To tu, to ówdzie ukazywały się przed nim całe perspektywy rzeczy, których wcale nie znał, i nikły, przywalone innym szeregiem zjawisk. Nade wszystko interesował go szkielet przedsiębiorstwa, jego budowa materialna. Zakład leczniczy Cisy był instytucją akcyjną o kapitale stałym wysokości blisko trzechkroć stu tysięcy rubli. Spółników było dwudziestu kilku. Ci wybierali spośród siebie radę zarządzającą, złożoną z prezesa i dwu wiceprezesów, komisję kontrolującą, również z trzech członków, tudzież dyrektora, administratora i kasjera. Obowiązki prezesa rady zarządzającej pełnił wybitny adwokat stale mieszkający w Moskwie. Jednym z wiceprezesów był *honoris causa*¹ wspólnik Leszczykowski zamieszkały aż w Konstantynopolu, a drugim

¹ *honoris causa* (łac.) – honorowy tytuł naukowy

bogaty przemysłowiec warszawski pan Stark. Dyrektorem był dr Węglichowski, administratorem Jan Bogusław Krzywosąd Chobrzański, wreszcie kasjerem oraz szczęśliwym małżonkiem damy, z którą dr Tomasz podróż odbywał z Warszawy, i ojcem swawolnego Dyzia niejaki pan Listwa.

Sporo czasu upłynęło, nim dr Tomasz nauczył się historii tego zakładu, która w Cisach była istotną *magistra vitae*². Historia, a raczej rozmaite minione historie miały tam wpływ dobitny na bieg spraw codziennych. O ile ją dr Tomasz mógł poznać z ust wielu, historia zakładu była następująca:

Cisy znane były ze swych wód jeszcze w początkach zeszłego stulecia. Tu i ówdzie trafiają się w pamiątnikach wzmianki, że w Cisach leczyl się taki a taki dygnitarz. Nie była to jednak miejscowość kuracyjna w szerszym znaczeniu tego wyrazu. Korzystały z wód rozmaite osoby, ale tylko dzięki uprzejmości właściciela dóbr Cisowskich, źródła bowiem znajdowały się w parku otaczającym stary zamek rodowy. Od niepamiętnych czasów majątki te należały do rodziny Niewadzkich. Ostatnio był ich właścicielem mąż owej staruszki, którą Judym poznał w Paryżu. W ciągu siódmego dziesiątka lat tego wieku ów pan Niewadzki wyjechał z kraju. Kiedy powrócił do Cisów, był starcem złamanym i nieuleczalnie chorym. Ogrom cierpień przeżytych zmienił zasadniczo jego poglądy. Główną myślą starca było teraz dobro bliźnich, a że sam był chory, więc i uczynki jego miłosierne skierowały się przede wszystkim do wspomagania ludzi cierpiących. Kąpiele w wodzie ze źródeł w jego parku uznane zostały za skuteczne, więc pan Niewadzki wszystkie siły wyłożył w tym celu, żeby urządzić zakład leczniczy w Cisach. Dla przyspieszenia tej sprawy darował projektowanej instytucji miejscowość obejmującą kilkadziesiąt morgów przestrzeni wraz z parkiem, źródłem, częścią przyległych lasów i z budynkami, jakie się w obrębie terenu znalazły. Sam stworzył spółkę, do której wciągnął przyjaciół, przeważnie po świecie rozsianych. Największą sumę udziałów wziął stary kolega i towarzysz, kupiec znad Bosforu, Leszczykowski. Inne rozebrali adwokaci, lekarze, przemysłowcy. Na czele zakładu stał w pierwszych latach dyrektor nieodpowiedni, który usiłował z tej nowo powstającej miejscowości uczynić od razu kurort europejski. Budowano tedy wspaniałe gmachy i wille, a urządzano je z przepychem, który by mógł zadowolić najdalej sięgające wymagania. Te ryzykowne eksperymenty popchnęły całe przedsięwzięcie ku ruinie. Do Cisów zjeżdżały z całego kraju, a nawet z daleka familie arystokratyczne dla rozrywki. Zakład usiłował zyskać sobie opinię stacji letniej europejskiej i urządził się coraz wykwintniej. W tym czasie zmarł założyciel, Niewadzki. Na posiedzeniu rocznym okazało się, że Cisy nie tylko nie dają żadnego dochodu, ale wykazują deficyt.



Historia uzdrowiska w Cisach.

² *magistra vitae* (łac.) – nauczycielka życia

Wobec tego, a głównie, jak to zwykle u nas, wobec ubytku podpory, która tę rzecz dla idei dźwignęła, całe przedsięwzięcie chwiać się zaczęło. Wówczas zgłosił się ów handlarz dywanów z Konstantynopola. Wsparł ducha stowarzyszonych, załatwił deficyt swoim groszem, otwarcie wymógł na wczesnym dyrektorze zrzuć się z tej godności i znalazł nowego, również kolegę swojego i nieboszczyka właściciela, mianowicie dr Węglichowskiego, który bodaj czy nie więcej od dwu pierwszych świata obszedł. Gdy tylko doktor Węglichowski ster wziął w ręce, zaraz rzeczy poszły innym torem. Przede wszystkim nowy dyrektor rzekł się prowadzenia części gospodarczej. Mianowano administratorem znowu wspólnego kolegę, Krzywosąda Chobrzańskiego.

Następny rok nie był już wcale szeregiem zabaw, tańców, teatrów, wyścigów, gonitw, strzelań do gołębi, polowań etc, lecz istotnym sezonem kuracyjnym. Wzięto się do reorganizacji łaźni, hotelu itd., słowem, do budowania istotnej stacji leczniczej. Dr Węglichowski projektował wiele nowych rzeczy i przedstawiał je radzie. Jeżeli się nie zgadzała, pisał list do Leszczykowskiego, a ten bez wahania załatwiał sprawę własnym sumptem. Taka stanęła niepisana umowa.



Leszczykowski:
Opis postaci,
historia życia.

Stary Leszczykowski był wdowcem. Miał pasierbów Greków, którzy go ssali jak gąbkę. Był to człowiek bogaty. Burza wyrzuciła go na brzeg Bosforu w jednym obdartym surducie i w kapciach bez podeszew. Bywał tragarzem okrętowym, zamiataczem ulic, roznosicielem dzienników europejskich, agentem w pewnym sklepie francuskim, subiektem, komiwojażerem, a wreszcie właścicielem ogromnych magazynów, handlarzem dywanów, przemysłowcem itd. W trakcie tych zajęć z jego pięknego nazwiska zostały tylko pierwsze trzy litery, możliwe dla wymówienia w handlu persko-turecko-angielsko-francuskim: Sam się; nieborak, zwał starym „Les” i odmieniał ten strzępek przez przypadki. Leszczykowski był synem ubogiego szlachcica spod Cisów. Już w sławnej szkole wojewódzkiej kieleckiej zbierał się z pankiem Niewadzkim, z Węglichowskim i Krzywosądem. Twarde życie i dziwne jego koleje na zawsze wyrwały go ze strony rodzinnej. Syn rolników od prapradziada Piasta – został kupcem. Pracował po kilkanaście godzin na dobę i nigdy sobie nie udzielał świąt ani wakacji. Był to nie człowiek ułomny, lecz jakby zbiorowisko sił maszyny stalowej, zuchwałych i niezwalczonych. A przecież ten „M. Les” wśród wielorakich prac swoich dniem i nocą myślał o czym innym. Trzeźwy, chytry handlarz, którego ani Ormianin, ani Greczyn nie ubiegł w sprycie, którego Anglik nie wyprzedził w żelaznej systematyczności, był w głębi duszy marzycielem i ascetą. Sypiał na twardym łóżku, mieszkał w ciasnej izbie, ubierał się byle jak. Pewną sumę przeznaczał „ssakom” – pasierbom, a resztę słał w różne strony. Co dnia prawie na jego biurku leżał list w „ludzkim” języku, pisany nieraz

z dalekich łądów świata. I żaden nie był odrzucony. M. Les był bystry. Nigdy go nie podszedł oszust i nie wyludził grosza, ale ostatni uczciwy fantasta ciągnął zeń tysiące franków. Najukochańszą wszakże myślą M. Lesa był zakład leczniczy cisowski. Stary szczwany kramarz śnił wiecznie o przekształceniu swego zakątka, o ucywilizowaniu go jak najwyżej. Gromadził pieniądze, odkładał żelazne sumy, ciulał jak sknera pewne „ciche kasy” na niesłychane przedsięwzięcia, jakie założy pod Cisami w swoim Zagórzu i okolicy, gdy tylko wróci...

„Ciche kasy” brał pierwszy lepszy inżynier jadący na studia, malarz potrzebujący Paryża, lekarz, technik (zawsze wynalazca *in spe*³), wreszcie inny jaki. I znowu zaczynały się specjalne operacje w celu napełnienia próżni. Tak płynęły lata. Gdy Niewadzki ufundował zakład leczniczy w Cisach, który, rzecz prosta, nie mógł pozostać bez dodatniego wpływu na los okolicy, stary Leszczykowski mruknął: „Trzeba to wspierać”. I wspierał po swojemu, ze swoją już nie żelazną, ale stalową wytrwałością i ze swym dziecięcym zaufaniem.

W kilka dni po przyjeździe do Cisów doktor Judym otrzymał z Konstantynopola ogromny list. W piśmie tym stary emigrant rekomendował się młodemu lekarzowi i zawierał z nim znajomość. List pisany był straszną polszczyzną. Plątały się tam wyrazy angielskie, francuskie, greckie, bułgarskie, a częstokroć stały dźwięki zagadkowe, prawdopodobnie tureckie czy perskie. Wewnątrz była gabINETOWA fotografia starego Lesa. Ten list i fotografia dziwnie się dopełniały. Zdawało się, że spojrzenie oczu mówi to wszystko, co się w słowach zawrzeć nie mogło, czego język wyłamany w służbie pieniędzy oddać nie miał siły. Trudno było wzrok oderwać od chudej twarzy i od ciemnych, wlepionych w patrzącego oczu. Silnie sklepione czoło, nos wystający i wąskie usta miały w sobie piętno rezygnacji, niezłomności i uporu. Judym przeczytał kilkakrotnie ten list cudaczny i dziwnie przyzwyczaił się do jego stylu, jakby go uznał nie tylko za zjawisko normalne, ale nawet za konieczne. W zdaniach, powtarzających się to tu, to tam, opisywał się ten człowiek daleki, a tak przecie mocny, że zdawał się chodzić po miejscach, o których w liście mówił. Znał w Cisach wszystko od a do z. Zwracał uwagę młodego lekarza na drobiazgi, których ten wcale jeszcze nie dostrzegał. W końcu listu była prośba o fotografię i częste, bardzo częste listy.

„Kocham – pisał M. Les – młodych, bo oni śmiało biorą się do pracy. Ludzie to są zwykle *lazy*⁴ wiesz pan doktor, jak Anglik powie. A ja nie cierpię! Człowiek nasz, Polak, coś robi i wnet się zestarzeje. Po to pracuje, żeby nic nie robić. Wtedy jak nic nie robi, korzysta z pracy młodego, jego krew pije i jego ramieniem się

³ *in spe* (łac.) – w przyszłości

⁴ *lazy* (ang.) – leniwi, ociężali

podpiera, tego młodego, a sam udaje, że to jego jest *labour*⁵. Nie tak robi Anglik. On wiecznie idzie! *Forward*!⁶ Do końca życia. A nie może już nastarczyć, to nie leży innym na drodze, idzie na świeżą trawkę, do spacerowania. Wtedy młody na jego miejsce przychodzi i od tego miejsca rozpoczyna, gdzie tamten stanął. A my to jeszcze wierzymy w *kismet*⁷ jak Turcy. Kiedy przecie wszystko leży tu! Wszystko można zrobić! Gdybym ja był jeszcze młody, ja bym wszystko zrobił. Mnie się zdaje, że my będziemy razem się wspierali, mój panie doktor Judym...”

Od chwili ujęcia steru przez doktora Węglichowskiego i administracji przez Krzywosąda upłynęło lat kilkanaście. Cisy stały się zakładem uczęszczanym, renomowanym, znanym powszechnie. Osobą wielce wpływową był administrator



Charakterystyka sylwetki Krzywosąda Chobrzańskiego: stary kawaler, urodziwy mężczyzna, wysoki, przystojny, wąsy i włosy czernił farbą.

Krzywosąd Chobrzański. Był to stary kawaler, przystojny, wysokiego wzrostu i pięknej figury. Nosił długie, spuszczone w dół wąsy, które zarówno jak resztki włosów na skroniach czernił tanią farbą, wskutek czego miały kolor zielonkawoszary. Ubierał się prawie zawsze w długie buty, szerokie hajdawery⁸ i coś w rodzaju czamarki⁹. Człowiek ten przeszedł Europę wzdłuż i w poprzek. Mówił chyba wszystkimi językami indoeuropejskimi, a przynajmniej chętnie wygłaszał słowa w najrozmaitszych dialektach – i wszystko prawie umiał. Jeżeli była mowa o chemii, wtrącał się do takiej rozmowy częstokroć trafnie.

Jeżeli kto zaczął dyskurs o malarstwie, rzeźbie, literaturze, kucharstwie, złotnictwie, rymarstwie, podrabianiu obrazów, handlu starożytnościami, krawiectwie, szewstwie, płatnerstwie, a przede wszystkim o wszelkiego rodzaju mechanice, Krzywosąd z każdej z tych dziedzin zdradzał zapas wiadomości fachowych. Nie dość na tym: znajomość każdego z tych kunsztów umiał czynem potwierdzić. Na wigilię on sam gotował zupę i przyrządzał ryby. Wprawdzie zupa była oryginalna, bo jeśli ją przesolił w sposób żołnierski, to dla złagodzenia ostrości smaku sypał do wazy funt cukru. Wszystkie siodła w zakładzie były jego roboty, a raczej jego przeróbki. Jeżeli jakieś stadło zaręczało się lub pobierało w ciągu sezonu, Krzywosąd wypraszał sobie tę łaskę, żeby on mógł robić obrączki. W całych Cisach pełno było dzieł jego. Sam reparował wszelkie maszyny, murował z mularzami, rąbał i piłował z cieślami, heblował i malował ze stolarzem, kopał z ogrodnikiem.

Dyrektor Węglichowski miał zegarek emaliowany, dar Krzywosąda i jego dzieło. Tak przynajmniej świadczył podpis wydrapany na kopercie tego zegarka

⁵ *labour* (ang.) – praca

⁶ *forward* (ang.) – naprzód

⁷ *kismet* (arab.) – przeznaczenie

⁸ hajdawery – bufiaste spodnie męskie

⁹ czamarka – męskie ubranie wierzchnie zapinane pod szyją

jakimś ostrym rylcem: „*J.B. Krzywosąd de Chobrzezanowice Chobrzezański eques polonus fecit Lutetiae Parisiorum. Anno Domini 1868*”¹⁰. W sieni kursalu stał zegar szafkowy, grający na żądanie, za pociągnięciem sznurka, ucieszną aryjkę. Zegar ten był jakoby rozbity i odbudowany przez Krzywosąda na podziw.

W czytelnicy zakładowej stało jego arcydzieło, tzw. *Groupe allégorique*¹¹. Był to stolik, na którym sklezione kamienie, kryształki, ułamki porcelanowe, szkła, korale itp. tworzyły jakieś niby wichry, jeziora, pieczary. Z głębi tych pieczar miał wychodzić na pogodę zakonnik, ale, co prawda, nigdy nie wychodził. Szczyt zdobiły rozmaite alegoryczne figurki, kogutki, żołnierzyki, chorągiewki, wieńce cierniowe, a w środku siedział biały ptak ze szkła, w rodzaju gęsi, z czarnymi oczami, co mu nadawało pozór, jakby był w okularach. W sali do gry w karty stał inny majstersztyk Krzywosąda. Była nim szafa starożytna kością wykładana, z okuciem tak przecie misternym, że aż słabo się robiło. Na górnym gzymsie tego mebla widniała data utrwalona za pomocą inkrustacji: „*A.D. 1527*”¹². Rzecz prosta, że administrator był tylko odnowicielem tego zabytku wieków minionych, aczkolwiek złośliwi twierdzili, że był właśnie twórcą nie tylko szafy, inkrustacji i okucia, ale także owej daty na szczycie.

J.B. Krzywosąd Chobrzezański znalazł się w Europie w tym samym czasie, co M. Les. Kiedy jednak drugi udał się na wschód, Krzywosąd poszedł na zachód. Faktycznie poszedł własnymi nogami przez Śląsk, Czechy, Bawarię do Francji. Tułał się w Paryżu, Londynie, Brukseli, zarabiając na chleb, czym się dało. W Paryżu był retuszerem u podrzędnego fotografa na rue Picpus. Do Londynu zwabił go kolega, który tam uczepił się w fabryce broni. Krzywosąd pracował przez czas pewien jako zwyczajny robotnik, nabrał, jak mówiono, wiele wprawy w fachu rusznikarskim. Łatwiej wszakże było przyzwyczaić do tej roboty ręce niż wdrożyć szlacheckiego ducha. Uciuławszy nieco grosza, Chobrzezański wraca na kontynent i wędruje do Brukseli. Nie znaczy to wcale, że był próżniakiem. Ani trochę! Umiał on wstać o świcie, dzień spędzić bez wytchnienia przy twardej pracy i późno w nocy skłonić głowę na nędznym pościu. Chodził w zniszczonej odzieży, a gotów był i tę oddać biedniejszemu, byleby o tym ludzie wiedzieli. Gdy ktokolwiek zgłosił się do niego o wsparcie, o pożyczkę, każdemu jej udzielił, ale chciał, żeby też jemu wyświadczono to i owo dla zasług. Od warsztatu w Londynie odepchnęła go jakaś siła niewytłumaczona, żądza czegoś lepszego. Krzywosąd nie myślał ani o spokojnym życiu, ani o wielkim bogactwie, choć lubił dostatek.

¹⁰ „*J. B. Krzywosąd...*” – J. B. Krzywosąd z Chobrzezanowice Chobrzezański szlachcic polski, wykonał w Paryżu. Roku Pańskiego 1868

¹¹ *Groupe allégorique* (fr.) – Grupa alegoryczna

¹² „*A.D. 1527*” – Anno Domini 1527, czyli Roku Pańskiego 1527

Wśród najcięższych kolei losu dążył zawsze do sławy, do wyniesienia, do znaczenia, do wpływu i rozgłosu wśród swoich. Chętnie podjąłby trud bohaterski, byleby tylko nie stawał się jarzmem codziennym, pracą obowiązującą jego tak samo jak wszystkich, ordynarną i stałą. Mimo to był przez czas dość długi kasjerem w pewnej dystrybucji¹³ brukselskiej.

Przywykał już nawet do tego zajęcia, gdy grono kolegów kocujących w Monachium dało znak życia. Monachium, które widział w przejeździe do Paryża, podobało mu się niezmiernie. Ruszył tedy do „Mnichowa”. Znalazł tam całą kolonię. Byli to malarze, studenci, artyści wszelkiego kalibru, rzemieślnicy i sieroty bezdomne, „*die unglücklichen Polen*”¹⁴. Wrzało tam jak w ulu. Toczyły się spory, tworzyły stronnictwa, partie, odbywały zgromadzenia, sądy, a nawet bójkę. Chobrzeński wszedł, rzecz prosta, do jednego ze stronnictw i wkrótce objął tam dowództwo. Był to kierownik energiczny. Zaprowadził w swojej partii taki ład, że częstokroć wykonanie przepisów kończyło się w biurze policji. Adwersarzy, których trafnie nazywał „ptakami plwającymi we własne gniazdo”, zwalczał ręką tak żelazną, że mu grożono wybiciem szyb i skóry. Gdy własnego mieszkania nie miał, groźby redukowały się do nastawiania na całość skóry, co znowu umiał odeprzeć krzyżową sztuką, zażywając sękatego kija. Wnet po przyjeździe, nim trafiły się późniejsze roboty, pozował malarzom. Jego piękna twarz, pełna dziwnego wyrazu melancholii, dumy i hardości, pociągała artystów. Zyskał sobie opinię ciekawej głowy i znany był dość szeroko jako „*unglücklicher Pole*”. Z czasem ta ściśle etnograficzna nomenklatura przeistoczyła się w mniej określoną: *unglückliche Fratze mit vielen Konsonanten*¹⁵, ale też wówczas Krzywosąd tylko swojej braci pozował, i to nie inaczej jak na koniu.

Stosunki z malarzami pchnęły go do całkowicie innej dziedziny. Naród malarzski, zmieniający miejsce pobytu, niedbały, dziś tarzający się w złocie, a jutro głodu bliski, stał się źródłem zarobków Krzywosąda. Oto, dajmy na to, wyjeżdża jakiś malarzyna w górę, opuszcza Monachium i dąży w świat szeroki. „Wójt” kupuje od niego za byle co albo po prostu dziedziczy sprzęty artystyczne, stare ubiory, nieraz jakieś połamane zbroje, draperie, nie dokończone studia, szkice, rysunki, a choćby potłuczone ramy. Dla innego trzeba zreparować stylowe siodło, zeszyć kostium, naprawić mebel, skleić jakiś zabytek. Krzywosąd brał to wszystko w ręce i robił. Raz dobrze, drugi raz źle, ale robił. Przypatrywał się dziwnym procesom

¹³ dystrybucja – sklep z wyrobami tytoniowymi

¹⁴ *die unglücklichen Polen* (niem.) – nieszczęśliwi Polacy

¹⁵ *unglückliche Fratze mit vielen Konsonanten* (niem.) – dosłownie: „nieszczęśliwy grymas z wieloma spółgłoskami”; określenie to opisuje wrażenie, jakie twarz i wymowa Krzywosąda wywarły na obcokrajowcach

tworzenia, podsłuchiwał dyskusje, badał ów ogromny kraj, państwo malarza, i zdobywał encyklopedyczne wykształcenie w zakresie antykwarsko-graciarsko-rzemieślniczo-artystycznym. Jeżeli czego nie umiał zrobić, to przynajmniej wiedział, jak się to robi. Gdyby i tu wytknął mu kto brak stanowczości, to w żadnym razie nie mógł zaprzeczyć, że o istnieniu całego mnóstwa rzeczy, zupełnie obcych przeciętnemu zjadaczowi chleba, Krzywosąd potrafił gadać. Z czasem w dużej izbie na Schwantalerstrasse mieścił się dziwny zakład. Były tam i narzędzia stolarza, i warsztat ślusarski, tygle, retorty, kupy ram, flaszki z różnobarwnymi płynami, skóry, żelastwa. Na ścianach wisiały szkice i obrazy, częstokroć dzieła sztuki, pseudoperskie dywany, przeróżne kawałki oręża i zbroi. Po upływie lat kilkunastu spędzonych w Monachium Krzywosąd wyszedł na fabrykanta starożytności. Czasem udało mu się zlepić z ułamków według istniejącego wzoru jakąś podobiznę starożytnego sprzętu czy mebla i odstąpić to antykwariuszowi, wymyć szerniałe malowidło kupione za byle co i puścić w świat jako „szkołę włoską” czy „holenderską”. Szczególniejszą miłością „wójta” cieszył się styl gotycki. Krzywosąd widział ten styl wszędzie, tam nawet, gdzie był inny. Szczytem pochwały w jego ustach było słowo: – gotyk! Stąd zbiory jego zawierały tyle rzeczy spiczastych. Wszystko, co tylko miało kształt ostrołuku, zasługiwało na uwagę, a więc: żelazne ozdoby sztachet, klucze, okucia drzwi, lichtarze chłopskie z okolic Jeziora Bodeńskiego, klamerki u pasków, ramy itd., nie mówiąc już o istotnych ułamkach gotyku.

U Krzywosąda zbierały się nieraz rozmaite grupy burszów¹⁶ i artystów. Stary wążał częstował tę młodź lekkomyślną niesłychaną szpagatówką „swego chowu”, serem, który sam wyrabiał, i suchym chlebem, którego jeśli sam nie piekł, to przynajmniej osobiście archaizował w swych bezdennych szafach do stanu spleśnienia na kolor biały. W drodze szczególnej łaski pozwalał wówczas byle komu zbliżyć się do „broní” rozwieszanej na ścianach oraz wywłóczyć skądś ze spodu stare, zagwazdane rysunki i z wyrazem zupełnej niedbałości, jakby obwieszczał rzecz najobojętniejszą w świecie, mówił, wskazując palcem ten lub ów bohomaz:

– Piotr Paweł Rubens...¹⁷

Albo:

– Szkoła bolońska...¹⁸ Trzeci okres Gwido Reniego...

Po rysunkach takich mistrzów zaczynała się prezentacja innych zbiorów, jak na przykład książeczki pt. *Priapeia*¹⁹, w oprawie białej, z cielejącej skóry. Książeczka ta

¹⁶ bursz (z niem.) – tu: student

¹⁷ Piotr Paweł Rubens – malarz epoki baroku

¹⁸ szkoła bolońska – kierunek we włoskim malarstwie

¹⁹ *Priapeia* – utwory na cześć greckiego bożka płodności – Priapa

była w kilku miejscach przebita na wylot. Kiedy zapytywano, co znaczą te rozdarcia, Krzywosąd objaśniał, że to było ulubione dziełko Karola XII²⁰, które wszakże służyło mu nieraz za cel do strzałów z pistoletu. Była tam również laska Seweryna Goszczyńskiego, zwana czasami laską Wincentego Pola. Był sztylet Beniowskie-go²¹ wysadzany muszelkami – mundur oficera z czasów Księstwa Warszawskiego, dopełniony przez Krzywosąda w ten sposób, że spłowiełe wypustki zastąpione zostały innym, mniej więcej zbliżonym kolorem, a guziki i szlify odpowiednimi guzikami i szlifami uniformu piechoty francuskiej z czasów Napoleona III. Za szkłem wisiał żupanik atlasowy ześcibany z nie pasujących do siebie kawałków – stał dziwny, pokruszony sprzącznik, zwany apteczką Stanisława Augusta, leżała faja z terakoty na zgiętym cybuchu, zwana fajką Stefana Batorego itd.

Nie wszystkim jednak i nie zawsze „wójt” pokazywał swe zbiory. Było na przykład kilku ludzi wśród młodej kolonii, którzy go irytowali i wpędzali w zły humor. Jeden z takich, zetknąwszy się z antykwariuszem, zaraz po stereotypowym pytaniu o zdrowie dodawał:

– A cóż Van-Dycki²², jakże tam? W robocie, co? No, i jakże, udają się?

Drugi wymoczek udawał głuptasa i kiedy Krzywosąd pokazywał zbiory, wtrącał ślamazarne pytanie:

– A ja gdzieś czytałem, tylko nie pamiętam, w jakim dziele, że Szczerbiec²³, miecz Bolesławowski, to podobno jest w pańskich rękach, tylko pan unika o tym rozgłosu, żeby go panu stańczycy²⁴ przez nastawionych zbirów nie wykradli. Nam by go pan mógł pokazać... Złożylibyśmy przysięgę, że ani mru-mru...

Miał jednak Krzywosąd i swoich wielbicieli. Tym pokazywał wydobyte z dna inkrustowanej szafy kawałki haftowanej materii i zapewniał, że jest to urywek szaty, której druga część znajduje się w Cluny – jakąś miniaturkę w szerniałej ramce... O tym obrazku szeptem i z mruganiem mówił, że jest przez pewnego handlarza ukradziony z Brery²⁵ w Mediolanie...

Gdy zarząd Cisów przeszedł w ręce doktora Węglichowskiego, Krzywosąd począł się przed M. Lesem uskarżać w listach na tęsknotę i pisywał te listy tak często, że to wnet uderzyło chytrego kupca. M. Les mruknął do siebie:

²⁰ Karol XII – szwedzki król

²¹ Beniowski – bohater poematu Juliusza Słowackiego; węgierski szlachcic

²² Van Dyck – malarz

²³ szczerbiec – miecz koronacyjny królów Polski, według legendy został on wyszczerbiony przez Bolesława Chrobrego uderzeniem nim o Złotą Bramę w Kijowie

²⁴ stańczycy – konserwatywne stronnictwo utworzone w Galicji, prowadzące politykę ugodową wobec zaborców

²⁵ Brera – galeria sztuki znajdująca się w Mediolanie

– Ta zielona małpa coś knuje.

Miał on dziwną predylekcję²⁶ do Krzywosąda. Bardzo często kupował jego bezcenne antyki, jego Rubensy i Ruysdaele²⁷, buławy hetmańskie i pamiątki autentyczne po królach. Składał to wszystko w pewnym zielonym kufrze i nazywał go „gabinetem zielonej małpy”.

Nareszcie pewnego razu Krzywosąd wyznał w liście, że ma zamiar wracać. M. Les nie sprzeciwiał się i biedny wędrowiec wrócił do Warszawy, a wkrótce potem objął administrację zakładu w Cisach.

Lokal jego tutaj mieścił się na dole starego „zamku”. Prowadziła do tego mieszkania brama (rozumie się: gotycka), a właściwie jej resztki grożące ruiną, które Krzywosąd starannie podpierał. Dalej szły na prawo wąskie strome schodki aż do drzwi mieszkania. Przed progiem wisiał krużganek otoczony żelazną balustradą. Zarówno schody, jak krużganek były świeżo dobudowane przez administratora. Dla przyspieszenia procesu archaizacji tych gotyków nie zamiatano tam nigdy śmieci i nie sprzątano śladów pobytu wróbli, które całymi stadami pod drzwiami wysiadywały. Krzywosąd kochał ptaki. Rozmawiał z nimi i sypał tyle okruszyn chleba, że wróble miały tam istną synekurę²⁸ i nie odlatywały z krużganku.

Kiedy doktor Tomasz zbliżał się z uszanowaniem wolnym krokiem do drzwi administratora dla złożenia mu pierwszej wizyty, zobaczył scenę tego rodzaju. U wejścia na schody tłoczyło się, wrzeszczało wniebogłosy kilkanaście sztuk dzieci folwarcznych, Żydków z miasteczka i innej hołoty. Wysoko stał Krzywosąd w pantoflach i reniferowej szerniałej kurcie. Na poręczu ganku siedział chowany sokół, o którym słyszał już doktor Tomasz całą historię. Sokół ten chorował przez całą zimę i ulegał kuracji. Krzywosąd lał mu w gardło oliwę i sadzał go przy kaloryferze w takim gorącu, że biedne ptaszysko dostawało, widać, czegoś w rodzaju pomieszanego zmysłów, bo palacze znajdowali je częstokroć leżące obok drzwiczek wielkiego pieca, wśród węgla i popiołu. Tylko błyskanie oczu wskazywało wówczas, że jeszcze żywot kołaczę się w nieszczęsnym pacjencie. Teraz, gdy słońce wiosenne świeciło tak jasno, sokół pierwszy raz wyniesiony został na dwór. Siedział na balustradzie, mocno ściskając pręt żelaza, rozglądał się, ruszał i dawał wielostronne znaki zdrowia. Krzywosąd pragnął widocznie pokazać chłopakom nie tylko ptaka, ale i jego sztuki. Schylił się tedy i tkał mu pod dziób swą głowę przemawiając jednocześnie:

– Kąsi pana, kąsi...

²⁶ predylekcja – zamiłowanie, upodobanie, skłonność do kogoś lub czegoś

²⁷ Ruysdael – holenderski pejzażysta

²⁸ synekura – dobrze płatne stanowisko bez dużego nakładu pracy

Chodziło o to, że sokół powinien był pieszczotliwie szczypać dziobem resztki farbowanych włosów. Czy świeże powietrze, czy może lepszy stan zdrowia wpłynął na sokoła tak fatalnie, dość że kiedy administrator ukląkł i podstawiał coraz bliżej łysinę, ptak dźwignął się na łapy, nasrożył i z całej siły huknął „pana” dziobem w czerep, aż szczęknęło. Zgromadzeni wydali okrzyk radości, zaczęli klaskać w ręce i podskakiwać. Tymczasem Krzywosąd przyniósł długi pręt i przemówił do sokoła:

– To ja do ciebie, łajdaku, jak do rodzonego siostrzeńca z pieszczotami, a ty mię będziesz kuł po łbie! *Va-t'en!*²⁹

To mówiąc zrzucił ptaka na ziemię i zaczął go okładać prętem, aż pierze leciało. Sokół rozpuścił skrzydła i na piechotę z wrzaskiem uciekł w głąb mieszkania, do którego drzwi zostały zatrzasknięte.

Judym otworzył te ciężkie podwoje i wszedł ostrożnie do wnętrza. Składało się ono z dużej, sklepionej sieni o kamiennej posadzce tudzież z dwu izb mieszkalnych. Z przedsionkiem sąsiadowało pomieszczenie na kaloryfer, gdzie właśnie sokół znosił w tej chwili tak bardzo zasłużoną karę. Dawały się stamtąd słyszeć jego zuchwałe wrzaski. Judym wkroczył do izby na lewo i zaraz w progu szepnął:

– Twardowski! Jak mi Bóg miły, Twardowski...

W istocie mieszkanie to przypominało do złudzenia lokal mistrza. Mury tu były ogromnie grube, okna zakratowane, sufity sklepione. W pobliżu okna stały warsztaty gospodarcze i krzesło z wysokim oparciem, skórą obite. W głębi było szerokie, drewniane, starożytne łóże z baldachimem opartym na słupkach misternie rzeźbionych. W kątach leżały stopy żelastwa, rzemieni, klepek. Na ścianach wisiały owe sławne obrazy, o których Judym tyle już słyszał.

Gdy Krzywosąd po egzekucji przyszedł wreszcie do izby, zajął się gościem z żywością. Posadził go w fotelu, co na Judyma wywarło taki urok, jakby go zanurzono w wannie, i puścił się w dyskurs uprzejmy. Gdy rozmowa zesła na Cisy, Krzywosąd wyrażał się o całej instytucji z taką samą niedbałością, jaka cechowała jego mowę w trakcie pokazywania rysunków Rubensa. Judym zauważył również, że administrator używał takich tylko zwrotów stylowych, które by dobrze malowały jego władzę w tym miejscu. Mówił tedy:

– Kazałem przebudować cały zamek... Muszę wziąć się jeszcze do urządzenia parku. Mam na myśli całkowite odrestaurowanie łazienek, tylko że oto jak na złość brak mi czasu...

Mówił ciągle:

– To się robi, to się każe zrobić.

Szczególnie często powtarzał zdanie:

²⁹ *Va-t'en!* (fr.) – Wynoś się

– To mi, wie pan doktor, pasowało... To mi dobrze robiło... Bawiło mi oko, więc kazałem zbudować...

Judymowi ten rodzaj pewności macił nieco wyrazistość spostrzeżeń. Wiadomą było skądinąd rzeczą, że na przykład przebudowanie gmachów zależało nie tylko od tego czy administratorowi „dobrze albo źle robiły”, ale również od innych przyczyn, głównie zaś od decyzji rady zarządzającej.

Później przekonał się, że jednak taki sposób wyrażania gustów i wpływu tych gustów na bieg spraw cisawskich – wcale nieźle malował istotny stan rzeczy.

Kasjerem zakładu był pan Listwa, którego Krzywosąd w oczy i za oczy nazywał starym niedołęgą albo jeszcze złośliwiej – przedętą fujarą. Pan Listwa był mężem matki Dyzia i ojczymem tego chłopczyka. Niedołęgą w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, a tym mniej „przedętą fujarą” kasjer Cisowski nie był, ale też i do rodu farysów³⁰ już się nie mógł kwalifikować. W gruncie rzeczy był to człowiek zgipsiały w ciężkich warunkach, a osobliwie w kajdanach małżeństwa. Żona i Dyzio tak urozmaicali życie pana Listwy, że praca w kancelarii zakładu, zimnej i wilgotnej, wysiadanie tam wśród ksiąg, kwitów, rachunków – była dla niego jedyną wprawdzie, ale za to istotną rozkoszą. Kasjer czuł, że żyje wtedy dopiero, gdy wychodzi z domu. W obrębie progów rodzinnych przypominał coś w guście złamanego parasola: krył się w ciemnych kątach, ustępował z placu i milczał. Mimo tak skromnej postawy był kozłem ofiarnym we wszelkich zatargach z Dyziem, który na wiekowym ojczymie wprawiał się w dowcip. Były chwile, że pan Listwa próbował opozycji. Ale te eksperymenty miały szybko i trafiały się coraz rzadziej. Wszystko sprowadzał do absolutnego poziomu jeden jedyny dźwięk padający z jej ust:

– Hipolicie!

³⁰ farys (arab.) – rycerz, wojownik



KWIAT TUBEROZY

Kwiat tuberozy
– symbol
pięknego, ale
pozbawione-
go większej
wartości (bo
oderwanego od
potrzeb społeczeństwa) życia
człowieka.

Poznanie Cisów zajęło Judymowi tyle czasu i tak go absorbowało, że o zwiedzeniu szpitala nie było mowy. Co dnia prawie obijał się o jego uszy ten wyraz: „szpitalik”. Dr Węglichowski kilkakrotnie wspominał mu wśród innych wiadomości:

– Pamiętaj, kochany panie, że masz pod sobą szpitalik...

– Może byśmy go mogli obejrzeć... – gorączkował się Judym.

– Nic pilnego! Poznaj no kolega zakład, tamto rzecz uboczna. Mówię dlatego, że i tamto...

Tak schodziło. Nareszcie pewnego dnia doktor nie mógł wytrzymać. Rozpytywał się delikatnie, gdzie ów szpital się mieści, i poszedł sam, żeby przynajmniej zobaczyć rozmiary i jakość budynku. Nadzieja pracy samoistnej w swoim, niemal własnym szpitalu nęciła jego entuzjazm.

Za bramą parku rozchodziły się pod kątem prostym dwie ogromne aleje lipowe. Jedną z nich przybywało się do Cisów ze świata, od strony kolei – druga prowadziła do pałacu, kościoła i szpitala. Było tej drogi więcej niż wiorsta¹, drogi szerokiej, ale bagnistej. W chwili kiedy ją Judym przebywał, podsychała już, ale jeszcze tu i ówdzie gładko z wierzchu zmulona i wymyta glina pod nogą rozstępowala się i lgnęła do niej bryłami. Wielkie drzewa stojące nad tą drogą już okrywały się liśćmi; w rowach szumiały strumienie płynnego iltu, szybko z góry biegnące.

W duszy Judyma było takie wesele jak chyba nigdy jeszcze w życiu. Gdy się zbliżał do zabudowań folwarku rozrzuconych na dużej przestrzeni, serce silnie biło mu w piersiach. Wiatr wiosenny owiewał go jakimiś marzeniami, po prostu uczniowskimi. Śniły mu się na jawie zdarzenia, bohaterstwa, szalone operacje i niewysłowione pocałunki czyichś ust pachnących. Z obojętną miną, jak na trzeźwego eskulapa przystało, wyminął kilka domów, mieszkań rządcy, kasjera, ekonoma, i siedł na lewo ku kościołowi, zostawiając po prawej stronie szeroką drogę wjazdową w stronę pałacu.

Obok kościoła świeżo wzniesionego z czerwonej cegły – budowy pięknej, z dwiema strzelistymi wieżami w stylu gotyckim – mieściło się probostwo. Dalej krył się w drzewach znacznie dawniejszy, obszerniejszy dom: szpital.

Judym nie miał zamiaru wchodzić do środka. Pragnął to uczynić w towarzystwie swego zwierznika. Poszedł najprzód obejrzeć kościół, który właśnie był otwarty. Brakowało tam jeszcze posadzki, bocznych ołtarzów w nawach, konfesjonałów,

¹ wiorsta – dawna rosyjska jednostka długości równa 1,0668 km

malowideł, ławek. Ceglane filary stały w piasku. Tu i ówdzie mieściły się ławy zbite naprędce z tarcic. Tylko w prezbiterium były już stalle rzeźbione. Panowało tam światło różnobarwne, przyćmione przez kolorowe witraże. Właśnie ksiądz odprawiał mszę cichą. Przed głównym ołtarzem stała gromadka ludzi. Judym obszedł lewą nawę i wolno, bez żadnego szelestu, po piasku, który zupełnie tłumił odgłos jego kroków, zbliżył się do prezbiterium. Gdy tam stanął, ujrzał w ławkach kolatorskich trzy swoje znajome paryskie – panny: Natalię, Joannę i Wandę. Z brzegu siedziała panna Natalia. Doktor poznał ją bardziej przez słodkie zemdlenie zmysłów, przez jakiś chłód wewnętrzny ściekający po twarzy i piersiach niż siłą wzroku. Miała na głowie lekki kapelusik, a twarz zasłoniętą woalką barwy rudawordzawej. Tło ciemnych, brązowych taflí rzeźbionego drzewa otaczające jej głowę sprawiało, że wyglądała jak przecudny rysunek sangwiną². Ostre, medalowe rysy jej nosa i brody znaczone były w tkaninie woalki, podczas kiedy oczy znać było tylko jak ciemne wgłębienia. Judym przez chwilę miał wzrok do tej głowy wprost przykuty. Nie wiedział, czy ma się uklonić, gdyż nie był pewien, czy go spostrzeżono. Za chwilę dopiero złożył ukłon. Panna Natalia ledwie widocznym ruchem schyliła głowę. Wtedy także oczy Judyma spotkały się z oczami panny Joanny i oddały sobie w przelotnym błysku przywitania dusz młodych i czystych, tułających się na ziemi we wzajemnej tęsknocie. Twarz panny Joanny pełna była uśmiechów, pomimo że oczy i wargi jej starały się nie wyrażać ich szczerze.



Spotkanie
Judyma
z Orszeńskimi
i Niewadzką.

Nabożeństwo skończyło się wkrótce i garstka mieszczek gwarząc, opuszczała kościół. Doktor szedł pospołu z tłumem, aby nie było śladu, że czeka na wyjście panien. Ale za drzwiami kościoła krążył to tu, to tam, niby dla poznania architektury pięknej świątyni. Gdy tak stał z głową zadartą, obserwując kamienne łuki, otworzyły się boczne drzwiczki prowadzące do zakrystii i wyszedł tamtędy ksiądz jeszcze młody, który dopiero co mszę odprawił, a z nim trzy panny.

Nastąpiło spotkanie. Doktor przywitał panienki i przedstawił się księdzu. Ten wziął go wnet pod ramię i wszczął miłą rozmowę, pełną życzliwości i smaku. Był to księżyna zażywny, z oczami siejącymi blask wesoły, z ustami do śmiechu. Ledwie kilka srebrnych włosów płało się w jego bujnej czuprynie, a czerstwa twarz sprzeczała się nawet z tymi nitkami.

– Kto nogą stąpił na księżę terytorium, ten idzie do księdza na śniadanie! – zawyrokował młody pleban.

– Z wyjątkiem panien! – protestowała panna Podborska.

² sangwina – kredka brunatnoczerwona

– Bez żadnych wyjątków. Ksiądz, panna i anioł trzeci – to rodzone dzieci. Zresztą ja tu rozkazuję, nie jakieś tam młode panny. A to mi się podoba! Nieprawdaż, doktorze?

– A, skoro takie prawo... Muszą się panie poddać.

– No? I cóż teraz? Ksiądz i doktor, to jest, źle mówię, doktor i ksiądz zdecydowali, więc już jesteśmy na plebanii... – mówił proboszcz, otwierając furtkę w nowym murze, który otaczał cmentarz kościelny.

W dużych, wygodnie umeblowanych pokojach księzego mieszkania pełno było kwiatów, obrazów (oleodruków), pism, ilustracji. W sali jadalnej zmieściła się szafka z wydawnictwami dla ludu, w ustronnym gabinecie leżały na stole pisma tygodniowe, miesięczne, gazety i stała spora biblioteka. Ksiądz bawił gości swym jowialnym humorem, który wszakże usiłował być humorem lepszego tonu, i dopytywał się u zgrabnej gospodyni o śniadanie. Wkrótce je podano. Proboszcz znał już historię paryską dziewicy i doktora. Ciekawy był przede wszystkim drogi do Lourdes, wybierał się tam bowiem od lat kilku. Panny egzaminowały go, czy duże zrobił postępy w języku francuskim. Przy końcu śniadania proboszcz wywołał Judyma do gabinetu na papierosa, a dziewice przeglądały tymczasem w salonie świeże pisma. Okna gabinetu wychodziły na drogę lipową. Proboszcz mówił żywo i tak rozumnie, że Judym co chwila myślał: „Patrzajcież, jaki to mądry i jaki miły pomidorek³...”

Ksiądz z ciekawością pytał się doktora o różne rzeczy wielkemiejskie, gdy wtem rzucił okiem na drogę i skrzywił się brzydko. Tą drogą szedł właśnie prędkim krokiem młody człowiek w eleganckim demi-sezoniku⁴ i jasnym kapeluszu. Dr Tomasz poznał w zbliżającym się młodzieńcu kuracjusza, którego był widział jadącego konno w dniu swego przybycia do Cisów, a później dostrzegł przy ogólnym stole w zakładzie. Nazwiska nie pamiętał, więc spytał o nie księdza:

– A to jest pan Karbowski, wasz przecie kuracjusz. Choć taki on chory, jak ja aptekarz!

– Dlaczegoż to?

– Widzi pan... to jest łobuzina. Pochodzi, jak mówią, z bardzo dobrego rodu, odziedziczył po ojcu majątek – no i puścił go we dwa lata, ale to co do gronia. Bywał w Monte Carlo, w Monaco, w Paryżu, gdzie kto chce. Gra w karty, ale to nie tak po naszymu, tylko z premedytacją. W tym sęk!...

– Nie spostrzegłem...

– No, to doktor jeszcze zdąży. W sezonie, co tylko przyjedzie bogatszego, aż fiu fiu w główce, młodzież złotą, a nawet rozmaite damule, ogrywa tak, że z płaczem wyjeżdżają. Z tego żyje.

³ pomidorek – ksiądz (żartobliwie)

⁴ demi-sezonik (z fr.) – jesionka, płaszcz

– Czyż tu bywają tacy?

– Bagatela! Ten pan Karbowski – ho-ho... Zimą, gdy się urwie kompania bogatsza, siedzi jak susel. Czasem wyjedzie, znowu wraca... Gdy go nędza przyciśnie, pożycza od lokajów, od kąpielowych, od Żydków, felczerów, od każdego, kto na placu. Mówię dlatego, że i doktora nie ominie.

– Ech, ode mnie trudna pożyczyć, szczególnie w tym czasie... – zaśmiał się Judym.

– No, no... Straciłem do niego serce, bo umie oszważyć biednego człowieka. Przychodzi, dajmy na to, do felczera, który przez sezon uskładał sobie pewną sumkę, i prosi go o zmianę dwudziestu pięciu rubli. Głupi Figaro⁵ zachwycony poufałością „takiego pana” wywleka z szuflady rubeliansy i rozkłada na stoliku. Ten zgarnia to do pugilaresu, później udaje, że zapomniał wziąć ze sobą dwudziestopięciorublowego papierka, i każe felczerowi przyjść do hotelu. Zajdziesz, mówi, to sobie weźmiesz, bo mi się teraz nie chce lecieć po pieniądze – idę akurat do zamku... Lokaje nauczeni nie dopuszczają golibrody do „pana hrabiego”, a on tymczasem rżnie w karty, licząc na to, że wygra owe dwadzieścia pięć rubli i odda.

– Ale czy oddaje przynajmniej?

– Dziś jeszcze oddaje, gdy go nacisnąć. Ale co zrobi jutro? Za numer w hotelu nie płaci chyba od roku. A zresztą teraz on tu ma co innego na myśli.

Gdy to dobrodziej mówił, dało się słyszeć lekkie stukanie we drzwi prowadzące z przedpokoju do salonu. Ksiądz coś mruknął i wyszedł, pociągając za sobą doktora. W drzwiach przeciwnych stał ów pan Karbowski.

Był to wysmukły, blady brunet. Małeńki, nie podkreślony wąs ocieniał jego czerwone wargi. Ciemne, mgliste oczy zdawały się nie widzieć nikogo w pokoju. Gładko od lewego kąta czoła przyczesane włosy harmonizowały z całą osobą pełną szczególnego czaru. Modny smoking leżał na nim i uwydatniał zgrabność powolnych ruchów. Karbowski przywitał młode panienki ogólnym ukłonem, księdza cmoknął w ramię. Judymowi z miłym skinieniem głowy podał rękę i usiadł obok panny Wandy, a naprzeciwko Natalii.



Karbowski:
Opis postaci.

Ta od chwili wejścia do salki młodego człowieka była blada jak papier. Usta jej przymknęły się w sposób szczególny, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem, a cała twarz stała się tak piękna, że niepodobna było oczu oderwać. Karbowski mówił do panny Joanny o książce, którą ta trzymała w ręku.

W czasie tej rozmowy pewnym, jakby ociężałym ruchem uchyliły się jego powieki i oszalałe, bezmyślne, dzikie z miłości oczy wlepiły się w twarz panny

⁵ Figaro – bohater z komedii Beaumarchaisa *Cyrulik Sewilski* i *Wesele Figara* wyróżniający się sprytem; przeciwieństwo cisowskiego felczera

Natalii. Ona także nie miała już siły ukrywać wyrazu swoich. Panna Joanna pełna trwogi i wzburzenia mówiła żywo do Karbowskiego, ale słowa jej płątały się i więzły w gardle. On pytał się, uśmiechał, rozumował, z pozoru sądząc, trzeźwo i chłodno, ale tylko na przelotne i bolesne chwile odrywał wzrok od tamtej. Mówił wolno i dźwiękami tak widocznie obcymi jego mowie, że wydawały sienie tylko jemu, ale i wszystkim przytomnym czymś dalekim i kłamanym.

– Pan długo jeszcze zabawi w Cisach? – zapytała go panna Natalia.

– Tak, jeszcze dosyć długo. Nie wiem... Może umrę... – rzekł z uśmiechem prawdziwie śmiertelnym.

– Umrze... pan? – szepnęła.

– Tak długo, tak dawno... tu lecę się bezskutecznie... Straciłem nadzieję.

– Może by panu jaki inny kurort pomógł... – wtrącił ksiądz, oglądając swe paznokcie.

Karbowski musnął wąsika i przelotnie dotknął proboszcza spojrzeniem, które, zdaje się, mogłoby zabić.

W tej chwili rzekł jak gdyby do siebie:

– Ach, tyle czasu... Tak, tak... Ksiądz proboszcz ma rację, inny kurort... Może być, że pojadę.

– Kiedy? – zapytała znowu panna Natalia.

Po tym słowie niewinnym panna Joanna drgnęła i wstała ze swego miejsca.

– Jedźmy już! – rzekła do towarzyszek – babunia będzie niespokojna. Panna Natalia udała, że nie słyszy tych wyrazów, tylko źrenice jej zaszkliły się białym blaskiem okrutnego gniewu jak żywe srebro. Panna Wanda, która przerzucała ułożone z całego roku numery jakiejś ilustracji, podniosła głowę i zapytała:

– Więc jedziemy?

Nikt nie odpowiadał. Ksiądz siedział przy osobnym stoliku i bębnił weń palcami. Oczy jego patrzyły w przestrzeń, a wargi były odęte. Taki wyraz twarzy nie zdradzał wcale zadowolenia z wizyty pana Karbowskiego ani z toku rozmowy. Ale panna Natalia i Karbowski tego nie widzieli. Było rzeczą jasną, że chodziło im o wyzyskanie tych sekund *per fas et nefas*⁶ o napatrzenie się sobie wzajem w oczy, o przypomnienie w uśmiechach i dźwięku, słów obojętnych, mórz bezdennych tęsknoty. Słowa płynące z ust młodego człowieka panna Natalia witała dziwnymi, pełnymi boskiego wdzięku ruchami warg i nozdrzy, jakby czuła zapach każdego wyrazu i na każdym niby na różny przysłanej składała pocałunek.

Panna Joanna żegnała się z proboszczem. Za jej przykładem uczyniły to obydwie towarzyszki. Gdy nadeszła kolej pożegnania Judyma i panna Natalia stanęła przed nim, ujrzał jej srogie oczy skamieniałe z żalu, a jednak wydające jak gdyby

⁶ *per fas et nefas* (łac.) – dozwolonymi lub niedozwolonymi środkami

krzyk rozpacz. Przez chwilę myślał, że oddałby życie, gdyby te oczy jedną godzinę tak za nim tęskniły... Ale zahuczał w duszy jego diabelski śmiech i coś złamało się wśród głuchego bólu.

Obydwaj z Karbowskiem wyszli jednocześnie z probostwa.

Przed gankiem stał lekki odkryty wolant, do którego wsiadły wszystkie trzy panny. Konie szybko z miejsca ruszyły...

Panna Natalia nie obejrzała się ani razu. Za to Karbowski patrzył w stronę oddalającego się pojazdu wtedy nawet, gdy ten znikł już na zakręcie alei. Oczy jego miały wyraz dziwnej senności, a twarz była skrzywiona cierpieniem, którego nie mogła pokryć ani maska dumy, ani uśmiech towarzyski.

Judym zazdrościł temu młodzieńcowi wszystkiego, nawet cierpienie, jakich tamten doświadczał. Tą samą drogą szedł przed godziną z sercem pełnym ognia. Rwał się do pracy w szpitalu, silnie pragnął przynajmniej ujrzeć mury tego budynku, gdzie będzie kładł duszę w twardą pracę lekarską, a oto teraz cały ów szpital tak nie istniał dla niego, jakby się w ziemię zapadł. Co więcej, aspiracje odczuwane przed godziną wydawały mu się w owej chwili jak coś głupiego do absurdu, jak coś z nie istniejącej krainy dubów smalonych. Rzeczywistością było to, że panna Natalia jest zakochana w Karbowskiem.



Tomasz Judym:
Niska
samoocena
spowodowana
zauroczeniem
Natalii panem
Karbowskiem.

Judym przypatrywał się z ukosa postaci tego franta, jego ruchom, gestom z natury i wystudiowania zgrabnym i w smutku tak bezbrzeżnym, jego ubraniu pełnemu smaku i elegancji. Nie byłby pewno wyznał tego przed nikim ani nawet przed sobą, ale czuł to, że całe życie, wszystkie wysiłki, plany, dążenia, jest to jedno wielkie głupstwo w stosunku do życia Karbowskiego. Po cóż to wszystko? Po co zabiegi, idee, trudy? Czyliż Karbowski nie zrozumiał życia tak, jak je rozumieć należy? Być człowiekiem pięknym, wykwiutnym i dla tych przymiotów być kochanym przez najcudowniejsze zjawisko ziemi, przez taką pannę Orszeńską. Wszystko w Karbowskiem zdało się Judymowi doskonałym i logicznym, nawet jego karciarstwo i szacherki. Nie przywiązywał do tego wszystkiego wagi, jak nie przywiązujemy wagi do niczego oprócz piękności, patrząc na tajemniczy kwiat tuberozy.

„Przecie – myślał Judym – taki kwiat jest owocem Bóg wie jakich trudów, wydatków, zachodów, jest bezużyteczny i szkodliwy, gdy go porównać ze żdźbłem tymotejki, kłosem żyta albo kwiatem koniczyzny, a przecież komuż by przyszło do głowy deptać go za to nogami...”

Z głębi duszy młodego lekarza wychylił się znowu żal gorzki i nienasycona zazdrość, czemu i on, czemu i on...

PRZYJDŹ

Burza już przeszła... Zdawało się, że wszystko ucicha, gdy wtem zaczynały trzepać nowe biczki kropel ogromnych, ciężkich, sznurem idących na ziemię. Wzdłuż ścieżek wypukłych, rumianych od starej cegły, płynęła bez ustanku lśniąca woda. Po placach nieco głębszych stały jeziora pełne baniek szklistych a wzdętych jakby przez usta swawolnych dzieci. W cieniu kasztanów chowały się zielone smugi, a w nich widać było pnie wywrócone. W górze, między ogromnymi kępami wierzchołków jaśniał wyimek nieba o tle pozłocistym, świecącym niby owe niebiosy, które oglądać można w ołtarzach kościołów wiejskich. Po nim pędziły kłęby chmur pierzastych, rozwianych, cienkich, fioletowych, tak prędko jak dymy. Co chwila odzywał się jeszcze grom daleki, grom wiosenny...



Opis przyrody.

Najbliżej stała akacja o pniu grubym i czarnym a gałęziach jakby wykręconych z żelaza. Te potworne konary roztrącały zasłonę delikatnych, jasnych liści. Z cieniów starego muru biły w górę tysiączne gałązki młodych akacji, które jeszcze krzewem być nie przestały. Młode pędy osnute żywymi liśćmi, a na samych końcach maleńkimi ich śladami, wyciągały się ku chmurom, gdyby pieszczone ręce dziewczęce, których dotąd słońce nie skalało. Czasami przylatał wiatr, rozbujał ten krzew lekko, równo, cicho – i wtedy cudowne strofy liści kołysały się w ciepłym, wilgotnym powietrzu sennymi akordami niby muzyka, która oniemiała i, przybrawszy na się kształt tak przedziwny, zastygła.

Judym siedział u otwartego okna w swoim mieszkaniu. Płonął od głębokiej radości. W pewnych sekundach wznosiły się w jego sercu jakieś tchnienia uczuć podobne do tych, co kołysały wierzchołki drzew. Wówczas na jego usta wybiegały dźwięki pieszczotliwe a zapalające, jakby z ognia. Mówił nimi do drzew wielkich, do młodych krzewów, do jaskółek szybujących wysoko nad szczytami po świetlistej otchłani. Tajemnicza radość pociągała wzrok jego ku końcowi alei, a serce ulatywało z głębi piersi jak zapach. Na coś niesłychanego czekał, na przyjście czyjeś...

ZWIERZENIA

17 października. Dziś rocznica mego przyjazdu do Warszawy. Więc to już sześć lat upłynęło! Sześć lat! Ogromny tydzień mojego wieku. Wtedy miałam siedemnaście, dziś już dwadzieścia trzy „wiosny”. Jeżeli porównać tamtą Joasię z dzisiejszą – jakież to deficyt! Joasiu, Joasiu...

Postanowiłam pisać dziennik na nowo, a raczej wskrzesić z martwych dawny. Uczyla nas przecie wszystkie tej sztuki Stacha Bozowska¹. Ona pierwsza w Kielcach pisała dziennik umiejętny, to jest dziennik szczerych uczuć i „prawdziwych” myśli.

Biedna po stokroć Staszka... W jednym z ostatnich listów pisała do mnie: „Właściwie byłam w tym życiu uzdolnioną autorką mojego dziennika – i niczym więcej. Teraz napaliłam w moim szkolnym piecu trzynastoma księgami oprawionymi w grubą tekturę i czarne, zrudziałe sukno. Żegnaj, dzienniku...”



**Joanna
Podborska:**
Opis postaci,
historia życia.

Źle zrobiła! Dlaczegoż tępić zwierzenia, które nikomu wadzić nie mogą, a dla nas samotnic zastępują (wielki Boże!) kochanków, mężów, braci, siostry i przyjaciółki? Nie – będę pisała w dalszym ciągu! Czuję do tego nałóg taki, jak np. mężczyźni do palenia tytoniu. Pod wpływem szyderstw frazesowicza S. przestałam pisać, a teraz niewymownie żałuję. Odmawiałam sobie przyjemności przez lat sześć – i dlaczego? Dlatego, że S. na ten temat dowcipkował? Mniejsza zresztą...

Ileż to zmian! Henryk w Zurychu, Wacław nie ma, Staszka już dawno w grobie... A u mnie? Ileż to zmian!

Jak dziś pamiętam tę noc ostatnią, gdy przyszedł telegram od pani W. W ciągu czterech godzin zdecydowałam się opuścić Kielce, jechać do Warszawy – i pojechałam. Telegram brzmiał (umiem na pamięć te słowa): „Miejsce u Predygiarów jest. Przyjeżdżać niezwłocznie. W”

Ach, ten dzień, ten popłoch! Zbieranie rzeczy, bielizny, drobiazgów, szybko, szybko, drżącymi rękoma, wśród łez i wybuchów odwagi... Pocziwa pani Falińska „użycza” mi pieniędzy na drogę – i wyjazd! Głęboka, ciemna noc w jesieni... Jak to wówczas dorożka dudniła w pustych ulicach kieleckich, jakie dziwne wywoływała echa i wrzaski między ścianami starych kamienic! Sama jazda koleją była to już czynność co się zowie. Pod sekretem mówiąc, przecie to pierwszy raz jechałam wówczas „koleją żelazną”. Pierwszy raz – i prosto w świat! Nie zmrużyłam

¹ Stacha Bozowska – bohaterka *Silaczki* Stefana Żeromskiego

oka, tylko z głową wspartą o deski wagonu marzyłam bojaźliwie o życiu. Tyle akurat o nim wiedziałam, co człowiek idący do lekarza pod naciskiem nękających go a zagadkowych cierpień. Jak on nic nie wie o istocie samej choroby, nie rozumie, co ona jest, co z niej może wyniknąć, dokąd rzuci jego ciało, losy, myśli, uczucia – i tylko marzy ostrymi a przebiegłymi wiedzeniami, usiłując wszystko zrozumieć – tak samo ja wtedy... Waliałam w życie z kapitałem składającym się z biletu kolejowego, z tobołka rzeczy, pięciu złotych „grosza gotowego”, no



Odczucia Joasi
Podborskiej
podczas wyjaz-
du z Kielc do
Warszawy.

i z telegramu pani W. Za sobą zostawiałam dwu braci, ciotkę Ludwikę, która (w braku kogoś bardziej odpowiedniego) zastąpiła mi matkę, gdy „uczęszczała” do gimnazjum, która dzieliła się ze mną małym kawałeczkiem swego chleba – i chyba nic więcej... Ach nie, nie „nic więcej”! Kochałam Kielce, różne tam osoby, braci, Wacka i Henryka, Dąbrowskich, Multanowiczów, Karczówkę, Kadzielnię² – i tak w ogóle wszystkich. W tych latach tak łatwo człowiek właśnie wszystko miłuje! Cóż dopiero Kielce! Tej nocy w wagonie było mi tak żal! Koła uderzające o szyny wołały na mnie okrutnymi słowami. Zgrzyty ich kruszyły mą wolę i siłę na jakąś mgłą trwogi. Przypominam sobie te chwile przestrachu, kiedy nim jak płomieniem objęta postanowiłam wysiąść na pierwszej stacji i wrócić. Wrócić, wrócić! Ale wagon mój rwał w nocy jesiennej wskroś jakichś miejscowości ponurych i żelazną, dziką mocą swoją precz mię unosił od wszystkiego, com czule kochała. Zresztą, czyż mogłam? Wrócić do biednej ciotki utrzymującej stancję uczniowską? Mieszkać znowu w nędznej, ciemnej i ciasnej izdebce! Sypiać na starej kanapie, wśród zaduchu sosów, wśród wiecznego deficytu ciotycznego, trosk o masło i żalów na drożyznę kartofli, ach, i wśród afektów ósmoklasistów, zepsutych, niemądrych i rozpróżnionych? Nie mogłam, żadną miarą nie mogłam...

Zresztą musiałam przecie, według ślubu tak solennie złożonego u świętej Trójcy, przygotować drogi dla Wacława, który był wówczas w siódmej klasie, pomagać Henrykowi. Dawne, dawne dzieje...

Ranek dnia przy końcu jesieni, ranek chory i jakby splakany, gdy drżąca z zimna i (powiedzmy szczerze, co tam!) – ze strachu, trzęsłam się jednokonną dryndulą do pani W. Przybywam, trafiam na tę uliczkę Bednarską, co niby jakaś figura czy bestia wila się w moich uczuciach – i wkrótce idziemy we dwie z panią Celiną do Predygień. Mijam ulice, które pierwszy raz widziane w taki dzień (przez oczy struchlałe z niedołęstwa) są zimne, obmokłe, niegościnne, niby owa „skorupa”, w której „pływa jakiś płaz”...³ Wchodzimy. Zmierzone jak łokciem

² Karczówka, Kadzielnia – góry niedaleko Kielc

³ „skorupa”, w której „pływa jakiś płaz” – aluzja do *Ody do młodości* A. Mickiewicza

okiem lokajskim, wyczekujemy w pysznym gabinecie. Po długim udręczeniu słyszę wreszcie jedwabny szelest sukien. Ach, ten jedwabny szelest sukien...

Ukazuje się pani Predygirowa. Nos wprawdzie żydowski, ale za to spojrzenie arystokratyczne, całkowicie według wzorów sarmackich. Mówimy o mnie, o moim patencie, o tym, co mam wyklądać Wandzie, mojej przyszłej uczennicy, wreszcie przerzucamy się mimo woli z języka polskiego we francuski. Koniec końców – pytanie: ile żądam miesięcznej pensji? Minuta wahania się. Później ja, kielczanka, zdobywam się na heroizm i własnym uszom nie wierząc, wygłaszam maksymalną cyfrę, jaka kiedykolwiek powstała w mojej imaginacji: piętnaście rubli.

Pokój osobny, utrzymanie całkowite i piętnaście rubli miesięcznie! Czy słyszy-cie wy, które oświecacie głupie dzieci między rogatkami biskupiej stolicy?

Pani Predygirowa nie tylko się zgadza, ale „z chęcią”... Tej samej nocy już spałam w zacisznym pokoiku od ulicy Długiej. Niech będzie błogosławiony rok, który tam przeżyłam! Nie znająca Warszawy tak dalece, że mogłam pod tym względem z artyzmem reprezentować cielę (gdyby Warszawę porównać do wrót malowanych), wzorowo siedziałam w domu, pracowałam nad Wandą i czytałam. „Biblioteka pana Predygiera stała przede mną otworem”... Nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem tyle książek nie wchłonęłam. Czegóż to wówczas nie miałam w ręku! Ale co tam! Byłam wówczas dobra jak cukier lodowaty... „W tym rzecz!” – jak mówił zacny pan Multanowicz. Kochałam Wandzię, moją uczennicę, kochałam ją szczerze jak rodzoną młodszą siostrzyczkę. Kochałam nawet panią Predygirową, choć była względem mnie zawsze twarda, wyniosła i z góry wielkością olśniewająca jak latarnia gazowa. Byłabym może szerokim sercem miłowała i pana Predygiera, gdyby nie to, że był bogatym, niezrozumiałym, obrzydliwym, tłustym mężczyzną, w którego oczach widziałam przez cały rok tylko dwa uczucia: albo chytrość, albo tryumf. Stopniowo wszystkie afekta zgasły. Nie zakwitła w tamtym mieszkaniu między mną i tymi ludźmi nawet przyjaźń, nawet życzliwość. Dziś już wiem, że nie ma w tym nic dziwnego... Bo czyliż najnędniejszy ze wszystkich, najlichszy kwiatusek może się rozwinąć w lodowni?

Pamiętam moją pierwszą bytność w teatrze, na koncercie „Lutni”⁴, na odczytach. Dziś tylko słabą reminiscencją poznaję te uroczę, prawie mistyczne wzruszenia, kiedy zobaczyłam na scenie... *Mazepę*⁵. Gdym usłyszała świetnych aktorów głoszących cudowne wiersze Słowackiego, które umiałam na pamięć, „moje” wiersze... Wówczas także los dał mi możliwość „ujrzenia” kilku literatów, których miałam w prostactwie moim, z miasta Kielc importowanym, za wiodących

⁴ „Lutnia” – śpiewacze towarzystwo warszawskie

⁵ *Mazepa* – dramat autorstwa Juliusza Słowackiego

ród swój od Apollina. Później, ale dopiero później, przekonałam się, że daleko częściej wywieść by się mogli od Bachusa i Merkurego. Teraz już wiem, że talent to w większości wypadków – torba, czasem cennych klejnotów pełna, którą na plecach nosi z przypadku byle facet, a nieraz byle rzezimieszek. Wtedy! Ta groza wielka, kiedy wchodziłam do pokoju, gdzie zaproszony przez pana Predygiera na pieczeń siedział on, sam on...

Ale swoją drogą... I dziś jeszcze tak bym pragnęła zobaczyć z jakiegoś kąci-ka: Tolstoja, Ibsena, Zolę, Hauptmanna. Chciałabym także słyszeć mówiących: Przybyszewskiego, Sieroszewskiego, Tetmajera i jednego tylko icza (rozumie się – Witkiewicza).

Od tych wielkich wolę dziś świat, z którym zetknęłam się tutaj. Ten, co mię najmniej rozczarował, środowisko czujące bez afektacji, nasze „matki-panny”, ludzie pokornego serca, o wykrzywionych butach i zrudziałych mantylach. Zda-wało mi się niegdyś, że świat z nich się składa. Reszta, sądziłam, są to czasowo zaniedbani, którzy otrzymawszy prawdę, zwrócą się ku niej i zaczną nowe życie.

Utwierdzały mię w tych rojeniach listy Staszki Bozowskiej pisane z zapadłej dziury, dokąd pojechała. Te listy było to nic więcej tylko wzniosłe nieprawdy, obcowanie dusz łatwowiernych. Dziś oto już Staszka umarła. Ja mam łez pełne serce i oczy...

18 października. Kiedy zaczęłam pisać, chciałoby się uprzytomnić sobie i to, i tamto. Tyle nasuwa się szczegółów, tyle osób, zdarzeń i uczuć. Wszystko to nie daje się objąć i złączyć, rozpierzcha się jak żywe srebro i leci w swoje strony. Takie jest nasze życie: ruchliwe, prędkie, bez steru...

Myślałam dziś w nocy o Wacławie i znowu mam ten ucisk serca. Jest to rzeczy-wiście jakaś szydercza fatalność: Henryk, który został wyrzucony z szóstej klasy, siedzi w Zurychu, chodzi sobie na „filozofię” i ma się dobrze, a Wacek, który opuścił gimnazjum ze srebrnym medalem, świetnie pracował tutaj na przyrodzie, był przez wszystkich poważany – tak bezużytecznie skończył. Potworna jest logika tych faktów. Ciotka Ludwika rzekłaby pewno: „To wszystko dlatego, że jesteście za mało religijni...”

Często mi się zdaje, że ludzie mają jakieś ukryte podobieństwo ze zwierzętami: osobniki wyróżniające się prześladują jednomyślnie, a bez porozumienia między sobą, jakimś odruchem stadowym.

24 października. Byłam w teatrze. Grano *Nauczycielkę*⁶, utwór wyróżniony przez gremium krytyków. Dziwi mię, dlaczego autor przedstawia swą heroinę

⁶ *Nauczycielka* – sztuka W. Koziembrodzkiego

jako uwiedziona, kiedy takie fakty nie mają chyba miejsca. Prawda życiowa jest z pewnością brutalna. Wiem np. jakich tentacji⁷ doświadczała Hela R. albo panna Franciszka W. Cnotliwi mężowie spod pantofla są w tych szrankach stokroć bystrzejsi od kawalerów. Guwernantki bywają mądre albo głupie, złe albo dobre, brzydkie albo ładne, ale wszystkie muszą być pod tym względem bez zarzutu. Może cudzoziemki tego nie wiem. Tam zachód, podobno łatwiej się opta. Ale żywił miejscowy...

Guwernantka, jako istota obca, zazwyczaj społecznie niższa, jest ciągle na cenzurowanym. Gdyby dała tylko powód do wzmianki – już po niej! Cenzura może być łaskawą, nawet życzliwą, nawet pochlebną, ale nie ustaje nigdy. Przy tym już to samo, że się zajmuje stanowisko trudne i niższe, a jest się częstokroć znacznie wyżej – tworzy i udelikatnia uczucie dumy, szlachetne uczucie, które jak kij służy do podparcia w chwili znużenia i do obrony przed wrogiem. Ono samo już jest hamulcem niemałym, kto wie, może całkowicie wystarczającym.



Joanna
Podborska
o życiu
guwernantki.

26 października. Czytam Ludwikę Ackermann⁸. Ona mówi w pewnym miejscu, że kobieta pisząca poezję jest śmieszna. Zdaje mi się, że ma rację. Dlaczego?

Poezja jest to szczerzy głos duszy ludzkiej, wybuch pewnej formy namiętności. Ten rzut ducha musi być walką o rzeczy nowe, głoszeniem tajemnic nieznanych.

Kobieta dotychczas za twórcę uważać się nie ma prawa. Śmieszna jest, gdy przeoczy całą, a tak ogromną wyrwę, która ją dzieli od człowieka szczerego. Jakież to nowe prawdy duszy kobiecej jej poezja zawiera? Tylko miłość (*notabene* męską). Czasami wrzask rokoszu, to jest czegoś przejściowego, co raczej uboży, niż z bogaca...

Dość często bunt o prawo głoszenia tego, co już zostało powiedziane przez mężczyzn. Najczęściej zaś obłudę albo pięknie, ciekawie, zagadkowo (dla mężczyzn) czujące niedołęstwo miłosne. Wszystkie prawdziwe poetki osobistość swoją rzeczywistą zostawiają w cieniu (np. Ada Negri⁹). Jeżeli Safo¹⁰ nowoczesna chce mówić zrozumiale jako człowiek, musi mówić jak mężczyzna.

W rzeczywistości wszystkie te same uczucia ona posiada, może nawet serce jej zawiera ich więcej i daleko subtelniejszych, ale nie może ich, nie śmie wyrazić szczerze. Myśli jej biegną odmiennym łóżyskiem, mianowicie są czystsze, a raczej nie tak brutalnie zmysłowe, namiętności zaś zgoła inne, wcale nie takie, jak je

⁷ tentacja – pokusa

⁸ Ludwika Ackermann – francuska poetka

⁹ Ada Negri – włoska poetka

¹⁰ Safo – grecka poetka

przedstawiają dzisiejsi autorowie, i to nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Mężczyźni wszyscy są zmysłowi w sposób ohydny, na przykład, dla młodego dziewczęcia. Tak się malują w sztuce, którą stworzyli. I tacy są naiwni w tej swojej zwierzęcości, że litować by się trzeba nad nimi jak nad małymi dziećmi. Co tylko w ich sąsiedztwie „caca”, to zaraz do buzi! Nie uważają sobie wcale za obowiązek z większą ostrożnością wyrażać swych brutalstw, choćby przez grzeczność, przez wzgląd, że może „płēć słaba” inaczej to samo czuje...

Wszystko zaś, co w wielkiej sztuce mogłoby wyjść od kobiet (rozumie się: równie silnego), dotychczas przynajmniej, musi się wpięrować na modłę męską. Toteż można czasami czytać utwory pisane przez kobiety i malujące niby to uczucia niewieście, utwory skłamane świadomie od a do z. Jest to kokietowanie przez damy rodzaju męskiego za pośrednictwem literatury. Mężczyźni tymczasem doskonale bronią swego ustroju i potępiają wszelkie próby wyodrębnienia się duszy odmiennej i nowego, jeszcze nie znanego rodzaju sztuki wraz z jej bezgraniczną sferą tajemnych sposobów. Panowie świata musieliby ulec nowej, z gruntu inakszej krytyce, co nie mogłoby być miłe. Toteż sądy dzisiejsze w tej dziedzinie nie tylko mężczyzn, ale w ich szkole wychowanej masy kobiet, bardzo są zbliżone do pojęć Indusów, którzy uważali białogłową za nieczystą, gdyż... bywa taką czasami. Jedno i drugie nie od jej woli zależy, ale traktowane jest z prostotą prawdziwie indyjską jako fakt, który sam w sobie jest rozważany.

Czyliż mężczyźni uczuć najbardziej wzniosłych poeci, szanują w kobietach ducha ludzkiego? Wydaje mi się, że nie. Oni uwielbiają piękną istotę, o ile jest skarbnicą właściwości dla nich rozkosznych, chociaż posiadanie tych cnót nie może być liczone na karb jej zasług. Najbardziej zawsze sławiony był typ kobiety wywierającej jakiś wpływ demoniczny. Może mniej, ale szczerze i ślicznie wychwalano dusze czyste, cierpiące bez skargi, słodkie istoty, które nie myślą bronić się ani mścić, jak Ofelia¹¹. Istoty korzystające z praw do szczęścia osobistego, użytkujące z sił przyrodzonych ducha i zdolności umysłu – prawie nie ma. Daleko łatwiej znaleźć w literaturze szlachetne dążenie mężczyzn do rehabilitacji kobiety winnej niż oddanie praw i szacunku pokrzywdzonej. To drugie nie jest ani sielanką, ani tragedią, więc nie może budzić estetycznego wrażenia. Dopiero Ibsen¹², nieśmiertelny prawdomówca, ten, co postacią Jadwigi w *Dzikiem kaczkę* śmieje się jak szatan, jak nieczłowiek z kultury ludzkiej – zaczął przeziierać istotę rzeczy. Ale i on nie może się powstrzymać od hołdowania prawom kierowniczym sentymentu męskiego. Istotna poezja kobieca drgała może, ale w pieśni niewolni-

¹¹ Ofelia – bohaterka *Hamleta* W. Szekspira, wzorzec osoby pokornej, wrażliwej

¹² Henryk Ibsen – dramaturg norweski

cy, gdy na tarasie rzymskiego magnata, wobec tłumu rozwalonych patrycjuszów musiała śpiewać dla ich zabawy pieśń swego kraju...

My jej nie znamy. Kiedy się wmyślam w ten śpiew i chcę go odgadnąć, зда mi się czasami, jakbym słyszała go gdzieś za czwartą ścianą. Niekiedy sięga do mego serca i wówczas przez cały dzień słyszę w sobie dźwięk tych strun szarpanych w bólesci przez zakrwawione palce. Wtedy poetka mówiła prawdę: „Oto jest, co ja czuję! To jest w moim sercu! Wszystko mi jedno, co powiesz o mojej pieśni. Ja sobie samej, sobie jedynej śpiewam...”

Ale dziś... I dziś istnieje ten sam płacz kobiety oszukanej, sprzedanej przez rodzinę, niewolnicy męzowskiej, która kocha innego, upadłej i wzgardzonej przez obłudną cnotliwość gromady. Istnieją marzenia zakochanej niewinnie i namiętnie, tej, co poczęła i pod sercem nosi dziecko... Cóż znowu! Takich dźwięków nie można wydobywać z „liry”! Byłoby to niemoralne, szerzyłoby zepsucie...

27 października. Przeczytałam, co tu stoi od wczoraj i nadal będzie stało ku oświeceniu wieków. Chciałabym pisać prawdziwie i szczerze, a to jest trudność niesłychana. Mam dużo myśli na pół świadomych, jakby zabłąkanych z cudzej okolicy, które, jeżeli nawet sama sobie zechcę sformułować, już się zmieniają pod piórem i nie są takie... Jak to zapisywać? Tak jak nadchodzi, czy też jak się w słowie zmienia? To drugie przypomina mi z *Nieboskiej komedii* tę chwilę, kiedy Mąż, rozpaczający pięknymi zdaniem nad niedolą żony obłąkanej, słyszy obcy głos: „Dramat układasz”...

30 października. Pisałam dwa dni temu o większej czystości kobiet. Zdarzyło mi się już nieraz, że gdy jestem jakąś myślą szczerze i głęboko zajęta, w świecie otaczającym znajduję jeśli nie rozwinięcie dalsze, to w każdym razie szczegóły i ułamki, które do niej należą. Prawdopodobnie to skupiona myśl jak światło w ciemności wyławia z otoczenia wszystko, czego by w innych warunkach nie dostrzegła, gdyby nie wiem jak nasuwało się przed oczy.

Byłam u Maryni. Rzadko się z nią widuję, a lubię ją – jakby to wyrazić? – odruchowo, wbrew, a może na przekór woli. Ona jest do gruntu niewinna, czysta, bielutka i bardzo prostego serca, a przecież bardzo lubi więcej niż jednego, niż dwu lub trzech mężczyzn. Pierwiastek erotyczny stanowi w tym wszystkim tylko pewną domieszkę. Nie chcę powiedzieć, żeby nie grał żadnej roli, ale jest to daleko bardziej coś w guście manii wielkości. Gdy jej fundowałam delikatną uwagę, odrzekła mi ze szczerzerotłą naiwnością, że nie wie, czemu by nie można było kilkoma na raz być „zajętą”. („Nie zakochaną – cóż znowu!”)

Te sympatie są w zupełności odrębne, łączą się przecież między sobą, podobnie jak na przykład warstwy w torcie. Każda z osobna jest inna i bardzo dobra, a czyliż z tego wynika, żeby wszystkie razem wzięte miały źle smakować? A przecie, mimo

tej łobuzerskiej filozofii, Marynka nie byłaby zdolną wyładować ze siebie ani krzty tej „bezbożności”, na którą skarży się w swej piosence Ofelia.

4 listopada. Jeden z tych dni ciężkich, co to wydają się być podobnymi do istot srogich i nikczemnych. Dzień taki trwa długo i nie chce odejść, jak lichwiarz, który wszystko swoje musi w tym terminie wydusić. A gdy już wreszcie zdechnie, zostawi po sobie czarny cień, noc bezsenną, pełną łez, widzeń i strachów. Jedna z „życzliwych mi” osób, pani Laura, w której domu od trzech lat dają lekcje dziewczętom, z emblematami żywej jakoby litości zakomunikowała mi smutną wiadomość. Czerpie ją od współplotkarki świeżo przybyłej z wojażu. Oto – Henryś podobno nie „robi doktoratu”, jak mię tysiące razy upewniał, ale robi długi, skandale i awantury. Miał jakiś pojedynek, uczestniczył w burdach knajpiarskich, siedział w kozie miejskiej, był przez policję zrabany szablami. Jest tego wszystkiego tyle, że trudno wyliczyć, a najważniejsze ze wszystkiego – kłamstwo. Jakby wcale od dwu lat nie chodził na wykłady. Brak mu minimalnej ilości semestrów potrzebnych do egzaminu – słowem, plugawe bagno faktów. Słuchałam tego cierpliwie, z uśmiechem, jednocześnie mówiłam ustami: – Wiem, wiem, proszę pani, jaki to łobuz...

W duszy miałam co innego.

Musi w tym być sporo prawdy jeżeli mu cofnięto stypendium muzealne. Wszystko to zresztą nic, ale kłamstwo, „nabieranie” głupiej siostrzycy. Gdyby opisał, jak jest, ani bym mu robiła wymówek, ani bym nawet nie uważała za złe. Od tego jest tęgi bursz, żeby robił skandale. Tylko to dowiadywanie się z boku, od ludzi obcych, którzy pomimo woli wyładowują na mnie gnijącą w każdej duszy człowieczej *Schadenfreude*¹³...

5 listopada. Mało snu, bo dopiero nad ranem zapadam w stan drzemania i dziś łączę z wdziękiem zmokłej kury. Lektury odbywałam jak ciężkie roboty. Zgnębienie dusi, sprawia, że człowiek usuwa się, kurczy, nędznieje. Postanowiłam z tej dusznej ciasnoty, gdzieś była zatarasowana przez gorzką wiadomość, siłą się wydobyć. Nie, nie opuszczę Henryka! Będę dwa razy więcej pracowała, wezmę nowe lekcje, może nawet ranne. Niech skończy choć jakiegokolwiek kursa, to przecież będzie mógł tutaj lżej pracować. Nigdy nie odżałuję, że nie zdał do politechniki – ale to trudno. Te „freifachy”¹⁴ trwały już rzeczywiście nieco za długo.

6 listopada. Dla oszczędności biorę do siebie pannę Guêpe. Zagrozi mi to życie więcej niż o połowę, ale trudna rada. Już moja izba będzie tylko w części kryjówką, nawet ten dziennik będzie się tylko dorywczo pisał. Wpłynie wszakże

¹³ *schadenfreude* (niem.) – satysfakcja

¹⁴ *freifachy* (z niem.) – tu: próżnowanie, brak określonego zajęcia

tym sposobem co miesiąc prawie osiem rubli. Muszę dać Wacławowi na kożuch, walenki... Jegierowskie ubranie¹⁵. Trzeba by po dwie pary. Pamiętać, pamiętać, że pani F. jedzie 18, 18, 18!

13 listopada. Wzięłam nową lekcję. Wcisnęłam ją między Lipeckich i Zosię K. Nowa robota jest to przygotowanie dziewczynki, Heni L., do klasy wstępnej na pensję. Nie zna się jeszcze na niczym. Ani dyktanda, ani tabliczki mnożenia, ani żadnej rzeczy. Pokój duży, ciemny jak piwnica, o jednym oknie wychodzącym na ciasny dziedziniec. W tej porze jeszcze słońce nie zachodzi, ale tam już jest wieczór. Siedzimy z tą Henią naprzeciwko siebie przy stole i wydajemy, to jedna, to druga, dziwne głosy.

– *Ces enfants ont trouvé leurs mouchoirs, mais ils ont perdu leurs bonnes montres.*¹⁶

Najprzód ja to mówię wielkim głosem, później ona z usiłowaniami wydobyć z siebie dźwięków takiej samej grubości. Myśli pewno, że po francusku trzeba mówić tak grobowo. W dużym i ciemnym mieszkaniu rozlega się to wszystko gdyby jakieś wywoływania wolnomularskie¹⁷. Czasami małej przychodzą do głowy dziwne kombinacje. Zadaje mi pytania, na które żadną miarą nie można dać odpowiedzi...

Stamtąd, wysiedziawszy godzinę, pędzę co koń skoczy na gumach kaloszowych w głąbie Powiśla do Blumów z pilną wiadomością, że „trybem oznajmującym wypowiadamy czynności w stosunku do odnośnego podmiotu rzeczywiste – rozkazującym rozkazane lub zakazane, warunkowym czynności tylko możebne, przypuszczone, zamierzone...” Tam czeka zawsze czuły kuzyn.

Teraz dzień już jest napchany, formalnie napchany jak żydowska torba, lekcjami. Tak się przyuczylam do systematycznego chodzenia w oznaczonych terminach, że w niedzielę, trawiąc poobiednie godziny lekcji na częściej gawędzie albo czytaniu, doznaję co chwila odruchów przestrachu i zrywam się jak wariatka. Same nogi skaczą i wykonywują jakieś logarytmy kursów na Smoczą lub na Dobrą.

Któż by uwierzył, że ja, nędzny twór kielecki, dojdę kiedyś w samym środku Warszawy do 62 rubli miesięcznego zarobku z wysiewania po różnych ulicach tajemnic wiedzy!

Guêpe już się sprowadziła. Ma kardynalną wadę Francuzek: jest gadatliwa. Wprawdzie ja korzystam z tego, bo wieczorami muszę z nią gwarzyć i małpiarskim, czysto kobiecym trybem nabieram paryskiego akcentu we francuszczyźnie, ale za

¹⁵ jegrowskie ubranie – ciepła bielizna

¹⁶ *ces enfants ont trouvé leurs...* (fr.) – te dzieci odnalazły swoje chustki, ale zgubiły swoje dobre zegarki

¹⁷ wolnomularskie – charakteryzujące się tajemniczością

to śpię kiepsko. O dwunastej jeszcze się śmieję z jej przygód. Często później nie mogę usnąć. Biją godziny...

Wstaję słaba i wówczas coś dygoce we mnie jak w naszym starym ściennym zegarze, gdy go było poruszać. Dziwne jest to, że w takich razach wcale mi się spać nie chce. Chyba że się zmęczę, zmorduję aż do upadku. Gdy to nastąpi, jestem wprost bez przytomności, nie wiem, co do mnie mówią, i trajkoczącej „Giepcę” odpowiadam trzy po trzy.

15 listopada. Czytałam w niedzielę dużo rzeczy pięknych. Dotąd je mam w głowie niby jakieś przedmioty nie moje, słabo zrośnięte z moją osobą duchową.

Niewiele uczuć może taką żądzą pożytecznego działania napęłnić serce, jak oschła świadomość, ile cierpiano, ile znoszono dla szczęścia pokolenia dziś żyjącego, którego częśćkę my tu stanowimy. Jest jakieś dziwne braterstwo idące wstecz do tych, co już wszystko spełnili. Nikogo z żywych nie można otoczyć w myśli taką czcią, świętą czcią, jak tych, co zostają za nami w mroku niepamięci.

Przysłałam do wniosku, że i bardzo ciężkie cierpienia moralne, troski subtelne, tkliwe i głębokie, można jeśli nie leczyć, to w każdym razie znieczulać pewnego rodzaju naciskami. Gdy się jest tak smutną, że łzy płyną z oczu za ładą powodem, trzeba czytać, na przykład jakieś „Sprawozdanie z siódmego okresu czynności Banku Handlowego” albo „Jedenaste zgromadzenie ogólne, zwyczajne, akcjonariuszów Drogi Żelaznej Warszawsko-Terespolskiej”... Gdy się takie rzeczy w chwilach odpowiednich uparcie i świadomie studiuje, to działają one swoją olbrzymią obcością, swoim bezwzględny, gustalowym¹⁸ egoizmem na subtelne i czułe uczucia tak mocno jak roztwór Schleicha¹⁹. Ta sól na pewien czas odrętwia pnie nerwowe tak do gruntu, że można okolice przez jej pole działania zajęte krajać bez bólu lancetem. Inna rzecz, gdy cierpienie jest srogie. Wtedy „Jedenaste sprawozdanie” samo z rąk wyleci jak ciężar nadmierny.

17 listopada. Zdaje się, że spisywać pamiętnika takiego, jak zamierzałam, nie mogę. Zbyt skromny mam zapas stałości. Trudno by mi było utrzymywać, że dzisiaj rano spokojna i prawie wesoła, nie będę o zmroku tonęła w rozpacz, niestety! – nawet bez wielkich powodów. Brak pieniędzy, milczenie Wacka, myśli o Henryku, jakieś czcze, drobne, małe dzieje dnia jesiennego, które Krasiński tak słusznie mianował „podłymi...” Najczęściej jakaś niedola daleka, daleka, nie moja ani twoja, tylko tutejsza... Wtrąca mię to w smutek, a raczej w jakąś bolesną oziębłość. Nie jest to bynajmniej spokój! O, nie! Spokój to stan bezcenny. Troski i biedy uczą odczuwać spokój jako szczęście. Tych stanów przejściowych niepodobna tu

¹⁸ gustalowy (z niem.) – twardy jak stal

¹⁹ roztwór Schleicha – płyn wykorzystywany do znieczulenia miejscowych

zanotować, tak samo jak nie można patrzeć w lustro, gdy się jest czymś do głębi wzruszoną. Nie sposób ich także odtworzyć, używając równoległych i tej samej miary słów pięknych, gdyż i tak byłoby to coś wręcz innego. Mnóstwo rzeczy minęło i ciągle mija, a ja nie tylko nie mogę ich przytoczyć, ocenić, ale nawet wskazać. Czasami jestem tak bez sił, że nie sprawiłoby mi wielkiej trudności usiąść na brzegu trotuaru, którym pędzę z lekcji na lekcję, i wypoczywać wśród śmiechu przechodniów.

Jakże szczęśliwe są te damy, które mijam, wolnym krokiem idące na spacer czy tam dokąd. Toczą miłe, uroczne, wesołe rozmowy z modnie ubranymi panami. Kto są ci ludzie? Co oni robią, gdzie mieszkają? Nie znam ich wcale. Świat jest tak mały, taki ciasny, a taki zarazem olbrzymi! Człowiek na nim jest to biedny niewolnik biegający wciąż tą samą ścieżką, tam i z powrotem, jak wilanowska kolejka.

Cofnęłam się myślą do miejsc, gdzie dawniej była, i samą siebie przypomniałam sprzed lat kilku.

Byłam wtedy lepsza. Dziś nie mogłabym już tak zamęczać się pracą, byle „coś dobrego zrobić”.

Cóż to będzie? Czy ciągle będę coraz gorsza, coraz gorsza? Wtedy w Kielcach, w naszych Głogach, w Mękarzycach, a i tu dawniej, w Warszawie, robiłam wysiłki, żeby być inną. Teraz jestem jakaś popędliwa, pełna złych myśli. Jakaż to dawniej byłam ascetka we względzie wygód! A teraz drobnostka mi dokuczy.

Długo nad tym myślałam, co się mianowicie we mnie zmieniło. Miałam dawniej wiele wiary w dobroć ludzi i dlatego byłam gotowa spieszyć się ku nim. Miałam łaskę zupełnego, całym sercem oddania się myśli o rzeczach niematerialnych, o sprawach innego porządku.

Dziś jestem taka zimna! Tamte krynice rozkoszy ledwie pamiętam. Zrobiłam się jakaś nieczuła na cierpienia innych. Mogę powiedzieć, że bardziej chłodno (a może tylko nie tak) odczuwam biedy własne.

Naprawdę mam i teraz dla wielu osób dużo uczucia, ale takiego często doświadczam złudzenia, jakbym już Henryka ani Wacława nie kochała dawnym sercem. Zrobię jeszcze dla nich i dla innych ludzi, co mogę, ale nie czuję już szczęścia z tej prostej racji, że i ja przecie do czegoś służę. Mam jeszcze dużo entuzjazmu dla dobrych i płonących natur, dla wszystkich, co się męczą a pogardzają złem ukrytym, ale to już jest inne. Nie wiem, nie mogę tego szczerze wyznać, czy kocham takich ludzi, czy tylko chciałabym iść z nimi w szeregu z tego wyrachowania, że to jest szereg, w którym iść najbezpieczniej, bo do zwycięstwa. Jest to ta droga, po której „dusza w ciemności schodzi, w ciemności noc bezdenną...”

Dawniej istnieli dokoła mnie szlachetni ludzie, natury głębokie, ciche, skromne, tklive, często w swej pocziwości wytrwałe jak żelazo, skłonne do zupełnego

zaniedbania siebie dla innych. Cechowała ich jednolitość dążeń i usposobienie równe. W ich obecności było tak dobrze, tak ufnie i tak cicho na sercu... Byli to moi rodzice, sąsiedzi, niektóre osoby w Kielcach. Czy to była dusza inna, czy może tylko zdolna do ślepej łatwowierności? W moim dawnym świecie nie było ani jednej osoby, do której czułabym odrazę. Dzisiaj ileż jest takich! Na przykład ten jakiś kuzyn u Blumów, który zawsze drzwi mi otwiera i pomaga zdjąć okrywkę. Czekam z cierpliwością, że mię kiedyś w tym korytarzu zechce zaczepić w sposób licujący z jego wejrzeniami. Wydaje mu się apetyczną ta nauczycielka przychodząca do jego kuzynek... Nie mogę przecie żądać, żeby mi drzwi nie otwierał i nie pomagał zdejmować mantyli, ale darzę go taką odrazą, jakbym patrzyła na stonogę albo na brudny gęsty grzebień. Dziwię się, że on nie odczuwa tego afektu. Zdaje mi się, że to ze mnie promieniuje. A może w miłości tego rodzaju, jaką on ma na myśli, uczucia wstrętu strony słabszej nie wchodzi wcale w rachubę... Nie powinno mię to wszystko wcale obchodzić. Mam zupełną możność traktowania tej osoby z taką przedmiotowością jak, dajmy na to, barana albo innego reprezentanta fauny, ale nie mogę... W ogóle trochę za dużo interesuję się tą sprawą, tyle o tym piszę, że to budzi podejrzenie. Czy tylko w tej „odrazie” nie kryje się kryzna jakiej satysfakcji?



Joasia zapisuje
w pamiętniku
swoje wrażenia
z pierwszego
spotkania
z Judymem:
widziała go
w tramwaju
i pozostała pod
jego urokiem.

18 listopada. Na Waliców tramwajem. Kiedy wsiadłam do przedziału i już zapłaciłam konduktorowi, dopiero spostrzegłam, że w rogu siedzi ten śliczny jegomość w cylindrze. To już trzeci raz go spotykam. Ścierał co chwila ręką parę i wyglądał przez oczyszczony kawałek szyby. Na co on czekał? Jeżeli to miała być kobieta, to jakaż jest szczęśliwa! Kto on jest? Co robi? Jak mówi? Jakież myśli kryją się w tej prześlicznej, w tej arcygłowie? Mam ciągle w oczach jego twarz zamyśloną i wyobrażenie całej postaci. Dziś na lekcji u F. bezwiednie i bez żadnego wysiłku, na pół wiedząc o tym, co kreślę, zrobiłam ten profil o bardzo subtelnej kombinacji rysów, pełen harmonii i jakiejś walecznej siły. Jak to dobrze, że sobie wyskoczył na rogu Ciepłej, bo, kto wie, może bym się była w nim zakochała. Przez cały dzień ciągle było mi bez żadnego powodu przyjemnie, jakoś tak radośnie, jak gdyby za chwilę miało mię spotkać coś nad wyraz miłego. Gdym usiłowała zrozumieć, co mi się dobrego zdarzyło, płynęła z ciemności jego twarz i te oczy szukające czegoś za szybą.

Niech go spotka w życiu wszystko dobre...

19 listopada. „Najzacniejsza pieśń Salomonowa”²⁰ mówi: „I któż to jest, który wychodzi z puszczy, jako słupy dymu, kurząc się od mirry, od kadzidła i od wszystkich prochów wonnych...”

Najzacniejsze słowo! Jest to realny opis uczucia... Tego, które przychodzi z puszczy... Słowa bez sensu tłumaczą istotę uczucia tak ściśle jak algebra.

20 listopada. „Na łożu moim w nocy szukałam tego, którego serdecznie miłuję, szukałam go, alem go nie znalazła A przeto teraz wstanę, a obejdę miasto, będę szukać po ulicach i po miejscach przestronnych tego, którego z duszy miłuję. Szukałam go, alem go nie znalazła...”

Nieskromne, upokarzające!... Te słowa – to rumieniec. Każda litera pali się ze wstydu. Cóż, kiedy prawda, coś, kiedy prawda...

22 listopada. Znowu ten kuzyn ze swoim uśmiechem przyklejonym do warg gumą arabską! Kiedy on staje we drzwiach w chwilę po naciśnięciu przeze mnie dzwonka, jestem wprost bezsilna. Czuję od razu, że robię się czerwona jak burak. I żeby nie wiem jak usiłowała zblednąć – wszystko darmo. Tracę władzę nad głupim czerwienieniem się, ręce mi drżą. Ten frant gotów pomyśleć, że wywiera na mnie tak piorunujące wrażenie, a on mi tylko ubliża. Czemuż to nie jest tamten z *Pieśni nad pieśniami*? Rumienić się w towarzystwie osób dobrych i delikatnych nie jest wcale tak bardzo przykro. Jest to wówczas, jakby się nie chciało wymawiać pewnych słów ordynarnych, ciapać wargami albo patrzeć na rzeczy nieprzyzwoite. Ale tu! Czytałam gdzieś, że w Egipcie sprzedawano talizmany, które miały strzec kupującego od uroków. Mówiono wtedy: „Od spojrzeń dziewczyn, ostrzejszych niż ukłucie szpilką, od oczu kobiet, ostrzejszych niż noże, od spojrzeń chłopców, bardziej bolesnych niż uderzenie batem, od spojrzeń mężczyzn, cięższych niż uderzenie siekierą”. Jakżeby nie chciała być zabezpieczoną od ostatnich spojrzeń, od „tych” spojrzeń!...

Dzisiaj pani B. przytrzymała mię w swym „zagraconym” salonie, a ten „literat” wsunął się tam niezwłocznie jedwabnymi krokami. Czułam jego osobę, mimo że nie podnosiła oczu. Zaczął mówić rzeczy oklepane, które pewno słyszał od kogoś mądrzejszego.

O Nietzschem²¹! Mam silne poszlaki, że uważa się za nadczłowieka i za ucznia filozofa, którego sądzi z „artykułów” pism warszawskich. Specjalnie jest znakomity, kiedy rozpoczyna zdanie w sposób pełen obietnic:

– Bo trzeba pani wiedzieć...

Albo:

²⁰ „Najzacniejsza pieśń Salomonowa” – *Pieśń nad pieśniami*

²¹ Nietzsche – niemiecki filozof

– Pewno pani sądzi, że... otóż...

I dopiero wygłasza myśl znaną mi i niepotrzebną jak wyświechtany komunał. Rozmowa jego zmierzała do tego, żeby podkreślić pewne w niej wyrazy. Ciekawam, czyby się ten nadfacyt odważył tak te wyrazy akcentować w rozmowie zjedną z pań bogatych, która mogłaby mu na to odpowiedzieć z całą śmiałością? Ale niech go tam Pan Bóg ma w swojej opiece! Cóż z tego, że ktoś mi da dowód swego lekceważenia, korzystając z tego, że jestem nauczycielką? Czy to mię ma boleć? Jest wcale nie zasłużone... Znosić tego nie mogę bez udręczenia, ale mogę przecie lekceważyć. Muszę zresztą, bo nie starczyłoby mi innej odporności na takie szarpanie nerwów. Tego rodzaju zdarzenia wstrzymują mię od poszukiwania towarzystwa. Jest to także brak odwagi cywilnej. Wiem, że nie odstąpiłabym osoby dobrej dlatego, że ją lekceważą, a samej siebie nie mam śmiałości ostro bronić.

23 listopada. Będę zmuszona do porzucenia lekcji u B. Trudna rada! Nie mogę robić awantur w przedpokoju ani zanosić skarg do tej pani. Musiałam się bronić. Dziś ch. m. w. w p. i m. Popamięta on tę sekundę! Ale swoją drogą, jakież to jest wszystko podłe!

Dawniej myślałam, że złą jest nienawiść. Gniewać się, mieć urazę – to inna rzecz, ale nienawiść! Przecie to jest pragnienie krzywdy. Nic złego nie zrobiłabym sama temu nawet adonisowi, ale wiedza o tym, że mu się coś takiego zdarzyło, nie byłaby mi już wstrętną. Powoli może przyjdę do pragnienia zemsty. Czemuż nie? Idąc po stopniach, zstępuje się koniecznie tam, dokąd one prowadzą. Wiem o tym, ale nie czuję złości do siebie, gdy jestem tak wrogo usposobiona. I któż wie, czy w istocie rzeczy nienawiść jest zła i niemoralna? Taka nienawiść... Któż to wie? tylko po co ja o tym wszystkim muszę się dowiadywać, na co to wszystko muszę roztrząsać?

26 listopada. Cicho, cichutko umarła panna L. W niczym sercu zapewne nie zostawiła uczucia głębokiego żalu. Kochano ją jeżeli tak można powiedzieć, przez obowiązek. Mój Boże, a nieraz najgorsze osoby, gdy umierają, budzą żal żywy i szczery. Któż może być poczytywany za wzór nie tylko człowieka, ale za wzór ucznia Chrystusowego, jeśli nie ona, ta matka-panna? To była nie tylko istota duchem czysta, ale przedziwnie czysta ciałem, jeden z posłańców bożych, co na wzór Jego „trzciny chwiejącej się nie złamie i lnu kurzącego się nie przygasi”, jak mówi święty Mateusz. Całe życie spędziła w nauczycielstwie jakby w jakimś zakonie. Może i ona miała wady ukryte, może w tajemnicy przed bystrzejszym okiem popełniała jakie grzechy, o których nikt nie wie, ale po handlarsku wążąc jej życie, owo życie ośmieszanej starej nauczycielki, nie znajduję w nim występkę.

Praca, głucha praca – praca – instynkt, praca – namiętność, praca – idea, ułożona systematycznie jak teoremat²² geometrii. Życie rozłożone na lata i kwartały szkolne, a z jego rozkoszy czerpanie tylko owoców rodzinnej kultury. Nie widziałam nikogo, kto by się tak radował istotnym „weselem wielkim”, kiedy zjawiały się w literaturze piękne dzieła, jak „Potop” albo „Faraon”. Ona doprawdy czuła się szczęśliwą, że żyje w tym samym czasie, kiedy tworzy Sienkiewicz, a portret tego pisarza miała w swej izdebce opleciony bluszczem.

W wielu sądach nie mogłam się zgodzić ze zmarłą, a raczej nie potakiwałam jej w głębi serca, gdy to mówiła. Bo kiedy indziej!... Nie mogła zrozumieć pewnych nowych sił świata. Żyła w dawnym zakonie, który przez „*Macht*”²³ Bismarcka nogami zdeptany został. Jakimże sposobem przystosowała owe dawne prawa do nowego życia? Zrobiła to prosto, jak nie można prościej. Oto entuzjazm zakłęła w pracę, wtłoczyła go wewnątrz swoich obowiązków. Było to trudne, z pewnością trudne, takie skroplenie uniesienia. Trzeba było powoli, w ciągu całego szeregu lat wytwarzać system, murowany system. Tak uczyć gramatyki, stylistyki, uczyć pisania, jak to czyniła panna L. już nikt nie potrafi. W tej nauce pedanckiej, prawie dokuczliwej, zajadłej, był właśnie entuzjazm.

U trumny panny L. postanowiłam sobie naśladować ją. Nie przedrzeźniać, ale właśnie naśladować. Jej życie było tak wysoce kulturalne, że z naszej strony byłaby to ośła głupota, gdybyśmy mieli zaniedbać stosowania tych doskonałych wzorów. Mężczyźni naśladują przecie Anglików, ludzi innego kraju i typu, ludzi z morza, a my, mając w domu taki widok... A więc: 1) tłamsić w sobie upadki, osłabienia, czułości, a głównie, głównie, głównie wdychający smutek; 2) ciągle podniecać wytrwałość i kształtować wolę; 3) układać z premedytacją i krytyką plan zajęć; 4) ściśle wykonywać, co się po rozwadze zdecyduje, choćby kije z nieba leciały. To w szczególności. A w ogóle: zachowywać czystość duszy i nie dawać do siebie przystępu niczemu podłemu. Wprost nie dawać przystępu. Jeżeli bierze na się formę kuszącą jako nowoczesność, nowotność, uderzać łajdactwo w piersi całą mocą ducha.

U trumny panny L. przyszła mi do głowy myśl, że człowiek sprawiedliwy żyje tu na ziemi daleko dłużej niż głupiec. Małe, skurczone, uśmiechnięte zwłoki panny L. oddziaływały dziś na mnie daleko silniej niż niejedna rozprawa mędrca. Jej nauczycielstwo nie skończyło się z chwilą śmierci. Owszem, zaczęło być całkowicie zrozumiałe to, co czyniła, niby doskonała książka, której ostatnią stronicę wraz z ostatnim przeczytaliśmy wnioskiem. Tak nie tylko żył, ale i leczył po swojej śmierci doktor Miller, zmarły na dżumę, który w chwili zgonu przepisywał, jak

²² teoremat – matematyczne twierdzenie, które trzeba dowieść

²³ *Macht* (niem.) – siła, moc, władza; hasło polityki Bismarcka: *Macht von Recht* – siła prawem

ma być zdezynfekowane jego ciało, ażeby komukolwiek z bliźnich nie przyniosło zarazy w cztery dni po jego zejściu. To są ludzie, którzy osiągnęli na ziemi główną siłę: nie bali się zstąpienia do grobu. Toteż ich śmierć jest tylko jakąś tajemnicą poważną, pełną czci i smutku. Śmierć ludzi, którzy jej się lękali, ciska urok wstrętny, przerażający, każe myśleć, a raczej topić się i dusić w myślach o tym rozkładzie ciała, pełnym nieopisanej ohydy. I wówczas jest jak potwór obmierzły i bezmyślny, a nade wszystko wszechwładny.

Ale jeszcze rzecz jedna. Czy życie panny L. Byłoby równie pożyteczne, gdyby została mężatką i miała dzieci, a właściwie, czy byłoby pożyteczniej dla świata, gdyby zamiast tylu uczennic wychowała dobrze tylko swe dzieci? I czyby je wychowała tak dobrze? Zdaje mi się, że to jest również macierzyństwo, a raczej macierzyństwo wyższego stopnia – tak kształtować dusze ludzkie, jak to panna L. czyniła. Nasze matki lekceważą sobie znaczenie matek-wychowawczyń. Tymczasem urodzić dziecię to wielka i cudowna sprawa natury, ale znowu nie dyplom na wychowawczynię. Potrafi to samo byle obywatelka z rodu Kafrów²⁴ czy Papuasów²⁵. Może popełniam herezję, wypisując tutaj to zdanie, ale je uważam za słuszne. Myśl moja jest taka: na świecie pełno jest kobiet niemądrych i niedobrych, ale za to pięknych i zdrowych. Są to Sabinki, które na pewno zostaną porwane. Nie wynika jednak z porwania, ażeby każda Sabinka stawiała się przez to skarbnicą wiedzy. Obowiązek (ale już wtedy i prawo) wychowania pokoleń coraz lepszych, jeżeli idzie o to, ażeby pokolenia były coraz lepszymi, musi być odjęty niemądrym i niedobrym Sabinkom i oddany brzydkim pannom L.

28 listopada. Dziś w myśl powziętych zasad zrobiłam obrachunek dochodów i wydatków. To materialistyczne pojmowanie dziejów mego życia z ostatnich trzech miesięcy i jeszcze bardziej materialistyczne wysiłki przewidzenia przyszłości okazały, że prawie dwa razy więcej wydaję, niż zarabiam. Kupiłam wprawdzie bieliznę dla W. i posłałam H. na dwa miesiące, a co najważniejsza, spłaciłam ze starego długu ciotki Ludwika 40 rubli Siapsi Bożęckiemu, ale znowu zaciągnęłam u samej Marynki długów na 100 rubli z czubem. Przeraziłam się tą moją rozrzutnością, a właściwie nędzą, i postanowiłam do minimum ograniczyć wydatki. Zaczęłam od tego, że razem z Marynką kupiłam bilet do teatru. Grano Moliera *Chorego z urojenia*. Obydwie z M. przyszłyśmy do jednego wniosku... Częstokroć daje się czytać, a szczególnie słyszeć, zdanie, że na świecie „wszystko już było”. Na tym fundamencie, że wszystko już było, rozmaici panowie i damy pozwalają sobie na takie rzeczy, które istotnie możliwe były tylko w przeszłości. Przypatrując

²⁴ Kafrowie – afrykańskie ludy Bantu

²⁵ Papuasi – tubylcy z Nowej Gwineji i Oceanii

się takiej sztuce Moliera, widzi się dopiero, jak ludzkość postąpiła naprzód, i to nie tylko w zakresie medycyny, ale przede wszystkim w dziedzinie etyki. Taką dzicz, jaką widzimy na tej scenie, z pewnością może, kto zechce, zobaczyć jeszcze w Radomskim, Kieleckiem, a nawet w Sandomierskiem, a niewątpliwie wszystko to należy już przecie do epoki, którą opisuje Molier.

Małe to i już osobiste spostrzeżenie. Jestem niby to zgnębiona śmiercią panny L. i innymi okolicznościami, a przecie potrafię pękać ze śmiechu za łada konceptem. Zawsze miałam to pochlebne o sobie mniemanie, że jestem lekkomyślna. Teraz ten przymiot zdaje się wzmacniać. Nic we mnie stałego, niezmiennego. Gotowam jak najswobodniej się bawić, i to nie tylko w teatrze, ale z pierwszym lepszym knotkiem na lekcji, pomimo że niby to mam swoje smutki. Jakże wobec tego można sobie ufać, gdy w człowieku jest jakieś lichy ukryte, nie dające chwycić się za uszy. Musi to być, widocznie, siła tej ziemskiej powłoki, siła zwierzęca, dla której śmiech jest konieczny, jak targanie przez wichry dla roślin. Należałoby umartwiać to mieszkanie ducha...

30 listopada. Nazywa się: doktor Judym.

1 grudnia. Nie jestem wcale przesadna, nie wierzę w znaki, a swoją drogą, gdy się coś takiego zdarzy, jest mi bardzo przykro. Teraz szczególnie, po dzisiejszej nocy. Zdaje mi się, że stoję wobec jakichś brutalnych i potężnych osób, które mię skrzywdzą. Usnęłam późno, w znużeniu i smutku. Ujrzałam we śnie salę ciemną, coś jakby sąd w Zurychu, gdzie nigdy przecie nie była. Wprowadziły mię tam osoby w ciemnych, skromnych uniformach. Szczególniej jeden... Skąd taka twarz?... Widzę go jeszcze. Osoby te rzekły do mnie, że Henryk popełnił zbrodnię morderstwa. Ogarnął mię przestach, jakiego nigdy w życiu nie doświadczyłam. Zarazem uczułam w sobie decyzję tak przejmująco silną jak ta wiadomość: nie pozwolę! Stałam przy oknie wpuszczonym w gruby mur, które prowadziło do groźnej izby złote i jasne światło słoneczne. W dali było granatowe, faliste jezioro i białe góry. Wtem dał się słyszeć głos: – przyprowadzić!

Henryk wszedł do sali. Na jego twarzy bladej i wychudłej był uśmiech, ale jakież straszny! Czułam się tym uśmiechem na wskroś przeszyta. Gdy chciałam zbliżyć się, wszedł człowiek pospolitego wyglądu, ze stalowymi nożyczkami w rękach.

Henryk usiadł na krześle i wtedy jego uśmiech stał się jeszcze bardziej, jeszcze bardziej... podłym. Felczer strzygł włosy, piękne, jasne włosy mojego drogiego braciszka. Pukle ich toczyły się po czarnym ubraniu i spadały na brudną ziemię. Ktoś mię wtedy ujął za rękę... Ale któż to był... O, Boże!

Usiłowałam przemówić, krzyczeć, ale ani jednego dźwięku nie było w mojej gardzieli. Nawet płacz nie mógł się z piersi wydobyć. Guêpe zawołała na mnie.

Obudziłam się i usiadłam pełna jakiegoś strasznego uczucia. Nie mogę tego wypowiedzieć... Ten ból senny stokroć boleśniejszy niż jakikolwiek za dnia, i owo tajemne a samo z siebie widzące przecucie... Może, ach, najpewniej wieszczba nie znanych mi cierpień przyszłych, a tak głębokich, że objąć je – już jest boleść... Nie mogłam poruszyć ani ręką, ani nogą. Z wolna odlatywała od mojego serca zmora, i cicha radość, że to był sen, radość jak święty promień słoneczny sączyła się do jego głębi. Cóż by kto mógł tak na świecie kochać, jak ja tej nocy mojego brata? Zdaje się, że ludzie najsilniej kochają swoją rodzinę. Ja nie lubię tych moich uczuć rodzinnych ani je cenię, a nic nie ma nade mną takiej okrutnej, takiej niezgłębionej władzy, jak one. I co to jest?

Czy należy mieć takie uwielbienie dla osób, które może tego nie są warte?

Przecie tyle zjawisk, osób i spraw na ziemi... Jakież to zdanie wypisałam tutaj?...

2 grudnia. Henia ma odrę, a ja godzinę wolną. Wpadłam do domu i siedzę sama. Ach, jak niemiło... Mgła o barwie śniadej wlała się w zakłęste podwórza. Dopiero godzina czwarta, dzień jeszcze, a nie widać odległych wieżyc dachów, które zawsze rysują się na moim horyzoncie. Tylko bliższe kominy, zarówno kwadratowe, ceglane, jak wąskie, okrągłe, z blachy odbijają się w zmoczonych, oślizgłych płaszczyznach swych dachów, jak pale i słupy w wodzie stojące. Co dzień szare i żółtawe mury są teraz jakieś sine, przeziębione. Okna znikły prawie albo majaczeję niby zapadnięte doły oczne twarzy śmiertelnie chorej. Asfaltowy trotuarek na dnie podwórza ślini się rzadkim błotem. Tuż blisko za oknem słysząc monotonny szelest. Wychyłam się, natężam wzrok i przez zapocone szyby, niby przez pajęczynę, dostrzegam coś we mgle. Kupa żółtej gliny, a w niej coś się rusza, coś się gmera, jak u nas mówią.

Czapka z daszkiem wciśnięta na bezbarwną głowę ciasno jak czepiec, brudny kubrak, fartuch okrywający figurę od pasa, buty, ręce, rydel. To chłopiec od zduna „wyrabia” glinę. Co chwila dolewa wody w rzadką masę i przerzuca to kleiste błoto. Ruchy ma jakieś zabie, prędkie, trzepiące się. Nogi jego brodzą w żółtym, rozbabranym ile, szybko odrywają się i głęboko toną, odrywają się i głęboko toną... Przemokłe buty, oblepione bryłami...

W mojej stancyjce gospodyni kazała napalić. Ciepło tu i milutko, ale przez szczeliny okienne wciska się dech jesieni. Mgła coraz gęstsza już nie spada, lecz wali się zewsząd, lgnie do murów, pełza, rozciąga się, kurczy i pływa w przestrzeni jak lotne błoto.

Czyż to mgła? Serce stęka z duszącej bojaźni. Zda mi się, że to coś obłudne wzięło na się postać mgły, że to coś bada ziemię, siedliska ludzkie, zagląda do okien i patrzy w nie, usiłując zobaczyć struchlałe serca.

To śmierć.

W bramie przesuwają się jakieś postacie, jakieś bryły o ludzkim kształcie. Zapalono pierwszą latarnię i żółty błysk jej rozlał się w rudym mroku, dosięga kupy gliniastej i przetręca się na postaci małego zduna.

Zapalam i ja świecę co prędzej, co prędzej – i usiłuję czytać. Daremnie. Ciapanie rydla i blaszany szczęk wiadra odbijają się we mnie jak echo w kamiennej zakłęśłości. Słyszę każdy krok tego dziecka, czuję każdy ruch w mokrych gałganach. Zdaje mi się, że już dawno, dawno widziałam taki dzień, że nawet przeżyłam te same uczucia. Tak mniemam, patrząc w miazgę świata pochłanianą i trawioną przez ciemność, i nie wiem, kiedy myśli moje wpływają w słowa harmonijne, w dźwięki czcigodne, które to wszystko zawierają w sobie:

*Nie budźcie ich, aż ciemność się odmieni,
Przeklęty mrok, gdzie świętym oczy ślepną,
Nie budźcie ich w tę smutną noc jesieni,
W ten zgniły chłód, gdy duchom skrzydła lepną.
Dziś pracy płon i pełne krwi zasiewy
Z rozkisłych pól wchłonęły już kantory...
Nie budźcie ich modlitwą i pieśniami...*

Skądże ja wiem te słowa? Czyje to słowa?

I oto tam, w tych mokrych falach przesuwają się i znika mała, obdarta, skulona postać mojego starego, mojego kochanego nauczyciela, Mariana Bohusza. Szarpie ją wicher, osacza przebiegłe zimno, ostatni goniec ziemi: siedliska zbójców. Biegnę za nim myślami po jakichś bezdrożach, po miejscach samotnych, opustoszałych, gdzie na nieszczęśliwych ludzi śmierć cierpliwa wyczekuje; szukam go i ścigam nad brzegami rzek, w nurtach i w głębinach ilu wodnego, między trzcina zeschniętą w szuwarach i karpach wodnych. Gdzież jest ten dół śmierci, w którym zgaśliło się to serce najbardziej czułe, serce na miarę niewidzianą i niesłyszana, spalone od uczuć wiecznych.

Cieniu bolesny...

I oto z mroku ogarniającego świat, we łzach, co moje oczy zalały, ukazuje się twarz. Na pół oślepiłe oczy wpatrują się we mnie, zuchwałe, obłąkane oczy mędrca. Strugi łez spłynęły z nich, toczą się po zwiędłej twarzy i wyzerają na policzkach długie krwawe bruzdy.

Wieczny odpoczynek...

4 grudnia. Po bardzo długiej niebytności odwiedziłam wczoraj pannę Helenę. Nie są to już *five o'clocki*²⁶, lecz zebrania późnowieczorne. Dla kochanej panny Heleny mam wiele wdzięczności z owych jeszcze czasów, gdy mię tu nikt a nikt nie znał. Ona mi pomogła dostać niejedną lekcję i uczyniła to (co jest rzeczą godną pamięci) bez wyrachowania. Swoją drogą, na tych jej recepcjach nie czuję się w swoim żywiole. Może dlatego, że hasam tylko za lekcjami i wyzbywam się wielu szczegółików salonowych, a może dlatego, że się tam zgromadza towarzystwo zbyt wielkich literatów i artystów.

Główny kontyngens stanowią młodzi nieśmiertelni bieżącego sezonu. Muszę wyznać, że nie lubię ani książek modnych, sezonowych, ani ludzi tego autoramentu.

Wczoraj, idąc po schodach do mieszkania panny Heleny, czułam formalne tchórzostwo. W chwili kiedy trzeba wejść do saloniku, gdzie zgromadziła się już pewna ilość osób, notabene mężczyzn, czuję, jak dalece jestem do tego czynu nie przygotowana. Zapomniało się o tysiącu rzeczy służących ku temu, żeby ładnie wyglądać. Wówczas formalna trema... Z tego się okazuje, że towarzystwo mężczyzn jest bardzo pociągające. Ja, przyznam się, mocno je lubię, ale koniecznie mężczyzn delikatnych, rozumnych, a przy tym nie pedantów, którzy by lekceważąco traktowali moje myśli i słowa. Mężczyźni wszyscy interesują się pannami, a kłamstwem byłoby przeczyć, że jest miło, ach, jeszcze jak miło wywoływać zajęcie. Wchodząc w celu (nie uświadomionym) wywołania tego mianowicie zajęcia kogoś swoją osobą, znajduję zawsze tyle wad i braków w mojej posturze, że mam chęć sromotnie zmykać.

Salon panny Heleny jak dawniej: śliczne, duże palmy, sofy i krzesła w stylu chińsko-japońsko-maison-niponowym²⁷. Światło, jak dawniej, przyćmione. Na sofach tkwiły już rozmaite wielkości. Wszystko – nasi sławni. Wejście moje nie zostało dostrzeżone i nie przerwało rozmowy, która była bardzo żywa. Znowu opłakana kwestia kobieca. Roztrząsał ją (przeważnie za pomocą zwyczajskich aforyzmów) poeta Br. Dla niego ta kwestia „nie istnieje”. Któż broni kobiecie robić, co jej się żywnie podoba? Chce się uczyć, to się uczy, chce działać jak mężczyzna, wolno jej i to... Ze swej strony poeta Br. „ośmielał się twierdzić”, że białogłowa powinna korzystać z praw przysługujących jej, ale przeważnie w zakresie etyki... Udoskonalać swą duszę, czynić ją niepochwytną, niedoścignioną dla grubej i ciężkiej siły mężczyzny. Cóż z tego, że kobieta będzie adwokatem, doktorem medycyny albo profesorem matematyki, kiedy ją z tych zawodów (prawdziwych dla niej zawodów) wyrwie dziwna tęsknota za czymś nieuchwytnym... (Zofia

²⁶ *five o'clock* (ang.) – podwieczorek na wzór angielski, zwyczaj picia herbaty o godzinie 17⁰⁰

²⁷ w stylu chińsko-japońsko-maison-niponowym – w stylu japońskim

Kowalewska²⁸). Według niego kobiety dążące do tak zwanej emancypacji pozabawiają się jednej ze swych sił faktycznych – uroku, gdy chcą zniszczyć w sobie pełną wdzięku nieświadomość różnych rzeczy i spraw tego świata. Dla poety Br. jest coś brutalnego w tym, gdy kobieta nie ma już o co spytać mężczyzny. W końcu swego wywodu zadał światu babskiemu w istocie trudne pytanie: czy można twierdzić śmiało, że kobiety uzyskanej absolutnej wolności nie użyją na złe, tak jak to robią dzisiaj mężczyźni? Przecie jest masa złych kobiet, a jak twierdzi psychiatra, daleko więcej pierwiastka zła wskazuje sprawowanie się obłąkanych kobiet niż mężczyzn. Poeta zgadzał się, gdy go zaczęto przyciskać do muru, że to jest właśnie suma uczynków świata, ale nie wierzył, żeby można było wpłynąć na zmianę tego stosunku środkami, które podejmują kobiety.

Z mojego kąta pod palmą ośmieliłam się wydać głos, rozumie się, słaby, nie mój i drżący (co niechaj policzone mi będzie na karb trwogi wobec tylu liryków, dramaturgów, nowelistów, „estetów”) i za pomocą tak niskiego organu wyraziłam niezdarnie parę sentencji. Czepiając się ostatniej wątpliwości mówcy, rzekłam, że nie można jej żadną miarą podzielać, jeżeli się wierzy w siłę dodatniego działania kultury na duszę człowieka. Panna, która skończyła uniwersytet, może być tak samo niedobra jak chłopka, ale uczynki moralne pierwszej z musu będą lepsze niż uczynki chłopki, na czym świat otaczający bezwarunkowo zyskuje. W miarę wzrostu kultury wyższej zacierają się różnice wywołane niższością umysłu kobiecego i brakiem pracy nad jego rozwojem. Jeśli w duszy kobiety jest próżnia, którą mogłaby zająć dążność do jakiegoś światła, to w tej próżni naturalną koleją rzeczy rosną owoce złości, głupoty, złego wychowania. Dlatego to w szpitalach jest statystyka tak fatalna dla kobiet...

Co do twierdzenia, że emancypantka, która już nie ma o co zapytać mężczyzny, jest zjawiskiem brutalnym, to wyznałam, że takiej kobiety dziś jeszcze wcale nie ma. Dośćgnąć mężczyzny nie może wprost z powodu mniejszego zasobu sił fizycznych (gdyby nawet miała przed sobą drogę bez przeszkód i... pułapek). Jeżeli zatem „nieświadomość” nie tylko „grzechu nie czyni”, ale prócz tego nadaje „urok”, to pomimo wszelkich wysiłków, jeszcze długo kobieta będzie „bardzo uroczo” głupsza od mężczyzny. Dziś zresztą nie chodzi wcale o to, żeby mężczyznom dorównać, lecz o to, żeby coraz mniej zostawać w tyle we wszystkim, nawet w szpitalu obłąkanych. W końcu ośmieliłam się wtrącić małe żądło, jakby na świadectwo, że guwernantki istotnie gorsze są od poetów płci męskiej. Rzekłam, iż może to jest bardzo urocze potrzebować opieki, ale dopiero wówczas, gdy jej zabraknie, gdy



Joanna-emancypantka o sytuacji kobiet.

²⁸ Zofia Kowalewska – rosyjska matematyczka, poetka, powieściopisarka

jej na całym wielkim świecie wcale nie ma, wtedy czuje się, jak dalece w tym nie ma najlichszego uroku.

Takie maksymy wygłaszałam w tym zgromadzeniu.

W czasie powrotu do mojej izby myślałam jeszcze o tym wszystkim i czułam pewien niepokój. Nawet nie pewien, ale duży niepokój! Czy uwolnione kobiety nie użyją na złe swobody, tak samo jak jej dziś zażywają mężczyźni? Teraźniejsza dola płci nadobnej z pewnością jest następstwem jej stanu moralnego. Gdyby szło o jakąś walkę i o samo zwycięstwo, to trzeba by powiedzieć: gdy mężczyźni mają prawo być wolnymi i robić sobie, co zechcą, to takie samo prawo powinno przysługiwać kobietom. Ale to przecie nie chodzi o walkę, tylko o dobro. Zresztą sumienie moje, gdy mowa o tych sprawach, tak łatwo dostaje dreszczów! Jest to widocznie moc przesądu, odziedziczonego po szeregu prababek. Ja nie znam życia. Parę razy zdarzyło mi się czytać takie rzeczy, od których włosy powstają na głowie i ciało drży jak w malarii (Guy de Maupassant²⁹, Owidiusz³⁰). Idąc ulicami, trafiam często na widok, który mię nie tylko przeraża, ale wprost ogłupia. Tymczasem setki ludzi przesuwają się obok tego jak obok latami albo szyldu. Egzystują jakieś nie znane mi łotrostwa, rzeczy pełne okrucieństwa i hańby, w których kobiety biorą udział. Któż je wyuczył tych potworności? A jeżeli one same odnalazły w swych duszach to wszystko? Oto dlaczego boję się zdania poety Br., że babiny mogłyby nadużyć wolności.

Czy to ma się tak tłumaczyć, że trzeba opuścić ręce? Nie, przenigdy! Ktokolwiek jest winowajcą straszliwych grzechów rodu ludzkiego, trzeba dźwigać się z brudu! Niech to czynią mężczyźni i kobiety.

5 grudnia. Wczoraj wspomniałam o Owidiuszu. Sama nie wiem, czemu przyszła mi myśl przeczytać go jeszcze.

Guêpe ma wśród mnóstwa swych romansideł dwie śliczne, stare książeczki z zeszłego wieku wydane w Londynie, pt. *Les oeuvres amoureuses d'Ovide*³¹. W tomiku drugim są dowcipne, pełne uroku i... zepsucia *Elégies amoureuses*³², i najładniejsza z nich, zaczynająca się od słów: *L'oiseau le plus charmant qu'on pût voir dans le monde, mon fameux perroquet?*³³

Tłumaczę to sobie moim nieudolnym językiem w taki sposób:

Papuga, wielomówny gość z Indii – nie żyje! Schodźcie się na pogrzeb, ptaki nabożne. Idźcie za zwłokami tłumem smutnym, bijcie się w piersi skrzydłami. Szarpacie

²⁹ Guy de Maupassant – pisarz francuski

³⁰ Owidiusz – rzymski poeta

³¹ *Les oeuvres amoureuses d'Ovide* (fr.) – Utwory miłosne Owidiusza

³² *Elégies amoureuses* (fr.) – *Elégie miłosne*

³³ *L'oiseau le plus...* (fr.) – Ptak najbardziej uroczy na świecie, moja znakomita papuga...

pazurami policzki, targajcie z braku włosów zwichrzone pióra na głowach. Niech zamiast trąby pogrzebowej zadzwonią wasze pieśni wdzięczne. Philomelo-słowiczku, zapomnij już o zbrodni Tereusza, który ci język urznął. Długie lata powinny były osłabić twój smutek. Los Itysa-bażanta smutny jest z wszelką pewnością, ale przecie to było tak dawno! Płaczcie, wszystkie stworzenia skrzydlate, co lotem skrzydeł swych kierujecie w przezroczystym powietrzu, ale nade wszystko rozpaczaj ty, synogarlico, towarzyszeko zmarłej. Tak, o papugo! Czym był Pylades dla Orestesa³⁴, tym dla ciebie była synogarlica. Ale na cóż ci wierność i piękna barwa twych skrzydeł? Cóż z tego, że spodobałaś się natychmiast prześlicznej kobiecie, kiedym cię przyniósł jako podarunek miłości...

Jest w tym jakaś dziwna swoboda, maluje się samo życie kontemplujące, próżniacze, ale równe i jasne. Owidiusz sam się oskarża, że jest „poetą swej własnej lekkomyślności”. Widać z innych utworów, że zna on straszne pieczary boleści, ale od nich ucieka do swoich niewiast pięknych, zepsutych, nikczemnych, z cudnymi oczyma i włosami o barwie „cedru z wilgotnych dolin pochyłej Idy”. Na lirze swojej kocha jedną strunę, która dźwięczy przez tyle wieków i dla tylu pokoleń.. Jest to śliczne i jakieś takie dziwne. Tuż obok pięknego smutku, który można odczuć tak żywo, jakby się w sercu naszym znajdował, są karty niepojęte, straszliwe w swym nieludzkim cynizmie, jak np. potworna elegia trzydziesta ósma. Dech zamiera w piersiach, gdy się to czyta, jakby go śmierć chwyciła. Niestety, w ohydach jest tak samo cudna poezja. Z tych kart starych ulatuje jak zapach mocnych perfum czy przed tysiącem lat zerwanych róż, które wieńczyły skronie poety.

7 grudnia. Zmęczenie; zmęczenie... Jest późny wieczór. Śnieg z deszczem zmieszany płacze za oknem, dudni w rynnach jak skarga nędzarza i szkli się na kamieniach podwórza, które oświeśla chwiejny błysk latarni. Oczy mimo woli wlepiają się w kałuże słabo błyszczące, co drżą od padających kropel.

Pod sekretem muszę sobie wyznać, że teraz jestem daleko bardziej zmienna niż dawniej. To są pewno jakieś zmęczenia nerwowe. „Nerwy”, których wytrzymałości tak ufałam, jak sile rzemiennych naszelników prowadzących bryczkę, gdy się zjeżdżało z góry ku Głogom...

A teraz po każdym wzruszeniu – bicie serca, po usilnej pracy – ból głowy, ociężałość, na przemiany to roztargnienie, to automatyczność. Tak źle sypiam! Po nocy bezsennej mam tę ciągłą nierówność bicia serca, oczy jakby piaskiem zasypane, szum w uszach, ból w gardle – i jakąś obmierzlą trwogę w duszy. Choćbym w taki dzień miała sumienie czyste, choćbym wyężyła wszystkie siły, żeby się niczym nie splamić – nie jestem szczęśliwa ani swobodnej myśli. Biegnę na

³⁴ *Pylades... Orestes* – para przyjaciół

lekcje jak rzecz popchnięta, odrabiam je jak idiotka. Gdy na przykład rozwiązuję zadanie arytmetyczne z Anusią, to tylko pierwsze słowa każdej myśli jasno rozumiem, dalsze ciągi gadam jak katarynka swą melodię. Dopiero po wymówieniu zdania – słyszę jego sens w głowie niby wyrazy czyjeś, które dokładnie zrozumieć przeszkadzała mi dyskusja z kim innym. Brak siły nerwowej. Biedne, strudzone, oglupiałe nerwiska nie mają odpoczynku. Każda przeszkoda staje się dla nich uciążliwą, a naprawdę płakać się chce, gdy zdarza się sposobność rozrywki, a i do niej brak ochoty. Ze wszystkiego jednak najcięższy powrót z lekcji do domu. Nogi idą niby spuchnięte. Przemokłe, jak dziś na przykład, buciki dolegają i ciężą, zabłocona suknia nie czyni wrażenia stroju ani odzieży, tylko jakiejś paskudnej szmaty. Ach, to ubranie do ziemi! Jest ono zapewne miłe, doskonale i piękne, ale dla pań, które nigdy nie chodzą po zabłoconych ulicach, tylko jeżdżą w karetach. Dla nas, co musimy grasować po bagnach dzielnic ubogich – jest to prawdziwa katusza. Obrzydłe jest podkasać suknię wyżej (zresztą niemożliwe, bo wnet dziecięciu panów zacznie się przyglądać), a ręce kostnieją trzymać ją, dbać o nią – albo zachłapać i nosić na sobie kupy brudu. W jednej ręce niosę parasol, książki, kajety, drugą muszę wiecznie piastować swój ogon i w tym kształcie upędzać się po trotuarach. Skromność pozwala dekoltować się, odsłaniać nagie ramiona i piersi,



Zdanie Joanny Podborskiej na temat mody.

ale zakazuje demonstrowania świata nogi wyżej kostki, w grubej pończosze i wysokim trzewiku. Ciekawam, czy też w chwili gdy moda każe nam przyczepiać sobie z tyłu ogon kangura, będziemy wykonywały jej polecenia z takim samym pietyzmem jak teraz, gdy dźwigamy ogony sukienne?

Dziś, biegnąc na trzecie piętro do Lipeckich, zabłocona, przemokła i buchająca parą jak zdrożony koń pocztowy, w środku tych krętych schodów kamiennych usłyszałam muzykę. Ktoś grał bardzo biegle za jakimiś trzecimi drzwiami. Zatrzymałam się na minutkę, z początku żeby usłyszeć, co to grają, a później nie chodziło mi już o to – i do tej chwili nie wiem. Harmonijne tony wzięły mnie opływać dokoła, ni to pytania jakieś bolesne; zaczęły patrzeć we mnie jakby wielkie, pełne łez oczy błękitne. Litowały się nade mną jakoby dobrzy, kochani bracia, ujrzały we mnie coś litości godnego, jakieś, widać, zmiany niepożądane, bo łkały z żalu.

Ale wnet zaczęły się w sercu moim uśmiechać wołać mnie jak gdyby pieszczotliwymi nazwami, a tak dziwnie, tak nadziejsko, jak tego już nie usłyszę nigdy na świecie. Otoczyła mnie cała od stóp do głów wiosenka jedna, dawno, dawno, przed laty w Głogach spędzona, kiedy jeszcze żyła mama i ojciec. Widziałam w oczach zamkniętych ścieżkę do stoku pod wielką gruszą, wokoło jaskry u źródlanej wody, długie smugi kaliny, jeżyn i dzikiego chmielu. Widziałam wodę połyskującą za upustem, zielone pręty sitowia. Srebrne płotki przekręcały się do słońca pod

samym wierzchem i okonie z ciemnymi pręgami wychylały swe ostre grzbiety z zimnego nurtu. Drewniana figura świętego Jana stała wśród grobli nad stawem i czarne olchy z krzywymi pniami...

Nie mogę napisać...

9 grudnia. Gdy się tak człowiek od lat kołaczę po świecie, wciąż mijając nowe osoby, nabiera dziwnej wprawy w zgadywaniu ludzi. Nie jest to wcale zdolność poznawania myślami, lecz prędzej widzenia żrenicą. Daleko lepiej i z większą stanowczością udaje mi się przeczuć człowieka, niż gdybym się zabierała do długich i systematycznych studiów, do obserwacji świadomych (choć i tych nie przerywam). Czasami złudzi mnie jeszcze światowa gra życzliwych uśmiechów, często tak dobrze oddana, ale omyłka trwa chwilę, bo wewnętrzna nieprzyjemność zaraz mnie ostrzega. Czekam wówczas cierpliwie i pocziwe życie przynosi stwierdzenie szeptów instynktu. Ileż to już razy tak było!

Oprócz tego „czuja” mam jeszcze kilka swoich środków wydobywania prawdy. Oto – nie zaspokajam ciekawości i nie odpowiadam na złośliwość. Wprost „nie raczę” uczuwać pewnych uśmiechów, słów, aluzji.

Szlachetni współobywatele prędko przychodzą do wniosku, że to pień jakiś, twór wyjątkowo tępy, który wcale ukłuć nie czuje. Wtedy odsłania się prawda...

Czy kiedy miałam skłonność do takich badań? Zdaje się, że nie. Życie wszystko potrafi wykrzesać.

Nie ma w tym dawnej mojej a tak naiwnej pokory – och, ani odrobiny! – prędzej jest jakaś zła pycha. Nieraz myślę sobie, że coraz dalej jestem sercem od ludzi. Dokądś odchodzę, do jakichś sennych widziadeł, do jakichś bohaterskich, czystych cieniów. One to stanowią prawdziwe towarzystwo.

Świat nasz, otaczający, półinteligentny, półbarbarzyński, a główna – chytry... Przebiegłość służy w nim złośliwości, a złośliwość praktykuje się dla niej samej. Zawsze chodzi o stwierdzenie czyjejs niższości, i to tym bardziej, im ciężiej tę niższość odnaleźć. Kobiетки, nasze anioły domowych ognisk, te z maestrią uprawiają sztukę!

Jesteśmy wszystkie tak zaawansowane w sztuce mielenia językiem na szkodę bliźnich, że kiedy męczyzna zbliża się pierwszy raz do obcej, z pewnością formułuje sobie pytanie: jaki też to rodzaj zwierzęcia? W tym czczym życiu panuje wszechwładna obłuda.

Kłamstwo wcale nie tylko nie jest tępione, ale nie budzi nawet odruchowego wstrętu. Wszystko złe toleruje się z obiektywizmem, a w razach natarczywych daje się rzeczom za pomocą sofizmatów³⁵ wygląd nieprawdziwy albo się wprost



Joanna Podborska:
Zgorzkniała,
nie przepada za
ludźmi.

³⁵ sofizmat – rozumowanie na pozór poprawne, w którym popełniono błąd logiczny

udaje, że nie są wiadome najdokładniej roztrząsnięte fakty. W tej atmosferze oddycha kwiat wychowania domowego niewinnych dzieci. Nawet gdybyśmy mieli wrodzone zamiłowanie kłamstwa, trzeba by je niszczyć dla krzywd, które wyrządza. Ale wszelkie moralne dążenia tnie batem ciągła świadomość, że obok nas żyją ludzie, którzy wprost nie mają potrzeb moralnych, których wcale nie czyni nieszczęśliwymi widok nadużyć. Męka moralna samotnych jednostek wydaje się być czymś przybłakany, niezdatnym do niczego, bez związku z czymkolwiek, niby jakaś właściwość osobliwsza, przedawniona czy za wczesna. A czyliż te uczucia mogą być tak samotne? Toż zaginą jak ziarna zboża w cierniach z boskiej przypowieści.



Joanna

Podborska:
Szerokie po-
mowanie pracy
guwernantki.

Ileż to razy usiłowałam wytworzyć w duszy tej lub owej uczen-
niczki takie ognisko miłości prawdy, rozchuchać przygasły węgielek
cudnej władzy, która tyle szczęścia daje człowiekowi. I ileż razy znaj-
dowałam tam opór oszańcowany murem szyderstwa... Moja misja
rodziła drwinę. Wtedy zawsze czuję się tak samotną i opuszczoną.
I dziś znowu to samo...

Maniusia Lipecka jest to tak zwana „główka”. Zdolności jej są rzeczywiście
bardzo piękne, ale pewno pójdą w jednym kierunku. Oto, co wymyśliła. Gdy
przychodzi dziadek Hieronim, Maniusia cichaczem prosi go o czterdziestówkę
na tak zwane „pieczątki”. Gdy wpada wujaszek Zygmunt – to samo; z ciocią Te-
klą – to samo. Tymczasem mała figlarka ani myśli kupować pieczątek. Zebrane
pieniądze chowa do skarbonki. Gdy chciałam przeciwdziałać temu talentowi
gromadzenia pieniędzy w ósmym roku życia, mama oparła się z wytrzeszczeniem
oczu. Jest to, według niej, zapowiedź sprytu i oszczędności.

Uczucia nasze nie mogą drzemać, muszą mieć jakiś wyraz w czynach. Budzi się
we mnie głęboka awersja do tego, co na mieszczańskich piętrach uważane jest za
moralność. Stempel obłudy wyciśnięty przez matadorów starczy tam za wszystko.
Każda z jednostek zadrżałaby na samą myśl, że może być źle ostemplowaną. A i ja
sama czyż mogę się chełpić, że mię nie obchodzi, co szepce pani Lipecka, Blumo-
wa albo inna „matka”, zajęta systematycznym psuciem duszy swego dziecka pod
pretekstem edukacji? Bynajmniej! Liczę się z tym wszystkim. I jak jeszcze! Tylko
już was znam, bydlątka boże! Już wiem, że jeśli mię boli i nęka opór waszych dzieci
wobec mojej etyki, to nie dlatego, żebyście wy jako gromada były mądre i dobre.

10 grudnia. List od Wacka. Oto, co pisze:

„Droga zmęczyła mię i znudziła, a na dobitkę ząb mię bolał, nie dając w ciągu
dziewięciu dni ani chwili spokoju. Właściwie to nie tak sama droga nuży, jak
noclegi w powarniach. Nie wiadomo, co wtedy robić ze swoją osobą. Wyjść na

czas dłuższy nie można, gdyż pięćdziesięciostopniowy mróz to nie żarty, czytać trudno, przy tym stan ciągłego wyczekiwania, obawa, że renifery rozbiegną się i trzeba będzie z konieczności kilka dni zatrzymać się w takiej dziurze, wszystko to, razem wzięwszy, wywoływało nasz pośpiech. Renifery rozbiegały się kilkakrotnie, ale udało się nam z Jasiem dość prędko je gromadzić do kupy. W ciągu całej podróży nie straciłem ani jednego dnia. *Nulla dies sine linea*³⁶. Widzisz, jak to dobrze umieć łacinę! Taka *linea* w tych stronach znaczy kilkadziesiąt wiorst. Renifery wszędzie dobre, droga z małymi wyjątkami znośna, więc mknęliśmy z szybkością dziesięciu (do dwunastu) wiorst na godzinę.

Powarnie czasami okropne! Tyle się już o nich czytało, tyle słyszało, a jednak rzeczywistość znacznie przechodzi wyrobione o nich pojęcie. Są to ogromne, niskie landary bez podłogi, bez nar, z dymiącym kominem, ze szparami w ścianach jednym słowem, do mnie podobne: ze wszystkimi wadami, ale za to bez żadnych zalet. Na pierwszy rzut oka przedstawiają się poetycznie, szczególnie kiedy ogień oświecili ściany pokryte białym szronem, sopłami, i niby tysiącem znikających diamentów zacznie migotać. Ale estetyczne zadowolenie ustępuje miejsca rozczarowaniu, kiedy ta fantastyczność zaczyna kapać na nos i ubranie wędrowca. Na noc w powarniach nigdy się nie rozbierałem, przeciwnie, ubierałem się ciepło, co do przyjemności nie należy. Przy tym, dopóki ogień się pali, takie goronco, jak mówią twoje Litwinki, że nie wiadomo, gdzie się ukryć, a jednocześnie nogi i plecy marzną. Czasami zamiast w powarni udawało nam się nocować w jurcie, ale i te *chambres garnies* nie są bez „ale”. Kilkanaścioro ludzi płci męskiej, żeńskiej i nijakiej gnieździ się w małej jurcie razem z psami, cielętami, w bezpośrednim sąsiedztwie bydła. Dołączony do tego zapach gnijących ryb powoduje to, że trzeba było wyskakiwać na jednej nodze dla złapania tchu.

Rano znowu jazda. Wyrzymałość reniferów – zadziwiająca. Trzeba je widzieć (choć nie radzę...) obciążone naładowanymi nartami, gdy się wdzierają na pionowe urwiska gór lub gdy pędzą po błotnistych kępach, ledwie-ledwie pokrytych śniegiem. Pędzimy przez błota! Narty skaczą, chyboczą się po kępach jak łódź w czasie wiatru na wodzie. Noc ciemna, widać tylko jakąś nikłą, białą płaszczyznę. Woźnice krzykiem poganiają zwierzęta do szybszego biegu. Za sobą słyszę coś w rodzaju sapania lokomotywy i co chwila to z prawej, to z lewej strony ukazują się pocziwy, rogaty pysk jelenia, obrośnięty szronem, buchający parą, z wywieszonym jak u psa jęzorem. Gdy ścisnęły silniejsze mrozy, jelenie przestały sapać i stuliły buziaki. W czasie jazdy trzeba się ciągle przechylać to w tę, to w ową stronę dla zachowania równowagi albo, dla przywrócenia jej, uderzać nogą w ziemię.

³⁶ *nulla dies sine linea* (łac.) – ani dnia bez kreski; dewiza greckiego malarza Apellesa

Wjeżdżamy w las, przecinamy wzgórze, po czym szalonym pędem staczamy się znowu w dolinę. Jelenie pędzą jak wiatr i narty lecą, aż dech zamiera w piersiach. Na dole przednie narty zwalniają biegu, następnie wszystkie z trzaskiem uderzają się o siebie i rozskakują na wsze strony. W dolinie znowu kępy, znowu podskoki nart niby po wzburzonych falach. Zmuszonemu do ciągłych ćwiczeń gimnastycznych – ciepło, ale nogi marzną, a przy szalonym pędzie po kępach w ciemności nie może być mowy o rozgrzaniu się w jakikolwiek sposób. Nareszcie w oddali ukazuje się słup iskier. To jurta! Witamy ją radośnie jak żeglarze latarnię morską. Po chwili rozgaszczamy się w cieple jamy i pijemy jak bohaterowie Homera, a zaraz potem spać, spać! No i tak co dzień – przez trzy miesiące i dwa dni. Mój aparat, szkło, przybory dowiozłem w całości, czemu się okrutnie dziwuję. Mają mi przysłać z Jakucka klisze, papier i w ogóle wszystko. Cóż tam u ciebie, moja słodka dziewczyno, moja miła siostrzyczko...”



**Joanna
Podborska:**
O prawie do
szczęścia.

15 grudnia. Od pewnego czasu łaknę i poszukuję widoku radości. Szukam książek wesołych. Wielką by mi przyjemność sprawiło, żebym widziała czyjeś życie pełne szczęścia. Mam dokoła siebie albo nędzne, chorowite egzystencje, albo zapasy z przeciwnościami nad siły. Co krok można spotkać osoby zadowolone (z siebie), ale nigdzie nie widać wesołych. Zadowolenie jest tam, gdzie są małe potrzeby, a szczęścia, z którego tryska wesele, tak jakby nigdzie nie było. Człowiek stworzony jest do szczęścia! Cierpienie trzeba zwalczać i niszczyć jak tyfus i ospę.

24 grudnia. Wróciłam z pasterki. Byłyśmy wszystkie, to jest panna Helena, Iza i moje bębenki. Mróz. Sypki śnieg iskrzy się i chrupie pod nogami. Z mojego okna widzę tylko dachy ze srebra. Szeregi zaczarowanych pałaców stanęły w biednej dzielnicy.

Księżyc świeci.

Druty telefoniczne osędziały. Są białe jak sznury grubej bawełny, którą zwija na kłębek jakaś babcia, ogromnie, ogromnie wiekowa. Jest coś dziwnego w tej nocy jasnej, w tej nocy czystej. Niewysłowny wdzięk leży na murach oblatanych światłem miesięcznym.

Już chyba wszystkie walki ze znużenia w tej ciszy ustały i żelazna pięść przemocy osłabła z żalu.

Gdyby w tej chwili zbójca chciał sztylet utopić w piersiach swojej ofiary – zemdłałaby mu ręka. Bo teraz aniołowie zstępują z niebios na ziemię i tulą do serc przeczystych westchnienia skrzywdzonych ludzi.

Kto teraz modlić się będzie...

W żłobie, gorzej niż niemowlę ubogiego parobka, leży ten, o którym mówił Izajasz, że „uderzy ziemię różgą ust swoich”. Może to Jego królestwo już się zaczęło, może już idzie „rok Pański wdzięczny”. Niech się umocnią dusze cierpiące dla dobra wielu, niech wytehną, Panie...

26 grudnia. Święta! Śpię, próżnuję i chodzę na wizytki. Zniosłam do siebie stos książek i rzucam się od jutra w srogie czytanie. Guêpe wyjechała na tydzień.

Do naszego apartamentu wyniesiono dla braku miejsca od państwa S. choinkę. Mam w nocy miły zapach świerczyny. Ach, żeby tak przejechać się sankami wśród lasu obsypanego śniegiem, świecącego sopłami, w zimowy wieczór, kiedy to gonty na dachach strzelają! Jak to tam jest teraz?

Puste pola. Ani szmeru, ani szelestu. Księżyc idzie nad rozległym przestworem. Gdzienigdzie gruszka polna stoi wśród śniegów samotna, obdarta. Rzuca swój cień błękitnawy...

7 stycznia. Wacław umarł.

Odebrałam wiadomość od tej pani przed tygodnem...

23 marca. Przerzucając rupiecie w szufladzie mojego stolika, znalazłam ten sekretnik. Gdym go otwarła, wzrok mój trafił na słowa przed dwoma miesiącami pisane. Jak gdyby coś nowego!... Zarazem takie samo zimno, obojętność. Czyliż to ma być moje nieszczęście? Gdzież ono jest? Ja go nie czuję. Słowa te są puste wewnątrz i tylko mają formę, powłokę bólu znanego ludziom.

Dawno, gdy jeszcze byłam w domu, nieboszczyk tatko pokazywał mi w Głogach pszenicę, którą śnieć zjadła. Szliśmy rano o świcie, obok niwy pod górą nad strumykiem Kamiennym. Tatko urywał kłos, wyjmował z niego ziarno. Było całkiem podobne do ziarna pełnego, miało zewnętrzną barwę. Tylko gdy było dotknąć go palcem, wylatywał ze środka złotej łupiny murz³⁷ czarny, pyłkowaty, syпки. Tak i moje uczucia... Nie ma w nich czystego chleba uczuć siostrzanych tylko śnieć spróchniała...

25 marca. Chciałabym tu opisać...

Zaczynam czuć potrzebę wyjawienia, jakby ekstirpacji³⁸ z głębi siebie. Jestem taka zabita! Żadnych uczuć, żadnych nawet poruszeń.

³⁷ murz – niszczący zboże grzyb pasożytniczy

³⁸ ekstirpacja – wykorzenianie, rugowanie

Jestem podobna do owej sadzawki Siloe³⁹, gdy od niej anioł odleciał. Czuję, że coś w mej duszy, jakaś dawniejsza jej władza – przestała istnieć, a to, co zostało, jest dla mnie już na nic. Jest to tchórzliwe i oziębłe. Nic już nowego na ziemi



**Joanna
Podborska:**
Złamanie po
śmierci brata
Wacława.

zrobić nie potrafię. Są jeszcze dobre istoty, które cenią we mnie i te resztki, ale ja sama czyż mogę przystać na myśl, żeby jakąkolwiek wartość nadawać czemuś, co jest jak nędzny łachman, pozostały z dawnej odzieży. Był czas, kiedy sądziłam, że jestem zdruzgotana ze szczętem. Dziś widzę, że tak nie jest.

Złamane jest tylko moje osobiste szczęście.

Chcę rozbudzić w sobie siłę życia, bicząc się wspomnieniem panny L., biorę się pazurami do robót ciężkich. Ale to wszystko, to wszystko...

Takie mam ciągle uczucie, jakby mi ktoś podpowiadał, co trzeba, uczył mię, jak trzeba, wysilał na to duszę swoją, a ja mu stale, z chłopska nie dowierzam. Często przybiega do mnie to ta, to owa znajoma i mówi o swych strapieniach. Wówczas mię to „mile zajmuje”, ale w sposób bardzo zbliżony do wzgardy. Myślę sobie, patrząc na łzy cudze, jak szczęśliwymi są ci, co takie tylko wylewają.

Ja milczę.

Znam jedno mądre słowo, o którym Wacek nic nie wiedział. Słowo: *Hart sei!*⁴⁰ Byłby mię zabił wzrokiem, gdybym mówiła, że życie trzeba kochać nade wszystko.

26 marca. Często teraz wcale nie wiem, co jest dobre, a co złe. Zdaje się, że nic „złego” nie robię, ale też żadnej nie mam pewności, że takie sprawowanie ma jakąkolwiek wartość. Chwilami wydaje mi się, że „dobrym” uczynkiem byłoby właśnie wręcz coś innego. Rozumieć rozumiem wszystko tak samo jak przedtem, tylko żadne już pewniki nie mogą mną władać.

27 marca. Na cóż się zda cierpienie?

Czy można wierzyć, że taka męka jest zwyczajną, ordynarną koniecznością? Czyją? Gdy długie dnie są tym wypełnione, staje się ono dla umysłu niepojętą zagadką, tajemnicą udręczającą, której znaczenie, nad wyraz doniosłe, ukryte a władcze, jak ptak mistyczny krąży nad głową.

Czarny, złowieszczy kruk niedoli!

29 marca. Miałam długą chwilę wmyślenia się w jakiś krajobraz. Kępy błotniste, ledwo pokryte śniegiem. Jest mi bardzo niemiło...

2 kwietnia. Nie wiem, co mi jest. Jakieś uczucie ze wszystkich najsilniejsze i najbardziej przejmujące smutkiem... Tęsknota... Smutek, któremu brak wszelkiego przedmiotu, celu i myśli. Ach, nie – jest tej myśli jakaś nędzna, uciekająca,

³⁹ Siloe – jerozolimska sadzawka

⁴⁰ *Hart sei!* (niem.) – Bądź twardy!

bezzadna drobina. Taki błędny okruch mieści w sobie tylko przeświadczenie, że to, co mię o smutek przypawia, jest najważniejszą, najcenniejszą, jedyną wartościową sprawą. Dziwna rzecz: za pomocą tego małego atomu odgaduje się prawdziwą treść życia, widzi przestwory, światy rozległe i dalekie, o których nic nie wie codzienny, zdrowy rozum.

Tęsknota, tęsknota...

Uczucie najbardziej niewypowiedziane, stan próżny wszelakiej ulgi, ucisk serca ciągly i jednostajny.

A przecie on sam w sobie jest upragniony, bo daje jakby lękliwe pożądanie ujżenia znowu onej niedoli. Oziębłość zimowa, którą przeżyłam – nie był to stan dobry. Teraz zaczynam pamiętać każde z tych zimnych uczuć, niby jakieś narzędzia z żelaza, które rozdzierają.

Dawno już temu, z osiem lat może, szliśmy pewnego razu z Henrykiem przez nasz gaj brzozowy. On miał w kieszeni rewolwer. Chcąc się pochlubić przede mną, wyjął tę broń, wycelował i strzelił. Kula przebiła na wskroś młodą brzozę. Z tego miejsca trysnęła struga soku i uchodziła tak długo, tak długo, aż nie mogąc znieść, uciekłam z lasu. Gdym była na jego skraju i odwróciłam głowę, widać było jeszcze strugę sączącą się po białej korze. Słońce w niej przeglądało się i iskrzyło tak samo, jak się przegląda w nędznej kałuży na drodze, po której brodzą cielęta.

3 kwietnia. Już sama nie wiem, czego chcę. Tęsknię, a raczej usycham z tęsknoty. Chciałabym pójść, uciec... Jestem jak człowiek bardzo chory, który sam nie wie, co go najwięcej boli. Źle mu jest, a poruszyć się nie ma siły. Gdyby zresztą zdołał, to i zmiana położenia szkodę mu przynieść może.

5 kwietnia. Zdaje mi się, że gdybym mogła usłyszeć trochę dobrej muzyki, może bym była tak samo nieszczęśliwa, ale mniej bezzadna. Łzy silniejsze są niż wola. Dlatego cierpię i nic w sobie zmienić nie umiem. Wszystko pozostaje tak, jak było, te same cele, te same obowiązki. Rozumiem to i wciąż jestem bez sił. Nie mogę się uskarżać na brak postanowień... Jest ich tyle w mych ustach! Brak tylko jakiejś małej, drobnej rzeczy...

6 kwietnia. Wstaję rano, idę na lekcje, odbywam wszystko jak się patrzy – i śmieję się z tego wszystkiego. Jest to tyle warte, co wiatr karmić. Do niczego nie mam ochoty. Sama siebie pytam, czego mi się chcieć może i ciągle, nie mówiąc sobie tego, stwierdzam, że pragnęłabym jednej tylko rzeczy: nie być.

Ta myśl wysuwa się bez żadnych przejść od minionego usposobienia, łzy płyną i w nich jest to życzenie...

7 kwietnia. Z Antosią L. przechodzę teraz literaturę... grecką. Sama umiem z niej (z literatury greckiej) tyle, com zasłyszała od Wacka. Czytałam wszakże one-go czasu wszystko, co on przechodził, a nawet greczyzny samej sporo wchłonęłam.

Obecnie czytamy tragedie Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa, w przekładzie Z. Węclewskiego⁴¹ i K. Kaszewskiego⁴².

Któż by pomyślał, że w kartach tych utworów można swój ból spotkać, że już wówczas były siostry, którym zabraniano chować w ziemi braci...

Moja uczennica czytała równym głosem Ajschylosa *Siedmiu przeciw Tebom*⁴³. I oto, co tam mówi Antygona:

*Przemożne są krwi związki, która mię jednoczy
Po rodzicielce biednej i niebogim ojcu!
Więc znoś cierpliwie krzywdę, serce me, na którą
On zżył się, i poświęć życie dla zgasłego
Z siostrzanej tej miłości. Ciała jego wilcy
Żarłoczni nie rozszarpią. To się nie pokaże!
Bo grób wykopię własną ręką i ostatnią
Posługę, choć niewiasta, oddam sama jemu.
Wyniosę go w buchastej szacie tej płóciennej
I sama go pochowam. Nikt mnie nie powstrzyma!
Skuteczny ten wynajdzie sposób, kto odważny...*

Szalona dziewczyna! Nie, nie! Precz z takimi wzorami! Ja jestem rozsądna, mój ideał – to posłuszna Ismena, szanująca rozkazy Kreonowe. Ja nie pójdę kopać grobu dla Polinejesa.

11 kwietnia. Święto. Nigdzie dzisiaj nie wyjdę. Tak jestem rozbita i tak mi źle, jakbym siedziała w ciemnym i dusznym lochu. W ciągu ostatnich dni napada mnie płacz. Gdy na lekcji nie mogę beczeć, duszę ten płacz w sobie i dźwigam go z miejsca na miejsce.

W święto, gdy Guêpe wyjdzie i nikt mnie nie widzi, całymi godzinami pozwalam sobie na tę niekosztowną rozrywkę.

20 kwietnia. Szłam dziś z lekcji niezwykłą drogą: Alejami Jerozolimskimi. Było ciepło i jakoś bardzo widno w powietrzu. Daleko, za Wisłą, ciągnęły się przed oczyma lasy niebieskie. I oto bez żadnej racji serce zaczęło znowu trząść się i trwożyć we mnie jak biedne, głupie dziecko. Uciekam od płaczu, bo jeśli tylko

⁴¹ Zygmunt Węclewski – tłumacz, filolog

⁴² Kazimierz Kaszewski – tłumacz, filolog, krytyk

⁴³ *Siedmiu przeciw Tebom* – tragedia Ajschylosa

w dzień szlocham, w nocy nie śpię na pewno, a potem zaraz idą kolejną straszne zmyry, jedna za drugą. Och, widma nocne! Powinnam była wyrwać zaraz oczy z tej przestrzeni, ale nie mogłam. W żaden żywy sposób!

Pójdę już z tego miasta! Nie chcę! Wydrę się ze siebie samej, z moich myśli, postanowień, prac, obowiązków, ze wszystkiego!

Ziemio, nigdy przez człowieka nie zasiewana!

Szczery, pusty, bezpłodny gruncie!

Wysokie, szumiące swobodne drzewa leśne!

Tamtędy idzie w nasze strony kolej nadwiślańska. Nic nie zdoła oddać porwy radości, jaki się mieści w tym głupim pewniku. Gdyby tylko do czerwca przewlec duszę...

Tam ją obmyję w śnieżnych wodach mojej dziedziny.

13 maja. Ciepły, jasny wieczór. Na kamieniach mojego podwórza ścielą się ludzkie, srebrnoszare figury miesięczne w deseń czarodziejski. Stary, brudny, splugawiony zaulek jest jakiś inny, niepodobny do siebie, jakby i on marzył... W tej nocy nawet ubodzy nędzarze dźwigają się i kierują oczy ku jasnym gwiazdom, które im przypominają dawno wygasłe uczucia.

Ileż mocy widoki te wlewać powinny w serca nasze, w serca istot młodych, które nie ciągną ze sobą ciężkich wozów złej doli, w serca tych, co duszę swoją cenią nade wszystko, kochać bardzo głęboko umieją i nie sprzedali jeszcze siły płynącej z czystego serca ani męstwa ciskającego rękawicę wszelkiej podłości!...

4 czerwca. Piszę te słowa zardzewiałą stalówką w Kielcach, w hotelu. (U naju, w Kielcach, jak pamięć ludzka wstecz sięgnąć zdoła, wieczyście w hotelach ku wygodzie podróżnych leżały zardzewiałe stalówki).

Co za katastrofa! Jestem znowu tutaj w moim pocziwym mieścisku... Wczoraj zerwałam wszystkie lekcje, odrzuciłam dwa zaproszenia na wakacje, u Lipeckich i u tej pani Niewadzkiej z Cisów – spakowane graty powierzyłam „Giepcę”, która przez lato zostaje w Warszawie, a sama, obarczona trzydziestką rubli i małym sakiem⁴⁴, ruszyłam na łeb na szyję. Nic mi nie obchodzi, co się dzieć będzie z moją osobą. Wiem tylko tyle, że będę w Krawczyskach na grobie mamy i ojca, w Głogach... A reszta wszystko mi jedno! Zapewne pojedę do Mękarzyc, do wujostwa Krzewińskich. Może zabawię tam całe lato, a może tylko kilka godzin. Wszystko mi jedno... (Patrz wyżej!)

Teraz już nie ja rządę, tylko podmuchy wzruszeń, Lelum-Polelum⁴⁵... One mię niosą, dokąd chcą, jak bujne konie. Długo wiązałam je w żelaznej stajni, co

⁴⁴ sak – torba podróżna

⁴⁵ Lelum-Polelum – bóstwo wiatru

dzień zatrzaśkiwałam wrótnię, wbijając palce w płytę z granitu, teraz niech sobie pędzą, jako chcą. Jechałabym natychmiast, ale deszcz jak z cebra.

Niedobre, przybrzydłe Kielce! Co wyjrzę oknem, bo zamiast upragnionego błękitu – nowa gromada chmur i strugi ulewy. Ale niech tam! Musi się wyjaśnić.

Przyjechałam w nocy, blisko o czwartej i z trudnością znalazłam ten numerek. Tak to – już w mieście Kielcach panna Joasia nie ma nikogo...

Szybko wygasa domowe ognisko i rozwiewa się w ostrym wietrze wonny dym rodzinnego namiotu. Gniazdo człowiecze trwa tak samo długo jak gniazdo pająka. Przebieram w myśli osoby tutejsze, które pewno siedzą jeszcze między Karczówką a Pocięską, ale nie znajduję nikogo, kto by zajrzał mi w oczy z braterskim zrozumieniem, gdybym powiedziała dzieje mego żalu, dzieje grobowego smutku, który był jak cień śmierci. Nie mogę nikogo wymyślić – jakby to powiedzieć – z oczami widzącymi. Są to wszystko pocziwi ludzie, których tępe serce nie przebija ścian domu familijnego. Ale Bóg z nimi! Umiem już chodzić wśród zimnych ludzi jak między nagrobkami cmentarza. Mniejsza o to!

Moja aleja ku Karczówce, mój wysniony latami w Warszawie daleki widok górski!

Bije godzina szósta na dzwonnicy katedralnej. Miły, spiżowy dźwięku zegara, bądź pozdrowiony! Jakże ci się obawiałam niegdyś, jak z głębołą trwołą słuchałam cię pierwszy raz po przyjeździe z Głogów do szkoły! A oto... Ale precz ze wszelkimi wspomnieniami! Nie wolno myśleć o rzeczach dawnych, bo znowu zacząną się brewerie płaczowe.

Cicho, tylko deszcz gada w rynnach i od czasu do czasu przemknie się z łoskotem wehikułu kielecki.



Miejsce akcji
– Mękarzyc-
ce; Joasia
Podborska
odwiedza
wujostwo,
pragnie zoba-
czyć miejsce,
w którym bywa-
ła wraz ze swoją
matką; były to
nieliczne w jej
życiu chwile
beztroski.

Tegoż dnia, w Mękarzycach. Już jestem tutaj, u wujostwa. Bardzo późno... Jaka błogostawiona cisza. Nocuję sama, na „drugiej stronie”, w tej starej „salce”. Jestem szczęśliwa, ach jakże jestem szczęśliwa! Cicho, na palcach stąpam w tym pustym pokoju, gdzie stoją dawne graty, które pamiętają umarłych – i nasycam się świadomością, że to nie złuda. Tu, w Mękarzycach! W tych niskich stancjach bywałam z mamą nieboszczką, gdy miała trzy, cztery lata... Powąła z dwiema belkami, cokolwieczek skrzywiona; ściany wybielone wapnem, które tu i ówdzie odpada, ukazując suche i twarde drewna modrzewiowe. Okno zasłonięte kępami georginij, malw i bzów. Z ram jego deszcz spłukał pokost. Zasuwki, stare zasuwki dziwnej formy, ozdobnie wykute przez jakiegoś ucznia Tubalkainowego, powleka rdza warstwą tak grubą, że uczyniła z tych żelazek rzeczy doprawdy piękne. Gdy się wmyślam uparcie, to zda mi się, że jak przez sen widzę tego, kto te zasuwki przybijał. Był to młody kowal... Miałam wtedy może cztery lata. Wszystko to: przepalone szyby, drzwi,

ściany, sprzęty i stare litografie noszą na sobie jakąś cechę wzruszającą. Istnieją bez żadnej zmiany w ciągu kilkudziesięciu lat, na tych samych swoich miejscach, wytrzymują działania pór roku i stają się jakby niezbędnymi częstkami tutejszej przyrody. Każdy z tych przedmiotów ma swoją historię i wprost należy do rodziny. Stary dwór schyla się, paczy i garbi, ale trwa w gruncie rzeczy taki sam jak przed laty. Jest to dom rodzinny, zrosnięty z polem, z sadem, z drzewami i kwiatami. Kiedyś może się w próchno rozsypie i zginie z powierzchni, tak samo jak umiera człowiek...

Psy szczekają. Zwabione światłem w oknach pokoju, gdzie zwykle wieczorem bywa ciemno, sadowią się tuż za szybą i ujadają okrutnymi głosy.

Ale do rzeczy. Każde *extemporale*⁴⁶ trzeba pisać według punktów. Najprzód wstęp... A więc: Wyjechałam dziś z Kielc przed południem. Deszcz był troszkę naciśnięty, choć nie ustał. Siał sobie swoje mokre plewy, czasami tylko puszczając grubsze ziarno. Najęłam dorożkę za cztery ruble (słuchajcie, słuchajcie!) – i jazda! Woźnica mój podwiązał chudym szkapom ogony, otulił dobrze nogi (swoje) derką i z niebywałym trajkotem wyruszył z miasta. Gdy wpadliśmy na szosę, naszą starą, szczerbatą od wybojów, kochaną szosę, gdy zaczęło spod kół pierzchać rzadkie błoto... Nie mogły go wstrzymać wachlarze dryndy, dzwoniące zupełnie na wzór janczarów, tylko obdarty fartuch jak mógł mię, pocziwiec, zasłaniał. Na tym pocziwcu stworzyło się wkrótce jezioro wody, przebiegające z miejsca na miejsce jak żywe srebro.

Byłam znużona, senna i jeszcze bardziej szczęśliwa niż teraz. Uwagę moją, a raczej mój uśmiech blakający się w przestworze, skupiały co chwila na sobie dwie latarnie, służące, jak sądzę, ku ozdobie pojazdu. W gruncie rzeczy wybite szyby i odwalone wierzchy nic im innego, doprawdy, nie zostawiły prócz tego honoru. Jeden z tych szczątkowych organów powozu przywiązany był do macierzystej sztabki żelaza rozmokłym szpagatem. Kadłub foszmana, w opończy koloru błękitnego z odcieniem słoty, zasłaniał mi świat, a jedyny, samotny, żółty guzik w pasie z wyobrażeniem jakiegoś herbu – przyciągał oczy. Przestrzeń widzialną obsiewał drobny deszczyk. Daleko, w mgławym, burym powietrzu snuły się zarysy wzgórz. Ich kształty, raz po raz uciekające we mgłę przed oczyma, były dla mnie prawdziwymi wyrazami żalu. Jeżeli tylko dosięgałam ich wzrokiem, wnet uczuwałam, jak mię bołą.

Tak ongi małej dziewczynie wiezionej do gimnazjum ścisnęło się serce, gdy zęgnęła wzrokiem te ukochane wzgórza...

Dorożka skacze z dziury w dziurę, chwieje się co moment niby osoba chora na tabes⁴⁷, która wszakże ukrywa swój defekt, żeby nie stracić posady – ślizga się

⁴⁶ *extemporale* (łac.) – praca pisemna

⁴⁷ tabes – późny objaw kiły, uraz rdzenia kręgowego utrudniający poruszanie się

na zakrętach, jakby w złych momentach rozpacz pragnęła raz wreszcie rzucić się samobójczo do rowu. Oto wysuwa się wieś, złożona z chałup szarych jak pole, choć ściany ich niegdyś bielono.

Wierzby z grubymi pniami, z których strzelają młode, jasne, bujne pręty; dzikie gruski w polach, dzikie tak samo jak za owych czasów. Tam, gdzie się grunt nachyla, jest rzeka w nizinie. Ta rzeka idzie z mojej wsi, z Głogów. Zjeżdżamy ze wzgórza na długi most. Zmочone konie idą noga za nogą, para z nich wali. Ja wychylam się z budy i sięgam wzrokiem czystej wody sączącej się po kamieniach i grubym piasku, wody, która przepłynęła koło domu moich rodziców. Szlaban. Powóz się zatrzymuje. Trzeba płacić kilka groszy. Szukam ich w kieszeni, nie – ja szukam wszystkimi zmysłami dźwięku tej rzeki, która tam w dole coś do mnie pluszcze.

Ruszamy znowu wolno pod górę. Obok idą ludzie zgarbieni, zaciapani w błocie, okryci włosiem, który może się nazywać tylko kudłami. Coś gadają do siebie, drą się obrzydłe i swarzą. Jedną twarz poznaję. To nasz chłop, Wicek Michcik. Taki sam był za czasów mego dzieciństwa. Trochę się zestarzał. Konie ruszają, i w brzęku żelastwa, w turkocie kół słyszę słowa niedawno w Biblii przeczytane. Żył, widać, ta skryta myśl we mnie, jak gdyby stalowym rylcem na ołowiu wypisana: „Nie będzie pamięci tak mądrego, jak i głupiego na wieki, gdyż przyjdą dni, kiedy wszystkiego zapomnę, a jak umiera mądry, tak też i głupi...”

Ta cyniczna mądrość rzucona przez zuchwałego króla, znawcę „wszystkich spraw pod słońcem”, nie niosła mi przykrości. Była prędzej jak prawda doskonała, harmonizująca ze wszystkim, niby płyn, co wypełnia każdy punkt żądny nasycenia. Wszystko cichło we mnie, uśmierzało się i jak gdyby kładło do snu. Wtuliłam się w kąt powozu i przesuwalam w pamięci ponure słowa, które przychodziły, nie wiem czemu.

Ze wzgórza roztoczył się widok na płaszczyznę. Daleko, daleko ujrzałam drzewa mękarzyckie. Wtedy znowu żarzyć się we mnie poczęła cicha radość, która mnie do tej chwili nie opuszcza. Wiedziałam, że nie znajdę tu tego, czego szukam, ale widok lasów sennych, długich i szerokich pustek zarosłych małym jałowcem – ciepło rozlewał po moich żyłach, Tam bór, w którym nigdy nie byłam, obcy i niemiły, ale z drugiej strony mękarzyckie aleje, roztopione we mgłach i jakby z mgły utkane...

Wtedy także przyszło mi na myśl, że nikogo nie zawiadomiłam, że właściwie nie wiem, czy tu wujostwo mieszka. A może już się wyprowadzili, może pomierali? Tyle lat do nich nie pisałam! Zaczęłam liczyć... To już dziesięć z górą, jakim tu nie była.

Nad wieczorem moja drynda zboczyła z szosy i wjechała w szpaler topolowy. Stare, obdarte budynki, dwór w ziemię zapadły, rozwalone płoty...

Weszłam w znajomą sień: – nikogo... Uchyliłam pierwsze drzwi i skoczyłam jak trzyletni bęben: stary pocziwiec fortepian, nad nim ksiązę Józef... Ależ rozumie się!

A teraz, gdy piszę te zdania, czuję, że tu jestem obca, cudza, samotna. I cóż z tego? Szum starych topól, który mię tylekroć przerażał, gdyśmy stąd w późną noc z mamusią odjeżdżały... Do niegom się przywlekła. Czyliż może być czulszy głos na tej ziemi?

5 czerwca. Minał dzień i krótki wieczór. Byłam w stajni, w oborze, na czworakach, w polu, na łące. Nie wiem, czy to jest rzeczywiste, czy złudne uspokojenie, ale czuję się bardzo dobrze. Żadnej skłonności do płaczu, nawet pewien (niemiły) wstręt do wzruszeń. Opowiadanie o Wacławie formalnie męczy. Wacław w dniu śmierci swojej przekazał mi jak gdyby spadek. Twardym prawem dziedzicznym narzucił mi próżne miesiące zimowe, dni, w poprzek których płynęły same tylko łyzy, i noce bezsenne, zapchane pracą ducha tak bezpłodną jak zgadywanie przyczyn rzeczy, a tak samo twardą, przymusową i konieczną, żeby żyć, jak oddech. Teraz ledwo-ledwo rozumiem, że się to ze mną zdarzyło. Przeszło jak powódź w górach. Tylko rozmięcione bryły kamieni i muł wiszący na krzewach wskazują, dokąd sięgało zniszczenie.

Tak, bez wątpienia: wieś stworzył Pan Bóg, a miasto diabeł, i to diabeł *bourgeois*⁴⁸. Ludzie mieszkający na wsi są tak zdrowi i szczerzy w swym zdrowiu, że po prostu przedstawiają mi się jak niewiarygodna anegdota. I to są właśnie ludzie, z których ja się wywodzę!

Gdy dziś o godzinie piątej czy szóstej rano mój wujaszek zaczął krzyczeć na kogoś z ganku, zerwałam się i w białiznie wypadłam jak fiksotka, sadząc, że to pożar czy napad zbójów. Okazało się, że wujaszek wyhałasił kogoś przed stajnią. Nic nadto.

Może to jest źle i nieszlachetnie opisywać osoby, u których się bawi (a w dodatku krewnych), ale nie mogę powstrzymać się i wyjść ze zdumienia. Czyż to jest naprawdę ciotka Waleria, wujaszek Hipolit i córka ich, a moja siostra cioteczna, Teczka? Ja znałam tych ludzi, ale oni byli całkowicie inni! Nie! To ja byłam inna. Widziałam ich dawną parą oczu... tutejszych. A teraz tamtej mnie – już ani śladu! Oni zapewne są ci sami. Tu się mało co zmienia. Lat przybywa, plecy się wypaczają, włosy siwieją, dom wchodzi w ziemię, a okrom tego wszystkiego

⁴⁸ *bourgeois* (fr.) – mieszczanin

po staremu. Gdyby wstał z trumny dziadek Józef, niewiele by znalazł rzeczy obcych sobie.



**Joanna
Podborska:**
Świadomość
zmian.

A ze mną, ze mną co się zrobiło! Z istoty takiej właśnie, osiadłej na gruntach ojcowskich, stał się *laufer*⁴⁹ biegający po świecie za lekcjami, coś w rodzaju motyla wykwitłego z poczwarki (jeśli wolno użyć tak wyszukanej metafory). W całodziennych rozmowach dzisiejszych z ciotką Walerią i Tecią wobec samej siebie zdawałam jak gdyby egzamin z mojego życia. Przypomniałam sobie żywo nie tylko te obydwie krewne, ale w całej pełni – siebie samą.

Daleko więcej materiału do zdumienia ja muszę dla nich przedstawiać. Tak przynajmniej chciałabym sobie tłumaczyć obojętność ich wszystkich. Nie jest to zimno zewnętrzne. Całujemy się i płaczemy dość często, ale w tym wcale nie ma serca ani nawet litości. Ciotczysko, całując mię, wylewa łzy dlatego, że myśli o drugiej, młodszej swej córce, która wyszła za technika mieszkającego aż pod Ufą⁵⁰. Tecia дума o sobie, zestawia me wolne życie z jej ciężką niewolą rodzinną i płacze nad sobą. Wuj ani myśli płakać, gdyż nie leży to w jego atrybucjach⁵¹ („baby są od szlochów”), natomiast przemyśliwa, po co ja też zawitałam w te strony, i ciągle mię wtajemnicza w swe fatalne interesy, biada na kiepskie oziminy, procenta, posuchy, motylce, choroby pyska i racic... Przewiduje, nieszczęśnik, że lada chwila wypalę orację o pożyczkę pieniędzy. Odetchnąłby pełną piersią, gdyby wiedział, że ja tylko do powietrza, do wody i ziemi...



**Joanna
Podborska:**
„Uczucie wyob-
cowania.”

Tak, to jest dla mnie świat zgoła obcy. Ci ludzie nic nie spostrzegają na ziemi oprócz Mękarzyc i nie mają żadnych innych widoków oprócz swoich pieniężnych skojarzeń. Starzy wujostwo zajmują się tym tylko, co jest w granicach folwarku. Promieniem ich życia jej Felcia, obecnie Balwińska, ciemną stroną – Tekla, która „nie wyszła”, i, obym była fałszywym prorokiem, zostanie starą panną. To rodzinne zamknięcie horyzontu jest tak szczelne, że ja wcale się w nim nie znajduję, nawet w tej chwili, kiedy tu siedzę. Moje całe życie byłoby mocno podejrzanе, gdyby nie to, że jest do gruntu obojętne. Czytam to, w ich oczach, gdy szczerze mówię wszystko i gdy oni z uśmiechami niby współczucia słuchają.

Historia Wacława!

W istocie jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi.

Słucham długich i szczegółowych pieśni epickich o tym, jak to Felcia „spodobała się” owemu inżynierowi na balu w Kielcach, jak przeszły „konkury”,

⁴⁹ *laufer* (niem.) – goniec

⁵⁰ Ufa – miasto u podnóży gór Ural

⁵¹ atrybucje – uprawnienia nadane jednostce lub instytucji

oświadczyły, ślub, wyjazd, urodzenie dziecka. W tych sagach⁵² rodzinnych Felcia jest jak gdyby heroiną. Ją to wszystko już spotkało. Już spełniła, co do niej należy.

Tecia jest smutkiem rodziny. Ona jeszcze... nikomu się nie spodobała i jeśli była celem jakich konkurów, to mówić o nich szkoda, bo nic z tego.

Z myślą i uczuciem „Tecia” łączy się zgryzota: „tych kilka tysięcy” posagu i „wyprawa”. Pocziwa ciotka urządza mi *interview*⁵³, jak też ja sądzę: czy lepiej dać więcej w gotówce, czy więcej „włożyć w wyprawę”? Jak też ja sądzę? „Bo to wy tam na szerokim świecie lepiej te rzeczy macie sposobność widzieć niż my na wsiach. Tu u nas rozmaicie sądzą. Okolicami panuje zwyczaj, że się do wyprawy nie daje tego a tego...” Ciotczyśko sądzi, że lepiej jest włożyć tyle a tyle w srebra, bo „srebra zostają na całe życie...” Z jakim uczuciem wygłasza tę maksymę! Stałam twardo po stronie sreber.

Biedna Tecia siedzi w Mękarzycach i czeka. Cała jej istota przypomina nogę Chinki, od dzieciństwa urabianą w drewnianej formie. Tecia uśmiecha się, mówi, opowiada, żartuje i płacze na wzór ciotki i wuja. Wujaszek ma zwyczaj określania pewnych rzeczy, obcych mu, terminem: – „głupstwo!” – albo łagodniej: – „pewno jakieś głupstwo!” – albo (w najlepszym razie): – „tego nigdy dawniej nie było”, bez wytykania palcem, może przez grzeczność, samego terminu: – „tego głupstwa nigdy dawniej...”

Otóż i Tecia używa tych samych zwrotów. Czasem, gdy ja mówię coś dziwnego dla Mękarzyc, Tecia szybko bada okiem twarz rodziców i przybiera na swoją ich uśmiech. Nie mówię o myślach i sądach. Wszystkie te sądy o rzeczach są takie same, jak były kilkadziesiąt lat temu, kiedy ciotka Waleria była panną i uczyła się w Ibramowicach. Tecia, dziś żyjąca, jest, właściwie mówiąc, panną z czasów Klementyny z Tańskich Hoffmanowej⁵⁴... Świat przeszedł sto mil ze swoim dobrem i złem. W pokoju Teci, który przylega do sypialni wujostwa i jest z przewidującą czujnością strzeżony, znajduje się nieco książek. Są to zabytki bibliograficzne, tak zwane „książki dobre”. Rozumie się: ta Klementyna z tych Tańskich, stosy przekładów z angielskiego... Wśród tych wszystkich dobroci leżą, o zgrozo! Poezje ni mniej, ni więcej, tylko samego Kazimierza Przerwy-Tetmajera!

Skądże ten tutaj? Trafił przypadkiem, pożyczony z sąsiedztwa jako „coś do czytania”. Został odczytany tudzież (pochlebiam sobie!) wyrokiem rodzinnym zganiony.

⁵² saga – opowiadanie o czynach narodowych bohaterów

⁵³ *interview* (ang.) – wywiad

⁵⁴ Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798-1845) – jedna z pierwszych polskich pisarek dla dzieci, podejmowała również kwestie wychowania kobiet, przeciwniczka emancypacji oraz nowoczesnego systemu kształcenia dziewcząt

Czy jednak cząstka Tekli nie jest lepsza od mojej? Och, na pewno jest lepsza! Dom rodzinny, cisza, opieka, ta jakaś spokojność, do której tak wzdychałam w Warszawie! Tu przez mur nudów nie dochodzą wzruszenia, ale wraz z nimi nie



Joanna porównuje swoją sytuację z położeniem Teci, której nie udało się wyjść za mąż i mieszka z rodzicami na wsi.

wciskają się bóle. Tu nie wpada w rękę Owidiusz ani w ucho zła mowa, nie rani hak podstępnej myśli ani nagość obrazów życia. Tu jest tak cicho... Jeśli przyleci głos jaki ze świata, to niby echo żywej rozmowy prowadzonej za trzema ścianami.

Ale, kochana Teci, gdyby mi przyszło wybrać twój los (nawet przy boku moich rodziców) – już bym się nie zgodziła. Przenigdy! Ja już jestem człowiek.



Joanna: wy-emancypowana, postępuje; nie chce być dla nikogo ciężarem; pragnie sama, swoją ciężką pracę, zarabiać na siebie i swoje utrzymanie.

Sucha kromka chleba, ale moja własna; niebogata przyszłość, ale urobiona własnymi rękami. Z obu stron mojej samotnej, kamienistej ścieżki, po której idę, roztacza się świat nowoczesny jak dojrzewające zboża pól nie ogarniętych oczami. Rozum mój i serce karmią się kulturą żyjącego świata, w której z dnia na dzień przybysza pierwiastku dobra.

I ja tym wzrostem cieszę się i żywię. Gdzie on, tam płynie w żyłach ludzkości, „jak krew po swych głębokich, niewidocznych cieśninach”.

6 czerwca. Dziś jeździłam na grób mamy i ojca do Krawczysk. Szłam od gościńca szeroką miedzą. Na tej drodze nie ma kolein, są tylko ścieżki, często deptane stopami ludzkimi. Obok, z prawej i lewej strony, kołysz się ciemne, stalowe żyto o kłosach brunatnych, które dopiero świat ujrzwały. Z dala, w nizinie, widać ogromne drzewa i biały mur. To tam.

Cmentarz już się zapełnił mogiłami, więc rozszerzone zostały jego granice bez usuwania ścian dawnych. Otoczono zuchelek szczerzej wydmy u wejścia do dawnego cmentarza ledwie ociosanymi żerdziami i żółte mogiły już się chłopskim rzędem układają pod tym świerkowym, pod płotem...

Bramę dawnego cmentarza zamknęto. Nikt tam już nie wchodzi ani z żywych, ani z umarłych. Jest to miejsce poświęcone tym, co przed wieloma laty zasnęli w Panu. Gonty w daszku, który niegdyś stare mury osłaniał, zgniły i wypadły. Tylko spróchniałe, obnażone krokiewki jak piszczele świecą się ku słońcu. Gdzeniegdzie połyskuje żelaznym łebkiem gwóźdź-gontal osamotniony, bez racji sterczący.

Ruszyłam wrótnie bramy, złączone ze sobą żółtym od rdzy rygłem dużego zamka. Rozsunęły się cicho, bez zgrzytu ani oporu. Tak może odmykają się przed duszami drzwi raju... Weszłam na ten ugór święty. Bujne, aż czarne trawy, okryte rosą, ślicznie czerwone kwiaty koniczyzny, maków... Deptałam je nogami za

każdym poruszeniem. Mogił już nie znać. Ani jednej! Tu i ówdzie grunt się zakłwał. Przyszło mi do serca uczucie, że w takich dołach muszą leżeć ludzie nieszczęśliwi. W pewnym miejscu runął na ziemię wielki krzyż drewniany, w próchno się rozsywał i krwawy ślad w postaci krzyża leży tam w bujnych, soczystych trawach, jakby płonąca żagwią wypalony.

Mogily rodziców nie były wcale niczym oznaczone. Nie wiem, gdzie są. Szukałam ich z początku wzrokiem, później cały cmentarz obesłam. Ani śladu!

Szukałam tego krzewu, który mi wówczas został w pamięci, gdy obok niego mamę złożono. Daremnie.

Rozłożyste kępy jasnej brzeziny, którą mój ojciec tak lubił, utworzyły całe gąszcze i smugi. Może u jego wezglowia się pienia nadobne i woniejące...

Śpią tu pospołu wszyscy, rolnik przy rolniku, którzy tę ziemię orali, sami dzisiaj kwiatami jak łąka zasiani. Cisi – osiedli dziedzicznie tę ziemię cmentarną.

Wysoko i nisko śpiewały ptaszyny. Kiedy niekiedy ciepły wiatr niósł tu na skrzydłach swoich odgłos szelestny młodego zboża, rozchylał gałęzie krzewów i cicho przechodził po trawach nie tkniętych nogą niczyją, jakoby anioł – odzwiercyn, świętej ciszy troskliwie pilnujący. Pod przejrzystymi jego stopami ugięło się ziele. Wysmukła akacja, której pniak strzelisty i ścigłe, czarne gałęzie zdają się lecieć ku niebu, szumiała z trwogą i ze wszystkich drzew najwyraźniej, kołysząc się pod jasnych słońcem przezroczystymi listkami. Zdawało mi się, że coś mówi to poświęcone drzewo, zdawało mi się, że usłyszę śpiewne jego wyrazy. Gdy się zasłuchać, wtedy wiadomym się staje, że ono tylko wzdycha wiecześnie.

Prosiłam się w głębi duszy mojej, czy spotkam kiedy...

7 czerwca. Jutro wyjeżdżam. Tak przynajmniej zdecydowałam. Nie mogę sobie dać rady! Zamiast ukojenia, którego doświadczyłam z początku, ciągnęłoby to za sobą irytację wewnętrzną albo jakie spory, czego nie chcę za skarby świata. Stosunek do chłopów, do służby, do ludzi zatrudnionych na folwarku! Może to są sobie śmieszne idealizacje miejskiej panny, bardzo wszystko być może, ale ja nie znoszę dziczy. Nie mogę w tym oddychać.

– Żebyś tak pomieszkała wśród tych łotrów... – mówi wujaszek – bo to tam u was łatwo gospodarować przy stoliku, z książeczką w ręce...

Otóż nie będę już mieszkała wśród „łotrów” i uciekam. To jest właśnie jedyny mój sukces, że mogę odejść, dokąd mi się chce i kiedy mi się podoba.

Taki stan emancypacji przeżywali chłopci mojego dziadka Józefa za czasów Księstwa Warszawskiego, kiedy zdjęto im z nóg kajdany, ale razem z butami⁵⁵. Ja

⁵⁵ mowa o dekrete grudniowym z 1807 r., kiedy to w Księstwie Warszawskim nadano chłopom wolność osobistą, nie dając im jednocześnie ziemi na własność

zdzęłam z nóg także kajdany razem z trzewikami, to jest fakt historyczny, ale też mogę chodzić swobodnie z miejsca na miejsce, jak chłopci owego czasu. Dokądże tedy idę jutro? Płacz ze szczęścia, serce moje... Do Głogów.

10 czerwca. Znowu Kielce, w hotelu. Już się kończy wyprawa, bo się kończą fundusze. *Wracam na Liban, do mojego domu...*⁵⁶ Już za mną zostały Głogi, Krawczyńska, Mękarzyce... Jestem zupełnie spokojna i zdrowa.

Trzeba tylko jeszcze po porządku wszystko, jak było, wyniszczyć. Z Mękarzyc uciekłam dziewiątego, chłopską furmanką, bardzo rano. W dniu poprzedzającym to zdarzenie zamówiłam sobie na wsi parę szkapiąt i wasąg, ładowany słomą. Zrobiłam ten „afront” wujostwu z umysłu, ale nie dlatego wcale, żeby im dokuczać, lecz żeby, nie będąc związaną ich grzecznością, robić ze sobą, co mi się podoba. Gdy pewnego razu bąknęłam w rozmowie, że chcę być w Głogach, wszyscy wytrzeszczyli na mnie oczy, jakbym ogłosiła światu coś obrażającego uczucia ludzkie.

– Po co?! – dał się słyszeć trójjedyny okrzyk. – Przecie tam mieszka obecnie Żyd, Lejbuś Korybut.

Cmentarz w Krawczykach – to jeszcze było zrozumiałe, ale myśl jazdy do Głogów, gdzie mieszka Korybut, traktowano jak rzecz wprost głupią, a z punktu widzenia folwarczno-stajenno-mękarzyckiego nawet niemożliwą, gdyż jakieś tam siwki cugowe... Tacia pytała mnie ze swym familijnym uśmiechem, co ja tam myślę robić.

– Zajedziesz – mówiła – do tych Głogów – no i cóż zrobisz? Gdzież wysiądziesz? Przecie we dworze mieszkają Żydy...

W istocie, gdybym zajechała końmi i bryczką z Mękarzyc, skupiłabym na sobie uwagę wszystkich. Toteż zdecydowałam się użyć podstępów. Gdy furmanka zaszła przed ganek, dopiero oświadczyłam, że jadę do Kielc, i to niezwłocznie. Za użycie takiego fortelu przeprosiłam jak tylko umiem najpiękniej, oddałam i przyjąłam pocałunki rodowe, których się używa w oznaczonej (bardzo wielkiej) proporcji zupełnie tak, a bez potrzeby, jak na przykład tytułów w listach... Odjechałam.

Za wsią, gdyśmy się zbliżali do szosy kieleckiej, zagadnęłam mojego woźnicę, co będzie chciał.

– Odwieziecie mnie – rzekłam – najprzód do Głogów, a dopiero później do miasta.

Chłop aż konie wstrzymał na drodze, tak się wziął namyślać. Mruczał coś o sianie, obroku, o dniu zmarnowanym, o czterech milach drogi, które trzeba nałożyć, aż wreszcie wypalił, że muszę mu dołożyć pięć rubli. Naturalnie, że się zgodziłam. Gdyby, głupi, zażądał był dziesięciu, a nadto okrywki i kuferka – także bym przystała.

⁵⁶ *Wracam na Liban...* – cytat z *Ojca zadżumionych* Juliusza Słowackiego

Zaraz skręciliśmy i przez pastwiska, omijając Stróżów, pociągnęliśmy w górę. Była może godzina szósta rano. Dzień był ciepły, umyślnie zesłany, tylko przymglony jasnymi i cienkimi włóknami nocnych tumanów, które jeszcze wysypiały się w nizinach podleśnych – niby sieci pajęczne. Ja sama zapadłam w jakąś obłudną martwość. Serce moje było czujne jak nigdy, ale rozpostarła się nad jego uniesieniem nasza górska i leśna cisza. Wóz mój wolno dosięgnął przełęcz i znalazł się w kolejach starej, trawą zarosłej drogi, zwanej „na górę”. Leszczyny i brzozy rozrosły się tam w las prawie. Chłopina podciął konie, minęliśmy wąwóz gliniasty pod szczytem – i oto daleko w dole ukazały się przed mymi oczyma – Głogi. Z łąk, z rzeki, ze stawu dźwigały się mgły znikające w wyżynie. Dom nasz białymi ścianami jaśniał w zieleni ogrodu i przeglądał się w głębi wody...

Młode szkapki, nie przyzwyczajone do dróg tamtejszych, nie mogły utrzymać wasaga. Orczyki były je po nogach, toteż pędziliśmy ze stromego zbocza góry co tchu, wskroś jałowców. Dopadliśmy strumienia. Tam dopiero konięta wydobyły swe małe łby z chomąt, które im wyprężone naszelniki wcisnęły aż za uszy. Woźnica stanął, a ja wysiadłam. Wskazałam mu drogę, którądy ma przejechać na drugą stronę Głogów, aż do szynku przy trakcie kieleckim.

– Przyjdę tam w południe – mówiłam.

Chłop patrzył spode łba, ale walizka moja zostająca na wozie dodała mu otuchy. Gdy wreszcie odjechał, poszłam ścieżką. Trawy nie były jeszcze skoszone. Otoczyły mnie kwiaty moje, zarośla. Szłam w szczęściu niby w jakim obłoku. Oto kwiaty, które poznaję nozdrzami, zanim ujrzę oczyma, wychylają się z łąki. „Jaskółki” blado-fioletowe, siostrzyczki moje rodzone, najdroższe moje. Nie zrywałam żadnej, tylko stawałam nad nimi, całując je spojrzeniem. One pytały mnie także, czemu odeszłam z tej krainy, dlaczego nie mieszkam we wsi rodzinnej... Ale oto przy mojej ścieżce na pastwisku ujrzałam coś nieznanego: duży krzak rokitnicy. Stał samotny...

– Nie znam cię... – rzekłam mu. Ale w tej samej chwili rozsunęło się przede mną wspomnienie... To on!

Do kuchni naszej w tym dniu, kiedy ja przyszedłam na świat, zabłąkał się biedny, wędrowny pies. Nikt nie wiedział, skąd jest i jak się zowie. Że w takim dniu przyszedł, dano mu jeść jak gościowi. Od tej chwili został przy dworze. Przezwa-no go „Rozbojem”. Był dobry, pocziwy i wierny. Lubila go mama, bracia i ja bardzo. Gdyśmy do domu na wakacje wracali, zawsze jego szczekanie słychać było pierwsze, z daleka. W chwili odjazdu patrzył nam w oczy z taką żałością...

Kiedy ja miałam lat czternaście, on już był tak stary, że się z miejsca nie ruszał. Osiwiał cały, ogłuchł i przestał szczekać. Leżał na słońcu i starczym, smutnym,

sennym wzrokiem spoglądał dokoła. Gdy było zbliżać się ku niemu, machał jeszcze ogonem, dźwigał łeb i uśmiechał się jak człowiek.

Pewnego dnia rano, o świcie, usłyszeliśmy, że skowyczy. Rzuciłam się do okna i ujrzałam na pastwisku strzelca Gązwę. O kilkanaście kroków od niego szarpał się „Rozbój”, przywiązany do kamienia. Blask fuzji, błękitny dymek... Później huk. „Rozbój” szczeknął raz, drugi...

Gdyśmy z Wackiem, z Henrysiem, jęcząc, przypadli, już Gązwy nie było, a on leżał zabity. Przednia łapa jeszcze drgnęła. W moich rękach ostygła.

Tuśmy dół wykopali i na grobie starego psiska posadziliśmy gałąź rokitnicy.

To on jest. W tych prętach krew jego ciepła... Zbliżyłam się i dotknęłam go ręką. Cały w białą rosę nalistnicę jak w albe⁵⁷ obleczony. Może pniak czarnego drzewa wyda radosne szczekanie, może martwe liście się porusza. Nic. Tylko zimne, milczące, rzęsiste krople spadły na moje ręce.

Przyszłam łąkami do źródła. Stara grusza pod urwiskiem i stok w głębi zupełnie te same zostały. Nawet głązy, po których się dochodzi...

Tak samo ze źródłu wyskakują kłęby i banie wodne, zakwitając na wierzchu niby róże wieczne, latem i zimą żywe. Siadłam przy źródle i straciłam świat z oczu.

Ptaki śpiewały w gęstwinach, wśród których lśnią się strugi płynące kilkoma łożyskami ze stoku. W pobliżu przecina je droga piaszczysta.

Nad źródłiskiem czerwieniła się obfitość centurii, którą zrywałyśmy w tym miejscu z mamą nieboszczką. Odwar tego ziele pomagał jej na ból głowy. Ściągnęłam rękę i machinalnie zerwałam kilka tych kwiatów opornych, ale natychmiast, jakby kara za śmierć ich przeszyla mnie straszna świadomość. Uczułam w ustach smak goryczy centurii i krople jej płynące do serca.

Odeszłam stamtąd. Przede mną była grobla prowadząca do dworu. Wszystko inne, inne... Nowe gaje drzew wyrosły. Tylko iskry palące się na falach stawu i na śliskich łodygach sitowia, tylko zapach tataraku i wilgotna woń rokit – ta sama. Białe-żółte lilie wodne ze swych szerokich liści uśmiechały się do mnie i sączyły w serce wino radości.

Spostrzegłam, że wielkie olchy nad wodą zostały ścięte i że św. Jana już nie ma. Upust, widać, powódź zniosła, bo zastąpiono go służą, z której płynie nadmiar wody. Teraz nie sączy się wcale, toteż uderzył mnie brak melodyjnego szumu, który trwał tak długo jak moje szczęście w dzieciństwie...

I już tego wszystkiego nie ma, jak wody, która wtedy płynęła, już tego nie znaleźć, jak kropel, co uciekły i w morzu utonęły.

⁵⁷ alba – biała szata liturgiczna

Stary, czarny młyn za groblą tak samo tonął w zieleni. Modrzew nad drogą rozrósł się jeszcze bardziej. Dwie iwy obok czworaków spróchniały już zupełnie i tylko para łodyg zielonych wyrasta z ich pniów umierających.

Stałam wobec domu naszego.

Jakież zniszczenie! Płoty, klomby, dróżki – wszystko skasowane bez śladu. Nawet dzikie wino przy ganku wydarte, ganek sam rozwalony, ściany odrapane, okna zabite.

Weszłam do sieni, uchyliłam drzwi dużego pokoju, w którym umarli moi obydwój rodzice. Było tam pełno gratów żydowskich. W tym kącie stoi łóżko z mnóstwem pierzyn.

Uciekałam co prędzej.

Nikt z dorosłych nie widział mnie zrazu, tylko mały Żydek, pewno sześciolatek, skądś wylazł i zabiegał mi drogę. Gdy stałam na podwórzu, obkoczyło mnie z dziesięć osób. Szli ze mną, dopytywali się, com za jedna, czego żądam. Coś im mówiłam. Jeden stary Żyd dreptał tuż przy mnie, badając słowem i wzrokiem. Minęłam dziedziniec, lipy i skierowałam się ku Bukowej. Ów stary Żyd w atlasowym chałacie szedł i coś gadał bez przerwy. Nie mogłam mówić. Włókłam się... Nareszcie został. Śledził każdy mój krok z oddali, a zza krzaków wyglądały jego dzieci.

Dusza moja była owiana mrokiem, serce zastygło i nie mogło wydać ze siebie ani jednego uczucia. Tylko myśl sroga, bolesna i mściwa, jak błyskawica oświećlała to miejsce. Miejsce zostało to samo. Wszystko przeminęło w czasie, odpłynęło z wodą. Grunt obojętny został sam jeden i jak przed wiekami zielenił się do końca. Nic tu nie ocalało po moim ojcu, po mojej matce, po mnie i braciach. Obszar, przesiąknięty pracą, myślami i uczuciami nas wszystkich, wziął inny człowiek.

W tym miejscu, gdzie ostatni jęk wydali oni, które jest dla mnie świętym świętych – szwargocą cudzy ludzie. Drzewa, co żyły w ciągu lat tęsknoty w duszy mojej jak święte, tajemnicze symbole spraw zakrytych przed śmiertelnymi oczyma, koleje dróg wyżłobione w żółtym piasku, co jak złote liny ciągnęły mnie do tego kraju pośród łez i mroku nocy zimowych, łąki moje i błysk wody w zakrętach rzecznych między olszyną – wszystko dziedziczny przychodzień!

Dla niego te wszystkie skarby duszy mojej są tylko przedmiotami lichego zarobku.

I on tak samo jak my przeminie i zstąpi ze swoim handlarskim mózgiem w tę ziemię, która wszystko pożera. Ujrzałam wtedy jej prawdziwe oblicze! Jej uśmiech do wiecznego słońca, w którym było jakby drwiące natrząsanie się z miłości mojej dla niej, jakby cyniczna spowiedź, że ona mnie nigdy nie widziała, że nie wie wcale, kto jestem! Ona nie taka jest, jaką kochałam.

Na miłość serca ludzkiego nie odpowiada. A gdy ku niej z całej mocy dusza się wydiera, ona odśłania w błysku sennym jakiś cel zaziemski, którego niczym, co jest w mocy człowieka, nie można osiągnąć.

Obok wąwozu, w tym cichym kąciku między polami, nagle stanęłam. Zwróciła mię moc, której w sobie nie znam.

Byłam tak blisko moich rodziców, że prawie słyszałam ich osoby, mogłabym dotknąć ich rękoma. Zdało mi się, że są za mną, że jeśli odwrócę się i wejdę w bramę folwarku, to ich zobaczę pod lipami. Łaski takiej bliskości nie miałam nawet w Krawczyskach.

Było cicho. Złuda trwała przez małą chwilę.

Po niej dopiero objęłam piersiami straszną egzekucję, którą śmierć spełnia.

Gdzie oni są? W co się obrócili? Dokąd odeszli z tego miejsca? Całe moje ciało trzęsło się aż do głębi serca.

Rozsypywałam się w proch przed śmiercią, z błaganiem, ażebym była godna posiąść tajemnicę.

Gdzie jest mój ojciec, gdzie jest matka, gdzie Wacław?...

Wtędym usłyszała w sobie znowu te słowa, jak wówczas, w drodze do Mękarzyc.

„Takowyż przypadek schodzi na ludzi, jako i na zwierzęta, gdyż jako zwierzę tak i człowiek umiera i jednakowego ducha mają wszyscy, a nie ma nic w człowieku przed bydlęciem, bo wszystko jest próżność”.

I jeszcze dalej, jak niewysłowioną boleść, struchlałymi ustami szeptałam do siebie wiersze Mędrca Pańskiego:

„Któż wie, czy duch człowieczy idzie w górę, a duch zwierzęcy zstępuje na dół, pod ziemię. Wszystko idzie na jedno miejsce, a wszystko jest z prochu”.

Bez sił, w głuchej rozpaczyci dowlokłam się w zarośla na wzgórzu. Weszłam między brzozy i, nic nie widząc ani słysząc, błąkałam się. Nie przypominę sobie, kiedy, i nie wiem, w którym miejscu, upadłam na ziemię. Zeszła na mnie żądza śmierci. Tylko ją jedną czułam i ona była ostatnim tętnem mojego serca.

Tak trwało długo...

Ale wtedy z cmentarza w Krawczyskach moja matka przyszła do mnie z głębi ziemi. Wskroś iłu, piasku, opoki przedarła się ziemia. Nie leżałam już na martwym ugorze. Uczułam się na łonie matki mojej, w którym jej serce uderzało.

Szły we mnie głębokie, zimne, ciche wzruszenia. Słowa moje próżno by chciały wyrazić to, co się odbyło. Śmierć złąkla się i odeszła, ustał płacz i żal.

O, jasne kwiaty mojej doliny...

TOM II

POCZCIWE PROWINCJONALNE IDEE

Doktor Judym nie mało miał pracy w czasie sezonu. Zrywał się rano, tym skwapliwiej, że już przed godziną szóstą jego izdebka pod blaszanym dachem, dokąd w czerwcu ze wspianiałych saloonów wyniesiono jego „lary i piernaty”¹ – wprost tliła się od żaru. Notował na stacji meteorologicznej, zwiedzał izby, gdzie kąpielowi stosowali „zabiegi” hydropatyczne, badał porządek w łazienkach, u źródeł, a przed ósmą był w swoim szpitalu.



Praca Judyma
w Cisach.

O dziesiątej siadał w gabinecie i przyjmował pewną kategorię chorych (przeważnie młodych zdechłaków) aż do godziny pierwszej. Po obiedzie zajmował się bawieniem dam, uczestniczył w organizowaniu teatrów amatorskich, spacerów, przeróżnych rekordów, wyścigów pieszych itd. Zabawki tego rodzaju musiał traktować jako pracę swą obowiązkową, czy do nich miał chęć, czy nie.

Pochłonoło go to jak nowy żywioł.

Otaczały go roje kobiet młodych, zdenerwowanych, rozpróżnionych, żądnych tzw. wrażeń. Judym przedzierzgnął się, sam nie wiedział kiedy, w młodego franta, odzianego modnie i paplającego wesołe komunały. To zabawne, ciekawe, miłe a deprawujące życie małej stacji klimatycznej, gdzie w ciągu kilku miesięcy gromadzi się i skupia w jedną jakby rodzinę ze wszystkich końców kraju i ze wszelkich sfer towarzyskich ludność chwilowa – oszołomiło go zupełnie. Ni z tego, ni z owego bawił się towarzysko z bogатыmi damami i wchodził, nie dość że jako świadek, ale jako arbiter w najsekretniejsze ich tajemnice. Był poszukiwany, a nawet wzajem wydzierany sobie przez „koterię” – a nieraz ze śmiechem wewnętrznym decydował o czymś, co sam zwał tonem i smakiem.



Judym prowadzi nader barwne życie towarzyskie w Cisach: jest obiektem adoracji wielu kobiet, sam chętnie poszukuje rozrywek, przechodzi chwilową metamorfozę w dandysa i bawidamka.

¹ „lary i piernaty” – w starożytnym Rzymie lary i penaty były bóstwami opiekuńczymi, tutaj: na zasadzie igraszki słownej

Czasami, gdy do siebie wracał późno w nocy z jakiejś pysznej uciechy, zastanawiał się nad pięknnością życia, nad tymi nowymi jego formami, które poznawał. Zdawało mu się, gdy o tym świecie cisowskim myślał, że czyta romans z końca zeszłego wieku, pełen somatyzmu², gdzie widać życie godne zniszczenia, które wszakże posiada jakiś taki urok... Siła zmysłów, umyślnie w piękne formy skryta, staje się czymś nie znanym dla ordynarnej, zwyczajnej natury. Były chwile, że wprost zachwycał się wymową dyskretnego milczenia, symboliką kwiatów, barw, muzyki, słów ciągle bojących się czegoś...

Na balach i reunionach³ bywał czasami i „pałac”. Wówczas berło królowej przechodziło do rąk panny Natalii. Gdy ukazywała się w jasnej sukni, była tak oślepiąco piękna, że wszystko, co żyło, na śmierć się w niej kochało. Ona prze-czuwała zapewne ten szal masowy, który wśród mężczyzn szerzyły jej królewskie oczy, ale nie raczyła go widzieć. Była zawsze zimna, obojętna, jakby wyrwana z tego życia. Czasami bawiła się z większą ochotą, uśmiechała powabnie, ale zaraz później, gdy tylko dostrzegła, że ten lub ów chce z chwilowego jej usposobienia wyciągnąć wniosek na swoją korzyść, sprowadzała go na padół jednym spojrzeniem i jednym uśmiechem innego rodzaju.

Było tak i z Judymem.

Rozzuchwalony powodzeniem u dam dr Tomasz zbliżał się śmiało do panny Natalii. W trakcie jednego z reunionów wybrała go kilkakrotnie, wesoło się z nim bawiła, sama wspomniała o Paryżu i wycieczce wersalskiej. Judymowi zakręciło się w głowie. Wzburzony tym wszystkim, w jakimś obłędzie śmiałości zdecydował się wykonać istny zamach i w następnym kontredansie począł mówić o Karbowskim, którego od paru tygodni nie było w Cisach. Panna Orszeńska zgadzała się, gdy mówił, że ten Karbowski nie wydaje mu się być człowiekiem sympatycznym, witała jego słowa za pomocą krótkich skinień głową i dyskretnych okrzyków. Flirt wesoły trwał w dalszym ciągu. Tylko gdy później doktor zbliżył się jeszcze i, zachęcony sukcesem, chciał rzecz ciągnąć dalej już nie o Karbowskim, lecz o sobie, struchlał, urzawszy w jej oczach taki blask ponurej dumy, jakiego jeszcze nie widział w życiu. Zdawało mu się, że ten wzrok hetmański, ubliżający mu bez wzruszenia, z głębi przymkniętych powiek wbija się w niego i szarpie na sztuki, rozdziera na strzępy, podobnie jak pazury orlicy ćwiartują żywą zdobycz. Słowa, które chciał powiedzieć, zwinęły się i niby garść pakułu utkwily w gardle.

Blady, ze ściśniętymi zębami, siedział jak przykuty na łańcuchu, nie będąc w stanie ani odejść, ani pozostać.

² somatyzm – cielesność

³ reunion (z fr.) – spotkanie towarzyskie

Wszystkie te okoliczności stawały doktorowi na przeszkodzie w zajęciu się sprawami szpitalnymi. Były w nim tego lata jak gdyby dwa prądy ścigające się wzajem. Im bardziej jeden z nich pomykał naprzód i zabiegał drogę, tym mocniej natężały się siły drugiego. Doktor czuł w sobie ciągłą przeszkodę w staraniu około chorych i zwalczał ją za pomocą silnej pracy, ale skoro tylko zetknął się ze światem zabaw, ulegał mu z tym większą bezwładnością, im namiętniej pracował w szpitalu. Było mu wszakże z tym wszystkim bardzo dobrze na świecie. Żył bez przerwy i nie miał wcale wyobrażenia, co to jest refleksja, nuda, zniechęcenie.

Szpital powstał właściwie dopiero przy nim. Budynek stał od lat kilku, dźwignięty przez „idealistę” Niewadzkiego, ale po jego śmierci traktowany był rozmaicie. W razie potrzeby administrator majątku składał w salkach szpitalnych buraki, rozsypane klepki kuf z gorzelnii, zepsute części młocarni itd. Kiedy indziej lokaje, rządca, ekonom, kasjer i inni funkcjonariusze pożyczali dla swych gości łóżek, a naczynia i utensylia⁴ rozkradziono ze słowiańską starannością. Nieraz leżała tam jakaś bezdomna położnica, nad którą ktoś się wziął i zlitował – jakiś parobek folwarczny chory na kolki albo jakie dziecko z ospą...

Opiekę nad szpitalikiem sprawował dr Węglichowski. Kłamałby, kto by twierdził, że dyrektor zgadzał się na składanie w szpitalu kup żelastwa, owszem, wyznać trzeba, że czasami śmiał się z tego do rozpuku, ale nie można również utrzymywać, żeby się zajmował chorymi. Gdy ktoś był bardzo kiepski, a złożono go w szpitaliku dla „umieszczenia zarazy”, dr Węglichowski czasem przyszedł i skrobnął receptę. Zwykle nawet pomagało jego lekarstwo.

Częstokroć wynajdywał jakieś cherlactwo proboszcz, panny albo sama babka dziedzicka. Wówczas pakowano takiego szczęśliwca do szpitala. Jeżeli to był pupil księdza, to z plebani przynoszono mu talerz rosółu albo jaką nogę kury gotowanej w potrawce. Jeżeli protegowany miał za opiekunki panny ze dworu – zjadał najpyszniejsze ochłapy z półmisków, częstokroć ze szkodą dla zdrowia.

W ogóle ten domek szpitalny stojący w odosobnieniu, a wśród budynków folwarcznych, służących do wytwarzania zysku sposobami wiadomymi, reprezentował na skromną skalę los szlachetnej idei wśród świata materialnego. Stał smutny, opuszczony, bezradny, nieśmiały, jakby z założonymi rękami. Dr Tomasz ulegał głębokiej, a nie dającej się stłumić pasji, ilekroć zbliżał się do tego domostwa. Kiedy myślał o człowieku, który je postawił w pewnym celu, który przemyślał długo, jak to należy zbudować, i gdy z tym wszystkim zestawiał rezultat przedsięwzięcia, czuł taką wściekłość, jakby go tamten nieznanym zmarły biczował słowami pogardy. I nie tylko to jedno.



Judyń rozpoczyna swoją działalność społecznikowską; zakłada w Cisach szpital dla ubogich.

⁴ utensylia – przedmioty potrzebne do wykonania jakiejś czynności, narzędzia

Skoro urządził sobie z pierwszej widnej salki gabinet przyjąć, od razu zwałała mu się na kark lawina Żydów, dziadów, obieżyświatów, biedaków, suchotników, rakowatych – wszystka, słowem, płacząca krwawymi łzami bieda polskiego cuchnącego miasteczka i nie inaczej cuchnących wiosek. Doktor rozsegregował ten materiał i zabrał się do niego. Jednych musiał przyjąć do szpitala na czas pewien, trzeba więc było uporządkować sam szpital. Do tego wziął się *par force*⁵.

Odszukał przez płatnych agentów każde z wywleczonych łóżek i odebrał je w sposób najbardziej nieubłagany. Historia zdobywania nowych sienników, kołder, poduszek, prześcieradeł – mogłaby zająć tom *in folio*⁶. Na kupno dwu wanien i urządzeń do ogrzewania wody grały teatr amatorski najpiękniejsze i najbardziej dystygowane kuracjuszeki. Każdy sprzęt do gabinetu, apteki, kuchni itd. młody eskulap zdobywał na ludziach. Tu wycygał sześć talerzy, tam wyflirtował noże, widelce, łyżki; tę zmusił do kupienia szklanek, z kim innym wygrał zakład o sztukę perkalu na bieliznę szpitalną. Stara pani dziedziczka interesowała się zabiegami młodego doktora, nawet miała dla niego łzy w oczach i podziękowania „w imieniu nieboszczyka”, ale sama była pod tak silnym wpływem plenipotent⁷, który nie cierpiał tych fanaberii rozgrymaszających parobków, że od siebie nic wielkiego uczynić nie mogła.

Bądź co bądź na jej zlecenie otoczono terytorium szpitalne nowym, silnym parkanem i wydano rozkaz ogrodnikowi, ażeby starannie utrzymywał sad dookoła budynku. To była pierwsza ważna zdobycz, gdyż od tej chwili panem owego *templum*⁸ okolanego parkanami stał się Judym. Nikt tam już ze służby i rozmaitych przychodniów nie miał prawa nie tylko nic wynieść, ale nawet postawić kroku. Drzwi kute były szczelnie zamknięte i uzbrojone w dzwonek...

Drugą ważną zdobyczą była pani Wajzmanowa. Osoba ta była wdową po jakimś „mężu nieboszczyku”, który posiadał „pewien kapitalik”, wszakże w tym czasie pozbawioną jakiegokolwiek funduszu. Pani Wajzmanowa przyjęła miejsce dozorczyń szpitala z pensją 400 rubli (którą, rzecz prosta, z „cichej kasy” pod najtajemniejszym sekretem wypłacał z pedantyczną regularnością za pośrednictwem Judyma M. Les) – z mieszkaniem, światłem, opałem, co wszystko znowu wzięło na siebie dominium.

Trzecim faktem fundamentalnego znaczenia było zaopatrzenie chorych kurujących się – w żywność. Tu Judym postępował jak Makiawel⁹. Działał na

⁵ *par force* (fr.) – z użyciem siły

⁶ *in folio* (łac.) – największy format drukarski

⁷ plenipotent – pełnomocnik, osoba upoważniona do działania w imieniu innej osoby

⁸ *templum* (łac.) – świątynia

⁹ Makiawel – właśc. Niccolo Machiavelli, historyk i pisarz włoski

plenipotentą-materialistę za pomocą nastawionych kuracjuszek, dopuszczał się względem niego niskiego pochlebstwa, kusił go obietnicami, wreszcie wydał go w ręce trzech panien z pałacu i uzyskał swoje. Plenipotent zgodził się dostarczać szpitalowi jak rok długi określoną ilość kartofli, mąki, kaszy, mleka, masła, warzyw, owoców etc. i podpisał własnoręcznie cyrograf chytrze ułożony przez Judyma. Zakład leczniczy nie był w stanie odmówić swej pomocy, w pewnej zresztą mierze. Wreszcie proboszcz, dostawca mięsa do zakładu i dworu, bogatsi łyckowicze z miasteczka, zniewoleni przez proboszcza i doktora, obowiązywali się dawać szpitalowi potrzebne materiały spożywcze w naturze.

Tak tedy już w połowie lata szpital był ożywiony i pełen zdechactwa. Kaszlano tam, stękano, sapano – aż się doktorskie serce radowało. W ogródku wygrzewały się na słońcu stare, uschnięte babska, zgniłe dzieci dygocące w potach malarii, rozmaite „głupie” Żydki i wszelkie inne ptaki niebieskie, co ani sieją, ani orzą... Nie było tygodnia, żeby doktor nie pisał operacji. Wycinał kaszaki, bolączki, wiercił, przekłuwał, ekstyrpował, urzywał, przylepiał itd. Co było w tym wszystkim istotnie złego, to brak pomocy felczerskiej i przechodzące wszelkie granice ubóstwo narzędzi oraz środków opatrunkowych.

Pani Wajzmanowa nie znosiła widoku krwi (osobliwie chłopskiej i, *horribile dictu!* – żydowskiej), brzydziła się tałatajstwem i w ogóle gardziła motłochem. Doktor musiał ją na każdym kroku pilnować i przymuszać do tego, żeby się strzegła objawów wzdury dla chłopów.

Sfery „miarodajne” kierujące zakładem leczniczym przypatrywały się działalności młodego chirurga, jeśli można się tak wyrazić, spod oka. Nie można mówić, żeby ktokolwiek sprzeciwiał się albo nawet miał za złe Judymowi jego postępowanie, ale z drugiej strony nie można utrzymywać, żeby ktokolwiek podzielał jego w tej sprawie entuzjazm. Dr Węglichowski wszelkie zabiegi swego asystenta zdążającego do postawienia szpitala na stopie tak niebywalej traktował w sposób tak samo ironiczny, jak rozkradanie przez lokajów łóżek szpitalnych. Jeżeli Judym domagał się pomocy czynnej w materiałach, dr Węglichowski zgadzał się, postępując i wydzielając ilości, rozumie się, do najwyższego stopnia zmniejszone. Gdy szpitalik był naładowany, dyrektor doświadczał niesmaku, choć tego nie dał poznać nikomu ani uczuć Judymowi. Ale żarty z zapalczywości „ordynatora” brzmiały wówczas w ustach dr „Węglicha” w sposób pobłażliwy, może cokolwiek zanedo przesadnie. Od czasu do czasu stary medyk zachodził do szpitala i po dawnemu tam rządził. Wkraczał do izb w kapeluszu na głowie, z cygarem w ustach, mówił głośno, zadawał pytania, zżymał się, łajał panią Wajzmanową, pokrzykiwał na chorych, i zbadawszy przełomie tego i owego, kreślił szerokim pismem recepty albo radził Judymowi, żeby temu dać to, innemu tamto...

„Ordynator” słuchał tych rozkazów z najzupełniejszym posłuszeństwem i każde zlecenie wykonywał w sposób nieodwołalny. Chodziło mu o uzyskanie dra Węglińskiego dla idei szpitala, o wciągnięcie go do pracy, toteż puszczał mimo uszu żarty i przepisy, na które się nie godził. Jeżeli nawet dyrektor kazał kogoś znanego sobie, jakiegoś „ptaszka”, wydalić bez pardonu z granic szpitala, Judym i wtedy zmuszał się do uległości. Taki stan rzeczy trwał do końca sierpnia.

W ostatnich dniach tego miesiąca liczba gości zaczęła się zmniejszać. Bryki, powozy i omnibusy zakładowe wywoziły codziennie jakieś towarzystwo, a przynajmniej jakąś rodzinę. Dr Judym rujnował się na bukiety pożegnalne, w których nad innym kwieciami przeważały niezapominajki. Stanął już w głębi parku pierwszy chłód ranny, siał wieczorami na murawach zimną, białą rosę, a w szczyty drzew wplótł tu i ówdzie żółty liść, jakby pierwszy siwy włos w czuprynę dojrzałego mężczyzny.

Cichy smutek ogarnął rozbawione kółka. Teraz właśnie wydobywały się na jaw sympatie ukrywane starannie. Nad osobami, które wtedy dopiero miały sobie mnóstwo słów do powiedzenia, zawisł złośliwy dzień wyjazdu.

Serce Judyma zostało nie tknięte, a przemijające „wrażenia” były dlań czymś w rodzaju deszczu, który rozkwasza ziemię i czyni ją niby to do niczego nie zdolną, a właściwie udziela jej wtedy władzy stwarzania.

Przelotne smutki szybko uschły, dusza Judyma stężała i pchnęła go do roboty zdwojonej.

W pierwszych dniach września, kiedy przyszły słoty, w czworakach folwarcznych zapadło mnóstwo dzieci na tak zwaną frybrę.

Czworaki owe mieściły się za dużym i wilgotnym parkiem, który jak płaszcz ogromny spływał po pochyłości wzgórza od szczytu dworskiego aż do rzeki płynącej w łąkach. Tam były owczarnie, obory i mieszkania służby folwarcznej. Plenipotent majątku, człowiek nadzwyczaj energiczny i świetny agronom, z rzeczutki bezpożytecznie płynącej skorzystał w ten sposób, że na skraju parku, w trzęsawisku podmytym przez tajemne źródła, wybrał kilka sadzawek idących jedna za drugą. Woda przez właściwie urządzone „mnichy” spadała z jednej do drugiej. Sadzawki te wykopane były w torfiastym gruncie. Il, porzucony na brzegach i groblach, macerował się w słońcu i we właściwym czasie służył do użyźniania roli. Woda odpływająca stamtąd łączyła się podłużnym basenem ze stawami, które rozlewały się w parku zakładowym, co bardzo upiękşıło wieczne kwaśne pobraża. Miejsce i tak już mokre, przez wstrzymanie zbiorników martwej wody wyziewało ze siebie ciężki opar, którego słońce strawić nie mogło. Tam to właśnie (w czworakach i we wsi leżącej na drugim brzegu łąki) grasowała frybra. Dzieci przyprowadzone stamtąd do Judyma były wyschnięte, zielone, z wargami

tak sinymi, jakby je miały poczernione węglem, z oczyma, które nie patrzyły. Periodyczne ataki gorączki, ciągłe bóle głowy i owa jakby śmierć duszy w żywych jeszcze ciałach zmusiły Judyma po długim badaniu do smutnego rokowania, że ma przed sobą ofiary malarii. Wówczas wybrał się cichaczem na zwiedzanie miejscowości leżących w dole. Przekonał się, że wiele rodzin było dotkniętych tą klęską.



Naturalistyczny opis dzieci z czworaków chorujących na febrę.

Mieszkańcy wioski, autochtonowie, znosili ją, widać łatwiej, ale ludność folwarczna, wędrowna, przybywająca z innych okolic, padała ofiarą w bardzo wielkiej ilości. Judym brał do szpitala tylko dzieci bardzo chore, leczył je chininą i trzymał na słońcu w ogrodzie, zapędzając do różnych robót, a po trosze i do nauki. Ale nie mógł zabrać ani czwartej części. Ci zaś, co „na górze”, w cieple doświadczili poprawy, musieli wracać do swych mieszkań nad wodą.

Mieszkania owe, dawno wzniesione, były stosunkowo bardzo porządne, murowane z cegły, tak samo jak owczarnie, stodoły, spichlerze itd. Nie mogło być mowy o umieszczeniu tych rodzin w innym miejscu, gdyż to pociągnęłoby szalone koszty. Tam koncentrowało się życie folwarku.

Kiedy pierwszy raz Judym zapytał mimochodem plenipotentą, czy nie dałoby się przenieść czworaków na miejsce bardziej suche, ten zaczął mu się przypatrywać z uwagą, a w taki sposób, jakby doktor ni z tego, ni z owego w towarzystwie osób starszych i godnych szacunku zatańczył kankana albo wywrócił koziołka. Judym nie stracił przytomności i nie spuścił oczu. Cekał jeszcze chwilę, czy mu wszechwładny agronom nie odpowie, a gdy się niczego nie doczekał, rzekł z całą delikatnością:

– Tam, w tych czworakach panuje malaria. Przyczyniają się do tego w znacznej mierze... przyczyniają się do tego... zaprowadzone sadzawki.

Plenipotentowi lica i oczy krwią zabiegły. Sadzawki były to jego ulubienice. Sam je wymyślił, zarybił i osiągnął z nich dla majątku znaczny dochód. Ryby w ciągu całego roku szły na sprzedaż i do kuchni zakładu leczniczego, czyniąc już dużą pozycję, a na przyszłość cała sprawa, prowadzona umiejętnie, miała stać jeszcze lepiej. Prócz tego łód, szlam itd.

Toteż wielkorządca i teraz nic nie rzekł, tylko błysnął oczami, a później przeszedł na inny temat w sposób zabójczo grzeczny.

Taki wstęp nie zwiastował zgody ani jakiegokolwiek kompromisu, Trzeba było wywierać nacisk. Do pani dziedziczki w kwestii tak czysto folwarcznej droga prowadziła jedynie *via*¹⁰ plenipotent. Panny załamywały białe dłonie, ale nic poradzić nie mogły.

Jesień nadchodziła.

¹⁰ *via* (łac.) – droga; tu: przez

Po dżdżystych nocach stało nad łąkami i dolnym parkiem jakby błoto w przestworze. Gdy nim kto długo oddychał, czuwał ból głowy i jakiś pulsujący szelest w żyłach. Wtedy również Judym zauważył, że i w zakładzie około stawów było powietrze jeżeli nie takie samo, to bardzo siostrzane. Liście zlatujące z olbrzymich grabów i wierzb sypały się w stojące baseny wody i tam w niej gniły. Na powierzchni stawów pieniała się masa wodorostów, które gdy było wyrwać i rzucić na brzegu, szerzyły woń cuchnącą. Kuracjusze przybywający do Cisów dla pozbycia się malarii nie tracili jej, a były nawet dwa wypadki febry zdobytej. Kiedy Judym zakomunikował te swoje obserwacje doktorowi Węglichowskiemu, ten zmierzył go takim samym wzrokiem jak plenipotent i żartobliwym, a jednak cierpką esencją zaprawionym tonem oświadczył, że to nie jest wcale ani febra, ani tym mniej – malaria.

– Główna rzecz – dodał – nie należy o tym wcale mówić...

Cmoknął go przy tym w czoło i uderzył bratnią, przyjacielską dłonią po ramieniu. Judym zdziwił się, ale... nie mówił nikomu.

We wrześniu izby szpitalne pełne były dzieci większych i mniejszych. Ociężałe, mrukowate, senne istoty siedziały i leżały, gdzie się dało. W izbach panował zaduch i jakaś nieopisana nuda. Zdawało się, że tu spędzono pijaną szkołę, która za nic na świecie nigdy się niczego nie wyuczy. Dzieci te wlepiały we wszystko ślepie bez żadnego wyrazu, bez chęci nawet do jadła. Jeżeli które z nich wypędzono za drzwi, lazło bezmyślnie przed siebie, wtulając głowę w ramiona.

Gdy trafiło się wolne miejsce, wnet je ktoś zajmował i przymykał oczy nie po to, żeby spać, tylko żeby na świat nie patrzeć, żeby wciągnąć się w siebie jak ślimak w skorupę i doznać ciepłej ulgi. Zwiędłe kadłuby dziewczyn, na których twarzach malował się ból głowy, pozawijane w chustki i zapaski siedziały nieruchomo na ziemi, gotowe trwać całe doby w tej samej pozycji, byleby tylko nie łązić po błocie i deszczu. Kiedy doktor wchodził, wszystkie oczy patrzyły na niego jakoby ten dzień jesienny. Czasami gdzieś, w głębi przewinął się uśmiech...

Ta sentymentalna gościnność dla podrostków nie chorych obłożnie, sprzeciwiająca się tak jaskrawo tradycjom szpitala, zaczęła ludzi irytować. Plenipotent wprost mówił, że zanosì się na demoralizację „w grubym stylu”, a nawet ze swej strony „za nic nie ręczył” i „umywał ręce”. W gruncie rzeczy Judym sam nie wiedział, co ma robić dalej. Chininę ekspensował jak mąkę, miał „rezultaty”, ale do czego to *summa summarum*¹¹ prowadzić miało – nie bardzo wiedział. Gdy chore dzieci przychodziły jak owce do owczarni, pozawalał im rozkładać się i siedzieć, a gdy je stamtąd „ojcowie”, naślani przez ekonomów i karbowych, wyciągali do roboty, waląc pięścią po karku, nie protestował, bo nie wiedział w imię czego.

¹¹ *summa summarum* (łac.) – w sumie, wszystko razem

Tak stały rzeczy, gdy pewnego dnia dr Judym otrzymał bilet od pani Niewadzkiej, w którym wyrażona była prośba, żeby się niezwłocznie pofatygował do pałacu. Skoro się tam udał, wprowadzono go do małej alkowcy, gdzie stara dama zwykle przebywała. Były tam obydwie wnuczki i kilka osób z rodziny dalszej, które zazwyczaj bawiły w Cisach przez sezon. Judym był już w tym pokoju kilka razy, ale zgromadzenie tylu osób odebrało mu pewność siebie. Pani Niewadzka wyciągnęła doń rękę i kazała usiąść obok siebie.

– Prosiłam cię, panie doktorze, na naradę.

– Służę z gotowością.

– Co do tych bębnow folwarcznych. Nie ma sposobu, prawda?

– Nie ma żadnego.

– Worszewicz ani słuchać podobno nie chce pańskich projektów przeniesienia Cisów na inne miejsce, na przykład w Góry Świętokrzyskie?

– Nie chce nawet paru czworaków posunąć wyżej na tutejszą, Cisowską górę, a cóż dopiero mówić o Górach Świętokrzyskich... – rzekł doktor w tym samym tonie.

– Hm... To źle! Bo tutaj Joasia proponowała inną kombinację.

– Panna Podborska?

– Tak, tak... Chciała oddać swój pokój w skrzydle na pomieszczenie malaryków, żeby od nich szpital uwolnić. Ona tam zresztą ma jakieś swoje mrzonki, na czym się nie znam. Ale że to jest przecie jasne jak płomyk i czułe jak powój, więc nie mogę temu nie ulegać. Samo chciało w pasażyku, uważasz, doktorze, obok stancyjki gospodyni... Otóż uradziłyśmy tu, żeby jej na urodziny, w listopadzie, zrobić siurpryz¹². Jest w lewej oficynie od południa stara piekarnia, całkiem dziś pusta. Tam jest izba ogromna, sucha i widna. Prosiłam pana Worszewicza, żeby kazał stamtąd wynieść wszelkie rupiecie, obelić ściany, wyrestaurować piec, opatrzyć okna... Może byś zgodził się, panie doktorze, tam te dzieci przetranslokować! Niechże się to w zimie tam grzeje i ratuje... To dla niej, dla panny Podborskiej... na wiazanie...

– Czyżbym się zgodził!... Ależ...

– A, no to chwała Bogu.

– Te dzieci kuracji nie potrzebują, tylko suchego mieszkania tu, na górze. Gdzież jest panna Joanna?

– Nie, nie, jej mówić nie trzeba! Dopiero w listopadzie otworzy się tę salę malaryjną i odda jej pontyfikalnie¹³. Uważasz? Ona tam będzie sobie z tymi brudasami radziła. To jej rzecz... Pod pańskim zresztą dozorem lekarskim...

– Ach, tak... – szepnął Judym.

Uczucie niesmaku, a nawet odrazy przewinięło się w mroku jego duszy.

¹² siurpryza (z fr.: *surprise*) – niespodzianka

¹³ pontyfikalnie – uroczyście

STARCY

Domek zajmowany przez dyrektora Cisów dra Węglichowskiego mieścił się na wzgórzu, z którego obejmowało się wzrokiem cały park i jego okolice. Dworek ten należał do M. Lesa. Kiedy dr Węglichowski zdecydował się przyjąć obowiązki dyrektora, M. Les zaczął niezwłocznie pod dozorem uproszonej kompetentnej osoby stawiać w Cisach „budę” dla siebie, w której, jak pisał, pragnął żywota dokonać. Była to willa drewniana, z zewnątrz niepokazna i dość ciasna. Miała jednak rozmaite zalety wewnętrzne: były tam alkowy, piwniczki i spiżarki, skrytki, strychy itd. tak pobudowane, że czyniły, z niej bezcenne gniazdo.

Kiedy dom był gotów, M. Les prosił Węglichowskiego listem gwałtownie różnojęzycznym o zamieszkanie w tej chałupie, a to w celu po prostu ustrzeżenia jej od złodzieja, ognia i wojny. Węglichowski odrzucił propozycję. Nie miał zamiaru korzystać z darowizny domu (gdyż taki był podstęp M. Lesa, zbyt prostacko skleiony, żeby się ktokolwiek na nim nie poznał). Wtedy Leszczykowski napisał list jeszcze bardziej nieortograficzny, w którym wymyślał po turecku „starym futurom¹”, którzy dach przyjaciela uważają za cudzy. „Nie ma już – pisał – dawnego koleżeństwa! Wszystkoście zamienili na pieniądze, a skoro tak, to płać, płać komorne, jak Żydowi albo Grekowi! Ponieważ jednak ja ani Żydem, ani Grekiem, ani żadnym hylem być nie myślę na stare lata, więc żądam, żebyście ten czynsz dzierżawny obracali na kształcenie jakiego osła z Cisów czy spod Cisów w pożytecznym kunszcie, w jakim koszykarstwie, tkactwie, co by później w okolicy rozwinął – czy ja tam wiem zresztą, w czym i jak? Głupi jestem przecie w tych sprawach, jak zresztą we wszystkim, co się nie tyczy bezpośrednio targów z Azjatami...”

To dr Węglichowski przyjął z ochotą. Czynsz dzierżawny oznaczono kolegialnie i wyptacono, według woli M. Lesa, najprzód ogrodniczкови, który się uczył w Warszawie, a później innemu chłopcu.

Szczególnie zadowolona z mieszkania była żona dra „Węglicha”, pani Laura. Była to osoba nadzwyczaj interesująca. Miała już pięćdziesiątkę z dużą górą, ale trzymała się wybornie. Siwe pasma włosów wymykające się spod czarnego ubrania głowy podczerniała tak starannie i systematycznie, że przybrały kolor szczególny, kolor zmulonego siana, które wyschło wprawdzie na słońcu, ale nie może się pozbyć odcienia czarnej, głębokiej zieleni. Policzki jej były zawsze rumiane, oczy żywe, a ruchy prędkie i gwałtowne po dawnemu, jak u osiemnastoletniej

¹ futur – kompan, kolega

dziewczyny. Pani Laura była to osoba małego wzrostu i szczupła. Od czasu zamieszkania w Cisach stopniowo zmieniała się na „gospodynię”, bardzo wiele czasu poświęcała „drelowaniu”, smażeniu, pieczeniu i gotowaniu. Nie można powiedzieć, żeby rondel świat jej zasłonił. Owszem, pani Laura lubiła patrzeć na życie szersze, i to okiem przenikliwym, co zresztą prowadziło nieraz do zbyt kategorycznego (między pieczenia a deserem) rozstrzygania zawitych kwestii. Życie jej obfitowało w szczegóły, które mogłyby zapełnić romans, a właściwie opis podróży. Młodość, pierwsze jej lata poślubne upłynęły za światem, w wertepach, w pracy ordynarnej, w ciężkich i twardych cierpieniach. Ów sposób życia ujął wrodzony temperament pani Laury w mocne kluby i urobił go w szczególną całość. Doktorowa na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie babiny gadatliwej, chętnie decydującej i chłodnej. Nie cierpiała wszelkiej „egzaltacji”, mazgajstwa, uczuć i tkliwości. Palnęła nieraz takie zdanie, że się aż kwaśno robiło. W gruncie rzeczy jednak czuła żywiej niż całe otoczenie. Były materie, które ją elektryzowały w mgnieniu oka. Wtedy robiła wrażenie nasrożonej kocicy. Mówiła w takich momentach krótko, węzłowato, jak dowódca wydający rozkazy swemu oddziałowi piechoty. W tej piechocie stał, rozumie się, na pierwszym miejscu dr Węglichowski. Czy siedział pod pantoflem, to jest wieczna tajemnica... W kwestiach szerokich, ogólnych, zasadniczych sprawiał wrażenie podkomendnego. Za to w interesach wszelkiego gatunku, wymagających przebiegłej kombinacji, był panem i rozkazodawcą.

U państwa Węglichowskich prawie co dzień gromadził się świątek cisawski. Listwa, Chobrzański, plenipotent Worszewicz, ksiądz, Judym, kilka osób z kuracjuszków i kuracjuszek dłużej w zakładzie przesiadujących. Latem, a szczególnie pod jesień grywano w winta na małej werandzie domu, ocienionej dzikim winem. Kiedy Judym przybył do Cisów, zastał już między stałymi bywalcami tych posiedzeń wintowych nie tylko przyjaźń, ale jakieś zrośnięcie się myślami, wyobrażeniami, całą masą upodobań i antypatii.

Niektóre osoby lubiły się tam wzajem a bezinteresownie. Pani Węglichowska lubiła tak Listwę, a on ją. Młody proboszcz wiecznie pokpiwał sobie z tych „amorów” w sposób dystyngowany, a Krzywosąd w sposób rymarski. Pani Laura wyśmiewała się nieraz ze starego kasjerzyny, a lubiła go i brała w obronę zarówno od udręczeń żony, Dyzia, jak całego świata. Za tę opiekę Listwa odwzajemniał się formalnym uwielbieniem, admiracją stałą i wykluczającą krytykę. Krzywosąd wsunął się między Węglichowskich, przywarł do nich i, poznawszy wszystkie ich zalety, błędy, dziwactwa, czynił, co trzeba, żeby zostać panem placu. Udało mu się to w zupełności. Dr Węglichowski miał w nim istotną prawą rękę. Krzywosąd wykonywał wszystko po myśli dyrektora, przewidywał na cztery tygodnie jego życzenia, ale w zamian rozszerzał krok za krokiem terytorium swojej władzy.

Pomimo rozumu, siły woli i tegości charakteru dr Węglichowski ulegał nieraz Krzywosądowi, ustępował mu, a nawet pokrywał jego czyny urokiem swego autorytetu. Ci dwaj ludzie dopełniali się i tworzyli jakąś całość władzy silnej i zgoła nierozzerwalnej. Plenipotent lubił towarzystwo tych osób i był lubiany. Dzień w dzień spierał się z Chobrzańskim, który go raził wszystkim, co robił i mówił, a mimo to przepadał za wszechstronnym administratorem. Całe to kółeczko stanowiło świat odrębny.

Byli to ludzie wypróbowanej, nieposzlakowanej uczciwości, ludzie, którzy w życiu owym straszną masę rzeczy widzieli, toteż uchodziło dla najbliższej okolicy za honor być na wincie u dyrektorstwa. Judym i proboszcz weszli do tego grona jak gdyby *ex officio*², z natury swego położenia towarzyskiego. Byli, rzecz prosta, dobrze przyjęci, ale nie mogli wejść w ścisłe pobratymstwo z tamtymi. Judym nigdy nie mógł osiągnąć tego, żeby znajdował posłuch, żeby mówił przekonywająco dla kogokolwiek.

Słuchano go z uwagą, odpierano jego zdania albo się na nie godzono, ale on czuł dobrze, że jest to tylko rozmowa. Między nim i grupą był jakiś płot nie do przebycia. Uderzało go zawsze patrzenie tamtych osób na teraźniejszość, a raczej modła traktowania, z której pomocą ujmowali każde zjawisko bieżące. Życie współczesne w Cisach stanowiło dla grupy dyrektorskiej jak gdyby tylko ramę wypadków ubiegłych. Wszystko, cokolwiek było i mogło być ważnego – leżało w przeszłości.

Ludzie, wypadki, kolizje, przejścia, radości i cierpienia z tych czasów dawnych miały jakąś moc aktualności, która przytłaczała rzeczy nowe. Wszystko co współczesne – było dla nich prawie niedostrzegalne, jakieś błahe, bez wartości i wpływu, a najczęściej śmieszne. Tymczasem Judym żył taką pełnią sił, tak rzucał się na teraźniejszą chwilę i porywał ją w swe ręce, że owe dawne rzeczy tylko go nudziły. Toteż w żaden sposób nie mógł znaleźć drogi do tych ludzi.

Czuł to na każdym kroku, że musi albo wziąć z ich rąk ster spraw Cisowskich, albo z nimi współdziałać w taki sposób, aby im się wydawało, że to oni robią. Już po upływie kilku miesięcy przekonał się, że tylko to drugie jest możliwe. Administrator i dyrektor byli tak silnie ze sobą złączeni i tak świadomie trzymali wszystko, że o pracowaniu pomimo nich mowy być nie mogło. Kiedy Krzywosąd po skończeniu sezonu sam, własnoręcznie reparaował rury prowadzące ogrzaną wodę do wanien, a Judym zrobił mu uwagę, że tak być nie powinno, że naprawianie rur – to rzecz specjalisty, gdyż w przeciwnym razie w ciągu sezonu wynikną awantury w kształcie pęknięcia tych szlachetnych naczyń, Krzywosąd odpowiedział mu kilkoma anegdotami i robił dalej swoje. Dyrektor, do którego

² *ex officio* (łac.) – oficjalnie, z urzędu

zwrócił się młody asystent z tą samą radą, uśmiechnął się i odrzekł grzecznie, że to jest terytorium administratora, który w swoim poświęceniu dla Cisów idzie aż za daleko, który oto własnymi rękoma pracuje, żeby zaoszczędzić grosza, który, krótko mówiąc, jest fenomenem. Zacytował mu nadto ze sześć przykładów nieposzlakowanej uczciwości Krzywosąda. Gdy Judym zastrzegł się, że on o szlachetności nie tylko nie wątpi, ale nawet nie mówi, rury zaś... – dyrektor powtórzył myśl swoją i urwał na niej rozmowę.

Taki proces powtórzył się z dziesięć razy, i to w najrozmaitszych okolicznościach. Wszystkie one wykazywały, że nie można w żaden żywy sposób wpływać na bieg spraw Cisowskich, jeśli się nie idzie ręką w rękę z administratorem. Wówczas młody lekarz umyślił współdziałać z Krzywosądem i tym sposobem go opanować. Zabrał się tedy w sezonie jesiennym, kiedy wszelkie rozrywki ustały, do prac przeróżnych. Układał w zastępstwie starca księgi kancelaryjne, które tamten mazał w sposób niemożliwy, wgłębiał jako ekspert w sprawy kuchni, ogrodu, folwarku, sadził drzewa, jeździł do miasta na sądy, budował, przerabiał, zajmował się wszelkiego rodzaju restauracjami mebli, spisywał kontrakty itd. Nie tylko Krzywosądowi, ale wszystkim podobała się ta gorliwość. Chętnie wyręczano się doktorem, który imał się każdej pracy. Były to dla niego środki, które uświęcał daleki cel: osuszenie Cisów, skasowanie sadzawek, stawów, basenów i cały na tym tle szereg chytrze przemyślanych reform. Od czasu do czasu nieznacznie, jak gdyby nigdy nic wysuwał łapę i badał sytuację, czy nie można by już ruszyć się w znanym kierunku... Ale za każdym razem musiał ją cofać i wracać do pospolitego wykonywania robót za Krzywosąda, za dyrektora...

Skoro tylko spostrzegano, że „młody” filozofuje, delikatnie usuwano go nawet od czynności, na które już zezwolono jak małemu, obiecującemu chłopczykowi, gdy był grzeczny. Judym nie zrażał się niczym. Robił ciągle z myślą, że nauczy się z czasem tych Cisów tak na pamięć, że je od a do z ogarnie pracą swoją i tym trybem posiedzie.

Z wolna, w głębi ducha pierwotna chęć do pracy zamieniała się na zgubną pasję. Cały zakład, park, okolica stawały się jego skrytą namiętnością, żyjącym, jak płód, wewnętrznym światem.

Jeżeli się zamyślił głęboko i chwycił na gorącym uczynku, o czym też myśli, to zawsze okazywało się, że coś knuje: nowe urządzenia, inne wanny, szpalery, ogrody dla dzieci, sale gimnastyczne, przytułki dla wyrobników zakładowych i inne, inne rzeczy – aż do białego słonia, aż do samego „muzeum Cisowskiego”. Nieraz w nocy, zbudziwszy się, łamał sobie głowę nad jakąś drobnostką, nad czymś, co nikogo nie interesowało, czekał niecierpliwie ranka i, wstawszy o świcie, coś sam robił, dźwigał, kopał, mierzył.

Pewne przedsięwzięcia niezbędne dlań w systemacie, w owym planie zmierzającym do higienizowania, wykonał sam całe, z prawdziwą furją. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego raptem zajmował się rzeczą postronną, nie związaną z życiem rokrocznym, z formułą zakładową. Uśmiechano się wtedy pobłażliwie, układano cichaczem anegdoty – nie żeby mu szkodzić albo go dotknąć, lecz idąc za natchnieniem przyrody uczciwych, spokojnych, osiadłych ludzi.

Już w zimie młody doktor stał się figurą tak niezbędną w Cisach, tak do nich pasującą, jak na przykład źródło albo łaźienki. Służba, robotnicy, chłopstwo okoliczne, interesanci, dwór, goście – słowem, wszyscy przywykli do tego, że jeżeli trzeba coś ciężkiego zrobić na pewno, coś z forsą „odwalić” – to do „młodego”.

O każdej porze dnia, a nieraz w zimowe noce, w mrozy, zawieje, roztopy, na małych saneczkach albo piechotą, w grubych butach snuł się po drożynach między wsiami do chorych na ospę, na tyfus, szkarlatyny, dyfteryty...



Sytuacja Judyma w Cisach – miał się każdego zająć.

Jak to zwykle bywa na świecie z ludźmi silnymi – nie ominął go ani jeden wyzysk. Brał jego pracę każdy, kto tylko mógł. Ale Judym drwił sobie z tego. Czuł się tak dobrze jak inny, gdy zbija majątek albo buduje sobie sławę. Im silniej pracował, tym więcej czuł w sobie mocy jakiegoś rozmachu i owej pasji, która potężniała i wyrabiała się od trudu jak mięsień. W tym życiu całą piersią brakowało mu jednak towarzysza. Czasami popełniał błędy, leciał niepotrzebnie w jakimś kierunku i u końca jego dostrzegał, że się ośmiesza w mniemaniu tych, co, siedząc na uboczu, przypatrują się tylko i wiedzą z góry o śmieszności tego, co on czyni.

Istniał jeden wspólnik, ale daleko. Był nim M. Les. Od samego przyjazdu Judym wszedł z nim w korespondencję, która z czasem zamieniła się na ciągłe obcowanie. Kochanek dla kochanki nie ekspensuje³ takich stosów papieru jak ci dwaj praktyczni marzyciele. Judym podawał swoje projekty i uzasadniał je, M. Les wskazywał drogi urzeczywistnienia. Z początku Leszczykowski usiłował przekonać w listach radę zarządzającą, żeby wprowadzała takie a takie ulepszenia w Cisach. Wszyscy, rozumie się, powstali na niego z wyrzutami, że bierze się do rozstrzygania spraw instytucji, której na oczy nie widział.

M. Les musiał położyć uszy po sobie i zamilkł skompromitowany. Zaczęto się domyslać, kto to inspiruje starego filantropa, i odgadnięto bez trudu. Zgadł to przede wszystkimi Krzywosąd i zabezpieczył się z tej strony. On sam począł pisywać sążniste listy do Leszczykowskiego i przedstawiać mu sprawy w innym oświeceniu. Na szczęście stary kupiec znał „zieloną małpę” do gruntu i zbyt kochał rzecz samą, żeby mu można zwichrzyć o niej pojęcie. W listach Judyma widział ciała swych planów urodzonych w tęsknocie, jakby dalsze wywody swych

³ ekspensować – wydawać

myśli. Toteż nie ustawał. Gdy nie pomagały przeróżne chytre oddziaływania na dyrektora i Krzywosąda, M. Les polecał Judymowi uciekać się do „cichej kasy”. Tak było ze szpitalem i mnóstwem innych rzeczy. Jeżeli nie chciano zgodzić się na jakąś innowację, to ją wprost M. Les za pośrednictwem Judyma fundował dla Cisów. Rada zarządzająca krzywiła się, uśmiechała ironicznie, szeptała dowcipne słowa, ale koniec końców czuła się zmuszona do podziękowań.

W ciągu całej jesieni Judym obserwował, badał i mierzył stawy zajmujące środek parku, a głównie basen wprowadzający wodę do pierwszego z nich. Basen urządzony był w ten sposób, że u samego wejścia rzeczki do stawu zbudowano groblę, która podnosiła poziom szyi rzecznej o jaki łokieć z górą. Nadmiar wody spadał z szumem do stawu. Ten zbiornik wody skonstruował Krzywosąd, ażeby ozdobić park w takim rodzaju, jak to widział w przeróżnych rezydencjach pańskich. Judym przyszedł do wniosku, że dla osuszenia Cisów trzeba przede wszystkim skasować ten wynalazek, później pierwszy staw, a dopiero drugi uczynić zbiornikiem poruszającym maszyny zakładowe. Należało tedy dźwignąć dno rzeczki do wysokości poziomu w niej wody i puścić strumyk po tym dnie twardo ubitym kamieniami. W tym celu trzeba było zbudować rodzaj tamy przed parkiem i podnieść wysokość wody w rzeczce płynącej wśród otwartej doliny, na dużej przestrzeni. Prąd podniesionej wody zlatywałby na twarde dno w parku, sączył się po nim bystro i spływał do pierwszego stawu. Tym sposobem liście z drzew nie gnilyby w wodzie basenu, roztopy wiosenne nie znosiłyby ich wraz z mułem do stawu, wskutek czego te zbiorniki wody nie byłyby tak szkodliwe.

Judym czuł przestrach na samą myśl wypowiedzenia tego projektu osobom zarządzającym sprawami Cisów, to jest dyrektorowi i „małpie”, a wykonać całej roboty na koszt M. Lesa również nie było możliwości. W tym czasie, to jest w lutym, przypadał właśnie termin wizyty w Cisach komisji rewizyjnej. Komisja, składająca się z trzech osób wybranych z grona współników, rzeczywiście zjeżdżała rokrocznie do zakładu, zwiedzała go, przerzucała księgi, jadła obiad i odjeżdżała do swych zatrudnień, gdyż wiadomą było rzeczą, że instytucja pod ręką Krzywosąda i Węglichowskiego idzie świetnie. Pewnego dnia, wchodząc do sali jadalnej, Judym spostrzegł trzech nie znanych sobie panów, którzy z ożywieniem rozmawiali o Cisach w sposób zdradzający ludzi świadomych rzeczy.

„Komisja...” – pomyślał Judym.

Dreszcz przebiegł wzdłuż jego nerwów i jakby na końcu swej drogi tajemniczej spotkał silną decyzję.

„Teraz im wszystko wyłożę!”

Przy obiedzie zawiązała się żywa rozmówka, w której Judym brał udział, ale więcej w celu zbadania przybyłych, wysondowania, co to za jedni. Niewiele

mógł dociec. Raz mówili doskonale, bezwiednie popierając plany reform, a kiedy indziej zdradzali się z tak ordynarnym brakiem wiadomości, że ręce opadały. Dr Węglichowski zaprosił kontrolerów na radę do kancelarii, gdzie po drzemce mieli się zejść, przejrzeć księgi, rachunki, a między innymi nowe plany kwitariuszów zaproponowanych przez Judyma. Korzystając z grzeczności, których mu wobec rewizorów nie szczędził ani dyrektor, ani Krzywosąd, asystent wyraził Węglichowskiemu na uboczu prośbę, ażeby mu pozwolono być obecnym na tej radzie. Dr Węglichowski, skręcając według zwyczaju papierosa, wlepił w niego swe przenikające oczy i spytał otwarcie:

- Dlaczego kolega chcesz być na tym posiedzeniu?
- Chcę panom przedstawić mój projekt podniesienia zdrowotności w Cisach.
- Podniesienia zdrowotności w Cisach... Pięknie. Ale przecie my tu wszyscy myślimy, jak możemy, o tej samej sprawie. Twoje uwagi są cenne, ani wątpię, ale czyżbyś kolega miał powiedzieć jeszcze coś nadto więcej, niż wiemy wszyscy, na przykład taki Chobrzański, ci panowie z komisji, których słyszałeś mówiących ze znanstwem, no, wreszcie ja?

- Chciałem istotnie powiedzieć coś odmiennego. Może to jest niewłaściwa myśl... Panowie osądzą. Chciałbym jasno to wyłożyć i poddać do rozważenia.

- Czy znajdujesz kolega – mówił Węglichowski powolnie i uśmiechając się leciuchno – że my źle coś w kierunku przeciwdziałalnym broimy?

- Bynajmniej... To jest, ja się tak zapatruję, że wilgotność jest zbyt wielka w Cisach.

- Czy aby w niej znowu nie znajdziesz twojej sławnej malarii? Tej, co to w lecie? – Mówił to ze śmiechem niby dobrotliwym, toteż Judym nie mógł wytrzymać i powiedział:

- Zdaje się, niestety, że ominąć jej nikt nie potrafi.

Dr Węglichowski cmoknął ustami, później zaciągnął się mocno i patrząc zza dymu na swego asystenta, rzekł:

- Widzisz, kochany panie Tomaszu, musimy postępować w myśl ustawy, która nie daje ci prawa uczestniczenia w naradach. Nie jesteś członkiem. Musimy się trzymać ustawy. Ten nasz brak poszanowania ustaw – to jest wada narodowa... Owo: co tam! prawo prawem, a przyjaźń przyjaźnią. Naszym hasłem...

- Panie dyrektorze...

- Przepraszam, że ci przerwę; naszym hasłem powinno być co innego... *Dura lex, sed lex...*⁴

- A... jeśli ustawa zabrania... – szepnął Judym – w takim razie...

⁴ *dura lex, sed lex...* (łac.) – surowe prawo, lecz prawo

Ta odmowa nie tyle zmartwiła go, ile jakoś zdegradowała. Judym w ogóle łatwo ulegał złudzeniu, że w samej rzeczy nie ma prawa do mnóstwa przywilejów, które są udziałem innych ludzi. Obecną w nim była pamięć na rzeczy dawne, na pochodzenie i owo jak gdyby bezprawne wejście do życia stanów wyższych.

Toteż po rozmowie z doktorem Węglichowskim doznał w głębi serca tego spodlenia dumy, tchórzostwa rozumnej woli. Odszedł do siebie, rzucił się na sofę i chciał zdławić uczucie nędznej pokory. W chwili gdy biedził się z tym bezowocnym usiłowaniem, zastukał we drzwi jego numeru stary kąpielowy, pełniący zimą w domu dyrektora obowiązki lokaja, i wyraził przysłane „na gębę” zaproszenie pani dyrektorowej. Judym wiedział, że będą tam kontrolerowie, toteż z umysłu wybadał starego Hipolita, kto właściwie to zaproszenie przysyła.

– Pana dyrektora nie było od rana na górę – rzekł stary.

– No, a kogóż tam dzisiaj będziecie podejmowali?

– Tych ta panów z Warszawy, trzech, pana administratora i pana rządce ze dwora.

– Dobrze, przyjdę – rzekł Judym.

Wiedział teraz, że zaproszenie wydane zostało rano, a teraz pani Laura wprowadzała je w życie, nic nie wiedząc o utarczce poobiedniej.

Wieczorem, znalazłszy się w saloniku, przywitany został przez dyrektora w sposób jak tylko być może najuprzejmiejszy, otoczony grzeczną, miłą i jakby tkliwą atmosferą opieki.

Czuł, jak mu trudno będzie przełamać tę sieć pajęczą, a jednak wiedział, że ją zerwać musi, musi... Wspomnienie odczytu warszawskiego było tak dławiące, że chwilami nie zdawał sobie sprawy, o czym to ma mówić...

Jeszcze przed kolacją, kiedy zwyczajne kółko gości dopełniło trójęc przyjezdnych, Judym wmieszał się do rozmowy i zaczął w sposób kategoryczny wyklądać teorię swego kanału. Dr Węglichowski cierpliwie słuchał przez czas pewien, a naraż, we właściwej chwili odtrącił tę kwestię zręcznym aforyzmem. Wprowadził na stół inną kwestię, mianowicie kosztorys nowej willi dochodowej dla chorych niezamożnych.

Dyskusja zeszła na inne tory...

Judym wiedział, że wystawi się niemal na śmieszność, jeżeli znowu zanuci jak maniak swoją piosenkę o dźwiganiu dna rzeki, a jednak zaczął:

– Panowie pozwolą, że ja raz jeszcze wrócę do sprawy z rzeką.

– Ależ prosimy, prosimy... – rzekł dr Węglichowski.

Judym spojrzał na niego i zobaczył w tym wzroku błysk, który mógłby otruć człowieka.

Zaczął się wykład *ab ovo*⁵, dowodzenia szczegółowe o ruchu kropli wodnej i sile jej spadku z rzeki do stawu, o rodzaju mgły zalegającej łąkę w sąsiedztwie wód...

– Basenu niszczyć nie możemy – rzekł raptem Krzywosąd – gdyż na wiosnę w nim się utrzymuje nadmiar wody. Gdy przyjdą roztopy, wtedy pan doktor zobaczy, co to jest. Jeśli podnieść dno rzeki, to woda z brzegów wystąpi i zaleje park...

– Łąkę, nie park – rzekł Judym.

– Tak, łąkę, a na niej myśmy posadzili najpiękniejsze krzewy.

– To i cóż z tego? Cóż kogo mogą obchodzić pańskie krzewy?

– Jak to? – rzekł dr Węglichowski – Ja koledze pokażę, ile te krzewy kosztowały! Posadziliśmy tam tuje, jesiony, najpiękniejsze sosny Weimutha, nawet platany, nic już nie mówiąc o tych ślicznych zagajnikach grabowych...

– Panie dyrektorze, co obchodzi chorego, który tu przyjeżdża po zdrowie, zagajnik, a nawet tuja? Tam jest błoto! Łąka nasiąknięta jest zgnilą wodą, która stoi w nieruchomym kanale. Ten kanał trzeba zaraz zniszczyć, a łąkę przerznąć kilkoma rowami. Osuszać, osuszać...

– Osuszać... – śmiał się Krzywosąd.

– Mnie się wydaje, że może pan doktor Judym ma rację – rzekł jeden z członków komisji. – Ktoś w rzeczy samej skarżył się przede mną na wilgoć w Cisach, na dziwne zimno, jakie tu panuje po zachodzie słońca. Na polach okolicznych, mówiła ta osoba, jeszcze ciepło, jeszcze żar idzie z ziemi, a nad stawami już tak chłodno, że kaszel drapie w gardle. Ja nie znam się na tym, ale skoro doktor Judym potwierdza... Nawet moja żona...



Węglichowski
o pomysł
Judyma,
dotyczącym po-
rawy powietrza
w Cisach.

– Ach, z tymi młodymi lekarzami! – zawołał na pół żartobliwie doktor Węglichowski. – Zdaje im się, że gdzie oni postawią nogę, tam z pewnością leży Ameryka, którą, rozumie się, należy co tchu odkryć. Przecie ja tu, moi panowie, siedzę zimą i latem, znam ten zakład i życzę mu dobrze... Jak sądzicie, czy mu życzę dobrze? Otóż tedy – cóż mi zależy na tym, żeby istniał jakiś kanał, który wilgoć wytwarza, gdyby ją wytwarzał. Ale ja ręczę, że to są fikcje, szukanie w całym dziury. Kanał jest potrzebny tak samo jak most, jak staw, jak droga, a więc go trzymamy. Okaze się, że jest szkodliwy – to go zniesiemy, ale dla fantazji rozpoczynać jakieś prace i rzucać w to kilkaset rubli, pieniędzy nie naszych przecie, pieniędzy, które żadnego dochodu nie dadzą, które będą zmarnowane...

– Należy w takim razie zrobić tylko małą poprawkę w ogłoszeniach, w opisach Cisów. Nie należy twierdzić, że tu leczą, przypuścmy, febry uparte, choroby dróg oddechowych, bo tego tutaj spodziewać się nikt nie może.

⁵ *ab ovo* (łac.) – od początku

Dr Węglichowski chciał coś powiedzieć na to, ale się wstrzymał. Tylko szczęki jego kilka razy drgnęły. Po chwili dopiero rzekł lodowatym głosem:

– Ja także jestem lekarz... i mniej więcej wiem, co tu można leczyć, a czego nie. Zapewne... nie wiem tego tak dokładnie jak szanowny kolega doktor Judym, ale o tyle, o ile... Miałem tu wypadki malarii znakomicie wyleczonej, wypadki bardzo częste, więc nie widzę potrzeby nic wykreślać z opisów...

– Mnie się zdaje – zwrócił się do Judyma któryś z kontrolerów – że może pan cokolwieczek za krańcowo bierze tę sprawę. Przecież frekwencja gości stale się zwiększa.

– Frekwencja gości, proszę pana, niczego nie dowodzi. Jeden artykuł uczonego lekarza, udowadniający, że Cisy nie są zdrowe dla tych, od kogo się przecie bierze pieniądze za powietrze mające ich jakoby uleczyć, może całą sprawę obalić. Zakład może upaść w ciągu jednego roku. Ja także źle nie życzę temu kochanemu miejscu i dlatego to mówię.

– „Jeden artykuł uczonego lekarza...” uważasz? – mruknął z cicha dr Węglichowski do Krzywosąda, zwijając grubego papierosa.

– O cóż zresztą chodzi, o koszt?

– A tak, my wiemy! – zaśmiał się Krzywosąd. Pan doktor znajdziesz sumę potrzebną na pokrycie wydatków... w kieszeni tego zacnego Lesa. Ale czy to jest sprawa jak należy? Stary da, rozumie się, ale on nawet nie wie, na co daje...

– I czy to dobrze, czy to dobrze namawiać tego samotnego człowieka do wydatków tak wielkich? – mówiła pani Laura. – On jest wprawdzie zamożny, ale nie milioner, nawet nie krociowy pan. Co zarobi, to rozda. Jeszcze tak być może, że na stare lata nie będzie miał gdzie głowy położyć.

– Tak, panie doktorze – mówił ów kontroler trzymający stronę Judyma – Leszczykowski za wiele na te rzeczy wydaje. My wprost na to zezwolić nie możemy. Rozumiem jakiś drobiazg, ale takie sprawy fundamentalne, to nie uchodzi.

Judym zawstydził się. Przyszła mu do głowy myśl, że w tej chwili Krzywosąd podejrzewa go o intencję skorzystania z sum, które by M. Les przysłał na podniesienie dna rzeki... Myśl ta była tak niespodziewana i tak ogromna, że przyduśliła wszystkie inne.

Judym zamilkł i siadł na uboczu.

Tak obalił się projekt do prawa o przekształcenie zbiorników wody w parku Cisowskim. Po wyjeździe komisji wszystko szło dawnym trybem i na pozór w stosunkach nic się nie zmieniło. Dyrektor był dla Judyma uprzejmy, Krzywosąd przesadzał się w grzecznościach. W głębi kryła się zimna nienawiść.

Judym upokorzony widział swój projekt w świetle jeszcze lepszym. Odrzucenie go wydało mu się i ruiną zdrowia kuracjuszków, i postępkiem przeciwspołecznym.

Mała w istocie swej kwestia wyrosła w jego myślach do niebywałych rozmiarów i zakrywała inne sprawy, stokroć większej doniosłości. Tak gzems dachu chlewika stojący na prost okna, z którego patrzymy, zakrywa rozległy łańcuch gór dalekich.

Antagoniści: dyrektor, Krzywosąd, Listwa, plenipotent, spierali się właściwie nie o podnoszenie dna rzeki. Każdy z nich załatwiał w tej sprawie jakiś rachunek z Judymem. Dyrektor obliczał się z nim za szpital, Krzywosąd za swe upokorzenia, Listwa za mącenie ciszy, która była jego rozkoszą życiową, plenipotent za projekty przeniesienia czworaków.

Przede wszystkim jednak wszystkich czterech złościła jego młodość. Gdyby o tym, co projektował Judym, którykolwiek z nich mruknął przy kartach, zyskałby, nie licząc krótkich wyprysków starczego uporu, zgodę, rozumie się, z tym zastrzeżeniem, aby ten kto ma piękne myśli, dokonał pracy. Skoro jednak wystąpił z tą samą kwestią człowiek młody, starcy czuli się tak dotknięci w swej ambicji, jakby ich sponiewierał. Toteż zamknęli się i postanowili bez umowy wzajemnej nie dać przewodzić takiemu „smykowi”. Osobliwie mocno uwziął się dyrektor.

Prócz młodości drażnił go w Judymie ten sam zawód lekarski. Nie zdając sobie z tego sprawy, stary medyk nie uznawał Judyma za równego sobie lekarza i kiedy ten przemawiał albo uśmiechał się w imię „medycyny”, dyrektor siłą woli trzymał za zębami krótkie obelżywe nazwisko. Cóż mówić, gdy młody wydarł się spod wpływu i samopas działał.

Nie ma takiego środka, który by w imaginacji dra Węglichowskiego nie przesunął się i nie mamił go nadzieją rychłej i absolutnej satysfakcji. Żaden jednak nie okazywał się dosyć i chwalebnie skutecznym. Usunąć entuzjastę dla jakiegoś powodu, który ustami plotki można by rozdać do miary występku. Tuż jednak nasuwała się refleksja, że wówczas trzeba by samemu prowadzić szpital, i to w taki sposób, jak to czynił tamten. W przeciwnym razie sława Judyma wzrosłaby u tłumu do wysokości niebywałej i wprost szkodliwej... Zmusić go szykanami, szeregiem drobnych ukłuc, upokorzeń, drażnień, ośmieszeń do ucieczki dobrowolnej. Ale czy wówczas ten szewski synek nie zemści się w swój sposób „naukowy”, czy nie przyczepi Cisom w jakimś piśmidle takiej łaty, że jej później sam diabeł nie odpruje? Dr Węglichowski przeklinał dzień, w którym zwrócił się do Judyma z propozycją objęcia posady. W pasji targał sieć, którą się dobrowolnie oplatał. W tej sieci bowiem były pewne oka szczególne. Doktor Węglichowski szedł w życiu dotychczasowym drogą prostą, zawsze, jak to lubił mówić o sobie, „rznął prawdę, a o resztę nie pytał”. Nigdy nie trudnił się matactwem, podstępem, nie walczył z żadną istotą ludzką ukrytym dla jej oka pugałem. Ludzie znali go wszędzie jako człowieka „zacości”. Sam nawykł nie tylko do tego przydomka, ale i do tego rysu swego charakteru, jak się przywyka do swego futra albo laski

– aż oto, po raz pierwszy w życiu, dla walki z tym „młodym” macał w ciemności i szukał w sobie czegoś nieznanego, jakiejś innej broni. Judym czuł to wewnętrznie i dlatego chciał ich wszystkich zwalczyć tym goręcej, że bez reform zdrowotnych, które zaczynały się od wzniesienia dna rzeki, jak sztuka czytania od abecadła, nie warto było w Cisach pracować. Toteż w zupełnej ciszy i wśród grzecznych ukłonów, wspólnego picia herbaty wraz z czytaniem gazet kipiała walka ukryta.

W pierwszych dniach marca po tęgich mrozach, trzymających świat w ciągu całego prawie lutego w żelaznych pazurach, nastąpiła odwilż.

Śniegi raptownie spłynęły i ziemia do gruntu odmarzła. Rzeka w parku wezbrała, zniosła sztuczną tamę nad pierwszym stawem i wystąpiła z jego brzegów. Judym stał nad tą zamuloną wodą, gdy waliła się głębokim nurtem, i patrzył na potwierdzenie swych wywodów.

Było ciepło, jasno, po wiosennemu. Zadumany, nie dostrzegł, kiedy zbliżyli się do niego Krzywosąd i dyrektor.

– A co? – rzekł administrator – co by teraz było, panie doktorze, gdyby tu nie było kanału. Którędy szłaby ta wszystka woda?

– Raczej zapytaj pan, gdzie się podziewają fury zgniłych liści z kanału. Idą w tej chwili do stawu, żeby wydzielać ze siebie „powietrze”; za które pan każesz płacić ludziom z daleka przyjeżdżającym.

– Znacie tę bajeczkę – więc posłuchajcie...⁶ – śmiał się dyrektor klepiąc Judyma po ramieniu.

– Piorunujemy w gazetach na publiczność owczym pędem dążącą za granicę, do tak zwanych badań⁷. Jakież to bad zniósłby podobne rzeczy?

– Kochany panie...

– Nie, nie, ja się nie zapominam! Ani trochę! Ja mówię o samej rzeczy, kiedy panowie tego chcecie. Wpuśćmy tu Niemca, i patrzmy, co by on zrobił. Co wpierw urządzi: wspaniały salon do tańca czy szlamowanie stawu?

– No, chodźmy, Krzywosąd, chodźmy... – rzekł dyrektor – mamy jeszcze niejedno na głowie...

⁶ Znacie tę bajeczkę – więc posłuchajcie... – aluzja do powiedzenia z *Pana Jowialskiego*

⁷ bad (z niem.) – miejscowość uzdrowiskowa, kąpielisko

„TA ŁZA, CO Z OCZU TWOICH SPŁYWA...”¹

Kilkaset rubli złożone przez doktora Tomasza umożliwiły jego bratu wyjazd za granicę. Parę dni Wiktor spędził w domu wśród płaczu i perswazji rodzinnych. Kiedy wszakże nadeszła chwila odpowiednia, ruszył w świat.

Był to wczesny ranek w lutym. Jednokonna dorożka z woźnicą znużonym i za-grzebanym w kożuch wlokła się ulicami. W cieniu nastawionej budy siedział Wiktor z żoną. W nogach mieściły się dzieci, którym ta ostentacyjna jazda sprawiała niewymowną uciechę. Chudy, zbiedzony koń-wyrobnik ślizgał się na obmarzłych kamieniach, utykał, gdy zerwane nogi trafiały w jamy zadęte przez zasy śniegowe i włókł przekleństwo swego żywota, budę na kółkach, ulicą Żelazną w kierunku wolskich rogatek. Z przecznic, od Wisły, dął wicher i z furią miotał się na wszystko. Bił w nozdrza i w pyski, rozwarte przez wędzidla, strudzone konie pociągowe, które z całej siły, wszystkimi mięśniami wlokły po barbarzyńskim bruku wielkie fury frachtowe. Ciał w oczy biednych ludzi, od świtu dnia pędzących dokądś po kawałek nędznego chleba. Szarpał na wszystkie strony małą, zabłąkaną psinę, która przytulała się do zimnych schodów. Usiłował wyrwać haki i zatrzasać drzwi prowadzące do sklepów. Zdawało się, że w pewnych sekundach doznaje szalonej wściekłości na widok szyldów, że ciska się, chwyta zębami ogromne litery, targa je we wszystkie strony, jakby zamierzał strząsnąć z nich na ziemię głupie napisy. Skoro w swej drodze dalekiej spotykał wysokie kamienice, wdzierał się na ich dachy i stamtąd wydymał zasy śniegu w brudne ulice. Cieniutkie włókienka przecinały widownię jakoby żywe, ruchome sieci pajęczne. Lotne płatki snuły się tak szybko i tak ciągle w jednym kierunku, że zostawiały w oczach wrażenie długich nici. Zdawało się, że początki ich snują się, niby z kądzieli, z zasy pod rudym parkanem, w oczach rosnącej, a przeciwległe końce zwijają na druty telefonowe, krążą mechanicznie dokoła słupów z poprzecznymi ramionami i lecą w maszynowym pędzie dokądś nad rynny.

W sieci tej uwikłany miotła się na rogu uliczny posłaniec. Skacze i tupie, uderza nogą o nogę, rozciera sobie ręce i biega na małym dystansie tam i z powrotem, tam i z powrotem. Gdy zwrócił się twarzą ku północnej stronie, wicher cychający za węglem rzuca się nań jak tygrys, wszczepia w niego pazury i oddech włącza do gardła. Wówczas ten mały, zgarbiony człeczyna odwraca się i drepce w miejscu, a wicher bije go w plecy i pcha przed sobą, podwiewając szarą sukmanę. Są chwile,

¹ *Ta łza, co z oczu...* – początek wiersza Adama Asnyka

kiedy posłaniec przyczaja się przed wichrem, wtula się w zagłębienie muru i stoi tam bez ruchu, jakby bez życia...

Tam dalej idzie szerokimi krokami ogromny Żyd-furman z biczyskiem w ręku. Głowę ma obwiązaną jakimś dużym, czerwonym gałganem, na sobie ze trzy oponcze, nogi w buciorach z wołjoku. Twarz jego, zarośnięta, krwawa, schłostana przez wiatry, góruje wśród tłumu, przekrwione oczy patrzą jak wicher spod brwi zsuniętych. Ten człowiek z pola, człowiek należący do drogi jak słup wiorstowy albo bariera mostu, przygotowany do obcowania z burzą, ze śniegiem i mrozem, zaciekawia do żywego Karolę i Franka. Zapominają o świecie i, gdy dorożka daleko już odlaża, widzą go jeszcze i pokazują sobie nawzajem palcami. Na Srebrnej i Towarowej, gdzie wskutek ścisku fur dorożka idzie wolno, noga za nogą, i huśta się w wybojach jak łódka, dzieciom aż oczy wylażą z ciekawości. Oto wozy frachtowe trzeszczące pod ciężarem pak z towarem, czarne fury naładowane węglem, inne lodem, cegłą, drzewem. Obok nich idą woźnice zadęci śniegiem, z osędziałymi brodami na czerwonych twarzach, i wrzeszcząc, poganiają zwierzęta. Spomiędzy brudnych kamienic wyrwywają się tu i ówdzie dzikie kształty murów fabrycznych, nawet wśród takiej zamieci nie tracąc swej barwy czarnej, jakby wieczną śnieżnią okrytej. Dachy o formie spiczastych schodów, zza których szklą się ciemne, stalowe szyby, nie po to wprawione, żeby przez nie na świat boży oczy ludzkie patrzyły... Wśród duszących murów uderzają te szyby blaskiem nie swoim, obcym ich naturze, niby oczy kota pod światło widziane. Gdzie indziej wyrwa się w niebo wielki komin z cegły albo czernieje żelazny, przymocowany drutami, i rzuca olbrzymie kłęby burego dymu na mury sąsiednich domów i w okna ich mieszkań. Konwulsyjne ruchy budy spychały jadącym na brwi kapelusze i zasłaniały oczy. Wiktor siedział bez ruchu. Spod obwisłej linii ronda patrzył na przesuwający się obraz. Kiedy niekiedy z oczu jego wytaczała się łza i przez nikogo nie dostrzeżona biegła po wynędzniałej twarzy.

Gdy minęli rogatkę, wrzawa ustała. Otoczyły ich parkany, pustki, sady, rozległe dziedzińce zawalone węglem, wapnem, deskami. Gdzieniegdzie nawijał się przed oczy samotny, chudy dom, jakby wydmuchnięty z czerwonego piasku. Drzwi jego piętra wychodziły w szczere pole, a nie znajdując przed sobą balkonu, dokąd miały prowadzić, tylko dwie rude szyny sterczące w murze, zdawały się żywić zamiar wyrwania się z zawias i rzucenia w przepaść. Wkrótce i te ostatnie siedziby znikły i za jakimś parkanem odchyliło się pole, dziedzina wichru. Daleko zostało miasto rysujące się nikłymi liniami jak symbol czegoś niejasny, a pełne boleści i takiego żalu, takiego żalu...

Do budy wdierał się teraz tęgi, zimny wicher.

W drzwiach przydrożnych huczał złowrogo, czasem między orczykami, jakby u tylnych kopyt szkapy, gwizdał przeraźliwie.

Cała rodzina przytuliła się do siebie. Judymowa niby to instynktownie pod wpływem zimna cisnęła kolanami nogi męża. On siedział sztywny, ręce wsunął w rękawy i patrzył przed siebie. Myśłami był już daleko, w podróży. Badał swoją nieznaną, przyszlą drogę za pomocą błędnych przeczuć. Skądś, z dalekich, Bóg wie kiedy odebranych wrażeń, z napomknień słyszanych wytwarzał sobie dziwne narzędzie poznania niewiadomej doli. Wzrok jego błądził po śniegach przydrożnych, tak dziwnych jak wypadki, jak myśli, jak wszystko. Oto kształty zasp dziewiczych, bez żadnej formy, niezgodne z niczym, przeładowane jakimiś szczególnymi efektami, jakby ornamentem w rodzaju barokowym. To jakby liście powykęcane, krzywe, pełne zgięć do wnętrza, niby to przypominające naturę, ale od form jej prawdziwych dalekie; liście nie istniejące, liście wielkie a niepełne; to znowu jakby strzały tytaniczne, którymi można by przebić kościół świętokrzyski².

Tu ciągnęły się jakieś chwilowe wzgórze, co zalecały się oku łagodnym kształtem swoim, gdzie indziej ohydne jamy, przypominające najgorszą a niewiadomą i ciemną boleść życia, a przypominające tak żywo, niby krzyk przeraźliwy...

Świat z prawej i lewej strony zasłonięty był burą czarniawą³, z której łona wicher wydymał i niósł nad ziemią śniegi lotne. Około południa dorożka przybyła wreszcie na miejsce i zatrzymała się przed samotnym budynkiem w szczerej pustce, którą łączył ze światem plant kolejowy. Na dole był sklepik z jaskrawym szyldem. W głębi mieścił się lokal rodziny żydowskiej, której liczni przedstawiciele ukazali się we drzwiach, gdy dorożka obok nich stanęła. Dzieci skostniałe prawie od zimna wytrzeszczonymi oczyma przypatrywały się tej „kamienicy”, zbudowanej z belek na pół zmurszałych, zapewne po spadłej z etatu karczmie lub stodole, a umalowanej na kolor cielisty z czerwonymi ornamentami około drzwi i okien. Wiktor wysiadł i poprosił jedną z osób przypatrujących się, czy nie można by dla rozgrzewki dostać kieliszka monopolu. Zaraz wyniesiono przed dom butelkę i cała rodzina wychyliła po kieliszku. Dryndziarz zmuszony był przełknąć dwa, gdyż po pierwszym całkiem nie mógł dojść istotnego smaku.

We mgle widać było jakieś szare zarzysy. Żydkiwie objaśnili, że to właśnie jest dworzec kolejowy. Pociąg idący w stronę Sosnowca⁴ miał ukazać się za jakie trzy kwadransy. Judym musiał się spieszyć. Familia miała go odprowadzić jeszcze kawałek drogi, a nie dochodząc miasteczka, cofnąć się, wsiaść w czekającą dryndę i wrócić do Warszawy.

² kościół świętokrzyski – kościół w Warszawie

³ czarniawa – chmura

⁴ w stronę Sosnowca – podczas zaborów Sosnowiec był stacją graniczną w Królestwie Polskim

Szli tedy wszyscy prędko, prędko, brzegiem plantu, po zmarzniętej grudzie ścieżki. Wiktor biegł przodem. Zdawało mu się, że już późno, że pociąg idzie... Wtedy biegł szybko...

Oni pospieszali za nim, naśladowując jego ruchy. Czasami znowu zwalniał kroku i mówił jeszcze urywanymi zdaniem, radził żonie zrobić to i tamto... Ona chciała jeszcze poruszyć tysiące rzeczy, miała nadzieję, że go co może zatrzyma, choćby na dzień, na parę godzin. Myśli w jej głowie splątały się i tak jak te płatki śniegu snuły po mózgu. Czuła w ustach, w gardle, wewnątrz siebie palący smak wódki i jakieś odurzenie zmysłów. Było jej wszystko jedno, a razem taki żal! Serce ścisnęło się jakby je cienka nić przewiązała i rznęła. Ale nade wszystkim stała nierozumna pewność, że cokolwiek kto kiedy zrobił na świecie i w jakimkolwiek celu, to ona jedna jedyna musi dźwigać ciężar tego wszystkiego. Musi wyżywić te dzieci. On, Wiktor, odchodzi. To nie ma gadania, musi... Och, jak pali ta wódka! Taki dym w głowie, taki głupi dym... Trzeba przecie rozumieć, co i dlaczego. Skoro urodziła dzieci, to je musi nieść na sobie. Jak to zwierzę, jak to zwierzę. Wiadoma rzecz. Ojciec może odejść, a ona nie. Ona matka. To się nazywa tak – matka. Rozumie się, że on musi iść, jeszcze jak się to rozumie! Pod sercem leży to rozumienie niby dziecko poczęte, jak rana leży otwarte, w którą się wieczny piasek sypie. We wnętrzu piersi leży zgoda na to odejście.

O kilkaset kroków przed pierwszymi domami miejsciny Wiktor zatrzymał się i rzekł, jako trzeba się już pożegnać... Głos jego drgnął.

Po obydwu stronach twardej i szerokiej szosy, na którą weszli, czerniały rokiciny. Ciemnobrunatne, śliskie, okrągłe pręty ich gałązek tłukły się o drewna mocnej bariery pomalowanej czarną farbą. Był to okrutny, przejmujący głos. Wiatr ciął dołem, pod barierami, i zmiatał z drogi cienkie fałdy śniegowe, odsłaniając lód ciemny i grzebień grudy startej przez koła wozów.

– Wiktor – jęknęła Judymowa – nie rzucisz mię? Bój się ty Boga, Wiktor...

– Masz ci... teraz...

– Bo jakbyś mię puścił kantem!

– No i teraz pora na takie rzeczy... Kolej idzie. Trza przecie mieć rozum.

– Żebyś wiedział, że te dzieci, to przecie twoje... Wiktor, Wiktor... – łkała cichym, bojaźliwym, umiającym głosem.

– Ale napiszę, jak tylko pierwszą robotę dostanę. I pierwszy pieniądź to samo przyślę. Cóż ty myślisz...

Prędko ją objął, uściśnął. Później dzieci.

Nim się obejrzel, odszedł drogą. Wlekli się za nim, ale machnął ręką raz i drugi, nakazując im powrót. Z dała jeszcze raz krzyknął, żeby wracali, bo dryndziarz



Wiktor Judym:
Emigracja.

zniecierpliwi się i odjedzie. Stanęli tedy w miejscu i patrzeli na jego postać. Widać było palto odsiedziane, spodnie z nędznego kortu, wypchnięte na kolanach, szerokie, nie zakrywające cholewek kamaszków, kapelusz zrudziały, płaski „melon”. Tylko twarz już im zginęła.

Judymowa rzekła do dzieci wśród łkania:

– Widzicie, to ojciec tam idzie... To ojciec... tam...

Franka nie zdziwiła ani trochę ta wiadomość. Stał sobie najspokojniej i dłubał palcem w nosie.

Postać Judyma coraz słabiej czerniała wśród lecącego śniegu, wreszcie raptem zsunęła się za pochyłość gruntu i znikła z oczu.

Wtedy Judymowa chwyciła Karolę za rękę i biegła z powrotem, żeby jak najmniej tracić czasu, za który płaciło się dorożkarzowi. Jęła przywoływać Franka, który z niekłamaną satysfakcją puszczał na szosę bryłki zmarzniętej grudy...

O ŚWICIE

Bardzo rano doktor Judym wybrał się na rewizję swoich zdechlaków we wsiach okolicznych. Miało to miejsce w pierwszych dniach kwietnia. Jeszcze łąki były mokre, role ciemne, na gościńcach kisy głębokie bajora. Powiększał je drobny, nieustanny deszczyk, siejący mgłę ruchomą, lecącą z głębi płynnych, wolnych westchnień wietrzyka. Można było, skacząc tu i ówdzie przez rowy, czepiając się pleciaków, iść bez zamoczenia choćby i kilka wiorst drogi.

Doktor miał na sobie ciepłą kurtę, a na nogach grube buty z cholewami. Szedł, tonąc w srogich myślach i wygwizdując pewną znaną arię z takim fałszowaniem głównego motywu, jakie Europejczycy mogli ująć na sucho tylko w okolicach Cisów, i to w szczerym polu. Droga ciągnęła się brzegiem lasu, po gruncie pagórkowatym i urwistym. To zapadła w wąwóz, to pięła się na wzgórze, to znowu jak prosty szew odcinała pole rozesłane na placu wykarczowanym w lesie. W nizinach o gruncie bardzo wilgotnym leżały już jasne murawy, budzące wspomnienie przecudownego rumieńca życia na obliczu człowieka, który był w ciężkiej chorobie śmierci bliski. W działkach włościańskich stała jeszcze mokra martwota. Doktor pośpieszał, żeby wejść na punkt wyższy, panujący nad okolicą, a to w celu zobaczenia tarczy słonecznej, która jeszcze nie wychyliła się zza przeciwległej góry, choć już płynęła nad ziemią.

W lesie, którego brzegiem postępował, chwiała się wilgoć wiosenna. Mchy wiszące na sękach świerków jak siwe, obmarzłe futra zimowe były mokre i co chwila kapały z nich ciemne krople. Tylko one sprawiały ruch między uspionymi drzewami. Zdawało się, że to z nich wydziela się ostre, wilgotne, leśny zapach. Tu i ówdzie na pniach wisały obdarte płyty kory, które wiosna niby brzydkie łachmany syciła wodą i wolno ściągała ku ziemi. Głębie przetrzebionego lasu zalegała jeszcze mokra ciemność, w której miętosił się opar leśny. Pnie osiczyny były jakieś żółtawe. Graby od deszczu lśniły się i czerniały jak stal. Na jasnej podszczytowej korze sosen tworzyły się zacieki niby rysunki dziwnego kształtu, kontury jakichś rzeczy, sylwetki szczególnych twarzy... Między obmokłymi pniami i gęstwiną gałęzi zwisających pod ciężarem dżdżu przywabiała oczy, niby senna mara nie dająca się żadnym sposobem odegnąć, to brzózka schylona, to młoda osika mnóstwem świeżych pąków obrzucona jakby rozżarzonymi węglami. W człowieku się coś cieszyło na widok tych drzewek i coś je pozdrawiało z głęboką czułością.



Opis przyrody.

Doktor Judym czuł nawet, że w tym jest może trochę jakiego sentymentalizmu albo tam czego jeszcze gorszego, ale nie mógł na to poradzić.

„Pewno, że tego sentymentu – myślał – nie można ani krajać mikrotomem¹, ani zgola obejrzyć pod mikroskopem, ale coś z tego, kiedy sentyment istnieje i jest takim samym faktem spełnionym jak najlepiej opisany *bakcylus*”².

Zajęty tak pierwotnymi myślami wszedł między drzewa, usiadł na starym pniaku i czekał. Ciemne chmury tworzyły jakby włók szeroki, który ciągnął się od jednego do drugiego krańca widnokręgu i zwisał długimi matniami. Każde ich oko wytrząsało deszcz syпки, ciepły, lecący jakoby puch. W głębi zostawał czysty przestwór, rozkoszna, seledynowa toń, w którą wcielała się purpura zorzy rannej. U samego brzegu dalekiego horyzontu pokazały się białe i rumiane obłoczki, budzące widokiem swoim dziwne wzruszenie, niby otwarte, prześliczne oczy kobiece, gdy marzą. Było cicho, tak cicho, że dawało się słyszeć siąpienie cichego dżdżu w kałużach dziobatych od padających kropelek. Po ziemi sączyły się wszędzie małe strumyki, jak dzieci pełne wesela, które nie wiedzą, z jakiej przyczyny i dokąd z radością w podskokach lecą.

W tej ciszy ucho doktora uderzył szorstki odgłos turkotu wozu. Wkrótce na szczycie góry ukazały się konie okryte tumanem pary i bryczka. Konie były zdrożone, zachlastane tak błotem, że z gniadych stały się szarymi, bryczka unurzana w bagnie, a nawet furman i figura zajmująca siedzenie – dźwigali ślady długotrwałej podróży.

Judym wpatrzył się pilnie w rysy damy siedzącej na bryczce i poznał „osobę” z pałacu, pannę Joannę.

Miała na sobie francuski jasnozielony płaszcz z kapiszonem. Ten kapiszon wciągnęła na głowę dla ochrony jej przed deszczem. Zdawała się drzemać.

Doktor żywo zaciekawiony, skąd może wracać panna Podborska o tej godzinie i drogą nie prowadzącą w stronę świata, półwiedząc, w jakim celu to czyni, wstał ze swego pniaka i szedł brzegiem gościńca naprzeciwko wolanta. Gdy był od niego w odległości kilku kroków, panna Joanna dźwignęła głowę i spostrzegła go. Na twarzy jej odmalował się wyraz pomieszania, a nawet jakby przestachu. W pierwszej chwili pociągnęła kaptur na oczy, później odwróciła głowę... Doktor pozdrowił ją ukłonem i z pytającym uśmiechem na ustach stanął przy bryczce.

– Cóż to za eskapada, panno Joanno? Skąd pani wraca?

– Jak pan widzi... Z podróży.

– Widzę, widzę nawet, że podróż musiała być daleka.

¹ mikrotom – narzędzie do krojenia tkanek badanych pod mikroskopem

² *bakcylus* (łac.) – bakteria, drobnoustrój

Furman zatrzymał konie. Przez chwilę panna Joanna skubała w zakłopotaniu brzeg okrywki. Na jej „niemożliwie”, jak mówiono, prawdopodobnej twarzy malowało się usiłowanie zatajenia czegoś. Rumieniec rozpałał się na policzkach. Rzekła cicho:

– Jeździłam do spowiedzi... do Woli Zameckiej.

– Aż do Woli? I dlaczegoż nocą? Niechże pani drugi raz tego nie robi. Któż widział?... Deszcz pada, chłód w nocy, pani cała zmoknięta. Proszę mi darować, że wchodzę nieproszony ze swą interwencją, ale jako lekarz uważam sobie za obowiązek zrobić tę uwagę.

Tymczasem robił ją z pobudek bynajmniej nie lekarskich. Serce mu biło w pierśiach. Ta twarz ze spuszczoneymi oczami w głębi zielonego kaptura, przepyszne, rozrzucone włosy, wysuwające się na czoło, a szczególnie oczy, oczy i płomień rumieńca... Było to jakby urok dziwnego lasu, jakby się łączyło ze słońcem, które zza mgieł wypływało nad cichą, senną leśną głuszą. Judym stał bezradnie przy stopniach bryczki i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w płochliwe rysy.

– E, proszę łaski panienki, cóż ta ukrywać przed panem, przed doktorem... – rzekł zniecierpliwiony furman, odwracając się bokiem. – My nie do spowiedzi, proszę pana doktora, jeździli z panienką.

– Felek! – krzyknęła panna Podborska.

– Jeżeli sobie pani nie życzy... – rzekł Judym, uchylając kapelusza. – Nie chciałbym zrobić najmniejszej przykrości.

– No, przecie się ta rzecz nie ukryje, choćby my na głowie stanęli. Już i tak ludzie mielią jęzorami... – prawil Felek.

– Cóż takiego?

– My jeździli, proszę pana doktora, szukać jaśnie panienki, panny Natalii.

– Jak to szukać? – szepnął Judym ze zdumieniem. – Jak to szukać?

Zamiast odpowiedzi panna Joanna zerwała się szybko i wysiadła z bryczki. Twarz jej była udręczona. Całe ciało trzęsło się jak w febrze. Dała Judymowi znać oczyma, że chce mu całą prawdę powiedzieć, ale nie wobec furmana. Odeszli kilka kroków drogą w górę. Felek zrozumiał swą rolę i wstrząsnął z lekka lejcam. Konie ruszyły i noga za nogą, wolniuteńko zstępowały ze wzgórza. Stukanie kół bryczki o korzenie sosen i świerków przerywnymi dźwiękami zagłuszało rozmowę.

– Natalka – mówiła panna Joanna – odjechała z domu bez wiedzy babki.

– Czy sama? – Nie.

– Z panem Karbowskim?

– Tak... z panem, z panem... Karbowskim.

Mówiła, otulając się zarzutką, jakby ją przejmowało dręczące zimno.

– Biedna babunia... Tak strasznie nad tym cierpi. Poszła zaraz na grób pana Januarego i leżała w kaplicy krzyżem. Nie wiedzieliśmy... nie wiedzieliśmy, gdzie jest. Taki popłoch!

– No, a skądże wiadomo?

– Pan Worszewicz powziął skądś wiadomość jeszcze wczoraj, że Natalka odjechała do Woli Zameckiej. Nie mogę zrozumieć, skąd to mógł wiedzieć. To taki bystry człowiek... Domyślił się, że wezmą ślub w tym właśnie kościele, w Woli. Jest tam ksiądz, jakiś, podobno, niesympatyczny. I rzeczywiście... Zgodził się dać ślub. Widać na tej podstawie babunia wysłała mnie wczoraj na noc. Pojechałam niezwłocznie. Pędziliśmy co koń skoczy, ale wszystko na nic. Istotnie tam ślub wzięli. Gdym przyjechała, już było po wszystkim: wyjechali. Kazali powiedzieć, gdyby się ktoś dopytywał, że jadą wprost za granicę.

– Proszę pani, to było... Może było do przewidzenia, nie to właśnie, ale coś w tym rodzaju.

– Ach, panie doktorze! Cóż za rola moja w tej całej sprawie.

– Rola pani?

– Byłam jej nauczycielką, mentorką, niby powiernicą. Ja domyślałam się, ja nawet wiedziałam o tej miłości. Nie cierpiałam tego pana i widać dlatego sądziłam, że cały afekt minie. Teraz każdy może powiedzieć, że to zapewne mój wpływ. Każdy może to powiedzieć i, niestety, będzie nawet miał słuszość. Ja często rozmawiałam z Natalką o tym, że są w małżeństwie bez miłości rzeczy potworne, które mnie przejmują wzgardą, że nie powinna, że nie powinna nigdy w życiu... Któż mógł przewidzieć, że ona tak to zrozumie!

– Niech się pani uspokoi. Na pannę Natalię tego rodzaju dyskusje małe wywarły wrażenie. To była natura samodzielna, śmiała, bezwzględna.

– O, tak, bezwzględna. W liście do babki, który wiozę, zaznaczyła wyraźnie, że majątek swój złożony w banku, majątek swój osobisty, odziedziczony po matce, podniesie w całości, gdyż jako pełnoletnia ma do tego prawo. Tak napisała do tej babuni... „Jako pełnoletnia”.

– Czy to duży majątek?

– Podobno bardzo znaczny.

– Będzie miał pan Karbowski przez czas pewien co puszczać.

Panna Joanna stanęła, jakby sobie coś przypomniała. Rzuciła na Judyma oczami pełnymi blasku i jakby chytrości.

– Ale ja mówię to wszystko i ani mi na myśl nie przyjdzie, jaką to panu musi sprawiać przykrość...

– Mnie? przykrość?

– Ach, przecież... Przecież to i pan kochał się w Natalce... Przepraszam pana bardzo...

– Ja? – rzekł Judym – ja się kochałem?

– Niech mi pan wierzy, że nie przez złość mówiłam to wszystko!

– Próżno by mię pani żałowała, bo nie czuję się wcale zmartwiony. Daję pani na to słowo uczciwego człowieka, że nie kocham się w pannie Natalii. Nie, nie! – zawołał z radością w głosie i oczach – nie kocham się w niej wcale!

To przeczące wyznanie było niby ostatni dźwięk rozmowy. Do dna ją wyczerpało.

Szli jeszcze obok siebie kilkadziesiąt kroków w milczeniu, po prostu nie będąc w możności mówić więcej. Panna Joanna przyspieszyła kroku i rzekła:

– Muszę już jechać.

Judym odprowadził ją do bryczki.

Gdy mu podawała rękę, miała na twarzy wyraz jakiejś bolesnej trwogi, niby człowiek, który siłą przeczuć coś dostrzega, czego zmysły objąć jeszcze nie mogą. Judym patrzył na nią szerokimi oczyma. Gdy jej pomagał wskoczyć na stopień bryczki, która zatrzymała się wśród błotnistej drogi, i uczył ciało jej przy sobie, prawie w objęciach, miał jakieś cudne złudzenie.

Któż by uwierzył, że to ta sama, ona, że to zapach jej włosów? Widział w niej dotąd siostrę-człowieka, rozum i serce, istotę ze swej dziedziny, z tego kręgu, gdzie o jedno nic, wysokie a niezrozumiałe dla motłochu egoistów, kłopotą się bez wytchnienia i trudzą z radością braterskie duchy. I oto szalał ze szczęścia: ona nie tylko taka! Iście czartowskie marzenie jak wąż ślizgało się po jego piersiach. Tak z nim było, jakby kolor jej włosów, jakby ich nikły zapach na wieki stał się jego własnością.



Judym uświadamia sobie, że inaczej patrzy na Joasie.

Jakaś bolesna troska i niewysłowna czułość przystąpiła do serca, jakaś omgłona litość niby kwiaty pachnąca. Było to obce duchowi i budziło swym przyjściem podziw i zadumanie.

Bryczka oddaliła się i znikła na zakręcie.

Judym wtedy uczył, jak serce jego ściska się i drży. Stał na brzegu lasu i wyrzucał sobie z okrucieństwem, czemu nie rozmawiał dłużej.

Tyle jeszcze trzeba było powiedzieć, tyle rzeczy niezmiernie ważnych! Każde ze słów, które teraz z mroku się wysuwały, miało przedwieczny swój byt, swój jakiś własny kształt, swój sens i miejsce, treść i logiczne znaczenie, jak ton w symfonii niezbędny, konieczny, doskonale umieszczony. W każdym z nich były zamknięte całe obszary, całe jakby okolice wiosenne, gdzie mokre pola wonieją i wysokie drzewa szeleszczą.

Leniwym krokiem włókł się w swoją stronę, ku wsi stojącej na drugiej stronie doliny. Gdy był u szczytu wzgórza, słońce wydierało się z chmur nad odległymi lasami. Dusza Judyma szła ku temu światłu jak olbrzym, którego barki dosięgają nieba.

Zatrzymał się na dawnym miejscu i wśród błotnistej drogi ujrzał ślady małych trzewików panny Joasi. Wzrok jego padał na te foremne wyżłobienia w piasku i w zachwycającej wizji oglądał stopy, które tych miejsc dotknęły. Widział ciało wysmukłe, subtelnie piękne, budzące nieopisaną rozkosz, które się nad nimi przemknęło.



Judym uświadamia sobie, że chce być z Joasią.

Zamknąwszy oczy, patrzył w głębinę swej duszy.

W tej chwili schyliła się ku niemu cicha wiedza, wesoły szept męczącej zagadki, rozstrzygnięcie trudnego pytania, proste jak czysta prawda. Powitał je radosnym śmiechem:

„Ależ tak! Rozumie się! Przecie to jest moja żona”.

W DRODZE

Na początku czerwca Judymowa dostała list od męża ze Szwajcarii z żądaniem przyjazdu. Pisał, że zarabia w fabryce więcej niż w Warszawie, że musi dużo wydawać na siebie, gdy się w knajpie stołuje, że mu jadło szwajcarskie ani weź nie służy. Wyliczał potrawy, jak zupę z sera szwajcarskiego, kartoflane sałaty, napoje, jak *most*¹, i w podziw wszystkich wprowadził dziwaczością takiego stołu.

Judymowa nie miała żadnego wyjścia. Zarobić na dom, dzieci i ciotkę sama nie mogła, lękała się, że ją mąż może opuścić i zginąć gdzieś na kraju świata. Skoro chciał, skoro kazał, żeby przyjeżdżała – nie pozostawało nic innego.

Graty sprzedała i uzyskawszy paszport, ruszyła w drogę. Ktoś ze znajomych powiedział jej, że przez granice niemieckie zabraniają przewozu sukien materialnych², więc wszystko, co miała lepszego, popruła, okręciła się cała najrozmaitszymi szmatami i tak, z zielonym, drewnianym kuferkiem w ręku odjechała. Na dworcu zebrało się gronko przyjaciół Wiktora. Ciotka łkała... Dzieci były zrazu uszczęśliwione. Ona sama, odwykła od beczynności, drzemała ciągle w wagonie. Kupiła bilet wprost do Wiednia, gdzie miał ją na dworcu czekać jeden towarzysz, gadający po polsku.

Judymowa nie umiała ani jednego obcego wyrazu. Ponauczano ją słów: *Wasser*, *Brot*, *zwei*, *drei*³, itd. ale i to jej się splątało w głowie.

Przejechała granicę, noc nastała, a tymczasem w wagonie wciąż jeszcze po polsku rozmawiano. Judymowa była dobrej myśli:

„Taka ta i zagranica! Przecie się tu doskonale z ludźmi rozmówi... Troszkę jakoś inaczej gadają, ale po naszymu”.

Ułożyła przy sobie dzieci, sama się skurczyła. Jej nerwy, przywykłe do wiekuistej czujności, skorzystały z chwili. Zapadła w sen, ów sen w wagonie klasy trzeciej, w stan dziwnej półjawy, kiedy czuje się wszelkie łaskoty i drżenia, wie wszystko, a zarazem jest o tysiąc mil...

Pociąg leciał w ciemności. Częstokroć w szyby wagonu uderzały światła stacji i po krótkiej chwili ginęły, jakby dokądś uniesione przez świst lokomotywy. Gdy pociąg stawał, słychać było dygotanie dzwonek elektrycznych. Skowyczał w nich jakiś frazes złowieszczy, rozbity na tysiące jednolitych wzdrygnięć...

¹ *most* (niem.) – moszcz; sok z owoców

² materialny – jedwabny

³ *Wasser*, *Brot*, *zwei*, *drei* (niem.) – woda, chleb, dwa, trzy

Judymowa czuła to w sennym marzeniu. To na nią zewsząd wiał strach olbrzymiooki, to się przeistaczał w widzenia miłe, w rozmowy z ludźmi bliskimi albo w pospolity, znany, obrzydły widok wnętrza fabryki cygar. Zmysły, przyuczone jak pociągowe bydłeta do zaduchu, łoskotu, wrzawy i męki, wpływały teraz w jakieś nieznane przestwory. Snuła się w nich słodkawa, tchórzliwie zwycięska podświadomość o wyższości nad wszystkim, co zostało w Warszawie, co teraz w brudach pracuje.

Ona jedzie w świat, w świat, w świat. Do Wiednia... Gdy kiedyś zjawi się w Warszawie, już nie pozwoli ciotce imponować sobie radami, dobrymi na każdy wypadek. Co ciotka wie? Co ciotka może wiedzieć? Była ciotka, na przykład, w takim chociażby Wiedniu? Widziała ciotka świat, Europę?

I dostrzega w sennym złudzeniu starą tuż obok siebie. Zbeczane ciotczysko siedzi na kuferku pod oknem. Gdzie to jest, w starym mieszkaniu na Ciepłej czy gdzie indziej? Jakaś stacja na poddaszu czy w suterenie... Kąty izby zalega mrok, wilgoć i smutek. Tylko na jeden policzek ciotki Pelagii i na chudą, zaciśniętą rękę pada z okna blade światło. Stara nic nie mówi i wiadomo, że się nie odezwie. Zaciekła się. Beczała swoim zwyczajem przez całą noc, a teraz już milczy i tylko patrzy spode łba zimnymi oczami. Czasem po jej wargach zamkniętych przewinie się błądy, chory, krótki uśmiech. Ale żeby westchnęła... Żeby się choć przemówiła z człowiekiem... Wie ona wszystko – ho! ho... Nic się przed nią nie ukryje. We trzy miesiące po takim dniu wymieni, co było wtedy a wtedy, o której godzinie jakie słowo albo wejrzenie padło. Judymowa czuje jakiś głupi, nieznosny żal. Chciałaby zwrócić się do ciotki, chciałaby ją z wrzaskiem zapytać:

„I czegoż ciotka siedzi, u diabła, jak Kopernik na słupie! O co ciotce chodzi? Skradli my co, czy my kogo spalili?”

Ale nie to, nie to! Wcale nie to chciała do niej mówić... Na takie słowa miałyby ciotka niejedną, ale sto odpowiedzi. Tu chodzi o co innego. Przecie musiała wyjechać, musiała iść za mężem, gdzie jej kazał. Niechże ciotka powie, że to źle zrobiła! Tak, dobrze!! Uwolni się raz na zawsze od starej... Tylko to jedno, to jedno... Taki żal! Nie może patrzeć na starą, tak jej już obrzydła, ale zarazem nie może oczu od niej oderwać!

Nagle coś ją potrafiło i cisnęło na ścianę. Drzemiąc, pochyliła się i wsparła ramieniem o człowieka siedzącego obok niej na ławce. Był to wysoki, barczysty mężczyzna z fajką w zębach. Zmierzył ją złymi oczyma i coś mruknął. Twarz jego była ciemna, duża, nos orli. Wszedł do wagonu, gdy zasnęła. Przy skąpym świetle Judymowa obejrzała ukradkiem tę nową figurę i kilka innych wypełniających przedział. Byli to jacyś nowi ludzie. Widać wsiedli dość dawno, bo zdążyli się pospać. Ktoś z nich głośno chrapał. Naprzeciwko kiwał się jakiś mężczyzna w twardym,

okrągłym kapeluszu. Widać było tylko ten kapelusz, gdyż cała głowa zwiśla na piersi, a twarz skryła się w postawionym kołnierzu paltota. Kapelusz zniżał się bardziej i cały korpus coraz śmieszniej szedł naprzód. Zdawało się, że lada chwila runie na Karolę śpiącą w rogu przeciwległej ławy. Judymowa chce krzyknąć, ale dziwny lęk dreszczem ją przenika. W kącie spał ktoś inny. Twarz chuda, oparta o ścianę, trzęsła się wraz z nią i z hałasem się tłukła. Z ust śpiącego, roztwartych jak można sobie wyobrazić najszerzej, wydierało się spazmatyczne chrapanie...

Judymowa zlekła się czegoś, patrząc na tych ludzi. Wyjrzała oknem i ze zdziwieniem zaczęła dostrzegać okolicę. Krótka wiosenna noc miała się już rozwiać. Szary zakres dalekiej płaszczyzny majaczył przed oczyma, a widok ten ścisnął serce tak boleśnie, jakby je dławił.

„To już musi być obca ziemia...” – pomyślała sobie Judymowa.

Wówczas z wielkim strachem i z jakimś pokornym uszanowaniem rozejrzała się po obliczach ludzi śpiących w wagonie.

Pociąg pędził. Okolica stawiała się coraz ludniejsza. W szczerym polu czerwieniały fabryki. Wszędzie widać było domy, kościoły...

Był już dzień zupełny, gdy ukazała się wielka rzeka, szeregi czarnych, zadymionych murów.

Wkrótce pociąg stanął. Wszyscy wysiedli z wagonu, więc i Judymowa ruszyła się z miejsca. Dzieci były zaspane, znużone, blade, ona sama chwiała się na nogach. Gdy stanęła wśród szerokiego peronu, zbliżył się do niej jakiś człowiek biednie ubrany i przemówił po polsku:

– Zaraz-em was poznał.

Judymowa wpatrzyła się w rysy nieznajomego i przypomniała je sobie. Towarzysz zabrał jej rzeczy i kazał im iść ze sobą. Wyszli na miasto i długo maszerowali różnymi ulicami. Wiedeńczyk mówił dużo i chętnie. Był to dobry znajomy Wiktora. Zetknęli się znowu ze sobą tu, we Widniu. Tamten pisał do niego, żeby się zajął żoną, gdy będzie w oznaczonym dniu przejeżdżała. Wyprawi ją dalej.

Nie poszedł dziś do fabryki, bo chce festownie⁴ zająć się nimi. Są znużeni – ba, ba – tyli świat. Wprost z Warszawy! I cóż ta w tej Warszawie? Miła to jest miejscina, ta Warszawa, nie można powiedzieć, wesołe miasteczko, choć ani się nie umywała do Widnia...

Judymowa mówiła półgębkiem. Wstyd jej było nieznajomego. Pragnęła spojrzeć co prędzej...

Zeszli w dzielnicę uboższą, wdrapali się na czwarte piętro wielkiego domu. Wkrótce byli w zwyczajnym, ciasnym, robotniczym mieszkaniu. Przyjaciel Judyma żonaty był z wiedenką, która ani słowa po polsku nie rozumiała. Płotła

⁴ festownie – jak najlepiej

jednak do dzieci i do Wiktorowej śmieszne jakieś wyrazy, zadawała im tysiące pytań, śmiała się, ocierała oczy... Po śniadaniu zaślano betami szeroką kanapę i Judymowa złożyła na nich swą głowę, ale mimo zmęczenia oka zmrużyć nie mogła. Godzina za godziną upływała jej na rozmyślaniu o tym, jak to jechać dalej.

Teraz dopiero pojęła, że jest między obcymi. Towarzysz Judyma, który mówił po polsku, stał się tak dla niej bliski i drogi jakby brat rodzony. Gdy wychodził z pokoju, drżała na samą myśl, że już odszedł i nie wróci.

Pod wieczór musieli wyruszyć na dworzec. Opiekun ulokował ich w wielkim furgonie przewozowym jak śledzie w beczce i odstawił na *Westbahn*⁵. Tam kupił Judymowej bilety do samego Winterturu w Szwajcarii, a gdy wyczekiwali na drugi dzwonek – prędko ją uczył rozmaitych słów niemieckich. Przede wszystkim kazał jej spamiętać dwa: *umsteigen* i *Amstetten*. Wlepiął w nią swe wylupiaсте, blade oczy i poruszając grdyką szyi, gadał:

– *Amstetten* – to jest stacja, gdzie będziecie przesiadali na *Zug*⁶, co rznie do Salzburga – a *umsteigen* – to znaczy przesiadać. Pytajcie się ciągiem konduktora: *Amstetten? Amstetten?* Jak powie, że tak, albo kiwnie głową, wtedy przesiadać na *Zug* do Salzburga – *umsteigen!* Rozumiecie?

– Rozumiem... – szeptała Judymowa, drżąc ze strachu.

Uczył ją prócz tego kilkunastu niezbędnych wyrazów, gdy wtęm uderzył drugi dzwonek. Tłok ludzki walił się we drzwi i do wagonów.

Towarzysz Kincel znalazł dogodne miejsce i zdobył je dla swych protegowanych nie bez trudu. Przy okazji stoczył kłótnię z jakimś grubasem, który na tę właśnie ławkę usiłował się wpakować. Judymowa nie rozumiała, rzecz prosta, o co chodzi, ale z tonu mowy wnosiła, że ma się na awanturę. Zaczęła tedy prosić swego przewodnika, żeby dał spokój, gdyż bała się teraz wszystkiego. Towarzysz Kincel udobruchał się. Dzieci ulokował, pakunki złożył na górnej ławce i ciągle jeszcze uczył Judymową. Ale oto trzeci dzwonek rozległ się jakby krótki zły krzyk i towarzysz zgasł w wąskich drzwiach przedziału.

Wagon był pełen ludzi. Panował gwar...

Judymową ogarnęła rozpacz, gdy wsłuchując się z całej siły w tę mowę, nie chwycyła ani jednego zrozumiałego dźwięku.

– *Amstetten, umsteigen, Amstetten, umsteigen...* – szeptał głos towarzysza, choć jego samego już dawno nie było.

Pociąg wolno ruszył się z miejsca. Ogniste, białe latarnie co pewien czas przyskakiwały z zewnątrz do okien wagonu na podobieństwo jakichś pysków palających, które zdawały się ścigać to ruchome gniazdo ludzkie. Błysła ostatnia

⁵ *Westbahn* (niem.) – Dworzec Zachodni

⁶ *Zug* (niem.) – pociąg

– i pociąg runął w ciemność, jakby się urwał i odleciał od światła. Dzieci były rozkapryśzone. Karola beczała na głos, Franek sprzeczał się o jakieś głupstwo. Judymowa była wprost rozszarpana w sobie. Dusił ją brak punktu oparcia. Była w tym strasznym kręgu czucia, kiedy człowiek nie panuje nad sobą, kiedy w nim coś się rozrywa, wybucha jak ładunek prochu i kiedy jego ciałem ślepy czyn rzuca jak chce. Czuła duszność w gardle i zamęt, zamęt. Siedziała cicho na ławce, ale nie była pewna, czy za chwilę nie porwie się, nie roztworzy drzwi i nie uciecze wraz z tym pociągiem dokądś naprzód, w głuchą, strasliwą, w bezbrzeżną ciemność. Nie umiałyby powiedzieć, jak to długo trwało.

Nagle drzwi się otwały i prosto w oczy zaświeciła jej latarnia konduktora. Judymowa wydobyła swe bilety i podała je urzędnikowi. Ten je obejrzał starannie, przeciął i oddając, monotonnym głosem wymówił:

– *Amstetten, umsteigen...*

Słowa te w uchu Judymowej zabrzmiały jak najczulsze pocieszenie. Może Bóg da, że będzie rozumiała wszystko tak samo jak te wyrazy.

Chwała Panu Bogu Najwyższemu... Niech będzie imię Jego błogosławione...

Blask latarki konduktora zgasił we drzwiach. Wagon zaległa półciemność. Panował jeszcze gwar rozmów, z przeciwnego kąta wybuchały co chwila śmiechy i wrzaski jakichś bab obrzydliwych, ale już to wszystko nie było takie bolesne.

Pociąg huczy, huczy... A gdy się dobrze wsłuchać, to można uchwycić słowa, nie-słowa, które spod jego kół płyną. Ach, nie, nie słowa... To jest jak ta odmiana, którą śpiew robi z człowiekiem. Sam niewiadomy grot muzyki, który na wzór żądła zostawiają w duszy człowieczej głębokie, święte tony. To jest sama sprawa i skutek melodii, do której należą wyrazy „Gorzkich żalów” rozlegające się pod sklepieniem wielkiej głęбини kościoła Świętojańskiego:

Zastona się potargata,

Ziemia drży, łamie się skała...

Pieśń ta unosi człowieka, bierze go od obecnych, przeszłych i przyszłych męczarni żywota, wydiera z kleszczów wszelkiej niedoli, usuwa bez bólu od męża, od pamięci rodziców, od miłowania i nienawidzenia, nawet od Franka i od Karoli. Wszystko obce, zimne, cudze. Tam gdzieś daleko, daleko ciągnie ze sobą na święte pole jasną murawą zasłane. Perliste rosy na kwiatkach stoją. Komu te białe wody obmyją bosc, skrwawione nogi, ten znowu staje się człowiekiem, samym sobą, całą, samotną, swobodną duszą. Łzy łagodne płyną do serca jako cudotwórcze lekarstwo, które ogień każdej rany uśmierza. Chłodny pokój czy może wiatr pachnący owiewa znękaną czoło.

Czasami jeszcze schyla się rozpacz... Czasami trwoga śmiertelna tak oczy zaostrzy, że widzą tuż obok siebie jakieś przerażające widma nieszczęścia, ale to wszystko z wolna zacicha, zacicha...

Począł szemrać cichy deszcz. Zaludnienie wagonu zmieniało się. Wchodzili ludzie prości, chłopci w krótkich spencerach, z fajkami w zębach, jechali dwie, trzy stacje i wysiadali, ustępując miejsca innym gromadkom. Powietrze było straszne, tak straszne, że mała Karola dostała mdłości. Gdy się nieco uciszyła i zasnęła, Judymowa siadła obok niej w rogu i przespała okrzyki „Amstetten!” rozlegające się za oknem.

Większość jej towarzyszków podróży wysiadła, weszli znowu całkiem inni, a ona o tym wszystkim nie wiedziała wcale. Gdy się ocknęła, był już dzień. Wagon był prawie pusty. Z okien widać było kraj pagórkowaty i dziwnie zielony. Śliczne łąki ciągnęły się tam między wzgórzami. Przed południem wagon stanął i wszyscy pasażerowie wysiedli.

„To musi być przecie Amstetten...” – pomyślała Judymowa.

Ściągnęła swoje tobołki z góry, zebrała je i wysiadła. Drżąc, przeczytała na dworcu stacyjnym inną nazwę. Wtedy ją znowu opanowała wielka bojaźń: czy aby nie stało się coś złego?...

Była to niewielka stacyjka. Pociąg, którym przyjechała, zweslowano na drugą linię, odczepiono lokomotywę. Stał pusty jak wóz bez koni. Podróżnicy rozeszli się, nawet tragarze znikli z peronu. Judymowa nie wiedziała, co ma robić. Stała obok swych rzeczy, z przestachem rozglądając się dokoła. Zdawało jej się, że w tym oczekiwaniu na coś niewiadomego upłynęły godziny...

Nareszcie z biura stacji wyszedł urzędnik kolejowy, zbliżył się i o coś zapytał po niemiecku.

Nie zrozumiała oczywiście nic a nic. Po długiej chwili zdołała wydobyć z gardzieli bojaźliwie pytający dźwięk:

– *Amstetten?*

Kolejarz spojrział na nią z uśmiechem, zadał znowu jedno, drugie pytanie, a gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, usunął się. Wrócił po chwili i znowu rzucał jakieś wyrazy. Widząc, że nic nie rozumie, wziął ją za rękę, wyprowadził z peronu na dziedziniec i wskazał gestem miasto leżące w dali. Wtedy zrozumiała, że z nią coś złego się dzieje. Wydobyła z kieszeni bilet i pokazała urzędnikowi. On przeczytał to, co tam stało, wytrzeszczył na nią oczy, wzruszył kilkakrotnie ramionami, oddał jej bilet i znowu, jak tylko mógł najwyraźniej, gadał, wywijając rękami. Wreszcie mruknął coś ostro, chrapliwie i poszedł. Czekwała na tym samym miejscu w nadziei, że może wróci i jakoś ją pokieruje, ale daremnie.

Już się więcej nie ukazał. Tymczasem zaczęły na dziedziniec wjeżdżać wozy frachtowe, dorożki, karety. Gdy chciała znowu wyjść na peron, zastąpił jej drogę portier i, nagadawszy się do syta, odprowadził z powrotem na dworzec.

Był upał. Dzieci głodne, spragnione kwiliły. Chora Karola chwiała się i skarżyła na ból głowy. Trzeba było dostać gdzie trochę herbaty, gdyż dziecko, płacząc, o nią prosiło. Judymowa powlokła się w stronę miasta, dźwigając rzeczy w rękach i na plecach. Szła szosą pustą, zalaną słońcem, po której wśród tumanów kurzu waliły ogromne fury. Była udręczona, bez sił i prawie bez duszy. Nie zdziwiłaby się wcale, gdyby ją kto zrzucił z drogi do rowu i kopał nogami. Oczy jej widziały ciągnące bryki, domy w oddali, zarysy wysokich wież, kominów fabrycznych, ale prócz tego chłoneły w siebie co chwila jakieś niebывałe rzeczy. Zdawało się, że wygięty parkan, obielony wapnem coś tu innego ma do czynienia. Z ogrodu zasadzonego burakami coś bieгло, coś niewidzialne, a tak straszne tak obmierzłe. Dojrzała to w oparze drżącym nad ziemią. Uczuła jego straszne oczy w piersiach swych w stawach, w sercu, w korzeniach włosów, w palcach zdrętwiałych... To Zły tam szedł zza parkanu, na giętkich nogach, w ziemię wrośniętych. Śmiechem się dławiał... Rozszerzał się, trząsł, wydłużał, miętosił. Miał ręce tak długie i oczy, co gryzą jak psia paszczęka...

– Zbawicielu, Zbawicielu miłosierny...

Obcierała rękami pot z twarzy i tarła oczy, żeby zegnać widmo, ale nie mogła się uwolnić. Strach ją oplątywał jak sieć szeroka, którą dokoła niej ktoś okręca, okręca, okręca. I ten szept cichy, ten szept znany, pamiętny jeszcze z dzieciństwa...

Franek szedł przodem i wnet wziął się do zabawy. Zbierał kamienie i frygał do ogrodów. Cisnął tak raz, drugi, trzeci. Za czwartym razem gdzieś daleko brzękła stłuczona szyba. Judymowa usłyszała ten dźwięk, pojęła, że to Franek stłukł szybę, i z nagłą uczuła do tego chłopca straszną niechęć.

Tak sobie to pomyślała:

„Wezmę tego psa i uduszę! Jeszcze mię tu zaczną tyrpać⁷ o szybę. Tylko parrzeć, jak się zlecą...”

Szła drogą i dzikim wzrokiem patrzyła na głowę Franka, który, wygwizdując, z rękoma w kieszeniach rozglądał się po okolicy. Co chwila zmuszona była wstrzymać się, opierać swe pakunki o pryzmy tłuczonego kamienia albo je składać na ziemi. Pot zalewał jej ciało, każdy szew wrzynał się w skórę. Ociężałe i jakby rozdęte nogi zdawały się krwią broczyć. Mała Karola wlokła się obok matki i nie sprawiała na niej wrażenia idącego dziecka, istoty drogiej i lubej, lecz jakby wiadra wody, pod którego ciężarem ramię drętwieje.

⁷ tyrpać – określenie gwarowe: szarpać

Tak przypętlzi do mostu nad szeroką wyrwą, w której głębi toczyła się jasno-niebieska woda.

Na moście panował hałas. Każde uderzenie koła, każde stąpienie nogi koniskiej wywoływało huk długo nie milknący. U wejścia na most Judymowa siadła w zupełnym omdleniu. Spoglądała na miasto jaśniejące w słońcu z drugiej strony rzeki... Czuła w sobie przez małą chwilę myśli jakieś czyste i spokojne. Zdawały się radzić jej, żeby szła ku jasnej łące, namawiać ją mądrymi słowami. Ale już łąki tej nie mogła zobaczyć w sercu swoim. Uderzyła w nią rozpacz jak wichor halny.

– Po cóż ja tam idę? – pytała samej siebie z łkaniem wewnętrznym, co zdawało się wydierać z niej wnętrzości. – Przecie to nie jest ani Wintertur, ani Amstetten... Co to może być za miasto! – wołała głośno, patrząc w nie wyschłymi oczami.

Siedziała tam głupia i bezsilna, jak plewa prześladowana od wiatru.

Dzieci zeszyły z chodnika i bawiły się rzucaniem kamieni w głąb wąwozu. Mogły były pozlatywać w przepaść, a nie byłaby tego dostrzegła.

Z tego odrętwienia zbudził ją głos jakiś. Stał nad nią wysoki policjant w mundurze i kasku i gadał coś, wskazując oczyma rzeczy i dzieci. Spojrzała mu przelotnie w oczy i głośno rzekła po polsku:

– A szczekaj, psie, choć i cały dzień! Wszystko mi jedno.

Żołnierz powtórzył swoje głośnieje.

Judymowa rzekła ze złością:

– Jak się to miasto nazywa?

Niemiec wytrzeszczył oczy i znowu coś zaczął mówić. Gdy mu nie odpowiadała i nie zwracała uwagi, chwycił w rękę tobół i wskazał jej gestem, żeby go zabierała na plecy. Tchnęła nie tylko najszczerszą chęcią, ale wprost porywem fizycznym, żeby mu plunąć w ślepie, i tylko siłą wstrzymała się od tego. Szła kilkadziesiąt kroków na powrót, zupełnie martwa. Zimne zdrętwienie wolno kształtowało się w jakiś plan mętny. Nie miała siły rozumieć tego. Resztkami myśli chwytala to błędne, zaskórne chcenie, żeby tylko wiedzieć, co to jest, i zaraz wykonać...

Policjanta już nie było.. Więc znowu wsparła tobół o żelazną barierę i tak stała na miejscu, ślepy wzrok tocząc naokół. Czuła już tylko, że ciężar tłomoka parzy ją w plecy, i owo zachcenie zdradliwe, dające nadzieję spokoju.

Stała tam bardzo długo, jakby żelaznymi mutrami przyśrubowana do żwiru chodnika i do bariery.

Środkiem ulicy po okrągłych kamieniach toczyły się w stronę dworca kolejowego omnibusy i powozy. Nagle wzrok Judymowej zatrzymał się na jednej parokonnej dorożce i osobach w niej siedzących. Byli to młodzi i piękni państwo, ubrani wykwinie. Dama w skromnym słomkowym kapelusiku zasłaniała jasną

parasolką młodego człowieka. Obydwoje śmiali się czegoś i rzucali wokoło siebie szczęśliwe, rozbawione spojrzenia.

Judymowa drgnęła, jakby ją kto pchnął naprzód. Przywołała dzieci i posłała za tą dorożką. Idąc tak, głośno mówiła do siebie:

– Takie szczęśliwe ludzie, takie szczęśliwe... Może mi pomogą... Zbawicielu, Zbawicielu miłosierny...

Dorożka toczyła się wolno i Judymowa biegnąc co sił, miała ją ciągle przed oczyma. Głowy osób jadących co chwila pochylały się ku sobie. Dwa razy prędzej niż w tamtą stronę Judymowa przebyła odległość między dworcem a mostem.

Stała na podwórzu stacyjnym mało co później niż dorożka. Właśnie młodzi państwo wysiedli i stali obok, gdy tragarz odbierał z rąk woźnicy dwa kufry. Judymowa nie wiedziała, co pocznie, ale czekała na chwilę, kiedy do tych ludzi przemówi. Dlaczego do nich – nie wiedziała. Istota jej zmieniła się teraz w jeden tylko wybuch woli: przemówi!...

Nagle młoda pani rzekła do swego towarzysza po polsku:

– Weź od niego numer i chodźmy do sali.

Judymowa zachwiała się na nogach. W oczach jej pociemniało. Zbliżyła się do tej pani jak pijana i zaczęła bełkotać wyrazy przeplatane śmiechem, krzykiem i łkaniem:

– Pani! Pani! O, moja przenajśliczniejsza... Pani, pani anielska!

Nieznajomi z uśmiechem życzliwości zwrócili się do niej. Zamienili ze sobą kilkanaście wyrazów francuskich, a potem żywo i ze współczuciem słuchali bezładnej historii przygód. Szczególnie młoda kobieta wypytywała się ciekawie o wszystko.

Judymowa pokazała im bilet i to ich ostatecznie upewniło, że nie mają przed sobą żebraczki ani oszustki. Na rozkaz tej pani tragarz wziął rzeczy z rąk Judymowej i odniósł je na salę razem z walizami. Dzieci dostały po kubku mleka. Wtedy dopiero Judymowa mogła zapłakać. Pani anielska sama przez chwilę miała łzy w oczach. On poszedł z biletem do kasy i siedział tam długo. Wrócił z wiadomością, że wszystko jest dobrze, że na skutek jego reklamacji Judymowa wróci do Amstetten, a stamtąd pojedzie we właściwą drogę, kiedy oni przesiadą się na pociąg idący do Włoch. Sama wzmianka, że się z nimi rozstanie, przejęła Judymowa dreszczem. Uspokoił ją obydwójce zapewnieniem, że teraz jej zginać nie dadzą, że zobowiążą konduktorów i władze, aby ją odstawiono na miejsce, do Winterturu.

Młoda pani zaczęła pytać się z żywością o rozmaite rzeczy. Między innymi rzekła:

– Pani jedzie z Warszawy?

– Tak, proszę pani, z Warszawy.

– A jakże się pani nazywa?
– Nazywam się, proszę paniusi, Judymowa.
– Jak, Judymowa? – ze zdumieniem pytała piękna dama, otwierając swe śliczne, błękitne oczy.

– Takie nazwisko, proszę paniusi – Judymowa.
– To jest – mąż pani nazywa się... jakże? Judym?
– Tak, Judym.
– Doprawdy? – szepnęła z zaciekawieniem.
– A może jakim kuzynem męża pani jest doktor Judym, pan Tomasz Judym?
– To rodzony brat męża! Brat rodzony! – wołała Judymowa. – To paniusia zna brata?

– Tak, znam troszkę – rzekła pani Natalia. Zwróciwszy się do męża, szepnęła:
– Czy słyszysz?
– Okazuje się, że miałś wielbicieli ze wszystkich sfer towarzyskich... – rzekł pan Karbowski.



Natalia o Judymie (po tym, jak dowiaduje się, że pomogła kobiecie, która jest jego bratową).

– Chciałabym widzieć teraz naszego ambitnego doktora...
– Istotnie, byłoby to ciekawe! Jakby też witał swoją rodzinę podróżującą w tak oryginalny sposób...

Sala zaczęła się napełniać. Uderzyły dzwonki, zaszedł przed peron pociąg i Judymowa została usadowiona w klasie trzeciej. Państwo Karbowski jechali pierwszą. Miało się już pod wieczór.

Na stacjach, gdzie zatrzymywano się po kilka minut, młodzi małżonkowie wysiadali ze swego wagonu i przechadzając się po peronie, gwarzyli z Judymową, z dziećmi. Pani Natalia interesowała się zdrowiem małej Karolki, która spała niespokojnie na ręku matczynym. Przynosiła jej to wina, to coś do zjedzenia, to jakieś lekarstwo otrzewiające. Dała im nieco nadwiędnięty bukiet kwiatów, pół flaszeczki perfum, wachlarz swój – chłopakowi różne wykwinne drobiazgi.

Gdy ukazywali się na peronie i chodzili ze sobą, żywo mówiąc, pieszcząc się wzajemnie oczyma, ustami i każdym ich wyrazem, Judymowa nie spuszczała z nich oka. Wargi jej szeptały czułe nazwy, słodkie, prostackie, półludowe spieszczania, a cała dusza oddychała błogosławieństwem tych dziwnych, prześlicznych postaci.

– Żeby cię tak wiecznie chciał twój mąż jak teraz!... – szeptała. – Żebyś mu była zawsze luba... Żeby się w tobie kochał do samej śmierci... Żebyście mieli śliczne, duże, zdrowe, mądre dzieci... Żebyś je bez bólu wielkiego rodziła... Żebyś nad nimi po nocach leż dużo nie wylewała...

Bukiet róż trzymała przyciśnięty do ust i poila się jego zapachem. Wąchała perfumy z lubością i czcią dla jasnej pani. Ta woń podniecała jej wdzięczność

i zamieniała ją na tęskny zachwyt. Każdy ruch pani Natalii Judymowa chłonęła oczyma, śledziła jej postać i widziała ją w źrenicach wtedy nawet, gdy pociąg ruszał z miejsca i biegł wśród wzgórz ozłoconych zachodem słońca.

W nocy w Amstetten państwo Karbowscy rozstali się ze swą protegowaną. Zanim wszakże to nastąpiło, konduktor pociągu dążącego w stronę Innsbrucku zajął się nią w sposób tak niesłychanie gorliwy, że ta furia pieczołowitości świadczyła o *memento*⁸ co najmniej pięcioguldenowym. Podróżująca familia ulokowana została w osobnym przedziałku, na klucz zamykanym.

Judymowa do takiego stopnia była znużona, że przez całą noc nie mogła zmrzyć oka.

Leżała na twardej ławce i wytężonym wzrokiem patrzyła w szybę okienną.

Noc była widna, księżycowa. Rozległy horyzont nad ranem zasłoniły góry. Grzbiety ich, z początku okrągłe, coraz bardziej szczybiły się i biegly wyżej. Judymowa widziała góry pierwszy raz w życiu. Ten widok tak niesłychany dla człowieka z nizin i z miasta był jak gdyby dalszym ciągiem dnia minionego. W duszy jej te widoki i zdarzenia odbijały się gdyby w wodzie i tworzyły tam obraz zadziwiający. Patrzyła przez okno nie na góry, lecz na ten obraz w głębi siebie samej. Serce jej drżało i wzrok wewnętrzny wlepił się w to cudne skupienie rzeczy.

„Co to jest ta ziemia? I czy to ziemia?”

Kto są ci przepiękni ludzie, których ujrzała tam pod tym miastem bolesnym? I czy to ludzie? Kto jej powiedział, żeby szła za nimi? I...?”

Przed tym pytaniem serce jej mdlało i we łzach tonęło. Wtedy w niewysłownym struchleniu pytała się głębin nocnych, łańcuchów górskich i tego świętego odbicia w samej sobie, odbicia w czymś czułym i wiotkim, jak gdyby w morzu łez.

– Kto ich posłał?

Najwyższe szczyty były niby posrebrzone blaskiem księżyca. Ich ostre kły miały teraz łagodny ludzki wyraz. Zdawało się, że dumają, że zamyśliły się i patrzą kamiennymi oczyma w lazur bezchmurny, usiany gwiazdami. I jeszcze zdawało się, że tak samo jak człowiek – nie mogą zobaczyć...

Kiedy niekiedy wzrok Judymowej spadał w otchłań gdy pociąg leciał na skalnych gzymsach arlberskiej drogi. Gdzieś w głębi, w przepaści, w niezmiernych szczelinach snuły się białe, zielonkawe piany wód Innu po sennych, śliskich, czarnych głazach.

Widoki te nie dziwiły Judymowej. Serce przyjmowało je i cicho, ostrożnie, troskliwie jak drogi skarb, chowało w sobie. Czasami dokoła wagonu roztaczała się głucha ciemność, którą wypełniał dym i łoskot. Judymowa nie wiedziała, co

⁸ *memento* (łac.) – pamiętaj

to jest, ale nie czuła lęku. Była tej nocy jakby nad słabością swego ciała i nad wzruszeniem ducha.

W pewnej chwili srebrne brzegi szczytów pogasły, jakby je kto zdjął z wyżyny. Coraz bardziej nasuwały się z cienia szare zręby i granie skał, rozdzierając sobą ciemność leżącą w dole. Z wysoka zstępował górski poranek.

Jechali tak przez cały następny dzień i całą noc. Znużenie dzieci stało się jakąś tępą omdłością. W ustach, z braku właściwego napoju, utworzyły im się krosty. Kaszlali wszyscy troje i rzucali się we śnie.

W Buchs konduktor austriacki doręczył Judymową szwajcarskiemu, który ironicznym okiem oglądał tych podróżnych. Zrewidowano ich rzeczy, zamknięto znowu w wagonie i ruszyli dalej.

W blasku nowego dnia ukazało się wkrótce coś niezemskiego, coś, na co patrząc, Judymowa oczom wierzyć nie chciała: błękitne, zimne, tajemnicze jezioro Walensee. Pierwszy promień zza szczytów wypadający w nizinę ślizgał się na falach, które się chwiały w chłodnym mroku. Ta głębia przezroczyta, a zstępująca w ciemną otchłań, znowu do drżenia zmusiła serce Judymowej. Wydało jej się, że widziała we śnie te wody, że przez nie szła z rozkoszą i że tam na ich dnie kamienistym leży ów sekret święty.

Tymczasem brzeg jeziora wygiął się prędko i jakby zamknął przed oczyma błękitną wodę. Pociąg wybiegł na szerokie błonia. Góry znikły i tylko regle świerkowe snuły się w dali. Łąki białe od miodownika, wśród których stały gęsto drzewa owocowe, tworząc jeden sad nieprzejrzany, ciągnęły się jak okiem rzucić.

Około godziny jedenastej pociąg stanął w Winterturze. Usłyszawszy tę nazwę, Judymowa przełękła się i bała ruszyć z miejsca. Konduktor otworzył drzwi i dał jej znak, żeby się wyniosła z wagonu. Gdy dźwigając swe toboły i dzieci, zlązła ze stopni, ujrzała Wiktora, jak przeciskał się wskroś tłumu i szukał ich oczami. Zaraz w złość wpadła. Gdy ich zobaczył i podbiegł, sypnęła od razu:

– Gdzież, ty, człowieku, miał rozum, żeby nas w tyli świat!... O, Jezu, Jezu...

– A cóżem ci – rozkazywał? Mogłaś nie jechać. Widzisz ją! Powitanie małżeńskie! Od trzech dni przylatuję, jak kto głupi, na każdy pociąg...

– Ale, powitanie! Spójrz no se, co się z tymi dziećmi zrobiło. W gębach mają jakieś krosty, nawet nie wiem... Masz ty rozum! Jeżeli my nie pomarli w drodze, to prawdziwe zdarzenie.

– Takaś znowuż delikatna! I ja przecie jechałem tą samą drogą. Cóżem miał zrobić, skrócić ją czy co?

– Ij, stuliłbyś głę, bo doprawdy...

– To ty mi stul głę, żebym ci na powitanie czego zaś nie ofiarował. Jak ci się nie podoba, to siadaj w kolej i rznij, gdzie ci wypada.

Wziął na ręce Karolę, tobół pod pachę i wyprowadził ich za peron. Szli jakiś czas w milczeniu po szosie usypanej żwirem.

Obok drogi stały domy, przeważnie piętrowe, w małych ogródkach z żelaznymi sztachetami. Każde okno było zasłonięte zieloną żaluzją. Te mieszkanka, jak wszystko dookoła, zdawały się kwitnąć i posiadać w sobie zieleń roślinną. Na ścianach zwróconych ku południowi rozpięte były gałęzie wina, którego szarozielone gronka gęsto między liśćmi zwisały.

- Ty masz, Wiktor, jakie mieszkanie? – cichszym głosem spytała Judymowa.
- Przecie że mam.
- Jedną izbę?
- Dwie nieduże i kuchenkę. Ciasne, ale niczego.
- Daleko to?
- Kawaleczek drogi. Nie bardzo daleko.

W istocie, minąwszy kilka ciasnych krzywych uliczek, wprowadził ich wkrótce do sieni szczupłej kamienicy i na schody wąziutkie, czysto umyte a wydeptane tak, że z desek stopni tylko cienka warstwa została. W klatce schodowej panował zaduch, pomimo że wszystkie sprzęty były tam wyczyszczone i błyszczące. Na drugim piętrze Wiktor otworzył drzwi i wpuścił swoją rodzinę do mieszkania. Było istotnie ciasne i niskie tak dalece, że się głową dotykało powały, ale miłe. Obadwa pokoiki były wyłożone drzewem i malowane olejno na kolor błękitny. Aż na środek pierwszej izby lał ogromny piec z brunatnych kafli. Całą ścianę zewnętrzną zajmowały okna, których w dwu stancijkach było cztery. Judymowa z uśmiechem patrzyła na ten lokal i doznawała wrażenia, że wcale jeszcze nie wyszła z pociągu, tak bardzo te dwa pudełka wymalowane i lśniące przypominały przedział wagonu. Ale oto w drugiej izdebce dostrzegła łóżko, łóżko pod sam sufit zasłane betami. Zaczęła się co tchu rozbierać.

Judym wyszedł do swej fabryki. Dzieci nie chciały iść spać i wybiegły z ojcem na miasto.

Tonąc w puchu, Judymowa wodziła oczami po czystych ścianach, po prostych sprzętach, które nie miały na sobie ani jednej plamki, i usiłowała zatrzymać je w miejscu. Wszystko jej w oczach szło, szło, szło bez końca jak wagony. Ściana wysuwała się ze swego miejsca i przechodziła... Krzesło, komoda, szafa, tłumok, leżący na środku pierwszego pokoju – wszystko to sunęło dokąds, bez przerwy... Gdy zamykała oczy, żeby usnąć, natychmiast w nich i w głębi mózgu snuły się nieskończone szeregi wagonów.

Koła ich, stukając, pędziły przez całe ciało, przez głowę i piersi, ze drżeniem, z hukiem ze zgrzytem. Ani usnąć, ani odpocząć...

Czuła doskonale, jak mija czas, słyszała głosy zewnętrzne, rozumiała, gdzie jest, ale odegnąć owego pędu wagonów ani na sekundę nie była w stanie.

Z dźwięków ulicznych zajmował ją i nęcił szczególnie jeden. Był to jakby śpiew, jakby wydawanie lekcji czy chóralne odmawianie pacierza przez gromadę dzieci. Judymowa słyszała nie tylko ogólny ton, ale każdy głosik z osobna, wymykający się z harmonii. Było w tym coś wesołego nad wszelki wyraz, coś tak miłego, że nie mogła dać sobie z tym rady. Wstała z łóżka, narzuciła odzienie i czając się w głębi izby, zaczęła wypatrywać, skąd te głosy pochodzą.

Z drugiej strony wąskiej uliczki na tej samej wysokości były roztwarte okna jakieś dużej sali. Na małych drewnianych stołeczkach siedziało tam kilkadziesiąt, pewno ze czterdzieści sztuk indywiduów w wieku lat od czterech do sześciu. Osoby te gwarzyły, beczwały, śmiały się, spierały, swawoliły, ale co pewien czas, na znak dany przez otyłą kobietę w latach, każde ujmowało w ręce szydełko i rozpoczynało pracę. Wtedy to za głosem przewodniczki cały chór, wykonywując szydełkiem każdy ruch, kiwał się i śpiewał ową jakby piosenkę. Judymowa nie rozumiała wyrazów, ale nie mogła się wstrzymać, żeby nie powtarzać płynących dźwięków:

*Ine stache,
Fadeli ume g'chluh'
Use ziehe.
Abe Loh...*⁹

Bawiło ją to i zajmowało do żywego.

„Cóż też to może być? – myślała. – Szkoła? Ale czyżby kto posyłał do szkoły takie małe berbecie?”

Tymczasem w uczelni znowu wybuchały gwary, zabawa, krzyki, gonitwy, a po upływie jakiegoś czasu dawała się słyszeć recytacja:

Ine stache...

Patrząc na tę swawolę połączoną z robotą, słuchając chóralnego gwarzenia, które nie było jeszcze śpiewem, ale już było rytmem podniecającym do wykonania bez przykrości pracy, doznała dziwnego uczucia. Przytulona do ściany, z oczyma utkwionymi w ten obraz, który miała przed sobą, myślała o czymś, co jej nigdy przynigdy nie przychodziło do głowy.

I wnet, ledwie pojęła tę rzecz głęboką i mądrą, uczuła w sobie żal śmiertelny. W głowie jej sunęły się wciąż mury, okna, żaluzje, a z oczu leciały łzy rzęsiste. Wzdychała nad sobą i nie tylko nad sobą... Trzymała w sercu bezsilną mękę patrzenia na dzieci swoje rosnące ponad rynsztokiem.

⁹ *ine stache...* (niem.) – wbij, owiń nitkę, wyciągnij i spuść

Z tej zadumy wyrwało ją gwałtowne stukanie we drzwi. Ktoś ruszał klamką i pukał. Bała się otworzyć, więc jakiś czas siedziała przyczajona, ale gdy dobijano się coraz gwałtowniej, przekreśliła klucz w zamku. Wszedł do mieszkania mężczyzna wysoki, w kamizelce, z miną tak nasrożoną i oczami tak wściekłymi, że Judymowa ze strachu aż siadła na krawędzi łóżka.

Przybysz zaczął wrzeszczeć i machać rękami.

Pokazywał co chwila liście, które trzymał w ręce, ciskał je na podłogę, znowu brał i pchał w kieszeń... Zbliżał się do Judymowej i zadawał jakieś pytania, a gdy ona wciąż jednak skromnie milczała, wrzeszczał coraz głośniejsze. Używał tak z kwadrans. Wreszcie trzasnęła drzwiami i wyszedł.

Ledwie Judymowa zdołała oddać się uczuciu szczęścia, znowu wrócił z całymi gaściami liści. Kładł je na stole i błyskając białkami oczu, co kilka słów powtarzał:

– *U se!*¹⁰

Nie wiadomo skąd jej taka chęć przysła, dość że zaczęła ziewać. Osłaniała wprowadzie usta ręką, ale jegomość widział to i doświadczał paroksyzmu furii, bo trząsł się cały i tupał nogami. Przyglądała mu się uważnie, od stóp do głów, poprzysięgając sobie w duszy, że gdyby tak, co daj Boże, drugi raz wyszedł z izby, to już nie głupia otwierać mu drzwi z klucza. W istocie awanturnik wyskoczył, krzycząc jeszcze na schodach. Co tchu zamknęła drzwi, położyła się do łóżka i przykryła pierzyną. Tak w półsennym odurzeniu leżała ze dwie godziny, aż ją znowu zbudziło stukanie we drzwi. Był to Wiktor w towarzystwie owego złego Szwajcara i dzieci.

Wiktor coś bąkał, ale prędzej dla okazania żonie, jak się to rozmawia po niemiecku, niż dla wyjaśnienia sprawy.

– Czegóż ten od nas chce, Wiktor? – spytała Judymowa.

– A to nasze dzieci obdarły mu wino.

– Co za wino?

– Wiesz, oni tu mają winne krzewy na ścianach... Ten biurger¹¹ miał całutki front domu pokryty. Przyszedł Franek z Karolą, wzięły i obdarły wszystkie liście, powyrywały badyle ze ziemi. No i trzęsie hajba morowe powietrze ze złości.

– Po cóżecie wy toto zrobiły?

– Wielkie święto, że my liście urwali! – zaperzył się Franek. – Masz mama o co piekło robić...

– Ten hajb¹² mówi, że tu już do ciebie przychodził – rzekł Wiktor do żony.

¹⁰ *u se* (niem.) – precz

¹¹ biurger (z niem.) – obywatel, mieszczanin

¹² hajb (z niem.) – cham

– A przychodził. Nawet dwa razy. Gadał sobie coś, ja słuchała. Wygadał, co wiedział, i poszedł.

– Ech, już z tym narodem to człowiek nigdy do ładu nie dojdzie. To prawdziwy kryminał ten kraj! Tu o godzinie dziesiątej wieczorem już ci nie wolno we własnym mieszkaniu tupnąć obcasem w podłogę, bo się cały dom zleci. Nie wolno ci rozmówić się z drugim głośniej, nie wolno ci w kuchni trzymać wiązki drzewa, palić ognia, jak wiatr wieje, nie wolno chlusnąć naftą dla podpalenia w piecu, bo zaraz dwadzieścia pięć franciszków kary – diabli wiedzą, co tu wolno...

Szwajcar tymczasem wciąż do nich gadał. Judym wytłumaczył żonie, że on się tak dopytuje, po co te dzieci zrobiły mu taką krzywdę, żeby niszczyć dojrzewającą gałąź winną. Kto ich tego nauczył, żeby takimi łotrami być już w dzieciństwie.

Sprawa została odłożona do późniejszego czasu, gdyż sam Judym nie rozumiał dobrze, co tamten gada. Wiedział tylko, że z tego mieszkania stanowczo go wyleją i że drugiego w mieście bezwarunkowo nie znajdzie. To go wprawiało we wściekłość. Przeklinał hajbów na czym świat stoi, wymyślał im po polsku i po szwajcarsku.

Wreszcie rzekł do żony:

– Ja ci otwarcie powiem, że ja tu nie myślę siedzieć.

– Gdzie?

– A tu.

– Cóż ty znowu gadasz?

– Ja rznę do Ameryki.

– Wiktor!

– To jest niewola, nie kraj! Zarabiam tu wprawdzie więcej niż w Warszawie, ale wiesz ty, ile przy Bessemerze płacą w Ameryce? Pisał mi Wąsikiewicz detalicznie. To jest dopiero pieniądź.

– Cóż ty mówisz, co ty mówisz... – mamrotała. – To my już do domu nigdy...

– Do Warszawy? Masz ci! Jakże ja mam wracać? Zgłupiałas? A zresztą po jakie sto tysięcy diabłów?

Myślał chwilę, a później mówił głośno, wstrząsając głową:

– Moja kochana, Bessemer jest wszędzie na świecie. Ja idę za nim. Gdzie mi lepiej płacą, tam idę. Mam tu siedzieć w tej dziurze? Nie ma głupich!...

W oczach Judymowej wędrowały wciąż ściany, okna i sprzęty. Upadła na poduszki jak bezwładne drewno i osłupiałymi oczyma patrzyła się w malowane deski sufitu, który się z nią dokąds, w nieskończoność, w zaświaty posuwał, posuwał...

O ZMIERZCHU

W życiu doktora Judyma zaczął się okres szczególny. Na pozór była to taka sama egzystencja, te same obowiązki, także dążności i starcia. W gruncie rzeczy jednak młody lekarz stał się jak gdyby inną osobistością. To, co czynił, czym się zajmował, było zewnętrzną powłoką jego istotnej natury, czymś niby ciało, w którego głębi wykwiłtł duch samoistny. Leczenie chorych, rzeczy szpitalne i zakładowe, wyjazdy do dworów i wsi okolicznych nie uległy zmianie, owszem, przychodziły z większą jeszcze łatwością, ale była to tylko eksploatacja żywej, kipiącej siły. Głęb duszy doktora Tomasza zajęło coś tak nowego, jak nową jest wiosna po twardej zimie.

Między jednym a drugim wschodem słońca zamknięte były jakby gaje czardziejskie, dalekie od tego świata, schowane za wysokimi murami. Ciągłe trwało to pachnące wrażenie, jakiego doznał w dniu kwietniowym, kiedy, przybywszy po raz pierwszy do Cisów, stał w oknie i patrzył w głębinę alei.

Jeszcze gałęzie drzew wysokich są nagie, szare i chude jak chrusty leszczynowe. Barwa ich sprzeczna się z dziwnym błękitem, co się kurzy i stoi tuż nad ziemią, między pniami, niby rzadki, rozwiany dymek. Zaledwie pierwsze, zmarszczone i słabe liście wyprysły z końców cienkich gałązek bzu. Ciężkie pęki jak złotolite gruzły zdają się spływać z brunatnych prętów kasztana. Słońce to płomienistym pożarem spada na wilgotną ziemię, to odlatuje do modrych królestw swoich i ginie w różnobarwnej sukni obłoków. Jasne murawy ukazały się na szarym, parującym gruncie. Pierwsze ich pióra drżą, odwracają się i chylą ku słońcu. Radosny świergot ptaków i z oddali wesołe krzyki dzieci dają się słyszeć, a cały przestwór pełen jest woni fiołków.

W tej dziedzinie wstawała z każdym wschodem słońca ostra noc duszy. Ona to sprawiła, że oczy widziały teraz wszystko z podwójną jasnością. Rzeczy i sprawy zewnętrznego świata łączyły się i rozchodziły inaczej, a wszystkie przedmioty ukazały swe fizjonomie pełne mądrości i porządku. Myśli codzienne wypadły ze swoich siedlisk i były jak młode ptaki spłoszone z gniazda, co na wszystko patrzą w zdumieniu.

Po co jest wiosna? Czemu noc przemija i czemu dnieje? Dokąd żeglują pracowite chmury, czasem niewinne jak sny dziecięce, a czasem straszliwe jak trzewia rozrąbane toporem, z których czerwona krew się leje? Dla kogo rosną kwiaty wiosenne i czemu zapach z nich się rozszerza?

Co to są drzewa i z jakiej przyczyny w biały dzień upuszczają na ziemię coś jakby noc: czarujące cienie swoje?

Wieczory, kiedy księżyc był wystawiony w jasnych niebiosach, które, jak mówi *Biblia*, są sprawą palców bożych, przemieniły się w święte misterium. Były tajemnicą niedocieczoną, do której dusza jak do skończonej formy swojego szczęścia w tęsknocie wzdychała.

O zmierzchu panna Joanna częstokroć przychodziła do parku z jedyną teraz uczennicą swoją, panną Wandą. Tam przypadkowo spotykały doktora Tomasza. Chodzili we trójkę w ciemnych alejach, rozmawiając o rzeczach obojętnych, naukowych, artystycznych, społecznych.

Był w tym szczególnie urok, że prawie nie widywali swych twarzy ani oczu. Tylko ciemne postaci, ciemne osoby, ciemne istoty, jakby same dusze... Tylko z dźwięku głosu mogli poznawać wzajemnie upragnione marzenia. Czasami, z rzadka, spotykali się w towarzystwie i wówczas, gdy usta tak samo jak w parku wymawiały obojętne frazesy, oczy prowadziły inną rozmowę, pełną zapytań, odpowiedzi, prośb, wyznań i obietnic, rozmowę stokroć wymowniejszą niż słowna.

Judym był jakby szalony na samą myśl, że zobaczy swoją „narzeczoną”. Tak ją mianował w myślach, chociaż nigdy jeszcze nie wyjawiał jej ani swojej miłości, ani prośby o rękę. A gdy mógł widzieć te oczy, w których uśmiechał się z rozkoszą cudowny wdzięk miłości, zdawało mu się, że krew zaczyna wypływać z jego serca, że słodka śmierć na podobieństwo fali oceanu otacza go i niesie do stóp tego zjawienia. Radość i słodycz tych obcowañ była tak niezrównana, że nawet wszelkie żądze cielesne tłumila.



Judym o Joasi.

Judym nie pragnął panny Joasi jako kobiety, nigdy z niej w marnieniu nie zdierał szat dziewiczych. Pachnące dymy błękitne otoczyły ją i zasłaniały od myśli pożądliwych. Nade wszystko, nad piękność, dobroć i rozum kochał w niej swoją czy jej miłość, ów zaklęty wirydarz¹, gdzie człowiek wchodzący zdobywał nadziemską zdatność pojmowania wszystkiego. Drżał na samą myśl, że jeśli tej łaski niebios, którą, Bóg jeden wie dlaczego, zobaczył na swej drodze, dotknie się woła, jeśli wyciągnie rękę i zechce ujrzeć lepiej to coś zaziemskie, to ono zginie natychmiast. A myśl o zniknięciu szerzyła w nim zimno śmierci.



Tomasz Judym:
Ciężąca mu świadomość niskiego pochodzenia.

I tak ciągle płynęły w jego sercu dwie strugi: tęsknota i trwoga. Gdy przypatrywał się wykwintnej i delikatnej postaci panny Joasi, stawała mu w oczach, jak nieodłączne widmo, suterena z ulicy Ciepłej. Wszystko zdobyte zniknęło. Pamiętał o swojej rodzinie rzemieślniczej, o ciotce, która go wychowała, o towarzyszach jej zabaw...

¹ *wirydarz* – mały ogródek z kwiatami i ziołami

Zdawało mu się, że skulony, obdarty, głodny i zdeptany, stojący na samym brzegu upodlenia, jest w ciemnej izbie piwnicznej. I oto zstępuje po schodach ciemna osoba. Słysząc cichy szelest jej sukien, pachnący szmer jej nadejścia... Z wolna schodzi, zatrzymuje się na każdym głazie. Niesie w oczach dalekowidzących przedziwne posłannictwo swojej miłości.

Wolno mu na nią patrzeć, ale jeśli się dźwignie i przemówi jedno słowo błagalne, jeśli dotknie jej ręki wyciągniętej, to wówczas nastąpi coś przeczuczanego, coś, co czyha, co czeka cierpliwie i wlepionymi oczyma patrzy na każde postanowienie.

Pewnego dnia w drugiej połowie czerwca Judym szedł do jednej z odleglejszych wiosek. Z umysłu skracał sobie drogę, idąc na przełaj ścieżkami, dla prędszego załatwienia „wizyty” i powrotu jeszcze przed zachodem słońca.

Ścieżka szła nad brzegiem rzeki, która u jednego krańca rozległej łąki w dolinie między dwoma płaskowzgórzami, wila się wśród zarośli. Dróżka ta, kryjąca się w cieniu drzew, wyciśnięta na miękkim gruncie, była tylko z wierzchu obeschnięta, a głęb jej uginąca się jeszcze pod nogą. Naokół były trawy, wikle i rokity. Judym szedł prędko, z rękami w kieszeniach i oczyma spuszczoneymi, nic prawie dokoła siebie nie widząc, gdy wtem na zakręcie drogi zobaczył pannę Joannę. W pierwszej chwili był tak oszołomiony, że nawet się z nią nie przywitał. Szedł kilka kroków, myśląc o tym, czy ona czekała tu na niego, czy to może jest sen...

Nie zdziwiłby się wcale, gdyby znikła w powietrzu jak mgła znad łąki. Nie czuł także szczęścia. Spoglądał na jej twarz bladą, pomieszaną i obojętnie zauważył, że jej prosty nosek z tej strony widziany jest jakiś inny...

Po niejakej chwili domyślił się wreszcie, że to jest jakby cud... Nie będzie czekał na nią w parku, nie będzie spieszył do chorych, nie będzie skracał sobie godzin pozostających do zmierzchu różnymi sposobami, bo ona tu jest z nim razem, sama jedna... Był w tym nawet pewien jakby zawód.

– Pani na spacer?... – rzekł, czując w tej samej chwili, kiedy mówił te wyrazy, że postępuje jak zupełny, ordynarny głupiec, bo przecie ta chwila, która mija, jest najważniejszą i będzie pamiętną w całym życiu. Ale zaraz po sekundzie tego przeświadczenia nadeszło zapomnienie o wszystkim i obojętność taka zupełna, jakby kto poprzedzając wrażenie przysypał worem piasku.

– Ja chodzę tutaj co dzień, jeżeli, rozumie się, deszcz nie pada... – odpowiedziała panna Joanna.

Judym wiedział, że skłamała. Wiedział, że przyszła w to miejsce pierwszy raz i dlatego, żeby go spotkać. Słowa jej słyszał dobrze, ale zdawało mu się, że przychodzą z jakiejś oddali. Nie rozumiał ich zresztą, zajęty radością patrzenia w jej serce.

– A panna Wanda?

– Wanda o tej porze jeździ konno z panem plenipotentem.

– Pani nie jeździ konno?

– Owszem... Bardzo lubię. I niegdyś, niegdyś... mój Boże... Teraz już nie mogę. Muszę mieć troszkę, tyłą odrobinę wady serca czy czegoś takiego, bo każda przejażdżka nabawia mię bólu tu właśnie, gdzie bije to przebrzydłe. Mam później bezsenność.

Judym, słysząc te słowa, uczył w swym sercu literalny, fizyczny ból i taki żal, taki niezgruntowany, bezbrzeżny żal, że musiał ścisnąć zęby, aby nie wybuchnąć płaczem.

– Dlaczegoż się pani nie poradziła jakiego dobrego lekarza w Warszawie?

– Ech!... Dobry lekarz nie poradzi na takie rzeczy. A zresztą, kto by tam zwracał uwagę. Nie jeździć konno – to taka łatwa rzecz do zrobienia...

– To nie jest wcale wada serca i ani cienia choroby w tym nie ma... – mówił z uśmiechem. – Zwyczajne, najzwyczajniejsze zmęczenie. Organizm nieprzyzwyczajony...

– Mój organizm?

– ...Pod wpływem forsownego wysiłku ulega na czas pewien wyczerpaniu... Może byłoby dobrze, gdyby się pani przemogła i jakie dwa, a nawet trzy razy w tygodniu bez zmęczenia, rzecz prosta, jeździła na tej siwce.

– Tak pan myśli?

– Naprawdę. Pani musi prześlicznie wyglądać na koniu...

Powiedział to zdanie bez chwili namysłu i faktycznie bez wiadomości, jaki sens mają te słowa.

– A to dopiero terapia! – rzekła panna Joanna, nie patrząc na niego. Złoty uśmiezek, najpiękniejszy z uśmiechów, otoczył jej twarz jakby blaskiem słonecznym. Brwi i wargi drgnęły wesoło. Judym przez chwilę daremnie czekał, aż usta powiedzą wyraz skrzydlaty, który chował się w tym prześlicznym uśmiechu. Nikły rumieniec jak zorza płynął po jej policzkach.

– Proszę pana – mówiła, rumieniąc się coraz bardziej – pan jeździł czasami tramwajem na Chłodną czy na Waliców?

– Jeździłem... Rozumie się... A dlaczego się pani pyta?

– Tak się tylko pytam. Kilka razy widziałam pana jadącego w tamtą stronę. Był pan wówczas troszkę inny, nie taki jak teraz. Może zresztą w cylindrze tak się pan wydawał. To było ze trzy lata temu, a może nawet więcej.

– Dlaczego pani zwróciła wtedy na mnie uwagę?

– Nie wiem, dlaczego.

– Za to ja wiem dobrze.

– Czyż tak?

– Wiem na pewno.

– Niechże pan powie, dlaczego.

– Dlatego, że...

Judym pobladł. Uczuł, jak skóra cierpnie mu na głowie i jak zimny dreszcz falą spływa przez całe ciało.

– Nie – mówił – nie powiem teraz. Kiedy indziej...

Panna Joanna zwróciła na niego oczy, przyjrzała mu się szczerym, rzetelnym spojrzeniem i zamilkła. Szli długo.

Na kresach łąki, po urwisku płaskowzgórza rozrzucone były chaty wsi, do której Judym zdązał. Droga, wąska w nizinie, zmieniała się w szeroki wygon pokryty mnóstwem kolein i wyгородzony żerdzianym płotem. Panna Joanna szła tą dużą drogą kilkadziesiąt kroków. Z nagle stanęła i mówiła:

– Pan idzie do wsi?

– Tak, do chorych.

– Ja tam już nie pójdę.

– Dlaczego?

– Nie, nie pójdę.

– Już pani wróci do domu? – pytał z żalem w głosie i oczach.

– Tak, już trzeba wracać. Zresztą... Długo pan tam zabawi?

– Nie bardzo, z jakie pół godziny.

– A tak... Ja tu poczekam. Albo lepiej...

– Panno Joanno...

– Albo lepiej tam, na kraju tego wzgórza.

– Ach, to dobrze, to śliczna, śliczna myśl!

Poszedł szybko tą drogą. Byłby biegł pędem, byłby zresztą całkiem, do licha, zaniedbał chorych. Wstrzymywał go tylko przesąd, że ona tam czeka. Gdyby nie spełnił... Ta pewność sprawiała mu rozkosz bezbrzeżną. Czuł, że jest to już zbliżenie, coś jakby schadzka, jakby umówiony czas radości wspólnej, a zarazem przesądnie cieszył się, że szczęście samo przyszło, że go nie wołał ani wypraszał.

Chciał załatwić się z chorymi co tchu, ale jak na złość przed każdą chatą, do której wchodził, zgromadzały się baby z dziećmi, chłopci z okaleczonymi palcami... Musiał ich badać i opatrywać. Był już prawie zmierzch, gdy wreszcie wybiegł ze wsi i rozpalonym wzrokiem szukał panny Joanny. Były chwile, że tracił władzę nad sobą.

– Odeszła... – szeptał, połykając łzy jak dziecko.

Zobaczył ją wówczas dopiero, gdy blisko podszedł do wzgórza. Siedziała na ziemi między ogromnymi jałowcami.

– Chodźmy nie tędy łąką, bo już mgła się ściela i wilgoć... – mówił, zbliżając się do niej.

– A którądy?

– Można przejść górą, wprost przez pola, a stamtąd brzegiem łązińskiego lasu.

– No, dobrze, tylko musimy się bardzo spieszyć, bo już noc prawie.

Weszli na szczyt urwiska i znaleźli się w polu otoczonym z trzech stron lasem.

Z dwu stron był to bór liściasty, z trzeciej – sosnowy. Słońce padało na milczącą ścianę drzew, zlocąc nieruchome kępy grabów i brzoź barwami tak żywymi, że oko chwyciło dokładne kształty liści bardzo dalekich. Za parowem, z którego wyszli, w nieskończonym oddaleniu, u kresu pól mieniących się od zboża, słońce zachodziło. Poziome jego promienie leżały na jasnych drogach, na szybach wód, zwykle skrytych, na bezbarwnych powierzchniach domostw wieśniaczych. Figury idących, Judyma i panny Joasi, rzuciły dwa cienie, jak gdyby dwa niezmierne widma ich bytów, które przed nimi idą, łączą się, zbliżają i odsuwają od siebie. Purpurawozłocisty blask przedmiotów trwał krótko. Tarcza słoneczna wlała się w ziemię i utonęła. Wówczas daleki gaj liściasty przygasł. Zaczął oddalać się, oddalać, odchodzić...

Judym wpatrywał się w tę okolicę i doznał niewytłumaczonego uczucia. Był już tam nieraz, to prawda, ale zdało mu się, że już podobne uczucie przeżył w tym samym miejscu.

Już niegdyś, niegdyś...

To jest miejsce, do którego szedł przez całe swoje długie, tułaczkie życie.

„Dlaczegoż to tak? – marzył, wpatrując się w tę dziwną polanę. – Dlaczegoż to tak?”

I oto przez chwilę, przez mgnienie żrenicy, gościło w jego wiedzeniu coś niby odpowiedź, tak jakby dźwięk słowa, które wiatr przyniósł z oddali, ale natychmiast z ucha wyrwał i rozwiął.

Część tego pola, jakby wzgardzonego przez ludzi, była zasiana. Obok ciągnęła się niwa zorana i zawleczona, co było widokiem niezwykłym o tej porze roku. Ta ziemia była jeszcze ciepła, pulchna i miękka. Nie więziła nóg, jak piasek na wydmie, lecz je ogrzewała delikatną głębią swoją. Stopy panny Joanny, obute w pantofle, zupełnie ginęły w roli. Obydwoje nie zwracali na ten szczegół uwagi, ale o nim dobrze wiedzieli.

Z szarej gleby zaczęła się dźwigać w górę jej barwa, zaczęła wchłaniać połyskujące przed chwilą kolory lasu i ślać dokoła, daleko i blisko, zmrok cichy, zmrok ciepły, zmrok wonny.

– Nie powiedziałem wtedy – rzekł Judym – dlaczego pani zwróciła na mnie uwagę, gdy jechaliśmy tramwajem w stronę ulicy Chłodnej... Otóż mnie się zdaje, że wiem.

– Pan to wie?

– Tak, wiem.

– Bardzo jestem ciekawa.

- Pani musiała wówczas po prostu przeczuć...
- Co przeczuć?
- Wszystko, co ma nastąpić.
- Cóż takiego?
- Że to ja właśnie będę mężem twoim.

Panna Joanna nie okazała zdziwienia. Szła w spokoju. Błada jej twarz wydawała się uśpioną. Judym nachylił się ku niej.

– Czy aby dobrze, czy z rozwagą pan to czyni?– mówiła cichym, głębokim głosem. – Niech pan dobrze nad tym pomyśli...

– Już wszystko przemyślałem.

To twarde oznajmienie istoty rzeczy nie wyrażało, ale dźwięk jego był tak decydujący, że panna Joasia nic nie odrzekła.

Judym teraz dopiero uczuł, jak bezgranicznie jej pragnął. Wszystko zginęło mu z oczu. Mrok wdarł się do głębi duszy i wszystko w niej zgaślił. Zdawało się, że opór miękkiej, głębokiej ziemi, w której nogi brodziły, nie ma końca, że ciągnie się setki godzin. Szary zmierzch, to pożądliwe rzekanie się światła, sprawiało dziką rozkosz. Był to niewiadomy żywioł, który zdawał się rozdymać w jakiś płomień i poprzedać tę świętą, boską, tajemną noc, jak krzyk wesoły wołający w szerokiej pustce nad ziemią.

Prawą ręką Judym objął swą „żonę” i lewe ramię jej uczuł na swej piersi, a głowę tuż przy policzku. Schylił się i zanurzył usta w bujne, wzburzone, czarne włosy dziewicze, owiane czymś pachnącym...

Łzy płynęły z jego oczu, łzy szczęścia bez granic, które zamknięte jest w sobie i którego już się nie doświadcza po wtóre.

Wzdrygnęli się, gdy stopy ich uczuły grunt twardy na skraju lasu, ale nie zwolnili kroku. W gąszczu sosen stała już ciemność jak czarny marmur, którą kiedy niekiedy niby złota żyłka przecinał lecący robaczek świętojański. Wzrok ich spostrzegał te złote nici i omijając świadomość, umieszczał piękny, nikły ich półblask na wieczne czasy w pamięci jak drogocenny skarb życia.

Było tak cicho, że słyszeć się dawał jakiś odległy, odległy szmer wody, gdzieś sączący się z upustu.

Pannie Joannie wydało się, że ten głos coś mówi, że to on woła...

Podniosła głowę, żeby usłyszeć... Wtedy uczuła na swych wargach niby rozżarzone węgle. Szczęście jak ciepła krew wpłynęło do jej serca falą powolną. Słyszała jakieś pytania, słowa ciche, święte, spod serca. W ustach swych wyrazów znaleźć nie mogła. Mówiła pocałunkami o głębokim szczęściu swym, o dobrowolnej ofierze, którą witała...



Joasia po oświadczeniach Tomasza.

SZEWSKA PASJA

Sposobem z roku na rok praktykowanym Krzywosąd załatwiał szlamowanie stawu, gdy wtem już w pierwszej połowie czerwca zjechało tyle kuracjuszków, że ukończyć roboty nie było można. Tylko z części stawu od strony rzeki muł był wybrany do głębi. Reszta przedstawiała się w postaci bagna, które woda ledwo była w stanie przykryć. Po spuszczeniu jej błotko wysychające okryło się zielonym kożuchem wodorostów i szerzyło woń ohydłą. Robotnicy pracujący przy rydlu i taczkach dostawali febry, nawet sam Krzywosąd miał gorączkę i dreszcze.

W okolicznościach tak trudnych, gdy przy obcych nie było sposobu wywozić za park furami zgniłego szlamu, Krzywosąd wpadł na myśl genialną. Nic nikomu nie mówiąc, kazał w pewnym miejscu rozkopać groblę do gruntu, wstawić w ten otwór pochyłą rynnę z desek szerokości łokcia i puścić na nią strugę wody, która sączyła się na dnie spuszczonego stawu. Utworzyło to rodzaj kaskady, która zlatywała dość bujnie do koryta rzeki. Wówczas Krzywosąd postawił kilkunastu silnych ludzi z taczkami, innych z rydlem, rozkazał im wybierać szlam, zwozić go po narzuconych deskach do rynny i rzucać w to drewniane łóżyisko strumienia. Woda pędząca z wysoka porywała szlam i niosła go w stronę Morza Bałtyckiego.

Był to figiel tak wyborny, że wszyscy zdumieni byli jego oryginalnością. Ciężkie wozy nie roznosiły po parku ciekącego szlamu, brudni ludzie nie łazili ścieżkami – i tylko sam staw cuchnął jeszcze, ile się dało. Liczono jednak, że przy wzmożonym natężeniu pracy za dwa, trzy tygodnie dno stawu obniży się i wodę można będzie wstrzymać.

Judym zatopiony po uszy w miłości nie wiedział o niczym. Gdy, idąc przez groblę do zakładu na obiad, zobaczył po raz pierwszy maszynię wodną, stanął oniemiały. Tak dalece nie rozumiał, co to ma znaczyć, że zapytał pierwszego z brzegu pracownika:

– Co to, chłopcy, robicie tutaj?

– A szlam na wodę puszczaemy, proszę pana doktora.

– Na wodę szlam puszczać?

– Juści.

– A przecież nad tą wodą stoją wasze wioski. Jakże ludzie będą bydło poili i korzystali z tej wody?

– A to nie nasze dzieło. Pan administrator kazał, my wywalamy, i spokój.

– A... skoro pan administrator kazał, to wywalajcie, i spokój.

– Tu już chłopcy przylatywały z Siekierok – rzekł któryś – prawowały się z panem, z administratorem, że, padają, w całej rzece woda zmulona, ale ich pan sklął i wygnał. Tyle wygнали.

Judym odszedł. Udał się brzegiem strumienia w zamiarze, nie bardzo zresztą wyraźnie sformułowanym, zbadania, czy w istocie woda jest zmulona. Szedł długo po łące świeżo skoszonej i z wzrastającą wściekłością patrzył na burą, gliniastą ciecz, która leniwie toczyła się w korycie rzeki.

W pewnej chwili złość ta ustała. Zastąpiło ją promienne przypomnienie czegoś miłego... Judym zapomniał o rzece. Zapomniał tak doskonale, jak gdyby stracił z oczu rzeczywistość, i sam widział senne marzenia, daleko bardziej realne i niewątpliwe niż staw, rzeka, szlam, chłopci, Krzywosąd... Dopiero w parku ocknął się i podniósł głowę.

Przy świeżo zbudowanej śluzie stał Krzywosąd i dyrektor.

Na ich widok młody lekarz uczuł wstręt fizyczny. Uczuł, jakby te dwie figury wydzielaly ze siebie ohydny fetor szlamu. Postanowił, że nie zbliży się do nich, uda, jakoby ich nie widział, i odejdzie inną drogą.

Cóż go, u stu tysięcy, obchodzą wszelkie sprawy ze szlamem! Czy ta rzecz jest jakimś ważniejszym nadużyciem w szeregu miliarda innych? Czemuz jej właśnie ma poświęcić tyle uwagi? A niech robią dziady, co im się żywnie podoba! To ich rzecz. Zamiast leżeć od dawna, niech bryka jeszcze ten chodzący cmentarz! Dość się z nim i tak nasiepał. Wykazał wszystko, co uważa za złe i dobre. Nie chcą go słuchać, robią swoje – no to niech będzie!

Szybkimi krokami szedł w swoją stronę i na samym szczycie wszelkich innych argumentów znalazł w głowie jeszcze jeden:

„To jest rola zakładu leczniczego: dostarczać najciemniejszej warstwie ludności zmulonej wody do picia. Zamiast tę warstwę... Cha, cha... Pyszna ilustracja całej afery. Ten śmierdzący szlam w rzece – to jest działanie zakładu leczniczego. Ilustracja szumnych frazesów o »roli społecznej zakładu w Cisach«”.

Nie mógł wytrzymać. Ten tylko dowcip im powie – no i basta! Powie to Krzywosądowi, nie, nie, nie Krzywosądowi! Powie dyrektorowi w żywe oczy i raz na zawsze skończy dyskusję. Będzie to ich Pyrrusowe zwycięstwo¹.

Zdawało się, jakby ten argument ujął go za kołnierz i nawrócił z drogi. Jasność faktu i logika rozumowania była tak oślepiająca, że wobec niej wszystko znikło jak cień wobec światła. Gdyby kto biciem zmuszał Judyma w owej chwili do wyśzukania argumentu, który by osłabił siłę konceptu o tej mniemanej roli zakładu, nie wydusiłby z niego ani jednej myśli. Dyrektor i Krzywosąd widzieli zbliżenie się młodego asystenta, ale udawali, że prowadzą ze sobą dyskurs ważniejszy niż

¹ Pyrrusowe zwycięstwo – zwycięstwo osiągnięte wielkimi stratami

wszystko na świecie. Dopiero gdy witał się z nimi, zwrócili się doń nie przerywając zresztą ani na chwilę ożywionego traktatu o jakimś włosieniu do materaców. Judym długo milczał, obojętnie patrząc na chłopów unurzanych w błocie, bosych, bez ubrania, którzy pchali przed sobą wielkie taczki.

Wszystko kipiało w nim i przewracało się do góry nogami. W myśli powtarzał swój dowcip i układał go w formę literacką. Chciał to wyrazić w uwadze niewinnie zjadliwej, która by pomogła treści wejść jak lekkie uklucie, a na zawsze otruła umysły przeciwników. Rzekł wreszcie, pasując się ze sobą, żeby ani jeden dreszcz muskułu nie zdradzał wzruszenia:

- Co to panowie robią tutaj? Czy można zapytać?
- Jak kolega widzi.. – rzekł dyrektor, troszkę błady.
- Tak, widzieć widzę, ale wyznaję, że nie rozumiem.
- Wozić teraz nie można, więc Krzywosąd wymywa staw wodą.
- A... wymywa staw...

Dyrektor umilkł. Po chwili zapytał tonem zimnym i zdradzającym gniew:

- Panu się to nie podoba?
- Mnie? Owszem. Dlaczegoż miałoby mi się nie podobać? Jako motyw do rodzinnego pejzażu...
- Jako motyw do rodzinnego...

– Jest to zasada dobrego gospodarstwa, żeby zużytkować każdy środek na korzyść przedsięwzięcia. Skoro mam... – mówił Krzywosąd.

Judym, z ostentacją nie słuchając tego, co mówił administrator, powtórzył z naciskiem, zwrócony tylko do dyrektora:

– Jako motyw do rodzinnego pejzażu. Przekonałem się, że to, co częstokroć zowiemy rolą zakładu w historii okolicy, przypisywanie mu jakiegoś społecznego czy higienicznego znaczenia, jest tylko rodzimą błagą, efektem, reklamą, obliczoną na głupotę histeryczek. Dla mnie tedy jest to widok taki sam jak każdy inny.

– Nie lubię tych pańskich lekcji! Jestem człowiek stary...

– A ja jestem człowiek młody, który starcem w danej chwili żadną miarą być nie może.

– Mój łaskawy panie!

– Jestem lekarz! Uważam za rzecz ze stanowiskiem lekarza niezgodną to, co pan dyrektor pozwala czynić swemu totumfackiemu.

– Mój dobrodzieju! – mruknął groźnie Krzywosąd – rachuj no się, z łaski swej, ze słowami! Także! Totumfacki... *Nec sutor ultra crepidam*².

– No, no! daj no pokój z twoją tam łaciną... – krzyknął dyrektor. – Ja ci tu dam łacinę!

² *nec sutor ultra crepidam* (łac.) – odpowiednik polskiego powiedzenia: pilnuj, szewcze kopyta

Zwracając się zaś po chwili do Judyma, mówił z cicha, ale dobitnie:

– Pańskie admonicje nie wywrą tutaj żadnego wpływu ani na mnie, ani na nikogo.

– Wiem o tym dobrze. Ja...

– Jeżeli pan wiesz o tym dobrze, to nie rozumiem, po co się mieszasz w nie swoje rzeczy. To do pana, kochany panie, wcale nie należy.

– Czy kwestie higieny należą do pańskiego totumfackiego?

– Tu nie ma wcale ani kwestii higieny, ani tym mniej nie ma totumfackiego.

Co się panu wydaje? Gdzie Rzym, gdzie Krym? Higieny!

– Higiena jest, ale dla ludzi bogatych. Chłopy i ich bydło niech piją mół z naszego stawu. Otóż ja panu dyrektorowi krótko powiem: przeciwko temu, co się tu robi, ja kategorycznie protestuję!

– A protestuj sobie, kochany panie, ile wlezie... Ile tylko wlezie! Krzywosąd, najmiesz mi na jutro dwa razy tyle robotników co dziś.

– Panie Piórkiewicz – zawołał Krzywosąd do ekonoma – każ pan pójść komu po wsi, żeby do roboty przyszło jeszcze z ośmiu, z dziesięciu.

Zwracając się do Judyma, administrator zaśmiał się szyderczo, z całego serca, i rzekł:

– No, i cóż pan na to, panie reformatorze?

– Ja nic na to, stary ośle! – rzekł Judym spokojnie.

Krywosąd przez chwilę patrzył w niego wlepionymi oczyma. Wtem zbladł i, wznosząc pięść, o krok się posunął. Judym dostrzegł ten ruch i stracił świat z oczu. Jednym susem przypadł do Krzywosąda, chwycił go za gardziel, targnął nim z dziesięć razy, a potem pchnął go od siebie. Administrator stał tyłem do stawu. Rzucony przez Judyma, zleciał z grobli, runął w szlam i zanurzył się w rzadkie bagno, tak że ledwo go było widać. Chłopi cisnęli rydle i pospieszyli mu z pomocą.

Judym nie widział, co było dalej. Oczy mu zasły wściekłością, jak bielmem. Szedł drogą klnąc głośno, ordynarnie...



Judym kłóci się z Krzywosądem i zrzuca go z grobli – ostateczny powód dymisji i wyjazdu z Cisów.

GDZIE OCZY PONIOSĄ

Nad wieczorem oddano mu list dyrektora ze słowami: „Wobec tego, co zaszło, spieszę oświadczyć Sz. Panu, że umowę naszą, zawartą przed rokiem w Warszawie, uważam za rozwiązaną. Sługa – Węglichowski”.

Judym przeczytał to pismo z niedbałością, odwrócił się na drugi bok i sennym wzrokiem patrzył w deseń pokrowca kanapy. Wiedział doskonale, że lada chwila taki list mu przyniosą. Wmawiał w siebie, że nań ze wzgardą oczekuje.

Starał się nie myśleć o niczym, wypocząć, uciszyć się, ostygnąć i dopiero przyłożyć ręki do wszystkiego, co trzeba przed wyjazdem załatwić. Był nawet kontent ze siebie, z tego mianowicie, że się uspokaja świadomie, systematycznie. Przenikliwym wzrokiem wewnętrznym spostrzegał dygocącą chorobliwie namiętność do Cisów, która teraz musiała być zwalczona, żeby się nie mogła zmienić w coś głupiego. Przymknął powieki i zaczął usilnie wyliczać półgłosem pewne związki chemiczne. Ledwie jednak szepnął trzy nazwy, uczył pytanie, które go pchnęło z miejsca jak cios fizyczny:

„Czemu ja przed tą awanturą nie poszedłem do domu?”

Żalność ukryta w tych słowach była tak nienasycenie bolesna, tak ostra, tak wydzierająca z wewnątrz, że można ją przyrównać chyba do haka, którego koniec utkwiał w żywym płucu, drze je, a zarazem całe ciągnie za sobą. Ale kiedy jego żelazo największą szerzyło boleść, kiedy zdawało się wyczerpywać swą siłę, wtedy ukazała się jeszcze inna katusza: uśmiech panny Joasi spotkanej na łące.

W całym tym zdarzeniu Judym o niej zapomniał, a raczej nie mógł pamiętać. Teraz zjawiała się niby zdumienie bezsilne, bolesne, milczące...

„Cóż tu teraz począć? Wyjechać, rozstać się? Teraz właśnie? Dziś, jutro, pojutrze?”

Uczucie, które go wtedy opanowało na samą myśl o wyjeździe, było głupie, tchórzowskie i nędzne. Trząsał się wewnątrz ze strachu i szalał z żalu. Wszystko zerwało się w jego duszy. Męskie uczucia rozprysły się jak kupa zgonin¹, w którą podmuch wichru uderzył.

Nadszedł wieczór. Roztwarte okno wpuszczało do pokoju zapach róż kwitnących. Nad murem, który część parku otaczał, między pniami drzew, lśniła się jeszcze zorza złotoczerwona. Ciepły mrok nappełniał już pokój i wolno zaścielał uliczkę w środku grabów.

¹ zgonina – plewa

Judym spostrzegł jeszcze głąb jej czarującą i szary mur w oddali, ale w pewnych momentach tracił wszystko z oczu, jak gdyby ciemność wzrok mu wyzerała. Pomimo wszelkich usiłowań obrony zapadał coraz głębiej w jakąś nieprzeniknioną ciemnicę. Czuł to, że z nim razem idą tam wszystkie wzruszenia miłosne i że na dnie przeraźliwym zostaną w pył rozsypane. Leżał bezsilny jak drewno, doświadczając tylko dreszczu nagłych postanowień, o których w tej chwili miał dziwne wiedzenie, że zwiastują tylko obecność w duszy jakiejś nędznej choroby.

W pewnej chwili posłyszał szelest, który mu sprawił ból, jakby od ułtucia. W błękitnej tafli okna ukazała się postać kobieca. Judym bardziej po łzach płynących do serca niż siłą wzroku uczuł Joasię. Gdy stanął przy oknie i złożył jej głowę na swych piersiach, zaczęła coś mówić do niego, prędko i cicho...

Nie był w stanie tych słów pojąć, czuł tylko, że teraz dopiero ma w sobie swojego ducha. Z piersi jego wydarło się westchnienie:

– Już jutro...

– Jutro...

– Nie mogę być ani chwili, ani chwili.

– Po cóż to było, po co to było?

– Musiałem tak zrobić. To nie ode mnie zależało. Teraz mszczą się na mnie moje własne usiłowania. Gdybym był człowiekiem spokojnym, gdybym się zgodził na wszystko... „Kto zмага się ze światem, zginąć musi w czasie, by żyć w wieczności”.



Rozmowa
Judyma z Joasią,
podczas której
mówi jej, że
musi wyjechać.

Mówił to zdanie z rozkoszą, z pewnym szczególnym a przyjemnym samochwalstwem, z jakąś czułą dumą. Wtedy pierwszy raz pachnące, małe usta znalazły jego wargi i złożyły na nich cudowną pieszczotę.

– Dokąd pojedziesz? – pytała, wyrывая się z jego ramion.

– Czy ja wiem? Zapewne do Warszawy. Jeszcze o tym nie myślałem.

– A o czym?

– Zupełnie o czym innym.

– O czym?

Zamiast odpowiedzieć, wyciągnął ręce, ale w tejże chwili znikła mu z oczu. Miał pełne serce i usta najczulszej mowy... Tymczasem już ani jeden wyraz nie mógł być przez nią wysłuchany. Judym patrzył w mrok ogarniający ogród, w mrok, co zdawał się być jej żywiołem, z którego ona pochodzi, który jest nią samą. Pachnie i napęnia szaleństwem...

Długo, do późna w nocy, został sam, zatopiony w sennym oczekiwaniu, na które z ciemności zdawały się patrzeć jej oczy. W pewnej chwili ten urok zgasł, jakby spłoszony przez mokry wyziew idący z ciemnego parku. Judym przypomniał sobie, że rano ma jechać.

Nie myślał ani przez chwilę, dokąd się uda, ale znowu przyszły go szarpać parkosyzmy żalu. Zapalił lampę i martwym wzrokiem oglądał swój lokal zimowy. Były to dwie ogromne sale na parterze starego zamku.

Zostały tu w nich jeszcze niektóre ślady dawnej, zeszlowiecznej okazałości. Ściany zastawione były makatami w ramach, drzwi i okna ujęte w boazerie pełne wdzięku. Dokoła biegły stare, proste, złożone gzymsy, które tu i ówdzie rozkwitały w filigran królewskiego stylu. W kątach pokoju i między oknami błyszczały stare konsole, złożone z kilku tafel lustrzanych.

Nad pięknym kominkiem uśmiechał się w głębi starych ram portret młodej kobiety z odsłoniętymi ramionami i z uśmiechem, który do każdego widza zdawał się przemawiać: „kochaj życie nade wszystko...” Gęste i bujne zwoje włosów leżały u jej czoła jak pęki czarnych kwiatów. Purpurowe usta, jeden policzek i ramię oświetlone były jakimś blaskiem rozkosznym, niby srebrem marzycielskim księżycy. W rysach tej twarzy zamknięty był szatański czar, może miłość twórcy tego malowidła. Judym lubił patrzeć w „swój” portret. Piękne bóstwo wystawione na tym płótnie było dlań jakby siłą, która pociąga w przeszłość, w lata zamierzchłe. Ono sprawiało, że w subtelnej wizji przypatrywał się tym, co te pokoje zamieszkiwali, co tam cieszyli się i cierpieli, byli dumnymi panami, a później dokądś odeszli jak obłoki przesuujące się w górze...

Teraz, gdy światło lampy upadło na portret, na te miłe, wykwintne, przyjemne sale, na sprzęty wygodne – Judym zadrżał. Rozumiał, że nie ma siły, aby to wszystko opuścić. Każdy mebel zdawał się wychodzić z mroku i coś wspominać. Każdy z nich był jak najwierniejszy przyjaciel, który w siebie przyjął jakiś szczegół, jakąś cząsteczkę sekretu miłości dla panny Joasi, a teraz wszystko wyznawał. Tu, w tym apartamenciku, wszystko było nią samą. Ani razu w nim nie była, ale radosne marzenia i myśli pełne rozkoszy ukryły ją tutaj niby tajemniczą mieszkankę, której nigdy niczyje oczy nie zobaczą. Wiedział o niej stary portret i uśmiech jego groził się zdawał, że lada chwila rozpowie wszystkim cudowną plotkę.

Ileż niewysłownego uroku chowało jego milczenie! Mały stoliczek w rogu zarzucony książkami... Na jego widok Judym łkał i szlochał wewnątrz. Wówczas gdy wbiegł do tego pokoju z radosną tajemnicą, którą w sobie odkrył, ujrawszy Joasię na skraju leśnym, zatopiony w muzyce rozkwitającej rozkoszy siedział nad nim, podparłszy głowę rękami...

Teraz żał brał w nikczemne swe dłonie tamtą chwilę, chwilę jak prześliczne kwiaty nadobni, których siedem kielichów zawsze razem wykwita. Teraz żał obrywał i gniótł ich płatki podobne do płomienia.

Na widok tych wszystkich rzeczy Judym spostrzegł w sobie nędzne uczucie, które swój łeb obrzydły jak czoło foki wysuwało od chwili do chwili z ciemnej

głębin. Zamyślił się i, przymknawszy oczy, badał, w jakiej by formie pogodzić się z Krzywosądem, przeprosić dyrektora. Przyszła mu na myśli intrygantka Listwina, żona starego kasjera. Jej użyje...

Rzucił się na sofę i głęboko, rozpaczliwie, nikczemnie marzył, jak przeprowadzić to wszystko. Sto razy układał swój plan, swą intrygę. Wyjedzie za dwa dni, wyjedzie pojutrze. Jutro! Nie, nie jutro, za skarby świata! Przez cały dzień będzie się krzątał około tego, żeby zjednać dyrektora i tamtą jędzę. Te baby urządzają porozumienie między nim i dyrektorem. Dyrektor ze swej strony udobrucha Krzywosąda.

Gdy wróci, zacznie nowe życie. Och, moje, ciche, domowe życie! Raz trzeba skończyć z głupotą! Raz trzeba stać się człowiekiem poważnym! Cicho wezmą ślub jeszcze w tym miesiącu... I znowu odsunęło się wszystko na plan daleki. Oto spacer we dwoje po alejach. Mijają wystrojone kuracjuszki, piękne i brzydkie panie. Wszyscy zwracają na nich uwagę. Judym czuje coś podobnego jak chudopacholek, który za pan brat rozmawia z wielkim i sławnym mężem wśród tłumu, który zazdrości... Chełpi się narzeczoną, pyszni się nią, jej olśniewającą, wszechwładną pięknoscią, jej każdym ruchem, gibkim jak drzenie młodej gałęzi. Idą pośród tłumu, nikogo nie widząc, zatopieni w sobie jak w zapachu tuberozy...

Był już brzask, gdy Judym zasnął na krótko. Zbudził się przeziębły. Usiadł na łóżku i zdumionym wzrokiem patrzył dokoła siebie. Jak młyński kamień spadła wtedy na jego piersi konieczność wyjazdu. Już nie rozmyślał nad nią ani jej pragnął odsunąć, tylko zbierał w sobie siły do dzwignia.

Ze trzy godziny pakował swe rzeczy, ubranie, książki w starą walizę. Około ósmej, kiedy wózek pocztowy odchodził do kolei, był gotów. Zostawało jeszcze kwadrans czasu na śniadanie. Judym wypił filiżankę kawy w restauracji z takim pośpiechem, jakby go kto gonił, i szedł rzucić jeszcze okiem na szpital. Gdy stanął u furty tego zakładu, w który tyle włożył swych namiętności, trysło w duszy jego nowe, niewiadome źródło. Uśmiech wyniosłości otoczył mu usta, oczy nabrały lodowatego wyrazu. Z tym uśmiechem na twarzy minął salki szpitalne, prędko obejrzał chłopca chorego na tyfus i nikogo nie żegnając, wyszedł. Nie spojrzał nawet w stronę pałacu i w okna, za którymi mieszkało serce jego serca. Tylko w rogu uliczki, nim na zawsze stracił widok szpitala, odwrócił się i przez kilka sekund wpatrywał się weń przymrużonymi oczyma. Twarz skurczyła mu się od tego i spazmatycznie zadręgała. Wtedy odszedł dużymi krokami.

Już wózek pocztowy stał przed werandą zamkową i furman prosił z oddali o pośpiech. Judym szybko wbiegł do mieszkania i coś jeszcze chciał włożyć do walizy. Odpiął prędko sprzączki pasów rzemiennych, otworzył wieko, umieścił

co trzeba we właściwej przegródce i począł ją co tchu zapinać. Gdy tego dokonał, zdało mu się na chwilę, że jest nie w tym miejscu...

Jest w przedpokoju ciotki. Spieszy się na lekcje, co żywo, co żywo! Musi się spieszyć, bo, po pierwsze, od tego zależy jego życie, po drugie, może dostać złe świadectwo, po trzecie, ciotka może zauważyć, że tu jest jeszcze, może się we drzwiach ukazać i z wściekłości kopnie go nogą w zęby albo mu plunie w oczy.

Musi iść, musi iść...

Co prędzej, psie nikczemny!

Czemuż go coś w sercu tak niewysłowienie boli? Czemuż daleko gorzej niż wtedy? Zawsze i wszędzie...

I jakby cień jego osoby, na małą, na niewymownie małą miareczkę czasu stanęło przy nim coś tak wiadome, coś bliskie, coś najbardziej bliskie, coś tak bliskie jak trumna: samotność...

Zdawało się, że mówi niezrozumiałym językiem, od którego zimno przejmuje i włosy się jeżą na głowie:

– Nic, nic, ja poczekam.

Po chwili był już na bryczce. W drodze ku stacji czuł w głębi siebie zewnętrzny spokój, który był nawet przyjemny i zaciekawiający, jak pierwsze napady gorączki, z których jakaś ciężka choroba wykuita. Nie myślał o sprawach Cisowskich, nie żałował niczego. Czuł tylko nieprzewyciężony wstręt do nowych nasuwających się krajobrazów i formalną obawę stacji, wagonu, podróży. Gdy jednak znalazł się w sali dworca kolejowego, wszedł między motłoch i zapomniał o tej przykrości. W przedziale klasy drugiej, do którego się wcisnął, nie było nikogo, toteż zaraz rzucił się na wyściełaną sofę z pragnieniem snu.

Spać, spać...

Był znudzony, czuł na sobie ciężar tysiąca pudów. Ćmił jednego papierosa za drugim. Oczy jego ustały. Zwrócone na szybko chłoneły w siebie kolor nieba, czasami szczyty drzew, słupy i druty telegraficzne, zupełnie jak martwe lustra, które w sobie obraz trzymają, ale nic o nim nie wiedzą. Po szybie z góry na dół i z dołu w górę biegly nieustannie równoległe kresy drutów telegraficznych. Oto wolno, wolno idą, czają się w kierunku dolnej ramy, aż gwałtownym rzutem kryją się za nią, jakby upadały w ziemię. Po chwili wylatują stamtąd jak spłoszone ptaki i mkną w górę przez całą wysokość szyby. To znowu w jej samym środku nieruchomo stoją jakby w zadumaniu, dokąd pójść teraz...

„Jeżeli pójdą do góry... – marzy Judym – jeżeli pójdą...”

Serce jego ściska się i łka, bo ta wyrocznia w małym templum przejrzystym schyla się na dół i wolno idzie z jakimś niemy śmiechem szyderstwa.

Wtedy obwijały się koło jego duszy przywidzenia, półuczucia bezimienne, przesady, dziwy, strachy. Biegły skądś niespodziewane, jakby chropawe smugi na lustrzanej tafli wodnej. Westchnęły i przepadły... To znowu snuły się jak wodorosty, jak zielenice, jak długie żyły, z których wykwitają na powierzchni białe lilie – jak płaskie wstęgi i nici wodne, co oplątują ciało topielca, gdy tylko zachłyśnie się wodą, utraci tęgość swych ruchów i bez sił idzie na dno.

Zdają się czekać tam ze skurczonymi szponami w ciągu długich dni i nocy, ustawicznie z głębin wypatrując ogarniętego rozpaczą. Stwory te są łudząco czarowne, jakieś takie niepodobne do niczego na ziemi, głupie, bez sensu. Ni to krzewy, trawy, rośliny... Chwieją się uroczyście i dotykają wzajem śliskimi ciałami o barwie zielonej, brunatnej, żółtej. To jakby sprawały zagadkowe wiece, to jakby coś nuciły, kołysząc się w takt melodii fal płynących nad ich głowami.

Jakie są przedziwne, gdy ich postaci zaglądają w oczy topielca! Człowiek rozsądny, który je z wody wydrze i na brzegu zdychające rzuci, który je rozdzieli i zbada, widzi, że to tylko nędzne chwasty wodne. Ale ten inny, kto patrzy w ich łodygi z zielonymi włosy, z rękami, które się jak u polipa rozłazą, z wargą, która całuje, chichocząc, z oczyma zakrytymi przez kudłate, obmierzłe rzęsy...

Judym błąkał się wśród przeczuć jak topielec po dnie wody. Od chwili do chwili natężał ramiona, wstrząsał się i wypływał. Wtedy miał w oczach coś jakby widmo Joasi, w głowie szelest jej sukien, a zapach jej ust na ustach. Chwile te trwały krócej niż słowo. Zdmuchiwała je świadomość jak śmierć, za którą w te tropy szedł żal niestrudzony, jednaki, a wiekuiście nowy. Płynął z serca, zaczął się o każdy widok znikającej przestrzeni, o każdą krzewinę, co zostawała gdzieś tam bliżej Cisów – i jak pracowity robotnik ukazywał coraz większą, coraz większą odległość.

Nade wszystko wszakże były dokuczliwymi pewne podrażnienia, ślepe rzuty nerwów. Niektóre obrazy, rzeczy, myśli, ułamki rozumowań, sylogizmy, koncepty – wprost szarpały go kleszczami. Wówczas ogień najdokuczliwszej boleści parzył duszę. Płomienne szpony bezsilności wszczeptały się w nią, wywracały na nią i trzęsły. Darma samego siebie znieważał jak pijanego żebraka, który się wałęsa bez celu.

Pociąg zatrzymywał się na stacjach, biegł, znowu stawał... Judym nic o tym nie wiedział. Dopiero na wielkiej stacji, gdzie krzyżowało się kilka dróg żelaznych i gdzie trzeba było czekać całą godzinę, musiał wysiąść i wejść do sali. W tłumie uczuł się tak słabym, skrzywdzonym, bezradnym i nieszczęsnym, jak nigdy jeszcze w życiu. Jakiś sprzęt przypominał mu jego zimowe mieszkanie w Cisach, wykwinną jego ciszę i spokój. Był tym wspomnieniem wzruszony do łez. Żałował tamtych miejsc z bólem w sercu, z niemocą w rękach i nogach. Wyrzucał

sobie do nieskończoności upór, kłótniowość i zająścia, a nade wszystko – ostatnie. Z jasnowidzącym niesmakiem spostrzegał całą głupotę wszystkiego, co zrobił ostatnimi czasy. Usiłował wyrzucić to wszystko z pamięci, zatrzeć te wspomnienia. Teraz przyznawał zupełną, bezwzględną słuszość Krzywosądowi i dyrektorowi. Widział, jak rozsądnym i taktownym było postępowanie Węglichowskiego... Gdyby się w tłumie ukazały ich twarze, jakże miłym byłyby zjawiskiem! Ktoś w tłoku wymówił słowo: – „Cisy”.

Wtedy Judym nie mógł dłużej wytrzymać. Chodził między ludźmi, ściskając zęby i pięści, dusząc w piersi wybuch łkania.

W takiej chwili, jakby kłutwę, zobaczył między osobami krążącymi po sali twarz znajomą. Machinalnie odwrócił się od tego widoku i w pierwszej chwili chciał uciekać. Za żadne skarby świata nie był w możności z nikim, a szczególnie z tym człowiekiem, mówić.

Usiadł w ciemnym kącie i spod oka go śledził, żeby nie dać się poznać, a w razie konieczności twarz ukryć w dłoniach. Gotów był spełnić najdziwniejsze grubiaństwo, byleby tylko uniknąć zetknięcia.

Owym znajomym był inżynier Korzecki, wysoki, szczupły brunet, lat trzydziestu kilku. Judym spotkał się był z nim w Paryżu, a później odbywał razem przejażdżkę po Szwajcarii, gdzie Korzecki siedział dla zdrowia. W charakterze po trosze lekarza, a właściwie w charakterze ziomka i towarzysza włóczył się na swój koszt z inżynierem z zakładu do zakładu, w ciągu jakich trzech miesięcy. Korzecki był wówczas przepracowany i chory na wyczerpanie nerwowe. Mieli ze sobą długie rozmowy, a w gruncie rzeczy staczali zacięte kłótnie i, dogryzając sobie nawzajem, przez pewien czas błakali się we dwójkę. Wreszcie, po jednej z ostrzejszych dysput, rozeszli się w przeciwne strony świata: Judym wrócił do Paryża, a Korzecki do kraju.

Teraz widok towarzysza szwajcarskiego był dla doktora przykry nie do zniesienia. Tamten chodził wolnym krokiem po sali, wydalał się na peron, znowu wracał...



Korzecki:
Wygląd.

Był to przystojny mężczyzna. Wysoki, kształtny, pełen dystynkcji. Ubrany był nie tylko według ostatniego wzoru mody, ale u doskonałego krawca. Jego jasne palto i podróżna czapeczka, żółte trzewiki i ręczna walizka tak dalece wyróżniały się od wszystkiego, co było w sali, że wyglądał niby jakiś utwór cywilizacji zachodnioeuropejskiej na tle szarych kulfonów małopolskich.

Pierwszy pociąg zabrał znaczną część gości i odwiózł w którąś stronę świata. Judym nie wiedział, dokąd ci ludzie wyjechali. Było mu najzupełniej wszystko jedno, w którą stronę i do jakiego celu sam się uda. Jechał w kierunku Warszawy,

do wspólnego, wielkiego domu wszystkich tułaczów, ale kiedy tam przybędzie, czy się w drodze zatrzyma i gdzie to nastąpi z tego wcale nie zdawał sobie sprawy.

Zatopiony w sobie, nie zwrócił wcale uwagi, że Korzecki przed nim stanął. Spostrzegł się wtedy dopiero, gdy tamten mówił:

– Przeczże to szanowny eskulap ma minę tak zmachlajdezowaną²?

Judym drgnął i krzywe spojrzenie cisnął w natręta. Wyciągnął rękę i dotknął jego śliskiej rękawiczki.

– Skądże i dokąd jedziecie? – mówił wolno, w sposób prawie obelżywy.

– Ja do siebie. A wy?

– A ja... przed siebie.

– Jest to wcale oryginalny kierunek! Prowadzi niby do jakiego mieszkania, czyli też na wzór punktu poruszającego się w przestrzeni?...

Judym formalnie dławił się wyrazami. Z niechęcią, z przymusem podniósł oczy na towarzysza. Była to ta sama twarz, ale jeszcze bardziej trudna. Jak niegdyś, podobnie do dwu płomieni pełgały jej oczy. Czarne, głębokie, smutne oczy. Częstokroć zarobione do cna i upadłe, kiedy indziej świecące się od nienawiści i potęgi, jak białe kły tygrysa. Jedno z nich, lewe, było jakby większe i bardzo często całkowicie znieruchomiałe. Najszczerzy ich wyraz, najbardziej prawdziwy – był ironią. Ten wzrok nieznośny, przenikliwy jak promień Roentgena, uparty, ciężki, zapierał czasem mówiącemu dech w piersi, niby ciemny otwór lufy rewolweru raptem przystawionej do czoła. Judym bał się zawsze tych spojrzeń, bardziej niż najlepiej zbudowanych sylogizmów. Bezlitosna ich badawczość nie ufała ani jednej sentencji wypowiedzianej przez usta i zdawała się zapuszczać palce do korzeni każdej myśli, każdego wzruszenia, każdego odruchu, do tych rzeczy skrytych, jakich człowiek sam w sobie spostrzec nie ma siły. Wzrok Korzeckiego szpiegował w rozmówcy każdą, choćby najlepiej schowaną, nieprawdę, pozę, każdy drobnny fałsz. A znalazłszy taką gratkę, rzucał się z radością, z dziką uciechą i bawił się jej podrygami, jak kot myszą schwytaną w szpony. Tysiące udanych zdziwień, sfabrykowanych wylewów admiracji, chytrych podnieceń do dalszej, niewinnej błagi strzelały z jego czarnych źrenic, jakby żywym srebrem powleczonych. Aż wreszcie wypęzalo z nich wejrzenie prawdziwie szatańskie, tępy cios w piersi, który odbierał mowę i paraliżował myśli.

– Słyszałem coś, piąte przez dziesiąte, że zamieszkaliście na wsi – mówił, siadając przy stole.

– W zakładzie leczniczym...

– Ach, prawda! W Cisach.

– Tak, w Cisach.

² zmachlajdezowany – zmarnowany

– No i dobre to miejsce?
– Niezupełnie.
– Pochlebiam sobie, że jednak można wytrzymać?
– Właśnie wyjechałem stąd.
– Na długo?
– Na zawsze.
– *Voilà!*³ Na zawsze... Nie lubię tego wyrazu: „na zawsze”... Czyżby warunki rzeczowe?

– Powiem wam, Korzecki otwarcie: jestem bardzo rozklekotany. Do tego stopnia, że mi mówić trudno. Nie gniewajcie się, z łaski swojej.

– Już to zauważyłem i przepraszam. Dobrze przynajmniej, że człowiek gada otwarcie. Znam się na tym i pierzcham jak senne marzenie. Tylko jedno małeńkie słóweczko: dokąd jedziecie? Może wam trzeba pieniędzy albo czegoś w rodzaju pomocy?

– Nie, nie! Jadę, zdaje się, do Warszawy.

W tej chwili, gdy to mówił, usłyszał gdzieś niedaleko, w pobliżu siebie, głos Joasi. Serce ścisnęło się w nim i oczy zaszklily, jakby z nich życie uciekło.

– Powiem parę frazesów... – rzekł Korzecki – i odejdę. Czy można?

– Ależ mówcie.

– Otóż tak: jedź dobrodziej ze mną do Zagłębia⁴. Na krótko czy na długo – to wasza rzecz. Odpocznie ciało, odpocznie duch, rzucicie okiem...

– Nie, nie! Ja nie mogę nigdzie jechać.

– Powiem nawet więcej: w jednym przedsiębiorstwie jest tam teraz wakujące miejsce lekarza. Moglibyście ubiegać się o nie. Zresztą – to później.

– Ja do Warszawy... – mruknął Judym, sam nie wiedząc, dlaczego odrzuca tę propozycję. Mierziła go przede wszystkim niezbędność rozmowy z Korzeckim. Tamten, jakby zgadując jego myśli, mówił:

– Ja nie będę z wami ani gadał, ani się o nic rozpytywał. No?

– Nie, nie.

– Gdzież chcecie stanąć w Warszawie? W hotelu? Gdy człowiek jest zmęczony i ma z nerwami...

– Ja wcale z żadnymi nerwami nic nie mam do roboty! Jeszcze ja będę chorował na nerwy, na te jakieś głupie nerwy! Znosić nie mogę tego szafowania nerwowością...

Korzeckiemu z lekka rozszerzyły się powieki i mały uśmieszek przemknął się wskroś twarzy. Wnet znikł i jego miejsce zajął wyraz niezwykle na tym obliczu:

³ *Voilà!* (fr.) – Masz tobie! No proszę!

⁴ Zagłębie – chodzi tu o Zagłębie Dąbrowskie

głęboki szacunek i uwaga. Judym spojrzał na swego towarzysza i doznał ulgi. W istocie: dokądże pojedzie? Będzie się błakał w ulicach Warszawy, tłumiąc w sobie drgawki nienawiści i tęsknoty?

– Ależ ja wam zrobię piekło swoją osobą... – mówił głosem daleko mniej szorstkim.

– Pojedziemy w oddzielnych przedziałach, nawet wagonach, jeśli o to chodzi. Dadzą wam pokój do spania i także będziecie mogli wcale mię nie widywać.

– Cóż znowu?

– Nic znowu. Ja wiem, co mówię. Zresztą ja mam w tym pewne wyrachowanie.

– Co za wyrachowanie?

– Takie jedno.

– Ależ przecie ja już bilet kupiłem do Warszawy.

– No więc cóż z tego? Zaraz pójdę i kupię woma bilet do Sosnowca. Siedźcież tu spokojnie i martwcie się, ile wlezie w tak mały przeciąg czasu, a ja skoczę do kasy.

Judym powiódł okiem za odchodzącym i doznał przyjemnego wrażenia na widok jasnego kostiumu, który przesunął się w tłumie. Westchnienie ulgi wymknęło się z jego piersi. Przez krótką chwilę myślał o tym, co to jest Zagłębie, i pomimo całej odrazy, jaką miał dla miejsc nowych i do tego szczególnie, co może w sobie zawierać ta nazwa, wołał to niż Warszawę. Niebawem Korzecki wrócił i z ostentacją pokazał bilet, który zresztą co prędzej schował do kieszeni. Zaszedł pociąg i Judym udał się machinalnie za swym nowym przewodnikiem do wagonu klasy pierwszej. Był sam w przedziale i zaraz, usiłując o niczym nie myśleć, rzucił się na sofę. Gdy wagon drgnął i ruszył się z miejsca, doznał zupełnej przyjemności z tego powodu, że nie jedzie sam i nie do Warszawy. Nikt tam nie wchodził. Dopiero po upływie godziny wsunął się cicho Korzecki ze swą głęboką skórzaną walizką w rękę. Usiadł w drugim kącie przedziału i czytał książkę. Gdy zdjął swą płytką czapkę, Judym dostrzegł, że łysina jego powiększyła się bardzo. Rzadkie, krótko przyszyżone włosy czerniały jeszcze na ciemieniu, ale już naga skóra bieleła się manifestacyjnie. Korzecki czytał z uwagą. Na jego ślicznych ustach przewijał się od czasu do czasu wyraz zimnej pogardy, *quasi*-uśmiech⁵, taki właśnie, jak wówczas gdy z kimś pozującym na wielkość ten „cynik” prowadził ożywioną dyskusję. Oczy wlepione w stronicę maltretowały ją jak człowieka. Judym spod rzęs przyglądał się Korzeckiemu i znienacka przyszła mu do głowy dziwna myśl: co stałoby się z Joasią, gdyby została żoną takiego człowieka. Chciał w tejże chwili zobaczyć jej źrenice, chciał je sobie przypomnieć, ale oto wzrok

⁵ *quasi*-uśmiech (łac.) – rzekomo, jakby, prawie uśmiech

jego utopił się we własnych łzach, oczy i twarz jak powódź zatapiających. Leżał tak nieruchomy, z całym wysiłkiem pracując nad zdławieniem w sobie dreszczów cierpienia. W pewnej chwili uczuł gorącą chęć, istną żądzę rozmowy z Korzeckim o Joasi, wyznania mu całej prawdy, wszystkiego. Już, już miał otworzyć usta i zacząć, gdy wtem coś innego, jakaś nikła reminiscencja niosła to na dół, niby ciężka śrucina, która ugodzi ptaka szybującego przez powietrze. Zapominał o tym, gdzie jest, co się z nim przytrafia, i w stanie owej półśmierci, w stanie tęsknoty, jak mógł, się grzebał.

Około godziny piątej z południa Korzecki złożył książkę i ściągnął z półki ciężką walizkę. Przygotowując się do opuszczenia wagonu, rzekł z cicha:

– Wstawajcie, Judym, jesteście u celu.

Wyszli na peron dużej, ruchliwej stacji, minęli ją szybko i wsiedli do oczekującego powozu. Spasione konie niosły ich ostro przez miasto, powstałe jakby w ciągu tygodnia. Domy były nie tylko nowe i ordynarne, ale zbudowane byle jak, z pośpiechem. Ulicami ciągnęły się głębokie bajory i wądoły. Zeschłe bryzgi błotniste widać było na wysokości okien pierwszego piętra. Obok nowych kamienic tuliły się jeszcze stare budy i domostwa w stylu piastowskim.

Okolica za miastem sprawiała wrażenie rzeczy wciąż przetrząsanej, i to nie w tym celu, żeby ją uporządkować, lecz dla wydobycia metodą rabunku tego, co zawiera. Wszystko zostające na miejscu było resztką. Co chwila dręczyły oko jamy, rowy, kanały, ścieki.

Gdzeniedzie stała jeszcze kępa sosen, z rzadka rosnących jak żyto na piasku. Przez ten las widać było, co się z nim dzieje. Pewne przestrzenie były zarośnięte krzywą sośniną, skarłowaciałym wyrodkiem drzewa, inne – jałowcem. Ogół miejsca był pustką, nieużytkiem.



Miejsce akcji
– Zagłębie.

Na wszystkie strony biegły gościńce, drogi, ścieżki. Co pewien czas koła powozu stukały o szyny drogi żelaznej. Wszędzie widziało się kominy, kominy i dymy ciągnące w dal po lazurowym niebie.

Droga biegła obok przeróżnych zabudowań fabrycznych, które już to łączyły się w dziwne gromady, już rozpryskiwały w szeregi mieszkań ludzkich. W sąsiedztwie tych skupień ukazywały się oczom jamy ogromne, głębokie, w których stała, nie mając gdzie odpłynąć brudna, splugawiona, żółtortyza woda. Judyma widok tych dołów przyprawiał o smutek niewysłowny. Był to bolesny obraz sromoty. Nie może nigdzie odpłynąć, odejść, uciec, ruszyć się ani w tył, ani naprzód, nie może nawet wsiąknąć i bez śladu, bez pamięci, śmiercią zginąć. Nie służy już do niczego, bo ani za napój, ani za środek oczyszczenia jakiegokolwiek ciała. Nie dano jej nawet odbijać w sobie chmur i gwiazd niebieskich. Jak oko wybite, patrzy w górę ze strasliwym błyskiem, z niemym krzykiem, który goni

człowieka. Przeklęta od wszystkich, służy za zbiornik zarazy. I tak musi istnieć na swoim miejscu bez końca, bez śmierci.

W pobliżu takich wyrw wznosiły się „hałdy”, ogromne zwały piachu węglowego, tworzące istne wzgórza. Gdzieniedzie rozerwały je deszcze i burze na części i utworzyły między jedną a drugą doliny poprzeczne. Te dziwne nasypy o barwie cegły wypalanej, w których stlił się miał węglowy połączony z łupkiem, tu i ówdzie przerzynały obszar jak krwawe, zaognione obrzęknięcia tej schorzałej, zmaltretowanej ziemi.

Gdy powóz wtoczył się wreszcie na szeroką, dobrze utrzymaną szosę, ukazał się w oddali cel drogi: kopalnia „Sykstus”. Widać było jej zewnętrzne budynki, podobne do trzech zlepiionych wiatraków, okryte czarnym pyłem tak dalece, że jakieś dwie szyby u spodu jednej z tych wież drewnianych nęciły oko przychodnia miłym stalowym blaskiem. Na szczytach dwu najwyższych graniastosłupów w kłębach pary i dymu obracały się to w tę, to w inną stronę koła od wind podziemnych. Węgiel czarnymi groblami rozchodził się od zabudowań na wszystkie strony, a nad nimi wznosiły się ogromne żebra drewnianych pomostów. Z dała już słyszać było mowę kopalni. Na jednej z belek stał człowiek w grubych butach i kurcie do kolan. Był cały czarny. Coś musiał gadać, bo wywijał rękami, widocznie rozkazując ludziom, którzy w dole pracowicie sypali i sypali łopatami czarne bryły. Naokół w rowach i zagłębieniach stała woda, nie woda, jakiś płyn ciemny, bez barwy, martwo i ciężko leżący w porozdzieranej ziemi, która już nie ma siły okryć trawą swoich obnażeń. Czarne prochy wałęsały się na nią z przestworu i wszystko na jej powierzchni, co tylko słońce zasieje, wytracają. Za ogrodzeniem terytorium kopalnianego ciągnęły się rumowia kamieni zmieszanych z węglem. Dalej rozwałił się szmat czarnego miału jak łata na poszarpanej odzieży. Za nim jeżyła się chropawa przestrzeń pniaków, którą łupi burza, zjada skwar i miałki kurz pływający w powietrzu zasiewa. Te wystające resztki odziemków⁶ drzew bujnych a dawno ściętych były dla oczu Judyma niby twarze jakichś krzywd, jakichś niedoli zdławionych i wdeptanych w ziemię. Zdawały się łkać płaczem rozdzierającym i strasznym, którego nikt nie słyszy. Wszędzie, dokądkolwiek oczy wybiegły, niespodziewane „zawalisko” ciągnęło na dół te martwe grunta, których racja bytu zniweczoną została.

Judym spoglądał na nie jakby na krajobraz swej duszy. Widział doskonale wszelkie logiczne konieczności, wszystkie mądre, twórcze prawa przemysłu, ale w tej samej chwili wyczuwał bezrozumne wzruszenia płynące obok nich samopas



Miejsce akcji – kopalnia „Sykstus” w Zagłębiu.

⁶ *odziemek* – pień po ścięciu drzewa, który pozostał w ziemi

jak rzeki niespokojne, burzliwe – albo ciche, sobie tylko samym i swym własnym prawom podległe. I płakał we wnętrzu duszy swej nad tą ziemią. Jakiś łańcuch niezgłębionej sympatii spoił go z tymi miejscami. Coś widział w tym wszystkim, czego rozum nie ima i czemu wyobraźnia nie jest w możności dotrzymać kroku...

Korzecki kazał stanąć przed domem zbornym i o coś zapytał. Powóz wjechał na dziedziniec kopalni. Obok sortowni obaj z Judymem wysiedli i weszli do kantoru. Był to mały parterowy domek, zabrudzony jak odzież kominiarska. W pierwszej izbie, dokąd weszli, Judym zastał wolne krzesło pod oknem i tam usiadł. Korzecki prosił go, żeby tutaj czekał, a sam poszedł do następnej, skąd dochodziły odgłosy dyskusji, prowadzonej przez ludzi z wybornymi płucami. Stancja, w której Judym został, była pusta. W kątach groźnie sterczały dwie szafy z papierami, powleczone czarną farbą. Stół i rejestry leżące na nim okryty był kryształkami węgla wdzierającego się przez szczeliny okien, które dygotały pospołu z całym domostwem. Za szybami z hurgotem i trzaskiem pędziły „koleby” popychane na szynach przez silne robotnice. W te ruchome wagony zlatywały z rusztów sortowni bryły węglowe. Słychać było jakby grzmot nieustanny, wrzask surowy albo drgający śmiechem prostaczym.

Lampa elektryczna, przytwierdzona do stołu, zaczęła się słabo żarzyć. Głowa Judyma upadła na splecione ręce. To światło wniosło do jego serca uczucie przeźrażliwej bolesti. Zdało mu że to przez jego barki lecą wagony, że na jego głowę spadają czarne, połyskujące bryły o kantach ostrych jak siekiera. Dziki wrzask robotnic, krzyk dozorców, nieopisany łoskot, jaki wydają sita sortowni, i wpośród tego wszystkiego rozlegający się co pewien czas jęk dzwonka, gdy szala windy szła w przepaść sztolni... Spadało to na niego jak głosy upiórów. Szczególniej dźwięk dzwonka... Przeraźliwy, jakiś stłumiony, a sięgający do samego serca, prawdziwie głos na trwogę – miał w sobie coś z ludzkiego jęku, niby owa *vox humana*⁷ w organie fryburskiej katedry.

Judym nierychło dźwignął głowę i spostrzegł przed sobą atrament, pióro i jakiś skrawek szorstkiego papieru. Zaczął pisać krzywymi literami: „Joasiu, Joasiu! Cóż pocznę bez Ciebie! Życie moje zostało przy Tobie, całe serce, cała dusza. Zdaje mi się ciągle, że ktoś z nas umarło, a drugie błąka się po ziemi wśród nieskończono- cmentarza... W duszy mojej jęczy przeraźliwy dźwięk dzwonu. Jak jąkała wymawia sylaby pewnego wyrazu, którego dosłyszeć nie mogę...”

Przerwał, czując, że nie pisze tego, co jest w istocie, że prawdy samej, bezwzględnej, narywającej w sercu, nie sposób zeznać słowami. Gdy tak siedział nad papierem zgarbiony, odczuł, że ktoś nad nim stoi. Był to Korzecki. Judym podniósł się z krzesła i wtedy dostrzegł, że tamten zna jego tajemnicę.

⁷ *vox humana* (łac.) – głos ludzki

– Przebaczcie – rzekł Korzecki – rzuciłem mimo woli okiem na papier, nie przeczuwając, że list piszecie. Czytałem tylko pierwsze wyrazy.

– To nie był list! – mruknął Judym.

Rozdarł papier na kilka części i schował je do kieszeni.

– Przepraszam was! – mówił Korzecki miękkim, delikatnym głosem, jakiego Judym jeszcze nigdy w jego ustach nie słyszał.

– Czy tu zostajemy?

– Ale gdzież tam! Jedziemy dalej.

– A dokąd?

– Do mnie. Ja tu przecie nie mieszkam. To wy się tu może z czasem przyczepicie. Po drodze rzucimy okiem na lecznicę.

– A do was daleko?

– Trzy wiorsty drogi. Jesteście znużeni?

– Dosyć. Chciałbym się przespać.

– Zaraz będziemy w domu. Powiem jeszcze tylko przez telefon, żeby nam przygotowali herbatę.

– Co znowu! Nie trzeba wcale. Ja przynajmniej nic jeść nie będę. Nic do ust nie wezmę.

Powiedziawszy te słowa Judym nie wiedzieć czemu zarumienił się. Korzecki to spostrzegł i cicho wymówił:

– A jeżeli wam każę zjeść befszytk w imieniu panny Joasi?

Wziął go silnie za ramiona i ucałował w usta. Judym oddał mu uścisk, ale czuł się upokorzonym i milczał zmieszany do gruntu. Miał to gnębiące przeświadczenie, jak wówczas wobec Węglichowskiego, że staje się niewolnikiem, zależnym od czyjejś mocnej woli. Z najgłębszą odrazą pomyślał, że i sekret o Joasi, sprawa tajemna i święta, był oczywisty dla Korzeckiego, który zdawał się wszystko wiedzieć. Przyszła nawet taka sekunda, że te rozkoszne i bolesne dzieje straciły coś ze swego uroku.

W powozie Korzecki znowu zapadł w milczenie, w swoją martwą, nieruchomą zdrewniałość. Ożywił się tylko na chwilę, gdy wskazywał towarzyszowi dom w kształcie pudła, z oknami w równych odstępach i płaskim blaszanym dachem. Była to lecznica. Stał tam tłumek ludzi szarych: jeden z okiem szmatą związanym, drugi z ręką w grubym bandażu, inny z fizjonomią wyrażającą silny ból na wnętrzu. Judym widział ich wszystkich jakby przez deszcz ulewny. Myśl o tym, że może mu przyjdzie leczyć tych ludzi, zajmować się ich cierpieniami, była mu tak wstrętą jak samo cierpienie. Zastanawiał się nad tym, że niegdyś słyszał od kogoś wyraz: – motłoch. Od kogo mianowicie?... Od kogo? Zachodził w głowę,



Tomasz Judym:
Odczucia związane z widokiem pacjentów czekających przed lecznicą w Zagłębiu.

męczył się, był tuż, tuż obok zjawiska, obok wszelkich okoliczności, które towarzyszyły temu zdarzeniu... Po długich wysiłkach znalazł się w Wersalu w pokojach Marii Antoniny i usłyszał ten wyraz z ust Joasi. Jak dobrze, jak zupełnie to słowo malowało istotę rzeczy!

– Gdybyście zechcieli, to może udałoby się zająć miejsce lekarza przy kopalni „Sykstus” – mówił inżynier.

– Nie teraz, nie teraz! Muszę przez kilka dni wypocząć.

– Ja też mówię o przyszłości. Rozmawiałem z jednym wpływowym człowiekiem. Dobra by to rzecz była, gdybyście tu osiedli. Nudno tu i smutno, to prawda...

Zamilkł i przez chwilę siedział ze zwieszoną głową. Później śpiewnym szepcetem mówił do siebie: *Asperges me hyso et mundabor; lavabis me et super nivem dealbabor...*⁸ Zwrócił się do Judyma i trochę zawstydzony, z bladym rumieńcem na twarzy, tłumaczył się:

– Czasami przychodzi skądś taki obraz nieoczekiwany. Uczucie jakby spod ziemi... Właśnie w tej chwili myślałem sobie o naszym kościele. Pewien stary kościół w górach... Otyły ksiądz wychodził w białej albie, z nim dwu ludzi: organista i kościelny. Ten zapach ziół, zboża, leszczyny z młodymi orzechami, bo to 15 sierpnia! Ksiądz intonował: „*Asperges me...*” i odchodził na kościół, między ludzi, tym jakby wygonem, który tworzy się pośrodku chłopów. Krocił na prawo i na lewo, wolno wznosząc rękę. Tymczasem organista sam śpiewał. Głos jego był czysty, męski, spokojny. Ogołona twarz wyrażała skupienie, prawie surowość. Gdy śpiewał te słodkie wyrazy: „*super nivem...*”, tony jego głosu były nieco ostre, schryple. Słyszę go w tej chwili... Ach, Boże! Zazwyczaj, gdy po wtóre zaczynał werset, ksiądz wracał i wtedy krople wody święconej padały na czoła pańskie, którzy staliśmy w ławce kolatorskiej⁹. Krople wody święconej... Święte, chłodne krople... A ta melodia błagająca, ufna, ten śpiew dziecka, to westchnienie duszy prostej, która się nie boi... Czy pan nie widzi, że z głębi tych wyrazów patrzą w niebo oczy wyteżone, zalane łzami? *Lavabis me et super nivem dealbabor...*

Wieczór zapadał. W oddali widać było lampy elektryczne rozlewające dokoła siebie bladoniebieską zorzę. Dawał się słyszeć gwar oddalony. Powóz pędem wjechał w uliczkę czegoś w rodzaju mieściny i zatrzymał się przed piętrowym odrapanym domem. Judym wszedł za swym gospodarzem na górę. Mieszkanie było dość obszerne, ale puste jak psiarnia. W jednym pokoju sterczały wieszadła niby jakieś dziwaczne straszaki na wróble, w drugim tuliło się do ściany łóżko

⁸ *Asperges me hyso...* (łac.) – fragment 51. psalmu Dawida: „Pokrop mnie hyzopem, a będę oczyszczony, obmyj mnie, a nad śnieg bielszym się stanę” (51,9)

⁹ ławka kolatorska – miejsce przeznaczone dla fundatora lub ofiarodawcy na rzecz kościoła

żelazne, w trzecim stał na środku stolik kartowy i znowu łóżko oraz trocha niezbędnych gratów.

– Rozgoście się w tych salonach, jak potraficie, a ja zajmę się zdobyciem jadła tudzież napoju – żartował Korzecki, wychodząc z mieszkania.

Za chwilę wszedł człowiek czarny jak węgiel, niosąc walizy. Pocałował Judyma w rękę, licho wie z jakiej racji, i zaczął znosić z sąsiednich lokali szklanki, powyszczerbiane talerzyki, widelce, noże. Wkrótce potem zjawił się Korzecki z wiadomością, że będzie befszytk i piwo.

– Czy nie podziwiacie spartańskiej skromności tego apartamentu? – zapytał, rzucając swój kostium wykwinny.

– Będzie tu ładniej, gdy przyjdzie gospodyni... – rzekł Judym, aby tylko coś powiedzieć.

Korzecki roześmiał się głośno, zanadto głośno, z chichotem, który niemile raził. Wnet jednak umilkł i hałaśliwie począł myć się, chlustać wodą na głowę, parskać i fukać.

Gdy później wycierał twarz ostrym ręcznikiem, mówił:

– Wygłosiliście rzecz okropną. Gospodyni... cha!... cha!... Gospodyni! Co za wyraz!

– Dlaczegoż okropną? Jesteście może o rok, o dwa starsi ode mnie.

– Ale cóż to starość ma do tego? Tu nie chodzi o starość ani o młodość.

– Więc o cóż? Ba! – O cóż...

– Chcecie, to wam znajdę pannę.

– Ja sobie już sam znalazłem.

Oczy jego zabłyśły złowrogim, srebrnym blaskiem i nieruchomo patrzył w Judyma. Po kolacji siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu. Judym, aczkolwiek znużony, nie miał chęci spać, owszem, rad był rozmowie.

– Pragnąłbym – mówił z cicha Korzecki – żebyście tu osiedli na „Sykstusie”, *notabene* z czysto egoistycznych pobudek.

– A cóż wam ze mnie przyjąć może?

– Bagatela! Przecie i teraz ściągnąłem was nie dla czego innego, tylko dlatego, żebym sam coś na tym zyskał.

– No?

– Znacie mię przecie, a raczej znaliście cokolwiek przed kilkoma laty. Od tego czasu posunąłem się dzielnie w kierunku raz obranym.

– Czy wówczas kuracja szwajcarska nie pomogła?

– Gdzież tam! Pomogła. Ja i teraz jestem zdrow jak bawół. Pracuję tu przecie jako inżynier, wstaję o piątej, późno idę spać, a muszę mieć siły i zdrową głowę,

żeby temu wszystkiemu podołać. To nie o to chodzi, nie o zdrowie... jakże to powiedzieć? – zewnętrzne...

– Ech, znowu mistyczne terminy.

– Niech sobie będzie! Otóż tedy... Właśnie chciałbym, żebyście tu gdzieś byli niedaleko, z waszymi rzetelnymi oczami, z waszą szkolarską nomenklaturą medyczną, z waszą mocną duszą, duszą... nie obrażajcie się tylko!... z sutereny, z waszą nawet tajemniczą panną Joasią...

– Słuchajcie no, tylko o tym!...

– Nic, nic! Ja przecie nie mówię nic złego. Tak mi dobrze, gdy siedzicie przy moim stole!

Judym usłyszał w tym głosie to, co było we wzroku Korzeckiego: dźwięk za wysoki, który się chybotrze bezsilny w jakimś zawrotnym, niedoścignionym zenicie.

– Cóż wam jest? Powiadajcie... – rzekł do niego życzliwie. – Będę wam służył z całego serca i sił, choć wiem, że mi nieraz dokuczycie. I wyleczę was!

– Nie bójcie się tylko dokuczania, nie ma czego. Ja z wierzchu jedynie jestem pomalowany na kolor stalowego bagnetu. W środku wszystko jest kruche jak stearyna. A zresztą... *je m'en vais*...¹⁰

– Cóż to znowu ma być?

– To nic, takie sobie lokucje¹¹. Ja, proszę was, jestem zajęty pracą duchową, która powinna by się nazywać kształtowaniem woli, a właściwie – zwalczaniem strachu. Chciałbym osiągnąć tego rodzaju panowanie nad cieleskim i jego tak zwanymi nerwami, żeby nie być od niego zależnym.

– Żeby od nerwów nie być zależnym?

– No! Źle mówię?

– Bardzo źle.

– Chcę znać życie i śmierć tak z bliska, abym mógł obojętnie spoglądać na jedno i na drugie.

– To są frazesy. Człowiek tak może znać tylko życie.

– Na przykład André¹²! Ludzie, którzy wsiadali do jego balonu, znali śmierć dokładniej niż życie. Widzieli białe pola, szkliste od lodu, w blasku zorzy polarnej. Widzieli tam siebie samotnych i ją, z daleka przychodzącą. Widzieli ją przez całą zimę w ciepłych, wygodnych mieszkaniach, wśród banalnych rozmów z subtelnymi kobietami. I oto pewnego dnia wstali i wyszli na spotkanie tej nieznajomej. Żeby mógł wytworzyć w sobie taki spokój!

¹⁰ *je m'en vais* (fr.) – odchodzę

¹¹ lokucja – zwrot, wyrażenie

¹² André – szwedzki badacz terenów podbiegunowych

– Nie wiemy wcale, jakimi oczyma zaglądali w ślepie śmierci tamci ludzie. Może w nich był tylko namiętny wybuch ambicji, może wcale nie było spokoju, może była tylko żądza sławy – i strach.

– Ambicji! To mi się podoba! Umrzeć dlatego, że taka jest moja wola, umrzeć wtedy, kiedy chcę, kiedy ja chcę, ja – pan, duch, i za to, co biorę pod moją silną rękę, co ja biorę w obronę. Rozumie się, że w tym może być trocha jakiejś ambicji! Andre i jego towarzysze wykształtowali swawolę do tego stopnia, że mogli spełnić czyn zamierzony. Chodzi o to, żeby obudzić się ze snu i śmierć, gdyby stała przy naszym węzłowie, powitać z takim samym uśmiechem jak kwietniowy poranek. O, Boże! Nie bać się śmierci...

– To jest niemożliwe... To jest wbrew naturze.

– To jest tylko bezmiernie trudne. Dla innych ludzi zresztą nie jest ta sprawa ani tak ważna, ani nawet, choć to głupio brzmi, pierwszorzędna. Ale dla nas, nieszczęśników z chorymi nerwami... Można zwalczyć obawę śmierci jako takiej, jej samej; ale niepodobna, dla mnie niepodobna, zdusić obawy czegoś, bojaźni niespodziewanej, dziesiątka bezsennych nocy. Ostatnimi czasy nie mogłem spać sam jeden. Nocował u mnie w przedpokoju pewien górnik.

– Widzicie, to są chore nerwy...

– Zaraz. Ten górnik jest wcale niegłupi, raczej mądry. Rozmawiałem z nim do upadłego, żeby się poddać jego sugestii i usnąć, ale mi się wśród frazesów walił na łóżko jak kłoda. Tyle miałem pociechy, że przy mnie chrapał. Ja przez całe noce siedziałem na tej sofie. Gdybym go tak był obudził z północks, tego z przewybornymi nerwami, tego z nerwami jak stalowe liny, i powiedział mu: Człowieku, zaraz umrzesz... – widzielibyśmy, co by się z nim działo! Byłby dygotał, byłby się wił po ziemi, modlił się i mdlał ze strachu. A ja, który sam tu marzyłem w proch zamieniony, którego nerwy zdawały się błądzić po wszechświecie, ja chory, dotykałem jej palcem, wyzywałem ją na rękę, patrzyłem na nią z moją ironią jak na człowieka, którego nienawidzę. Teraz doświadczam takiego wrażenia, że gdybyście wy tu zostali w okolicy, ja mógłbym spać. Mógłbym w taką noc myśleć: tu Judym jest niedaleko. Mógłbym myśleć: wstanę rano, zobaczę go, pójde do niego...

Gdy to mówił, doktora przechodziło zimne mrowie. Jakieś uczucie niby zielony śliski wąż lazło po jego ciele. Oczy Korzeckiego jakoby patrzyły, ale właściwie wzrok ich zwrócony był do wnętrza duszy. Na ustach jego był uśmiech... Uśmiech niepojęty, a ciągnący do siebie jak błysk, który czasami można widzieć w górskiej przepaści.

W wyrazie jego twarzy nie było prośby ani żądania współczucia. Było tylko detaliczne, konkretne i umiejętne przedstawienie istoty rzeczy.

– Więc nie boicie się śmierci? – pytał Judym.

– Ja z nią walczę. Raz ja zwyciężam, kiedy indziej ona. Wówczas mam *pavor nocturnus*¹³, jak małe dziecko. Oto siedzę tu z wami, rozmawiam, jestem spokojny i wesoły. Nie wiem nawet, czy może istnieć smutek? Co to jest smutek? Nic o nim nie wiem. Jestem jak filister, którego śmiech by ogarnął, gdyby mu kto mówił, że jest na ziemi dojrzały człowiek, który się „czegoś” boi. A oto może minąć godzina i stanie nade mną to bezosobowe widmo. Zacznę się bać samotności, zacznę cierpieć tak strasznie, tak przerażająco! W języku ludzi nie ma na to imienia. *Pavor*... Tylko straszliwa muzyka Beethovena czasami roztworzy podwoje tego cmentarza, gdzie w skrwawionych dołach leżą obdarte trupy, gdzie w nocy wiecznej wyje płacz jakiejś istoty ludzkiej, która straciła rozum i błądzi, błądzi, błądzi bez końca, szukając ratunku.

– Powinniście, jak można tylko, chodzić w pole. Każdą wolną chwilę poświęcać na rozrywki. Jeździć koleją, a najgłówniejsza rzecz – unikać wszelkich wzruszeń.

– Tak: pójsz po rydel i wykopać się z błota, w którym się leży. Dla mnie na ziemi nie ma miejsca.

– Ech, z tymi tam!

– Wiem, co mówię. Ja nie mogę żyć jak miliony ludzi. Przecie nieraz uciekam na dwa miesiące w Alpy, w Pireneje, na jedną wysepkę u brzegów bretońskich. Rzucam gazety, książki, nie odpieczętuję listów... I cóż mi z tego? Zawsze i wszędzie widzę odbity świat w sobie, w mojej duszy nieszczęsnej. Gdy się nie spodzieję, wybucha tam wściekły gniew przeciw jakiejś podłości dawno widzianej, zbudzi mnie ze snu, przypomni wszystko, ukaze wszystko... Gniew bezsilny, a im bardziej bezsilny, tym większy!

– Może by zupełnie zmienić sposób życia? Rzucić wszelkie obowiązki? Wziąć się, czy ja wiem, do roli?

Korzecki zamyślił się i milczał przez kilka minut. Później mówił:

– Nie, to niemożliwe. Człowiek już do śmierci musi nosić pewien rodzaj ubrania, mieć taką a nie inną bieliznę. To darmo. Muszę zarabiać dużo. Ja nie mógłbym chadzać w tutejszym, łódzkim korcie. Musi mi go facet przynieść z zagranicy. To darmo! Potrzebuję także jeździć do Europy, widzieć w Paryżu salony wiosenne¹⁴, wiedzieć wszystko, czytać rzeczy nowe, poznawać, co się zjawia nowego w mózgu ludzkim, iść ze światem, płynąć w fali. To darmo! Ach, ja rozumiem, co mówicie. Wrócić gdzieś, tam, w moją leśną okolicę, pędzić życie

¹³ *pavor nocturnus* (łac.) – lęk nocny, strach przed ciemnością

¹⁴ salony wiosenne – coroczne wystawy sztuki w Paryżu

rolnicze, ziemiańskie, życie tych ludzi szczęśliwych, ludzi zupełnie od nikogo niezależnych! Rozumiem was. Ale to już nie dla mnie. Ja już za dużo wiem, zbyt dużo potrzebuję – a zresztą... ja mam naturę niespokojną; i tam bym sobie znalazł bałwana, z którym staczałbym walki.

– Ach, tak... – śmiał się Judym.

– Mówicie znowu: unikaj wzruszeń. Ja nie tylko unikam, ale nie mam wzruszeń. Co ja się mam wzruszać! Niech się filantrop wzrusza! Ale jakieś nie znane mi wzruszenie leży we mnie, pomimo mej wiedzy, jak złodziej, który się zakradł do mego mieszkania i wyłazi ze swej kryjówki dopiero w nocy. Podłości, nadużycia, łajdactwa, krzywdy, niedole... Przechodzę obok tego ze spokojem, z zimnym spokojem, kopię to nogą, pluję na to. Mówię sobie zawsze te najwyższe, najpotężniejsze, te boskie słowa, które z cieniów języka rodu ludzkiego On wyjął: *Co mnie i tobie, niewiasto?*¹⁵ I, nie wiedząc wcale, wlokę w sobie zarazę. Umarł tutaj przed kilkoma tygodniami mały chłopczyk, syn jednego biednego ślepcy. Przywiozłem mu był z Mediolanu czerwony kapelusik, podarunek z drogi... za franka. Tu w tym ogrodzie biegało to i skakało po całych dniach. Ta czerwona główka... Gdy się dowiedziałem, że zmarł na dyfteryt¹⁶, umyślnie wziąłem sprawy najważniejsze, robiłem plany, żeby o nim nie myśleć. No i jakoś przeszło. Aż oto raz nad wieczorem siedzę w tym fotelu... Podnoszę oczy i widzę: sunie się wzdłuż ścian czerwona plama. A w uszach słyszę ten głos wesoły. Czy ja wiem zresztą, czy to była plama? Był to smutek czerwony, smutek przerażający jak sama śmierć takiego niewinnego życia. Nadeszła noc, a w niej – moje troski. I oto bezsenność. Jedna noc, druga, trzecia, czwarta... Wyjechałem na dwa dni. Pędziłem kurierami, gdzie oczy poniosą. Stojąc w oknie, ciągle patrzyłem na krajobraz. No i, chwała Bogu, znikła czerwona plama.

Usnąłem w pewnym hotelu. Będziecie się może śmieli ze mnie, ale tak było: ta czerwona plama została pokonana, starta przez zieloną, jasnozieloną...

– Macie chore nerwy.

– O, tak. Ale ja mam także inną jeszcze chorobę. Ja mam zanadto wyedukowaną świadomość. To jest ścierwo obolałe! Nieszczęściem, katuszą jest posiadanie prawdy. Zanadto duża przestrzeń leży między nią a padołem, czyli Zagłębieniem.

¹⁵ *Co mnie i tobie, niewiasto?* – słowa Jezusa skierowane do Matki Boskiej podczas wesela w Kanie Galilejskiej

¹⁶ dyfteryt – błonica; groźna choroba zakaźna

Obudziwszy się następnego dnia rano, Judym nie zobaczył już gospodarza. Był sam w tym pustym mieszkaniu, którego nie ozdabiał ani jeden sprzęt miłszy, wytworniejszy.

Zdawało mu się, że znowu jest w Paryżu, na Boulevard Voltaire, i że otacza go cudze, przemierzone powietrze. Na ścianie izby, gdzie nocował, wisiał niewielki portret olejny człowieka z chudą twarzą, w której uderzało od razu podobieństwo do Korzeckiego.

„To musi być jego ojciec – myślał Judym. – Co za nieprzyjemna twarz! Gdyby kto chciał wymalować pychę w postaci człowieka, to mógłby za wzór śmiało wziąć to oblicze. Zdawało się, że te oczy ani na chwilę nie zwalnają widza i że ciągle maluje się w nich wyraz: ty chamie, ty obdartusie!”

Judym nie mógł usiedzieć w tym mieszkaniu. Wypił szklankę mleka, którą znalazł w sąsiednim pokoju, i wyszedł. Wlókł się ze zwieszoną głową uliczkami osady fabrycznej i przypatrywał wszystkiemu, co spotykał, z badawczą uwagą, która chyba tylko w chwilach najgłębszego smutku opuszcza człowieka z ludu.

Murowane, po większej części piętrowe domy zbite były w kupę i tworzyły niechlujne miasteczko. Jedną z ulic zajmowały dwa długie budynki, o jakich pięćdziesięciu okienkach na dole i na piętrze, przypominające owczarnię. Zewnętrzne ich mury były obłupane z dawnego, dawnego tynku i świeciły nagością szerniałych cegieł, brudem i zaciekami wilgoci.

Dokoła nich nie rośło ani jedno drzewo, nie sterczał ani jeden badył. Od frontu i z tyłu znajdowały się drzwi i sienie, przed którymi gniły kałuże pomyj i leżały kupy śmieci. Wgłębienia okien każdorazowy mieszkaniec danej izby ozdabiał jak mógł, malując je farbą jasnoniebieską albo brązową. Toteż futryny okien tworzyły istną polichromię w tym dziwnym schronisku ludzi. Tu i ówdzie wisiał biały kawałek tiulu w kształcie firanki i mokła w glinianym wazoniku jakaś zielona roślinka. Dalej, za osadą, wzdłuż szosy stały po jednej i po drugiej stronie domy, które wypada nazwać murowanymi chatami. Każdy z nich podobny był do sąsiedniego jak dwie krople wody.

Te budy, ciemne od urodzenia, gdyż nigdy ich nie tynkowano, były obezwane, chylące się ku ruinie, wyzute z jakiegokolwiek ozdoby. W głębi czarnego muru, który sypał się na wsze strony, dziwnie połyskiwały okna z szyb przepalonych, rumianych, zielonkowatych i niebieskich. Mieszkania te nosiły na

¹ *glikauf* (z niem.) – życzenia pomyślności, odpowiednik polskiego: *Szczęść Boże!*

sobie cechę a raczej piętno tymczasowości pobytu tych, co tam gościli. Nikt nie dba o ich całość, zarówno ci, do kogo należą, jak ich chwilowi mieszkańcy. Nikt nie przywiązuje się do tych izb hotelowych, gdzie wędrowiec ukrywa przed zimnem i deszczem głowę strudzoną, ale je lada chwila opuszcza, idąc dalej. Te szczególne budowle wywoływały w pamięci Judyma obraz miasteczek niegdyś widzianych na włoskim zboczu Alp w okolicach Bellinzony, Biasca i Lugano. Mieszkał tam jak i tu człowiek zgłupiały od walki z przyrodą, która mu nic nie daje prócz kromki chleba i łyka wódki, przerzucany z miejsca na miejsce, wegetujący z dnia na dzień.

Od jednej do drugiej zagrody lał znudzony pies, z najgłębszą obojętnością spoglądający na przechodnia, wlokło się babsko zniedołężniałe, w kiecce szarej koloru bagna i tułało się zamoczone, brudne i smutne dziecko. Z jednego boku szosy w dużym rowie, ujęta w twarde brzegi, żywo płynęła rzeczka. Woda jej, pompami wypchnięta z dna kopalni, była ryza, osadzająca na piasku, na badyłach trawy i odpadkach w głąb rzuconych muł rudy jakby startą cegłą. Był dzień mglisty. Prószył co pewien czas lekki deszcz. Od chwili do chwili w oczy idącego Judyma rzucał się nowy, czerwony mur z cegły albo domostwo mieszkalne, które już przed dwudziestoma laty waliło się w gruzy.

Świsty lokomotyw, we mgłę na wszystkie strony pędzących, głuche wzdychanie sygnałów kopalnianych, oddech maszyn, wszędzie, daleko i blisko, robiących, wprowadzały uczucia Judyma do jakiegoś dziwnego kraju. Nie był sobą. Nie mógł znaleźć i pochwycić swych uczuć. Żyły w nim te same, ale się z nimi coś stało.

Było mu źle, ciężko, rozpaczliwie, ale nie tylko dlatego, że nie ma Joasi. Tysiące bolesnych wzruszeń wdzierały się do jego serca. Niektóre widoki i dźwięki, zdało się, pochłonęły tęsknotę za Joasią, zżarły ją olbrzymimi gardłami, i tylko słabe, zgubione jej echo odzywa się w ich mowie.

Tak przemawiał krzyk, zupełny krzyk dzwonka kopalni, odzywający się z dala, skoro tylko z zabudowań zionęły wielkie kłęby pary i szpule na ich szczycie puszczały się w ruch swój niespracowany. Tak przemawiał turkot wagonów z węglem, pędzących po ziemi w głębi wydrążonej.

Wolno idąc szosą Judym co pewien czas mijał przecinające ją szyny. Przy jednej z takich bocznik jak przez sen widział czarnego, zestarzałego człowieka, który siedział w budzie na pół w ziemi wykopanej i mętnej, prawie oślepiłą żrenicą pilnował jakiegoś porządku. Dalej na szynach, które szły wprost w terytorium kopalni, gdzie panował nieustający ruch dużych wagonów obładowanych węglem, uwijał się inny człowiek. Ubrany w baranią czapkę, sam podobny do ruchomej kupy węgla, gdy chciał zatrzymać wagon siłą rozpędu lecący, pełen czarnych brył, skropionych z wierzchu wapnem, siadał na drąg przytwierdzony do hamulca

i podwinawszy nogi, mocą swą i ciężarem wstrzymywał koła. W duszy Judyma błąkało się dla tych ludzi przywitanie czy pozdrowienie, ale na usta nie miało siły wypłynąć.

Obchodził ich w, milczeniu. Piersi jego trzęsły się, a w nich serce. Najtajemniejsze, najbardziej istotne uczucie wewnętrzne witało w tych ciemnych i brudnych figurach ojca i matkę.

– To mój ojciec, to moja matka... – szeptały jego wargi.

Okolo szerokiego, drewnianego domu pewien człowiek zatrzymał go słowem:

– Pan inżynier prosi.

Judym wszedł do tego budynku i spotkał się z Korzeckim. Olbrzymia izba, oświetlona lampkami elektrycznymi, zastawiona jakimiś beczkami, w jednej części przecięta była balustradą jak w urzędach gminnych. Tam był stół, przy którym zasiadał starszy sztygar i dozorca. Czytano listę robotników idących do kopalni na przeciąg czasu swego zatrudnienia, czyli na szychtę. Czytanie odbywało się numerami. Zawiedły, silny Niemiec, który jednak kłął i wymyślał *expedite*² po polsku, czytał numery. Czarne figury stojące dokoła odpowiadały nazwiskami kolegów, którzy się nie stawili. Dozorca, awansowany z robotnika, huczał co chwila:

– Cicho! Milczeć! Co za hałasy! Tu nie karczma!

W drugim końcu sali rozdawano chleb. Co pewien czas nowy górnik wchodził, klękał pobożnie na środku i odmawiał modlitwę, twarzą zwrócony do stołu, zupełnie jakby się oddawał adoracji majestatu sztygarskiego.

Czasami spod powiek, niejako z głębi oblicza, błyskały białka oczu. Był to jedyny wyraz tych twarzy, jak u Murzynów. Gniew, radość, uśmiech – wszystko inne okrywała szczelna maska sadzy węglowej.

– Czy mógłbym zobaczyć kopalnię? – zapytał Judym Korzeckiego.

– Ij, dzisiaj? Co wam po tym?

– Jak to, co mi po tym!

– Zamknijcie oczy i będziecie widzieli zupełnie to samo.

– Więc nie można?

– Ale gdzież tam, można, tylko nie myślałem, żeby wam to dziś kwadrowało³.

Skoro jednak... Więc chcecie zejść?

– Chcę, chcę...

– Buła – zwrócił się inżynier do kogoś w tłumie – idź no i przygotuj tam dwa kaganki, buty dla pana, kurtę i kapelusz.

Wkrótce później weszli na dziedziniec. Znowu otoczyło Judyma wczorajsze uczucie na widok sortowni, na widok walców połyskliwych ze spiralnymi

² *expedite* (łac.) – doskonale, idealnie

³ kwadrować – opowiadać

karbami, wijących się w oku, jakby się wkręcały w oprawę swoją. Wózki z węglem, przez windę wyrzucone z głębi kopalni, stawały w maleńkich relsach i wysypywały się, pchnięte silnymi rękoma, na ruszty ze spiralnych walców. Stąd grube i kostkowe bryły zlatywały na ruszty niżej położone, a drobny miał i orzeszek węglowy sypał się w sita, które go wypychały na brzeg pochylni.



Miejsce akcji – kopalnia „Sykstus”.

Sita żelazne na wygiętych wałach, czyniące ruchy ręcznego przetaka, które wytrząsają drobny węgiel, tworzą jakby upusty dwu rzek formalnych. Rzeki te leniwie, bez końca płyną ku wyjściu nad wagonami kolei.

W sąsiedniej hali, obok szybu, Judym przypatrywał się motorowi parowemu, który obraca dwie szpule szczytowe. Na nich okręcają się liny ze stali podtrzymujące windy, z których jedna idzie do sztolni, gdy druga w górę wstępuje. Spoglądając na błyszczące cylindry, w których pracowały tłoki, Judym szukał właściwie tylko ukrytego gdzieś dzwonka...

Ubrani w grube buty, w skórzane kaftany zapięte na sprzączki, trzymając w ręku mosiężne lampy, w których płonie knot umoczony w oleju, stanęli w sali.

W pierwszej sekundzie, kiedy jej deski stojące na równi z podłogą drgnęły, Judym doświadczył takiego wrażenia, jakby mu kto ścisnął gardło. Wkrótce przyszło otrzeźwienie, szum w uszach i lekka bojaźń w sercu. Czarne belki cembrowiny migwały się w oku niby szeregi jakichś schodów nieskończonych. Gdy szala stanęła, wyszli na korytarz suchy i oświetlony lampkami elektrycznymi. Uwijało się tam mnóstwo ludzi, przychodziły i odchodziły szeregi wozów ciągnionych przez wyuczone konie. Z tych pierwszych, widnych galerii dostali się przez kręte szlaki do maszyn pompujących wodę. W ich okolicy skończyło się światło. Jedynym jego źródłem stały się odtąd kaganki niesione w ręku. Miejsce było gładkie. Spód korytarza zajmowały szyny. Po nich wędrowały ciągle szeregi wózków z fedrunkiem, ciągnione przez konie.

Drzwi, niewidoczne w ciemności, ustawione tu i ówdzie dla skierowania powietrza do tych chodników, gdzie się „nie świeci”, otwierały tajemnicze ręce ludzi zgrzybiałych, którzy na miejscu odźwiernych dokonywują żywota. Inżynier mijając takie drzwi rzucał wyraz:

– Glikau!

– Glikau! – odpowiadała ciemność.

Było w tym dźwięku coś ściskającego serce. Przywierał do mózgu obraz figur tych starców, ledwie dających się z mroku wyróżnić, tych czarnych brył, które za życia mieszkają w grobie, śnią w nim przez resztę dni swoich jak pająki, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy już na zawsze wstąpią do ziemi, kiedy wejdą w jej

zimne łono na „szychtę”⁴ wieczną. Łańcuch ciemnej niedoli przykuwa ich do miejsca. W starczym drzemaniu widzą pewno ciepłe słońce wiosenne i jasne łąki, kwiatami zasiane...

Korytarze mało różniły się między sobą. Jedne z nich były wykute li tylko w węglu, inne posiadały wręby ze ścianami z cegły, wmurowanymi dla zatamowania ognia i mokrego a syckiego piasku, który zowią „kurzawką”. Zwyczajny chodnik o stropie półokrągłym zamieniał się stopniowo na korytarz ze stemplami, na których leżały kapy podtrzymujące rodzaj sufitu, czyli „okorki”. Te korytarze doprowadziły do brzegu pochylni idącej w kierunku upadu warstw węgla. Z boku czarnej czeluści sunęła się w dół drewniana rynna, po której spychano drzewo. Obok szła stalowa czy żelazna lina wciągająca wózki.

Ciemność, ciemność gęstą od kwaśnego czadu rozświecał tylko czasem daleki ognik niewidzialnej postaci. W pewnych miejscach były tam schody, a właściwie szczeble do tarcic przybite; gdzie indziej szło się po oślizłej desce. Na dnie kopalni, w głębokości dwustu kilkudziesięciu metrów pod ziemią, zimny i wilgotny przeciąg włókł się korytarzami. Była ich tam sieć cała, w której przychodzić doświadczał bolesnego niepokoju, jaki wstrząsać musi rybą, gdy się spotyka z gęstymi okami matni. Szli w jakimś kierunku, który wydawał się stroną prawą, do lochu dźwigającego się w górę pochyło a stromo i tworzącego ślepą sztolnię. Wkrótce musieli schylić się w pałąk, gdyż piętro było tak niskie, że pod nim ledwo mógł się przesunąć wózek z „urobkiem”. Gdzieś daleko, jakby u szczytu tej góry, widać było chodzące z miejsca na miejsce bladożółte światelka. W zakłęstej komorze, która się nagle znalazła, słychać było pracę kilku ludzi.

– Glikauf! – rzekł Korzecki.

Odpowiedziano chórem przyjaznymi głosami, które dziwne i głębokie zrobiły na Judymie wrażenie.

„Glikauf, glikauf...” – mówił do nich i on w głębi duszy.

Właśnie wtedy przerwało jakby tamę swoją nowe źródło tęsknoty za Joasią, tęsknoty tak bolesnej, bardziej bolesnej niż w chwili pożegnania...

Górnicy w czarnych „kapach”⁵ i w „berglederach”⁶ nabijali prochem, grubym jak ziarna kukurydzy, długie tuleje papierowe. Otwory w miejscach właściwych już były wyświdrowane długimi „laskami” ze stali, o zakończeniach podobnych do grotów piki. Gdy ładunek został nabity, lont weń włożony i przystemplowany z wierzchu szczelnie gruzem za pomocą stępora, jak nabój w lufie – jeden z pra-

⁴ szychta – zmiana

⁵ kapa – belka podtrzymująca sufit

⁶ bergleder – górniczy pas skórzany

cowników zapalił dwa żygadła⁷, drugi – dwa, trzeci – dwa. W mroku gęstym od pyłu i dymu ukazały się niby jakieś niebieskawe strugi cieczy sączącej się od góry. Płomyczki doszły do muru – i znikły.

Wówczas drabiny szybko odstawiono i wszyscy z pośpiechem weszli do sąsiedniego chodnika. Tam czekali z dziesięć sekund, nim się odezwał pierwszy wybuch. Prąd powietrza runął w sąsiednie galerie i komory, dźwigając na sobie ostry zapach prochu. Bryły węgla, hucząc, waliły się za przyległym filarem, a na wszystkie strony w ścianach coś sypało się z prędkim trzaskiem i szelestem, na podobieństwo stada szczurów biegających za makatami. Potem nastąpił drugi wybuch, za nim trzeci i czwarty. Dym wypełnił galerie i ciągnął leniwie do przejść, w których się „świeci”. W dali słyszał było huk ładunków dynamitowych i czuć słodkawy ich zapach.

W pewnym miejscu Korzecki przywołał kogoś po imieniu i zostawił go z Judymem, a sam odszedł. Musiał obejrzeć robotę w innej całkiem stronie. Doktor został w ciemności z widmem trzymającym swą lampę. W sąsiedztwie tego miejsca kilkunastu ludzi zajętych było podstemplowywaniem „piętra”. Chwilę obydwa z górnikami stali, nic nie mówiąc do siebie. Wreszcie Judym podniósł lampę do góry i zobaczył szerniałą twarz starego człowieka, którego siwe włosy wymykały się spod „kapy”.

– Co robią tutaj, ojczy? – zapytał.

– A caliznę⁸ wyrabiamy między chodnikami.

– Caliznę?

– Juści. Filar wybieramy. Bierzymy jedno pojęcie za drugim na długość i na szerokość, podpieramy strop słupem i dalej. Po boku stawia się „organy”... Proszę łaski... pan może i nie znajomy z kopalnią?

– A nie. Pierwszy raz widzę.

– Tak ci...

– Cóż to za organy?

– To zaś są kłody na sztorc stawiane, żeby służyły tak jakby za ściankę. Z przodu też, od chodnika przy kończeniu śtreki⁹ drugą taką ścianę się buduje, a zostawia się zaś miejsce próżne, niby tak jakby drzwi. A wyrobi się całą śtrekę z okrucichów się ją wyczyści, to się dopiero te słupy zaczyna wyjmować, a inne się tnie toporem. Gdy pracowity górnik usłyszy w cichości największej pierwszy, aby maluśki trzask piętra, wtedy kilof do garści i umykaj z pojęcia! Ziemia się urwie w tym miejscu

⁷ żygadło – zapalnik

⁸ calizna – pokład kopalny

⁹ śtrek (z niem.) – odcinek

i rumowiem całe to zawali. Na wierzchu, na górze zawalisko w dół wciągnie, tak jakby lej...

Judym podniósł do góry swą lampę i przyglądał się ścianom. Gładkie albo chropawe ich płaszczyzny tu i ówdzie miały na sobie rysy ostrego żelaza, jakby pismo jakieś klinowe pracowicie wyryte. Idąc z wolna obok gładkiej ściany, miał złudzenie, jakby je czytał. Ze znaków koślawych, kierujących się to w tę, to w inną stronę składała się historia tych czeluści.

Zdawało mu się, że stoi w cudownym lesie, w puszczy odwiecznej, nie sianej, przez którą nie szła jeszcze stopa człowieka. Rosły naokół olbrzymie paprocie z pniami, jakich nie obejmie trzech ludzi, skrzypy w drzewa wybijające, straszne widłaki i inne, niewidzianych form, mistycznej piękności albo potwornej brzydoty, jakieś sigillaria, odontopterydy, lepidodendrony¹⁰... Te wielkie potwory, splecione między sobą łańcuchami lian, krzewiły się na pulchnym trzęsawisku, gdzie mchy przepyszne i niewysłowione kwiaty pachniały w czarnym gorącu wieczystych cieniów. Słodkie, upalne lata wyciągały z ziemi pod chmury te pnie i gałęzie, dostępne tylko dla wzroku i skrzydeł, wilgotne, deszczowe zimy zasilają głębię na wieki. Swobodne wichry, w dalekich stepach i w śniegach łańcuchów górskich zrodzone, przylatywały bić puszcę rycząc jako szczenięta lwie.

Wtedy kołysała w łonie swoim pieśń huczącą na podobieństwo morza. Jakże często trząsał w nią piorun, a huragan ją deptał, łupił i rwał! Dzikie chmury iskrą czerwoną zapalały jej głębie śpiewające. Wtedy gorzała jak wielki stos. Ale gdy deszcz ustawał, przychodziła wieczysta młoda, lilioworamienna wiosna, jak dziewczątka szukające kochanka, i swawolnymi usty zdmuchiwała pyły roślin w ziemię rozmokłą, marzącą o cieniu konarów. Nowe morze zieleni wylewało się na ten sam grunt, przez który pędziły krzemienne kopyta ognia i szprychy jego wozu tak samo prędkie jak wichry.

I znowu na ciszę gęstwin młodej puszczy przypadał niespodziewany krzyk wojenny jaguara i rozdzierał ją wrzask, śmierć głoszący, bezlitosnego orła.

Aż oto wielkie jakieś morza w głębi lądów próżnujące wyrwały się ze swoich grobel i puściły prądy szalone, które zdjęty z korzeniem olbrzymie lasy, niosły je w pianach swych niby flotę okrętów zdruzgotaną i pchały w te zakłęsłe niziny. Tu je niezmierną masą wwalily jakby do grobu. Przykryły je warstwami gruntu zdjętymi z gór. W ciągu tysięcy lat w ciałach tych krzewów, na których gałęziach ptaki niezliczone gniazda sobie słały, ustało życie i zaczął się tajemny rozkład. Wielkie ciśnienie zapadniętych warstw, napływy wód i czas wiekami idący czyniły sprawę podziemną: stwarzanie wody z tlenu i wodoru tych cielsk obumarłych, wydobywanie z nich kwasu węglowego i tlenku węgla. Został tylko węgiel sam,

¹⁰ sigillaria, odontopterydy, lepidodendrony (łac.) – gatunki roślin, z których powstał węgiel

jedyny, w olbrzymim nadmiarze, nie mający się z czym połączyć, jak samotny duch ciemności.

Straszliwe jego cielsko martwiało, stygło i umierało w sobie samym tysiące lat. W męczarni zrastało się samo ze sobą, tuliło się do siebie jak byt przeklęty. Z dawnej budowy nic nie zostawił czas długi. Tylko jakby jedyne echo z ojczyzny, gdzie wszystko kwitło, rosło i kochało się w niebiosach – został nikły rysunek warstw pnia albo odcisk powiewnego liścia w czarnym, żałobnym kamieniu.

Dłgie prace przyrody, nie dające się myślą ogarnąć zaczyn i odczynienia, człowiek chwytą jako łup swój za pomocą pracy krótkotrwałej, chytrej i ułatwionej. Przychodzi w święte czeluście z bladym płomykiem i krótkim swoim kilofem. Siłą nędznego ramienia wyniesie to, co tu schował ocean. Bierze cały pokład do cna, od wychodni do upadu, zgrzebie okruszyny i na świat wyda. Zostawi tylko hałdę na wierzchu i próżnię w głębinie.

Ziemia nie oddaje swej pracy i swojego dorobku bez walki. Prosta i obojętna jak dziecko, od człowieka uczy się zdrady. Czyha na niego z bryłami, które ruszył, ażeby mu je cisnąć na głowę, gdy się nie obejrzy. Rozsiewa w jego komorach śmiertelne gazy i czeka, jakby w niej biło serce pana puszczy zmarłych – tygrysa. Wylewa zaskórne, niewidzialne wody. Spuszcza ciemne jeziora, od wieków nieprzeliczonych kropla po kropli zebrane, a śniące na zimnych granitach. Otwiera podziemne baseny kurzawki, którą zawaliska ruszyły, i gliniastym jej mułem napełnia galerie pracowicie wykute.

– Nie porwał was skarbnik¹¹? – zawołał znieczeka Korzecki, wynurzając się z mroku.

Poszli długim chodnikiem. Z bliska i z dala szły szeregi wózków ciągniętych przez konie. Każdy z tych pracowników włókł tak za sobą całymi latami przeklęte wozy. Gdy mijali postępującego w ciemności, odwracał na bok głowę i oczy, które już raz żółty blask światła.

Przyszli wreszcie do szybu, który ich z dna kopalni miał podrzucić o sto metrów wyżej. Woda lała się tam strugami, kapiała w szalę, ciekła po drzewie cembrowiny. Stanęli w mokrej windzie wśród ludzi wrzeszczących, przemokłych, ze złymi twarzami, i w ciągu jednego momentu wyniesieni zostali na powierzchnię górną. Szli stamtąd ciemnym i nieskończenie długim korytarzem. Było w nim zimno i wilgotno. Strop walił się tu i ówdzie, wyginał kapy i miażdżył okładziny. Śmiertelnej czarniawy nie rozświeślały nawet ogniki górnicze. Czasami tylko słyszeć się dawał odległy turkot i krzyk wozaka. I znowu z mroku wynurzał się koń-górnik, odwracał swe smutne, stęsknione, beznadziejne oczy, jakby mu był wstrętny widok człowieka i ginął w wiecznym grobie.

¹¹ skarbnik – duch strzegący kopalni

W pewnej chwili Judym usłyszał przed sobą w ciemnościach rozmowę, a raczej monolog. Ktoś mówił dobitnym głosem:

– Fuks, mówię, nie zwalone!

Chwilę trwało milczenie i znowu odzywał się ten sam głos z podwójną natarczywością:

– Nie zwalone, Fuks! Kiej nie zwalone, to nie zwalone...

Korzecki pociągnął Judyma do ściany i szeptem objaśnił, co to znaczy:

– Czasami koła jednego z wózków, szepionych między sobą, z szyn wyskoczą. Wówczas koń, imieniem Fuks, staje, gdyż nie ma siły uciągnąć, a zresztą i następne wózki zaraz się wykoleją. Poganiacz musi nadnieść i wstawić wózek w szyny. Gdy to uczyni, woła na konia, że już tę robotę wykonał. Ale nieraz przyczepi mu o jeden wózek za wiele i wówczas koń również staje sądząc, że to skutek wykolejenia. Poganiacz zapewnia go krzykiem, że „nie zwalone”, ale koń, pociągnąwszy z lekka, nie rusza się z miejsca, gdyż czuje ciężar większy niż należy. Wówczas furman musi go przekonać: idzie wzdłuż wózków aż na sam ich koniec i stamtąd dopiero jeszcze raz uroczyście krzyczy swoje: „Fuks, nie zwalone!” Natenczas biedny koń godzi się z myślą, że go wyzyskują, zbiera siły i wlecze dalej w ciemności swoją dolę. Może nawet przychodzi do świadomości, co to jest, może nawet po cichu wzdycha albo ściska zębcę, ale przystać musi na taki układ, bo gdyby marzył albo usiłował protestować za pomocą, dajmy na to, stania, toby mu poganiacz batem grzbiet wyłoił i na tym skończyłoby się polepszenie stosunków.

– No, ale wy powinniście tego zabronić... – rzekł Judym.

Inżynier podniósł wyżej swą lampę i rzekł z maltretującym, szyderczym uśmiechem:

– A, ja zabraniam, surowo zabraniam...

Po chwili rzekł jeszcze:

– Ja zabraniam, zabraniam z całej duszy, ale już nie mam siły...

PIELGRZYM

Któregoś z dni następnych Judym w towarzystwie Korzeckiego udał się do samego Kalinowicza. Była to chytra machinacja, istna konstrukcja inżynierska przedsięwzięta w celu zapoznania się z figurą decydującą.

– Któż jest Kalinowicz? – pytał Judym, zmierzając ulicą, która prowadziła do mieszkania jednej z potęg Zagłębia.

– Tego nie wiedzieć! Takich rzeczy elementarnych nie wiedzieć! No, rozumie się, że inżynier, ale wielki.

– To dopiero... Dlaczegoż dziś koniecznie mamy iść do niego!

– Dlatego, że tak rozkazuje chytrość tudzież przebiegłość.

– Zanosi się na burzę. Jest parno jak w piekle – mówił Judym. Po chwili dodał:

– Wolałbym dostać batem od ciotki Pelagii, niż iść dzisiaj z tą wizytą.

– Idźcie, będzie burza – mówił Korzecki, rozglądając się po okolicy.

Stali na wzniesieniu. W głębi leżało miasto. Były to szeregi domów jednakowych, czarnych, zadymionych. W małej stosunkowo odległości z wielkich pieców wybuchały ognie jak z krateru wulkanów. Wicher porywał ich płaty, jakby je od masy udzierał i chciał cisnąć na miasto.

Drzewa zasypane kurzem i dymem wyglądały niby robotnicy. Zieloność murawy była obleczona żalobnym pokrowcem.

Za lasami i łańcuchem wzgórz rozciągała się na horyzoncie stalowa chmura z ciemnymi w sobie dolami. Szła wolno. Leciał od niej zimny wicher. W pewnych sekundach przycichał. Zdawało się, że łązi około murów, snuje się pod płotem, zagląda do ścieków i siada na drzewach drżących wierzchołkami niespokojnie i w bojaźni. Czasami pędził w cwał środkiem bezludnych ulic z hukiem i gwizdaniem, jak najezdnicza awangarda wojsk, które z dała ciągną. Naokół widać było kominy i kominy. Waliły się z nich pochyłe dymy szarpane przez wicher.

Z wyschłych bajor, zalegających całą długość i szerokość ulic, zrywały się co chwila góry śniadego kurzu, mknęły ponad domy, ponad dziwaczne retorty fabryk i ciskały się z wysoka na mieszkania ludzkie. Te latające błota zasłaniały co chwila miasto smutne dla oczu, dziwaczne, nieprawidłowe i zimne jak geszeft¹ pieniężny.

Za nim na pewnej wyniosłości stał w cienistym ogrodzie „pałac” dyrektora. Gdy wchodzili po wąskich schodach wysłanych dywanem, Korzecki przesadnie idąc z boku, żeby zaś nie nastąpić na ten chodnik, mówił półgłosem:

– Teraz zbierzcie wszystkie siły, albowiem nadszedł czas próby...

¹ geszeft (z niem.) – interes

Wprowadzeni przez lokaja do mieszkania, znaleźli się w salonie, którego okna wychodziły na miasto. Miękki, puszysty dywan tłumił echo ich kroków. Rolki krzeseł wyścielanych atlasem ginęły w nim zupełnie i toczyły się bez szelestu. Na ścianach wisiały obrazy i sztychy w ramach niesłychanie szerokich i „bajecznie” ozdobnych.

Korzecki usiadł na fotelu ze skromną miną i przybrawszy pobożny wyraz, prezentował Judymowi oczami sufit i tapety. Idąc mimo woli za tą wskazówką, doktor zobaczył malowidło wyobrażające jakiś pejzaż z ruinami i pastuszkami.

Zanim wszakże zdążył przyjrzeć się tapetom, ozwał się we drzwiach głos gospodarza:

– Szanownego inżyniera dobrodzieja, gościa miłego a rzadkiego...

Korzecki przywitał się z wchodzącym i zaraz głosem pełnym powagi wymówił nazwisko towarzysza:

– Doktor Judym.

Gospodarz wyciągnął rękę i uściśnął podaną prawicę z ukłonem, który go ze względu na tuszę musiał kosztować nieco fatygi. Zajęli atlasowe miejsca, pograżyli nogi w miękkościach dywanu i toczyli rozmowę *de nihilo*² to jest o przedmiotach nie mających najmniejszej wartości. Mówiono o fizjonomii okolicy, o warunkach klimatycznych i higienicznych Zagłębia oraz o tym podobnych romansach. Gospodarz był to pan wyniosły i prawie otyły. Czaszkę miał nagą, błyszczącą i mocno sklepioną. Taki czerep mógłby dźwigać przyłbicę z żelaza. Nastroszone i w górę zadarte wąsy pasowały do niej także bardzo. Nos prosty, oczy duże, srogie pod krzaczastymi brwiami, znamionowały krew szlachecką silnie pulsującą w żyłach. Delikatność obejścia, miękkie ruchy zdawały się być utrudniającymi dla tej figury potężnej. Niemniej – płyty szerokie świetnego kortu, obejmujące kadłub jej i nogi, sprawiały efekt odzieży przypadkowej i tymczasowo narzuconej.

Korzecki, rozglądając się z szacunkiem po salonie, nachylił, się w kierunku jego właściciela i szepnął:

– Widzę coś nowego...

– No, co?

– Jakaś niewielka sztuczka, ale aż oczy bołą.

– Ten zegar?...

– To, to!

– Kupiłem go – rzekł dyrektor z satysfakcją ukrywaną dyskretnie – w Monachium. Szczerze mówiąc, za bezcen.

Po chwili dodał:

– Za bezcen!

² *de nihilo* (łac.) – o niczym

Wstał wkrótce i ułatwił gościom zbliżenie się do zegara *empire*³ stojącego pod kloszem na gzymsie konsoli. W istocie było to coś bardzo ładnego w skromności swych linii i naiwności płaszczyzn.

– No, a Uhde⁴ poprawiony? – żywo zapytał Korzecki.

– A jakże, a jakże! – i powiem koledze – bajecznie. Chcecie może zobaczyć?

– Ależ, jeśli łaska...

– Proszę, proszę tędy.

– Jakże panna Helena, czy wciąż jeszcze zajęta Ropsem⁵?

– A tak, ona swym Ropsem... proszę panów tędy...

Wszyscy trzej weszli do sąsiedniego gabinetu urządzonego z przepychem. Zasiadał go dywan i wypełniało mnóstwo sprzętów, nad którymi królowało niejako wspaniałe biuro. Kandelabry, figuryńki, fotografie w ramach stojących, przyciski i mnóstwo książek – piętrzyło się na nim. Ściany zawieszane były malowidłami i rysunkami, a biblioteka, rzeźbiona misternie, połyskiwała od złożonych tytułów.

– Widziałeś pan to głupestewko?

Korzecki przymrużył powieki i z wyrazem najgłębszej ciekawości badał wskazany obrazek.

– Kupiłem tę sztuczkę w Mediolanie, w tej, wiecie panowie, budzie, co to *Cenacolo Vinciano*⁶. Otóż zaszedłem tam... Był upał. Za oknem, słyszę, musztruje jakiś oficer z wrzaskiem oddział tych rycerzy, których później rozmiata jak śmiecie byle Menelik⁷... Patrzę, że kopiuje *Wieczerzę* jakiś młody włoschino. Śliczny, szelma, jak najcudniejszy obraz. Włosy na łbie wzburzone, nos, panie, usta, oczy jak u jastrzębia. Maluje, maluje... Przyskoczy do swych sztalug i tnie pędzlem, ale to w całym znaczeniu tego wyrazu – tnie. Widzę – zrobił tylko jedną figurkę, a reszta ledwo, ledwo naszkicowana. To mię, powiem panom, tak uderzyło, że tysiąc razy bardziej niż oryginał. Co za wyraz, co za twarz! Jak te oczy patrzą! To jest przecie apostoł... I nie tylko apostoł, ale człowiek, który z boleścią pyta: „Czyja cię mam wydać, Mistrzu i Panie?” Ani sposobu wytrzymać; mówię do tego malarzyka:

– *Signore pittore, quanto tego ten quadro?*⁸

³ *empire* (fr.) – styl w sztuce, który rozwinął się w czasach Napoleona I, charakteryzujący się wpływami sztuki starożytnych Greków i Rzymian, a także występowaniem motywów egipskich

⁴ Uhde – malarz niemiecki

⁵ Rops – malarz, twórca sztychów belgijskich

⁶ *Cenacolo Vinciano* (wł.) – znany fresk Leonarda da Vinci pt. *Ostatnia Wieczerza*, który mieści się w klasztorze Santa Maria delie Grazie w Mediolanie

⁷ Menelik – cesarz Abisynii

⁸ *Signore pittore, quanto... quadro?* (wł.) – Panie malarzu, ile... obraz?

– Spojrzał na mnie i mruknął, że jeszcze nie namalowane. Gadam mu, jak umiem, że mi jest wszystko jedno, pokazuję mu palcem na tego apostoła i krzyczę, że go chcę mieć i takiego, jak jest. Łypnął tylko okiem jak wilk i maluje dalej. Kiedy ja znowu do niego, warknął:

– *Mille lire...*⁹

– O – mówię – *signore pittore* to trochę *molto*¹⁰.

Wreszcie targ w targ wpakowałem bestii sześćset franków i zabrałem obraz ledwo podmalowany. Tu w domu wystrzygliśmy z córką tylko naszego apostoła, a resztę się wyrzuciło. Ale co to za fizys! Nieprawdaz?

– O tak, w istocie... Jest to coś, coś...

Korzecki nachylił się do Judyma i szepnął mu do ucha w taki sposób, że gospodarz słyszał wyrazy:

– Prawda, z jakim smakiem urządzone mieszkanie?

Dyrektor uśmiechnął się pod wąsem i mówił:

– Ech, ze smakiem... Pochlebstwa... Jakkolwiek, aby, aby... Trudnoż mieszkać po naszymu, po sarmacku.

Ośmielony słowami Korzeckiego prowadził gości do następnego salonu, który nazwał „pracownią”.

– Ale mieliśmy zobaczyć Uhdego! – przypominał pochlebca.

– Właśnie... w pracowni.

Kiedy tam weszli, na spotkanie ich wstała zza szerokiego stołu młoda panna, lat może dziewiętnastu, w sukni różowej i tak lekkiej, że dozwalała nie tyle widzieć, ile odczuwać śliczne kształty. Włosy miała jasne, prawie białe, o kolorze połyskującym świeżo heblowanego drzewa świerku – oczy błękitne, tak samo jak ojciec, tylko bez surowości i zimna tamtych. Z dała wywarła na Judyma dziwne wrażenie róży ledwo, ledwo rozkwitej. Coś pisała czy rysowała. Nieoczekiwane wejście obcych panów trochę ją zmieszało. W prawej ręce ścisnęła bezradnie ołówek i dopiero witając przybyłych, zmuszona była rzucić go na stół. Spotkanie jej w pracowni uwolniło Judyma i Korzeckiego od zwiedzania dalszych ubikacji¹¹ apartamentu.

Wrócili do pierwszego salonu. Panna Helena szła z Korzeckim, rozmawiając swobodnie i życzliwie.

Twarz jej ładna, okrągła, kwitnąca od rumieńców, które ciągle ukazują się i znikają, zwracała się w jego stronę i jasne, niespokojne oczy wpatrywały się z natarczywą ciekawością. Korzecki w jej towarzystwie spochmurniał, jakby się raptem zestarzał. Mówił głosem oziębłym, bez sarkazmu i złośliwości. Patrzył na

⁹ *mille lire* (wł.) – tysiąc lirów

¹⁰ *molto* (wł.) – dużo

¹¹ ubikacja (przest.) – jedno z pomieszczeń, pokój

nią w zamyśleniu, ale z pewnym rodzajem niechęci. Judym wysłuchując z fałszowaną uwagą zdań dyrektora o rozwoju przemysłu w Zagłębiu, słyszał urywki dialogu tamtych dwojga. Obijały się kilkakrotnie o jego uszy nazwiska: Ruskin¹², Maeterlinck¹³...

Zanim wszakże zdołał pochwycić sens tej rozmowy, wszedł do salonu młodzieńców lat dwudziestu paru i witał się z Korzeckim za pomocą silnego wstrząsania jego prawicy.

Za chwilę przedstawił się Judymowi:

– Kalinowicz.

„Zapewne syn...” – pomyślał doktor.

Młody zwrócił się do Korzeckiego z widoczną satysfakcją i zawiązał z nim rozmowę. Panna Helena przysłuchiwała się jej także, a nawet stary dyrektor zwrócił wkrótce w tamtą stronę swoje krzeselko. Judym onieśmielony i pełen dziwnego smutku słuchał szelestu wyrazów, ale uczuciami błędził daleko. Zdawało mu się, że słyszy dziwny, piękny śpiew, tak jakby jedną z pieśni Griega¹⁴, oddalającą się w górach wysokich i, szczególnie rzecz, w pewnej miejscowości na Righi, pod samotnym szczytem Dossen, gdzie był raz w życiu.

„Kto to śpiewa i dlaczego to właśnie?” – marzył, ustawiając swe nogi na puszystym dywanie w sposób, o ile to było w jego mocy, ozdobny.

– Ani myślę uznawać się za zwyciężonego! – wołał młody człowiek. – Ani trochę! Tego pan nie dowiedzie! Istnieją na pewno kryteria dobra i zła.

– A... skoro istnieją... – z cicha mówił Korzecki.

– Wiemy przecie, że niewolnictwo jest formą życia, do której wracać nie należy. Pan wiesz to samo i tak samo jak ja. I każdy człowiek...

– Więc cóż z tego?

– Nasza świadomość jest już kryterium. Dobro społeczne...

– Właśnie: dobro społeczne! Zawsze to mówimy i jakoby wiemy, co to jest szczęście i dobro społeczeństwa, ale nigdy nas nie zajmuje szczęście jednostki.

– O, to, to! Szczęście pojedynczego człowieka, jednostki... – wtrącił dyrektor, machając ręką.

– Szczęście jednostki musi być podporządkowane dobru ogółu.

– To jest właśnie mowa przemocy nad duszą człowieka... – mówił Korzecki, porozumiewając się oczyma z dyrektorem. Szatański uśmiech jak błysk isierki elektrycznej latał w jego oczach i na wargach. – Ileż to ludzi święta inkwizycja spaliła na stosie dla tej zasady, dla tego kryterium.

¹² Ruskin – angielski publicysta, krytyk, teoretyk sztuki

¹³ Maeterlinck – belgijski pisarz

¹⁴ Grieg – norweski kompozytor

– Święta inkwizycja! – pieniał się młody. – Co pan za rzeczy wywłóczy, u licha! Ale co to jest szczęście jednostki? Niech no mi pan na to odpowie! Ja tego nie rozumiem.

– Istotnie, jest to coś tak od nas dalekiego, że pan tego nawet wcale nie rozumie. Coś, czego wcale nie znamy... O czym mówił Leopardi¹⁵, że „jego lubej mary już nie nadzieja znikła, lecz pragnienie...” To jest jasna łąka, kwiatami zasłana, gdzie dusza ludzka może stawiać krok swój swobodny... Możliwość uczynku, mówienia, myślenia, a przynajmniej uczucia, przynajmniej wzdychania według swej woli. Szukanie zadowolenia...

– Rozumiem: *hedoné*.¹⁶

– Masz pociechę, znowu jakieś *hedoné*!

– Rozumie się. Ale tylko jedna uwaga. Chory umysłowo z manią prześladowczą albo jeszcze lepiej: samobójczą – szuka zadowolenia w dążeniu, na przykład, do wydłubania sobie oka. Czy mamy prawo zezwolić, żeby znalazł to zadowolenie?

– Człowiek chory umysłowo podlega fatalnej sile, która, rzecz prosta, do góry nogami wywraca jego myśli i uczucia, która... Ale, panie, jaki to zły przykład!

– Dlaczego?

– Niech sobie pan przypomni tego doktora, co to zdjął pierwszy kajdany z nóg i rąk obłąkanych¹⁷. Bo nie wiem, czy panu wiadomo, że niegdyś „kryterium” nakazywało trzymać chorego w kajdanach. Później nakładano im kaftan i zamykano w celi. Obecnie wynaleziono zasadę: *no restrain*¹⁸. Ja mam nadzieję, że kiedyś pobyt w szpitalu obłąkanych będzie prawie wolnością, że tam nieszczęsna chora głowa będzie snuła swe marzenia bez przeszkody.

– No, ja nie znam się na tych subtelnościach. Ale weźmy inny przykład: wychowanie dzieci. Najmilsze zadowolenie, gdy byłem w szkole, dawały mi „wagary”, rozkosz prawie, jakieś szczytne oszukanie belfra, jakieś „nabieranie”, „ściąganie”...

– Tak, tak... Wychowanie. Jeszcze niedawno Wincenty Pol wzdychał, a jego czytelnicy również, nad metodą kształcenia dorosłych Benedyktów Winnickich za pomocą batoga, za pomocą wysypywania im *pro memoria*¹⁹ na kobiercu. Pan już nie zgodziłby się na system pana Wincentowy?

– On nie, ale ja.... kto wie... – westchnął dyrektor.

¹⁵ Leopardi – włoski poeta

¹⁶ *hedoné* (gr.) – rozkosz, przyjemność, szczęście

¹⁷ mowa o Filipie Pinelu (1745-1826) – ojcu nowoczesnej psychiatrii; lekarz ten jako pierwszy traktował osoby chore psychicznie jako ludzi wolnych i mogących decydować o sobie, stworzył pierwszą definicję niepełnosprawności intelektualnej

¹⁸ *no restrain* (ang.) – nie ograniczać, nie wstrzymywać

¹⁹ *pro memoria* (łac.) – ku pamięci, na pamiątkę

Młody człowiek spojrzał na ojca z uśmiechem i szczególnym przymrużeniem powiek.

– Pan by się już nie zgodził. Jesteśmy stamtąd o tysiąc mil w kierunku... jasnej łąki. To samo z tym wychowaniem małych ludzi. Jesteśmy o tysiące mil od chederów, które lokują się, być może gdzieś w sąsiednim domu. Ta sprawa wychowania dzieci pędzi jak pociąg. Widziałem dobrze szkoły szwajcarskie...

– Gdzie istnieje przymus szkolny.

– Gdzie sześciolatnie dziecko z największą przyjemnością idzie do wspólnego domu zabawy. Opowiadają mu tam cudowne baśni. Zawiera tam pierwsze w życiu znajomości i doznaje tajemnych pierwszych rozkoszy poznawania. Ale i z tej szkoły myśl idzie dalej.

– A idzie dalej... Nie ulega jednak wątpliwości, że wyuczenie się abecadła, sylabizowanie i bazgrały kaligraficzne – jest to męka.

– W chederze²⁰... jeszcze jaka! Jaka piekielna!

– W szkole również. A tej torturze dziecko musi być poddane. Każde, które tylko przyjdzie na świat i dożyje wieku właściwego. Cierpienie! Wszelka praca jest cierpieniem. Cóż tu mówić! Taka sprawa higieny. Za pomocą czego mogą zwalczyć w naszych miasteczkach epidemię? Rozumie się, że za pomocą przymusu. Co czynić ze zbójami, rzeźmieszkami?

– Dajmy pokój zbójom. Ilekroć kto zbyt nastaje na różnych zbójów, takiego doznają wrażenia, jakby się o coś mścił na nich.

– Więc coś byś pan z nimi zrobił?

– Ja... ja rzekam się na to pytanie odpowiedzi.

Korzecki mówił to z oczyma płonącymi. Zdawało się, że między jego otwartymi powiekami stoją przezroczyste ognie.

– Dlaczego? – cichym głosem zapytała panna Helena.

– Dlatego, proszę pani... dlatego... Nie umiem na to odpowiedzieć.

– Dlaczego? – nastawała raz jeszcze.

– Nie umiem. Trochę mię głowa boli.

Młoda panna zarumieniała się. Usta jej drgały i wyraz upokorzenia skrzywił je na chwilę. Zapanowało milczenie dość przykre. Słychać było wycie wichru i uderzenia deszczu w szyby wielkich okien. Korzecki zdawał się tego wcale nie odczuwać. Jadowite uśmiechy mieniły się w jego twarzy. Zaczął mówić, nie podnosząc oczu:

– Myli się pan, twierdząc, że każda praca jest cierpieniem. Wcale tak nie jest. Pomijam to, że w dziedzictwie otrzymujemy po przodkach nałóg do pracy, co możemy stwierdzić na bardzo wielkiej liczbie ludzi bogatych, którzy po całych

²⁰ cheder – szkoła żydowska

dniach bezinteresownie pracują, ale weźmy... Weźmy co innego. Wszystkie poświęcenia, trudy, ofiary, bohaterstwa. Mickiewicz mówi – niech pan posłucha tych słów przedziwnie mądrych: „Przez ofiarę ducha rozumiem czyn człowieka, który otrzymawszy prawdę, utożsamiając się z nią, roznosi ją, objawia, służy jej za organ, za twierdzą i za wojsko, nie zważając na spojrzenia, na głosy i rysy nieprzyjaciela”. Otóż, czy taka „ofiara ducha” jest, czy nawet może być cierpieniem? On sam mówi że to jest „najboleśniej z wszystkich ofiar”, ale wydaje mi się, że ma na myśli tylko jej wysokość, jej wyniosłość. Człowiek, który utożsamiał się z prawdą, musi czuć radość, rozkosz, wtedy nawet, gdy został pobity. Tak przypuszczam. Wtedy nawet, gdy zastał zmiażdżony...

– To chyba paradoks... – rzekł Judym. – Zdaje mi się, że w istocie jest to najboleśniej z wszystkich ofiar.

– Nie sądzę. Taki człowiek w czynie swoim doznaje szczęścia. Objawia prawdę, którą otrzymał, to znaczy wyładowuje szczęście, które w nim jest. W tym musi leżeć takie samo zadowolenie jak w zabiegach i matactwach skąpca albo w szwindlach szachraja giełdowego.

Gdy się ta rozmowa toczyła, huczały ciągle gromy i zbliżający się łoskot burzy wstrząsał całą kamienicą. Nikt na to uwagi nie zwracał, tylko panna Helena po każdym silniejszym ataku wichru spoglądała w okna. Pociski nawałnicy biły w nie, jakby kilka pięści chciało skruszyć ramy. Było prawie ciemno. Zaczął prać deszcz ulewny, ponury i bezlitosny. Kiedy niekiedy przeraźliwy blask oświecał pokój. Wtedy wszystkie brązy, okucia, świecidła i lśniąca powierzchnie rzucały się w oczy i nagle gasły jakby wchłonięte przez szybkie westchnienie, które w głębi piersi twardy strach zapierał.

– Odbiegliśmy od przedmiotu... – rzekł młody. Głos jego wydał się czymś dziwnym w pomruku napętlającym przestwór.

– Nie odbiegliśmy wcale – mówił Korzecki, którego burza, widać, podniecała, bo mówił z jakąś wewnętrzną nagłością. – Czy dla człowieka, który otrzymał prawdę, istnieją pańskie kryteria? Czy pan postawisz je na drodze takiego człowieka?

– Rozumie się! Każdego obywatela należy przytrzymać za rękę, gdy coś przedsięwzię, i zapytać, czy działa z pożytkiem, zbadać, czy nie idzie wbrew czy nie psuje tego, co ród ludzki pracowicie zbudował.

– Na mocy takich zasad przybito Jezusa Chrystusa do krzyża. Powiedzieli mężowie: „My mamy prawo nasze i według prawa on umrzeć powinien”.

– Przez to cierpienie świat został zbawiony.

– Potęgą zbawienia nie leżała w cierpieniu, lecz w nauce.

– Więc dla pana nie istnieją żadne pewniki? Czyliż nie wiemy na pewno, że dzieciobójstwo albo chińskie mordowanie starców – to są złe rzeczy, a uczucie

solidarności między ludźmi – to jest rzecz dobra? Że mówić prawdę jest dobrze, a kłamać źle? I kto by chciał propagować ideę dzieciobójstwa albo niszczyć uczucie solidarności, powinien być usunięty...

– Że mówić prawdę jest dobrze, a kłamać – źle, tego ja, na przykład, który tu z panem siedzę w jednym pokoju, wcale nie jestem pewny. Często mówienie, a nawet wyznawanie kłamstwa jest najwyższą cnotą, zasługą i bohaterstwem. Jest ono zupełnie takie samo jak mówienie prawdy. Pozostawiam człowiekowi zupełną swobodę mówienia prawdy albo kłamania. Co jeden człowiek może wiedzieć o prawdzie albo fałszu duszy drugiego człowieka? W sercu ludzkim są takie oceany, pustynie, góry i wędrujące lodowce... Chrystus powiedział: „Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni”. Oto wszystko. A co do tych dzieciobójstw, niewolnictw, to dialektycznie pan mię pobije, bo z takich pytań wywinąć się nie zdołam. Nie mam wyjścia. Istotnie, wszyscy wiemy na pewno, że wypoliczkowanie paralityka to jest zła czynność. I kto by to uczynił, powinien być skępowany. To jest sylogizm – nie ma co. Ale czy pan sobie może wyobrazić człowieczeństwo, jakie mamy na myśli, i tego rodzaju uczynek? Szerzenie idei niewolnictwa jest niemożliwe wśród takich ludzi tak samo, jak niemożliwa to jest rzecz, żebyśmy dwaj weszli do towarzystwa, gdzie zgromadziły się subtelnie wychowane kobiety i żebyśmy tam zaczęli prowadzić jakąś karczemną rozmowę albo, dajmy na to, pozrzucali ubranie. Dialektycznie można dowieść, że jest możliwe takie nasze zachowanie się, ale sam postępek *de facto*²¹ – nie jest możliwy. A przecie nie ma żadnego pisanego prawa, które by zabraniało tej swobody. To częsteczką właśnie tego uczucia solidarności, które wszystko przeniknie, dyktuje nam tok rozumnej, miłej i dla wszystkich przyjemnej rozmowy. Złe niewątpliwie jest tylko jedno: krzywda bliźniego. Człowiek – jest to rzecz święta, której krzywdzić nikomu nie wolno. Wyjąwszy krzywdy bliźniego, wolno każdemu czynić, co chce.

– Idylla, proszę pana, idylla, czyli Arkadia²². Krzywda bliźniego... Dobre sobie! A cóż to jest krzywda? Gdzież jej granica?

– Granica krzywdy leży w sumieniu, w sercu ludzkim.

– No, proszę pana, czyż to nie są żarty?

– Nie. To jest myśl najbardziej twórcza ze wszystkich. Na niej świat stoi. Niech no pan pomyśli, co by z nim było, gdyby wymazać te słowa: *Po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli się wzajem miłowali będziecie*²³. Miłość między ludźmi należy siać jak złote zboże, a kłóskol nienawiści trzeba wyrwać i deptać nogami. Czcij człowieka... – oto nauka.

²¹ *de facto* (łac.) – faktycznie, w rzeczywistości

²² Arkadia – kraina starożytnej Grecji uważana za krainę szczęśliwości

²³ *Po tym poznają, żeście uczniami moimi...* – słowa Chrystusa podczas ostatniej wieczerzy

– Szybkość postępu ludzkiego zależy od rozwalenia czynników, które w poprzek jego łożysk się kładą.

Dyrektor nachylił się do Judyma i półgłosem szepnął:

– Wyznam panu, że wcale nie wiem, o co ci panowie sprzecząją się między sobą z taką zajadłością.

Korzecki, rozmawiając w dalszym ciągu ze swym antagonistą, zwrócił się raptem w tę stronę i rzekł:

– W istocie... *de lana caprina*²⁴.

– Jakże zimno... – szepnęła piękna panienka, z trwogą spoglądając w okno.

– Boi się pani trochę – pytał Korzecki. – Prawda, boi się pani?

– Ależ gdzież tam... Tylko tak raptownie się oziębiło. I ta ciemność...

– Aha, ta ciemność... – Po chwili mówił: – Jakże biednym jest ten, kto teraz iść musi nieznaną, straszną drogą. Kto spieszy się do niewiadomego celu, kto idzie, idzie bez końca... Ten „pielgrzym, co się w drodze trudzi przy blaskach gromu...”.

Ziarna gradu zmieszanego z deszczem zaczęły ciąć szyby. Rozmowa przycichła.

Judym wstał ze swego miejsca i patrzył w okno. Pośród ulewy i mroku buchał kiedy niekiedy płomień wielkich pieców.

Doktor był nieswój. Myślał o narzeczonej. Ulegał złudzeniu, że gdy się skończy ta burza, gdy zblednie ciemność, to jakaś wieść, jakieś echo, jakiś wyraz da się słyszeć... Ciche westchnienie niby-pociechy wyrwało się z jego piersi. Pisał już list i podał adres. Któż wie, może jaki traf dziwny stamtąd, z tych miejsc ukończonych, przyniesie słowo... Może i ona w tej chwili patrzy się w burzę, może te same uczucia jak prędkie błyskawice oświetlają żałobne mroki...

– Pan doktor, jak słyszałem, wraca właśnie z Paryża? – zagadnął zniecierpliwiony dyrektor.

– Dwa lata już minęły od mojego powrotu...

Korzecki zwrócił się z żywością w ich stronę i czekał tylko chwili, żeby się do tego dialogu przyłączyć.

W tym samym momencie lokaj odchylił portierę i złożył ukłon pannie Helenie. Ta wstała i prosiła na herbatę. Przeszli do sąsiedniego pokoju i zasiedli przy obszernym stole zastawionym mnóstwem talerzy, półmisek, szkieł lśniących.

Młody Kalinowicz siedział przy Judymie. Zawiadomił go, że dopiero co skończył politechnikę w Charlottenburgu²⁵, że wraca tam jeszcze dla „zrobienia doktoratu”, a tymczasem przypatruje się temu rynsztokowi, którym złoto płynie do Francji.

– Panie! – wołał – włosy powstają na głowie, kiedy się patrzy na to, co się tu dzieje. Nie chcę ubliżać nikomu, ale taka, na przykład, pomoc lekarska odbywa

²⁴ *de lana caprina* (łac.) – dosłownie: o kozią wełnę; sprzeczka o błahą sprawę

²⁵ Charlottenburg – dawniej miasto pod Berlinem, dziś stanowi jedną z jego dzielnic

się w sposób zupełnie pocztowy. W dniu oznaczonym lekarz, „mający pod sobą” z osiem fabryk, jedzie z miejsca na miejsce... Czy to panu nie sprawia czasem przykrości?

– Nie, Boże broń... Pragnąłbym sam znaleźć tutaj zatrudnienie, więc muszę poznać stosunki do gruntu i z każdej strony.

– Czy tak? A wie pan, że to ciekawe... Więc pan pragnąłby tu osiąść... I poczynił pan już w tym celu jakieś kroki?

– Nie, wcale.

– Czy ma pan jakie znajomości?

– Żadnych

– Ach, tak.

– Niech pan doktor nie bierze czasem do serca wszystkiego, co mój syn mówi o Zagłębiu – wmieszał się dyrektor. – Jest to niechęć specjalna. Proszę pana...

– Tak, jest to niechęć, a właściwie antypatia specjalna! – cedził młodzieniec.

– Ci ludzie zamordowują tych pocziwych eskulapów. Jest lekarz za darmo, więc do niego kto żyw. Chory, nie chory, z przywidzeniami, z imaginacją... Tu u mnie w lecznicy nasz doktorek ma na swej godzinie po sześćdziesięciu chorych. Niechże kto powie, czy może być tyle ludzi istotnie chorych w małej osadzie...

– Faktem jest – rzekł młody – że w całym kraju korzysta z porady lekarskiej na koszt właścicieli 41%, a wcale jej nie doznaje 59.

– Skądże znowu takie cyfry?

– Z 856 przedsiębiorstw zbadanych w 818 nie było żadnej pomocy lekarskiej, w 10 ta pomoc istniała faktycznie, w 24 była znośna, a tylko w 4 należyta.

Judym przymrużył powieki i zaśmiał się w głębi swego serca. Jak mara mknęło przed nim wspomnienie walk warszawskich.

– Egzageracja²⁶ nie tylko we wnioskach, ale nawet w cyfrach – mówił stary z flegmą wytrawnego polemisty.

– Rozumiem do gruntu konieczność pomocy lekarskiej, jestem jej zwolennikiem... fanatycznym, że się tak wyrażę higieny... *et cetera*. Ale oto fakt świeży. Przy wielkich piecach istnieją szale do wciągania rudy. Pod najsurowszą karą nie wolno człowiekowi siadać w szali ani dla wjazdu, ani celem szybkiego spuszczenia się z góry. Czy pan uwierzy, jaka jest statystyka wjeżdżań i zjeżdżań windą? To jest także statystyka, którą powinien byś notować sobie w którejkolwiek półkuli mózgu...

– Nie ma gwałtownej potrzeby.

– Aha.

– Z wszelką pewnością.

²⁶ egzageracja (przest.) – przesada

– Albo drugie. Między dwoma piecami jest pewne zagłębienie, obok którego przechodzi szala. Nikomu do głowy by nie przyszło, że tam wleźć można. Cóż panowie powiecie? Usiadł sobie w tej dziurze na połowie wysokości i gwizdał gapiąc się na dół. Szale idą cicho. Huknęło w czerep i na miejscu. Za to odpowiada fabryka! Tam daszka nie było, uważa pan, daszka nie było!

– Pochlebiam sobie, że w tym miejscu jest teraz daszek... – rzekł młody Kalinowicz nabierając z półmiska ogromną porcję rostbefu.

– Taki człowiek przy piecach martenowskich, przy walcach, przy drucie zarabia dziennie parę rubli. I jakże to żyje, co robi z tymi pieniędzmi?

– Ciekawa rzecz...

– Hula, żyje nad stan i wpada w długi. Zobacz no pan w niedzielę takiego ryfusia: krawacik modny, chusteczka... Wchodzi do sklepu i rozkazuje: „Daj no pan kołnierzyki, tylko przecie z lepszych, z modnych”. Mydła pachnące sprowadzają sobie specjalne. Teraz właśnie w modzie są mydełka pachnące.

– Czy to w samej rzeczy nie może oburzać? – mamrotał młody zając się wilczym apetytem.

– Jest to nie tyle oburzające, ile smutne.

– A czegoż znowu smutne?

– Wszędzie zbytek, zbytek! We wszystkich warstwach społeczeństwa życie nad stan, rozrzutność...

– Mydełko – to jest rozrzutność?

– Nikt nic nie oszczędza. Przy takich zarobkach jest to zbiorowisko bankrutów...

– Zmniejszyć bestiom zarobki, to się zaraz utemperują! Nie będzie ani mydełek, ani tych oburzających krawatów.

– Przeciwnie, trzeba podnosić, co tchu podnosić!

– Niech sobie posprawdzają cylindry z Paryża, paltoty z Wiednia...

Lokaj obniósł półmisek i zmienił talerze.

Był to już wieczór, kiedy po wybiciu herbaty wszyscy, z wyjątkiem panny Heleny, opuścili jadalnię i znaleźli się w gabinecie. Palono cygara. Korzecki z przepyszną miną trzymał w ustach olbrzymie jak marchew. Młody Kalinowicz rozpoczął dalszy ciąg swej dysputy z ojcem, gdy wtem znowu wszedł lokaj, ostrożnie zbliżył się do Korzeckiego i coś mu szeptnął do ucha.

– Ach, do mnie... Zapewne z listem?...

– Nie wiem, proszę łaski pana inżyniera. Mówi, że ma pilny interes.

– Tutaj? – spytał Korzecki z niedbałym ruchem.

Nie wyjmując z ust cygara poszedł za lokajem.

Judym pragnął przyspieszyć koniec tej wizyty, wyjść co prędzej. Ujął pod rękę młodego Kalinowicza i zapytał, dokąd poszedł Korzecki.

– Rozmawia z jakimś posłańcem, który go aż tu odnalazł.

W sercu Judyma przesunęło się marzenie: list od Joasi...

– Panie – rzekł cicho do młodego człowieka czy nie mógłbym zobaczyć tego posłańca? Oczekuję na pewną wiadomość, która mię bardzo niepokoi... Może to list do mnie...

– Proszę uprzejmie... – krzyknął młody bursz rozsuwając krzesła po drodze.

Znaleźli się w pustym korytarzu, z którego drzwi wychodziły na schody. Schody te nie były załamane, lecz stromo jak drabina stały przyparte do budynku, prowadząc z piętra na ziemię. Judym, stojąc we drzwiach sieni, zobaczył na dole światło. Korzecki trzymał w ręku świecę, której płomieniem chwiały wicher wdzierający się przez szczeliny desek. Drzwi na dole były zamknięte, ale bryzgi deszczu wpadały wszystkimi otworami. Ulewa dudniła po dachu przybudówki.

Obok samych drzwi stał posłaniec. Był plecami wsparty o ścianę.

Miał na głowie czapkę z daszkiem, na sobie obszerne letnie palto, grube buty. Był przemoczony do suchej nitki. Struga wody lała się z niego i dokoła nóg tworzyła kałużę.

Przypatrując się z uwagą, Judym spostrzegł, że ten człowiek drży na całym ciele. Głowa jego zwisała na piersi i była charakterystycznie bezwładna, jak u ludzi z przemoczoną koszulą.

Inżynier rozmawiał z nim półgłosem, który ginął w szumie wiatru.

„To nie do mnie...” – pomyślał Judym i serce jego ścisnęło się od bezbrzeżnego żalu.

Korzecki wziął w rękę pakunek przyniesiony przez mokrego drapichrusta i szedł w górę po schodach. Gdy na ich szczycie ujrzał Judyma, zachnął się i ostrym głosem krzyknął:

– Co tu robicie?

– Myślałem, że to może do mnie z poczty...

– Nie, nie... Co znowu! To ten głupiec, przemysłnik.

– Przemysłnik?

– Tak. Dowiedział się od kogoś, że tu jestem... Widzicie, jakie to nerwy! Nie myślałem, że was tu zastanę, i od razu... Piękny głosik ze siebie wydobyłem, ani słowa... Samemu głupio go usłyszeć, a coś dopiero mówić o delikatnych bliźnich.

– Przepraszam was, bo to ja niepotrzebnie...

– Ale gdzież tam! Przemysłnik... – mówił szeptem. – W Katowicach dwa tygodnie temu zostawiłem paczkę kortu na ubranie. Kupiłem ten kort w Krakowie. Bardzo lubię taki gatunek. Może i wy weźmiecie dla siebie. Nie chciało mi się płacić... Szepnąłem temu frantowi, żeby mi to przyniósł którego dnia. Dziś miał chwilę pomyslną, więc mię aż tu wygrzebał.

– Ten człowiek się rozchoruje. Widziałem, jak drży.
– Tak sądzicie?
– Cóż tu sądzić?
– Trzeba mu dać kieliszek wódki. Trzeba co prędzej... Człowiek się rozchoruje! Poszedł prędko i zdybawszy przy drzwiach stołowego pokoju lokaja, mówił:
– Mój bracie, weź też z łaski swej i wynieś człowiekowi, co tam stoi, kieliszek wódki. Daj mu, wiesz, zresztą dwa kieliszki, a nawet trzy.
– Niech wypije trzy kieliszki... – dorzucił Judym.
– Wiecie co, doktorze, bądźcie tak dobrzy i sami mu zanieście. Zobaczycie, czy w samej rzeczy tak przeziąbl...
– Z chęcią...

Judym wziął z rąk lokaja ozdobną flaszkę z wódką, kieliszek, świecę i zeszedł po schodach.

Przemytnik stał w ciemności. Zdawał się drzemać...

Judym postawił świecę na ziemi i nalał płynu w kryształową lampkę.

Wtedy drab podniósł głowę i otworzył oczy. Były to duże, jasnoniebieskie oczy...

Ręka Judyma, w której trzymał kubek, zdrętwiała jakby od gwałtownego zimna.

Przemytnik wypił chciwie jeden kieliszek, drugi, trzeci. Potem, nie kiwnąwszy głową, otworzył drzwi i znikł w czarnej czeluści nocy, którą zalewała nawałnica.

We dwie godziny później Judym wracał z Korzeckim do domu powozem. Deszcz ustał. Była ciemna noc, pełna oparu i wstrętnego chłodu. W mroku niezdołowanym zdawały się chodzić cielska mgliste, białawe, zgniłych wyziewów. Drogi były zalane wodą, która spod kół z wrzeszczącym sykiem rozlatywała się na wszystkie strony. Gdy wyjechali z zaułków, Korzecki wstał ze swego miejsca i trzymając się rękoma sztaby przedniego siedzenia, coś furmanowi tłumaczył. Siadając, rzekł do Judyma:

– Może zechcecie przejechać się? Czas pyszny! Wilgoć...

Po chwili dodał:

– Możemy jechać do krawca, któremu oddam zaraz ten materiał na ubranie. Po co to mam trzymać w domu? Nieprawdaż? Miejsce tylko zawala i nic więcej...

– Jak uważacie. Co do mnie, to przejechałbym się z ochotą.

– Więc wał, bracie, a ostro, ostro... Dostaniesz tylego rubla jak przednie koło.

Konie, ściągnięte batem, skoczyły z miejsca i poszły. Jechali dosyć długo, w milczeniu.

W pewnym miejscu ukazały się lampy elektryczne otoczone grubymi mgłami. Światło zanurzone tworzyło dokoła siebie kręgi smutne niby obwódki, które są

cieniami oczu ludzi chorych. Między drogą a tym światłem leżały jakieś martwe wody. Sinawe lśnienie pełzało po ciemnych falach płaskiego zawaliska. Szło z biegiem powozu, biegło z nim, jakby pewna wskazówka ostra, z ciemności nocnej wychodząca.

– Gdzie my jesteśmy?

– Nad kopalnią.

– A skąd tu ta woda?

– Pokład węgla jest tu bardzo gruby, ale w głębokości paruset metrów. Ten węgiel jest już wybrany Ziemia się osunęła w próżnię, wgięła się jej powierzchnia. Teraz w takiej miednicy gromadzi się woda.

Umilkł. Znowu jechali długo, nic do siebie nie mówiąc. Byli w jakichś polach. Korzecki siedział wtulony w kąt, trzymając na kolanach swój pakunek. Zaczął coś szeptać.

– Co powiadacie? – zapytał doktor.

– Nic, ja tak do siebie często mamroczę. Czy pamiętacie taki wiersz:

*Żem prawie nie znał rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu...*²⁷

Judym nic nie odpowiedział.

– „Żem był”... Co za straszne słowo!...

Była to niewymowna minuta wcielenia się dwu ludzi w jedno... Korzecki odezwał się pierwszy:

– Musiały wam się głupimi wydawać moje dzisiejsze popisy. Paplałem jak pensjonarka.

– Jeżeli mam prawdę powiedzieć...

– Właśnie. Ale to było konieczne. Miałem w tym swój interes. Czy nie rozumieliście, o co mi chodzi?

– Były chwile, że doświadczałem wrażenia, jakbyście mówili na przekór sobie.

– A gdzież tam! To nie.

– Więc myślicie, że zbrodnia jest to absolutnie to samo co cnota?

– Nie. Myślę tylko, że „zbrodnia” powinna być tak samo wyzwolona jak cnota.

– Ach!

– Duch ludzki jest niezbadany jak ocean. Spójrzycie w siebie... Czy nie zobaczycie tam ciemnej otchłani, w której nikt nie był? O której nikt nic nie wie?

– Siłą przymusu ani żadną inną nie może być wytrzebione to, co nazywamy zbrodnią. Wierzę mocno, że w tym duchu nieogarniętym sto tysięcy razy więcej

²⁷ *Żem prawie nie znał rodzinnego domu...* – cytat z Hymnu o zachodzie słońca

jest dobra – ależ co mówię! – w nim wszystko, prawie wszystko jest dobre. Niech tylko będzie wyzwolone! Wtedy okaże się, że złe zginie...

– Czyliż w to można uwierzyć?

– Widziałem gdzieś rycinę... Na słupie obwieszony został zbrodniarz. Tłum sędziów schodzi ze wzgórza. Na każdym obliczu maluje się radość, zwycięstwo... Każą mi wierzyć, że ten człowiek był winien.

– A cóż wam dowodzi, że tak nie było. Może to był ojcobójca? Co wam pozwala czynić przypuszczenie, że tak nie było?

– Mówi mi o tym... Dajmonion²⁸.

– Kto?

– Mówi mi o tym coś boskiego, co jest we mnie.

– Cóż to jest?

– Mówi mi to w głębi serca. W jakimś podziemiu to słyszę... Poszedłbym i całował stopy tego, co zawisł. I gdyby tysiące świadków wiarogodnych przysięgły, że to jest ojcobójca, matkobójca, zdjąłbym go z krzyża. Na podstawie tamtego szeptu... Niech idzie w pokoju...

Furman zatrzymał się przed jakimś domem.

Było tak ciemno, że Judym ledwo odróżniał czarną masę budowli. Korzecki wysiadł i znikł. Przez chwilę słysząc było szelest jego kroków, gdy brnął w kałużach. Później otwały się jakieś drzwi, pies zaszczekał...

²⁸ dajmonion (gr.) – sumienie, głos wewnętrzny

ASPERGES ME...

W sąsiedztwie miał Korzecki jeden dom znajomy gdzie czasem, raz około Wielkiejnocy, bywał z wizytą. Była to niezamożna, prawie uboga familia szlachecka. Ci państwo dzierżawili kilkusetmorgowy folwark donacyjny w lichej, kamienistej glebie. Jechało się do tej wioski lasami, po wertepach, jakich świat nie widział.

Pewnego dnia, wróciwszy z włóczęgi pieszej na obiad, Judym zastał we wspólnym mieszkaniu ucznia gimnazjum, który czerwieniąc się i blednąc, rozmawiał z Korzeckim daremnie usiłującym go ośmielić. Gdy Judym wszedł, gimnazysta uklonił mu się kilkakrotnie i jeszcze bardziej spuszczał oczy.

– Pan Daszkowski... – rekomendował go inżynier. – Przyjechał prosić was, czybyście, panie konsyliarzu, nie chcieli odwiedzić jego chorej matki. Są konie. Ale was uprzedzam, że to dwie mile drogi. Prawda, panie Olesiu?

– A tak, droga... bardzo zła...

– Ech, źle pan usposabia doktora! Trzeba było zapewnić, że jak po stole...

– A tak... ale ja...

– Niechby pocierpiał.

Uczeń, nie wiedząc, co mówić, miał tylko czapkę w rękach i przestępował z nogi na nogę.

– A na co chora mama pańska? – zagadnął Judym tonem jak najbardziej delikatnym, tym głosem, co jest jak ręka czuła i dźwigająca do góry z całej mocy, z całej duszy.

– Na płuca.

– Czy kaszle?

– Tak, proszę pana doktora.

– I dawno to już?

– Tak, już dawno.

– To jest... jakie dwa, trzy lata?

– Jeszcze dawniej... Jak tylko zapamiętam...

– Jak tylko pan zapamięta, mama była chora?

– Kasłała, ale się do łóżka nie kładła.

– A teraz leży?

– Tak, teraz już tylko ciągle w łóżku. Już mama nie może chodzić.

– Dobrze, proszę pana, to pojedziemy. Można zaraz.

– Jeżeli tylko pan doktor...

– O, musimy naprzód zjeść obiad – to darmo! – wtrącił się Korzecki.

– Ale jeśli pan doktor... – z pośpiechem mówił uczeń.

W tej samej chwili zauważył, że pali głupstwo, i do reszty się zmieszał.

– Widzi pan... doktor musi się najeść. A i pan pewno głodny, panie Olesiu.

– Ja... o, nie! Ja nie. Pan inżynier tak łaskaw...

Wkrótce dano obiad.

Uczniaczek wzbraniał się, jadł półgębkiem i ani na chwilę nie odrywał oczu od talerza. Korzecki tego dnia był jakiś zimny i skulony. Rozmawiał z trudem. Gdy konie przed dom zaszły i Judym już schodził, inżynier ujął młodego chłopczykę za szyję i włożył się tak z nim po schodach.

Na samym dole rzekł:

– Niech się pan pokłoni ode mnie mamie, ojcu. Chętnie bym państwa odwiedził, ale cóż... Żadną miarą... Tyle tu roboty. Niech pan jednakże powie mamie, że da Bóg, zobaczymy się wkrótce.

Judym przypadkowo rzucił okiem na jego twarz. Korzecki był jakiś szary. Z oczu jego płynęły dwie łzy samotnice.

– Da Bóg, zobaczymy się wkrótce... – powtórzył na swój sposób.

Licha, rozklekotana bryczka ruszyła się z miejsca. Ciągnęły ją dwie szkapy zbiedzone i w dodatku nierówne. Jedna z nich – było bo kobyłsko chłopskie, z wielkim, spuszczonym łbem, a druga pochodzić musiała z jakiejś „stajni”. Teraz już tylko grzbiet jej, wystający jak piła, imponował towarzysze z gorszej rasy. Na koźle siedział chłop w kaszkiecie i guńce, który budził z odrętwienia chabety wiozące godne osoby takimi samymi środkami, jak wówczas gdy odstawiał nawóz albo ziemniaki.

W istocie, droga prowadząca do owego folwarku należała do bezwzględnie polskich. Jechało się wciąż lasem. Jakaś chmurna ciemność kryła się między martwymi drzewami, co rosły w sapowatej¹ glebie. Droga zarośnięta zdeptaną trawą, pełna kamieni, które w nią wrosły, wiła się wśród gęstej, młodej świerczyny. Skręty jej wciąż przepadały między zielenią, jakby się leśnym obyczajem, na wzór zwierząt, kryły przed oczyma ludzkimi.

Wzrok Judyma błądził w zadumaniu po miękkich mchach i biało-zielonych listkach borówek. Każda łodyżka mchu była zbudowana z gwiazdek świetlistych, jakby z promieni słońca, co zetknąwszy się z ziemią, w czułe roślinki się przestoczyły. Gdzieniedzie pośród tej królewskiej, kochanej, miękkiej zieleni widać było kamionkę szarosinych głazów. Szpakowate, w mech suchy obleczone pnie jodełek przecinały widnokrąg daleki. Gdy konie weszły w las głębszy, pod cień jodeł i świerków, przecięły drogę węzowiska czarnych korzeni. Co chwila wózek trzeszczał, gdy jego szprychy zanurzały się po osie w głębokie bajorka kisańce

¹ sapowaty – bagnisty

w tych miejscach od wieków. Już tam mchy ledwo się mogły wybić z głębi żółtaworudej powłoki zeschniętych igieł. Wszędzie leżały szyszki i obłamane, suche, białawe gałęzie.

Tu i ówdzie czerniał stos gnijącego chrustu i daleko rozsmięcone trzaski po drzewie ściętym.

Czasami wózek włókł się w głębokim, szczerym, żółtym piasku, który sypał się z obręczy, cicho sycząc.

Był to jedyny szelest w tym obszarze. Raz tylko gdzieś w oddali rozległo się chrupiące wołanie żołą.

Słońce wchodziło do głębi leśnej jakby ukradkiem. Cienie drzew i gałęzi były tak głębokie, że o tej porze stała tam jeszcze rosa.

W jakimś miejscu otwarła się przed oczyma polanka, ze wszystkich stron lasem jakby ramieniem kochającym objęta na śmierć i życie, na wieczne czasy. Wśród tej darni zielonej czerniały kępy jałowcu. Pod przeciwległą ścianą świerków białał jak czaszka samotny, obdarty z kory pniak drzewa nisko ściętego.

W ciszy latał biały motyl, siadając na listkach kędzierzawej murawy, ledwie okrywającej nieurodzajną ziemię.

Pomiędzy siwymi kamieniami stał żółty, przyziemny kwiatusek i patrzył w słońce rozwartą żrenicą.

Była cisza tak głęboka, że słyszało się ciche, drżące dzwonienie świerszcza polnego. Człowiek mógł liczyć bicie swego serca i czuć szelest krwi biegnącej w żyłach.

Przychodziły myśli dziwne, natchnione, jakby nie myśli człowieka, tylko jej, tej zakłętej, z czarowanej polany. Widziało się, że ten skrawek leśnej łąki jeden jedyny jest na świecie, że człowiek po to żyje, aby weń zatopił ducha swego i marzył. Żeby marzył o tych rzeczach, które leżą w głębi, w ciemności, w zamknięciu, które nie przemijają, nie giną, które są proste, naiwne i bezcelne jak ta polanka. Żeby dozwalał z serca swego płynąć wszystkiemu, co w nim jest, wszelkiej świętości i brzydocie.

Uczniaczek wciąż milczał. Był z uszanowaniem zwrócony w stronę Judyma i tylko tak i nie odpowiadał na jego pytania. Około godziny czwartej las się urwał, a za nim odkryły się pola. W dali widać było grupę drzew i folwark.

– To już Zabrzezie... – rzekł uczeń.

Wkrótce wjechali na podwórze folwarku. Była ta nędzna siedziba. Dwór opuszczony, jeszcze bardziej niż budynki folwarczne, przed którymi gnił nawóz i szklila się fioletowa gnojówka, białał w cieniu czterech lip rzędem rosnących u wejścia. Tam stało postanie, na którym leżała chora.

Zjawienie się bryczki wywołało istny popłoch w otoczeniu domu. Biegały tam różne osoby. Naprzeciwko Judyma wyszedł jegomość mocno szpakowaty, ogorzały i rekomendował się jako mąż chorej. Za nim sunęły z ciekawą trwogą dwie nieładne panny, dla których ten przyjazd był zapewne fenomenalnym zdarzeniem.

Judym wziął się bez zwłoki do badania chorej. Była to kobieta lat czterdziestu paru, zeschnięta niby wiórek. Ceglasty wypiek jak równa elipsa płonął na jej lewym policzku. Pierwsze zbadanie wykazało od razu suchoty w ostatnim stadium. Tylko dla zamaskowania istoty spostrzeżeń Judym długo i szczegółowo słuchał, jak resztką siły pracują te biedne płuca. Gdy już nic nie zostawało do zrobienia, uczuł dziwny smutek.

„Cóż tu powiedzieć? – myślał. – Czy kłamać i udawać?”

– Jakże pan konsyliarz znajduje stan mego zdrowia? – spytała chora, gdy usiadł na krzeselku i myślał.

– Proszę pani... nie będę ukrywał, że to jest stan dość ciężki, ale z tym ludzie żyją, osobiście na wsi. Znam wiele wypadków tego rodzaju. Ja pani przepiszę szczegółową kurację.

– Ach, będę panu konsyliarzowi wdzięczna do śmierci... – szepnęła, patrząc w twarz jego płomiennym wzrokiem. – Tak pragnę żyć jeszcze, tak pragnę... Dzieci, całe gospodarstwo na mojej głowie, a ja tu leżę i leżę. Gdyby mi tak piasku na oczy nasypano, cóż by się stało.

– Proszę pani, o gospodarstwie trzeba zapomnieć zupełnie.

– Ach, czyż to można, panie konsyliarzu... Te łotry, chłopcy tutejsze! Czy można mieć taką służbę, żeby sobie dać radę. Wszystko to złodziej na złodzieju.

– Dobrze, dobrze. Musi pani zapomnieć, że oni na świecie istnieją. Trzeba leżeć na świeżym powietrzu, jeść...

– Ja tu piłam odwar wygotowany z kory sosnowej.

– Z czego?

– Z kory sosnowej. To się suszyło na blasze...

– Teraz już pani tego nie będzie używała. Trzeba pić koniak i mleko.

Przez cały czas wykładu o kuracji, jaką stosować należy, w pokojach dworu słychać było bieganie, szepty, szcęk talerzy. Wkrótce szlachcic prosił Judyma do stołu. Chorą, za chwilę, wobec zbliżającej się nocy, miano przenieść do sypialni.

Puklerz słoneczny schodził we mgły, szerząc w nich krwawe koło. Ciemny opar rozpościerał się nad ziemią i wchłaniał słońce, które ociążało zapadało w jego toń głęboką i pełną stokrotnego smutku. Do serca wkradał się bolesny zgiełk i trwożliwy żal, jakby ta święta, płomienna kula już nigdy wstać nie miała z ciemności. Judym doznał żalobnego tchnienia w samej głębi siebie. Nie mógł zrozumieć, co mu jest. Oczy jego przypadkiem zwróciły się na chorą...

Siedziała na swym posłaniu w koszuli, taka biedna, znędziała, taki ubogi szkielec... Wargi jej szeptały słowa modlitwy, dłonie były złożone, ściśnięte, a z oczu kapwały łzy ciche. Oczy te patrzyły daleko, w słońce, które szło w zaświaty, w noc niewiadomą, w drogę wieczną. Judym pierwszy raz w życiu swym wsłuchiwał się w ciszę taką, w ciszę pełną i leśną.

Wówczas gdy siedział zadumany, rozdarł to milczenie krzyk przerażający. To stary paw, który co noc siadywał na szczycie dworu, wydał ze siebie ten dziki, surowy, żelazny, zardzewiały wrzask. Echo jego leciało przez pola utopione w milczeniu, przez mgły, przez lasy otaczające. Chora wzdrygnęła się i chuda jej ręka spotkała się z ręką doktora...



Krzyk pawia
– w ujęciu
symbolicznym:
nieszczęście,
niepowodzenie,
śmierć.

– Jak ja się boję, panie doktorze...

– Czego, pani?

– Czegoś takiego...

– Nic, nic... Niech pani ściśnie mię za rękę. Czegóż się tu bać...

– Tak nie lubię, kiedy ten stary paw krzyczy. Zdaje mi się, że to nie on, tylko...

– Ach, któż to widział!

Zniżyła głowę i, wlepiając ogromne płomienie oczu swych w jego twarz, szeptała:

– Panie konsyliarzu, niech się pan zlituje i trochę, trochę przedłuży mi jeszcze życia. Ja pragnę, muszę jeszcze żyć! Chcę wiedzieć, co będzie z Olesiem! Chcę wiedzieć, co się z nim stanie...

Judym podniósł oczy i zobaczył figurkę ucznia stojącą przy plecionym parkanie. Ten chłopiec płakał, ukrywszy twarz w dłoniach.

– To taki jedyny mój syn... On mię tylko jeden kochał... I córki to samo, ale on... Któregoś tu dnia nasza kucharka poszła na jarmark, bo to już teraz każdy robi, co mu się żywnie podoba, to on wziął, sam zabił, oparwił i upiekł mi kurczę na rożnie. Ale zapomniał osolić... Zjadłam calutkie, słowa mu nie mówiłam, że bez soli... Łzami sobie osoliłam te kosteczki...

Słońce zagasło. Zorza jego była ruda i skąpa, siejąca nie światło, lecz trwogę.

– Tak żałuję – mówiła chora – że pan Korzecki nie może przyjechać. Obiecał, że nas odwiedzi, a już tyle czasu nie był... Kiedy się też znowu zobaczymy...

– Pan Korzecki – odezwał się Oleś – mówił, że ma nadzieję niedługo zobaczyć się z mamusią...

Judym zjadł na kolację mnóstwo kurcząt, sałaty ze śmietaną i wieczorem odjechał.

Milczący furman wioził go tą samą drogą.

Było ciemno. Księżyc nie świecił, tylko gdzieś tam rozpraszając swój cichy blask gwiazda samotna. Czarny las tonął w mroce, we mgłę chłodnej, co jak woda lała się przez gałęzie.

Judym zamknięty był w sobie. W duszy jego budziły się myśli, jak dzieci, które dotąd spały, a teraz podnoszą cudowne główki i szczerymi ustami wypowiadają, co przez serce ich płynie.

Dziwne myśli...

Zdawało mu się, że ta chora kobieta, której nic pomóc nie mógł, jest to najbliższa jego istota. Były chwile, kiedy mu się widziało, że to on sam leżał na tym posłaniu, wpatrywał się w gasnące światło, że jego usta szeptały cichą modlitwę... Sennym, drzemiącym okiem wpatrywał się w całe życie tej kobiety, przechodził je wzdłuż ostrymi myślami i widział jak na dłoni.

Bryczka wtoczyła się na polankę.

Jasna mgła rozlała się tam jakby śniąca woda. Nieruchome szczyty świerków ledwo się odbijały na ciemnym tle nieba. Niżej stał mrok leśny, nieprzebit, kamienny.



Doktor Judym
po raz wtóry
słyszysz odgłos
wydawany
przez pawia
– przecucie, że
nieszczęście jest
coraz bliżej.

Judym wytężył oczy i zaczął szukać białego pniaka, który tu, przejeżdżając, widział – i oto nagle zląkł się aż do gruntu serca. Z dała, z dała nadleciał po rosach krzyk pawia.

Doktor zamknął oczy, głowę wtulił w ramiona, zgarbił się i drżącymi wargami coś do siebie szeptał.

DAJMONION

Doktor Judym otrzymał urząd lekarza fabrycznego i zamieszkał w pobliżu kopalni węgla. Życie jego weszło w fazę zwyczajnej, poziomej pracy. Korzecki, który blisko o milę drogi rezydował, był jedynym jego znajomym. Zjeżdżali się wieczorem od czasu do czasu i trawili na rozmowie parę godzin. Było to jednak towarzystwo niezdrowe. Korzecki męczył. Z jego zjawieniem się wchodziła do mieszkania trwoga i jakiś bolesny smutek.

Pewnego popołudnia w sierpniu Judym otrzymał list przez umyślnego człowieka. Była to ręką Korzeckiego na jakimś urywku schematów kancelaryjnych skreślona cytata z *Platonowej Apologii Sokratesa*¹:

Objawia się we mnie jakieś od Boga czy od bóstwa pochodzące zjawisko... Zdarza się to ze mną począwszy od dzieciństwa. Odzywa się głos jakiś wewnętrzny, który ilekroć się zjawia, odwodzi mnie zawsze od tego, cokolwiek w danej chwili zamierzam czynić, sam jednak nie pobudza mnie do niczego...

To, co mnie obecnie spotkało, nie było dziełem przypadku; przeciwnie, widoczną dla mnie jest rzeczą, że umrzeć i uwolnić się od trosk życia za lepsze dla mnie sądzono. Dlatego właśnie owo Dajmonion, ów głos wieszczcy nie stawiał mi nigdzie oporu.

Judym bez szczególnego niepokoju przeczytał te wyrazy. Był przyzwyczajony do dziwactw Korzeckiego i sądził, że ma przed sobą jemu tylko właściwą formę zaproszenia do odwiedzin.

Mimo to żądał koni.

Ledwie wyjechał za bramę, ujrzał powóz, co koń skoczy, w tumanach kurzu, bocznymi drogami pędzący w stronę jego mieszkania. Myślał, że to konie ponoszą... Kazał swemu furmanowi stanąć i czekać.

Tamten pojazd wypadł na szosę i gnał co pary w koniach. Gdy obok przelaatywał jak burza, Judymowi udało się spostrzec, że siedzi w nim tylko furman na koźle. Człowiek ten coś krzyczał.

O jakie ćwierć wiorsty zdołał zatrzymać swe konie i nawrócić. Płaty piany padały z ich pysków, powóz okryty był szarą masą pyłu. Furman krzyczał:

– Pan... inżynier...

– Kto taki?

¹ *Platonowa „Apologia Sokratesa”* – tekst mowy, jaką Sokrates wygłosił w swojej obronie przed sądem ateńskim

– Pan inżynier!

– Korzecki?

– Tak, pan... Korzecki...

Judym wysiadł ze swego powozu i ruchem instynktownym skoczył w tamten. Konie poleciały znowu jak huragan. Patrząc na ich mokre kadłuby lśniącej w burym kurzu, Judym myślał tylko o tym, jak piękną jest taka jazda. Było mu dobrze, miło, pysznie, że to po niego mianowicie pędzono z taką furją. Rozparł się, wyteżył nogi...

Zanim zdążył przejść do jakiegokolwiek innego uczucia, powóz stanął przed mieszkaniem.

Jacyś ludzie rozbiegli się.

Ktoś przytulił się do ściany na schodach, aby nie tamować drogi. Drzwi były otwarte.



Samobójstwo
Korzeckie-
go – opis
naturalistyczny.

W drugim pokoju, na sofie, która służyła za łóżko gościnne, leżał Korzecki w ubraniu, okropną masą krwi do szczytu zwałanym.

Głowa jego była roztraskana.

Na miejscu lewej części czoła i na całym lewym policzku stała kupa krwi stygnącej.

Judym rzucił się do tego ciała, ale natychmiast wyczuł, że ma przed sobą zwłoki. Serce nie biło. Rozstawione palce jednej ręki były twarde i czarne jakby z żelaza.

Doktor przyknuł drzwi i bezmyślnie usiadł. Huk rozlegał się w jego głowie i trzask kopyt, w galopie pędzących po twardych kamieniach. Trzask kopyt, w galopie pędzących po twardych kamieniach...

Oczy szły leniwie z przedmiotu na przedmiot.

Wszystkie sprzęty były rozwarłe i odzież z nich wywalona.

Oto nie zamknięta szufladka stołu. Leżał tam wielki atlas anatomiczny. Rozłożony był na karcie z wizerunkiem głowy.

Od tyłu czaszki ku przodowi szła grubo naprowadzona czerwonym ołówkiem kresa w kierunku lewego oka. Tuż przy niej były kilkakrotnie wypisane jakieś cyfry i literki.

Judym odrzucił ten atlas i usiadł w kącie. Był tam rodzaj niszy między dwiema szafami.

Tyle razy widział już śmierć, tyle razy badał ją jak zjawisko... Dziś pierwszy raz w życiu spostrzegał niby to rysunek jej istoty. I oddawał jej pokłon głęboki. Linia czerwona ze strzałką u końca swego zdawała się zbliżać, i rzecz dziwna, przypominała tę wskazówkę na wodzie zawaliska widzianą tamtej nocy. Drżenie

tajemnicze przejmowało go w najgłębszej komorze serca, jakby miał usłyszeć bicie okrutnej godziny.

Gdy tak siedział zatopiony w sobie, drzwi się cicho otwarły i ktoś wszedł.

Był to wysoki blondyn. Miał duże, jasnoniebieskie oczy. Judym go poznał.

Człowiek ten wszedł szybko do izby, gdzie leżał umarły. Nie dostrzegł wcale Judyma.

Oczy jego skierowały się na bezduszne ciało z jakimś dziecięcym zdumieniem. Wylękle usta coś szepnęły. Schylił się nad zwłokami, podłożył delikatnie i ostrożnie ręce swoje z dwu stron pod głowę nieżywą, unosił ją do góry, jakby pragnął ocucić śpiącego.

Z kolei wziął w swoje dłonie rękę lewą.

Usiłował rozprostować pięść zaciśniętą, zgąć palce. A gdy nie poddawały się zmarwiałe członki, chuchał na te bolesne stawy i rozgrzewał je wargami. Zdziecinniałymi w bólu ruchy poprawiał włosy zmarłego, zapinał guziki jego surduta. Dopiero po długiej chwili zatrzymał się i stanął nieruchomy.

Trwożliwą ręką otarł swe czoło...

Judym widział głębinę jego duszy, która wtedy ujrzała istotę śmierci.

Nieznajomy przychodzień usiadł obok nóg Korzeckiego i patrzył nań szerokimi oczyma. Piersi jego wznosiły się z jękiem urywanym i rzężącym, jakby z nich miał wybuchnąć krwotok. Skrzywione usta ciskały jakieś krótkie, urwane słowa...

ROZDARTA SOSNA

Rano przed ósmą Judym zdążył piechotą na dworzec kolejowy. Był to jeden z pierwszych dni września. Jeszcze słońce pieściło się z ziemią i posępne, czarne domy obtoczyły na się szaty jego świetliste.

Poprzedniego dnia Judym otrzymał kartkę od Joasi z zawiadomieniem o jej przyjeździe. Razem z babką i panną Wandą dążyła do Drezna, gdzie miały się spotkać z Karbowskiimi. Babka chciała spędzić dwa dni w Częstochowie. Ona, panna Joasia, jeden dzień miała poświęcić na odwiedzenie kuzynki mieszkającej w pewnej miejscowości Zagłębia. Donosiła, że wysiadłszy na dworcu, pragnie zobaczyć twarz kuzynki, że chciałaby spędzić ten cały dzień „kochany” na zwiedzaniu fabryk i rzeczy godnych widzenia.

Podkreśliła także grubymi liniami sentencję, gdzie wyrażona była decyzja nieodwiedzania nikogo. Judym czytając te wyrazy, doświadczył wrażenia, że litery krwią spływają i kurczą się z bólu... Szedł na dworzec, myśląc właściwie tylko o tym, co zawierało się w tym życzeniu. Świst lokomotywy na stacji ścisnął mu serce.

– Ach, gdyby to nie dziś, gdyby tylko nie dziś... Żeby się to chociaż już było zdarzyło... – szeptały jego blade wargi.

Na dworcu spotkał już kilka osób, które go uchyleniem kapelusza witały. To jeszcze bardziej odbierało mu pewność siebie.

W dali rozległ się sygnał zwiastujący pociąg i wkrótce, jak barwne dzwona węża, długie ciało zaczęło się przeginać w zwrotnicach. W jednym z okien doktor



Judym na widok Joasi wysiadającej z pociągu.

zobaczył Joasię. Była ubrana w skromny kapelusik podróżny. Miała szarą suknię. Gdy szła ze schodków wagonu cudna jak uśmiech szczęśliwy, jakoś dziwnie uroczą, rozpięknioną, Judym doświadczał śmiertelnych dreszczów. Zdawało mu się, że u jej stóp u jej nóg najdroższych umrze z boleści...

Przez chwilę nie mogli przyjść do słowa. Nawet uściśnienie rąk wydało mu się czymś dziwnym, a wzajemna obecność i możliwość rozmowy bez świadków, gdy szli ulicą poza obrębem dworca, zdumiewającą niespodzianką. Judym czuł na prawej dłoni rozkosz dotknięcia śliskiej, delikatnej, ogrzanej rękawiczki. Jak drogi skarb, nieznacznie przycisnął tę rękę swą do piersi, niby dla wyprostowania klapy surduta, i powierzył ten uścisk sercu, w którym wiła się zamknięta żmija. Szli szeroką ulicą, po bruku uwalanym w błocie, mówiąc o rzeczach obojętnych. Panna Joasia zmuszona była dbać o swą suknię.

Kiedy niekiedy podnosiła oczy pełne blasku i wówczas odrobina żalu za tak sztywne przyjęcie ukazywała się na jej czystej twarzy.

Judym dostrzegł i to także.

– Będzie pan łaskaw pokazać mi fabryki tutejsze? – spytała z odrobiną zalotności.

– Z wielką chęcią... Właśnie idziemy...

Gdy nie protestował przeciwko tytułowi „pan” i gdy natychmiast zgodził się na to zwiedzanie fabryk, lekka mgła bladości przebiegła po jej twarzy. Weszli w podwórze fabryczne. Otoczyła ich puszcza machin i warsztatów.

Tu hale otwarte, w których wiły się złote węże drutu, gdzie indziej zionęły ogniem jamy pieców martenowskich, dalej jęczały młoty parowe bijące w belki białej stali.

Kupy węgla, szmelcu, stosy szyn, „gęsi” – zagradzały im drogę. Judym miał już wyrobione pozwolenie zwiedzenia wszystkich robót, a nawet delegowanego specjalistę technika, który miał go, wraz z „kuzynką”, oprowadzić. Technik nawinął się wkrótce, bardziej zapewne usposobiony do oprowadzania „kuzynki”, choćby też w towarzystwie lekarza, niż do ślęczenia nad jakimś rysunkiem w kantorze.

Poszli tedy we troje. Technik był człowiekiem młodym o wykwintnych manierach. Powierzchnowość „kuzynki” sprawiała mu widoczną dystrakcję¹ w układaniu zdań, objaśniających procent żelaza w rudzie miejscowej i rozmaitych gatunkach sprowadzanej. Weszli po schodach na wielki piec.

Widzieli kaskadę ochładzającą mur rozpalony, trąbę, która prowadzi do jego wnętrza upalne powietrze i która zdaje się oddychać jak aorta.

Joasia nie mogła się dosyć napatrzeć cienkiej smudze szlaku tryskającej jak krew z górnego otworu. Właśnie przy nich przebito piec i ognista rzeka wylała się na ziemię. Cudne iskry strzelały z tego złotego strumienia. Fale jego posłusznie płynęły do łożysk swoich, które im długimi drogami otwierali czarni ludzie w siatkach na twarzy. Łuna stała jeszcze nad tą sadzawką ognistą, gdy ją opuścić musieli, dążąc gdzie indziej.

Wprowadzono ich do sali maszyn pompujących gorący wicher. Olbrzymie koła o kilkunastu metrach średnicy, do połowy zanurzone w ziemię, toczyły się w swych miejscach bez szelestu, w jakimś milczeniu i chwale. W cylindrach, błyszczących jak lustra, coś nieustannie cmokało, jakby wielka gęba niechlujnego potwora chleptała napój. Z innego miejsca wyrывał się dźwięk nie istniejący.

Był to krótki, urwany śmiech szatana. Serce Joasi było strwożone. Czuli, że ten głos do niej się stosuje, że radosne marzenia o szczęściu, jej cichą miłość

¹ dystrakcja – rozrządzenie

zobaczył. Spojrzała na Judyma, szukając w jego oczach zaprzeczenia, ale ta twarz droga była martwa...

Obejrzeni piece martenowskie, które wytwarzają stal odlewaną w kubłach na belki. Te „kolby” wędrują stamtąd do walcowni, gdzie znowu w czelustę pieca wrzucone zostaną i do białości się rozpalą.

W wielkich halach wyłożonych żelaznymi płytami wszystkie wrota stały otworem.

Przeciagi rwały wzdłuż i w poprzek, ochładzając czoła, plecy i ręce, które pali białe żelazo. Nie istnieją tam płuca chore, nie ma nerwów. Kto chory, ten umiera. Jak ognista kula, pędzi na ręcznym wózku przez halę biała belka. Nie widać ludzi, którzy ją dźwigają. Pada na ruszt, który się z posadzki wydobywa. Jest on jak plecy o kilkunastu metrach długości, wyginające się zupełnie wzorem kręgosłupa i niby z kręgów złożone z kół wydłużonych.

Czterej olbrzymi czarni ludzie z jednej i czterej z drugiej strony walców, w siatkach na twarzy, dzierżąc w ręku długie obcegi, ujmują belkę w swą władzę. Pchną ją mocno między szeroko rozdziawione walce dolne. Jak bryła masła stal się między nią, wślizguje. Po tamtej stronie czeka na nią ruszt, który się z ziemi wysunął. Czyny ludzi są płynne, rytmiczne, prawie jak taniec.

Gdy biała płyta zgnieciona i wygięta, niby podpłomyk, zjawia się przed nimi, ujmą ją wraz drugimi rękoma swymi i popchną między cylindry górne.

Wypływa po drugiej stronie dwa razy cieńsza, gdzie czterej na nią czatują. Przystąpią pewnymi ruchy, jak maszyny z żelaza, raz – dwa – trzy – cztery.

Wyciągną długie ręce zbrojne w żelazo, uderzają i odepchną.

Zanurzą w wodzie szczypce rozpalone. Pochwyć inne i jak żołnierze czekają.

Wstęga białej blachy coraz dłuższa, coraz dłuższa, niby pływająca smuga ognia, ukazuje się to w górze to na dole, to tu, to tam. Pływa w powietrzu... Zdaje się uciekać z pośpiechem, jak gad bajeczny ścigany przez złośliwe dzieci. Chowa się w szczeliny i męczy.

Rusztyszki szczękają i drżą. To się dźwigną do wysokości poziomu szczeliny między górnymi walcami, to się do najniższej zsuwają.

Wysoko w milczeniu stoi nieruchomy człowiek obracający korbę, która ścisła walce.

Tuż obok latają po ziemi węże stalowe.

Biały ucinek sztaby płonącej, wprowadzony w ciasny otwór, wybiega co chwila w przestrzeń, zmierzając do coraz węższych kryjówek. Tam stoją młodzi ludzie z krótkimi szczypcami, którzy chwytają pysk węża, gdy się wysuwa, i niosą go swobodnie na salę. Dopiero gdy ogon stukać zacznie po ziemi, kierują go do

innej szczeliny. Drut pędzi z szaloną szybkością. Ogon, ginąc w otworze, trzepie się na prawo i lewo jak żywy...

Ogłuszający huk...

Belka stalowa spada na kowadło.

Nieruchomy młot parowy zlatuje na nią jak piorun, razem prostym niby uderzenie pięści. Zgnieciona kolba przybiera formę płaskiego kręgu. Wtedy w środek jego stawiają przyrząd, który ma wybić otwór, doskonale okrągły. Młot spada raz za razem ze wściekłą siłą. Dzwoni potężnym językiem, który odbija się w halach, w powietrzu, w ziemi... Z hukiem rozlega się lwi ryk żelaza... Stęka w nim gniew kopalni zwyciężonej przez silne ramię człowieka. Krąg z wybitym otworem jest kołem lokomotywy. Jako kupa żółtej gliny z głębin wydobytej, ma teraz wzdłuż i w poprzek ziemi, do najdalszych zakątków, nosić szczęście i rozpacz, przemoc i braterstwo, cnoty i zbrodnie.

Nim stanie na szynach, walczy z ujarzmicielem. Wyżera mu oczy, a twarz zalewa potem; płomieniami którym je poddał, napęnia jego płuca i serce, na ostre przeciągi wystawione. Szarpie mu nerwy w tej samej minucie, gdy młot parowy szarpie i rozbija jego cząsteczki...

Zdjęte z kowadła umieszczono na zakrzywionych widłach i w bok wysunięto. Przyszło doń dwu ludzi jeden z ostrym młotkiem w rodzaju ciupagi tatrzańskiej, drugi z młotem na długim toporzyску. Ostrze siekierki przystawiono do wystającego brzegu koła i młot spadać zaczął na jej obuch. Ani jeden cios nie chybił. Słysząc było suchy szczęk żelaza o żelazo... Joasia doznała wrażenia, że to jest śpiew. Po wielkim huku organów w jakiejś katedrze daje się słyszeć śpiew, śpiew z głosu, bojaźliwy, strwożony... Stygnące koło poszło dalej w swą drogę. Judym nachylił się do swej towarzyszki i zapytał:

– Czy widzi pani dobrze pracę tych ludzi?

– Widzę... – rzekła głosem zdumionym.

– Tak, tak... niech się pani dobrze im przyjrzy.

Nie mówili nic więcej ani w halach, ani na ogromnych dziedzińcach zawalonych istnymi górami miazgi, gruzu, piasku. Wiatr porywał i nosił z miejsca na miejsce pyły i dziwne jakieś rdze lotne.

Gdy pożegnali uprzejmego mentora, minęli wrota fabryki i gdy jej mury daleko zostały, szli za miasto. Było już blisko południe.

Domy obok drogi i jej kanałów zarażonych zjadliwymi wyciekami fabryk były coraz mniejsze, coraz bardziej nędzne. Na końcu miasta wzdłuż drogi ciągnęły się budy, resztki chałup wiejskich, imitujące domy miastowe. Grunt tam był bagnisty. Dookoła stały zamokłe pastwiska, na których czarnym dnie ropiała zohydzona woda. Nieco wyżej ciągnęły się glinianki napelnione wodą deszczową.

Gdzieniedzie sterczała jeszcze sosna po wyciętym lesie. Judym wchodził z Joasią na podwórza domostw śmierdzących, otwierał drzwi nie proszony i oczami wskazywał jej ludzi. Były tam dzieci robotników z cynkowni. Wynaturzone okazy gatunku ludzkiego, przedwcześni starcy z obliczami trupów i wzrokiem, który wołał o pomstę do nieba. Spoglądały na nich babska paskudne i złe, twarze chorych, którzy może sądzili, że to śmierć nareszcie drzwi uchyliła...

Szli tak od domu do domu...

Zanim stamtąd zdołali się wydostać, Judym spytał, nie podnosząc oczu:

– Gdzie zamieszkamy?

Długo nie odpowiadała. Oczy jej tylko jaśniały.

– Czy tu? – szeptał rysując coś na piasku.

– Gdzie zechcesz...

– Ale czy chciałabyś tutaj?

– Tak...

– Dlaczego tutaj?

– Chciałabym pomagać ci w pracy.

– Mnie... w pracy...

– Mylisz teraz: – „Co mnie i tobie niewiasto...”

Judym spojrzał na nią straszliwymi oczami i rzekł cichym, sennym głosem:

– Skądże ty te wyrazy...

– Założymy szpital, jak w Cisach. Och, mój Boże! Będzie to coś zupełnie innego. Ja będę twoją felczerką...

– Dobrze... Ale czy potrafisz dom prowadzić?... Dom?

– Ho! ho! Nie traciłam czasu na darmo. Wstawałam co dzień, w ciągu całego czasu, rano i szłam do gospodyni uczyć się gotować, prać, prasować, smażyć...

– Konfitury...

– Ale jakie! Żeby mój pan wiedział, jakie...

– Czy tak?

– A właśnie, że tak. Ułożyłam już wszystko, od a do z, jak to będzie w naszym domu.

– W domu...

– W naszym własnym domu... Nie myśl, że chcę dużego mieszkania albo mebli. Och, wcale! Brzydę się meblami, politurą, lakierem. Firanki, dywany, jakież to wszystko brzydkie! Poczekaj, ja ci powiem...

– Joasiu...

– Poczekaj... Będziemy wszystko albo prawie wszystko, co inni obracają na zbytek, oddawali dla dobra tych ludzi. Ty nie wiesz, ile szczęścia... Z tej resztki, którą dasz swej żonie, z tej najostatniejszej, zobaczysz, co ona robi.

– Cóż ona zrobi?

– Ani się obejrzysz, kiedy nasze mieszkanie pełne będzie sprzętów prostych jak u najuboższych ludzi, ale za to pięknych jak u nikogo. My tu stworzymy źródło poczucia piękna, nowego piękna, sztuki jeszcze nie znanej, która obok nas śpi jak zaczarowana królewna. Będą to stolki sosnowe, ławy, stoły. Będą je okrywały proste kilimy...

– Tak, tak...

– Chodnik do sieni, utkany w chłopskim warsztacie ze skrawków niepotrzebnej materii, jest tak samo miły jak perski dywan. Ściany wyłożone drzewem świerkowym są cudnie piękne...

– Masz rację!... – rzekł Judym, patrząc w jej twarz pełną szczęścia szeroko rozwartymi oczyma – to jest tak, niewątpliwie. Tak i ja myślałem. Człowiek tak samo przywiązuje się, musi się przywiązać do prostego kilimka jak do gobelinu, do zydlaka jak do otomany, do światłodruku wystrzyżonego z czasopisma jak do cennego obrazu.

– Wszystko to pokochamy, bo będzie nasze w krwawym trudzie zdobyte, bez krzywdy niczyjej. Gdzież tam! Za każdą rzeczą będą szły przyjazne spojrzenia tych, co z miłością dla ciebie będą próg nasz opuszczali. Wszystkich ludzi, których ty uzdrowisz, dobry lekarzu... Dobry lekarzu...



Joasia snuje plany przyszłego życia z Tomaszem Judymem.

Boski szept uwielbienia płynął z jej ust.

– Istotnie, jak ty wiesz wszystko, jak ty wszystko widzisz dokładnie! Wszystko to pokocham, bo będzie pochodziło od ciebie, z rąk twoich czystych. Te przedmioty staną się częścią mojej osoby, tak jak ręka, noga, może jak sama głowa, jak samo serce. I gdyby przyszło to wszystko porzucić, odrzucić jednym zamachem...

– Gdy przyjdzie gość albo pacjent, sam się zadziwi, że ludzie żyją szczęśliwie, a tak inaczej. Proste, czyste sprzęty, polne kwiaty w glinianym wazonie... Po cóż nam zimny blask wyrobów fabrycznych? Po co stroje, powozy? Nigdy nie czułam większej rozkoszy, jak kiedy ojciec mój zabierał mię na wózek bez resorów i wioził do lasu po drodze pełnej wystających korzeni drzew, przeciętej wyrwami. Żaden resor nie potrafił uginać się tak doskonale jak dębowa „literka”² wystrugana przez cieślę. Ach, ja już tak dawno straciłam gniazdo rodzinne! Prawie nigdy go nie miałam. W piątej klasie byłam zaledwie, gdy mię ojciec odumał! Mamy prawie nie pamiętam... Każda istota ma swe ognisko, swój dach. Mały skowronek – i ten... Gdy pomyślą, że teraz moje życie tułaczce ma się już skończyć...

– A cóż się stanie z tymi chałupami, cośmy je widzieli przed chwilą? – zapytał Judym głosem pełnym jakiegoś jękania się i zgrzytu.

² literka – drabinka u wozu

Stała na drodze i ze zdumieniem czekała. Patrzył na nią – to prawda, ale jej nie widział. Czy jego były jakby zezowate i zbielełe.

– Cóż zrobimy z nimi? – pytał się, stojąc na tym samym miejscu.

– Z kim?

– Z nimi! Z tymi z budów!



Judyń w rozmowie z Joanną, przed rozstaniem z nią.

– Nie rozumiem...

– Ja muszę rozwalić te śmierdzące nory. Nie będę patrzył, jak żyją i umierają ci od cynku. Polne kwiaty w doniczce, to tak... To dobrze... Ale czy można?

Wzięła go za rękę, gdyż pewne przeczucie wolno jak zimna stal wpychało się w jej serce. Wyrwał rękę i mówił szorstkim, obrażającym głosem, patrząc przed siebie:

– Muszę ci wszystko powiedzieć, chociaż to dla mnie gorsze od śmierci. Doprawdy, doprawdy wolałbym umrzeć, jak Korzecki...

– Korzecki?

– Gdybym to mógł słowem nazwać! Ja tak cię kocham! Nigdy nie myślałem, że może się z człowiekiem stać coś takiego... Twoje uśmiechy, które odsłaniają serce, jakby zdejmowały z niego zasłonę. Twoje czarne, puszyste włosy... Budzę się w nocy i, już nie śpiąc, widzę cię, czuję cię na sercu moim. Minie długa, święta chwila i dopiero wiem, że nie ma nikogo... A odkąd tu przybyłem i zacząłem patrzeć, coś we mnie rozdmuchuje ogień. Pali się we mnie! Nie wiem, co to płonie, nie wiem, co trawi ten pożar...

– Mój Boże...

– Widzisz, dziecko...

– Mój Boże, jaką ty masz twarz!...



Judyń podczas ostatniej rozmowy z Joanną podkreśla różnicę w ich pochodzeniu.

– Widzisz... Ja jestem z motłochu, z ostatniej hołoty. Ty nie możesz mieć wyobrażenia, jaki jest motłoch. Nie możesz nawet objąć tego dalekim przeczuciem, co leży w jego sercu. Jesteś z innej kasty... Kto sam z tego pochodzi, kto przeżył wszystko, wie wszystko... Tu ludzie w trzydziestym roku życia umierają, bo już są starcami. Dzieci ich – to idioci.

– Ale cóż to ma do nas?

– Przecie to ja jestem za to wszystko odpowiedzialny! Ja jestem!

– Ty... odpowiedzialny?

– Tak! Jestem odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie woła: „nie pozwalam!” Jeżeli tego nie zrobię ja, lekarz, to któż to uczyni? Tego nikt...

– Tylko ty jeden?

– Otrzymałem wszystko, co potrzeba... Muszę to oddać, com wziął. Ten dług przekłety... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmary. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mię nie trzymał!



Judym uzasadnia decyzję o rozstaniu z Joasią.

Joasia stanęła w miejscu. Powieki jej były spuszczone, twarz martwa. Nozdra chwytały powietrze. Z ust padło krótkie słowo:

– Ja cię nie wstrzymam...

Były to wyrazy ciche i oblane krwią wstydu. Zdawało się, że z żył, gdy to mówiła, krew rozpalona wytryśnie. Judym odrzekł:

– Ty mię nie wstrzymasz, ale ja sam nie będę mógł odejść. Zakiełkuje we mnie przyschłe nasienie dorobkiewicza. Ja siebie znam. A zresztą... nie ma już co mówić...

Wzdrygnęła się, jakby ją to słowo w tył pchnęło. Szli obok siebie w milczeniu, daleko, daleko...

Ciągnęły obok nich furmanki z rudą galmanu, przeróżne bryki, powozy... Szło dużo ludzi... Nie widzieli tego wszystkiego. Gościniec zaprowadził ich do lasu. Tam usiedli pod drzewem.

Joasia uczuła, że ramię Judyma wsparło się o jej ramię, widziała jego głowę zwieszoną na piersi. Nie była w stanie poruszyć ręką. Siedziała, jakby w twardy sen pogrążona, kiedy wypijamy morza boleści, nie mając siły wydać jednego westchnienia.

W pewnej chwili Judym usłyszał jej płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga.

Nie dźwignął głowy.

O jakieś godzinie usłyszał jej głos cichy, z głębi łez:

– Szczęść ci Boże.

Nie mógł odpowiedzieć sam za siebie, ale jakiś głos obcy, tak jakby Dajmonion, o którym pisał przed śmiercią Korzecki, wymówił z głębi jego serca:

– Daj Panie Boże.

Joasia wstała.

Przez chwilę widział spod bezwładnych, ciężkich, obwisłych powiek jej twarz bolesną. Była jak maska pośmiertna z gipsu. Za chwilę stracił ją z oczu.

Siedział tam długo. Kiedy znowu rzucił oczyma na drogę, nie było już widać nikogo. Wiatr tylko porywał z niej kurz wapienny, miotał go w górę jak plewy.

Kurz wapienny, naśmiewający się...

Judym uciekł.

Szedł brzegiem lasu, później środkiem pastwisk błotnistych. Gdzieś błdził. Nad wieczorem ujrzał przed sobą w polu szkielet zabudowań kopalni.

Straszna nienawiść do tego widoku i wzniosła wżgarda, jak pysk w kły uzbrojony, otwarła się w jego piersiach. Szedł dalej.

Stanął nad brzegiem szerokiej wody, płytko rozlanej. W niskich, nędznych, żółkłych trawach kił ten czarny zalew śmierci, który nad otchłanią kopalni chwieje się lichymi falami. Ciemna woda zdawała się marzyć, zdawała się czekać, kiedy runie w głębinę wydrążoną, kiedy napęlni puste lochy, kuszące próżnie, które ją ciągną, ssą, wzywają.

Judym ją poznał. To ona! Widział ją w nocy. Tej nocy... Szukał na falach świetlistego znaku, długiej ruchomej wskazówki, która przeszywa jak doborowa stal damasceńska. I uczył w sobie ostrze.

Daleko, daleko za lasami łkał świst pociągu, niby słowo tajemnicze zawierające sens życia.

Tuż obok stóp Judyma było szerokie, suche zawalisko, otwór w postaci leja zwróconego wierzchołkiem na dół. W głębi ziemi pod nim były niegdyś galerie kopalni. Warstwy skał piaskowca i łupku gliniastego, wskutek „wyrabowania”³ budynku podtrzymującego piętro, zerwały się od własnego ciężaru i spadając, odłamami swymi napęlniły puste przestrzenie pokładów węgla. Gleba zewnętrzna zsunęła się w przepaść wraz z murawą, krzewami i utworzyła dół głębokości dwudziestu metrów.

W miejscu rozdarcia widać było pręgi piachu siwe i jasnożółte. Naokół stały karłowate, nędzne sosny.



Symboliczne ujęcie losu Judyma i dokonanego przez niego wyboru – rozdarta sosna jako metafora wewnętrznego rozdarcia Judyma (pragnienie zaznania szczęścia osobistego a chęć poświęcenia się ogółowi i konieczność spłaty „długu przekłętego”).

Jedna z nich rosła na samym brzegu zawaliska. Oberwana ziemia ściągnęła w głębinę prawy jej korzeń, a lewy został na twardym gruncie. Tak ją dzieje kopalni rozdarły na dwoje. Pień jej stał jedną połową swoją w górze, a drugą szedł wraz z zawaliskiem, niby istota ludzką, którą na pal wbito. Tamten, z bryłami ziemi w dół ściągnięty, przeżył się jak członki na torturach. Wszczepione w głębię pazury górne trzymały się z całej siły.

Judym zsunął się w zawalisko, żeby go nikt nie widział. Rzucił się na wznak. Pod sobą w głębi ziemi słyszał od czasu do czasu huk wystrzałów dynamitu i prochu. W górze widział obłoki sunące po niebie lazurowym.

Obłoki jasne, święte, zaczerwienione obłoki...

Tuż nad jego głową stała sosna rozdarta.

³ wyrabować – wydobyć

Widział z głębi swojego dołu jej pień rozszarpany, który ociekał krwawymi kroplami żywicy. Patrzył w to rozdarcie długo, bez przerwy.

Widział każde włókno, każde ścięgno kory rozerwane i cierpiące. Słyszał dokoła siebie płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga.

Nie wiedział tylko, kto płacze...

Czy Joasia? – Czy grobowe lochy kopalni płaczą?

Czy sosna rozdarta?

Zakopane. Jesień 1899 r.

KONIEC

OPRACOWANIE



I. BIOGRAFIA STEFANA ŻEROMSKIEGO

1. DZIECIŃSTWO I SZKOŁA



Lata dzieciństwa i młodości Stefana Żeromskiego przypadły na jeden z najtrudniejszych okresów w dziejach Polski – czas tuż po upadku powstania styczniowego 1863 r. i wielkich represji caratu. **Przyszły pisarz urodził się jako jeden z pięciorga dzieci (cztery córki i jeden syn) prawdopodobnie ok. 14 października 1864 r.** (ochrzczono go 1 listopada na plebanii) w **Strawczynie**, gdzie jego czterdziestosześcioletni wówczas **ojciec, Wincenty**, dzierżawił majątek ziemski. Rodzina Żeromskich, wywodzących się ze starego szlacheckiego rodu herbu Jelita, przeprowadziła się do Kieleckiego dopiero pod koniec XVIII wieku. Pradziad Stefana walczył w insurekcji kościuszkowskiej, stryjeczny dziadek brał udział w powstaniu listopadowym, zaś stryj ze strony matki był również wojskowym – majorem w Księstwie Warszawskim i pułkownikiem Wojska Polskiego. Ojciec nie wziął udziału w żadnej bitwie, ale udzielał pomocy powstańcom, dostarczając do lasu środki opatrunkowe i prowiant. Za swą patriotyczną działalność został skazany na cztery miesiące aresztu, skąd udało mu się wydostać dzięki przekupieniu oficera. Rodzina wydała na ten cel niemal wszystkie pieniądze i popadła w długi, toteż gdy nadarzyła się okazja objęcia w dzierżawę wsi Ciekoty, położonej w pięknych Górach Świętokrzyskich, skorzystano z niej natychmiast.

Mama pisarza – Franciszka Józefa z Katerlów Żeromska – młodsza od męża o równe piętnaście lat, stanowiła typowy przykład wzorowej matki-Polki. Pochodziła z półarystokratycznego rodu, korzeniami sięgającego Włoch. Wychowana w klasztorze, była kobietą pobożną, delikatną, niezwykle uczuciową, przywiązaną żywo do narodowej tradycji i historii. Przymioty te starała się od początku wpajać synowi, zapewne po niej odziedziczył on

zamiłowanie do książek, szczególnie do poezji. Po obojgu zaś rodzicach otrzymał w darze dobroć, życzliwość dla bliźnich i szlachetność charakteru. W 1873 r. rodzice oddali syna do elementarnej szkółki w Psarach, aby przygotować go do gimnazjum. Przede wszystkim należało poduczyć chłopca języka rosyjskiego, który był językiem wykładowym i najważniejszym warunkiem przyjęcia do szkoły.

Rok później (1874 r.) Stefan w wieku 10 lat został przyjęty do klasy wstępnej ośmioklasowego **Kieleckiego Męskiego Gimnazjum**, co rozpoczęło całkiem nowy etap w jego życiu. Zamieszkał na stacji u cioci Matyldy Saskiej, skąd – kiedy tylko mógł – wyjeżdżał do rodzinnego domu. Niestety w 1879 r. zmarła matka pisarza, zaś w 1883 r. ojciec. Domem zajęła się najstarsza siostra Aleksandra, zaś najmłodsze dziecko wzięli na wychowanie dalsi krewni. Dwa lata później Wincenty ożenił się powtórnie z Antoniną Zeithemówną, nauczycielką w średnim wieku. Wydarzenie to w zasadzie przypieczętowało rozbiecie rodziny, bowiem siostra Żeromskiego, Aleksandra, z powodu licznych sporów z macochą wyszła za mąż za podoficera rosyjskiego i wyjechała w głąb Rosji, później podobnie postąpiła druga siostra, Bolesława. Obie od tej pory nie utrzymywały z rodziną żadnych kontaktów. W tej sytuacji chłopiec praktycznie został sam i odtąd żył w bardzo trudnych warunkach. Jego przyjacielem i doradcą stał się w owym czasie nauczyciel języka polskiego Gustaw Bem, wybitny krytyk i teoretyk literatury, który rozbudził w swoim najzdolniejszym uczniu pasje pisarskie i polonistyczne. Bem wykładał polski po rosyjsku, lecz wypożyczał Żeromskiemu rodzimą literaturę z własnej biblioteczki i wprowadzał go powoli w arkana sztuki słowa. Żeromski poświęcał najwięcej czasu na czytanie, i to nie tylko dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego czy literatury rosyjskiej – sięgał chętnie po kroniki historyczne i książki z innych dziedzin, np. filozoficzne i psychologiczne. Odwiedzał antykwariaty i wyszukiwał tomiki poezji, tanie rozprawy naukowe, które kupował za pieniądze zaoszczędzone z udzielanych korepetycji. Lata spędzone w gimnazjum były dla niego trudnym okresem. Utrzymywał się z korepetycji dawanych młodszym uczniom, które trwały nieraz aż do późnego wieczora. Dopiero około godziny 22.00 zaczynał odrabiać swoje zadania domowe. Do jego obowiązków na stacji należała również opieka nad młodszymi uczniami.

Młodzież polska w gimnazjum starała się za wszelką cenę przechować i rozwijać w sobie ducha polskości, stąd pomysł założenia **kółka**

samokształceniowego nazwanego **Towarzystwem Literackim**. Celem działalności dziewięciu członków, w tym Żeromskiego, było wcielanie w życie szczytnych idei patriotycznych poprzez czytanie interesujących dzieł i omawianie ich w trakcie dyskusji na niedzielnych zebraniach. Przyszły pisarz zorganizował tajną biblioteczkę, aby udostępniać polskie książki innym uczniom, zaprenumerował też – za własne pieniądze – „Tygodnik Powszechny”.

2. NIEDOSZŁY MATURZYSTA

Najwięcej kłopotów przysparzała młodemu humaniście matematyka, marne oceny dostawał też z języka greckiego i łacińskiego, co spowodowało, że w 1876 r. pozostał na drugi rok w pierwszej klasie. Dwa lata później powtarzał klasę drugą, zaś w 1882 r. zdał szczęśliwie poprawkę z geometrii, dzięki czemu przeszedł do szóstej. Niestety i tu przesiedział dwa lata z powodu łaciny! Jednak trzeba przyznać, że z języka polskiego otrzymywał stopnie celujące.

Tuż przed końcem nauki przyszły pisarz zaczął opuszczać lekcje i przestał należycie przykładać się do edukacji. Tym razem przyczyną była... pierwsza miłość. Przez krótki czas fascynował się kuzynką, Ludwiką Dunin-Borkowską, potem zaś zapalał wielką sympatią do Heleny Skierskiej, córki wicegubernatora Kielc. W kwietniu 1885 r. poznał starszą o 10 lat zamężną Helenę Radziszewską, młodszą siostrę swojej macochy, którą od pierwszej chwili obdarzył gorącym uczuciem. Mimo że jego wychowawca odnotował w dzienniku aż 427 nieobecności, wiosną 1886 r. Żeromski został dopuszczony do egzaminu dojrzałości.

Matura tego roku stała się dla większości abiturientów wstrząsającym doświadczeniem, bowiem nieco wcześniej rosyjski kurator Okręgu Naukowego Warszawskiego, Aleksander Apuchtin, w liście do dyrektora kieleckiego gimnazjum skrytykował szkołę za tolerancję, zawyżanie ocen i powierzchowność przy sprawdzaniu prac. Domagał się zmiany standardów egzaminów, co przyniosło zdecydowane konsekwencje. Spośród 36 uczniów przystępujących do matury



zdało zaledwie 9! Niestety w gronie szczęśliwców nie było Żeromskiego, który tym samym stracił szansę na zdobycie wyższego wykształcenia¹.

3. STUDENT SZKOŁY WETERYNARYJNEJ

Jesienią 1886 r. rozpoczął się kolejny etap w życiu pisarza. On sam marzył o medycynie, ale w końcu wyjechał do Warszawy i **podjął studia w Szkole Weterynaryjnej**, gdzie można było się dostać bez świadectwa dojrzałości. Od początku **zajął się działalnością samokształceniową i patriotyczną**, wstąpiwszy do kółka kieleckiego. Na spotkaniach wygłaszał referaty na temat twórczości polskich wieszczów, ponadto zajmował się agitacją kolegów, prowadził bezpłatne korepetycje z języka rosyjskiego, z historii i literatury polskiej, uczestniczył też w patriotycznych manifestacjach. W wolnym czasie uczęszczał do teatru, zwiedzał wystawy i jeździł na wycieczki, o ile fundusze mu na to pozwalały. Ponieważ ich brak stawał się coraz bardziej dotkliwy, młody student musiał sprzedawać swe książki, a nawet odzież. Znalazł też posadę korepetytora w domu rejenta Michała Józefowicza, ale rodzice małego Stasia, którego uczył z zapałem i chęcią, szybko zauważyli zły stan zdrowia Żeromskiego – powracające ataki kaszlu, gorączkę, nienormalną bladłość, co poskutkowało tym, że w niezbyt subtelny sposób wymówiono mu pracę. W ten sposób sytuacja finansowa pisarza jeszcze bardziej się pogorszyła. Musiał on szukać pomocy u dawnego nauczyciela – polonisty, wybitnego zresztą krytyka literackiego, Gustawa Bema, który ofiarował mu list polecający do pisarza Adolfa Dygasińskiego. Ten organizował mu dorywcze korepetycje. Pisarz zajął się też tłumaczeniem historii Rosji, ale za 12 arkuszy otrzymał bardzo niewielkie wynagrodzenie.

Zniechęcony trudnymi warunkami i postępującą chorobą – w swych *Dziennikach* pisał, że żołądek, gardło i płuca zostały zaatakowane, że chudnie i niemal całkowicie stracił głos – **zdecydował się na rezygnację ze studiów i wyjazd do Oleśnicy**.

4. KOREPETYTOR

Pisarz, **mieszkając w majątku Gustawa Zaborowskiego**, udzielał lekcji córce i synowi właściciela, a także – w wolnym czasie – z wielkim zamiłowaniem porządkował jego domowe archiwum. Czuł się tu niezbyt dobrze,

¹ Jedne źródła podają, że pisarz w ogóle nie przystąpił do matury, w innych zaś czytamy, że nie zdał egzaminów: por. G. Łoś, *Twórcy literatury polskiej i ich dzieła*, Białyśtok 2003, s. 324; B. Szynkler, *Bibliotekarska służba Stefana Żeromskiego*, Wrocław 1977.

mimo utrzymania i niezłych zarobków. Zniechęcają **go wsteczne i konserwatywne poglądy tej ziemiańskiej rodziny**, jej całkowita obojętność na losy ojczyzny, pogarda dla chłopów i dążenie do utrzymywania wieśniaków w ciemnocie. W tym czasie z własnej woli podejmuje się nauczania wiejskiego chłopca, Stasia Górki – organizuje mu przez znajomych podręczniki, opracowuje autorski program kształcenia. Wkrótce otwiera też niewielką domową wypożyczalnię książek dla chłopów, co przeradza się w akcję oświatową o całkiem sporym zasięgu.

W 1891 r. ukazuje się jego pierwszy utwór pt. *Mękale*, potem następne: *Psie prawo*, *Wylom*, *List miłosny*, *Zapomnienie*, a także reportaż *Spod Stopnicy*. Niektóre zostają wydrukowane w „Głosie”.

Żeromski jest przygnębiony, głodny i osłabiony, często kaszle, miewa dreszcze i bóle w płucach. Wiosną 1889 r., wskutek zbyt forsownych ćwiczeń ze sprzężną gimnastyczną, dochodzi jeszcze do uszkodzenia dłoni. Musi się poddać trzem operacjom – w Staszowie, w Krakowie i w Warszawie. Przeznaczone na ten cel pieniądze szybko się rozchodzą, co zmusza go do zaciągania pożyczek u znajomych. Ponadto pojawia się jeszcze kolejny problem – **ziemianin z Oleśnicy wymawia mu posadę i Żeromski gwałtownie szuka stałego źródła utrzymania**.

Znajduje je kilka tygodni później, **zatrudniając się w Łysowie na Podlasiu u Anieli z Dobrzyńskich, wdowie po pisarzu Adamie Rzążewskim. Jest korepetytorem małego Adasia Rzążewskiego**, który rok później zdaje egzamin do gimnazjum kieleckiego. Wtedy to na jego drodze staje dobry duch – szkolny kolega Jan Strożecki – który wystawia mu wspaniałe referencje w liście polecającym do inżyniera Michała Górskiego, właściciela folwarku w Nałęczowie. Bogaty ojciec, który pragnie, aby troje jego dzieci zdobyło wszechstronne i gruntowne wykształcenie, odpisuje, że chętnie przyjmie nowego nauczyciela. I tak we wrześniu 1890 r. pisarz przyjeżdża na miejsce, gdzie czekają na niego trzy dziewczynki: Janina, Stefania i Zofia. Codziennie przez kilka godzin uczy je łaciny, algebry, geometrii, fizyki, zoologii, botaniki, historii, języków obcych, a nawet rysunków. Z pewnością musi się do tych lekcji długo przygotowywać, biorąc pod uwagę fakt, że nauki ściśle stanowią dla niego nie lada wyzwanie.

Pobyt w wesołym towarzystwie i miłej atmosferze uzdrowiska, poznawanie nowych ludzi, powodują, że zazwyczaj zamknięty w sobie człowiek otwiera się na ludzi.

5. ZAKOCHANY MŁODZIEŃC

Pewnego dnia w **Nałęczowie**, w trakcie spaceru, Żeromski poznaje swoją przyszłą żonę, **Oktawię Rodkiewiczową z Radziwiłłowiczów**, wdowę po Henryku Rodkiewicz, administratorze Zakładu Leczniczego w tym mieście i pasierbicę dyrektora zakładu, doktora Konrada Chmielowskiego. Pełna uroku i inteligencji dziewczyna pracuje jako kasjerka i obraca się w towarzystwie nałęczowskiej elity. Pisarz, spacerując po parku, najpierw zwraca uwagę na Bolesława Prusa, który towarzyszy damie i – jak się okazuje – jest starym przyjacielem rodziny. Dopiero później jego zainteresowanie wzbudza sama Oktawia, którą traktuje jak najlepszą przyjaciółkę i powierniczkę. Od tej pory samotność umilają mu wspólne przechadzki we troje i rozmowy z niezwykle czytaną kobietą, pozostającą pod urokiem mistrza Prusa. Przyjaźń przeradza się w miłość, a ukoronowaniem spotkań zakochanych stają się **uroczyste zaręczyny pod koniec października 1891 r.**

Niestety nad młodymi ludźmi znów zbierają się czarne chmury, bowiem właściciel folwarku wymawia swojemu nauczycielowi posadę korepetytora. Po długich rozmowach z Oktawią oboje postanawiają, że Żeromski wyruszy do Krakowa, aby zdawać egzaminy na prawo, na Uniwersytet Jagielloński. Najpierw jednak wybierze się do Szwajcarii wraz ze swoim kolegą Zygmuntem Wasilewskim, który w Muzeum Polskim Narodowym w Rapperswilu miał pełnić funkcję bibliotekarza.

6. PODRÓŻNIK

W styczniu 1892 r. pisarz wyjeżdża w swoją pierwszą podróż zagraniczną. Po pożegnaniu z narzeczoną i załatwieniu formalności paszportowych w Kielcach przybywa do Krakowa, gdzie ma się spotkać z Wasilewskim. Na miejscu okazuje się jednak, że przyjaciel odłożył wyjazd na dwa miesiące, w związku z czym Żeromski sam **wyrusza do Wiednia**, a następnie przez Innsbruck kieruje się do Zurychu, gdzie spotyka go nadzwyczaj sympatyczne przyjęcie ze strony polskich studentów. Odbywa miłą wyprawę do Rapperswilu, zwiedza Muzeum Polskie, a potem udaje się do **Monachium** i ogląda tamtejsze galerie sztuki, wreszcie na krótko zatrzymuje się w **Pra-dze**. Trzeciego lutego przybywa z powrotem do Krakowa, mając w planach wynajęcie mieszkania u malarza Ludomira Benedyktowicza. Pragnie tu spokojnie przygotowywać się do egzaminów na prawo. Niestety, życie

w Krakowie okazuje się zbyt drogie i musi szukać nowych możliwości finansowych.

Wyjazd do Zakopanego za pracę wydaje się jedynym dobrym rozwiązaniem, tym bardziej że jest tam wolna posada nauczyciela. Otrzymuje ją ktoś inny, a Żeromskiemu pozostaje jedynie aktywny wypoczynek. Tu poznaje m.in. Stanisława Witkiewicza, z którym serdecznie się zaprzyjaźnia. Razem chodzą na wycieczki w Tatry, a w czasie złej pogody czytają książki. Pisarz studiuje *Filozofię* Schopenhauera, *Wojnę i pokój* Tolstoja, dzieła Szekspira, wpada na pomysł założenia powiatowego muzeum w Nałęczowie i już zastanawia się nad tym, skąd wziąć fundusze na ten szlachetny cel. Tymczasem pieniądze rozchodzą się szybko i wkrótce nadchodzi czas powrotu do Oktawii.

7. MĄŻ OKTAWII

Żeromski powraca do Nałęczowa bardzo wyczerpany i schorowany, tak że lekarze radzą mu natychmiastowy **wyjazd na leczenie do Szwajcarii**. Tymczasem on nie ma ani pieniędzy, ani stałej pracy. Wreszcie, korzystając z poparcia Prusa, **zdobywa zatrudnienie na stanowisku pomocnika bibliotekarza w Muzeum Polskim w Raperswilu**. Pracę ma rozpocząć 1 października 1892 r., co skłania młodych do przyspieszenia ceremonii ślubnej. **Dnia 2 września we wsi Policzna**, znajdującej się w pobliżu sławnego już Czarnolasu (mieszkał w nim Jan Kochanowski), w starym kościółku **odbył ślub Oktawii i Stefana**. Udzielił go ksiądz Antoni Grudziński, szkolny kolega pana młodego, a świadkami byli Bolesław Prus i Florian Łagowski, właściciel prywatnej szkoły w Warszawie. Mówiono, że narzeczony, osłabiony z powodu nawrotu gruźlicy, był podtrzymywany przez przyjaciół w trakcie trwania ceremonii. Pod koniec miesiąca małżeństwo, wraz z córką Oktawii Henią, wyjeżdża do Szwajcarii.

8. BIBLIOTEKARZ

Żeromski wybrał zawód bibliotekarza z konieczności – słabe zdrowie i nieustanny brak stałego zajęcia, jak również obowiązek utrzymywania rodziny, zmusiły go do podjęcia tej trudnej i odpowiedzialnej służby. Dodajmy, że mimo braku przygotowania zawodowego – dzięki ciągłemu samokształceniu i studiowaniu książek – radził sobie doskonale. Wciąż poszerzał wiedzę humanistyczną i rozwijał talent pisarski, a każdą swą powieść czy opowia-



danie poprzedzał dokładną analizą źródeł historycznych, geograficznych, anatomicznych i etnograficznych.

8.1. MUZEUM NARODOWE POLSKIE W RAPPERSWILU

Po przyjeździe do Rapperswilu młodzi zamieszkali w dwupokojowym mieszkanku przy ul. Bahnhofstrasse, później natomiast przeprowadzili się do państwa Fäh. Żeromski rozpoczął ciężką pracę jako **pomocnik bibliotekarza**, porządkując zbiory biblioteczne. Obaj z kolegą bibliotekarzem Wasilewskim postanowili wprowadzić nowy porządek segregowania i magazynowania książek, ustawiając je według formatów i tworząc katalogi. Ponieważ zaś stopy woluminów składowane były w salach zamkowych, poczynając od parteru, aż po strych, znosili je codziennie na drugie piętro do pomieszczeń biblioteki, potem przeglądali, opracowywali i ustawiali w szafach. Praca ta trwała kilka ładnych miesięcy i wymagała sporej siły fizycznej oraz ogromnej cierpliwości. Pisarz, mimo choroby, potrafił jeszcze w wolnych chwilach malować ukochane góry, a także urządzać wycieczki do Zurychu, gdzie polscy emigranci i studenci w kawiarniach dyskutowali na tematy polityczne. Latem 1893 r., gdy poczuł się trochę lepiej, wybrał się z żoną i jej bratem na pieszą wyprawę w Alpy, aż do Jezior Grimselskich.

Rok później Żeromski został **bibliotekarzem** i spadł na niego cały ciężar nowych obowiązków, takich jak: prowadzenie kancelarii muzeum i korespondencji, wypełnianie ksiąg darów, kupna i sprzedaży, wypożyczeń i zamiany, odbieranie na pocztę gazet i czasopism oraz segregowanie ich według roczników, jak też wysyłanie wydawnictw i pisanie rocznych sprawozdań z działalności placówki. Chociaż pracy było bardzo dużo, znalazł czas na niesamowite przedsięwzięcie – sporządzenie katalogu ok. 500 dzieł Adama Mickiewicza i urządzenie w muzeum specjalnej sali poświęconej wieszczowi. Aby pokazać, że Polacy potrafią okazać wdzięczność innym narodom, urządził pokój *Przyjaciół Polski* i zgromadził pamiątkowe przedmioty należące kiedyś do obcokrajowców działających na rzecz jego ojczyzny.

Wytrwała działalność spowodowała liczne konflikty z kustoszem Rużyckim i sprzymierzonymi z nim członkami rady biblioteki. Rużycki – dyletant i dziwak – zamiast sprawować należytą pieczę nad zbiorami, gromadził przeróżne „śmieciki”, pozbywając się oryginalnych i wartościowych zabytków. Pogorszenie się stanu zdrowia pisarza i nieustanna konieczność odpierania ataków kustosa muzeum sprawiły, że rodzina w końcu podjęła decyzję

opuszczenia Rapperswilu. W 1896 r. Oktawia wraz z córką Henią wyjechały do Nałęczowa, gdzie czekał na nią etat kasjerki w Zakładzie Leczniczym, natomiast mąż wyruszył w ślad za nimi kilka tygodni później.



8.2. BIBLIOTEKA ORDYNACJI ZAMOYSKICH W WARSZAWIE

Po powrocie do Warszawy Żeromski zabiega o przyjęcie na stanowisko bibliotekarza w Bibliotece Ordynacji Zamoyskiej. Posadę tę otrzymuje w marcu 1897 r., co oznacza dla całej rodziny polepszenie się warunków bytowych. Dodajmy, że praca w nowej bibliotece jest nieco lżejsza i spokojniejsza – polega głównie na opracowywaniu katalogów, prowadzeniu ksiąg inwentaryzacyjnych i załatwianiu korespondencji. Pisarz, który wcześniej rozbudził w sobie kolekcjonerską pasję, odwiedza antykwariaty, lombardy, mieszkania znajomych, wyszukując pamiątki i zabytkowe przedmioty. W miarę możliwości finansowych, które wciąż są niewielkie, skupuje cenne starocie i wysyła je do Rapperswilu. W 1898 r. ukazuje się drukiem *Katalog zbiorów mickiewiczowskich znajdujących się w Muzeum Narodowym w Rapperswilu*, opracowany przez pisarza.

Jednocześnie angażuje się w działalność patriotyczną i konspiracyjną w PPS-ie, a jego dom staje się przystanią dla „spalonych” działaczy. Jego poglądy są bardzo radykalne, wręcz socjalistyczne. Angażuje się też w sprawy oświatowe, uruchamia w Nałęczowie szkołę ludową, tworzy instytucję oświatową po nazwę „Światło”, prowadzi koło Wydziału Czytelni Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, organizuje kursy dokształcające dla młodzieży, występuje z inicjatywą powołania do życia Uniwersytetu Ludowego i opracowuje program jego funkcjonowania. Dnia 10 grudnia 1905 r. odbywa się jego wykład inauguracyjny, w którym dobitnie podkreśla ogromną rolę nauki w rozwoju człowieka.



9. OJCIEC

Pierwszy synek państwa Żeromskich – Stefan – zmarł bardzo wcześnie, dlatego narodziny drugiego były dla rodziny niezwykle świętem. Dnia **8 września 1899 roku** przyszedł na świat **Adam**, który niestety odziedziczył po rodzicach słabe zdrowie i skłonność do zapadania na choroby płuc. Ojcu nie dane było długo się nim cieszyć – w nocy z 29 na 30 lipca **1918 roku syn odszedł** po długiej walce z gruźlicą.

10. WYJAZDY I POWROTY

W 1902 r. pisarz odbył krótką podróż do Włoch ze szwagrem, dla ratowania zdrowia, ponieważ gruźlica czyniła ogromne postępy. W Wiedniu zaziębił się nieszczęśliwie i zamiast podziwiać piękne krajobrazy, niepokoił się stanem swojego zdrowia. Wreszcie zdecydował się na powrót do Warszawy.

Rok później wraz z żoną przeprowadził się do Zakopanego, gdyż górski klimat sprzyjał leczeniu. W górach poczuł się lepiej, zaczął pracować społecznie, np. zajął się organizacją Biblioteki Publicznej i prowadzeniem wieczorów poetyckich. Spokojny dwuletni pobyt w dogodnej atmosferze sprawił, że pisarz doszedł do siebie.

Po powrocie do Nałęczowa Żeromski jeszcze raz musiał jechać z Oktawią i Adamem do Włoch, tym razem chodziło o chorobę syna. Zostawił tam rodzinę i wrócił do kraju, gdzie zaczynała się **rewolucja 1905 r. Pisarz zaangażował się w sprawy społeczne** – wykladał na tajnym uniwersytecie ludowym, jeździł z odczytami, dyskutował z przyjaciółmi, lecz przewidywał upadek rewolucji i odczuwał go jako osobistą klęskę.

Pod koniec 1909 r. nastąpiła kolejna przeprowadzka Żeromskich, tym razem do stolicy Francji, gdzie wydawało się, iż wreszcie zakwitło rodzinne szczęście – pisarz czuł się tu o wiele lepiej. Chodził z synem na wycieczki po okolicy, przyjmował gości. Niestety, słaba psychicznie żona Oktawia najwidoczniej nie wytrzymała trudów życia – miewała halucynacje i urojenia, stała się nerwowa i wybuchowa. Na dodatek pisarz zapalał uczuciem do młodzieńkiej Anny Zawadzkiej, którą poznał w 1908 r. w Warszawie. W Paryżu spotkali się ponownie i początkowa fascynacja przerodziła się w silną i namiętną miłość. Nadal mieszkał z Oktawią i Adasiem, mimo że prowadził podwójne życie w związkach, gdyż kochanka urodziła mu wkrótce córkę, Monikę. Starał się więc dzielić czas i finanse między dwa domy, aż do czasu śmierci Adama. Po tej tragedii wraz z Anną i Moniką przeniósł się do Zakopanego, potem jeszcze wielokrotnie zmieniał miejsca swego pobytu, aż kupił willę w Konstancinie, w której również nie mieszkał na stałe.

W tym okresie nastąpiło wydanie *Przedwiośnia*, za którą to powieść twórca został odznaczony nagrodą im. Elizy Orzeszkowej i państwową nagrodą literacką Związku Literatów Polskich. Społeczeństwo doceniało jego niezwykle talent i zasługi w dziedzinie literatury.

11. ŚMIERĆ

Choroba, która zaczęła się jeszcze w latach trudnej młodości, teraz czyniła szybkie postępy. Pisarz wciąż nie mógł też uporządkować swoich spraw osobistych, gdyż mieszkał z Anną Zawadzką, a jego żona Oktawia nie zgadzała się na rozwód. Wreszcie sporządził testament, na mocy którego całą swoją spuściznę literacką i majątek przekazywał w połowie Annie, a w połowie jej córce, Monice.

Dnia **20 listopada 1925 r.** Stefan Żeromski zmarł około południa, zaś przyczyną zgonu okazał się tętniak serca. Jego pogrzeb stał się manifestacją narodową.



12. TWÓRCZOŚĆ

Zamiłowanie do pracy pisarskiej, do studiowania książek i utrwalania swoich przeżyć na bieżąco, cechowało Żeromskiego od młodości. Swoje powołanie do tworzenia uświadomił sobie już w latach szkolnych, bowiem w wieku 18 lat miał w dorobku już 37 wierszy, poematów, powieści i przekładów. Zapiski w *Dziennikach*, tworzonych w okresie pobytu w kieleckim gimnazjum, zakończyły się na 1891 roku.

Dzienniki prowadził pisarz między 18. a 27. rokiem życia, w latach 1882-1891. Były one początkowo czysto osobistymi notatkami, dotyczącymi przeżyć i różnych wydarzeń z życia, nieco później wzrosło zainteresowanie pisarza sprawami społecznymi i politycznymi; zapiski są dziś bogatym źródłem informacji o młodzięcym okresie jego egzystencji (znajdujemy tu refleksje na temat miłości, krytykę egoizmu polskich ziemian, jak też poruszające spostrzeżenia, dotyczące codziennych kłopotów i nędzy materialnej biednego studenta).

Pierwsze **opowiadania** – *Silaczka*, *Zapomnienie*, *Ananke* – ukazały się drukiem w 1891 r., a trzy lata później ukazało się jedno z najbardziej znanych powstańców opowiadań pt. *Rozdziobią nas kruki, wrony*, przedstawiające sytuację powstańczej klęski 1863 r. **Debiut powieściowy** pisarza przypadł na 1898 r., były nim *Szyfrowe prace*, pisane jeszcze w Rapperswilu.

Od tej pory niemal każdego roku wychodziły spod jego pióra kolejne utwory, które możemy ogólnie zaliczyć do następujących kierunków twórczości:

- ★ Nurt prozy historycznej, w którym powstały opowiadania i powieści związane z sytuacją po klęsce powstania styczniowego i oceną postawy Polaków, a także dzieła podejmujące kwestię kampanii napoleońskiej



i żołnierzy polskich walczących pod sztandarami Napoleona o wolność kraju: Popioły, Rozdziobią nas kruki, wrony, Echa leśne, Wierna rzeka, Sułkowski, Sen o szpadzie.

- * **Nurt prozy współczesnej pisarzowi**, prezentującej wydarzenia rewolucji 1905 r., a także sytuację społeczeństwa pod zaborami, rusyfikację narodu i późniejsze odzyskanie przez Polskę niepodległości:

Róża, Syzyfowe prace, Ludzie bezdomni, Siłaczka, Doktor Piotr, Walka z szatanem.



II. KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI STEFANA ŻEROMSKIEGO

Data	Życie	Twórczość
14.10.1864 r.	narodziny w Strawczynie	
1868 r.	wyjazd całej rodziny do Ciekot (w celu dzierżawy folwarku)	
1873 r.	przyjęcie do szkoły elementarnej w Psarach	
1874 r.	przyjęcie chłopca do klasy wstępnej Kieleckiego Męskiego Gimnazjum	
lata 1874-1886	nauka w gimnazjum w Kielcach	
15.08.1879 r.	śmierć Franciszki Józefy z Katerłów – matki pisarza	
1880 r.		wiersze: <i>Na zwaliskach św. Krzyża, Na mogile matki</i>
1881 r.	powtórny ożenek ojca pisarza i wprowadzenie się do domu macochy, Antoniny Zeitheimówny	
lata 1882-1891		prowadzenie <i>Dzienników</i> ; druk pierwszych wierszy: <i>Piosnka rolnika</i> ; tłumaczenie z Lermontowa: <i>Pragnienie</i>
22.09.1883 r.	śmierć Wincentego Żeromskiego – ojca pisarza	

1886 r.	podjęcie studiów w Szkole Weterynaryjnej w Warszawie	
lata 1888-1890	praca korepetytora w ziemiańskich dworach Gustawa Zaborowskiego, a potem Anieli Rzążewskiej	
1889 r.	uszkodzenie ręki i trzy operacje	korespondencja wydrukowana anonimowo w „Gazecie Kieleckiej”; obrazek: <i>Ach! Gdybym dożył tej pociechy</i> ; obrazek: <i>Elegia</i>
1890 r.	guwernerka u inżyniera Michała Górskiego	opowiadanie: <i>Niedobitek. Wspomnienie</i> , wydrukowane w „Nowej Reformie”
1891 r.		pierwsze opowiadania: <i>Mękalce, Psie prawo, Wyłom, List miłosny, Ananke, Zapomnienie</i> ; reportaż <i>Spod Stopnicy</i>
1891 r.	zaręczyny z Oktawią Rodkiewiczową	
styczeń 1892 r.	podróż zagraniczna: Wiedeń, Zurych, Monachium, Praga	opowiadanie: <i>Zmierzch</i>
02.09.1892 r.	ślub z Oktawią Rodkiewiczową w Policznej	
01.10.1892 r.	rozpoczęcie pracy na stanowisku pomocnika bibliotekarza w Muzeum Narodowym Polskim w Rapperswilu (Szwajcaria)	
1894 r.		opowiadanie <i>Rozdziobią nas kruki, wrony...</i>
1895 r.	wydanie pierwszej książki – zbioru opowiadań	nowele: <i>Doktor Piotr, Siłaczka, Złe przeczucie, Pokusa</i> (pierwsze książkowe wydanie <i>Opowiadań</i> w Warszawie)

1896 r.	wyjazd rodziny Żeromskich (najpierw Oktawii wraz z córką do Nałęczowa) do Warszawy	ukończenie pisania <i>Szyfów</i>
marzec 1897-1903	praca na stanowisku bibliotekarza w Bibliotece Zamoy-skich w Warszawie	
1896 r.		powieść <i>Szyfowe prace</i> opublikowana w odcinkach w krakowskiej „Nowej Re-formie” pod pseud. Maurycy Zych
1898 r.		<i>Katalog zbiorów mickiewi-czowskich...</i> ; opowiadanie <i>O żołnierzu tułaczu</i>
08.09.1899 r.	narodziny syna pisarza, Adama	powieść <i>Ludzie bezdomni</i>
lata 1902-1904	podróż do Włoch ze szwa-grem Rafałem Radziwiłłowi-czem	druk powieści: <i>Popioły</i> w odcinkach, w „Tygodniku Ilustrowanym”; powieść historyczna: <i>Popioły</i> (wydanie książkowe)
1903 r.	przeprowadzka rodziny do Zakopanego	
1905 r.	otwarcie z inicjatywy pisarza Uniwersytetu Ludowego	opowiadanie: <i>Echa leśne</i> ; <i>Powieść o Udałym Walgierzu</i> ; opowiadanie <i>Sen o szpadzie</i>
1907 r.		<i>Nokturn</i>
1908 r.	poznanie drugiej miłości życia pisarza – Anny Zawadzkiej	powieść: <i>Dzieje grzechu</i> ; proza poetycka: <i>Duma o het-manie</i>
1909 r.	przeprowadzka Żeromskich do Paryża; narodziny córki Moniki z nieślubnego związku z Anną Zawadzką	dramat: <i>Róża</i>
1910 r.		tragedia: <i>Sułkowski</i>

1912 r.	wyjazd do Zakopanego	powieść: <i>Uroda życia</i>
1913 r.		powieść: <i>Wierna rzeka</i>
lata 1916-1919		trylogia: <i>Walka z szatanem</i> (<i>Nawracanie Judasza, Zamięć, Charitas</i>)
30.07.1918 r.	śmierć syna Żeromskiego, Adama	
1921 r.		dramaty: <i>Ponad śnieg biel- szym się stanę, Biała rękawiczka</i>
1922 r.		opowiadanie: <i>Wiatr od morza</i>
1923 r.		<i>Turoń</i>
1924 r.		dramat: <i>Uciekła mi prze- pióreczka</i>
1925 r.		powieść: <i>Przedwiośnie</i>
20.11.1925 r.	śmierć Stefana Żeromskiego (Warszawa)	<i>Puszcza jodłowa</i>



III. RODZAJ I GATUNEK LITERACKI

Ludzie bezdomni to **powieść młodopolska (modernistyczna)**.

1. CECHY POWIEŚCI MŁODOPOLSKIEJ NA PRZYKŁADZIE *LUDZI BEZDOMNYCH*

Powieść – podstawowy gatunek prozy epickiej o wielowątkowej fabule, swobodnej kompozycji i rozbudowanej formie, zawierający przeważnie bogaty materiał poznawczy, społeczno-obyczajowy, historyczny; dość mocno zróżnicowany, stąd wyróżniamy wiele jej odmian: autobiograficzną, biograficzną, fantastyczno-naukową, historyczną, kryminalną, psychologiczną, obyczajową, pamiętnik, sensacyjną, środowiskową, epitolarną, paraboliczną, utopijną.

- ★ **odejście od narratora wszechwiedzącego na rzecz takiego, który nie wie więcej, niż mogą wiedzieć bohaterowie** – postacie widzimy oczami Tomasza Judyma lub Joasi Podborskiej;
- ★ ważniejsze od przedstawiania kolei losów bohatera, związków przyczynowo-skutkowych czy wiernego odzwierciedlenia realiów (choć ono także ma miejsce w powieści – Żeromski dokładnie portretuje różne warstwy społeczne: ziemiaństwo, inteligencję, środowisko lekarskie),



staje się **psychologia postaci, jej życie wewnętrzne** (rozbudowane) i subiektywne **postrzeganie świata**;

- ★ **wpływy naturalizmu**, widoczne w opisach biednych dzielnic (ul. Ciepła, Krochmalna, Zagłębie), warunków życia ich mieszkańców, ich wyglądu i stanu zdrowia – są bardzo dosadne i drastyczne; podkreślają brzydotę, charakteryzuje je biologiczne widzenie świata, często występują w nich porównania ze śmiercią;
- ★ **wpływy impresjonizmu**, widoczne nie tylko w opisach przyrody (w utrwalaniu ulotnych wrażeń, eksponowaniu gry powietrza i światła), ale także w psychice bohaterów (odzwierciedlanie ich nastrojów, wrażeń, chwilowych odczuć);
- ★ **wpływy ekspresjonizmu**, czyli patos, ekstatyczność, gwałtowne kontrasty, skłonność do przerysowania, karykatury;
- ★ **wpływy symbolizmu**, czyli opisywanie rzeczywistości za pomocą symboli, np. posąg Wenus z Milo symbolizuje radość życia, obraz *Rybaka* – krzywdę biedoty, niesprawiedliwość społeczną, kwiat tuberozy, do którego porównany jest Karbowski – bezużyteczne piękno, rozdarta sosna w ostatniej scenie – dylematy i rozterki Tomasza Judyma; niektóre postaci są również symbolami: Tomasz Judym – szlachetnego i bezgranicznego poświęcenia, Joasia – ciepła, dobroci, ofiarności, marzeń o domowym ognisku, Korzecki – niezgody na rzeczywistość, targających wrażliwą jednostką dylematów egzystencjalnych, Krzywosąd – wygodnictwa, które może skutecznie znieczulić na wymogi przyzwoitości;
- ★ **liryzacja języka** – tendencja przeniesiona do prozy młodopolskiej z poezji; miała służyć pełnemu oddaniu intensywności przeżyć bohatera.



IV. OMÓWIENIE LEKTURY

1. JAK POWSTALI *LUDZIE BEZDOMNI*?

Powieść *Ludzie bezdomni*, która **ukazała się w Warszawie jesienią 1899 r.** (z datą 1900 r.), **cieszyła się ogromną popularnością**. Dlaczego pisarz zdecydował się pochylić nad ludzką niedolą? Stefan Żeromski uważał, że obowiązkiem pisarza jest *smucić się i gniewać się za miliony. Wtedy widzą przyszłość, która powinna być inna niż dzień dzisiejszy. I ja nie chcę iść w przyszłość bezbronny. Moją bronią jest gniew na dzień dzisiejszy*. Wia-



domo, że Stefan Żeromski pracował nad powieścią już w 1898 r., kiedy to zbierał materiały na temat warunków panujących w paryskim domu noclegowym dla biedoty (w powieści zostaną one wykorzystane w referacie Judyma, który to zamknie mu drogę do kariery w stolicy). Pisarz bardzo dbał o faktograficzną stronę powieści – uzdrowisko Cisy to portret Nałęczowa, które Żeromski dobrze znał – w młodości pracował tam jako guwerner córek zarządcy Nałęczowa. Problemy zdrowotne biedoty, spowodowane podmokłymi terenami i morowym powietrzem, mógł obserwować właśnie w Nałęczowie. **Wiele postaci z powieści ma swoje pierwowzory** – i tak doktor Tomasz Judym przypomina Kazimierza Sacewicza – młodego lekarza, idealistę, którego Żeromski poznał również w Nałęczowie, a prototypem Węglichowskiego jest doktor Józef Gałęzowski – dyrektor muzeum w Rapperswilu, gdzie Żeromski pracował jako bibliotekarz (podczas pobytu w Szwajcarii w latach 1892-1896). Postać Korzeckiego z kolei to literacki portret Edwarda Abramowskiego, działacza politycznego i uczonego, który był bardzo wyczulony na ludzką krzywdę. Opisywane w powieści Zagłębie też nie było Żeromskiemu obce – przebywał tam w 1897 r., zwiedzał fabryki i kopalnie w Hucie Bankowej.

2. CZAS AKCJI

Czas akcji to lata 90. XIX wieku (nie jest bliżej określony). **Akcja toczy się na przestrzeni ponad dwóch lat** – poznajemy Judyma w Paryżu, po roku wraca do Warszawy, w której spędza pół roku), następnie na rok wyjeżdża do uzdrowiska w Cisach, a z niego udaje się do Zagłębia.

Czas fabuły jest szerszy – Tomasz Judym, a także Joasia Podborska wspominają swoje dzieciństwo i wtedy sięgają ok. 20 lat wcześniej. Poznajemy też historię Lesa i Niewadzkiego – politycznych emigrantów, uczestników powstania styczniowego i wtedy przenosimy się do lat 1863-1870. Czas fabularny *Ludzi bezdomnych* obejmuje więc około (a może nawet ponad) 30 lat.

3. MIEJSCE AKCJI

Paryż, Warszawa, Cisy, Zagłębie, Wiedeń, Szwajcaria, a we wspomnieniach Joasi: Kielce, Głogi, Mękarzyce, Krawczyńska, w liście od Wacława: Syberia.



4. TEMATYKA

Głównym tematem powieści są losy Tomasza Judyma – człowieka, wywodzącego się z nizin społecznych, który dzięki własnej pracy i uporowi, za cenę wielu upokorzeń (złe traktowanie przez ciotkę, u której mieszkał), sporo w życiu osiągnął – skończył studia medyczne i został lekarzem. Judym nie potrafi zapomnieć o swoich korzeniach, co czasami wywołuje u niego kompleksy i nutę zazdrości wobec osób z towarzystwa, ale przede wszystkim czyni go bardzo wyczulonym na losy biedoty, której straszne warunki życia poznaje i w Warszawie, i w Cisach, i w Zagłębiu. Jest idealistą – chce ulepszyć świat i zwalczyć nędzę. Dążąc do tego celu, popada w kolejne konflikty ze swoimi kolegami po fachu i przełożonymi. Ostatecznie dochodzi do wniosku, że nie może być szczęśliwy, kiedy wokół niego jest tyle ubóstwa, i odrzuca miłość ukochanej kobiety, Joasi Podborskiej. Chce samotnie walczyć o lepsze warunki życia zagłębiowskiego proletariatu.

Tematem powieści są również dzieje Joasi Podborskiej – ubogiej szlachcianki. Wczesna śmierć rodziców i koleje losu zmuszają ją do tułaczki po domach przedstawicieli klas wyższych, których dzieci naucza. Jest wrażliwa i gotowa do wielu poświęceń. Marzy o własnym domu, ale decyzja Judyma uniemożliwia realizację jej planów.

Ludzie bezdomni to także powieść o zderzeniu ideałów (młodzieńcze marzenia Judyma o poprawie świata, którym próbuje pozostać wierny) z brutalną rzeczywistością – ci, którzy mają wpływ na los biednych i pokrzywdzonych, myślą tylko o własnej wygodzie. Bezkompromisowość Tomasza Judyma w walce o dobro biedoty w Warszawie, Cisach czy Zagłębiu, sprawia, że przegrywa – musi przenosić się z miejsca na miejsce, gdzie znów podejmuje tę samą, skazaną na klęskę walkę.

Kolejnym problemem, poruszonym w powieści, jest „zawieszenie” Judyma między warstwami społecznymi – nie należy już do proletariatu, bo wykształcenie sytuuje go wyżej, a w kontaktach z inteligencją i arystokracją przeszkadzają mu kompleksy – boi się, że zrobi „coś z szewską”.

Istotne miejsce w *Ludziach bezdomnych* zajmują także kwestie moralne. W jakim stopniu każdy z nas ponosi odpowiedzialność za kształt rzeczywistości, w której żyjemy? Czy można zamknąć się w czterech ścianach „małej stabilizacji” i pozostać uczciwym człowiekiem, ignorując zło i niesprawiedliwość, dziejące się wokół? Czy można uznać, że to nie nasza wina i prze-

nosić odpowiedzialność na państwo, system czy organizacje filantropijne? Żeromski jednoznacznie odpowiada, że nie.

Jest to też **powieść o poświęceniu**. Postawę Tomasza Judyma można określić mianem **prometeizmu**. **Judym – tak jak mityczny Prometeusz**, który wykrał bogom ogień, by przekazać go ludziom – rezygnuje z osobistego szczęścia i decyduje się samotnie walczyć o dobro innych, by spłacić *dług przeklęty*. Buntuje się przeciw panującym stosunkom społecznym oraz egoizmowi i obojętności klas wyższych na nędzę robotników i chłopów.

I płaci za to najwyższą cenę – rozstania z ukochaną kobietą.

Kolejną kwestią jest **konieczność życia poza granicami ojczyzny** – są na to skazani, z różnych względów, i Leszczykowski, i Wacław Podborski, i Niewadzki, i Wiktor Judym. Jedni przez udział w powstaniu styczniowym, inni – przez działalność w organizacjach socjalistycznych. Żeromski nie pisze o tym wprost ze względu na cenzurę (używa języka ezopowego).

Jest to **powieść o nędzy i ubóstwie**, jakie nękają chłopów i robotników w Polsce u schyłku XIX wieku, uniemożliwiając im nie tylko godne życie, ale nawet fizyczne przetrwanie; o przepaści, jaka dzieli bogatych od biednych i których nikt, poza samotnymi jednostkami, nawet nie próbuje zasypywać.

5. TREŚĆ UTWORU

Wątek główny (przedstawiony według kolejności zdarzeń w powieści, nie od czasów najwcześniejszych do najpóźniejszych): **koleje losu Tomasza Judyma**.

Gdy poznajemy Tomasza Judyma, ten od 15. miesięcy przebywa w Paryżu, gdzie wyjechał po ukończeniu studiów medycznych w Warszawie, by doskonalić się w pracy chirurga. W Luwrze, pod posagiem Wenus z Milo, spotyka panią Niewadzką z wnuczkami Natalią (która podoba mu się) i Wandą Orszeńskimi oraz ich guwernantką Joasią Podborską. W zdawkowej rozmowie pani Niewadzka pyta Judyma o jego rodzinę, a on odpowiada jej otwarcie, a nawet prowokacyjnie, że *pochodzi z byle jakich Judymów*, a jego ojciec był *lichym szewcem na ulicy Ciepłej*. Panie umawiają się z Judymem na następny dzień do Wersalu (choć on sam nie jest pewny, czy powinien się zjawić, z powodu swojego niskiego pochodzenia, które wyjawiał). Doktor Tomasz uważa, że jest gorszy niż one – nieobyty, nie umie się bawić i zawsze może zrobić *coś z szewską*. Wspólna eskapada jednak udaje się.

Rok później Tomasz Judym wraca z Paryża do Warszawy. Idzie odwiedzić swoich ubogich i niewykształconych krewnych na ulicę Ciepłą. Doznaje



uczucia „fałszywego wstydu”, martwi się, żeby ktoś go tam nie zobaczył. Kiedy widzi ciotkę, która siedzi przed domem, ogarnia go uczucie półodrazy, szczególnego politowania. Ciotka Pelagia też zwraca się do niego bez emocji. Judym nie zastaje w domu brata Wiktora, robotnika. Ciotka mówi mu, że Wiktor zmienił pracę i obwinia o to Tomasza (*kładł mu w głowę mądrości i teraz mu się odechciało roboty*). Tomasz dowiaduje się, że z powodu kiepskich zarobków brata (który ma na utrzymaniu dwójkę dzieci, żonę i ciotkę), także bratowa musiała podjąć pracę w fabryce cygar. Idzie się z nią spotkać. Na Judymie, bardzo wrażliwym na ludzką krzywdę, fatalne warunki pracy robią ogromne wrażenie. Kobiety prędko zwijają cygara, a ruchy ich rąk przypominają bolesne kurcze: *Powietrze duszące, smród, miejsce niskie, ciasne, przeładowane pyłem tytoniu rozdziera tkanki, żre gardło i oczy. Robotnice pracują tak szybko, że ich ruchy przypominają drgawki, konwulsyjne rzuty. Twarze mają wyciągnięte, ziemiste, piersi suchotnicze.*

Bratowa, która ma akurat przerwę obiadową, biegnie z Tomaszem na Ciepłą. Wiktora wciąż nie ma, więc Tomasz postanawia zajrzeć tam później. Idzie na spacer do Ogrodu Saskiego i oddaje się (wciąż aktualnym) marzeniom z czasów szkolnych: chce leczyć ludzi, dokonywać kolosalnych odkryć w terapii gruźlicy, budować nowoczesne szpitale, pragnie znaleźć sposób na zużytkowanie nieczystości wielkich miast, wynaleźć jakiś środek lokomocji, który zapobiegłby rozrostowi miast fabrycznych i rozproszył *zbiorowiska cegieł i ludzi* po całym kraju. Już jako student próbował wynaleźć nowy motor. O zmierzchu zamierza wrócić do Wiktora, ale ludzie idący w kierunku biednej dzielnicy kojarzą mu się z robactwem. Nie chce się mieszać z tłumem i zmienia plany – podąża do wykwintnej restauracji.

Do brata zagląda nazajutrz rano. Witają się bez czułości, rozmawiają zdawkowo. Tomasza drażnią błędy językowe, które popełnia jego brat. Wiktor zmienił pracę, bo majster miał mu za złe, że po pracy ubiera się w kamasze, żakiet i krawat, a nie zwyczajnie, tak jak inni. Wiktor wytyka Tomaszowi, że on *tera pan*, ponieważ ciotka zabrała go z ulicy Ciepłej, zapewniła lepsze warunki życia i wykształcenie. Tomasz opowiada mu, jak wyglądało jego życie w domu opiekunki – kobiety lekkich obyczajów – przychodzili tam ludzie pić i grać w karty, a Tomasz był przez nich poszturchiwany, musiał spać na sienniku w przedpokoju, a lekcje odrabiał na zastawionym brudnymi rondlami stole. Do tego ciotka często groziła mu, że go wypędzi z domu.

Tomasz odprowadza Wiktora do pracy. Kiedy po drodze spotykają inżyniera z fabryki, w której pracuje Wiktor, ten nie ukrywa dumy z brata – zaznacza, że Tomasz wrócił właśnie z Paryża.

Tomasz Judym zostaje zaproszony do salonu państwa Czerniszów. Pan domu, ceniony lekarz, zaprasza raz w miesiącu przedstawicieli elit, którzy wygłaszają prelekcje na różne tematy. Judym przychodzi tam z odczytem *Słowo w sprawie higieny*. Jest bardzo zdenerwowany, a goście są ciekawi wiadomości z Paryża, którymi ma się z nimi podzielić. Judym zaczyna od zagadnień dezynfekcji w paryskich szpitalach, następnie zajmuje się higieną życia biedoty, opisując paryską noclegownię, a potem przechodzi do sytuacji ubogich w Polsce. Opisuje warunki życia biedoty żydowskiej – rodziny śpiące pod pułapami sklepików, gdzie nie ma światła i powietrza, kaszlący i plujący suchotnicy, mieszkający w odrażających warunkach. Na wsi – mieszkają w chlewie folwarcznym, a w błocie dorastają obok siebie dzieci i prosięta. Zarzuca lekarzom, że pilnie tępią mikroby w sypialni bogaczy, a nie widzą, że dzieci mieszkają z prosiętami. Mówi, że lekarz dzisiejszy to lekarz ludzi bogatych i nawołuje, by to zmienić. Za obowiązek lekarza uważa zapobieganie temu, żeby robotnik, który wskutek szkodliwych warunków pracy dostaje zgorzeli płuc, nie wracał po wyleczeniu do tej samej fabryki... Mówi, że lekarze mają władzę niszczenia suterren. Co więcej, Judym twierdzi nawet, że filantropia jest szkodliwa, ponieważ kąpiel robotnikowi ma obowiązek zapewnić jego pracodawca, a filantrop tylko niepotrzebnie go w tym wyręcza...

Jego wystąpienie wywołuje głosy oburzenia. Oponenci dowodzą, że to sprawa filantropów, a nie lekarzy. Doktor Płowicz złośliwie sugeruje, że kiedy Judym będzie miał utrzymanie rodziny i otworzy gabinet lekarski, z którego będzie musiał ją utrzymać, na pewno zmieni zdanie. Judym traci rezon, nie kończy wystąpienia, zostaje wprawdzie na kolacji, ale czuje chłód bijący od innych i bardzo go to męczy.

Podczas spaceru w październiku Judym nie ma już w sobie tego zapału, z którym wrócił z Paryża. Czuje agonię swoich dawnych marzeń... Mijają go jadące powozem w Alejach Ujazdowskich Natalia i Wanda.

We wrześniu Tomasz Judym otwiera gabinet lekarski. Przed południem pracuje w szpitalu, a potem czeka, bezskutecznie, na swoich pacjentów. Walentowa, którą zatrudnił, pozbawia go różnych dóbr, kradnąc je, do tego jeszcze pije w pracy, a kiedy Judym napomyka o rezygnacji z jej usług, płacze

w głos, powołując się na swoje nędzne położenie. Przez pół roku odwiedza go zaledwie jedna pacjentka (nie licząc drobnych wypadków w kamienicy, do których jest przywoływany), która, jak się okazuje, chce, by wsparł on cel dobroczynny. Judymowi kończą się pozostawione przez ciotkę pieniądze... Tomasz Judym spotyka na ulicy Chmielnickiego, lekarza-Żyda, którego poznał podczas odczytu u Czernisza. Chmielnicki mówi, że szuka właśnie dla swojego przyjaciela (doktora Węglichowskiego) lekarza, który byłby zainteresowany wyjazdem do pracy do uzdrowiska w Cisach. Judym początkowo chce odrzucić tę ofertę, ale po rozważeniu swojego kiepskiego i nie rokującego położenia, zgadza się na spotkanie z Węglichowskim, a po nim – także na wyjazd. Podczas rozmowy dowiaduje się, że uzdrowisko znajduje się na terenie, który kiedyś należał do pani Niewadzkiej i blisko jej pałacu (poznał ją i jej wnuczkę, Natalię Orszeńską, w Paryżu). To ułatwia mu podjęcie decyzji. Węglich wysłał Judymowi zaliczkę, żeby mógł zakończyć wszystkie swoje sprawy w Warszawie i spokojnie wyjechać.

Tomasz Judym podróżuje do Cisów tylko ze skromną walizką. Jedzie pociągiem w jednym przedziale z niesfornym Dyziem i jego matką. Potem to niechciane i męczące towarzystwo zasiada w jego powozie (jadą do zakładu kuracyjnego, a jak się potem okazuje, jest to rodzina kasjera Listwy z Cisów). Judym, którego Dyzio nie przestaje dręczyć, rezygnuje z podróży i wysiada po drodze. Resztę trasy pokonuje wynajętym powozem, a po jego wypadku – piechotą.

Zakład kuracyjny Cisy leży w dolinie między dwoma łańcuchami wzgórz porośniętych lasem. Przez środek przepływa strumień, który tworzy w parku dwa stawy, spośród których jeden jest motorem maszyn zakładowych. Początkowo Judym zapoznaje się z funkcjonowaniem Cisów: studiuje skład chemiczny wody, poznaje pracę maszyn, prowadzących ją do wanien, ogląda księgi kancelaryjne itd. Cisy to instytucja akcyjna, mająca dwudziestukilku wspólników (to właśnie oni wybierają prezesa, wiceprezesów /Stark i Leszczykowski/ dyrektora /Węglichowski/, administratora /Jan Bogusław Krzywosąd-Chobrzański/ i kasjera /Listwa/).

Na pomysł budowy zakładu kuracyjnego wpadł dziedzic Niewadzki, który wrócił do kraju po latach tułaczki (musiał wyjechać z kraju po powstaniu styczniowym, o czym Żeromski nie pisze wprost ze względu na cenzurę). Niewadzki sam sporo wycierpiał i chciał pomagać innym, którzy odczuwali podobnie jak on, a walory wód, znajdujących się na terenie do niego

należącym, były znane jeszcze w poprzednim stuleciu. Zrzekł się części terenu i z pomocą rozsianych po świecie przyjaciół (adwokaci, kupcy, przemysłowcy) zaczął realizować swój zamysł. Największą sumę udziałów dostał Leszczykowski, jego przyjaciel, kupiec znad Bosforu. Pierwszy dyrektor wydawał mnóstwo pieniędzy na budowę i urządzenie willi, przez co omal nie zrujnował uzdrowiska. Dlatego, już po śmierci Niewadzkiego, Leszczykowski wsparł uzdrowisko zastrzykiem gotówki i znalazł nowego dyrektora – swego przyjaciela Węglichowskiego, który lepiej zarządzał przedsięwzięciem. Skupił się na administrowaniu, a sprawy gospodarcze powierzył Krzywosadowi-Chobrzańskiemu. Wspólnie zaczęli reorganizację, czyli budowę stacji leczniczej, która zakończyła się sukcesem.

Judym ma w Cisach sporo pracy – wstaje przed 6.00, od 10.00 do 13.00 przyjmuje chorych, po obiedzie bawi damy, organizuje teatry amatorskie, wyścigi piesze itd. Czuje się tam, jak ryba w wodzie – zaczyna się modnie ubierać, uczy się prowadzić wesołe konwersacje. Nowe życie go oszałamia, dobrze się czuje w towarzystwie dam, staje się ich powiernikiem, jest popularny. Chodzi na bale, na których króluje panna Natalia – jest piękna, ale zimna i obojętna. Podkochuje się w niej wielu mężczyzn. Judym również bezskutecznie próbuje się do niej bardziej zbliżyć.

Pewnego razu Judym spotyka przypadkowo w kościele Natalię, Wandę i Joasię. Po mszy ksiądz zaprasza ich na plebanię, potem do towarzystwa dołącza Karbowski, kuracjusz z Cisów – lekkoduch i utracjusz, który przehulał majątek i utrzymuje się z tego, co uda mu się wygrać w karty. Natalia jest nim zauroczona, co bardzo rozczarowuje i boli Tomasza.

Początkowo Judym jest tak zaabsorbowany zapoznawaniem się z pracą uzdrowiska, że nie ma czasu zajrzeć do szpitala. Węglich mówił, że *szpitalik to rzecz uboczna*. Szpital zaczął działać zgodnie ze swoim przeznaczeniem dopiero dzięki Judymowi. Wcześniej, za czasów Węglicha, składowano w nim buraki, zepsute części młockarni i inne rzeczy, pożyczano stamtąd łóżka dla gości, środki dla chorych rozkradziono. Rzadko trafiali tam chorzy z okolicy. Judym urządza gabinet przyjęć i od razu ma wielu pacjentów.

Przyjmuje chorych do szpitala. Wcześniej odbiera wyniesione łóżka, kupuje niezbędne wyposażenie (pieniądze uzyskuje z występu kuracjuszek i amatorskiego teatru), talerze, noże itd. Niewadzka zezwala na otoczenie szpitala parkanem, aby niczego nie rozkradano. Szpital działa pełną parą – raz w tygodniu Judym wykonuje nawet operacje. Niestety, kierownictwo zakładu

w Cisach nie podziela entuzjazmu Judyma. Węglich traktuje jego starania z ironią, daje niewielkie pieniądze, okazuje niezadowolenie, gdy w szpitalu jest dużo chorych. Judym jest posłuszny Węglichowi, bo chce zjednać sobie jego przychylność dla szpitala. Nawet jeśli Węglichowski każe kogoś wydalic ze szpitala, Judym godzi się na to z ciężkim sercem.

W sierpniu sanatorium zaczyna pustoszeć. We wrześniu wiele dzieci z czworaków, położonych niżej niż zakład kuracyjny, zapada na malarię (mają sine wargi, niepatrzące oczy, ataki gorączki, bóle głowy).

Dzieje się tak dlatego, że teren uzdrowiska zdobią stawy i sadzawki, w których tworzy się gnijący szlam, co powoduje, że w powietrzu unosi się ciężki opar, który dokucza zwłaszcza folwarcznym chłopom – ich domostwa są położone niżej niż uzdrowisko.

Judym odwiedza miejscowości położone niżej niż uzdrowisko. Widzi wielu chorych. Rdzenni mieszkańcy znoszą lepiej „morowe powietrze”, ale napływowa ludność folwarczna – nie. Judym przyjmuje do szpitala tylko 25% z nich – najbardziej chore dzieci i leczy je chininą, wywozi na słońce w ogrodzie, zagania do różnych prac, a także do nauki. Niestety, po kuracji muszą wracać do tego samego niezdrowego powietrza.

Doktor Tomasz chce to zmienić. Pyta plenipotentą, czy nie można przenieść czworaków w bardziej suche miejsce, ale ten, wściekły, nic nie odpowiada. Nie przyjmuje do wiadomości tego, że w czworakach panuje malaria. Sadzawki są zresztą zarybione i przynoszą znaczny dochód uzdrowisku.

To *morowe powietrze* szkodziło nie tylko biedocie – powietrze w samym uzdrowisku było podobne w dżdżystą porę. Nie tylko nie można było w Cisach wyleczyć febry, ale jej się nabawić (wystąpiły takie dwa wypadki). Kiedy Judym powiedział o tym dyrektorowi Węglichowskiemu (który przecież też jest lekarzem), ten twierdzi, że nie jest to febra ani malaria i sugeruje, żeby o tym nie mówić.

Gdy Judym zaczyna przyjmować do szpitala także tych, którzy nie są obłożnie chorzy, jego przełożeni uważają to za *demoralizację w grubym stylu*. Jednak ze strony ojców chorych dzieci Judym też nie znajduje zrozumienia – często zabierają swoje pociechy wcześniej ze szpitala, bo ekonom domaga się, by wrócili i dalej pracowały w polu.

Judym zostaje wezwany do pałacu na naradę w sprawie czworaków. Przy okazji Niewadzka mówi mu o pomysłe Joanny Podborskiej, która chce oddać swój pokój w skrzydle na pomieszczenia dla chorych na malarię,

żeby uwolnić od nich szpital. Niewadzka nie zgadza się na takie poświęcenie Joasi, ale w zamian chce przeznaczyć na ten cel starą piekarnię – teraz pustą, z ogromną, suchą i widną izbą. Chce, by tam dzieci chore na malarię spędziły zimę. Robi to specjalnie dla Joasi.

Elita uzdrowiska w Cisach spotyka się regularnie, prawie co dzień, w domu Węglicha – przychodzi tam Krzywosąd, który tworzy świetny, zgrany team z Węglichem, i kasjer Listwa. Ksiądz proboszcz i Judym także są zapraszani, ale nie udaje im się na tyle żyć z towarzystwem, żeby zyskać posłuch. Judym czuje, że jakiś mur wyrósł między nimi. Dla nich to, co ważne, działo się w przeszłości, a nie teraz, w Cisach. Judym widzi dwa wyjścia: albo wziąć w swoje ręce ster spraw cisowskich, albo współdziałać z nimi tak, by sądzili, że to oni decydują. Rozumie, że aby coś wskórać, musi działać ręka w rękę z administratorem Krzywosądem. Obiera następującą strategię: stara się być użyteczny, wyręczać Krzywosąda. Układa za niego księgi kancelaryjne, interesuje się sprawami kuchni, folwarku, restauruje meble, sadzi drzewa. Jego zapał i pracowitość zyskują uznanie. Jednak Judym ma ukryty cel: doprowadzić do osuszenia Cisów, skasowania sadzawek, stawów, basenów. Niestety, nie jest traktowany poważnie i nie dopuszcza się go do podejmowania decyzji. Krzywosąd i Węglich często odnoszą się do niego z pobłażaniem. Judym bez reszty oddaje się pracy – czasem w zimowe noce czy roztopy bnie między wsiami do chorych na tyfus i szkarlatynę...

Tylko Leszczykowski rozumie Judyma i sprzyja jego pomysłom. Często piszą do siebie listy – Judym przedstawia mu swoje pomysły, a Les podpowiada, jak wprowadzić je w życie. Leszczykowski próbuje też przekonać Radę Zarządzającą o konieczności zmian, co nie udaje mu się. Węglich i Krzywosąd wytykają mu, że chce zarządzać miejscem, którego nie zna i domyślają się, kto „nakręca” Lesa. Ale stary filantrop znajduje i na to sposób – czasem przekazuje Judymowi pieniądze na realizację jego pomysłów, np. na szpital, nie informując o tym Krzywosąda i Węglicha.

Do uzdrowiska, tak jak co roku, ma przyjechać komisja rewizyjna. Judym zamierza przedstawić im swój pogląd na temat powietrza w Cisach. Doktor Tomasz nie zamierza tylko krytykować. Ma też konkretny pomysł, jak osuszyć powietrze w Cisach. Chce skasować groblę, którą zbudował Krzywosąd (chciał upodobnić Cisy do pańskich rezydencji), zbudować tamę przed parkiem i podnieść poziom wody w rzece. Doktor Tomasz chce być obecny na radzie, podczas której będą omawiane sprawy uzdrowiska. Nie

ukrywa, że pragnie przedstawić swój projekt podniesienia zdrowotności w Cisach. Na wieść o tym Węglich odmawia, powołując się na dokument, w myśl którego Judym nie ma prawa uczestniczyć w spotkaniu. To tylko wymówka, czego najlepiej dowodzi fakt, że zanim Judym wyjawiał, o czym chce rozmawiać z komisją, żona Węglicha wysłała mu, za wiedzą męża, zaproszenie na kolację z udziałem członków komisji. Judym mimo wszystko z niego korzysta. Próbuje zainteresować zebranych swoimi pomysłami, ale Węglichowski usiłuje mu przeszkodzić. Ta sytuacja przypomina Judymowi odczyt u Czernisza. Judym uparcie wraca do tematu, ale Krzywosąd twierdzi, że jego pomysł zaowocuje tym, że po zniszczeniu basenu, w którym wiosną gromadzi się nadmiar wody, park zostanie zalany. Okazuje się, że nie park, tylko łąka, na której posadzono piękne krzewy i to one są, jak wynika z wypowiedzi Krzywosąda, ważniejsze niż dobro chorych (choć nie formułuje tego wprost). Gdy Judymowi prawie udaje się przekonać do swoich racji jednego z członków komisji, do akcji wkracza Węglichowski. Ośmiesza wypowiedź Judyma i zapewnia, że gdyby staw zatruwał powietrze, zostałby usunięty, jednak na razie nie ma takiej potrzeby. Judym ponosi klęskę. Na dodatek zostaje oskarżony o to, że jego pomysły spowodują naciąganie szczerodego Lesa na niepotrzebne wydatki.

Po scysji w obecności komisji, Węglich i Krzywosąd zachowują się zupełnie obojętnie, są dla Judyma uprzejmi, ale on wyczuwa, że zaczynają go nienawidzić. Złości ich młody wiek Judyma, czują się urażeni, że śmie ich pouczać, a ponadto zachowanie istniejącego stanu rzeczy leży w ich interesie. Chętnie by się go pozbyli, ale nie wiedzą, jak to zrobić... Gdyby go wyrzucili, musieliby nadal prowadzić szpital i to tak robi to Judym, bo w przeciwnym razie wzrosłaby popularność doktora Tomasza.

Pewnego razu, wczesnym rankiem, w drodze do wsi, Judym przypadkowo spotyka Joasię Podborską. Dziewczyna jedzie bryczką, a stan koni wskazuje na to, że mają za sobą długą drogę. Joasia mówi, że wraca z Woli Zameckiej, gdzie była u spowiedzi. Furman zdradza prawdę i wyjawia, że szukają jaśnie panienki Natalii. Od Joasi Tomasz Judym dowiaduje się, że Natalia, która bardzo mu się podoba, uciekła z Karbowskim, nad czym jej babka, pani Niewadzka, bardzo ubolewa. Wzięli ślub w Woli Zameckiej, a następnie wyjechali za granicę. Natalia podjęła z banku cały majątek po matce, który jej się, jako pełnoletniej, należał. Joasia czuje się niezręcznie, mówiąc o tym

Judymowi, który podkochuje się w Natalii. Gdy o tym wspomina, doktor Tomasz daje jej słowo, że nie kocha Natalii.

To właśnie podczas tego spotkania Judym uświadamia sobie walory Joasi – dotąd widział w niej siostrę-człowieka, rozum i serce – bratnią duszę, a teraz dostrzega w niej kobietę. Zachwycają go ślady stóp, które Joasia pozostawiła na piasku. Nagle dociera do niego, że jest to jego przyszła żona...

Uczucie między Joanną a Tomaszem kwitnie. Często spotykają się w parku, gdzie Joasia przychodzi z Wandą. Tomasz niecierpliwie czeka na te spotkania, myśli o Joasi jako o narzeczonej, choć nie poprosił jej jeszcze o rękę. Jego miłość nie ma jednak charakteru zmysłowego.

Pewnego razu Joanna, udając przypadkowe spotkanie, spotyka Judyma, kiedy ten zmierza do chorych. Ma tam zabawić niedługo, więc Joasia chce na niego poczekać. On prawie biegnie, żeby mógł szybko do niej wrócić. Kiedy wraca i znów się spotykają, Judym odnosi wrażenie, że *to jest miejsce, do którego szedł przez całe swoje długie, tułaczkie życie*. Oświadcza się Joasi, mówiąc, że zapewne już wtedy, kiedy widywała go w Warszawie w tramwaju, musiała przeczuwać, że będzie jego żoną. Joasia pyta Tomasza, czy oświadczył jej się z rozważą, a on zapewnia, że wszystko przemyślał. Całują się po raz pierwszy, a z oczu Tomasza płyną łzy szczęścia.

Już w połowie czerwca do Cisów zjeżdżają kuracjusze i nie da się, jak co roku, przeprowadzić szlamowania stawu – wybrano muł ze stawu tylko od strony rzeki, a na reszcie powierzchni jest bagno, ledwie przykryte wodą. Roznosi się straszny fetor, robotnicy, którzy się tym zajmują, chorują na febrę, a Krzywosąd ma gorączkę. Aby nie wywozić przy kuracjuszach za park zgniłego szlamu, Krzywosąd każe rozkopać groblę do gruntu, zamontować pochyłą rynnę i w ten sposób spuszczać szlam do rzeki. Pomysł wydaje się świetnym rozwiązaniem, który pozwoli załatwić sprawę dyskretnie. Judym dowiaduje się o tym dopiero, gdy wszystko jest już gotowe. Absurdalnie, wodę w rzece zatruwają, na polecenie Krzywosąda, chłopci, którzy czerpią z tej rzeki wodę do picia. Gdy Judym widzi przy służbie Krzywosąda i Węglicha, czuje fizyczny wstręt, ma wrażenie, że ohydny fetor, jaki wydziela szlam, pochodzi od nich. Właściwie nie ma zamiaru do nich podchodzić, ale w ostatniej chwili zmienia zdanie. Chce im tylko powiedzieć dowcip, że *społeczna rola zakładu w Cisach polega na dostarczaniu najciemniejszej warstwie ludności zmulonej wody do picia*. Kiedy Judym się do nich zbliża, udają, że go nie widzą, gdy dochodzi, nadal są pogrążeni w rozmowie. Węglichowski, jakby nigdy nic,

mówi Judymowi, że Krzywosąd wymywa staw wodą, bo nie można wozić szlamu. Judym nazywa Krzywosada *totumfackim* dyrektora i protestuje kategorycznie przeciw temu, co się dzieje. Na złość Judymowi, dyrektor obiecuje, że nazajutrz najmą do pracy dwa razy tyle robotników i z satysfakcją pyta Judyma, jakie jest jego zdanie w tym względzie. Tomasz nazywa Krzywosada starym osłem, a gdy ten zamierza się, żeby go uderzyć, Judym jest szybszy – chwytą go za gardło, szarpie kilka razy, a następnie odpycha od siebie, a ten wpada do cuchnącego szlamu.

Wieczorem Judym dostaje od Węglicha list, rozwiązujący umowę o pracę. Nie dziwi go to, ponieważ po całym zająciu spodziewał się takiego obrotu spraw. Doktorem Tomaszem targają sprzeczne uczucia: żałuje tego, co zrobił, uświadamia sobie, że oznacza to rozstanie z Joasią. Myśli nawet o tym, żeby pogodzić się z Krzywosadem, przeprosić dyrektora, spekuluje, że może mu w tym pomóc żona kasjera Listwy. Nad ranem uznaje jednak konieczność wyjazdu. Pakuje rzeczy, z uśmiechem wyniosłości i lodowatym wzrokiem idzie do szpitala, ogląda chorego na tyfus chłopca i wychodzi, nie żegnając się z nikim. Dopiero z daleka spogląda na szpital z nostalgią, twarz mu się kurczy i spazmatycznie drży.

Kiedy Judym jedzie bryczką na stację, czuje wewnętrzny spokój, niczego nie żałuje. Jednak już w pociągu przyznaje słuszność Krzywosadowi i dyrektorowi. Dostrzega, jak rozsądne i taktowne było zachowanie Węglichowskiego... W drodze do Warszawy, podczas przesiadki, Judym spotyka inżyniera Korzeckiego, którego poznał w Paryżu i z którym podróżował po Szwajcarii, gdzie jego towarzysz leczył skołatane nerwy. Ten proponuje Judymowi, żeby pojechał z nim do Zagłębia Dąbrowskiego, bo w tamtejszym przedsiębiorstwie jest wolna posada lekarza. Judym nie ma ochoty, ale ostatecznie się zgadza. Zostaje lekarzem zakładowym przy kopalni „Sykstus”. Warunki życia robotników i wyzierająca zewsząd nędza przerażają go. Gdy Judym patrzy na kolejkę chorych, stojących przed lecznicą, odczuwa wstręt na myśl, że ma ich leczyć, a oni sami kojarzą mu się z motłochem. Doktor Tomasz czuje się w Zagłębiu źle, nie tylko z tego powodu, że nie ma z nim Joasi. Bardzo za nią tęskni, ale silniejsze od tej tęsknoty są odczucia wywołane panującym wokół ubóstwem. W pracujących ponad siły robotnikach dostrzega swoją matkę i ojca.

Judym chce zobaczyć kopalnię i zjechać na dół tak jak czynią to górnicy. Pracujący tam starzy ludzie kojarzą mu się z czarnymi bryłami, które już

za życia mieszkają w grobie. Widzi, jak przygotowuje się wybuchy, jak naraża się życie górników, jak dramatyczny jest los ludzi, a także pracujących w kopalni koni.

Korzecki zabiera Judyma do dyrektora kopalni inżyniera Kalinowicza, który mieszka w pałacu urządzonym z przepychem, chętnie chwali się swoimi nowymi, cennymi bibelotami, opowiada o klimacie Zagłębia, ignorując prawdziwe problemy. Nie obchodzi go los ludzi. Bezdusznie mówi o wypadku, w którym zginął robotnik i oburza się, że ktoś winą chce obciążyć fabrykę. Nie dostrzega tego, że robotnicy mają głodowe pensje, ale uważa, że żyją ponad stan, bo chcą używać pachnących mydeł.

Syn Kalinowicza, absolwent politechniki w Charlottenburgu, ma postępowe poglądy, oburza go, że w większości zakładów nie ma żadnej pomocy medycznej, a jeśli występuje, to zazwyczaj jedynie jeden lekarz przypada na zbyt wiele osób.

Podczas spotkania u Kalinowicza lokaj informuje o czymś Korzeckiego, który stwierdza, że przybył do niego posłaniec z listem i wychodzi. Judym jest świadkiem, jak Korzecki odbiera od zmęczonego posłańca pakunek. Korzecki mówi, że to przemytnik, który przyniósł mu kort na ubranie. Wychodzą od Kalinowicza, a Korzecki jedzie oddać rzekomy materiał krawcowi (pakunek to prawdopodobnie nielegalna bibuła).

Na prośbę Korzeckiego Judym jedzie do matki jego młodego znajomego, gimnazjalisty Olesia Daszkowskiego, ponieważ ta niedomaga. Judym bada ją i zdaje sobie sprawę, że są to suchoty. Przeżywa dylemat: czy powiedzieć prawdę o beznadziejnym stanie chorej, a może należałoby zataić tę informację? Daje jej nadzieję na wyzdrowienie. Chora, która umiera, chociaż tak bardzo pragnie żyć, wydaje mu się bardzo bliska, ma nawet wrażenie, że to on leży zamiast niej na tym posłaniu.

Spotkania z Korzeckim, który miał obsesję na punkcie śmierci i skłonność do wpadania w depresyjne nastroje, męczą Judyma. Kiedy pewnego razu dostaje od Korzeckiego dziwny list, kładzie to na karb jego nietypowych zachowań i uznaje za zaproszenie na spotkanie. Okazuje się jednak, że Korzecki się zastrzelił. Atlas anatomiczny leżący w pokoju Korzeckiego otwarty był na stronie poświęconej głowie, a od tyłu czaszki ku przodowi widniała czerwona kreska. Do Korzeckiego przychodzi posłaniec (ten sam co poprzednio) i żegna się ze zmarłym.

We wrześniu do Zagłębia przyjeżdża Joasia (po drodze do Drezna, gdzie wraz z Niewadzką i Wandą mają się spotkać z Karbowskiimi). Gdy Judym widzi Joasię wysiadającą z pociągu, przechodzą go dreszcze. Początkowo rozmawiają o rzeczach obojętnych, podchodzą do siebie z dystansem. Potem Judym oprowadza Joasię, którą przedstawia jako swoją kuzynkę, po okolicy, pokazuje jej fabryki, oglądają razem piece martenowskie. Joanna mówi, że chciałaby pomagać Judymowi w pracy, planuje, że otworzą razem szpital, ona będzie jego felczerką. Mówi, że przygotowywała się do prowadzenia domu – uczyła się gotować, szyć, prasować itd. Deklaruje też, że nie pragnie zbytku, luksusu, że będą mieli proste sprzęty *w krwawym trudzie zdobyte* jak najubożsi ludzie, a to, co zostanie, będą oddawali biednym. Tomasz odpowiada, że nie mogą być razem, że musi *rozwalić te śmierdzące nory*, a – aby to zrobić – musi być sam. Jego obowiązkiem jest *splącenie przekłętego długu*. Przyznaje, że boi się, że w momencie, kiedy założy rodzinę, obudzi się w nim dorobkiewicz. Joasia odchodzi w stronę dworca, a Tomasz błądzi po lesie. Dochodzi do suchego zawaliska, którego przepaść sięga 20 metrów. Wokół rosną sosny. Judym zsuwa się do zawaliska, kładzie się na wznak, spod ziemi słysząc wystrzały dynamitu. Patrzy w górę, a nad jego głową sterczy rozdarta sosna – jej pień częściowo wznosi się w górę, a częściowo w dół i ocieka krwawymi kroplami żywicy: *Judym słyszy płacz samotny, i nie wie, kto płacze – Joasia, grobowe lochy kopalni czy sosna rozdarta*.

6. WĄTKI POBOCZNE

6.1. Losy Joasi Podborskiej

Przeszłość Joasi nie jest przedstawiona chronologicznie – powieść zaczyna się od spotkania Judyma z Joasią, pannami Orszeńskimi i panią Niewadzką pod posagiem Wenus z Milo, a dopiero w jednym z kolejnych rozdziałów poznajemy jej przeszłość (dzieciństwo i wczesną młodość) z kart pamiętnika należącego do bohaterki.

Dzieciństwo Joasia spędziła w Głogach, w podkieleckiej wsi. Matka wcześniej osierociła ją i jej dwóch młodszych braci (Wacława i Henryka), a gdy dziewczynka była w piątej klasie, zmarł także ojciec. Joasią zaopiekowała się wtedy ciotka Ludwika, która prowadziła w Kielcach stancję dla uczniów i z trudem wiązała koniec z końcem. Joasia mieszkała w nędznej, ciemnej izdebce, spała na starej kanapie. Uczyła się pilnie i ślubowała w kościele św. Trójcy, że kiedy już będzie samodzielna, pomoże braciom.

W wieku 17 lat, przyjechała do Warszawy, gdzie zwołniało się miejsce guwernantki u Predygiarów. Była tak biedna, że pieniądze na podróż do stolicy musiała pożyczyć. Bała się tego, co ją tam czekało. W Kielcach, które kochała, zostawiła dwóch braci, Wacka i Henryka oraz ciotkę. U Predygiarów uczyła ich córkę Wandę za sporą dla niej kwotę 15 rubli. Pracowała tam rok, spała w przytulnym pokoiku od ulicy Długiej, a w wolnych chwilach czytała książki z zasobnej biblioteki właściciela, swoją uczennicę kochała jak siostrę. Matka dziewczynki była bardzo, zdystansowana wobec guwernantki. Podczas pobytu w Warszawie Joasia chodziła na koncerty, do teatru.

Spotkały ją rozczarowania – dowiedziała się, że jej brat Henryk, który studiował filozofię w Zurychu, od dwóch lat zamiast studiować, *robi długie, skandale i awantury, odbył nawet pojedynek i siedział w kozie miejskiej*. Joasię najbardziej zabolalo nie samo naganne postępowanie brata i porzucenie studiów, ale jego kłamstwo – *plugawe bagno faktów*. Mimo to nadal chciała pomagać bratu i posyłać mu pieniądze.

Postanowiła nawet dwa razy więcej pracować i wziąć nowe lekcje. Wyprowadziła się od swoich pracodawców i wynajęła mieszkanie (wraz z panną Guêpe – gadatliwą Francuzką, aby było taniej) i bierze kolejne lekcje. Ma tyle zajęć, że, aby na nie wszystkie zdążyć, musi prawie biec z jednej lekcji na drugą.

Podczas jazdy tramwajem Joasia widuje *ślicznego jegomościa w cylindrze*, jest nim zauroczona, mogłaby się nawet zakochać – spotka go potem pod posągami Wenus z Milo. Jest to Tomasz Judym.

Wacław, brat Joasi, który został zesłany na Syberię, gdzie żyje w skrajnie surowych warunkach, pisuje do niej regularnie. Niestety, w końcu zamiast listu otrzymuje informację, że Wacław zmarł. Joasia jest załamana. Po śmierci brata Joasia czuje się fatalnie, jakby *była zabita i niezdolna do żadnych uczuć*. Uważa, że złamane jest tylko jej szczęście osobiste. Pod wpływem tego tragicznego wydarzenia Joasia zrywa lekcje, odrzuca wakacyjne zaproszenia swych pracodawców i wyjeżdża w rodzinne strony.

Odwiedza Głogi, Mękarzycę, Krawczyńska. W Mękarzycach zatrzymuje się u wujostwa. Tu bywała z mamą, gdy miała 3-4 lata. Nie była tam 10 lat i teraz czuje się teraz obca... Krewni (wuj Hipolit, ciotka Waleria i córka Tęcia) są obojętni nie tylko wobec niej, ale także wobec siebie, choć powierzchownie okazują sobie uczucia. Wuj cały czas opowiada o kłopotach materialnych, ponieważ podejrzewa, że Joasia chce pożyczyć od nich pieniądze. Ich chlubą

jest córka Felcia, która wyszła za mąż za inżyniera Balwińskiego, a nieszczęściem i powodem do wstydu Tęcia, która została starą panną. Ciotka wciąż wypytuje Joannę, w jaki sposób powinna gromadzić posąg Teci: w gotówce, a może w postaci wyprawki? Joanna, wbrew radom krewnych i w tajemnicy przed nimi, jedzie zobaczyć dom w Głogach, gdzie mieszkała z rodzicami (zajmowany przez Żyda).

Joasia chce odwiedzić grób ojca i matki w Krawczyskach, ale nie udaje jej się znaleźć go na cmentarzu (na tym kończą się zapisy w pamiętniku – nie wiadomo, jak Joasia trafiła do pracy u Niewadzkiej).

Joanna wraz z pannami Orszeńskimi, które uczy i ich babcią, przyjeżdża do Paryża. Pod posągami Wenus z Milo poznaje Tomasza Judyma, którego widywała niegdyś w warszawskim tramwaju. Kolejny raz spotyka Judyma przypadkiem w kościele w Cisach, co kończy się rozmową na plebanii. Judym jest zauroczony panną Natalią Orszeńską, czego Joasia jest w pełni świadoma. Ponownie spotyka Tomasza, gdy wraca z Woli Zameckiej, gdzie szukała Natalii, która uciekła z Karbowskim. To ona przekazuje Tomaszowi informację o potajemnym ślubie Natalii z Karbowskim i ich prawdopodobnej ucieczce za granicę. Po chwili przeprosza Judyma, że o tym mówi, bo przecież wie, że żywił on do Natalii uczucie. Doktor Tomasz zapewnia jednak, że już do dziewczyny nie czuje.

Potem spotykają się coraz częściej – przypadkowo, w parku, gdzie Joasia często przychodzi z Wandą, prowadzą długie rozmowy.

Pewnego razu Joanna rankiem czeka na Tomasza, kiedy ten idzie do chorych. Kiedy Judym wraca, oświadcza się Joasi. Ona pyta Tomasza, czy czyni to z rozważą, a on przyznaje, że wszystko już dawno dokładnie przemyślał. Po raz pierwszy całują się. Joasia jest zrozpaczona, gdy dowiaduje się, że Judym wyjeżdża z Cisów. Jednak czas rozłąki poświęca na naukę prowadzenia domu. Kiedy we wrześniu odwiedza Tomasza w Zagłębiu (w drodze do Wiednia, gdzie z Niewadzką i Wandą chcą odwiedzić Karbowskich), zaskakuje ją jego obojętność i „martwa” twarz. Mówi mu, że chciałaby mu pomagać w pracy na rzecz innych, że razem otworzą szpital, taki jak w Cisach, że zostanie w nim felczerką. Joanna nie pragnie zbytku, ich wspólny dom wyobraża sobie jako skromnie urządzone, a wszelkie oszczędności pragnie przeznaczać na pomoc dla biednych. Decyzja Tomasza, że musi być sam, aby spłacić swój dług i walczyć z nędzą, jest dla niej szokiem, rozwianiem złudzeń, że po tylu latach tułaczki będzie wreszcie miała swój własny, wymarzony dom.

6.2. Dzieje Wiktora i Teresy Judymów

Brat doktora Judyma, Wiktor, ma żal do Tomasza, że to jego w dzieciństwie wzięła do siebie na wychowanie bogata ciotka, ponieważ był ładniejszy. Wypomina bratu, że w dzieciństwie z tego powodu zadzierał nosa i dopiero jako dorośli ludzie bardziej się mogli do siebie zbliżyć.

Jak mówi ciotka Pelagia, Tomasz obudził w bracie wyższe aspiracje, przez co Wiktor zmienił pracę i zatrudnił się w stalowni. Stało się tak dlatego, że pokłócił się z majstrem, który ponoć miał mu za złe, że ubiera się inaczej niż pozostali robotnicy. Mimo pretensji i zazdrości w stosunku do brata, Wiktor jest z niego bardzo dumny, czego wyraz daje, kiedy Tomasz odprowadza go do pracy i Wiktor może się pochwalić inżynierowi w stalowni, że jego brat jest lekarzem i niedawno wrócił z Paryża.

Choć nie jest to powiedziane wprost, ze względu na cenzurę, Wiktor jest zaangażowany w działalność polityczną, prawdopodobnie związany z socjalistami i z tego powodu musi opuścić kraj, ponieważ tutaj grozi mu więzienie. Tomasz daje mu pieniądze (kilkaset rubli) na wyjazd. Kilka miesięcy później Teresa Judymowa dostaje od męża list, w którym Wiktor prosi, by przyjechała z dziećmi do Szwajcarii. Najpierw jadą w trójkę do Wiednia, gdzie z dworca odbiera ich kolega Wiktora i zapewnia im odpoczynek u siebie. Wieczorem muszą ruszać w dalszą drogę. Opiekun kupuje jej bilety do Wintertur w Szwajcarii i mówi, że ma przesiadkę w Amstetten na pociąg do Salzburga. Uczy ją dwóch słów: Amstetten i umsteigen (przesiąść się). Niestety, Teresa zasypia i nie wysiada na właściwej stacji. Robi to dopiero w momencie, kiedy pociąg pustoszeje. Wysiada na niewielkiej stacyjce, w upale, z głodnym synkiem, chorą córeczką, nie wiedząc, gdzie jest i nie umając się porozumieć. Jest zupełnie bezradna. Rusza z tobołkami w kierunku miasta. Gdy tam dochodzą, Judymowa wśród ciągnących w stronę dworca powozów dostrzega dorożkę, w której siedzą młodzi ludzie, wyglądający na bardzo szczęśliwych. Wiedzioną instynktem, jakimś szóstym zmysłem, podąża za nimi, dobiega do podwórza stacyjnego, gdzie dorożka się zatrzymuje i wtedy słyszy, że młodzi rozmawiają ze sobą po polsku. Błaga ich o pomoc i opowiada o tym, co ją spotkało. Kobieta, którą okazuje się Natalia Orszeńska, podróżująca z mężem, Karbowski, ma łzy w oczach, gdy słucha tej opowieści. Karbowski idzie z biletem Judymowej do kasy, załatwia reklamację i wraca z biletem do Amstetten. Gdy Natalia dowiaduje się, kim jest kobieta, której pomogła, i wychodzi na jaw, że jest to bratowa

Tomasza, nazywa go *ambitnym doktorkiem*. Natalia zajmuje się Judymową i dziećmi także w pociągu (jadą w tę samą stronę), przynosi im wino, jedzenie, lekarstwo otrzeźwiające, daje nawet perfumy i swój wachlarz. Teresa Judymowa przesiada się w Amstetten we właściwy pociąg, którym jechali jeszcze całą dobę. W Winterturze na stacji czeka na nich Wiktor, prowadzi ich do mieszkania, w którym panują dużo lepsze warunki niż w tym warszawskim. Dzieci, podczas zabawy na dworze, obrywają liście i łodygi winnego krzewu, co powoduje, że Szwajcar przychodzi z pretensjami do Judymów. Wiktor wie, że po tym incydencie będą musieli opuścić mieszkanie, a innego w mieście nie znajdzie. Judym mówi żonie, że nie zamierza zostać w Szwajcarii, a że jego firma działa także w Ameryce, on właśnie tam pojedzie.

6.3. Dzieje Natalii Orszeńskiej

Wnuczka pani Niewadzkiej, starsza siostra Wandy, kobieta bardzo atrakcyjna, która skupia uwagę mężczyzn. Pod posągami Wenus z Milo, wraz z towarzyszkami spotykają doktora Judyma.

Natalia lubi flirtować, pozwala zauroczonemu nią Judymowi, by robił sobie nadzieję na coś więcej, by potem dystansować go do siebie lodowatym spojrzeniem. Podczas spotkania na plebanii Natalia daje po sobie poznać, że jest zauroczona kuracjuszem z Cisów, lekkoduchem Karbowskim, który przehulał majątek ojca i żyje z tego, co uda mu się wygrać w karty lub pożyczyć od warstw niższych w nadziei, że nie odważą się upomnieć o zwrot. Natalia decyduje się potajemnie wziąć ślub z Karbowskim i uciec z nim za granicę. Babce zostawia list z informacją, że jako pełnoletnia zabiera cały majątek zdeponowany przez jej matkę w banku, bo uważa, że jej się to należy. Młoda para trafia do Szwajcarii, gdzie sprawiają wrażenie szczęśliwych. Dowiadujemy się o tym z odczuć Teresy Judymowej, która nie wysiadła z pociągu tam, gdzie powinna, przez co zgubiła się w obcym kraju, i to właśnie Natalia z mężem udzielili jej pomocy – umożliwili reklamację biletu, nakarmili i напоili, a nawet dali drobne prezenty. Kiedy Natalia poznała nazwisko Polki będącej w tarapatkach, zapytała o swojego znajomego Tomasa. Gdy Teresa wyjawiała, że jest to jej szwagier, Natalia wygłosiła do męża kąśliwą uwagę o *ambitnym doktorku*...



7. CHARAKTERYSTYKA BOHATERÓW

7.1. BOHATEROWIE PIERWSZO- I DRUGOPLANOWI

7.1.1. Tomasz Judym

Człowiek około trzydziestoletni, którego życie i działanie są determinowane przez jego pochodzenie. Judymowi nie udaje się zapomnieć, skąd się wywodzi – ostentacyjnie podkreśla swoje niskie, proletariackie pochodzenie. Z jednej strony pogardza przedstawicielami klas wyższych, obwiniając je za egoizm i przyzwolenie na nędzę chłopów i robotników, a z drugiej – zazdrości im – pozycji, obycia, umiejętności bawienia się. Kobiety z jego klasy nie wytrzymują porównania z tymi z klas wyższych. Kiedy Tomasz widzi, że kobieta, którą darzy uczuciem, Natalia Orszeńska, jest zauroczona lekkoduchem, utracuszem, a może nawet naciągaczem Karbowskim, czuje się od niego gorszy.

Biedocie, którą spotyka i w Warszawie, w Cisach i w Zagłębiu, współczuje do tego stopnia, że często się z nią identyfikuje, ale jednocześnie nią gardzi – kojarzy mu się ona z sunącym robactwem, nazywa ich motłochem, czuje odrazę na myśl o tym, że miałby ją leczyć. Pochodzenie jest dla niego balastem, ciężarem – wstydi się swoich krewnych, drażnią go błędy językowe brata, ale to nie przeszkadza mu wspierać bratową finansowo i przekazać Wiktorowi pieniądze na wyjazd za granicę. Jest dla niego także zobowiązaniem – Judym uważa, że musi spłacić *przeklęty dług*, jaki zaciągnął i dlatego nie ma prawa do osobistego szczęścia. Jest jednostką szlachetną, która nie potrafiłaby cieszyć się szczęściem, gdy wokół niego jest tyle nędzy.

Judym nie czuje przynależności do żadnej z warstw społecznych – do nizin, z których się wywodzi nie pasuje i nimi gardzi, a wyższe klasy – gardzą nim, a nawet jeśli tak nie jest, Judym właśnie w ten sposób to odbiera.

Tomasz Judym, którego sam Stefan Żeromski określił w swych dziennikach jako *chybionego pozytywistę, romantyka realizmu i dzisiejszego Hamleta* ma w sobie cechy bohatera romantycznego i pozytywistycznego. W swojej bezkompromisowości, w osamotnieniu, na które jest skazany (albo sam się skazuje), w walce o sprawy z góry przegrane przypomina romantyka. Jego rezygnacja z życia osobistego po to, aby całkowicie poświęcić się sprawie, też pasuje do wizerunku bohatera romantycznego, np. Konrada Wallenroda, który *szczęścia w domu nie zaznał, bo go nie było w ojczyźnie*.

W zachowaniu Judyma można się też dopatrzeć cech właściwych bohaterom pozytywistycznym – jako metodę działania wybiera pracę organiczną

i pracę u podstaw (dzień po dniu prowadzi szpital w Cisach, odwiedza chorych, domaga się przeniesienia ich domów w wyżej położone miejsce, chce, aby lekarze działali dla dobra wspólnego). Judym obiera nawet wcześniej przemyślaną strategię – stara się być dla wszystkich użyteczny, aby zyskać uznanie Węglicha i Krzywosąda, co miałoby mu ułatwić przekonanie ich do swoich racji i likwidacji nieszczęsnych stawów, które są przyczyną *morowego powietrza*.

Otoczenie jednak nie traktuje Judyma poważnie – lekarze warszawscy podczas kontrowersyjnego odczytu, sugerują wprost, że Judym z wiekiem zrozumie swój błąd. „Starców” z Cisów drażni młody wiek i zapal Judyma – z niechęcią patrzą na jego ofiarną pracę w szpitalu, a pomysły likwidacji stawów traktują jako szalone i bezzasadne.

Judym jest człowiekiem szlachetnym, wiernym swoim poglądom (nie zniechęcają go nawet kolejne klęski), nieobca jest mu empatia, a nawet miłosterdzie czy prometeizm.

7.1.2. Joanna Podborska

Ma około 26 lat, jest ubogą szlachcianką, którą okoliczności życiowe zmuszają do tułaczki po domach bogatych ludzi. Jest prześlizną i zgrabną ciemną brunetką z niebieskimi oczami.

Joasia ma wielkie serce – potrafi się wczuć w sytuację biednych, stać ją na szlachetne gesty – chce oddać swój pokój w pałacu Niewadzkiej dla dzieci chorych na malarię, porusza ją widok nędzy.

Wykształcona, czyta dużo książek, lubi i rozumie sztukę. Wie, że choć społecznie jest to postrzegane gorzej, a guwernantki są ciągle „na cenzurowanym”, stoi wyżej intelektualnie od tych, dla których pracuje. Myśli samodzielnie – wybierając sobie lektury, nie podąża bezmyślnie za tym, co jest akurat modne. Nie jest powierzchowna – drażnią ją salonowe rozmowy, podczas których powtarza się utarte sądy i traktuje je jako własne, odkrywczę myśli. Im jest starsza, tym częściej woli poświęcać się lekturze książek niż obcować z bezwartościowymi ludźmi.

Sens swego istnienia rozumie jako służbę innym, chociaż po paru latach i kolejnych doświadczeniach stwierdza, że nie sprawia jej to już takiej radości jak wcześniej. Mimo wszystko nie przestaje tego robić z zapałem.

Bardzo kocha swoich braci – pracuje ponad siły, żeby im pomagać. Nie zniechęca jej nawet to, że Henryk, któremu posyła pieniądze na studia w Zurychu, dawno je przerwał i prowadzi obecnie hulaszczę życie.

Dla samej siebie nie potrzebuje wiele – marzy o cieple domowego ogniska, ale nie dąży do zbytków czy luksusu. Kiedy planuje wspólne życie z Tomaszem, chce ograniczyć ich potrzeby do minimum i skupić się na pomocy biednym. Pragnie zmienić świat, walczyć z panującym złem i niesprawiedliwością. I – w przeciwieństwie do Tomasza – wierzy, że razem można zdziałać więcej niż w pojedynkę. Chce towarzyszyć ukochanemu w jego pracy – w ich wspólnym szpitalu jest gotowa zostać felczerką.

Joasia jest typową bohaterką pozytywistyczną – bardzo ceni pracę, uważa ją za przejaw patriotyzmu i swego rodzaju dług, spłacany poprzednim pokoleniom, które ginęły za kraj. Kiedy na Syberii umiera jej brat Wacław (trafił tam za działalność narodowo-wyzwoleńczą), patriotyzm Joasi się zmienia – cena życia, którą zapłacił brat, wydaje jej się zbyt wysoka. Joasia pisze w swoim pamiętniku, że jest jej bliżej do postawy Ismeny niż do Antygony.

Wierzy, że jej praca to coś więcej niż przekazywanie wiedzy – chce rozbudzić w swoich uczennicach pragnienie prawdy i chęci docierania do sedna człowieczeństwa, ale napotyka na mur szyderstwa i ironii. Uważa to za misję porównywalną, a może nawet ważniejszą od rodzicielstwa – *macierzyństwo wyższego stopnia*

Joasia jest emancypantką – pozycję kobiety w społeczeństwie uważa za niesprawiedliwą, razi ją także obraz kobiety w literaturze. Dyskutuje z mężczyznami, którzy uważają, że *niewiadomość pewnych spraw i rzeczy* u kobiet jest pożądana i urokliwa, a emancypacja chce je tego pozbawić. Drażni ją podążanie za niepraktyczną modą, która każe pracującym kobietom uganiać się po ulicach w „uwalanej błotem” sukni do kostek. Jest dumna z tego, że sama się utrzymuje i nie musi, jak jej niezamężna kuzynka Teczka, być zależna od innych. Ale choć Joasia pracuje ponad siły i żyje skromnie – wydaje dwa razy więcej, niż zarabia.

Mimo złej sytuacji materialnej i licznych przeciwności losu, Joasia zawsze zachowuje poczucie dumy i godność osobistą. Nawet kiedy dowiaduje się, że Tomasz ją zostawia, przyjmuje tę wiadomość ze spokojem.

7.1.3. Wiktor Judym

Brat Tomasza Judyma, który miał mniej szczęścia – bo to nie jego wzięła do siebie zamożna ciotka. Mężczyzna słusznego wzrostu, nosi długą brodę, ma bladą, nieopaloną twarz. Jest gburowaty, oschły – tak w relacjach z żoną, jak i w kontaktach z bratem. Ma do niego mieszane uczucia: zazdrości bratu wykształcenia i lepszego życia, ale nie przeszkadza mu to chwalić się bratem,

który właśnie wrócił z Paryża przed swoim zwierzchnikiem. Wiktor jest dumny – nie pozwala sobą pomiatać, dlatego popada w konflikt z majstrem. Buntuje się przeciwko wyzyskowi robotników. Żeromski nie pisze tego wprost, ze względu na cenzurę, ale Wiktor jest zaangażowany w działalność konspiracyjną, prawdopodobnie jest socjalistą. Ta działalność sprawia, że grozi mu więzienie i musi opuścić ojczyznę. Jest kosmopolitą – nie ma w książce śladu jego tęsknoty za ojczyzną. A gdy okazuje się, że będzie musiał opuścić także Szwajcarię, kwituje to stwierdzeniem, że Bessemer (zakład, w którym pracuje) jest wszędzie i on przeniesie się tam, gdzie lepiej płaca (zamierza wraz z rodziną wyjechać do Ameryki).

7.1.4. Żona Wiktora Judyma, Teresa

Niewykształcona, harująca ponad siły w fabryce cygar. Musi pracować, bo z jednej pensji Wiktora nie mogą żyć z dwójką dzieci. Jest dumna, gdy do fabryki, w której pracuje, przychodzi Tomasz Judym. Mówi głośno, żeby wszyscy mogli zauważyć, jakiego wykształconego ma szwagra.

Godzi się na wyjazd męża za granicę, kiedy nie ma innego wyjścia, a potem, wraz z dziećmi, podąża za nim. Nie ma wpływu na swoje życie – jest skazana na tułaczkę – najpierw do Szwajcarii, a potem – jak zapowiedział jej mąż – do Ameryki.

7.1.5. Inżynier Korzecki

Inżynier, który spotyka Judyma w pociągu po jego wyjeździe z Cisów, i proponuje mu wyjazd do Zagłębia. Wysoki, szczupły, brunet, po trzydziestce, przystojny i elegancko ubrany. Wcześniej spotkali się w Paryżu, potem wspólnie podróżowali do Szwajcarii, gdzie Korzecki leczył się na nerwy. Prowadzili wtedy długie rozmowy, a po jednej z ostrzejszych dysput – rozeszli się. Korzecki to tajemnicza postać. Bardzo wrażliwy na nędzę robotników Zagłębia, angażuje się w działalność rewolucyjną, o czym świadczy doręczona mu paczka. Nie zwierza się z tego jednak nawet Judymowi. Jest typowym bohaterem literackim modernizmu – dekadentem, wciąż nie pogodzony ze światem, przeżywającym egzystencjalne lęki. Często mówi o śmierci, czuje się osamotniony, bezradny – dlatego bardzo zależy mu na obecności Judyma w Zagłębiu. Wybiera samobójczą śmierć, ponieważ potrafi żyć w niesprawiedliwym świecie, ale nie wierzy, że można go zmienić.

7.1.6. Leszczykowski – Les

Ma chudą twarz, ciemne oczy i wąskie usta, które *miały w sobie piętno rezygnacji, niezłomności i uporu*.

Jeden z dwu wiceprezesów i współzałożyciel zakładu w Cisach, zamieszkały w Konstantynopolu. Syn ubogiego szlachcica spod Cisów, już w szkole zaprzyjaźnił się z Niewadzkim, Węglichowskim, Krzywosądem. Brał udział w powstaniu styczniowym (Żeromski nie pisze o tym wprost za względu na cenzurę), po którym musiał emigrować i przez wiele lat tułał się po świecie. Zaczynał właściwie od zera – przyjechał za granicę w podartym surducie, a dorobił się znacznego majątku. Imał się różnych zajęć – był tragarzem okrętowym, zamiatał ulice, roznosił gazety, był agentem w sklepie francuskim, subiektem, komiwojażerem, a potem właścicielem ogromnych magazynów, handlarzem dywanów, przemysłowcem.

Jest bogatym wdowcem. W głębi duszy był marzycielem, ascetą i filantropem. Sypia na twardym łóżku, mieszka w ciasnej izbie, ubiera się byle jak. Dostaje masę listów z prośbą o pomoc, żadnego nie odrzuca, ale też nigdy nie daje się nabrać oszustowi. Najważniejsze są dla niego Cisy. Chce je ucywilizować. Les wierzy w młodych, w ich zapał, dzięki któremu mogą wiele zdziałać.

Znajduje wspólny język z Judymem (nigdy osobiście się nie spotkali, ale pisują do siebie regularnie) – doktor Tomasz dostaje od Lesa pieniądze na realizację swoich pomysłów w Cisach (z pominięciem i bez wiedzy Węglicha i Krzywosąda, którzy nigdy by tego nie zaakceptowali).

7.1.7. Węglichowski

Jędrny zdrowy staruszek, który nie zmienia się w ciągu 15 lat, o przyjemnej twarzy, regularnych rysach, czarnych oczach.

Dyrektor zakładu leczniczego w Cisach. Został nim dzięki Lesowi, który zarekomendował go na to stanowisko. Jak wynika ze słów jego przyjaciela Chmielnickiego, nie zdobył znaczącej pozycji w środowisku medycznym, ponieważ był zbyt leniwy. Węglich to jeden ze „starców”, którzy niweczą działania Tomasz Judyma. Węglichowski jest człowiekiem przyzwoitym, kiedyś był nawet idealistą, ale na starość chce żyć wygodnie i temu mają służyć jego decyzje. Zazdrości Judymowi młodości, drażni go jego chęć reformowania Cisów. Często podważa zawodowe kompetencje doktora Tomasza, podkreślając, że on też jest lekarzem. Dla wygodnictwa i egoizmu

przymyka oko na fakty: upiera się, że w Cisach nie ma febry i malarii, choć trudno uwierzyć, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

Nie działa otwarcie – po konfrontacji z Judymem w obecności komisji rewizyjnej, podczas której to doktor Tomasz mówi wprost o konieczności likwidacji stawów, Węglich chce się pozbyć Judyma, ale nie robi tego, czeka na pretekst (staje się nim awantura, podczas której Judym wrzuca Krzywosąda do stawu).

Węglich często ulega Krzywosądowi, czasem nawet usprawiedliwia jego niektóre posunięcia, choć i jego rażą niektóre zachowania przyjaciela. Dopełniają się wzajemnie w rządzeniu Cisami. To u Węglicha gromadził się światek cisowski – Listwa, Krzywosąd, zapraszano też, z urzędu, Judyma i proboszcza, ale nie liczono się z ich zdaniem.

7.1.8. Laura, żona Węglichowskiego

Niska, zgrabna, ma rumiane policzki, podczerniane włosy, żywe oczy i energiczne ruchy. Ma ciekawą osobowość i choć zajmuje się prowadzeniem domu, w wielu sprawach ma swoje zdanie.

7.1.9. Jan Bogusław Krzywosąd-Chobrzański

Administrator zakładu kuracyjnego w Cisach – stary kawaler, przystojny, wysoki, o pięknej figurze, czerni wąsy. Ma bardzo bogaty życiorys – spędził wiele lat za granicą, zna się na wielu dziedzinach: chemii, malarstwie, rzeźbie, literaturze, kuchni, złotnictwie, szewstwie, a zwłaszcza na mechanice. Jest „złotą rączką” – sam robi siodła, obrączki, reperuje maszynerie, pracuje z murarzami, cieślami, stolarzami, ogrodnikiem. Zrobił zegarek dla Węglicha. Odnowił zabytkową szafę, sprzedawał nawet dzieła sztuki, które umiał konserwować, gdyż nauczył się tego od malarzy. Mieszkał w Paryżu, Londynie, Brukseli, różnymi sposobami zarabiając na chleb. Umiał dużo pracować, był gotów chodzić w nędznej odzieży, a pieniądze dać biednym, byle inni o tym wiedzieli, ponieważ cenili rozgłos. Podczas pobytu za granicą adwersarzy zwalczał żelazną ręką.

Gdy stęsknił się za krajem, napisał o tym do Lesa, który umożliwił mu powrót do kraju i pracę w Cisach.

Zapatrzony w siebie – kiedy robił coś dla innych na emigracji, myślał tylko o własnej popularności.

Nie dba ani o zdrowie okolicznych chłopów, ani kuracjuszy. Nie chce przyjąć do wiadomości informacji o szkodliwym powietrzu w Cisach, nie godzi się na likwidację stawów. Judym widzi w nim „totumfackiego” Węglicha. Kiedy

dochodzi między nimi do spięcia, chce uderzyć Judyma, zamierza się na niego, ale doktor Tomasz jest szybszy i to on wrzuca Krzywosąda do stawu.

7.1.10. Kalinowicz ojciec, inżynier, dyrektor kopalni

Otyły, z łysą czaszką, dużymi oczami, krzaczastymi brwiami, potężną sylwetką. Posiadał szlacheckie pochodzenie.

Mieszka w pełnym przepychu pałacu, przywiązuje ogromną wagę do bibelotów i dzieł sztuki, które kolekcjonuje. Chwali się, że kupił za bezcen zegar w Monachium, jest dumny z obrazka z Mediolanu, opowiada o klimacie Zagłębia, ignorując prawdziwe problemy. Nie obchodzi go los ludzi. Bezduśnie opowiada o wypadku, w którym zginął robotnik, a on oburza się, że ktoś chce winą obciążyć fabrykę. Nie dostrzega tego, że robotnicy otrzymują głodowe pensje, ale uważa, że żyją ponad stan, bo chcą używać pachnących mydeł. Choć wszystkim warstwom zarzuca zbytek, tak naprawdę ten zarzut odnosi się jedynie do robotników.

Człowiek bezduśny, mało wrażliwy, traktujący robotników niczym maszyny przeznaczone do wykonywania określonych zadań.

7.1.11. Młody Kalinowicz

Syn dyrektora kopalni, który niedawno ukończył studia na politechnice w Charlottenburgu, gdzie zamierza wkrótce wrócić, żeby dokończyć doktorat. Jest, w przeciwieństwie do swojego ojca, wrażliwy na społeczną krzywdę. Oburza go fakt, że na osiem fabryk przypada jeden lekarz, w większości zakładów nie ma żadnej pomocy medycznej. Ma postępowe poglądy, podobne do tych, które głosili socjaliści. Uważa, że szczęście jednostki musi być podporządkowane dobru ogółu.

7.1.12. Doktor Antoni Czernisz

Lekarz, który tak jak Tomasz Judym, pochodzi z niższych sfer. Doktor Czernisz jest bardzo popularny w warszawskim światku lekarskim, publikuje artykuły w branżowych pismach, jest też znany za granicą. Co tydzień, w środę, w salonie u Czerniszów zbiera się elita i odbywają się interesujące prelekcje. Judym, który poznał Czernisza, gdy był jeszcze studentem, właśnie u niego w salonie wygłasza swój odczyt, który wzbudza ogromne kontrowersje.

7.1.13. Natalia Orszeńska

Siedemnastoletnia wnuczka pani Niewadzkiej, starsza siostra Wandy. Jest kokietką, w pełni świadomą swej urody i wdzięków, chętnie flirtuje. Z Tomaszem Judymem bawi się w kotka i myszkę – najpierw z nim flirtuje, by przy kolejnej okazji zmrozić go wzrokiem. Zakochuje się w Karbowski

utrącejuszu, lekkoduchu, może nawet naciągaczu, należącym do tej samej, co ona klasy. Natalia jest silną osobowością, nie liczy się z opinią innych – te cechy pozwalają jej poślubić Karbowskiego i uciec z nim za granicę. Potrafi zadbać o swoje interesy – przed wyjazdem z kraju podejmuje z banku pieniądze pozostawione przez matkę, bo uważa, że skoro jest pełnoletnia, to się jej należą. Podziały klasowe są dla niej istotne – świadczy o tym nazwanie Judyma *ambitnym doktorkiem*.

7.1.14. Niewadzki, fundator zakładu leczniczego w Cisach

Postać znana tylko z retrospekcji. Mąż pani Niewadzkiej, były powstaniec styczniowy, który wiele lat musiał tułać się po świecie. Wrócił jako starzec, kiedy był już nieuleczalnie chory. Cierpienie go zmieniło – myślał, jak pomóc bliźnim. Na terenie jego posiadłości znajdowały się źródła, w których kąpiele od lat uchodziły za skuteczne. Postanowił więc założyć zakład leczniczy. Pod ten cel podarował swój teren, stworzył spółkę, do której wciągnął rozsianych po świecie przyjaciół – największą sumę udziałów wziął kupiec znad Bosforu – Leszczykowski.

7.1.15. Pani Niewadzka

Wdowa po fundatorze zakładu leczniczego w Cisach, babcia Natalii i Wandy Orszeńskich. Ceni Judyma, a zwłaszcza jego otwartość, z jaką mówi o swoim niskim pochodzeniu. Niskie pochodzenie nie jest dla niej istotne – kiedy Judym jej wyjawiał i tak wraz z dziewczętami spotkała się z nim następnego dnia w Wersalu. Pani Niewadzka jest osobą szlachetną – kiedy dowiaduje się, że Joasia chce oddać swój pokój malarykom, docenia jej gest i ofiaruje na ten cel pomieszczenie. Interesuje się zakładem w Cisach – zaprasza do siebie Judyma, by porozmawiać o sprawie przeniesienia domostw folwarcznych chłopów.

7.1.16. Wanda Orzeńska

Jest młodzianka (ma 14 lat) i to może tłumaczyć jej niektóre gafy, ale wydaje się być typową przedstawicielką swojej klasy – gdy słyszy, że Judym jest synem szewca alkoholika, nie waha się powiedzieć, że w takim razie nie ma pojęcia, jak mógł zostać lekarzem i to jeszcze w Paryżu! Potem mówi Judymowi, iż babcia orzekła, że mimo wszystko (chodzi o jego pochodzenie) może im towarzyszyć w przechadzce po Wersalu. A może po prostu nie jest hipokrytką, jak dorośli z jej klasy, i głośno mówi to, co wszyscy myślą?

7.1.17. Karbowski

Kuracjusz, przyjeżdżający do Cisów, pochodzący z bardzo bogatego rodu, odziedziczył po swoim ojcu znaczny majątek. Bywał w Monaco, Monte Carlo, Paryżu i w ciągu dwóch lat roztrwonił wszystkie pieniądze. Jest atrakcyjny: smukły, blade brunet, czarujący, modnie się ubiera, ma zgrabne ruchy. Przebywając w Cisach, ogrywa w karty innych, co pozwala mu finansować swoje kolejne wybryki. Zimą, gdy nie ma z kim grać, pożycza pieniądze od lokajów i felczerów – ma nadzieję, że nie odważą się oni upomnieć o pieniądze. Za pokój w hotelu w Cisach nie płaci już od roku. Karbowskiemu udaje się zauroczyć Natalię Orszeńską – niewiele wiemy o szczerości jego uczuć, ale małżeństwo z Natalią oznacza dla niego z całą pewnością poważny dopływ gotówki.

7.1.18. Pelagia, ciotka Judyma

Kobieta stara, od lat będąca na utrzymaniu siostrzeńca, Wiktora Judyma, chuda, chorowita, oschła i bardzo zrzędliva. Rzadko kto słyszał od niej dobre słowo, dzieciom rozdawała jedynie szturchańce. Obwinia Tomasza, że obudził w bracie wyższe aspiracje: *Jakby był głupim drągalem, to robił, co wlaźło. Wziąłże Tomciu kłaść mu w głowę mądrości i teraz mu się odechciało roboty. Zabrał się do nieswoich rzeczy. Książki czyta. A jakże....* Jest sarkastyczna wobec Tomasza, gdy ten pyta, czy może znaleźć bratową w fabryce, radzi mu spróbować *przecież wam, panom doktorom, łatwiej niż nam, hołocie.*

7.1.19. Doktor Kalecki, obecny na odczycie Judyma u Czernisza

Polemizuje z Tomaszem Judymem, w ironicznym tonie, co zainteresowany odczytuje to jako natrząsanie się z jego nędzy. Kalecki chwali *uczucia altruistyczne i żywość imaginacji Judyma, jego czucie żywe i serce pełne tkliwości.* Dowodzi, że dola parobków nie jest sprawą lekarza, lecz filantropa. Zaznacza, że niejeden z lekarzy angażuje się w akcje pomocy... Poza tym powstają wystawy higieniczne, towarzystwa przeciwebracze, przytulki noclegowe, funduje się kąpiele dla ludu. Obala tezę, że lekarz współczesny to lekarz ludzi bogatych: *Kolega Judym jest młodym człowiekiem. Serce podyktowało mu słowa goryczy, bo samo, widać, wiele cierpień zniosło.* Zarzuca Judymowi zawziętość i stronnictwo uprzedzenie względem medyków warszawskich.

7.1.20. Doktor Płowicz, krytyk odczytu Judyma u Czernisza

To, że Judym narzuca lekarzom obowiązek ulepszania stosunków społecznych, nazywa *pretensją dziką*, a staje się to później napaścią formalną, gdy

pada teza: *praca lekarza polega na udoskonalaniu życia bogactwów, ażeby pospół z nimi dzielić się okruchami zbytku.*

Płowicz uważa, że naturalnym dążeniem każdego człowieka jest pragnienie bogactwa i nie rozumie, dlaczego akurat lekarz, który *haruje ze wszystkich zawodowców najciężej i w najpodlejszych warunkach* miałby być wykluczony z uczestnictwa w podziale marnych bogactw tego państwa. Płowicz daje Judymowi wyraźnie do zrozumienia, że jego projekty są tylko wizją naiwnego, nie znającego życia, człowieka. Mówi, że kiedy sam będzie miał na utrzymaniu rodzinę, zmieni zdanie na temat przywar stanu lekarskiego.

7.1.21. Doktor Chmielnicki

Otyły, żydowskie rysy i ruchy. Był obecny na odczycie Judyma u Czernisza, z którego razem wyszli. Powiedział, że mu współczuł, choć Judym podczas odczytu miał wrażenie, że patrzy na niego z pogardą i wydyma usta. Interpretuje wykład Judyma jako wyrastanie ponad innych, co Judym bierze za drwiny. Mówi mu, że to on całe życie jest śmieszny, dlatego, że jest Żydem i nazywa się po kozacku Chmielnicki.

7.2. BOHATEROWIE EPIZODYCZNI

7.2.1. Hipolit Listwa

Kasjer zakładu, ojczym niesforne go Dyzia, z którym Judym podróżował do Cisów, i mąż jego matki. Nazywany przez Krzywosąda „starym niedołągą”. Przesiadywał chętnie w kancelarii, byle nie wracać do domu, w którym rządziła żona i niesforne go pasierb.

7.2.2. Pan Stark

Drugi wiceprezes uzdrowiska w Cisach, bogaty przemysłowiec warszawski.

7.2.3. Helena Kalinowicz, córka dyrektora

19-letnia śliczna blondynka. Peszy się w obecności Korzeckiego, prawdopodobnie się w nim podkochuje.

7.2.4. Wajzmanowa

Pracuje jako dozorczyńni w szpitalu w Cisach (pieniądze za to płaci jej Les). Brzydzi się krwi, z trudem ukrywa przejawy wzdargy dla chłopów.

7.2.5. Walentowa

Żona bednarza, która obejmuje obowiązki gospodyni u Judyma, kiedy ten otwiera gabinet w Warszawie. Stara, gruba, lubi wypić, posuwa się nawet do kradzieży. W pracy pomaga jej 15-letnia córka.

7.3. BOHATEROWIE ZNANI TYLKO Z PAMIĘTNIKA JOASI PODBORSKIEJ

7.3.1. Ciotka Waleria, wuj Hipolit i ich córka, Teczka z Mękarzyc

Rodzina, którą Joasia Podborska odwiedza, ale czuje się wśród nich obco. Nie interesuje ich nic, co dzieje się poza ich gospodarstwem. Joasia przekonuje się, że nic jej z nimi nie łączy. Jedynym kryterium oceny kobiety jest to, czy wyszła ona za mąż (tak jak ich starsza córka, z której są dumni), czy też nie (tak jak młodsza, nad losem której ubolewają).

7.3.2. Stacha Bozowska

Nie wiemy o niej zbyt wiele, była guwernantką i przyjaciółką Joasi Podborskiej, ale gdy Joasia pisze pamiętnik, Stacha już nie żyje. Pod koniec życia stwierdza, że była tylko zdolną autorką swojego dziennika i pali w piecu trzynastoma księgami, które zapisała...

To ciekawe, że Stacha Bozowska to postać z innego utworu Żeromskiego, opowiadania pt. *Siłaczka*. Stanisława Bozowska była guwernantką, która poświęciła się całkowicie pracy i szerzeniu oświaty wśród prostego ludu. Umarła w młodym wieku na tyfus.

7.3.3. Panna L.

Postać, którą znamy tylko z pamiętnika Joasi Podborskiej. Całe życie była nauczycielką. Praca była dla niej wszystkim, wypełniała całe jej, wolne od występków życie. Żyła kulturą, sztuką, w jej izbie wisiał portret Sienkiewicza. Kiedy umarła, nie wzbudziła szczerzego żalu, bo była kochana tylko z obowiązku.

Panna L. uczyła z entuzjazmem i Joasia, stojąc u jej grobu, postanowiła ją naśladować: tłamsić w sobie upadki, podniecać wytrwałość, układać plan zajęć i realizować założenia, *choćby kije z nieba leciały*. Ponadto, zachowywać czystość duszy i nie dawać przystępu niczemu podłemu. Joasia uważa, że nauczycielstwo panny L. nie tylko nie skończyło się z chwilą śmierci, ale dopiero wtedy stało się całkowicie zrozumiałe.

7.3.4. Kuzyn Blumów

Negatywnie nakreślony w pamiętniku Joasi przedstawiciel klas wyższych. Znamy go tylko z pamiętnika Joasi – kiedy przychodziła tam na lekcję, otwierał jej drzwi, pomagał zdjąć okrycie i lubieżnie na nią patrzył. Ona nim pogardzała, ale często też się przy nim czerwieniła, ręce zaczynały jej drżeć. Wydawał się jej żaloszny – powtarzał oklepane sady i nieswoje myśli w taki sposób, jakby wpadł na coś odkrywczego.

8. TYTUŁ POWIEŚCI I JEGO ZNACZENIE

Ludzie bezdomni – tytuł powieści Stefana Żeromskiego można interpretować na kilka sposobów:

- ★ ludzie bezdomni jako klasy niższe, pozbawione godziwych warunków do życia, mimo pracy ponad siły – nawet jeśli mają jakieś lokum, to żyją w skrajnej nędzy, umierając już za życia; nie są w stanie stworzyć prawdziwego domu, także w sensie emocjonalnym, ponieważ przez fatalne warunki bytowe jedynie vegetują, czekając na śmierć;
- ★ bezdomny jest także Tomasz Judym, który sam nie bez trudu wyrwał się ze swojej klasy, mógłby żyć lepiej – najpierw w Warszawie, gdyby był konformistą i nie naraził się swemu środowisku podczas odczytu u Czernisza, a potem w Cisach; Judym jednak nie może znieść biedy i niesprawiedliwości i wybiera trudną, samotną, skazaną na klęskę drogę; nie będzie miał domu, bo boi się, że to zrobiłoby z niego dorobkiewicza, a on musi spłacać *dużę przekłętą*;
- ★ Joasia Podborska też jest bezdomna – jej życiowa sytuacja zmusza ją do pracy guwernantki i tułaczki po cudzych domach; jak sama pisze, uczy często nie tylko osoby głupsze od siebie i jako guwernantka jest traktowana jako ktoś gorszy, *zawsze na cenzurowanym*. Podborska będzie bezdomna, ponieważ jej marzenia o wspólnym życiu z Tomaszem nigdy się nie spełnią;
- ★ bezdomna jest też rodzina brata Judyma – Wiktor, Teresa i ich dzieci, fatalne warunki bytowe skłaniają Wiktora do zaangażowania się w walkę o prawa robotników, a ta nielegalna działalność skazuje go na emigrację; najpierw do Szwajcarii, potem do Ameryki – nigdzie nie mogąc znaleźć miejsca, wszędzie będą obcy – nie znają ani języka, ani obyczajów;
- ★ bezdomni z powodu zaangażowania w walkę o wolność ojczyzny – np. Leszczykowski, brat Joasi, który umiera na Syberii – są zmuszani do życia na emigracji, w obcym kulturowo kraju, z którego, nawet po wielu latach, będą tęsknili za Polską i nigdy nie pocują się w pełni u siebie...

9. KONSTRUKCJA POWIEŚCI, NARRACJA, JĘZYK

- ★ Narracja w powieści jest zróżnicowana: dominuje narrator trzecioosobowy, autorski, który jednak widzi świat oczami Tomasza Judyma; w pamiętniku Joasi Podborskiej natomiast narratorem jest ona sama

(mówi o swoich przeżyciach w pierwszej osobie). Pozostałe postacie widzimy oczami Judyma (Węglichowski, Krzywosąd itd.) lub Joasi (kuzyn Blumów, bracia, rodzina). Henryk Markiewicz nazwał narrację trzecioosobową w powieści *formą utajonego pamiętnika Judyma*. Narracja nie służy, tak jak w epoce pozytywizmu, obiektywnej relacji, ale skupia się bardziej na emocjonalnej ocenie rzeczywistości.

- ★ Kompozycja powieści jest luźna – niektóre jej rozdziały mogłyby stanowić odrębną całość, (np. *Zwierzenia*, czyli pamiętnik Joasi Podborskiej czy *Smutek*), między rozdziałami nie zawsze występuje związek przyczynowo-skutkowy.
- ★ Otwarta kompozycja – brak wyrazistego zakończenia (nie wiemy, jak potoczą się dalsze losy Judyma i Joasi), wcześniej też zdarzały się niedopowiedzenia w kwestii losów poszczególnych bohaterów.
- ★ Język *Ludzi bezdomnych* jest zróżnicowany; Henryk Markiewicz wyróżnia następujące style:
 - neutralny – szeroko stosowany np. u Bolesława Prusa; używa go Żeromski we fragmentach o charakterze informacyjnym;
 - gawędziarski – mowa potoczna, a nawet wulgaryzmy, zabarwienie humorystyczne;
 - poetycko-patetyczny – pojawia się w opisach wewnętrznych rozterek Tomasz Judyma, jego erotycznych marzeń czy w portretowaniu przyrody;
 - tzw. stop stylistyczny – połączenie różnych odmian stylistycznych.

10. OPINIE WSPÓŁCZESNYCH I BADACZY LITERATURY O LUDZIACH BEZDOMNYCH



Powieść Stefana Żeromskiego *Ludzie bezdomni* stała się ogromnym wydarzeniem literackim, co nie znaczy, że zabrakło głosów krytycznych – dużo zastrzeżeń budziła nowatorska forma powieści (jej luźna kompozycja, lirykacja języka, maniera językowa), a także nadmierny – zdaniem niektórych – pesymizm Żeromskiego.

Dzisiejsze pokolenie nie rozumie (...) wrażenia, które uczyniła ta powieść. Nie była to tylko piękna, wspaniała książka. Była to Ewangelia (...). Zwiastowanie Dobrej Nowiny (...). Każdy pepesowiec widział w tej książce obraz swojego życia i swojego Marzenia. (...) wchłanialiśmy ją jak pielgrzym wodę źródlaną

wchłania, znużony długą wędrówką (...) – tak pisał 26 lat po ukazaniu się powieści socjalista Stanisław Posner.

*Pamiętam ten dreszcz, który przebiegł młodych, gdy pojawili się „Ludzie bezdomni”. Ten wallenrodyzm, który „szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie”, ten sam, który w dziele Mickiewicza (...) dawno stał się martwą literą, tu nagle powstał żywy, spęczniały krwią serdeczną – tak wspominał reakcje na *Ludzi bezdomnych* Tadeusz Boy-Żeleński po śmierci Stefana Żeromskiego w 1925 r.*

Nie tylko potężne zagadnienie krzywdy społecznej, przenikające takim krzykiem świętego gniewu i rozpacz, takim szeptem żalości całą twórczość Żeromskiego, było tym, co zawładnęło moją młodocianą wyobraźnią. (...) Po raz pierwszy moja wrażliwość artystyczna spotkała się z czymś, co tchnęło na nią odurzającym żarem, blaskiem i dźwiękiem – tak obcym spokojnemu nurtowi znanych mi dotąd pisarzy – Maria Dąbrowska, dla której powieść była „wstrząsem duchowym”.

Po epoce romantyzmu jest to pierwszy i jedyny (...) szczery i silny głos uczucia. Jest w tym olbrzymia zasługa społeczna; pod tym względem Żeromskiemu należy się miejsce na równi z plejadą naszych wielkich poetów: on podniósł głos za całą epokę. W głosie tym czuć ogromny dreszcz bólu, ale nie rozpacz. Jednostki giną, ale idea żyje – Ludwik Burner.

Zdarzały się także głosy kwestionujące ideowość głównego bohatera i wiarygodność zakończenia powieści. Bibliograf i badacz literatury rosyjskiej, Marian Jerzy Toporowski, podważał szlachetne motywy ostatecznej decyzji Tomasza Judyma. Zdaniem krytyka, Judym nie zrezygnowałby z miłości, gdyby na miejscu Joasi była panna Orszeńska. Doktor Tomasz bowiem nigdy nie kochał Joanny, a tylko Natalię. Zdaniem krytyka, symptomatyczne jest to, że Judym uświadamia sobie, iż Joanna to jego przyszła żona, chwilę po tym jak – właśnie z ust Joasi – dowiaduje się o ucieczce Natalii z Karbowskim. Joanna staje się więc dla doktora Tomasza rekompensatą klęski, jaką poniósł z rąk Natalii. Joasia, którą dotąd uważał za bratnią duszę, ocala jego zachwiane poczucie własnej wartości.

Za nieszczerą uważa też argumenty Judyma, jego poświęcenie dla proletariatu, który przecież uważa za motłoch. Społecznik – zdaniem krytyka – tak by nie myślał, dlatego określa Judyma mianem *społecznika wbrew woli*. Według Toporowskiego *to nie altruistyczny ideał (...), ale chore nerwy*

dyktują Judymowi patetyczną deklarację. Za prawdziwe motywy postępowania Judyma uważa kłeskę uczucia do Natalii i snobizm wynikający z kompleksu niższości.

Według innego krytyka, Leona Pomirowskiego, Tomasz Judym jest samodręczycielem, który odczuwa potrzebę cierpienia. Jego ofiara stokrotnie przerasta wyniki. Joasia nie była przeszkodą w realizacji jego planów, ale on chciał rozpaść w sobie ognisko bólu wewnętrznego, spowodowane wyrzeczeniem się miłości.

Jan Walc w *Quo Vadis, Judime* dowodzi, że główny bohater *Ludzi bezdomnych* zachowuje się wbrew przyjętym regułom, nie potrafi współżyć z ludźmi, nie jest do nikogo przywiązany, obraża potencjalnych sojuszników, zamiast próbować ich pozyskać, jest człowiekiem nieodpowiedzialnym, działającym destrukcyjnie, niszczącym wszystko dookoła.



V. NAWIĄZANIA I KONTYNUACJE

- * Nawiązania do innych utworów Żeromskiego, poprzez wprowadzenie do *Ludzi bezdomnych* postaci studenta Radka z *Szyfowych prac*, który miał udzielać młodemu Judymowi, mieszkającemu u ciotki, korepetycji, oraz Stanisławy Bozowskiej – bohaterki *Siłaczki* (przyjaźń z nią wspomina na kartach swego pamiętnika Joasia Podborska).
- * Doktor Tomasz Judym przypomina bohatera *Lalki* Stanisława Wokulskiego – obaj są wrażliwi na krzywdy klas niższych. Wokulski, spacerując po ubogim Powiślu, zastanawia się, ile dobrego mogłyby tu zdziałać jego pieniądze (pomaga ubogiej Marii, Węgiełkowi i Wysockiemu), choć ostatecznie nie wybiera takiej drogi jak Tomasz Judym.
- * Bohaterów, podobnych do Tomasza Judyma, pod względem konstrukcji psychicznej, znajdujemy też w innych utworach Stefana Żeromskiego – to doktor Piotr, Stanisława Bozowska (*Siłaczka*), filantrop Nienaski (*Walka z szatanem*), Przełęcki (*Uciekła mi przepióreczka*), Gajowiec (*Przedwiośnie*).
- * Odniesienie do bohaterów romantycznych – nie mogą zaznać szczęścia, skoro wokół jest tyle cierpienia, silniejszy od osobistych marzeń jest imperatyw walki z o sprawę ogółu (u romantyków – Wallenroda, Konrada, Kordiana – jest to zniewolenie ojczyzny, u Judyma – nierówność społeczna, nędza klas niższych).

- ★ Podobną postawę do Judyma przyjmuje też współczesny bohater, który nie chce być egoistą i stawiać własnego szczęścia ponad dobro innych – Raymond Rambert, dziennikarz, z *Dżumy* Alberta Camusa.
- ★ Traktowanie zawodu lekarza przybliży Tomasza Judyma do doktora Bernarda Rieux – bohatera *Dżumy* Alberta Camusa czy Marka Edelmana (*Zdążyć przed Panem Bogiem* Hanny Krall) – wszyscy są lekarzami i traktują pracę jako powołanie, tyle że Judym chętnie mówi o swojej szczególnej misji, podczas gdy Rieux i Edelman nie widzą w swojej postawie nic nadzwyczajnego.
- ★ Miasto, proletariat i fatalne warunki życia biedoty zostały też ukazane w *Lalce* Bolesława Prusa, *Ziemi obiecanej* Reymonta, *Dziewczętach* z *Nowolipek* Poli Gojawiczyńskiej.
- ★ Konflikty między klasami społecznymi – tę problematykę znajdziemy m.in. w *Powracającej fali*, *Nad Niemnem*, *Nocach i dniach*.
- ★ Joasia Podborska i panna L. – to nie pierwsze rzeczniczki emancypacji w *Ludziach bezdomnych* – podobnie myślące bohaterki pojawiały się często w literaturze pozytywizmu, np. u Orzeszkowej czy Prusa (np. pani Stawska z *Lalki*).

Adaptacje utworów Żeromskiego:

- *Popioły*, reż. Andrzej Wajda (1965 r.),
- *Szyfrowe prace*, reż. Filip Bajon (lata 1998-2000),
- *Doktor Judym*, reż. Włodzimierz Haupe (1975 r.),
- *Przedwiośnie*, reż. Filip Bajon (2002 r.)



VI. WYPRACOWANIA

TEMATY WYPRACOWAŃ:

1. Poświęcenie dla innych – jego cel i koszty (Judym, Les).
2. Czy całkowita ofiara, jaką poniósł Judym, była konieczna? Czy naprawdę nie mógł spróbować pogodzić osobistego szczęścia ze spłacaniem swojego długu?
3. Dylematy moralne – jak je rozstrzygać?
4. Czy wierność własnym zasadom trzeba płacić konfliktem ze światem? (na przykładzie Judyma)
5. Poświęcenie Judyma jako efekt przynależności do niższych klas społecznych.



6. Obraz życia proletariatu i chłopów (Warszawa, Czerwone Zagłębie, Cisy).
7. Biedota, która umiera za życia – fatalne warunki pracy i życia.
8. Bezdomność bohaterów – tak dosłowna, jak i metaforyczna.
9. Skazani przez pochodzenie i sytuację materialną na gorsze życie (Joasia Podborska, Wiktor Judym) .
10. Tomasz Judym – romantyk czy pozytywista?
11. Problem tożsamości – do jakiej klasy przynależy Judym, tej, z której się wywodzi, czy tej, do której, dzięki swojej pracy, się „wdał”?
12. Rola kobiet – Joasia, Teresa Judym.
13. Emancypacja kobiet – postrzeganie roli kobiety przez Joasię Podborską.
14. Zawód lekarza – misja czy sposób wzbogacenia się?
15. Sytuacja samotnych kobiet – Joasia, panna L., kuzynka Joasi – Teczka, której nie udało się wyjść za mąż.
16. Przedstawiciele klas wyższych w powieści – Karbowski.
17. Obraz miasta (Warszawa, Paryż, Zagłębie).
18. Samotność – Judym, Joasia, Les.
19. Różne formy buntu przeciwko niesprawiedliwości społecznej (Judym, Korzecki).
20. Filantropia (Niewadzki, Les).
21. Motyw miłości, jej narodziny (Judyma zadurza się w Natalii, a w stosunku do Joasi najpierw czuje pokrewieństwo dusz).
22. Marzyciele kontra karierowicze w powieści (Judym, Korzecki, Les kontra Węglich, Krzywosąd).
23. Obraz XIX wieku.
24. Kapitalizm w Polsce.
25. Aluzje do powstania i działalności socjalistów w powieści (ze względu na cenzurę tylko aluzje).
26. Motyw rozdartej sosny.
27. *Ludzie bezdomni* jako powieść modernistyczna.
28. Rola domu w powieści – czy jest czymś pozytywnym, czy tym, co może odciągnąć człowieka od spełniania obowiązków wobec społeczeństwa (na przykładzie domu Kalinowicza, przestróg doktora Płowicza dla Judyma i strachu doktora Tomasza Judyma, że jeśli nie będzie sam, zmieni się w dorobkiewicza).

29. Wymowa symboli: kwiat tuberozy, postrzelona przez brata Joasi i tracąca sok brzoza itd.



VII. NAJWAŻNIEJSZE CYTATY

To przecie jasne jak płomyk i czułe jak powój, więc nie mogę temu ulegać.
Niewadzka o Joannie w kontekście jej pragnienia oddania swojego pokoju w pałacu dla chorych na malarię.

Ciotce zawdzięczam wiele. Gdyby nie ona, zostałbym na naszym podwórzu. Ona mnie w świat wepchnęła, ale też com ja z jej powodu przeżył!
Tomasz Judym o swoim dzieciństwie, spędzonym u ciotki.

Tam ja roستم jak różyczka w ogródku.
Tomasz Judym z sarkazmem o swoim dzieciństwie u ciotki.

(...) moje dzieciństwo, cała pierwsza młodość upłynęły w nieopisanym, wiecznym przestrachu, w głuchej nędzy, którą dopiero teraz pojmuję.
Tomasz Judym o sobie w rozmowie z bratem Wiktorem.

(...) z Warszawy, z bardzo byle jakich Judymów. Ojciec mój był szewcem, w dodatku lichym szewcem, na Ciepłej ulicy.
Tomasz Judym o swoim pochodzeniu podczas rozmowy z Niewadzką w Paryżu.

Judym czuł, że wtargnął do towarzystwa tych pań. Rozumiał swą niższość społeczną i to, że jest w tej samej chwili szewskim synem tudzież aspirantem do „towarzystwa”. Odróżniał w sobie te dwie substancje i do krwi gryzł dolną wargę.

Tomasz Judym rozdarty z powodu pochodzenia i aspiracji towarzyskich.

Było to w jego życiu zdarzenie kapitalne, coś w rodzaju otrzymania patentu albo fabrykacji pierwszej samoistnej recepty. Nigdy jeszcze nie zbliżał się do takich kobiet (...). Jakże często, jeszcze będąc studentem, zazdrościł lokajom ich prawa przypatrywania się istotom cielesnym, tak podobnym do cudnych kwiatów zamkniętych w czarownym ogrodzie.

Tomasz Judym zauroczony Niewadzką i wnuczkami, kobietami z wyższych sfer.

Zarazem przyszedł mu na myśl jego kobiety: krewnie, znajome, kochanki... Każda mniej lub więcej podobna do mężczyzny z ruchów, z ordynarności, z instynktów. Myśl o tym była tak wstrętą, że przymknął oczy i z najgłębszą radością słuchał szelestu sukien, którego jeszcze uszy jego były pełne (.....) rozniecały w nim nie tyle namiętne, co estetyczne wzruszenie..

Tomasz Judym porównuje kobiety z wyższych sfer z tymi pochodzącymi z jego sfery.

Juścić jestem cham, to nie ma co. Czyliż umiem się bawić, czym kiedy pomyślał o tym, jak należy się bawić? (...) Nie bawiłbym się, tylko bym dbał, by nie zrobić czegoś z szewska. Może to i lepiej. Ach, jakie to dziwne... Każda z tych bab, nawet ta stara, to istota nowoczesna, wyobrazicielka tego, co tytułujemy kulturą. A ja, cóż ja.... szewczyzna...

Tomasz Judym o sobie.

(...) czuł w sobie uszpioną siłę, jak człowiek, który jest u podnóża wielkiej góry, stawia krok pierwszy, żeby wstąpić na jej szczyt daleki – i wie, że wejdzie. I patriotyczny optymizm: A bo to prawda, że jesteśmy barbarzyńcami, półludzami? Nieprawda! Tacyśmy sami jak każdy inny. Walimy naprzód i kwita!

Zapał Judyma do pracy po powrocie z Paryża do Warszawy.

Kto zмага się ze światem, zginąć musi w czasie, by żyć w wieczności.

Słowa Judyma do Joasi, kiedy mówi jej, że musi opuścić Cisy.

Doświadczał nieprzyjemnego uczucia półodrazy, zbudzonej i wydobytej na jaw przez szczególne politowanie, stanowiące rdzeń uczuć rodzinnych.

Tomasz Judym wstydził się przywitać z ciotką Pelagią na placu, przy gapiach i lokatorach.

Te czarne masy głów i tułowiów, sunących prędko niby mrówki, zbudziły w nim uczucie fizycznej odrazy. Zdawało mu się, że spogląda na sunące ławy robactwa. Wmieszać się w motłoch mieszkający tam, za tym placem – przynigdy! Przenigdy!

Tak Tomasz Judym, idący odwiedzić brata Wiktora, postrzega tłum sunący po biednych ulicach Warszawy; pod wpływem tego wrażenia, zawraca i kieruje się do drogiej restauracji.

Judym uczuł zaraz swoją wrodzoną szewską strachliwość i wprowadził w czyn niemniej szewskie ukłony oraz maniery.

Judym przed odczytem *Kilka uwag* czy słówko w sprawie higieny u Czernisza.

Umiemy pilnie tępić mikroby w sypialni bogacza, ale ze spokojem wyłączamy z zakresu naszego widzenia fakt przemieszkowania dzieci pospółu z prosiętami. (...) Lekarz dzisiejszy – to lekarz ludzi bogatych.

Zarzut Judyma wobec lekarzy, sformułowany podczas odczytu w salonie doktora Czernisza.

My, lekarze, mamy wszelką władzę niszczenia suterren, uzdrowotnienia fabryk, mieszkań plugawych, przetrząśnięcia wszelkich krakowskich Kazimierzów, lubelskich dzielnic żydowskich. W naszej to jest mocy. Gdybyśmy tylko chcieli korzystać z przyrodzonych praw stanu, musiałaby nam być posłuszna zarówno ciemnota, jak siła pieniędzy. (...) Lekarz dzisiejszy nie chce nawet zrozumieć, ba, nie usiłuje zrozumieć tej prawdy, że sprowadzając do zera postannictwo swoje współdziała z chytrym, jak mówi dr Płowiec, światem-przemysłowcem. Nie należy służyć mamonie – można ją mieć, mnie to ani ziębi, ani grzeje.

Tak Tomasz Judym widzi rolę lekarza.

(Lekarze powinni) zażądać otwarcia łaźni od tego, w czym interesie potem i brudem okryli się ludzie. (...) My lekarze, my, sól ziemi, my ręka kojąca wszelką boleść.... Zmówmy się między sobą, naradźmy, wydajmy uchwałę i walcmy z głupotą społeczeństwa, które nie widzi, co to jest ulica Krochmalna albo Kazimierz Krakowski. (...) Jeśli przychodzą do mnie po radę, to niech jej słuchają. W przeciwnym razie nie leczę, nie leczę wcale! Jeśli nie niszczyć źródeł śmierci. Postulaty wysuwane przez Tomasza Judyma podczas odczytu.

Judym uczył w sobie nie dającą się określić jasnymi słowy agonię tych właśnie dawnych marzeń. (...) Judym uczył pierwszy raz w życiu, że pał mocniejszy jest niż piersi ludzkie. I pierwszy raz zastanowił się nad tym, że można pływać tylko po wiadomej, przez wszystkich sprawdzonej toni.

Odczucia Toamsza Judyma po odczycie.

Zdecydował się iść drogą, którą sobie był obrał, no i szedł, rzecz prosta, w niezupełnie całych butach.

O losie Judyma po odczycie u Czernisza.

Nadzieja trudów, które przewidywał w tym miejscu, poila go rozkoszą. (...) Będzie tu siął, będzie pracował za tłum ludzi, będzie oddawał światu wszystko, co wziął od niego. Nie pożąda ramion, nie będzie skąpił potu! Niechże wiedzą, jak się wywdzięcza ten z motłochu, kogo przyjmą do swej kultury, komu udzielią cząsteczki swych praw do czynu.

Zapał Judyma do pracy w chwili otwarcia gabinetu.

Brat jego pracę każdy, kto tylko mógł. Ale Judym drwił sobie z tego. Czuł się tak dobrze, jak inny, gdy zbija majątek lub buduje sobie stawę. Im silniej popracował, tym więcej czuł w sobie mocy, jakiegoś rozmachu i owej pasji, która potężniała i wyrabiała się od trudu jak mięsień.

Sytuacja Judyma w Cisach – imał się każdego zajęcia.

Tęgi lekarz mógłby z niego być, gdyby nie to, że zawsze wszystko brat lekko, nie lubił czytać (...). A kto nie pozuje na uczonego, ten musi szukać jakichś Cisów. Chmielnicki o Węglichowskim.

Czuł to, że całe jego życie, wszystkie wysiłki, plany, dążenia, jest to jedno wielkie głupstwo w stosunku do życia Karbowskiego.

Niska samoocena Judyma – tak myśli, gdy widzi, że Natalia jest zauroczona utracjuszem Karbowskim.

(...) marzyłam bojaźliwie o życiu. Tyle akurat o nim wiedziałam, co człowiek idący do lekarza pod naciskiem nękających go zagadkowych cierpień. (.....) Walitałam w życie z kapitałem składającym się: z biletu kolejowego, z tobołka rzeczy, z pięciu złotych, grosza gotowego, no i z telegramu pani W.

Odczucia Joasi Podborskiej podczas wyjazdu z Kielc do Warszawy.

Ach, z tymi młodymi lekarzami! (...) Zdaje im się, że gdzie oni postawią nogę, tam z pewnością leży Ameryka, którą, rozumie się, należy co tchu odkryć. (...) coś mi zależy na tym, żeby istniał jakiś kanał, który wilgoć wytwarza... gdyby ją wytwarzał. Ale ja ręczę, że to są fikcje, szukanie w całym dziurze. Kanał jest potrzebny tak samo jak most, jak staw, jak droga, więc go trzymamy. Okazuje się, że jest szkodliwy – to go znieśliemy, ale dla fantazji rozpoczynać jakieś prace i rzucać w to kilkaset rubli, pieniędzy nie naszych przecie, pieniędzy, które żadnego dochodu nie dadzą, będą zmarnowane.

Węglich o pomyśle Judyma, dotyczącym poprawy powietrza w Cisach, dyskutowanym podczas spotkania z komisją rewizyjną.

Widział w niej dotąd siostrę-człowieka, rozum i serce, istotę ze swej dziedziny, z tego kręgu, gdzie o jedno nic, wysokie a niezrozumiałe dla motłochu egoistów, kłopotą się bez wytchnienia i trudzą z radością braterskie duchy. I oto szalał ze szczęścia: ona nie tylko taka!

Judym o Joasi, gdy uświadamia sobie, że inaczej na nią patrzy.

Ależ tak! Rozumie się! Przecież to jest moja żona!

Judym uświadamia sobie, że chce być z Joasią.

Chciałabym wiedzieć teraz naszego ambitnego doktora

Natalia Orszeńska o Judymie, gdy dowiaduje się, że kobieta, której pomogła, jest bratową Tomasza.

Jak by też witął swoją rodzinę podróżującą w tak oryginalny sposób...

Karbowski na słowa Natalii.

Kto by uwierzył, że ja, nędzny twór kielecki, dojdę kiedyś w samym środku Warszawy do 62 rubli miesięcznego zarobku z wysiewania po różnych ulicach tajemnic wiedzy

Słowa Joasi – reakcja na otrzymaną pensję guwernerską.

Cenzura może być łaskawą, nawet życzliwą, nawet pochlebną, ale nie ustaje nigdy. (...) To, że się zajmuje stanowisko trudne i niższe, a jest się częstokroć znacznie wyżej – tworzy i udelikatnia uczucie dumy, szlachetne uczucie, które jak kij służy do podparcia w chwilach znużenia i do obrony przed wrogiem.

Joanna Podborska o życiu guwernantki.

(...) może to jest bardzo urocze potrzebować opieki, ale dopiero wówczas, gdy jej zabraknie, gdy jej na całym wielkim świecie wcale nie ma, wtedy czuje się, jak dalece w tym nie ma najlichszego uroku.

Joanna-emancypantka o sytuacji kobiet.

Biegnę na lekcje jak rzecz popchnięta, odrabiam jej jak idiotka (...) naprawdę płakać się chce, gdy zdarza się sposobność rozrywki, a i do niej brak ochoty. (...) jednak najcięższy jest powrót z lekcji do domu – nogi idą niby spuchnięte. Przemokłe, jak dziś np. buciki dolegają i ciężą, zabłocona suknia (...) czyni wrażenie jakiejś paskudnej szmaty.

Joanna Podborska o swoim dniu pracy.

Ach, to ubranie do ziemi! (...) Dla nas, co musimy grasować po bagnach dzielnic ubogich – jest to prawdziwa katusza. Obrzydłe jest podkasać suknię wyżej (zresztą niemożliwe, bo wnet dziesięciu panów zacznie się przyglądać), a ręce kostnieją trzymać ją, dbać o nią – albo zachlapać i nosić na sobie kupy brudu. W jednej ręce niosę parasol, książki, kajety, drugą muszę wiecznie piastować swój ogon i w tym kształcie upędzać się po trotuarach. Skromność pozwala dekoltować się, odstaniać nagie ramiona i piersi, ale zakazuje demonstrowania

światu nogi wyżej kostki, w grubej pończosze i wysokim trzewiku. Ciekawam, czy też w chwili, gdy mogą każe nam przyczepić sobie z tyłu ogon kangura, będziemy wykonywały jej polecenia z takim pietyzmem jak teraz, gdy dźwigamy ogony sukienne?

Joanna Podborska o modzie – uważa modę za niepraktyczną, odpowiednią dla klas wyższych, ale nie kobiet, które muszą pracować.

Nie ma w tym dawnej mojej tak naiwnej pokory – och, ani odrobiny! – prędeż jest jakaś zła pycha. Nieraz myślę sobie, że coraz dalej jestem sercem od ludzi. Dokądś odchodzę, do jakichś sennych widziadeł, do jakichś bohaterskich czystych cieniów. One to stanowią prawdziwe towarzystwo.

Joanna Podborska – staje się zgorzkniała, nie przepada za ludźmi, woli obcować sama ze sobą.

(...) jest półinteligentny, półbarbarzyński, a z główna – chytry. Przebiegłość służy w nim złośliwości, a złośliwość praktykuje się dla niej samej. Zawsze chodzi o stwierdzenie czyjejs niższości, i to tym bardziej, im ciężej tę niższość odnaleźć. Wszechobecne jest kłamstwo. Obok nas żyją ludzie, którzy wprost nie mają potrzeb moralnych, których wcale nie czyni nieszczęśliwymi widok nadużyć. Męka moralna samotnych jednostek wydaje się być czymś przytłakającym, niezdarnym do niczego, bez związku z czymkolwiek, niby jakaś właściwość osobliwsza, przedawniona czy za wczesna.

Joasia Podborska o świecie.

Ileż to razy usiłowałam wytworzyć w duszy tej lub owej uczenniczki takie ognisko miłości prawdy, rozchuchać przygasty węgielek cudownej władzy, która tyle szczęścia daje człowiekowi. I ileż razy znajdowałam tam opór oszańcowany murem szyderstwa. Moja misja rodziła drwinę. Wtedy zawsze czułam się tak samotną i opuszczoną.

Joanna swą pracę guwernantki pojmuje szerzej niż tylko przekazywanie wiedzy, w jej oczach to misja budzenia w uczniach człowieczeństwa.

Mam dokoła siebie albo nędzne, chorowite egzystencje, albo zapasy z przeciwnościami nad siły (...). Człowiek stworzony jest do szczęścia! Cierpienie trzeba zwalczać i niszczyć, jak tyfus i ospę.

Joasia Podborska o prawie do szczęścia.

Jestem taka zabita. Żadnych uczuć, żadnych nawet poruszeń (...). Był czas, kiedy sądziłam, że jestem zdruzgotana ze szczętem. Dziś widzę, że tak nie jest. Złamane jest tylko moje szczęście osobiste.

Joasia Podborska załamana po śmierci brata Wacława.

Sama nie wiem, czego chcę. Tęsknię, a raczej usycham z tęsknoty. Chciałabym pójść, uciec. Jestem jak człowiek bardzo chory, który sam nie wie, co go najwięcej boli. Żle mu, a poruszyć się nie ma siły (.....). Pragnęłabym tylko jednej rzeczy: nie być.

Joanna Podborska o swoich odczuciach.

Obok nas żyją ludzie, którzy wprost nie mają potrzeb moralnych, których wcale nie czyni nieszczęśliwymi widok nadużyć. Męka moralna samotnych jednostek wydaje się być czymś przybłakany, niezdarnym do niczego, bez związku z czymkolwiek, niby jakaś właściwość osobliwsza, przedawniona czy za wczesna.

Joanna Podborska o ludziach pozbawionych zasad etycznych.

Ale, kochana Teci, gdyby mi przyszło wybrać twój los – już bym się nie zgodziła. Przenigdy! Ja już jestem człowiek. Sucha kromka chleba, ale własna, niebogata przeszłość, ale urobiona własnymi rękami.

Joanna porównuje swoją sytuację z położeniem Teci, której nie udało się wyjść za mąż, mieszka na wsi, z rodzicami.

Ile razy zdarzyło mi się obcować z indywiduami nie należącymi do towarzystwa, z ludźmi zwanymi, słusznie czy nieśłusznie, gminem, to zawsze ci panowie usiłovali starannie ominąć kwestię swego rodowodu (...). Niektórzy, zwykle w młodości, przyznawali się z emfazą do swego stanu kmiecego czy tam czegoś, a później nie tylko, że ich demokratycznie-chętliwa prawdomówność szła sobie na bory i lasy, ale prócz tego jej miejsce zajmowały jakieś herby przylepione do drzwiczek karety.

Niewadzka o powszechnych zachowaniach ludzi, który wypierają się swojego niskiego pochodzenia.

Kolega Judym jest młodym człowiekiem. Serce podyktowało mu słowa goryczy, bo samo, widać, wiele cierpień zniosło.

Doktor Kalecki o Judymie po jego odczycie.

Judym nie pragnął panny Joasi jako kobiety, nigdy z niej w marzeniu nie zdzierał szat dziewiczych. Pachnące dymy błękitne otoczyły ją i zasłaniały od myśli pożądliwych.

Judym o Joannie, gdy już ją kocha i w myślach określa ją jako narzeczoną.

I tak płynęły w jego sercu dwie strugi: tęsknota i trwoga. Gdy przypatrywał się wykwintnej i delikatnej postaci panny Joasi, stawała mu w oczach, jak nieodłączne widmo, suterena z ulicy Ciepłej. Wszystko zdobyte znikało. (...)

Judym i ciężąca mu świadomość niskiego pochodzenia a miłość do Joanny.

Mówiła pocałunkami o głębokim szczęściu swym, o dobrowolnej ofierze, którą witała...

Joasia po oświadczeniach Tomasza i pocałunku.

Przestrzaszyłam się tą moją rozrzutnością, a właściwie nędzą.

Joasia mówi z sarkazmem, że wydaje dwa razy więcej niż zarabia – jedno długi spłaca, inne zaciąga, pomaga braciom.

Gdy doktor Judym zawiesi na suchych drzwiach tabliczkę z godzinami przyjęć, gdy będzie miał do okrycia i wykarmienia nie tylko swe studenckie ciało, ale także osoby drogiej kobiety i dziecka, wówczas da Bóg doczekać, może usłyszymy od niego mniej surowe słowo na temat przywar stanu lekarskiego. (...) kazania, choćby piękne, nic tu nie poradzą.

Doktor Płowicz po odczycie Judyma.

Stał tam tłumek ludzi szarych: jeden z okiem szmatką zawiązanym, drugi z ręką w grubym bandażu, inny z fizjonomią wyrażającą ból na wnętrzu. Judym widział ich wszystkich jakby przez deszcz ulewny. Myśl o tym, że ma ich leczyć, zajmować się ich cierpieniami, była mu tak wstrętną jak samo cierpienie. Zastanawiał się nad tym, że kiedyś słyszał od kogoś wyraz: – motloch.

Myśli Judyma, patrzącego na pacjentów czekających przed lecznicą w Zagłębiu.

Chciałbym, żebyście tu gdzieś byli niedaleko, z waszymi rzetelnymi oczami, z waszą szkolarską nomenklaturą medyczną, z waszą mocną duszą, duszą... nie obrażajcie się tylko!... z sutereny (....)

Korzecki do Judyma.

Ale ja mam jeszcze inną chorobę. Ja mam zanedbano wyedukowaną świadomość. To jest ściwerwo obolate! Nieszczęściem, katuszą jest posiadanie prawdy. Zanedbano duża przestrzeń leży między nią a padółem, czyli Zagłębiem.

Słowa inżyniera Korzeckiego.

Gdy szła ze schodków wagonu cudna jak uśmiech szczęśliwy, jakoś dziwnie urocza, rozpiękniona, Judym doświadczał śmiertelnych dreszczów. Zdawało mu się, że u jej stóp, u jej nóg najdroższych, umrze z bóleści.

Judym na widok Joasi wysiadającej z pociągu, kiedy przyjechała go odwiedzić.

Będziemy wszystko albo prawie wszystko, co inni obracają na zbytek, oddawali dla dobra tych ludzi. (...) Z tej resztki, którą dasz swej żonie, z tej najostatniejszej, zobaczysz, co ona zrobi.

Joanna do Tomasza, mówi, że chce żyć skromnie, nie chce luksusu.

Wszystko to pokochamy, to będzie nasze, w krwawym trudzie zdobyte, bez krzywdy niczyjej.

Joanna snuje plany przyszłego życia z Tomaszem Judymem.

Ja muszę rozwalić te śmierdzące nory. Nie będę patrzył, jak żyją i umierają ci od cynku.(...)

Judym w rozmowie z Joanną przed rozstaniem z nią.

Muszę ci wszystko powiedzieć, choć to dla mnie gorsze od śmierci. Doprawdy, doprawdy, wolalbym umrzeć jak Korzecki (...). Ja tak cię kocham! Nigdy nie myślałem, że może się z człowiekiem stać coś takiego... (...) Budzę się w nocy, i, już nie śpiąc, widzę cię, czuję cię na sercu moim (...). A odkąd tu przybyłem i zacząłem patrzeć, coś we mnie rozdmuchuje ogień. Pali się we mnie! Nie wiem, co płonie, nie wiem, co trawi ten pożar...

Judym w rozmowie z Joanną przed rozstaniem z nią.

Ja jestem z motłochu, z ostatniej hołoty. Ty nie możesz mieć wyobrażenia, jaki jest motłoch. (...) Jesteś z innej kasty. Kto sam z tego pochodzi, kto przeżył wszystko, wie wszystko... Tu ludzie w trzydziestym roku życia umierają, bo już są starcami. Dzieci ich – to idioci.

Judym podczas ostatniej rozmowy z Joasią odczuwa różnicę w ich pochodzeniu.

Ja jestem za to wszystko odpowiedzialny! Jestem odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie woła: „nie pozwalam”. Jeżeli tego nie zrobię ja, lekarz, któż to uczyni?

Judym o swoim poczuciu odpowiedzialności za innych; przed rozstaniem z Joasią.

Otrzymałem wszystko, co potrzeba... Muszę to oddać, com wziął. Ten dług przekłety... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podle zmary. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mi nie trzymał!

Judym uzasadnia decyzję o rozstaniu z Joasią.

Ty mię nie wstrzymasz, ale ja sam nie będę mógł odejść. Zakiełkuje we mnie przyschłe nasienie dorobkiewicza. Ja siebie znam.

Judym obawia się swojego postępowania, gdyby nie został sam i założył rodzinę z Joasią.

Ach, jak ja już dawno straciłam gniazdo rodzinne! Prawie nigdy go nie miałam. W piątej klasie byłam zaledwie, gdy mię ojciec odumarał. Mamy prawie nie pamiętam... Każda istota ma swe ognisko, swój dach. Mały skowronek – i ten... Gdy pomyślę, że teraz moje życie tulacze ma się skończyć...

(Joanna o swoim dzieciństwie)



VIII. SPIS KOMENTARZY DO TEKSTU

Tomasz Judym:

- ★ o swoim pochodzeniu podczas rozmowy z Niewadzką w Paryżu – s. 14;
- ★ rozdarcie z powodu pochodzenia i aspiracji towarzyskich – s. 17;
- ★ zauroczenie Tomasza Judyma kobietami z wyższych sfer – Niewadzką i jej wnuczkami – s. 17;
- ★ Judym porównuje kobiety z wyższych sfer z tymi ze swojej sfery – s. 17;
- ★ o sobie – s. 18;
- ★ zapal Judyma do pracy po powrocie z Paryża do Warszawy – s. 28;
- ★ miejsce akcji – Judym wraca do swoich korzeni, do miejsc, w których wzrastał i wychowywał się, wędruje po warszawskich dzielnicach zamieszkiwanych przez biedotę i nędzarzy – s. 29;
- ★ Judym wstydi się przywitać z ciotką Pelagią na placu, przy gapiach i lokatorach – s. 32;
- ★ miejsce akcji – fabryka, wytwórnia cygar, w której pracuje Judymowa, bratowa doktora Judyma – s. 35;
- ★ marzenia Judyma o poprawie sytuacji ubogich – s. 39;

- * wrażenia Judyma dotyczące tłumów poruszających się po biednych ulicach Warszawy – w efekcie zawraca i kieruje się do drogiej restauracji – s. 40;
- * o swoim dzieciństwie spędzonym u ciotki – s. 42;
- * Judym odkrywa prawdę dotyczącą jego pobytu u ciotki: czuł się niekochany, był chłopcem na posyłki, musiał być świadkiem scen, których nie powinno obserwować dziecko – s. 43;
- * o sobie, w rozmowie z bratem Wiktorem – s. 44;
- * przed odczytem u Czernisza – s. 50;
- * zarzuty Judyma wobec lekarzy – przedstawione podczas odczytu u Czernisza – s. 56;
- * wizja Tomasza Judyma na temat lekarzy – s. 57;
- * doktor Kalecki o Tomaszu Judymie po jego odczycie – s. 59;
- * odczucia po odczycie u Czernisza – s. 68;
- * los Judyma po odczycie u Czernisza – s. 75;
- * decyzja Judyma o wyjeździe do Cisów – s. 81;
- * miejsce akcji – uzdrowisko w Cisach; nowy etap w życiu doktora Tomasza Judyma – s. 90;
- * zapas Judyma do pracy w chwili otwarcia gabinetu – s. 91;
- * spotkanie Judyma z Orszeńskimi i Niewadzką – s. 105;
- * niska samoocena spowodowana zauroczeniem Natalii panem Karbowskim – s. 109;
- * praca Judyma w Cisach – s. 157;
- * Judym prowadzi nader barwne życie towarzyskie w Cisach: jest obiektem adoracji wielu kobiet, sam chętnie poszukuje rozrywek, przechodzi chwilową metamorfozę w dandysa i bawidamka – s. 157;
- * Judym rozpoczyna swoją działalność społecznikowską: zakłada w Cisach szpital dla ubogich – s. 157;
- * sytuacja Judyma w Cisach – imał się każdego zajęcia – s. 157;
- * Węglichowski o pomysle Judyma, dotyczącym poprawy powietrza w Cisach – s. 174;
- * Judym uświadamia sobie, że inaczej patrzy na Joasię – s. 187;
- * Judym uświadamia sobie, że chce być z Joasią – s. 188;
- * Natalia o Judymie (po tym, jak dowiaduje się, że pomogła kobiecie, która jest jego bratową) – s. 198;
- * Judym o Joasi – s. 206;

- * ciężąca mu świadomość niskiego pochodzenia – s. 206;
- * Joasia po oświadczeniach Tomasza – s. 211;
- * Judym kłoci się z Krzywosądem i zrzuca go z grobli – ostateczny powód dymisji i wyjazdu z Cisów – s. 215;
- * rozmowa Judyma z Joasią, podczas której mówi jej, że musi wyjechać – s. 217;
- * odczucia związane z widokiem pacjentów czekających przed lecznicą w Zagłębiu – s. 229;
- * doktor Judym po raz wtóry słyszy odgłos wydawany przez pawia – przeczucie, że nieszczęście jest coraz bliżej – s. 266;
- * Judym na widok Joasi wysiadającej z pociągu – s. 270;
- * Joasia snuje plany przyszłego życia z Tomaszem Judymem – s. 275;
- * Judym w rozmowie z Joanną, przed rozstaniem z nią – s. 276;
- * Judym podczas ostatniej rozmowy z Joanną podkreśla różnicę w ich pochodzeniu – s. 276;
- * Judym uzasadnia decyzję o rozstaniu z Joasią – s. 277;
- * symboliczne ujęcie losu Judyma i dokonanego przez niego wyboru – rozdarta sosna jako metafora wewnętrznego rozdarcia Judyma (pragnienie zaznania szczęścia osobistego a chęć poświęcenia się ogółowi i konieczność spłaty „długu przeklętego”) – s. 278.

Niewadzka:

- * Niewadzka o powszechnym zachowaniu ludzi, którzy wypierają się swojego niskiego pochodzenia – s. 14;
- * zauroczenie Tomasza Judyma kobietami z wyższych sfer – Niewadzką i jej wnuczkami – s. 17;
- * spotkanie Judyma z Orszeńskimi i Niewadzką – s. 105.

Ciotka Pelagia:

- * Judym wstydzi się przywitać z ciotką Pelagią na placu, przy gapiach i lokatorach – s. 32.

Wiktor Judym:

- * wygląd – postawny mężczyzna o bladej, zniszczonej cerze. Nosił długą brodę – s. 40;
- * o sobie, w rozmowie z bratem Wiktorem – s. 44;
- * emigracja – s. 181.

Doktor Czernisz:

- * pochodzenie – s. 49;
- * przed odczytem u Czernisza – s. 50;
- * zarzuty Judyma wobec lekarzy – przedstawione podczas odczytu u Czernisza – s. 56;
- * odczucia po odczycie u Czernisza – s. 68;
- * los Judyma po odczycie u Czernisza – s. 75.

Doktor Kalecki:

- * doktor Kalecki o Tomaszu Judymie po jego odczycie – s. 59.

Doktor Chmielnicki:

- * charakterystyka doktora Chmielnickiego: zapiera się swojego żydowskiego pochodzenia, jest lekarzem, który nie kieruje się powołaniem, przykład dorobkiewicza, który traktuje medycynę tak, jak każdy inny fach – s. 62.
- * Chmielnicki o Węglichowskim – s. 76;

Doktor Węglichowski:

- * Chmielnicki o Węglichowskim – s. 76;
- * wygląd – s. 78;
- * Węglichowski o pomysle Judyma, dotyczącym poprawy powietrza w Cisach – s. 174.

Leszczykowski:

- * opis postaci, historia życia – s. 94.

Krzywosąd Chobrzański:

- * charakterystyka sylwetki Krzywosąda Chobrzańskiego: stary kawaler, urodziwy mężczyzna, wysoki, przystojny, wąsy i włosy czernił farbą – s. 96;
- * Judym kłoci się z Krzywosądem i zrzuca go z grobli – ostateczny powód dymisji i wyjazdu z Cisów – s. 215.

Orszeński:

- * spotkanie Judyma z Orzeńskimi i Niewadzką – s. 105.

Karbowski:

- * opis postaci – s. 107;
- * niska samoocena spowodowana zauroczeniem Natalii panem Karbowskim – s. 109.

Natalia:

- * niska samoocena spowodowana zauroczeniem Natalii panem Karbowskim – s. 109;
- * Natalia o Judymie (po tym, jak dowiaduje się, że pomogła kobiecie, która jest jego bratową) – s. 198.

Joanna Podborska:

- * opis postaci, historia życia – s. 111;
- * odczucia Joasi Podborskiej podczas wyjazdu z Kielc do Warszawy – s. 112;
- * Joanna Podborska o życiu guwernantki – s. 115;
- * Joasia zapisuje w pamiętniku swoje wrażenia z pierwszego spotkania z Judymem: widziała go w tramwaju i pozostała pod jego urokiem – s. 115;
- * Joanna-emancypantka o sytuacji kobiet – s. 131;
- * zdanie Joanny Podborskiej na temat mody – s. 134;
- * zgorzkniała, nie przepada za ludźmi – s. 135;
- * szerokie pojmowanie pracy guwernantki – s. 136;
- * o prawie do szczęścia – s. 138;
- * załamanie po śmierci brata Wacława – s. 140;
- * miejsce akcji – Mękarzyce; Joasia Podborska odwiedza wujostwo, pragnie zobaczyć miejsce, w którym bywała wraz ze swoją matką; były to nieliczne w jej życiu chwile beztroski – s. 144;
- * świadomość zmian – s. 148;
- * uczucie wyobcowania – s. 148;
- * Joanna porównuje swoją sytuację z położeniem Teci, której nie udało się wyjść za mąż i mieszka z rodzicami na wsi – s. 150;
- * Joanna: wyemancypowana, postępową; nie chce być dla nikogo ciężarem; pragnie sama, swoją ciężką pracą, zarabiać na siebie i swoje utrzymanie – s. 150;
- * Judym uświadamia sobie, że inaczej patrzy na Joasię – s. 187;
- * Judym uświadamia sobie, że chce być z Joasią – s. 188;
- * Judym o Joasi – s. 206;
- * Joasia po oświadczeniach Tomasza – s. 211;
- * rozmowa Judyma z Joasią, podczas której mówi jej, że musi wyjechać – s. 217;

- * Joasia snuje plany przyszłego życia z Tomaszem Judymem – s. 275;
- * Judym w rozmowie z Joanną, przed rozstaniem z nią – s. 276.

Wacław:

- * załamanie po śmierci brata Wacława – s. 140.

Korzecki:

- * wygląd – s. 222;
- * samobójstwo Korzeckiego – opis naturalistyczny – s. 268.

Inne:

- * miejsce akcji – s. 7;
- * symboliczne znaczenie posagu Wenus z Milo – utożsamia młodość, urodę, piękno, radość życia, miłość – s. 15;
- * symboliczne znaczenie obrazu „Rybak” – wrażliwość na nędzę ludzi, współczucie dla niedoli bliźnich – s. 21;
- * czas akcji – s. 28;
- * naturalistyczny opis chorej psychicznie kobiety, którą rodzina więzi w domu i nieludzko traktuje. Brak pomocy ze strony społeczeństwa, należytej opieki medycznej – s. 31;
- * miejsce akcji – Judym wraca do swoich korzeni, do miejsc, w których wzrastał i wychowywał się, wędruje po warszawskich dzielnicach zamieszkiwanych przez biedotę i nędzarzy – s. 29;
- * miejsce akcji – fabryka, wytwórnia cygar, w której pracuje Judymowa, bratowa doktora Judyma – s. 35;
- * miejsce akcji – huta – s. 45;
- * symboliczne przedstawienie losu człowieka – kowal to metafora mocy, którą posiada człowiek, jego zwycięstwa nad własnymi słabościami i ułomnościami – s. 46;
- * charakterystyka noclegowni dla ubogich w Paryżu – tłok, brud, zimno: przedstawienie naturalistyczne – s. 52;
- * porównanie losu biedoty warszawskiej z egzystencją biedoty paryskiej: tak samo opłakane warunki życia (np. w okolicach dawnego placu Parysowskiego), brak odpowiedniej higieny, opieki medycznej – s. 52;
- * czas akcji – piąty października – s. 66;
- * miejsce akcji – Warszawa, Aleje Ujazdowskie – s. 66;

- ★ opis przyrody – złota polska jesień, z drzew spadają rude liście, niebo ma kolor błękitu: przedstawienie impresjonistyczne – s. 66;
- ★ miejsce akcji – uzdrowisko w Cisach; nowy etap w życiu doktora Tomasza Judyma – s. 90;
- ★ miejsce akcji – charakterystyka zakładu kuracyjnego w Cisach; otoczenie, w którym się znajduje: lasy, stawy, strumień, park – s. 92;
- ★ historia uzdrowiska w Cisach – s. 93;
- ★ kwiat tuberozy – symbol pięknego, ale pozbawionego większej wartości (bo oderwanego od potrzeb społeczeństwa) życia człowieka – s. 104;
- ★ opis przyrody – s. 110;
- ★ miejsce akcji – Mękarzyce; Joasia Podborska odwiedza wujostwo, pragnie zobaczyć miejsce, w którym bywała wraz ze swoją matką; były to nieliczne w jej życiu chwile beztroski – s. 144;
- ★ naturalistyczny opis dzieci z czworaków chorujących na febrę – s. 163;
- ★ opis przyrody – s. 183;
- ★ miejsce akcji – Zagłębie – s. 226;
- ★ miejsce akcji – kopalnia „Sykstus” w Zagłębiu – s. 227;
- ★ miejsce akcji – kopalnia „Sykstus” – s. 239;
- ★ krzyk pawia – w ujęciu symbolicznym: nieszczęście, niepowodzenie, śmierć – s. 265;
- ★ symboliczne ujęcie losu Judyma i dokonanego przez niego wyboru – rozdarta sosna jako metafora wewnętrznego rozdarcia Judyma (pragnienie zaznania szczęścia osobistego a chęć poświęcenia się ogółowi i konieczność spłaty „długu przekłętego”) – s. 278.

OBJAŚNIENIA KOMENTARZY DO TEKSTU



Najważniejsze
momenty akcji



Miejsce akcji



Charakterystyka postaci



Opisy przyrody

OBJAŚNIENIA KOMENTARZY DO OPRACOWANIA



Biografia autora



Wypracowania



Kalendarium życia
i twórczości autora



Najważniejsze cytaty



Rodzaj i gatunek literacki



Spisy komentarzy do tekstu



Omówienie lektury



Nawiązania i kontynuacje



Ważne fragmenty

Spis treści:

LUDZIE BEZDOMNI	5
OPRACOWANIE.	281
I. BIOGRAFIA STEFANA ŻEROMSKIEGO	283
1. Dzieciństwo i szkoła	283
2. Niedośzły maturzysta.	285
3. Student Szkoły Weterynaryjnej.	286
4. Korepetytor	286
5. Zakochany młodzieniec	288
6. Podróżnik.	288
7. Mąż Oktawii	289
8. Bibliotekarz.	289
8.1. Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswilu	290
8.2. Biblioteka Ordynacji Zamoyskich w Warszawie	291
9. Ojciec	291
10. Wyjazdy i powroty	292
11. Śmierć	293
12. Twórczość.	293
II. KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI STEFANA ŻEROMSKIEGO	294
III. RODZAJ I GATUNEK LITERACKI	297
1. Cechy powieści młodopolskiej na przykładzie <i>Ludzie bezdomni</i> ?	297
IV. OMÓWIENIE LEKTURY	298
1. Jak powstał <i>Ludzie bezdomni</i> ?	298
2. Czas akcji.	299
3. Miejsce akcji	299
4. Tematyka	300
5. Treść utworu	301
6. Wątki poboczne.	312
6.1. Losy Joasi Podborskiej	312
6.2. Dzieje Wiktora i Teresy Judymów.	315
6.3. Dzieje Natalii Orszeńskiej	316
7. Charakterystyka bohaterów	317
7.1. BOHATEROWIE PIERWSZO- I DRUGOPLANOWI	317
7.1.1. Tomasz Judym	317
7.1.2. Joanna Podborska	318
7.1.3. Wiktor Judym	319
7.1.4. Żona Wiktora Judyma, Teresa	320
7.1.5. Inżynier Korzecki	320

7.1.6. Leszczykowski – Les	321
7.1.7. Węglichowski	321
7.1.8. Laura, żona Węglichowskiego	322
7.1.9. Jan Bogusław Krzywosąd-Chobrzański	322
7.1.10. Kalinowicz ojciec, inżynier, dyrektor kopalni	323
7.1.11. Młody Kalinowicz.	323
7.1.12. Doktor Antoni Czernisz	323
7.1.13. Natalia Orszeńska	323
7.1.14. Niewadzki, fundator zakładu leczniczego w Cisach	324
7.1.15. Pani Niewadzka	324
7.1.16. Wanda Orszeńska	324
7.1.17. Karbowski.	325
7.1.18. Pelagia, ciotka Judyma.	325
7.1.19. Doktor Kalecki, obecny na odczycie Judyma u Czernisza	325
7.1.20. Doktor Płowicz, krytyk odczytu Judyma u Czernisza	325
7.1.21. Doktor Chmielnicki.	326
7.2. BOHATEROWIE EPIZODYCZNI	326
7.2.1. Hipolit Listwa	326
7.2.2. Pan Stark	326
7.2.3. Helena Kalinowicz, córka dyrektora	326
7.2.4. Wajsmanowa	326
7.2.5. Walentowa	326
7.3. BOHATEROWIE ZNANI TYLKO Z PAMIĘTNIKA JOASI PODBORSKIEJ.	327
7.3.1. Ciotka Waleria, wuj Hipolit i ich córka, Teczka z Mękarzyc	327
7.3.2. Stacha Bozowska	327
7.3.3. Panna L.	327
7.3.4. Kuzyn Blumów.	327
8. Tytuł powieści i jego znaczenie.	328
9. Konstrukcja powieści, narracja, język.	328
10. Opinie współczesnych i badaczy literatury o <i>Ludziach bezdomnych</i>	329
V. NAWIĄZANIA I KONTYNUACJE	331
VI. WYPRACOWANIA	332
VII. NAJWAŻNIEJSZE CYTATY.	334
VIII. SPIS KOMENTARZY DO TEKSTU	343

OBJAŚNIENIA KOMENTARZY	350

